

Gwiazdy są także ogniem

Poul Anderson



calibre 0.9.27

Poul Anderson

GWIAZDY SĄ TAKŻE OGNIEM

Tłumaczył Jacek Spoiny

Książka ta jest fikcją literacką. Wszystkie postaci i zdarzenia w niej przedstawione są albo fikcyjne, albo wykorzystane są fikcyjnie.

Dla Larry'ego i Marilyn Nivenów

PODZIĘKOWANIA

Dług wdzięczności za rady, informacje, sugestie, zachęty i wiele jeszcze innych oznak życzliwości należy się Karen Anderson (pierwszej i jak zawsze najważniejszej), Gregory'emu Benfordowi, CJ. Cherryh, Larry'emu J. Friesenowi, Robertowi Gleasonowi, Alanowi Jeffery'emu, Mike'owi Resnickowi i S.M. Stirlingowi. Nie są odpowiedzialni za żadne zdarzające się w tej książce błędy czy potknięcia, choć bez ich pomocy byłoby takich usterek znacznie więcej.

Nie ulega również wątpliwości, że korzystałem z pomysłów Freemana Dysona, Hansa Moraveca, Rogera Penrose'a, Gunthera S. Stenta i Franka J. Tiplera. Rzecz jasna, co złe, to nie oni, tym bardziej, że często zaprzeczałem różnym ideom zawartym w ich pismach. Zresztą ich pomysły także bywają sprzeczne. Wszyscy oni są niezmiernie interesującymi pisarzami, którzy sięgają do samego sedna prawdy.

DRAMATIS PERSONAE

(z wyłączeniem niektórych pomniejszych postaci)

Aiant, małżonek Lilisaire

Annie, była żona Iana Kenmuira

Beynac Anson, najstarsze dziecko Dagny i Edmonda Beynaców

Beynac Carla, szóste dziecko Dagny i Edmonda Beynaców

Beynac Dagny, inżynier, potem urzędnik, wreszcie przywódczyni polityczna w początkach dziejów Luny; jej zasejwowana osobowość

Beynac Edmond, geolog, małżonek Dagny Beynac

Beynac Francis, czwarte dziecko Dagny i Edmonda Beynaców

Beynac Gabrielle, drugie dziecko Dagny i Edmonda Beynaców

Beynac Helen, piąte dziecko Dagny i Edmonda Beynaców

Beynac Sigurd, trzecie dziecko Dagny i Edmonda Beynaców

Bolly, zausznik Bruna

Bornay, syn Lilisaire i Caraine'a

Brandir, lunariańskie imię Ansona Beynaca

Bruno, burmistrz Overburga w Bramlandzie

Caraine, małżonek Lilisaire

Carfax Mary, przydomek sofotekta w służbie Lilisaire

Delgado, funkcjonariusz Władz Pokojowych

Dzidzibobo, pieśczośliwy przydomek, jakim Dagny była obdarzana przez Guthriego

Ebbesen Dagny, wnuczka i protegowana Ansona Guthriego; po mężu Dagny Beynac

Erann, wnuk Brandira

Etana, lunariańska astronautka

Eyrnen, bioinżynier z Luny, syn Jinann

Eythil, zausznik Lilisaire

Fernando, kapłan i przywódca Pustynników

Fia, lunariańskie imię Helen Beynac

Fong James, funkcjonariusz Władz Pokojowych

Fuentes Miguel, inżynier pracujący na Lunie w początkach jej dziejów

Gambetta Lucrezia, drugi gubernator generalny Luny z ramienia Federacji Światowej

Gedminas Petras, inżynier pracujący na Lunie w początkach jej dziejów

Guthrie Anson, współzałożyciel i szef Przedsiębiorstwa Ognistej Kuli; jego zasejwowana osobowość

Guthrie Juliana, żona Ansona Guthriego i współzałożycielka Przedsiębiorstwa Ognistej Kuli

Hai-Feng Zhao, pierwszy gubernator generalny Luny z ramienia Federacji Światowej

Hakim Zaid, przedstawiciel ministerstwa ochrony środowiska Federacji Światowej

Haugen Einar, czwarty gubernator generalny Luny z ramienia Federacji Światowej

Huizinga Stepan, przywódca terrańskich mieszkańców Księżyca w początkach jego dziejów

Ilitu, geolog lunariański

Inalanie, burmistrz Tychopolis, syn Kaino

Iscah, metamorf typu chemo, zamieszkały w Los Angeles

Jala, żona Brandira

Jannicki Eva, astronautka w służbie Przedsiębiorstwa Ognistej Kuli

Jatwier Daniel, prezydent Federacji Światowej w okresie kryzysu lunariańskiego

Jinann, lunariańskie imię Carli Beynac

Jomo Charles, mediator w Afryce Wschodniej

Ka'eo, jeden z Keiki Moana

Kaino, lunariańskie imię Sigurda Beynaca

Kame Aleka, członkini Lahui Kuikawa, służąca jako łączniczka z Keiki Moana i innymi metamorfami

Kenmuir Ian, urodzony na Ziemi kosmonauta pracujący w Przedsiębiorstwie

Lilisaire, lunariańska magnatka okresu republiki

Matthias, mistrz łoży (Rydberg) Bractwa Ognistej Kuli

Mthembu Lucas, pierwotne imię i nazwisko Venatora

Nightborn Dolores, pseudonim Lilisaire

Niolente, lunariańska magnatka okresu Selenarchii, przywódczyni ruchu przeciw przyłączeniu Luny do Federacji Światowej

Nkuhlu Manyane, astronauta w służbie Przedsiębiorstwa Ognistej Kuli

Norton Irene, pseudonim używany przez Alekę Kame

Oliveira Antonio, astronauta w służbie Przedsiębiorstwa Ognistej Kuli

Packer Joe, inżynier pracujący na Lunie w początkach jej dziejów

Packer Sam, towarzysz w Bractwie Ognistej Kuli

Rinndalir, lunariański magnat okresu Selenarchii, współprzywódca exodusu na Alfa Centauri

Rydberg Lars, astronauta w służbie Przedsiębiorstwa Ognistej Kuli, syn Dagny Ebbesen i Williama Thurshawa

Rydberg Ulla, żona Larsa Rydberga

Sandhu, guru w Prajnaloce

Soraya, metamorf typu tytańskiego, zamieszkała w Los Angeles

Sundaram Mohandas, pułkownik Władz Pokojowych na Lunie

Tam Alice, wersja anglo nazwiska Aleka Kame

Temerir, lunariańskie imię Francisa Beynaca

Teraumysi, szczyt cyberkosmosu

Thurshaw William, kochanek Dagny Ebbesen w latach młodości

Tuori, żona Brandira

Urribe de Wahl Rita, żona Jaime Wahla

Valanndray, lunariański inżynier zatrudniony w Przedsiębiorstwie

Venator, synojont i oficer wywiadu Władz Pokojowych

Verdea, lunariańskie imię Gabrielli Beynac

Wahly Medina Jaime, trzeci gubernator generalny Luny z ramienia Federacji Światowej

Wahly Urribe Leandro, syn Jaime Wahla

Wahl y Urribe Pilar, córka Jaime Wahla

Wołkow Jurij, dawny kochanek Aleki Karne

Wujanso, pieszczotliwy przydomek, jakim Dagny obdarzała Guthriego

Co zobaczyłaś, Prozerpino,

Kiedyś się zanurzyła w mroku?

Czemu nie mówisz o krainie pustki,

Gdzie zagubione, ciche cienie

Lecą półsennie przez bezgwiazdną ciemność,

A tyś tam była królową w niewoli,

Kiedy witamy cię na ziemi

Nie wiedząc, ile z nami pozostaniesz?

Łąki zakwitły pod twą stopą,

Świat cały tonie w świetle,

Ale korzenie wiosennej trawy

Mogą naruszyć kości zmarłych.

Czy to dlatego idziesz milcząca,

Czy taki dar dziś niesie twoja miłość:

Ocalić nas od wiedzy, którą tam posiadaś,

Do czasu, kiedy znowu zstąpisz?

Salerianus, *Quaestiones*,

II, i, 1-16

Do Alfa Centauri długi czas potem dotarły wieści o wydarzeniach na Ziemi i w okolicach Sol. Jak udało im się rozedrzeć okrywającą je zasłonę milczenia, nie należy do naszej opowieści. Niewielu mieszkańców Demeter zwróciło na nie wówczas większą uwagę, mimo że nowiny były niepokojące. Mieszkańcy opuszczali akurat świat, w którym osiedlili się ich przodkowie, gdyż za niecałe stulecie czekała go zagłada. Jednak jeden spośród porzucających planetę był filozofem. Syn zastał go pogrążonego w zadumie i spytał o powody. Nie potrafiłby oszukać własnego dziecka, dlatego wyjaśnił, że niepokoją go wiadomości, otrzymane niedawno z Macierzystego Słońca.

– Ale nie przejmuj się – dorzucił – nie będzie nas to dotyczyć jeszcze przez długi czas, a może w ogóle nigdy.

– Ale o co chodzi? – dopytywał się chłopiec.

– Niestety, nie mogę ci powiedzieć – odparł filozof. – I nie dlatego, że to tajemnica, ale ze względu na długie dzieje tej sprawy. – *Zbyt subtelnej dla dziecięcego umysłu*, dodał w myślach.

– Może jednak coś mi powiesz? – nie ustępował syn.

Ojciec z dużymi oporami przezwyciężył niepokój. Sprawa rozegrała się cztery i jedną trzecią roku świetlnego od nich, więc w sumie nie powinien się nią martwić; tak mu się przynajmniej wydawało.

– Musiałbyś znać historię – uśmiechnął się – a ty przecież dopiero zaczynasz się uczyć.

– Wszystko mi się miesza – poskarżył się chłopiec.

– Tak, to wielkie brzemie na taką małą głowę – przyznał filozof.

Już postanowił. Dziecko chciało z nim porozmawiać. Poza tym jeżeli teraz skorzysta z okazji i spróbuje wytłumaczyć mu sens pewnych ważnych faktów, może jakimś sposobem chłopiec pojmie ich wymowę, a to może mieć kiedyś spore znaczenie.

– To siadaj i pogadamy – zachęcił syna. – Zajmiemy się źródłami tego, co cię tak martwi.

Może tak być? Zresztą nieważne, od czego zaczniemy. Od stworzeń nie całkiem ludzkich, od poskromienia ognia. Pierwszych maszyn, pierwszych naukowców, badaczy – albo od raket kosmicznych, genetyki, cybernetyki, nanotechnologii... Albo od Ansona Guthriego.

Źrenice chłopca rozszerzyły się.

– Zawsze pamiętaj, że był tylko człowiekiem – upomniał filozof. – Nie wyobrażaj go sobie jako nikogo innego. Nie spodobałoby mu się to. Bo widzisz, on kocha wolność, a wolność oznacza, że naszymi jedynymi władcami są sumienie i zdrowy rozsądek. Jego wyczyny nie były takie znowu wyjątkowe. Pamiętasz pewnie, jak Przedsiębiorstwo Ognistej Kuli otworzyło przed wszystkimi przestrzeń kosmiczną. Wielu rządów nie było w smak istnienie tak potężnej firmy prywatnej, przypominającej państwo w państwie. Ale Ansona Guthriego rządy nie obchodziły; nie interesowała go ich władza. Wystarczyło mu, że zwolennicy byli wobec niego lojalni, a on ich nie zdradzał. Możliwe, że sytuacja uległaby zmianie po jego śmierci. Ale na szczęście został zasejwowany. Ścieżki jego umysłu, wspomnień, myślenia przeniesiono na sieć neuronową. Dzięki temu jego osobowość znalazła przedłużenie w maszynach, które kolejno zarządzały Ognistą Kulą.

– Nie, przecież to niemożliwe – zaproponował chłopiec.

– Przepraszam. Często zapominam, ile w twoim wieku można pojąć. Masz rację, prawda jest znacznie bardziej złożona. Nie twierdzę, że znam ją całą. W ogóle chyba nie ma nikogo takiego. Ale wróćmy do naszej historii. Na pewno słyszałeś o tym, jak powstał Lunarianie. Żeby ludzie mogli faktycznie żyć i mieć dzieci na Księżycu, trzeba było zmienić ich geny. Za to nie słyszałeś być może o innych metamorfach, czyli zmienionych formach życia, roślinach, zwierzętach, a nawet ludziach. Być może nie słyszałeś też o Keiki Moana.

Chłopiec zmarszczył czoło, próbując wygrzebać coś z pamięci.

– One... pomogły kiedyś Ansonowi Guthriemu... pływały.

– Tak. To inteligentne foki. – Przytaknął ojciec. Chłopiec zetknął się już z działającymi na wszystkie zmysły nagraniami trybu życia gatunków. – Z kilkorgiem ludzi żyły jak z bliskimi przyjaciółmi, może nawet więcej niż przyjaciółmi. – Filozof urwał. – Ale zanadto wybiegam w przyszłość. Takie wspólnoty powstały dopiero po exodusie.

– Co to takiego?

– Co, nie słyszałeś tego słowa? Fakt, jest nieco archaiczne. W tym przypadku exodus oznacza, że Guthrie powiodł swój lud na Demeter.

Chłopiec skwapliwie przytaknął.

– I przo... przodków Lunarian, którzy żyją na naszych asteroidach. Oni też musieli za nim pójść.

– To nie do końca prawda. Zapewne mogli zostać. Ale nie wyszliby na tym najlepiej, zmieniał się wtedy świat, niedługo miała zniknąć Ognista Kula.

– Przez maszyny?

– Nie, to nie tak. Nie wolno ci zapominać, że ludzie już od wieków mieli różnego rodzaju urządzenia. Ciągłe je udoskonalali, aż w końcu zaczęli konstruować roboty, które można było zaprogramować tak, żeby robiły coś bez ludzkiego nadzoru. Wreszcie stworzyli sofotekty, maszyny, które umiały myśleć i wiedziały, że myślą, tak jak ja i ty.

W głosie chłopca pojawiła się nutka przestachu.

– Ale so-fo-tek-ty same jeszcze bardziej się udoskonaliły, prawda?

Ojciec objął go ramieniem.

– Nie bój się. Nie mają zamiaru zrobić nam krzywdy. Poza tym żyją z dala od nas, na Sol.

Tak, Ziemia uzależniła się od cyberkosmosu, wszystkich tych wspaniałych maszyn, które pracowały i... myślały... razem. Tym sposobem Ziemia stała się zupełnie inna niż nasza planeta...

W tym punkcie filozof urwał, zdając sobie sprawę, że w umyśle dziecka niejasne lęki błyskawicznie zmieniają się w koszmary. Formułował coraz łagodniejsze sądy. Sam nie wiedział, jaką przyszłość szykuje Ziemi cyberkosmos. Zresztą nikt nie miał o tym pojęcia. Spróbuje uspokoić to małe serce, trzepoczące u jego boku.

– Ale to ciągle ta sama Ziemia, o której ci opowiadano. Państwa wchodzą w skład Federacji Światowej, Władze Pokojowe dbają o pokój, starają się, żeby nikt nie głodował, nie chorował i nie bał się. – Nie wiedział, czy takie słowa mogą kogokolwiek uspokoić, mówił przecież o świecie tak odległym, że żaden statek nie przewiózł tam nikogo z jego rasy od momentu, gdy Guthrie poświęcił całe swoje bogactwo, by na Demeter mogła osiedlić się garstka kolonistów. Łączność z Ziemią została praktycznie przerwana. – I my sami bardzo już odeszliśmy od tamtego życia na Ziemi.

Do pokoju weszła matka.

– Czas spać – oznajmiła. – Pocałuj tatusia na dobranoc. Po ich odejściu filozof siedział jeszcze i rozmyślał. Przez staromodne okno widać było fioletowy zmierzch – towarzyszące planecie słońce krążyło gdzieś wysoko na swojej orbicie. Po chwili mężczyzna wstał i podszedł do biurka. Miał zamiar spisać wszystkie myśli, które przychodziły mu do głowy. A tymczasem były niezborne, ale żył nadzieją, że kiedyś uda mu się napisać coś pożytecznego, jakiś list do człowieka, na którego wyrośnie jego syn. Słowo po słowie, mozolnie notował:

„Niewielu z nas w pełni zrozumie ostatnie wydarzenia – być może wręcz nikt, takie to wszystko jest osobliwe. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć konsekwencji, nie wiemy, czy odbiją się potężnym echem gdzieś pośród planet, czy raczej między gwiazdami. Mężczyzna i kobieta błakali się w czasie, dezorientowani, zaszczuci, samotni. Dwa istnienia wyszły naprzeciw siebie poprzez wieki i na przekór śmierci. Pytania o wymowę tego zdarzenia pozbawione były sensu. Przeznaczenie nie istnieje. Lecz czasami istnieje odwaga”.

Lilisaire z Wysokiego Zamku, Strażniczka Mare Orientale i Kordylierów, wzywa kapitana

Iana Kenmuira, gdziekolwiek przebywa. Przybądź, potrzebują cię.

Wieść ruszyła z Luny, odbijając się od stacji przekaźnikowych i wędrując przez miliony kilometrów, by w końcu dotrzeć do ośrodka łączności na Cererze. Wtedy rozpoczęły się poszukiwania.

W otchłani kosmosu statki rzadko utrzymywały nieprzerwaną łączność ze stacjami kontroli lotów. Komputer na dużej asteroidzie wiedział tylko tyle, że statek Kenmuira krzątał się pośród księżyców Jowisza przez ostatnie siedemnaście miesięcy. Przesłał pytanie do swojego bliźniaczego odpowiednika na Himalii, dziesiątym księżycu od planety. Przebycie dystansu od kolejnej stacji przekaźnikowej zajęło wiadomości następną godzinę. Statek opuścił okolice Jowisza siedemnaście cykli dziennych temu, kierując się do jakiegoś pomniejszego ciała niebieskiego.

Dzięki temu, że Kenmuir zarejestrował swój plan podróży, obliczenie kierunku, w którym miała polecieć wiązka laserowa, żeby go przechwycić, zajęło niecałą mikrosekundę. Do tego niepotrzebna była świadomość, wystarczyła znajomość liczb. W wielkiej sieci cyberkosmosu tego rodzaju funkcje były bardziej zautomatyzowane niż regulacja oddechu i bicia serca, sterowana przez rdzeń ludzkiego mózgu. Myśli maszyn obracały się w innych sferach.

Mimo to cyberkosmos był cały czas Jednią.

Statek odebrał sygnał.

– Wiadomość do kapitana. – Oznajmił.

Kenmuir i Valanndray grali w podwójny chaos. Fraktale przemykały przez zbiornik widokowy, mieniając się niezliczonymi kształtami i kolorami. Palce stukały w klawiaturę, wiedzione raczej intuicją niż rozumem. Formy zmieniały się, płynęły, przyciągane przez atraktory, odsuwały się, gdy przeciwnik wprowadzał jakąś nową funkcję. Pochłonięci grą ludzie

oddychali szybko i płytko; powietrze w kabinie miało niską temperaturę i lekki aromat sosny.

Gracze nie zwracali uwagi na rozciągający się za ich plecami, zajmujący całą ścianę widok Andów, skał, nieba i zasp śniegu, omiatanych mroźnym wiatrem.

Odezwał się statek.

– Zatrzymać! – warknął Kenmuir. Zmagania o stałą konfigurację zamarły bez ruchu.

Przez chwilę milczał obserwowany przez Valanndraya, wreszcie zdecydował:

– Odbiorę z konsoli. Wybacz, ale to może być jakaś sprawa prywatna. – Poniewczasie uświadomił sobie, że przeprosiny znacznie lepiej wypadłyby po lunariańsku. Z ulgą usłyszał odpowiedź w języku anglo:

– Zrozumiałem. Tajemnice są cenne ze względu na małą ich liczbę, nieprawdaż?

Nie szkodzi, że ton głosu mógł być nieco drwiący. Ich stosunki układały się nie najgorzej, ale podczas długiej wyprawy spięcia były nieuniknione, tak więc już kilka razy o włos uniknęli kłótni. Przecież należeli do dwóch różnych gatunków.

A może właśnie to ich ratowało, przemknęło Kenmuirowi przez głowę, nie pierwszy zresztą raz. Dwóch mężczyzn z Ziemi, przebywających ze sobą bez przerwy całymi miesiącami, musiałyby albo zawrzeć braterstwo krwi, albo rzucić się sobie do gardeł. Dwóch Lunarian pokroju Valanndraya – cóż, zmiany starożytnych genów nie spowodowały narodzin rasy świętych. Ale taki układ sprawiał, że przewidywalność zachowania drugiego nie doprowadzała ich do białej gorączki.

Kenmuir nie sądził, żeby sporadyczne spotkania z sofotektami działały na nich uspokajająco.

Inteligencja nieorganiczna – lub maszyna obdarzona inteligencją – była czymś zbyt im obcym,

Wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz.

Statek pełen był pomruków wentylacji, obiegu materii chemicznej, odgłosów

funkcjonowania całej struktury. Na pokładzie nie było słychać ani czuć przyspieszenia: podłoga

pozostawała nieruchoma pod stopami, które ważyły sześć razy mniej niż na Ziemi, jak gdyby chodził po Księżycu. Korytarz ozdobiły chromatyczne abstrakcje, które wybrał Valanndray. Kiedy przychodziła kolej Kenmuira, ozdabiał ściany scenami z rodzimej planety, współczesnymi, historycznymi albo fantastycznymi.

Gdy musiał dostać się na niższy poziom, od taśmy przenośnika wolał przytwierdzoną do ściany drabinę: wszystko dla zachowania kondycji. Kabina dowódcy była położona mniej więcej w centrum kulistego kadłuba. W środku rozciągała się panorama otaczającej ich przestrzeni, przewyższająca swą doskonałością rzeczywistość. Promieniowanie słoneczne przytłumiono, żeby nie oślepiało. Rozjaśnione obrazy gwiazd tłumiły własne oświetlenie statku. Ich nieruchome gromady zaludniały ciemność – białe, bursztynowe, rozżarzone do czerwoności, stalowo-błękitne. Między nimi wił się lodowaty pas galaktyki. Jowisz lśnił niczym lampa, słońce wyglądało jak niewielki krążek w otoczeniu języków ognia. Kenmuir usadowił się przy głównym panelu sterowania.

– Przeskanuj wiadomość – nakazał.

Słowa rozległy się zbyt donośnie w otaczającej go ciszy. Przez mgnienie oka poczuł gorycz. Kabina dowódcy! Panel kontrolny! Mówił statkowi, dokąd i jak ma lecieć; reszta należała do urządzeń. A przecież mózg statku był bardzo ograniczony. Sofotekt wyższego rzędu w ogóle nie potrzebowałby człowieka. Nie potrafił wyobrazić sobie przypadków, w których ta maszyna nie dałaby sobie rady sama – chyba że uległaby całkowitemu zniszczeniu.

Omiótł wzrokiem gwiazdy południowego nieba i zatrzymał spojrzenie na Alfa Centauri.

Poczuł dreszcz tęsknoty. Tam zamieszkiwali potomkowie tych, którzy podążyli za Ansonem Guthrie do nowego świata; wyprawa o takim rozmachu chyba już nigdy się nie powtórzy.

Przynajmniej nie rozpocznie się w tych okolicach. Możliwe, że potomkowie kosmicznych wędrowców sami odnajdą drogę do jeszcze odleglejszych słońc. Będą musieli, jeżeli chcą

przeżyć swoją skazaną na zagładę planetę. Ale to unicestwienie nadejdzie po wielu jeszcze pokoleniach, gdy tymczasem, tymczasem...

– Weź się w garść, stary durniu – wymamrotał Kenmuir. Litowanie się nad samym sobą było godne pogardy. W życiu dane mu było podróżować przez kosmos, a światy wirujące wokół Sol były wypełnione wspaniałościami, które powinny wystarczyć każdemu człowiekowi. On miał do nich dostęp dzięki Lilisaire.

Wykrzywił szyderczo usta. Wdzięczność była nie na miejscu. Lunarianie wiedzieli, po co wykorzystują w operacjach możliwie najwięcej ziemskich kosmonautów obydwu ras. On, Ziemiąnin, służył nie tyle jako przewoźnik bardziej od nich zdolny do wytrzymywania wyższych przyspieszeń, ile w charakterze doradcy, który rozwiązuje problemy i współpracuje z inżynierami, rozliczając ich z pracy. Powtarzał sobie zawzięcie, że obdarzony podobnymi umiejętnościami sofotekt spisywałby się nie lepiej od niego; co prawda był zależny od układów podtrzymywania życia, ale przecież maszyny też miały swoje wymagania.

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę w ułamku sekundy. Jego uwagę przykuła bowiem odebrana wiadomość. Siedział przez chwilę oniemiały, te kilka słów wprowadziło go w zdumienie.

Lilisaire chciała, żeby wracał. Natychmiast.

Spodziewał się informacji na temat czekającego ich zadania. Chęć odczytania jej w samotności była odruchem, pragnieniem ucieczki chociaż na pięć, dziesięć minut. Takie uczucia narastały, kiedy odbywało się lot trwający dwadzieścia cztery miesiące.

Ale Lilisaire chciała, żeby wracał już teraz.

– Spokojnie, stary, spokojnie – szepnął. Odłóż na bok miłość, żądzę i wszystkie inne emocje, które cię opanowały. Myśl. Nie wzywała go dla osobistej przyjemności. Domyślał się, o co chodziło, lecz nie miał pojęcia, co mógłby na to poradzić. Sprawy musiały przybrać poważny

obrót, skoro odwoływała go w trakcie misji. Niektórzy magnaci z Luny byli bardzo kapryśni, ale swoje Przedsiębiorstwo traktowali zupełnie serio. Sojusz ludzi interesu był ich ostatnią i jedyną szansą utrzymania pozycji w przestrzeni kosmicznej.

Z roztargnieniem, nie zastanawiając się nad tym, co robi, wywołał obraz swojej trasy. Cel znajdował się sześć milionów kilometrów stąd, więc przy obecnym tempie hamowania statek dotrze tam w ciągu jednego cyklu dziennego.

Powiększony obraz asteroidy wypłynął na ekran w postaci podłużnej bryły, ciemnoczerwonej, podziurawionej kraterami, które zalegały w cieniu pod ostrym światłem słonecznym. W porównaniu z mniejszymi księżycami Jowisza, na które Valanndray, z pomocą Kenmuira, odbywał loty w trakcie przygotowań do wyprawy, ta asteroida była karzełkiem. A jednak robot-poszukiwacz odnalazł godne wydobycia surowce, nie lód i złoża organiczne, lecz rudy żelaza i aktynowców. Brygada robocza czekała na ludzi, którzy by nią pokierowali; składała się oczywiście z robotów, nie sofotektów – bezmyślnych, nieświadomych, ale wszechstronnych i elastycznych. Wprawne oko potrafiło dojrzeć lądowisko, kompleks schronów, refleksy światła na polerowanych, metalowych powłokach.

W pobliżu wznosił się szkielet ochronnego generatora takiej wielkości, że wytwarzane przez niego pola elektrodynamiczne potrafiły odchylić promieniowanie cząsteczkowe nie tylko od statku kosmicznego, lecz nawet od całej kopalni. Mimo wszystko generator był mały, szczególnie gdy porównywał go z tymi, dzięki którym mógł wrócić żywy z Ganimeda.

Tamta wizyta była krótka. Na Gamedzie osiedliły się sofotekty, gdyż w takim otoczeniu mogły funkcjonować jedynie maszyny, i to wyłącznie takie, które myślały i dzięki temu dawały sobie radę z częstokroć tragicznymi niespodziankami, jakie gotowała im planeta. Wedle prawa wielkie, wewnętrzne satelity Jowisza należały do Kosmicznej Służby Federacji Światowej.

W praktyce były częścią cyberkosmosu.

Kenmuir otrząsnął się ze wspomnień i wstał. Serce biło mu przyspieszonym rytmem. Będzie z Lilisaire, i to wkrótce, wkrótce! Nawet jeśli oładnęły nim uczucia godne chłopca, słowa dotrzyma jak mężczyzna. Wrócił do pomieszczenia rekreacyjnego. Zastał tam jeszcze Valanndraya, który zabawiał się zmianami mechaniki orbitalnej. Valanndray zwrócił się w stronę pilota subtelną, bladą jak kość słoniowa twarzą. Przerastał Kenmuira mniej więcej o głowę. W tej podróży zrezygnował z krzykliwych strojów i skrył gibkość ciała pod kombinezonem. Ale nawet ten strój był sporządzony z niebieskiego perłuksu przetykanego fosforyzującymi światełkami. Za jego plecami unosiły się nagrane na taśmie tumany śniegu, w tle słychać było podmuchy wiatru.

– I co, kapitanie?

Kenmuir zatrzymał się. Jak na Ziemianina był wysoki, zresztą wzrost Lunarian już dawno przestał go przytłaczać.

– Niespodzianka. Nie sądzę zresztą, żeby przypadła ci do gustu.

Powtórzył wiadomość, która w jego uszach brzmiała jak muzyka. Valanndray stał bez ruchu.

– Równa się to rozkazowi zawrócenia – stwierdził po chwili beznamiętnym tonem. – Co proponujesz?

– Wyprawić cię dalej z zapasami i sprzętem, a samemu udać się na Lunę. Mam jakieś inne wyjście?

– Czyli mnie zostawiasz?

– Zaraz, zaraz. Masz rację, zwrócimy się do centrali i wszystko wytłumaczymy, zresztą może już wiedzą.

– Nie. – Valanndray zmrużył oczy. – Federaci przechwyciliby wiadomość i wszystko by się wydało.

Niech to licha! Kenmuir chciał po prostu okazać się taktowny. Wielomiesięczna wspólna podróż utwierdziła go w przekonaniu, iż towarzysz – mimo całej wyniosłości – był w głębi ducha

dość wrażliwy. Valanndray mógł poczuć się urażony, że kapitan gotów jest go tak szybko zostawić.

Tak czy owak, Kenmuir miał już dość chłodnych, kąśliwych uwag na temat Federacji Światowej, a ten komentarz był po prostu śmiechu warty. Faktem jest, że Lunarianie nie bardzo ucieszyli się z powrotu pod władzę ogólnoswiatowego rządu ludzkości.

Wielu, może nawet wszyscy do dziś dnia mieli o to żal. Ale niechże się opamiętaj! – tamta zmiana zaszła, kiedy ich jeszcze nie było na świecie. Ich pragnienie „niepodległości” było oczywistą bzdurą. Tak jak skażona woda powoduje choroby, tak państwa narodowe, jeszcze za swego istnienia, nieodmiennie wywoływały wojny.

– Wiadomość przyszła niezaszyfrowana, bo inaczej byśmy jej nie odczytali. Na pokładzie nie ma chyba urządzeń kryptograficznych? Poza tym znalazła się już w bazie danych. I co z tego?

Nawet jeżeli ktoś ją odnajdzie, to myślisz, że wezwie Władze Pokojowe? Nie sądzę, żeby pani Lilisaire knuła jakiś spisek. – Zorientowawszy się, że jego słowa brzmią sarkastycznie, natychmiast się poprawił: – Oczywiście zawiadomimy Przedsiębiorstwo, choć myślę, że sama zdążyła to już zrobić. Na pewno przyślą ci tu statek z innym towarzyszem. Za tydzień, może dwa.

Na szczęście Valanndray nie okazywał gniewu. Przyglądał się podróżnikowi jak komuś obcemu. Miał przed sobą człowieka ponuro ubranego, chudego, by nie rzec wynędzniałego, o dużych, kościstych rękach, wąskiej twarzy i sterczącym nosie, krótko obciętych, obsypanych siwizną, jasnoblond włosach, z bruzdami przy kącikach ust i kurzymi łapkami pod szarymi oczami. Pod tym spojrzeniem Kenmuir czuł się niepewnie. Był aż nadto stanowczy w postępowaniu z przyrodą, maszynami, kosmosem, ale w stosunkach z ludźmi cierpiał na nagłe napady nieśmiałości.

– Władcy Przedsiębiorstwa nie będą zbyt zadowoleni – stwierdził Valanndray.

Kenmuir zdobył się na uśmiech.

– To oczywiste. Bałagan w planach, dodatkowe koszty. – Jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie, myślał. Stowarzyszone firmy i koloniści nie konkurowali ze Służbą Kosmiczną i sofotektami. Nie byli w stanie. Jako tako funkcjonowali w zasadzie dzięki dotacjom dawnych rodzin arystokratycznych i pomniejszych przedsiębiorców z Luny, którzy handlowali z nimi wiedzeni swoją księżycową dumą. Mimo to firmy podupadały, ich liczba malała jak ludność samej Luny... Zdobyl się na rzeczowość:

– Ale Lilisaire ma pośród nich duże wpływy, może nawet większe niż sobie wyobrażamy. –
Czuł bijące mocno tętno.

Valanndray rozłożył palce. Ziemianin na jego miejscu wzruszyłby ramionami.

– To prawda, ona potrafi narzucić im swą wolę. Musisz lecieć, kapitanie.

– Przykro mi.

– Nieprawda. Mógłbyś sprzeciwić się temu rozkazowi. Ale polecisz z chęcią i z przyspieszeniem większym niż ziemskie.

Skąd to zawzięte niezadowolenie? Doszli do jakiego takiego porozumienia, obejmującego pogodzenie się z dziwactwami drugiej strony. Ktoś nowy przystosowałby się do tego dopiero po pewnym czasie. Ale Ziemianin czuł, że chodzi o coś jeszcze.

Może o zazdrość, że Lilisaire pragnie jego, Kenmuira, mimo że jest obcym pracownikiem, a Valanndray jej krewnym, członkiem tego samego klanu? Pilot doskonale znał tę męską próżność Lunarian; nauczył się zręcznie sobie z nią radzić.

A może to zazdrość innego rodzaju? Kenmuir otrząsnął się z tych myśli. Aluzje erotyczne przytrafiły się Valanndrayowi zaledwie jeden raz, a Kenmuir natychmiast zmienił temat, który nie został już nigdy potem podjęty. Całkiem możliwe, że źle się zrozumieli. Któż z jego gatunku przeniknął w głąb duszy jakiegokolwiek Lunarianina? Zresztą dla uspokojenia uciekali się do

quiviry. Kenmuir nie miał pojęcia, jakie pseudoprzeżycia tamten wywoływał u siebie w skrzynce snów, sam też nie wspominał o swoich.

– Jeżeli nie podoba ci się taki pomysł, możesz wracać razem ze mną – oświadczył. – Masz do tego prawo. – Na Księżycu wzajemne zobowiązania nad- i podgatunków miały swoją moc, lecz była to moc rzeki o wiecznie zmiennej sile i kształcie.

Valanndray potrząsnął głową. Długie, platynowe kędziory spadły mu z uszu, które nie miały, tak jak u Kenmuira, kształtu muszli.

– Nie. Od wielu tygodni rozmyślam nad tamtą asteroidą, pogrążam się w hipertekście, symulacjach, poznaję całą znaną nam wiedzę na jej temat. Nikt nie zastąpi mnie tak na poczekaniu. Gdybym zarzucił misję, Federacja wzbogaciłaby się i stała o wiele potężniejsza od mojego ludu.

Kenmuir przypomniał sobie ich poprzednie rozmowy i kontakty z innymi – na Lunie, Marsie, mikroświatach Pasma, księżycach Jowisza i Saturna. W porównaniu z podróżnikami i kolonistami z Ziemi Lunarianie rzadko zajmowali się robieniem pieniędzy. Ich bogactwo bladeło wobec potęgi, jaką w imieniu Ziemi dysponowały maszyny. Ale gdyby zjednoczyli się w gniewie i zmobilizowali wszystkie swoje zasoby, mogłoby dojść do katastrofy niespotykanej dotąd w dziejach.

Chwileczkę, chwileczkę. Ponośła go wyobraźnia. Zapomnij o ostatnich słowach

Valanndraya. Nie szykował się żaden bunt. Wojna należała do odległej przeszłości, tak jak na przykład choroba.

– Bardzo jesteś lojalny – zauważył Kenmuir.

– Mam szczególną wizję przyszłości. W odpowiednim momencie potrzebne mi będzie doświadczenie. Które zdobywam również tutaj. – Wyznanie w stu procentach pasowało do Lunarianina. – Żałuję, że tracę twoją pomoc, kapitanie, i to w ostatniej fazie podróży, ale leć, leć.

– Powody, dla jakich wzywa mnie pani, muszą być dobre... dobre... dla Luny...

Valanndray wybuchnął śmiechem. Kenmuir zaczerwienił się. Dobro Luny? Idea obca Lunarianom. Potrafili co najwyżej mówić o dobru klanu. Ale to wiązało się przecież z korzyściami dla całej rasy.

– Zastanowię się nad tym – obiecał Valanndray. – Partię możemy dokończyć później. Do wieczornej wachty, kapitanie. – Położył prawą dłoń na lewej części piersi, co było gestem uprzejmości, i wyszedł za drzwi.

Kenmuir stał przez chwilę sam. Lilisaire, Lilisaire!

Ale po co jej ktoś tak mało istotny jak on?

Ze względu na Biotop? Trzymał się na uboczu i głowę miał zajęta innymi sprawami, ale mimo wszystko słyszał przelotne wzmianki o tym przedsięwzięciu. Wiele wskazywało na to, iż rząd Federacji zamierza je dokończyć. A to może wywołać wściekłość na Lunie, dzięki temu cudowi techniki będzie możliwa masowa imigracja z Ziemi. Ale co on miał z tym wspólnego?

Co powinien zrobić? Nie był żadnym buntownikiem ani ideologiem, tylko zwykłym, miłującym pokój człowiekiem, który pracował dla Przedsiębiorstwa Luna, bo znalazło się w nim kilka miejsc dla Terran, którzy chcieli się zapuścić między gwiazdy.

Wyśle wiązkę do Cerery z prośbą o najświeższe wieści z Układu Sol, ze szczególnym uwzględnieniem Biotopu.

Nie. Przebiegł go zimny dreszcz. Wezwanie, wysłane po wszystkim, co tak niedawno zaszło, mogło zwrócić uwagę. Chociaż niekoniecznie. Ale jeśli cyberkosmos, nieustannie przetrząsający swoje bazy danych w poszukiwaniu znaczących korelacji, natknął się na tę...

Co wtedy? Nie zamierzał, naprawdę nie zamierzał uczynić niczego wbrew prawu.

Jednak chyba lepiej nie żądać najnowszego serwisu informacyjnego. Odczeka do lądowania na Lunie, może do chwili, gdy znajdą się sam na sam z Lilisaire.

Zdał sobie sprawę, że zmierza ku kwaterze dowodzenia.

Czuł się tak, jakby wracał do domu. Ta przestrzeń należała do niego, była nim. Większość czasu poświęconego na rekreację spędzał gdzie indziej: piłka ręczna na hali, rzeźba posągowa w pracowni, inne zajęcia. Ale tutaj był sobą. Z bazy danych statku brał, co mu się podobało: książki, przedstawienia teatralne, muzykę i sztuki wizualne. Rozmyślał i raz jeszcze przeżywał wspomnienia, nikt mu nie przerywał, nikt nie widział i nie słyszał, gdy wypowiadał na głos jakieś imię albo walił w coś pięścią. Na przegrodach wisiało kilka płaskich obrazów. Widniały na nich wyżynne wrzosowiska jego dzieciństwa, Wielki Kanion Kolorado sfotografowany przez niego samego, dawno zmarli rodzice, Dagny Beynac nieżyjąca od wieków...

Z szafki wyjął butelkę brandy i nalał sobie mały kieliszek. Nie miał skłonności do samotnego picia, wybuchów radości, środków stymulujących i innych substancji odurzających. Ściśle dozował czas spędzany w quivirze i czas trwania sennych marzeń, które go tam nawiedzały. Ciężkie doświadczenia nauczyły go, że tak być powinno. Ale teraz chciał się zrelaksować.

Usiadł na krześle, zajął wygodną pozycję, położył nogi na stół. W warunkach pełnego przyciągania ziemskiego tak było wygodniej. Tak, w drodze na Lunę używałby co najmniej takiego przyspieszenia. Ze słów Lilisaire wynikało, że może pozwolić sobie na nieoszczędzanie energii. Więc do utrzymania napięcia mięśni nie będzie potrzebna centryfuga. Rzecz jasna nadal zamierzał uprawiać sztuki walki i inne tego rodzaju ćwiczenia. W pozostałym czasie mógłby czytać, oglądać swoje ulubione, klasyczne przedstawienia i... już teraz, teraz zamówić *Koncert Brandenburski* Bacha. Gustował bowiem w antykach.

W miarę jak przepływały kolejne takty, zaś alkohol mieszał się z krwią, jego wzrok coraz częściej zatrzymywał się na zdjęciu Dagny Beynac. Jej postać zawsze nabierała w jego oczach bohaterskich proporcji. Sam tego nie rozumiał. Wiedział naturalnie, czego dokonała, przeczytał trzy biografie i na całej Lunie natrafiał na pamiątki po niej; ale inni bohaterowie także bywali

wybitni. Czy chodziło o jej związek z Ansonem Guthrimem? A może o pewne podobieństwo do jego własnej matki?

Przyglądał się jej po raz któryś tam z rzędu. Zdjęcie wykonano, gdy Dagny wchodziła w wiek średni. Była wysoka jak na Ziemiankę, miała sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, stała na tle nadmiernie wybujałych kwiatów księżycowej oranżerii. Sari i szal spowijały sylwetkę silną i wyprostowaną. Z zapisów wiedział, że stawiała długie kroki. Rysy twarzy miała nieco zbyt silne jak na konwencjonalną piękność: szerokie, wysoko osadzone policzki, nieznacznie zakrzywiony nos, pełne usta i zaokrąglony podbródek. Szeroko rozstawione oczy barwy morskiego błękitu spoglądały spod gęstych i rudych włosów z odcieniem złota i brązu, opadających lokami na czoło i falami na kark. Mimo że połowę życia spędziła wystawiona na działanie słońca, wiatru i promieniowania, zachowała jasną karnację. Słyszał kiedyś jej głos. Był niski, nieco charczący – sama nazywała go „whisky tenorem”.

Gdyby wzorem Guthriego jej duch pozostał na świecie, co tacy dwoje mogliby uczynić dla kosmosu? Ale ona zażyczyła sobie, by o niej zapomniano. I wiedziała, co robi. Na pewno wiedziała, przecież była mądra.

Aż trudno sobie wyobrazić, że też była kiedyś młoda, dezorientowana, bezsilna.

Wyobraźnia Kenmaira wędrowała w przeszłość, jak gdyby kiedykolwiek widział Dagny. Uciekał od teraźniejszości i przyszłości. Schwytany w okowy faktów i logiki czuł, że czekają go rzeczy o wiele gorsze niż innych.

MATKA KSIEŻYCA

Miejscowe środki masowego przekazu zawsze zwracały uwagę na wizyty Ansona i Juliany Guthrie w Aberdeen w stanie Waszyngton. Miliarderzy, którzy doszli do fortuny własnym wysiłkiem, nie byli widokiem codziennym, zwłaszcza w niewielkim nadmorskim miasteczku, i to szczególnie po tym, jak ustały wyręby lasów, będące głównym źródłem utrzymania pobliskiego Hoquiam. Tych dwoje bynajmniej nie obnosiło się ze swoją obecnością. Wręcz przeciwnie: wynajmowali zwyczajne kwatery i przez cały czas pobytu – z reguły krótki, bo wzywały ich sprawy służbowe – możliwie najstaranniej unikali pokazywania się publicznie. Dygnitarze i sławni ludzie, którzy zabiegali o ich towarzystwo, w mniej lub bardziej uprzejmy sposób dostawali kosza. Państwo Guthrie spędzali czas ze Stambaughami, a później z Ebbesenami. To także wywoływało zdumienie. Co mogło łączyć ich z ludźmi, którzy ciężko pracowali na swoje skromne utrzymanie?

– Dobraliśmy się, dobrze bawimy się w swoim towarzystwie, i to wszystko – mówił kiedyś dziennikarzowi Guthrie. – Wie pan, nam też gołąbki same nie wpadały do gąbki, wywodzimy się z rodzin dość podobnych jak ci ludzie. Znamy się od wielu lat, a starzy znajomi są najlepsi, tak jak stare buty, nie sądzi pan?

Ci znajomi opowiadali mniej więcej to samo wszystkim, których to interesowało. Miejscowi pogodzili się z tą sytuacją. W miarę jak zmieniał się polityczny klimat, zawiść słabła.

Stosunki nabrały jeszcze bardziej znaczącej wymowy, kiedy państwo Guthrie włożyli cały majątek w laser Bowena i utworzyli Przedsiębiorstwo Ognistej Kuli. Porażka dorównywałaby spektakularnością poprzednim powodzeniom, choć byłaby chyba mniej istotna. Ale po siedmiu latach ich firma zdominowała ruch kosmiczny w okolicach Ziemi i zbierała żniwo bogactw Układu Słonecznego. Tymczasem oni od czasu do czasu wpadali do Aberdeen i zatrzymywali się

w tych samych skromnych domach.

W końcu nawet zaprosili młodą Dagny Ebbesen na krótkie wakacje nad morzem. Po wielu stuleciach Ian Kenmuir domyślał się lepiej niż ich ówczesni sąsiedzi, jakie były prawdziwe tego powody i co się tam faktycznie działo.

Z początku dziewczynka czerpała więcej siły i otuchy z towarzystwa Juliany. Pod koniec pobytu jednak kobieta wzięła męża na bok i szepnęła:

– Chciałaby z tobą porozmawiać w cztery oczy. Zabierz ją na spacer. Długi spacer.

– Że co? – Anson uniósł krzaczaste brwi. – Skąd ten pomysł?

– To nie pomysł, tylko przeczucie – odparła Juliana. – Ona mnie lubi; ciebie uwielbia i czci.

Przypomniał sobie ich własną córkę – mieszkała w Quito, założyła szczęśliwą rodzinę, lecz i od niej usłyszał pewne dramatyczne zwierzenia – i po chwili skinął głową.

– W porządku. Nie wiem, co mam o tym myśleć, ale niech tak będzie.

Kiedy zagrzniał do Dagny: „Wyglądasz blado jak Mount Rainier. Chodź, nawdychasz się słonego powietrza i wywietrzysz parę wirusów”, dziewczynka się rozpromieniła.

Miejscowość była zacofana, pośród drzew widniały chaty o łupkowych ścianach. Za rozsypującą się drogą stał wiecznie zielony las, pogrążony w ponurym mroku i szumiący na wietrze pod srebrnoszarym niebem. Stopnie wiodły po stromym stoku na plażę, która ciągnęła się, jak okiem sięgnąć. Między wzgórzem a czystym piachem leżały sterty naniesionego przez ocean drewna, zbielełe kłody, mniejsze kawałki drzew i różne szczątki. Przy brzegu woda pokrywała się białą pianą. Dalej fale przybierały barwę żelaza. W miejscach, gdzie zderzały się z rafami, strzelały w górę fontanny. Wiatr niósł kilka mew, które przygnębiająco skrzeczały, przywiewał zapachy oceanu i stada grzywaczy. U schyłku roku i w takich ciężkich czasach towarzystwo Guthriego miało całą miejscowość dla siebie. Skręcił z dziewczyną na północ. Przez pewien czas brnęli naprzód w milczeniu. Dziwna była z nich para, i to nie tylko ze względu na

różnicę wieku. On był zwalisty i niezgrabny, pod rzednącymi, rudymi włosami miał poorane brzdami, tępe oblicze. Jej odkryte włosy opadały na wszystkie strony olśniewającymi, elfowymi kędziorami. Póki co była jeszcze szczupła i chodziła lekko, jej stan zdradzały tylko obrzmiewające piersi. Gdy natrafiła na gromadę brunatnic, musiała rozdeptać kilka pęcherzyków. Wypatrzywszy piaskowego małża, podnosiła go z piskiem radości. Miała przecież zaledwie szesnaście lat.

– Masz. – Wepchnęła stworzenie do ręki Guthriego. – To dla ciebie, wujanso.

– A sama nie chciałabyś takiej pamiątki? – zapytał, biorąc prezent.

Zarumieniła się. Spuściła wzrok. Z trudem dosłyszał słowa:

– Proszę. Żebyście... ty i ciocia... żeby coś wam o mnie przypominało.

– No, to dzięki, malutka. – Uścisnął jej rękę, puścił i wrzucił krążek do kieszeni kurtki. –

Muchas gracias. Raczej o tobie nie zapomnimy.

Pieszczotliwe zdrobnienia porwał wiatr, jakby wiatr był czasem, czasem, w którym bawiła się z Guthriem jako brzdąc i nie potrafiła dobrze powiedzieć „wujek Anson”. Szli jeszcze chwilę po ubitym przez morze, gładkim i ciemnym piachu. Woda syczała, rozbijając się o brzeg, i dopływała niemal do ich stóp.

– Nie dziękuj, proszę! – zawołała raptownie.

– Czemu nie? – Rzucił jej spojrzenie bladoniebieskich oczu.

– Tyle dla mnie zrobiłeś – łzy zalśniły w jej oczach – a ja niczym ci się nie odwzajemniłam.

Nie mogę nawet dać ci jednej muszelki?

– Jasne, że możesz, i starannie się nią zaopiekujemy – odparł. – Jeśli uważasz, że jesteś coś winna mnie i Julianie, odpłać ten dług w przyszłości, pomóż komuś, kto będzie kiedyś potrzebował wsparcia. – Urwał. – Ale nie jesteś nam nic dłużna. Jako honorowym gościom było nam bardzo miło u twoich rodziców. Praktycznie rzecz biorąc, jesteś dla nas kimś z rodziny.

– Dlaczego? – zapytała na wpół wyzywająco, na wpół prosząco. – Z jakiego powodu?

– Sama wiesz – zaczął ostrożnie – że z rodzicami znam się od dawna. Z matką, odkąd była podlotkiem i żenił się z nią tatuś. Bardzo się ucieszyłem z wyboru, którego dokonała. Juliana się ze mną zgadzała. – Zdobył się na uśmiech. – Spodziewałem się, że nazwie go równym gościem, ale Juliana przypomniała mi, że Australijczycy już tak nie mówią, chyba że chcą nabrać turystę.

– Ale przecież my jesteśmy nikim.

– Bzdura. Ludzie waszego pokroju nie biorą jałmużny, a jeżeli nawet nieco wam pomogłem, to był to dobry interes.

Już w tak młodym wieku wiedziała, że jest inaczej. Ojciec Helen Stambaugh był kapitanem kutra, dopóki nie upadły przetwórnice ryb. Wtedy Guthrie jako cichy wspólnik wyłożył kapitał na zakup czarterowego statku turystycznego, który kursował do cieśniny Juana de Fuca i pośród wysp. Przez pewien czas ojcu Helen wiodło się dość dobrze. Sigurd Ebbesen, imigrant z Norwegii, został u niego matem, potem jego zięciem, by wreszcie, z dodatkową pomocą finansową Guthriego, stać się kapitanem drugiej łodzi. Ale firma zbankrutowała, dzieląc losy całej północnoamerykańskiej gospodarki. Starcowi udało się przejść na ubogą emeryturę. Sigurd przetrwał tylko dzięki temu, iż Guthrie przekonał pewnych swoich znajomych i pracowników, że rejsy są bardzo miłym sposobem spędzania wolnego czasu. Jednak Dagny, pierwsze z dwojga dzieci, musiała na wakacjach pracować jako kuk. Awansowała na majtka, następnie mata i inżyniera, ciągle nie dostając za to pieniędzy, a w każdą bezchmurną noc jej oczy zwracały się ku gwiazdom.

– Nie, nie – zaoponowała – to żaden interes. Ty jesteś po prostu do... dobry...

Przestała się jąkać. Nabrała tchu, zacisnęła powieki i ruszyła szybciej.

Guthrie również przyspieszył kroku. Jakieś sto metrów pozwolił jej iść w spokoju, przerywanym tylko przez wiatr, fale i pomruki morza, wreszcie położył jej rękę na ramieniu

i powiedział:

– Przyjaciele są przyjaciółmi. Nie mierzę niczyjej wartości wielkością konta bankowego.

Zbyt często sam klepałem biedę. – Stała jak wryta.

– Przepraszam! Nie chciałam...

– Wiem. – Twarz pobruździł mu uśmiech. – Na tyle cię znam. – Westchnął. – Chociaż
chciałbym poznać lepiej. Gdybym mógł widywać się z wami częściej... – Jego głos zamarł.

Opanowała się, chociaż wciąż zaciskała pięści na tyle, by popatrzeć mu w oczy i stwierdzić
niemal obojętnie:

– Może wtedy mógłbyś uchronić mnie przed tarapatami, w które się wpakowałam? Tak sobie
to wyobrażasz, wujanso? Prawdopodobnie masz rację.

– Nie wpadłaś w to sama, *muchacha*. – Uśmiechnął się połową twarzy. – Miałaś gorliwego
pomocnika.

Jej policzki to czerwieniły się, to bładły.

– Nie potępiaj go, proszę. Nigdy by do tego nie doszło, gdybym nie...

– Rozumiem, rozumiem. – Guthrie pokiwał głową. – Gdy wiadomość do mnie dotarła,
przyjrzałem się uważniej całej sytuacji. Miłość, żądza i spora doza buntu, nieprawdaż? Bili
Thurshaw to pod każdym względem porządny chłopak. I, zdaje się, błyskotliwy. Wynajmę chyba
kogoś, żeby go obserwował, a jeżeli okaże się obiecującym młodym człowiekiem... Ale to już
bardziej odległa przyszłość. Na razie jesteście za młodzi, żeby się pobierać – Niestety
przylgnęłyby do was jak muchy do lepu, aż w końcu byście się rozeszli; najbardziej ucierpiałoby
dziecko.

– To co mam robić? – spytała, coraz spokojniejsza.

– Jesteśmy tu, żeby podjąć decyzję – przypomniał jej.

– Tata i mama...

– Dryfują biedacy ze złamanym sterem. Tak, nie opuszczą cię, niezależnie od twojego postanowienia, od kpinek sąsiadów i działań wścibskiego rządu, ale jakie jest najmniej niekorzystne wyjście? Muszą się też troszczyć o twojego brata. W szkole nie będzie łatwo, przy tym dusznym klimacie pobożności, który zapanował w naszym kraju.

– Pobożności? Odnowicielom nie zależy na Bogu – odparła zdziwiona, nie bardzo wiedząc dlaczego.

– Powinienem był użyć słowa „pietyzm” – burknął. – Purytanizm. Masochiści nakazują reszcie, żeby się do nich upodobniła. Jasna sprawa, dziś szermuje się „środowiskiem” i „sprawiedliwością społeczną”, ale to te same bzdury, o których Churchill mówił jako o równości w nędzy. A jeszcze przedtem Bismarck mawiał, że Bóg troszczy się o głupców, pijaków i Stany Zjednoczone Ameryki; ale kiedy Unia Północnej Ameryki wybrała Odnowę, boska cierpliwość zapewne się wyczerpała.

Wspólna potrzeba nakazywała im bez słów ustalić, że będą szli dalej. Piach mlaskał cicho pod nogami; początek przyływu zacierał ślady.

– Zresztą nieważne – podjął Guthrie. – Nie umiem trzymać języka za zębami. Wróćmy do sedna sprawy. Jesteś w ciąży. W obecnej sytuacji to piorunująca nowina, ale co gorsza, nie masz ochoty zachowywać się jak każdy przepełniony troską o środowisko obywatel i nie chcesz usunąć dziecka.

– Życie – wyszeptała. – Nie prosiło się na świat. I ufa mi. Czy to szaleństwo?

– Nie. „Usunięcie” oznacza zatrucie tkwiącego w tobie życia. Jeżeli będziesz zwlekać, dziecku zmiażdżą czaszkę i odetną przeszkadzające kończyny. Faktem jest, że czasami taki zabieg jest konieczny, i w ogóle jest za dużo ludzi. Ale kiedy na połowie planety całe miliony mrą z głodu, chorób i w efekcie działań rządowych, uważam, że możemy pozwolić sobie na kilka nowych istnień.

– Ale ja... – Uniosła ręce i popatrzyła na swoje dłonie. – Co mam zrobić? – Zaciśnęła pięści.

– Wszystko, co każesz, wujanso.

– Dumna z siebie kobieta – zauważył. – Coś mi mówi, że cała ta afera, razem z twoją nadzieją, że uda się ocalić dziecko, sprowadza się do tego, że pragniesz powiewu choć odrobiony świeżego powietrza w otaczającej nas atmosferze służalczości. Wiesz, przez kilka ostatnich dni chodzimy, ja i Juliana, wokół ciebie na paluszkach, nie chcieliśmy wywierać na ciebie żadnej presji. Chcemy ci tylko pomóc. Ale przede wszystkim musieliśmy ci pomóc wymacać grunt, zdecydować, na czym stoisz, czyż nie?

– Byliście zawsze gotowi ze mną porozmawiać... chętniej niż ktokolwiek inny.

– Może dlatego, że jednak za często się nie widywaliśmy.

– Nie, byłeś najważniejszy, wujanso. – Po czym dorzuciła pospiesznie: – I ciocia Juliana. Na pewno. Co mam robić?

– Urodzić dziecko. To praktycznie postanowione. Juliana jest święcie przekonana, że jeśli je usuniesz, poczucie winy będzie cię prześladować aż do śmierci. Nie zrujnuje ci to co prawda życia, ale nigdy nie osiągniesz pełnego szczęścia. Co więcej, będziesz zdawać sobie sprawę, że zrejterowałaś, a to nie leży w twojej naturze. Julianie możesz zaufać. Gdybym w kontaktach z ludźmi nie korzystał z jej intuicji, już dawno poszedłbym z torbami.

– Ty też mnie rozumiesz. Sprawiliś, że przejrzałam.

– Skąd. Podsunąłem ci tylko myśl, że wobec sposobu, w jaki rozmnażają się krety i kolektywiści, DNA takiego jak twoje i Billa nie można po prostu spuścić z wodą w klozecie. – Jego umyślnie szorstki ton złagodniał. – Na takiej podstawie nie podejmuje się żadnych decyzji. Liczyłaś się tylko ty, Dagny, a Juliana pomogła ci ogarnąć całość sytuacji. Teraz kolej na mnie. Załóżmy, że wszystko jest postanowione, trzeba więc zastanowić się, jak to zrealizować.

Potknęła się. Odzyskała równowagę, przełknęła ślinę, popatrzyła przed siebie i cicho spytała:

– Twoim zdaniem nie powinnam zatrzymać tego dziecka?

Nie powinnaś. Nie potrafisz jeszcze podjąć żadnych zobowiązań. I zdaje się, że nigdy się tego nie nauczysz, chyba że gdzieś pozwolą ci naprawdę wykorzystać swoje talenty. Porzucenie małego tuż po urodzeniu nie będzie przyjemne, ale jakoś się z tym pogodzisz. Rzecz jasna wyszukamy najlepszych rodziców; starczy pieniędzy na przeprowadzenie odpowiednich poszukiwań. Nie tutaj, za tych okropnych rządów, ale za granicą, może w Europie. Nie martw się, umiem obejść wszelkie istniejące przepisy. Będziesz mogła spać spokojnie, że zrobiłaś to, co należy, i możesz o wszystkim zapomnieć.

– Nigdy... do końca... ale dziękuję. – Jeszcze raz, na krótką chwilę, chwyciła go za rękę.

– I należy zastanowić się nad tobą – podjął metodycznie. – Nadszedł czas na to, co powinienem już dawno zrobić, czyli na wyekspediowanie cię stąd.

Zesztywniała. Odparła niepewnym głosem:

– Nie. Już ci mówiłam. Jestem potrzebna tacie.

– A duma nie pozwala mu na to, żebym zatrudnił osobę do pracy, którą ty wykonywałaś za darmo. Wiem. I właśnie dlatego nigdy nie forsowałem pomysłu wysłania cię do szkoły, gdzie uczy się faktów i samodzielnego myślenia, a nie oficjalnej linii Partii Odnowy. Ale trafiła kosa na kamień, skarbie. Jeżeli tu zostaniesz i urodzisz dziecko, mało prawdopodobne, żeby twoja rodzina mogła pozostać w tej okolicy. Informacja o tym zdarzeniu znajdzie się w odpowiedniej kartotece, z którą za naciśnięciem klawisza będzie mógł zapoznać się każdy gorliwiec. Za to jeżeli natychmiast znikniesz ludziom z oczu, lokalna afery umrze śmiercią naturalną, wyleci ludziom z pamięci. Będziesz tylko czarną owcą, która opuściła stado i o której wszelki słuch zagaął. Co do firmy, twój brat skończy niebawem czternaście lat i będzie chyba w stanie przejąć twoje obowiązki.

– Chyba... chyba tak...

Przez następne pół kilometra milczeli, idąc między morzem a wyrzuconymi przez nie szczątkami.

– Ale dokąd mam się udać? – Wyrzuciła z siebie.

– Czy rozwiązanie nie nasuwa się samo? – Zachichotał. Odwróciła się i wpiła w niego wzrok. Nadzieja przypląwała i odpływała niczym ocean.

– No, wiesz – wzruszył ramionami – wołałem o niczym nie wspominać, dopóki nie zajmiesz jasnego stanowiska. Ale zdajesz sobie sprawę, że Ognista Kula w coraz większym zakresie organizuje kształcenie dzieci swoich ludzi, otwieramy akademię dla profesjonalistów. Ze swojej strony wiem, że zawsze byłeś pod urokiem kosmosu. Może na dobry początek pojedziesz z nami do Quito, a tam zobaczymy, co dalej?

– Ekwador. – Przystanęła. W jej wyobraźni przypominał Camelot, Cibolę, Xanadu, bajeczną krainę, w której Ognista Kula znalazła sobie siedzibę, ponieważ tamtejszy rząd jeszcze nie utrudniał życia ludziom przedsiębiorczym. Brama do wszechświata.

Rzuciła mu się w ramiona i rozpląkała. Głaskał ją po rudych włosach i rozedrganych plecach, wydając niedźwiedzie pomruki.

W końcu usiedli obok siebie po zawietrznej jakiejś kłody. Wiatr świstał, gnając przed sobą wystrzępione chmury, lecz morze kołysało się i szumiało uspokajająco. Zaczęli nieco drzeć z zimna. Mówiła znużonym, spokojnym głosem:

– Czemu jesteś dla nas taki dobry, wujanso? Wiem, że lubisz mamę i tatę, i ich rodziców, ale opowiadałeś nam o przyjaciołach na całym świecie. Czym sobie zasłużyliśmy na tyle dobroci?

– Spodziewałem się, że kiedyś będę ci musiał powiedzieć – zaczął. – Ale to musi pozostać tajemnicą. Obiecuj, że nigdy nikomu o tym nie powiesz bez mojego pozwolenia, nawet rodzinie, nawet Billowi, kiedy będziesz się z nim żegnała – co nie będzie zbyt łatwe. Absolutnie nikomu.

– Obiecuję, przyrzekam na doktora Dolittle – oświadczyła uroczyście jak dziecko.

– Wierzę ci – skinął głową. – Na ludziach, którzy sami wytyczają sobie drogę, płacąc za każdy metr, można polegać. No, dobrze. Wiem, iż matka wspominała ci, że nie urodziła się w rodzinie Stambaugh, że była adoptowana. Nie wie jednego: że jestem jej ojcem.

Oczy Dagny rozszerzyły się, usta otwarły; dziewczyna nie przerywała ciszy.

– Dlatego mogę sobie wyobrazić, co czujesz w takiej sytuacji – ciągnął Guthrie. –

Oczywiście okoliczności nie wyglądały wtedy tak samo. To było dawno temu, kiedy razem z Carlą chodziliśmy do liceum w Port Angeles. Carla Rezek... Zresztą to nieistotne. Romans był piękny, namiętny i zupełnie pozbawiony perspektyw.

– I wspomnienia są nadal bolesne, prawda? – mruknęła Dagny.

– Może nie do końca. – Na wargach zaigrał mu uśmiech. – Czasami powracają. Carla wyszła za mąż i wyprowadziła się; straciłem z nią kontakt, ona sama nie próbowała go ze mną nawiązać, w końcu jest tak dobrze wychowana. Jej rodzina była mniej tolerancyjna niż twoja; natychmiast nas od siebie odseparowali, ale ze względów religijnych nie popierali aborcji. Po urodzeniu dziecko zostało oddane do adopcji. Nie dowiedzieliśmy się, kto je przysposobił. W tamtych czasach tego typu przypadki nie były niczym szczególnym, nie wzbudzały sensacji. Zresztą ja wkrótce poszedłem do college’u, wyjechałem za granicę.

– Aż wreszcie...

– Tak, wróciłem, żeby zajrzeć w stare kąty, nadziany i... ciekawski.

– Ciocia? – Dagny się zaczerwieniła.

– A, Juliana o wszystkim wiedziała, i nawet zachęcała mnie do poszukiwań. To w końcu na mnie ciąży odpowiedzialność, tak mówiła. Pewien detektyw z łatwością wpadł na właściwy trop i odnalazł rodzinę Stambaugh w Aberdeen. Bez trudu odświeżyliśmy starą znajomość.

Rozumiesz chyba, że nie chciałem się wtrącać, więc trzymałem język za zębami, co i tobie nakazuję. Nic bym ci zresztą nie powiedział, gdyby dało się tego uniknąć. Nasza tajemnica

będzie ci ciężyc między innymi dlatego, że jeżeli zaczniesz pracować w Ognistej Kuli, nie będę mógł cię zbyt faworyzować. Kosmos jest bezlitosny. Ale dzisiaj powinnaś się dowiedzieć. Przynajmniej dla dobra własnego serca.

– Wujanso... – Dagny zamrugła powiekami. Guthrie wracał do dawno minionych lat.

– Helen wyrastała na czarującą dziewczynę. Po niedługim czasie wyszła za mąż. Wygląda na to, że pod tym względem jesteśmy lekkomyślnym klanem. Ty... ja mam po pięćdziesiątce, a ty zrobisz ze mnie pradziadka! – Wybuchnął krótką salwą śmiechu.

– A... ty ze mnie...

– Nic, skarbie. Dajemy ci tylko szansę, żebyś zrobiła ze swoim życiem to, co zechcesz i możesz.

Rozmawiali jeszcze przez pewien czas, aż zimno zmusiło ich do podjęcia marszu. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Było widoczne jako zaledwie przejaśnienie za pokładami chmur, lecz kilka promieni zdołało się przez nie przedrzeć i rozpalić wody.

Człowiek, który czasami podawał się za Venatora, znany był – tym, którym zależało na takiej wiedzy – jako oficer wywiadu Władz Pokojowych Federacji Światowej. Tak naprawdę – bo ostateczne prawdy o człowieku ukryte są w duchu – był myśliwym.

Pewnego dnia na Księżycu, pod koniec porannej wachty, zakończył sprawę z niejakim Aiantem i wyszedł z siedliska Lunarian. Przyzwyczajonego do półmroku, ptasich treli, białych kwiatów i sufitu w pomieszczeniu, gdzie odbywał rozmowy, wyjście na zewnątrz niemal oślepiło. A przecież tutaj również rozciągały się subtelne krzywizny, wzdłuż których płynęły barwy, oplatając się wokół ochry, odcienia lilaróż, czerwieni, bursztynu, dymu. Co jakiś czas napotykał plantacje, gdzie aloesy dźwigały kwiaty z kolczastych łodyg na wysokość jego głowy, kwitnąc niczym fajerwerki na poziomie sześciu metrów, na co pozwalała im tutejsza grawitacja. Wiatr przynosił woń świeżo ściętej trawy, zmieszanej z odcieniem jakiegoś ostrzejszego, czysto chemicznego zapachu. Uszy z trudem wylapywały płynącą w powietrzu muzykę, graną w skali nieznaną na Ziemi, za to krew reagowała na niesłyszalne rytmy.

Nie było widać wielu mieszkańców. W tej zamożnej części siedliska niektórzy mogli sobie pozwolić na obszerne tuniki, pończochy i suknie, natomiast pozostali stanowili świątę różnych domostw, odzianą w niemniej świetne liberie. Ktoś prowadził na smyczy syjamskiego kota – metamorficznego, który poprzez trwające wiele pokoleń zmiany genów osiągnął wymiary tygrysa. Wszyscy poruszali się z takim samym wdziękiem i wyższością co zwierzę. Jakaś para rozmawiała bardzo cicho w swym melodyjnym języku.

Obecność myśliwego niewątpliwie ich dziwiła. Terranie zapuszczali się tu z rzadka, na dodatek ten pochodził z Ziemi, nie zamieszkiwał na Lunie. Za czasów byłej Selenarchii osobnicy jego rodzaju mieli prawo znaleźć się na tym terenie jedynie za specjalnym zezwoleniem. Jednak nikt nie groził mu słowem ani czynem, może tylko niektóre oczy nieco się zwęziły.

Mógłby odwzajemnić te spojrzenia, nie zawsze zresztą patrząc w górę, bo nie wszyscy Lunarianie przewyższali wzrostem wysokich Terran, a on był wysoki. Powstrzymał się. Myśliwy na łowach nie zwraca na siebie niepotrzebnie uwagi. Niech patrzą, wzruszają ramionami i czym prędzej o nim zapominają.

A dostrzegali mężczyznę gibkiego i szczupłego, po trzydziestce, o lekko ściągniętej skórze, ciemnobrązowych oczach i czerwonych włosach okrywających czubek długiej i chudej głowy niczym wełniana czapka. Rysy twarzy miał ostre, nos szeroki i szpiczasty, usta jak na swój etnotyp niezwykle cienkie. Ubrany w gładki, szary kombinezon i miękkie buty z cholewami, do pasa miał przyczepiony pojemnik, w którym mógł umieścić ręczny komputer, satelitarny telefon, a nawet apteczkę; w rzeczywistości skrzyneczka zawierała coś znacznie groźniejszego. Szedł krokiem niespiesznym, zdecydowanym, jakby od dawna przywykł do zwiększonej nieważkości. Po chwili nogi przeniosły go z dzielnicy starych rezydencji, przez uboższy okręg, gdzie zamieszkiwali głównie osobnicy jego gatunku, do handlowego centrum miasta.

Trzykondygnacyjne arkady na kolumnach w kształcie pióropuszy okalały prospekt Ciołkowskiego, pod stopami uginał się duramech, gdzieś pod sklepieniem unosiły się złudzenia. Tutaj kręciło się więcej ludzi. Lunarianie przeważnie mieli na sobie codzienne stroje, chociaż ich styl – zwężające się ku górze kołnierze, krótkie peleryny, plisowane spódnice, na piersiach naszyjniki z klejnotem w kształcie słońca, insygnia klanu lub rodziny, barwy, refleksy, wszywane światełka, jeszcze bardziej wymyślne detale – można by uznać za kwiecisty, gdyby nie pasował do nich jak błyszczące łuski do węża koralowego. Obok przeszła grupka trzech mężczyzn; chód i postawa, czarne spódniczki i płytki ze srebrnego filigranu na piersiach zdradzały, że pochodzą z Marsa. Asterycy byli mniej liczni i nie rzucali się tak bardzo w oczy.

Ziemianie stanowili około jednej trzeciej populacji. Na podstawie odmian księżycowego odzienia lub liberii feudalnych domów niektórzy uznali, że są obywatelami Luny. Inni nadal

trzymali się ziemskich mód, chociaż po ich postawie i rozmaitych, bardziej subtelnych oznakach można było poznać, że także są obywatelami Luny, a przynajmniej długo już ją zamieszkują.

Między sobą używali języka przodków, w kontaktach z innymi posługiwali się zazwyczaj lunariańskim.

Mniej więcej jedna trzecia Terran przybyła tu z różnymi misjami. Turystów poznawało się natychmiast, gdyż byli rzadkością, na dodatek głupkowato wybałuszali oczy. Po co odbywać taką podróż, skoro przyjemności szybciej i taniej można zażyć za pośrednictwem quiviry? Mózg rejestrowałby i zapamiętał te same odczucia.

Ludzie ci, ze względu na niewielką liczbę, nie tworzyli tłumu. Połowa sklepów, restauracji, bistr, łaźni, specjalistycznych lokali rozrywkowych i kulturalnych w arkadach była pozamykana. Wszędzie rozlegał się przytłumiony szmer, przez który od czasu do czasu przebijała się zdumiewająco mocna nuta muzyki albo powiew perfum sięgający nozdrzy. Myśliwego dobiegła toczona przed nim rozmowa.

– ...dość należenia do drugiej klasy, całego życia w drugiej klasie. Dotąd mogę dojść, tyle osiągnąć, a potem uderzam w niewidzialny mur i znikają wszystkie możliwości.

Sieć wszczepiła myśliwemu między innymi ten język, nowoniemiecki. Zwolnił kroku. Takie narzekania były na porządku dziennym, ale zawsze można usłyszeć coś interesującego.

Tamci dwoje siedzieli przy stoliku przed pustą kawiarnią obsługiwaną przez robota.

Mówiący był najwyraźniej mieszkańcem Księżyca ziemskiego pochodzenia, chociaż w geście jakiegoś rozpaczliwego buntu założył szatę Odnowy Han. Mięśnie miał silne, jak gdyby mieszkał na Ziemi: może wyładowywał wściekłość przez dodatkową gimnastykę. Skóra ciasno opinała knykcie, którymi obejmował puchar. Jego towarzyszka, ubrana w unigarnitur, była Europejką.

– Jakże tam znowu całe życie – wymamrotała.

– Jasne, że nie całe. Ale moja rodzina mieszka tu już od dwustu lat. – Mężczyzna przełknął

duszkim. Znów popłynęły słowa: – Rodzice polecieli na Ziemię tylko raz, żeby urodzić dzieci, mnie i rodzeństwo. – Najwidoczniej doszło do wielokrotnego zapłodnienia trzema lub czterema zygotami, żeby nie trzeba było powtarzać kosztownej wyprawy. Prawdopodobnie, zgadywał myśliwy, ciąża trwała w łonie, żeby zaoszczędzić na egzogenezie. – Gdy tylko osiągnęliśmy wystarczający stopień rozwoju, wróciliśmy. Nie było ich dziewięć miesięcy, a potem trzy lata.

Czy przez to powinni utracić nawet swoją marną pracę? Czy wskutek naszej potrzeby mamy czuć się obcy, gorsi? Prawo stanowi inaczej? Ale kto liczy się z prawem? Czym ta republika różni się od Selenarchii, zamaskowanej tak słabo, że to tylko kiepskie żarty?

– Uspokój się, proszę, spokojnie. Po uruchomieniu Biotopu sprawy przybiorą zupełnie inny obrót.

– Czy to możliwe? Ci Selenarchowie...

– Za dziesięć lat magnaci utracą pozycję, znaczenie, przestaną być potrzebni. Obiecuję.

A tymczasem szansę...

Myśliwy poszedł dalej. W sumie nie usłyszał niczego nowego. Kobieta pracowała w jednym z konsorcjów zajmujących się badaniem perspektyw rozwoju Księżyca. Być może mężczyzna na coś się jej przyda, a być może to tylko przygodny rozmówca. Nieważne.

Liczyło się natomiast to, że owe perspektywy powiązane były z groźbą aborcji.

Mimo istnienia centrów obsługi fontanna na środku placu Hydry wiła swoje srebrne warkocze i fraktale sama. Drzwi komendy policji otwały się, by wpuścić mundurowego i wypuścić parę cywilów, ale ryby pod przezroczystym brukiem pływały tylko pod stopami myśliwego. Nic w tym dziwnego, mimo że Tychopolis było największym miastem na Lunie. Tak jak wszędzie, tutaj również automaty, roboty i sofotekty w coraz większym stopniu przejmowały kontrolę nad służbą zdrowia, konserwacją i ratownictwem, gdy z drugiej strony malała populacja, która potrzebowała tych usług. Sądził, że po przybyciu osadników z Ziemi te obszary zostaną na

powrót zaludnione (ilekolwiek lat by to potrwało, kilka stuleci, kilka tysiącleci – mgnienie oka dla Teraumysłu, ale według ludzkiej rachuby dość długo). Chyba że ich nadzieje zginą, zduszone szponami Selenarchów.

Nie, uznał, koniec z takimi myślami. Nie natrafił na żadne ślady szeroko zakrojonego spisku.

Wszystko wskazywało na to, że stanął wobec zdolniejszego przeciwnika, zagrożenia, z którym trudniej było walczyć.

Nie znał strachu. Organizm zrodzony do odwagi nauczył się samokontroli na Świętej Helenie i zasilł szeregi cyberkosmosu.

Ale gdy zastanawiał się, co może z tego wszystkiego wyniknąć za tysiąc lub milion lat, przenikał go chłód.

Odzyskał pewność siebie. Odegnął szaleństwo. Gdy pomyśleć racjonalnie, jego misja miała duże szansę powodzenia. Jeszcze krok, a przyszłość, którą sobie wyobraził, zostanie przez niego samego zdławiona w zarodku.

Poza tym – na ustach zagościł przez chwilę uśmiech – miał nadzieję, że misja dostarczy mu przyjemności.

Z placu wszedł do pasażu Oberta. Za ścianami, w pełnej skupienia ciszy, trwała praca, odbywały się obliczenia komputerowe, prowadzono badania biotechniczne, operacje molekularne i kwantowe. Przez lukę w przesłonach jakiś zabłąkany impuls elektromagnetyczny odbił się od sieci wewnątrz jego czaszki. Pojawiły się nieproszone wspomnienia: świt nad chłostanym wiatrem, południowoafrykańskim stepem, wykrzywiona we śnie twarz preceptora w Ogrodzie Mózgu. Otrząsnął się i odzyskał panowanie nad sobą.

Zaburzenie zaostrzyło mu zmysły. Ze zdwojoną czujnością przyglądał się otoczeniu, choć nie było dużo do zobaczenia. Nikt oprócz niego nie szedł tym korytarzem. Jedyne oznaki własności znajdowały się na drzwiach opustoszałych instytucji i zakładów. Akademicka część jego umysłu

przypomniała sobie, jak to księżycowi feudałowie wzgardzili pomniejszym handlem i przemysłem, który dało się jeszcze uprawiać w warunkach postkapitalistycznej gospodarki, i utrzymywali się przede wszystkim z dziedzicznych majątków. Niektóre z posiadłości były rozrzucone po całym Układzie Sol, znaczne włości pozostały na Ziemi. Kilku osobników nadal zajmowało się przedsięwzięciami, które uznało za godne siebie. Zjednoczone firmy ich Przedsiębiorstwa wciąż prowadziły pionierskie prace na Marsie, niewielkich księżycach Jowisza i Saturna, kometach, asteroidach...

Myśliwy zacisnął usta. Parł naprzód długimi susami, możliwymi dzięki nieważkości.

Od pasażu Oberta odrywała się aleja Elipsy. Po pięćdziesięciu metrach znalazł się przy swojej kwaterze. Fasada była tak samo pusta i niepozorna jak korytarz. Przyłożył prawą dłoń do płytki klucza.

Wyglądała jak wszystkie inne, lecz nie ograniczała się do badania linii na skórze. Jeżeli komuś się chciało i miał ku temu środki, mógł na różne sposoby oszukać standardowe systemy zabezpieczeń. Gdyby do takiej próby doszło tutaj, zamek natychmiast zaalarmowałby kwaterę główną. Tymczasem płytka pobierała kilka komórek DNA, czego zupełnie nie czuł, i przekazywała je do czytnika DNA. Ten rozpoznawał kod i drzwi się odsuwały. Identyfikacja zajęła nieco więcej czasu niż zwykle, chociaż postronny obserwator niczego by nie zauważył. Co to za różnica, sto czy pięćset milisekund? Myśliwy wszedł do swego legowiska.

Mieszkanie sprawiało wrażenie siedziby pustelnika. Nie był to w sumie niczyj dom. Dwie wewnętrzne izdebki mieściły łóżko, sanitariat, system dostarczania pożywienia i wszystkie absolutnie niezbędne przedmioty, ale w tym pomieszczeniu widać było jedynie ekrany, płyty, receptory i inne nie rzucające się w oczy zewnętrzne części wielkiej, myślącej maszyny. Sufit lśnił zimną bielą, powietrze pozbawione było zapachu.

Gdy to miejsce zamieniono na mieszkanie – słyszał, że przedtem pełniło funkcję tawerny –

wywiad Władz Pokojowych nabył je pod nazwiskiem syntetycznej osoby i dyskretnie, kawałek po kawałku, przebudował. Środki ostrożności wydawały się rozsądne, ponieważ Republika Luny zezwalała Władzy na posiadanie wyłącznie jednego biura i plutonu ludzi w Port Bowen. Punkt nasłuchu i ośrodek łączności zastrzeżonej były wielce pożądane w tak rozległym kraju, zamieszkałym przez przebiegłe istoty. Następnie korpus myśliwego zainstalował swoje specjalne przyrządy, a on zjawił się tu pod fałszywym nazwiskiem.

Zabrał się od razu do roboty. Pchało go do tego nie tylko podniecenie związane z pościgiem. Zbyt wiele cykliów dziennych stracił na krótkie i przerywane momenty synojozy. Tym razem proces miał trwać dłużej i być głębszy, tak by mógł wytrzymać do powrotu na Ziemię i zanurzenia się w pełną komunię.

Albo Jedność – nie, nawet nie śmiał o tym marzyć. Jeszcze nie teraz.

Otworzył stojącą z boku gablotę, wyjął z niej międzyłącze, rozwinął i założył sobie na głowę. Pasowało jak kwef z gęsto utkanej, czarnej siateczki z jaskrawymi, niewielkimi węzłami na licznych przecięciach. Wnętrze zawierało układy nie mniej skomplikowane niż żywe komórki, a czasami nawet bardziej złożone: niespotykane w przyrodzie kryształy i gigantyczne molekuly, współoddziaływania zachodzące od poziomu kwantowego. Wygodniej było rozluźnić mięśnie, mimo że księżycowa grawitacja nie stawiała zbyt wysokich wymagań. Położył się na kozetce przed sprawiającą mylne wrażenie nieskomplikowaną deską rozdzielczą.

– Czy nie ma zakłóceń? – zapytał.

– Nie ma – odpowiedział sofotekt, który obserwował pomieszczenie i łącza. – Można zaczynać.

Myśliwy włączył międzyłącze. Przewód i styk były układami o porównywalnej złożoności.

Wyraził wolę. Rozpoczęła się synojoza.

Sieć, którą nanomaszyny utkały mu w głowie za czasów młodości w Ogrodzie, ożyła.

Wykryła ślady nieustającej, wiecznie zmiennej aktywności elektrochemicznej mózgu, zapisała odczyt w postaci wieloterabaudowych strumieni danych, przesłała je do międzyłącza, które przełożyło je na język maszyn i przekazało dalej. Gdy system zareagował, międzyłącze zmieniło się w generator impulsów i zmiennych pól, natomiast sieć bezpośrednio pobudzała mózg.

Proces sprawiał wrażenie niezbyt skomplikowanego, tak jak i jego zewnętrzne objawy.

W rzeczywistości było to dzieło, którego pełne zrozumienie przekraczało możliwości zwykłej ludzkiej inteligencji. Polegało na łączeniu dwóch zupełnie odmiennych porządków bytu – organicznego i nieorganicznego, chemicznego i elektrofotonowego, życia i nieżycia.

Nie była to telepatia, lecz porozumienie poprzez język za pomocą tłumacza. Jednak za opanowanie tego języka myśliwy zapłacił dzieciństwem i młodością. Język ten nie przechodził przez uszy ani oczy, czujniki czy klawisze. Wędrował bezpośrednio od układu nerwowego do przewodów.

Dla niego transcendencja takiego układu przewyższała wszystko, czego doświadczył, przeżywając zespolenie podczas aktu seksualnego, śmiertelne niebezpieczeństwo czy reagując na intelektualne wyzwania. Pytał sofotekty, jak to odbierają, lecz nie były mu w stanie wytłumaczyć. Zresztą dla nich jedność była czymś tak normalnym, jak dla niego jedzenie.

Ten interfejs był cząstkowy, wręcz powierzchniowy. Chodziło mu o zwykłe informacje, które można było zapisać jako tekst, grafikę i mowę. Dwa sofotekty, jeden tutaj, drugi w centrali w Port Bowen, były świadome. Myślały, ale miały wąskie specjalizacje i zainteresowania, wystarczało im tkwienie w bezruchu i praktycznie bez ciał, gdy wszystko wędrowało po liniach przesyłu danych. Bazy danych i możliwości samego układu także były ograniczone. Większe sieci istniały nawet na Księżycu, ale gdyby się do nich podłączył, mógłby obudzić czujność ofiar.

Tak czy owak, dzisiejsza synojoza była zaledwie pospiesznym zapytaniem lub sprawozdaniem. Przekazywał, czego się dowiedział, i otrzymywał wyczerpujące odpowiedzi na

swoje pytania znacznie szybciej niż byłoby to możliwe za pośrednictwem ciała. Nie musiał przedzierać się przez hipertekst; skojarzone fakty i myśli były mu podawane jako spójna całość. Wchodził w posiadanie całych opowieści. Powstawały setki możliwych planów kampanii, symulował ich ewentualne konsekwencje i zostawiał sobie te ich części, które pasowały mu do nowej syntezy. Nad wszystkim unosiło się poczucie wędrówki przez czasoprzestrzeń, przeszłość, przyszłość i granice wszechświata, oraz zagrożenia możliwymi fatalnymi konsekwencjami. Chłodna i lśniąca ekstaza nie miała sobie równych w świecie śmiertelników, chociaż podobne elementy były zawarte w religijnej iluminacji i podstawowych odkryciach matematycznych. Znajdował się w jednym umyśle, który budował własne wspomnienia i naradzał się ze sobą na wielu połączonych poziomach. Przeprowadzenie takiego polilogu nie byłoby możliwe w żadnym ludzkim języku. Nawet jego treść: po wpisaniu w niezgrabną formę linearną stawała się ociężała.

Aiant, mąż Lilisaire, zamieszkuje w Tychopolis, rzadko się z nią kontaktuje i prawie nigdy nie spotyka. Są kuzynami drugiego stopnia. Została następczynią ojca na majątkach przodków dzięki zasadzie optogenitury, lecz Aiant się temu sprzeciwił i zachodzi podejrzenie, że rozkazał zamordować ojca. Chociaż Lilisaire miała wówczas zaledwie dwadzieścia trzy lata, sama również uciekała się do intryg i skrytej przemocy. W ciągu pięciu lat zdołała go wymanewrować, pozbawiając większości praw doradczych i doprowadzając do krawędzi bankructwa. Wtedy za niego wyszła. Sojusz się sprawdza. On odgrywa rolę drugorzędną, ale nie jest podporządkowany i zyskuje na służbie jej interesom, zwłaszcza dzięki udziałom w kosmicznym Przedsiębiorstwie. Wraz z miejską żoną (prawdopodobnie dobraną przez Lilisaire ze względu na rodzinne koneksje, ponieważ wywodzi się z fratirii Mare Crisium) przyjęli mnie co najmniej uprzejmie, by nie rzec wylewnie, i starali się pomóc w miarę swoich możliwości. Z całych sił przekonywali, że nie istnieje żaden spisek przeciwko Biotopowi, a sam zasugerowałem im, że żywimy takie

podejrzenia. Szeroko zakrojone śledztwo z ramienia Władz Pokojowych co najmniej utrudniłoby funkcjonowanie Przedsiębiorstwa, przy okazji mogłyby wyjść na jaw różne sekrety. Zgromadzili wszystkie dane, o które prosiłem (nie zdając sobie sprawy, że jestem synojontem, który potrafi z tych informacji wydobyć więcej niż cała ekipa detektywów).

Wniosek: Nie wiedzą o żadnych wrogich działaniach, ich instytucja także nie bierze w żadnych udziału, mimo że wchodzi to w grę w przypadku pojedynczych osób i klik.

Zostało już ustalone, iż Caraine z Hertzsprung, młodszy mąż Lilisaire, ich dorosły syn Bornay i dwie pozostałe żony Caraine a również nie są w nic zamieszane. Mimo że Caraine przebywa z Lilisaire znacznie częściej niż Aiant, ma niewiele wspólnego z jej przedsięwzięciami. Taki sojusz przydaje się obydwójgu, łączy klany Beynac i Nakamura genetycznie i strategicznie pożądaną więzią między fratriami Kordylierów i Korolewan. Istnieje również osobista sympatia. Jednak oprócz spraw majątkowych Caraine angażuje się w politykę, jako jeden z niewielu Lunarian, zwłaszcza wywodzących się od Selenarchów, którzy raczyli przyswoić sobie sztukę parlamentarną.

Dzięki temu stał się cenny dla stronnictwa arystokratycznego, któremu pomaga utrzymać się przy władzy, praktycznie pozbawiając terrańską mniejszość wszelkich praw. Lilisaire zapewne uznałaby za stratę czasu poświęcanie jego energii i talentów dla takich spraw. Ponadto Caraine ostatnio otwarcie zajmuje się mobilizacją sił przeciwnych realizacji Biotopu, chcąc w ogóle przekreślić te plany. Powodzenie takich działań jest co najmniej niepewne, lecz należy wątpić, czy ktokolwiek chciałby go jednocześnie wciągać w jakieś potajemne machinacje. Jego żony i dzieci nie wychodziły z domu i nie porozumiewały się z nikim spoza Księżyca.

Tak więc bardzo możliwe, że Lilisaire jest jedynym lunariańskim magnatem, który coś przeciw nam knuje. Nie ma powodów do zadowolenia. Może okazać się równie potężna, a już z pewnością tak samo bezlitosna, jak jej sławni przodkowie Rinndalir i Niolente.

Dowody: Brak dowodów w świetle prawa, zresztą obecne rządy na Lunie nie przekazałyby tej sprawy do sądu; ale służby wywiadowcze Władz Pokojowych upewniły się, że w swoim życiu zabiła w pojedynkach co najmniej dwóch mężczyzn. Jeden odbywał się na odludziu z użyciem broni palnej, drugi w jej zamku, a walczono na rapiery. Bywała w wielu częściach wszechświata, odważyła się nawet narazić na oddziaływanie ziemskiej grawitacji, gdyż na Ziemi odziedziczyła spore włości. Podróżowała na Marsa, asteroidy, Jowisza i Saturna. Uwielbia przestrzenie kosmiczne i niebezpieczne przedsięwzięcia. (Pewien bardziej odległy przodek był wnukiem zarówno podróżnika Kaino, jak i poetki Verdei). Ale swój udział w Przedsiębiorstwie traktuje z chłodnym realizmem.

Utrzymuje znajomości w całym Układzie Słonecznym. Między innymi z dawnymi kochankami, zwłaszcza wpływowymi Ziemianami, którzy – nawet jeśli nie są jej sojusznikami – z przyjemnością dostarczają informacji i pomocy. Lekko myśląca, zmysłowa młodość ma już za sobą, ale dar fascynowania i sprowadzania na manowce z wiekiem jakby tylko wzrasta. Tego czynnika nie można lekceważyć. Cyberkosmos nie jest zdolny do pojmowania i kontrolowania takich cech.

Jest obdarzona świetną inteligencją, dysponuje rozległą siecią cybernetyczną, jak i siecią różnego rodzaju agentów. Istnienia wielu z nich możemy się jedynie domyślać, nie znamy ich nazwisk, adresów i zawodów.

Ostatnio nasz program kontrolny wykrył wiadomość przesłaną do kosmonauty na asteroidach, w której wzywała go do natychmiastowego powrotu. (Nie znając dokładnego położenia, nie mogła skorzystać z szyfru kwantowego. Zresztą mało prawdopodobne, żeby on miał sprzęt do odkodowywania). Być może nie zdaje sobie sprawy, że jej pilnujemy. Jeżeli o tym wie, z pewnością chce stworzyć wrażenie, że kosmonauta może jej oddać przysługę, która nie powinna obchodzić rządu.

Ale sprawa najprawdopodobniej nie jest błaha. Ten Ian Kenmuir to Ziemiąnin pracujący w Przedsiębiorstwie. Wyróżnia go tylko to, że był jej gościem w Wysokim Zamku i zapewne kochankiem. (Nie nadano temu najmniejszego rozgłosu. Mimo że Lunarianie nie lubią być na świeczniku, z drugiej strony niezbyt starają się o ukrywanie takich spraw, nie zwracając uwagi na plotki albo nimi gardząc). Możliwe, że upatrzyła go sobie właśnie ze względu na anonimowość.

Albo ma wiedzę, której ona potrzebuje. Te jej badania są skierowane w głąb przestrzeni kosmicznej. W bezkresną otchłań.

Proponuję złożyć jej wizytę.

Mam już gotowy pretekst. Istnieje szansa, że ona nie wie, że my wiemy o jej dyskretnych pytaniach. Nakaz obserwowania jej przyszedł z wysokich szczebli cyberkosmosu – być może od samego Teraumysłu, który zauważył te pytania i przewidział, dokąd mogą doprowadzić odpowiedzi. Na pewno wie, że agenci Władzy Pokojowej odwiedzali jej znajomych. Byłoby dziwne, gdyby nikt nie zwrócił się także do niej. Nie spodziewam się szczególnych odkryć.

Chociaż – ... jestem synojontem.

TO IDŹ – poleciał mu system, w którego skład wchodzi! Jedność zniknęła. Myśliwy oderwał się od sieci.

Przez chwilę leżał w ciszy. Ogarnęło go poczucie nierzeczywistości. Fakty i decyzja pozostały, ale pamiętał je w postaci nikiącej smugi sennego marzenia. Świat materialny sprawiał wrażenie płaskiego i groteskowego, ciało nie było tu na swoim miejscu.

Poczucie straty przeminęło i stał się na powrót człowiekiem. Głód i pragnienie kazały mu wstać.

– Połącz mnie z panią Lilisaire – nakazał sofotektowi i poszedł po jedzenie.

Porcja była mikroskopijna. Lubował się w dobrym jedzeniu i piciu w umiarkowanych

ilościach, ale nigdy wtedy, gdy był na tropie.

Potem pozwolił sobie na trochę rozrywki w viviferze. Zamówił komedię, której akcja toczyła się w Nowym Delhi epoki Nehru. Nie uruchamiał przetwornika mowy, bo hinduskim również władał. Opowieść była powierzchowna i mało prawdopodobna – chociaż zdawał sobie sprawę, że jego świat ma niewiele wspólnego ze społeczeństwami na niskim poziomie rozwoju technicznego – ale dźwięk, obraz, zapach i dotyk były wykonane solidnie. Chcąc przeżyć coś bardziej namacalnego, musiałby zamknąć się w quivirze.

Od oglądania oderwał go dzwonek. Tak szybko? Szykował się na wielogodzinne oczekiwanie, zanim system odnajdzie Lilisaire, a ta zechce udzielić audiencji jakiemuś konstablowi.

Pospieszył do ejdofonu. Napotkał jej obraz, żywy jak płomień ognia. Ujrzał twarz niemal klasyczną, którą od ideału oddalały tylko wysokie kości policzkowe, dziwaczne uszy z migającymi gwiazdkami w płatkach, duże, nieprzeniknione oczy barwy morskiej zieleni ze złotymi cętkami, rozszerzone nozdrza, szerokie usta, na których uśmiechy i warknięcia mogły następować po sobie jak grad po słońcu. Z białą, usianą błękitnymi żyłami cerą zaskakująco kontrastowały włosy, bursztynowe z pasemkami ognistej czerwieni, wysoko zaczesane i opadające poniżej łopatek. Z taśm wiedział, że kobieta dorównuje mu wzrostem, jest smukła, długonoga, o mocnej klatce piersiowej i zaokrąglonych biodrach. Ubrana była w lśniącą szatę z podniesionym kołnierzem, na głowę włożyła opaskę w kształcie naśladowanej cząsteczki DNA; zupełnie nie wyglądała na swoje z górą pięćdziesiąt lat. Wiedział, że jest to tylko w małym stopniu zasługą kuracji medycznych. Wobec struktury lunariańskich chromosomów miała wszelkie szansę przeżyć go co najmniej o jedną czwartą. Jego zaprojektowano na sto dwadzieścia lat. O ile obydwójce przetrwają.

– Witam, o pani – zaczął płynnie po lunariańsku. – Czynisz mi wielką łaskę.

Z jakiegoś względu odpowiedziała w anglo. Wymamrotała cicho:

– Szaleństwem byłoby zwlekać, gdy wzywają Władze Pokojowe.

Przeszedł na ten sam język.

– Sama wiesz, pani, że mamy w twojej krainie niewielkie wpływy, chyba że pozwoli nam na to twój rząd. Nie jest to może znakiem szaleństwa, lecz na pewno łaskawości.

– Zgrabna riposta – uśmiechnęła się. – Czego sobie życzysz, oficerze?

– Audiencji, o ile zechcesz jej udzielić. Sądzę, że najlepiej byłoby ją odbyć na zaszyfrowanej linii lub osobiście i na osobności.

Łuki lisiorudych brwi uniosły się jeszcze wyżej.

– Czy może to być sprawa tak wielkiej wagi?

– Zadziwia mnie twoja przenikliwość, pani. Żywa twarz przybrała serdeczny wyraz.

– Mnie również. Wkrótce się przekonamy, kapitanie... ooo, nie znam twojego nazwiska. –

Sofotekt, podający się za robota, podał taką właśnie rangę.

– Bardzo przepraszam, pani, zapomniałem udzielić komunikatorowi odpowiednich instrukcji.

– Mówił prawdę, i wcale nie był z siebie zadowolony. Nazwisko już dawno straciło dla niego wszelkie znaczenie, dlatego używał każdego, które akurat nadawało się do jego celów. Faktyczna tożsamość stała się pewną funkcją w obrębie cyberkosmosu.

– Venator – oznajmił, kładąc akcent na przedostatniej zgłosce.

Wędrując po bazach danych, co było jego ulubioną rozrywką, niczym kawka uzbierał spory zapas przypadkowej wiedzy. Dużą przyjemność sprawiało mu wskrzeszanie tego słowa od dawna martwego i niemal zupełnie zapomnianego języka.

Lilisaire nie zadawała więcej pytań. Bardzo możliwe, że w tych czasach coraz więcej

Ziemiaków obywateli było bez nazwisk, jak od zawsze czynili Lunarianie. Wyobraził sobie, że kobieta myśli z pogardą: przecież Ziemiaki mają swoje numery rejestracyjne. Nic nie naruszało jej

dworności.

– Czy zatem, kapitanie Venator, zechciałbyś zjawić się u mnie w Wysokim Zamku? Byłbyś mile widziany.

– Tak od razu? – zapytał zdumiony. – Mogę wziąć suborbitalny i zjawić się tam bezzwłocznie, ale...

– Jeżeli ty, pracownik Władz Pokojowych, masz do dyspozycji w Tychopolis suborbitalny, przełożeni przywiązują do twojej misji dużą wagę – zauważyła, wciąż spokojna jak kotka. – Tak, proszę, i zważ, że będziesz mym gościem przez dłuższy czas. Będę cię oczekiwać. – Ekran pociemniał.

Siedział dłuższą chwilę i odzyskiwał równowagę ducha. Ile ona wie? Co zamierzała – przynaglić go, zbić z tropu czy tylko dla zabawy zdezorientować?

Jeżeli ona jest w natarciu, on musi zareagować.

Błyskawicznie się rozebrał, wszedł pod prysznic, suszarkę, po czym włożył obcisły, niebieski mundur z insygniami z brązu. Oficjalna postawa była jego pierwszą linią obrony. Po chwili wahania postanowił nie zabierać międzyłacza. Nic nie wskazywało, że będzie go nagle potrzebował, poza tym nie wiadomo, jakie Lilisaire trzyma w swojej twierdzy czujniki i sondy. Im mniej się o nim dowie, tym lepiej.

Sofotekt zajął się stroną organizacyjną, podczas gdy on sam skierował się do portolotu.

Fahrweg przewiózł go pod murem zewnętrznym na kosmodrom. Tego typu przestarzałe instalacje działały jeszcze w regionach mniej bogatych i o mniejszej liczbie ludności, również na Ziemi. Towarzyszy podróży miał nielicznych. Pojazd czekał w wyrzutni, nastawionej i zaprogramowanej już na port docelowy. Dostał się do środka za pomocą ruchomych schodów. Zapiął pasy. Nacisnął guzik startu.

Przy tutejszym przyciąganiu przyspieszenie elektromagnetyczne było łagodne. Po chwili

zakreślał łuk, który miał unieść go ponad Księżycem i opasać czwartą jego część.

W kabinie panowała cisza. Nieważkość przypominała mu trochę owo morze myśli, w którym niedawno dryfował. Wyrzał przez okna widokowe. U dołu cienie zakreślały granice wspaniałego pustkowiec, pociętego kraterami i postrzępionymi wyżynami. Tu i ówdzie lśniła stal pojedynczych torów, wież transmisyjnych, kolektorów i rzutników energii słonecznej. Na ciemnym firmamencie błyszczało zaledwie kilka gwiazd: resztę przyćmiewały światła. Na północy słońce wyznaczało końcówkę lunariańskiego poranka. Ziemia nie była zbyt daleko stąd, wyglądała jak niezmiernie cienki półksiężyc na krawędzi ściemniającego się kręgu. Zniżali lot.

Zgasił światła w kabinie, dzięki czemu wyraźniej widział gwiazdy. Na niebie ukazywały się ich roje, coraz więcej, w miarę jak wzrok się przyzwyczajał. Odnajdywał konstelacje, Eridanus, Dorado – tam galaktyki Magellana – Krzyż, Centaurus... Alfa Centauri, gdzie Anson Guthrie – w formie komputerowego zapisu swej osobowości – przewodził potomkom ludzi, którzy opuścili wraz z nim Układ Słoneczny... Nie, Lunarianie nie zamieszkiwali skazanej na zagładę planety Demeter, lecz asteroidy wirujące pomiędzy dwoma słońcami...

Czy ów exodus stanowił ostatni i w pewnym sensie najwspanialszy wyczyn faustowskiego ducha? Wycofanie się po klęsce nie równało się kapitulacji. Czy pewnego dnia, wbrew zdrowemu rozsądkowi, duch podniesie sztandary i powróci do domu? Jakich zbudzi wówczas sprzymierzeńców? Tutaj ten duch też jeszcze nie umarł. Właśnie dążył na spotkanie z jego wcieleniem.

Bunt – nie, nic z tych rzeczy. Bunt Liudowa był zdecydowanie antyfaustowski. „Oddajcie świat ludzkości, dopóki nie jest za późno!” Niech maszyny pozostaną bezduszne, odtwórzmy porządek organiczny, niech Bóg powróci na swe trony.

Ale Niolente z Wysokiego Zamku miała wiele wspólnego z tymi rozruchami; zaś Lilisaire żywiła ten sam żal, te same nieokiełznane marzenia.

Z zadumy wyrwało Venatora ostrzeżenie. Czas mijał szybciej niż się spodziewał. Silniki odrzutowe rozpoczynały hamowanie.

Pojazd i układ kontroli naziemnej poradziły sobie same. Mógł się zatem spokojnie przyglądać. Ciekawość budziło wszystko, co leżało w dole przed nim. Obrazy z tego miejsca były dość powszechnie znane, lecz docierało tu niewielu Terran. Jemu się to jeszcze nie zdarzyło.

Na wschodzie wśród gór rozpościerała się dolina, z której pięła się pod górę droga; Ziemia i Słońce znajdowały się tuż nad horyzontem. Na zachodzie widać było niebotyczny zamek, blask kładł się cieniem na tarasach murów, stromych dachach, zębatych wieżach, oknach i kopułach, które płonęły, gdy tylko odbił się od nich promień słońca. Budowla łączyła się w jedno z okolicą; została skonstruowana tak, by odbijać meteoroidy i promieniowanie, a wychwytywać każdą cząsteczkę powietrza i ciepła. A jednak była dziełem gotyckiej ręki, pomyślał Venator. Gdzieś podziały się proporce, trąby, łucznicy na blankach, duchy w mrocznych korytarzach.

Chociaż duchów w pewnym sensie nie brakowało.

Pojazd osiadł na niewielkim lądowisku na tyłach zamku. Z gładkich murów wysunęły się obudowane schody, ściśle przywierając do śluzy powietrza. Myśliwy stanął w ich wnętrzu.

Czekali nań dwaj strażnicy. Przerastali go o głowę, ubrani byli w obcisłe, czarne, przetykane srebrem uniformy, uzbrojeni w krótkie miecze i dźwiękowe pistolety oszalamiające. Ich przystojne twarze były identyczne i identycznie pozbawione emocji.

Zasalutowali, przykładając prawą dłoń do lewej piersi, po czym zgodnym chórem, w nienagannym anglo oznajmili: „Witamy, panie kapitanie. Zaprowadzimy pana do Strażniczki”.

– Dziękuję. – Anglo Venatora miało korzenie na półkuli wschodniej. Stanął pomiędzy nimi.

Droga była długa. Winda zawiozła ich do holu, gdzie złudzenie rozległej, metalicznej równiny przesłaniała błękitna mgiełka, w której pełgały wielobarwne ogniki i przemykały ledwo dostrzegalne, roześmiane i gwizdzące potwory. Hol wychodził na ogromną oranżerię

z wybujałymi, przystosowanymi do małej grawitacji kwiatami nieziemskich kształtów i barw. Powietrzem, które nasycali ich wonie, aż trudno było oddychać. Jeszcze dalej zaczynał się idący w górę korytarz, pogrążony w półmroku i wypełniony dźwiękami pogrzebowej muzyki. Na ścianach wisały portrety przodków, którzy wiedli wzrokiem za przechodzącymi. Na szczycie korytarza mieściła się izba z pamiątkami, którym Venator chętnie by się przyjrzał. Jaką historię mógłby opowiedzieć ten nóż, ten odłamek skały z meteorytu, pęknięty żyroskop, ludzka czaszka z osadzonym w czole szafirem? Następnego pomieszczenia chyba używano, ponieważ na białym, futrzanym dywanie stały pajęczne lunariańskie meble; za to na czarnym suficie znajdował się ogromny obraz galaktyki, wyraźnie się poruszającej, odliczającej miliony lat w ciągu sekundy, na jego oczach gwiazdy rodziły się, rozbłyskiwały, by zgasnąć.

Szedł na spotkanie z Lilisaire.

Wybrała komnatę dość skromnej wielkości i umeblowania. Na jednej ścianie ujrzał widok jeziora Karolew, z falami pędzonymi sztucznym wiatrem; pułap symbolizował błękitne niebo, na którym z rozpostartymi skrzydłami unosiły się dwa sportowe kosmoloty. Na półce przy muzyce fletni Pana płasała naga, wysoka na dwadzieścia centymetrów dziewczyna, precyzyjnie wykonana z lśniącego niczym rtęć metalu. Stół zastawiono karafkami, pucharami, smakołykami. Obok stała Lilisaire.

Strażnicy znowu zasalutowali, obrócili się na pięcie i wyszli. Venator zrobił kilka kroków do przodu.

– Jeszcze raz pragnę ci złożyć podziękowanie, pani – zaczął po lunariańsku dość uniżonym tonem. – Zaiste wielka jest twa łaska, pani.

– Jak to, kapitanie? – odwzajemniła mu się uśmiechem, znowu używając anglo.

Wrócił do języka ziemskiego. Po co zdradzać się z dobrą znajomością jej mowy? Ale dworność warto zachować – tak.

– Istnieje napięcie pomiędzy – nie powiem, że między naszymi rasami lub społeczeństwami, pani, lecz między klasami. A ty mimo wszystko rezygnujesz ze swej prywatności, choć wiem, jak bardzo ceni ją sobie twój lud, i przyjmujesz mnie we własnym domostwie.

– Wrogowie także prowadzą rozmowy. – Przyjazny ton jej głosu nie ulegał zmianom.

– Nie jestem posłańcem, pani. A ty nie jesteś moją nieprzyjaciółką. Podobnie jak Ziemia i Światowa Federacja nie są ci nieprzyjazne.

Zesztywniała.

– Mów w swoim imieniu.

– Któż chciałby wyrządzić ci krzywdę?

– Nie wiem, czy chce, ale właśnie do tego zmierza.

– Czy masz na myśli Biotop, pani? – zapytał. Była to zbędna, towarzyska gra na zwłokę.

– Ziemia dokonała na Lunie wielu dzieł. – Unikała bezpośredniej odpowiedzi.

– I w ogóle zaprowadziła na niej życie. Roześmiała się. Krótko i cicho, lecz jakby całym ciałem.

– W czarujący sposób udaje pan naiwnego, kapitanie. Powiedzmy zatem, że jesteśmy mieszkańcami Księżyca.

To ona poprowadziła rozmowę, bo jemu zależało przede wszystkim na poznaniu jej poglądów.

– Czy mogę mówić otwarcie?

– Czy nie z tego powodu tu przybyłeś? *Teraz ona udaje niewiniątko*, pomyślał.

– Kiedy mówisz o mieszkańcach, podejrzewam, że chodzi ci o Lunarian, nie zaś Terran, nawet tych spośród nich, którzy uzyskali obywatelstwo. A... kiedy mowa o Lunarianach, czy chodzi ci, pani, o rodziny Selenarchów – lub fratrię Kordylierów, czy też po prostu o głowy rodów? – Próbował ją ostrożnie sprowokować.

Utkwiła w nim spojrzenie zielonych oczu. Mówiła cicho, lecz stanowczo.

– Chodzi mi o przetrwanie rodu.

Nie powinien przyjmować postawy obronnej, ale zorientował się, że oponuje:

– Czy istnieją jakieś zagrożenia dla twojego życia, majątku, jakiegokolwiek własności?

– Dla moich krewnych. Zamierzacie zniszczyć rasę Lunarian.

– Pani! – Wstrząs był delikatny, ale odczuwalny. Lilisaire uczyniła ruch, jakby strzepywała coś z palców.

– Oczywiście są jowialni, krótkowzroczni politycy, którym zdaje się, że rządzą ludzkością.

Im nie przychodzi nic takiego do głowy, zakładając, że w ogóle mają tam trochę oleju. Kierują się tylko pragnieniem egoistycznej sławy, którą zapewni im otwarcie Księżyca dla Ziemi.

– Nie tylko oni odniosą z tego pożytek – musiał się sprzeciwić. – Przybędą tu śmiałkowie,

ludzie przedsiębiorczy. Czy przez ostatnie stulecie dokonano tutaj czegoś nowego? Będą budować, tak jak wasi przodkowie, wznosić miasta, jaskinie, tworzyć życie – odnowią cały Księżyc.

Bo były to niespokojne duchy, skryci faustianie, pomyślał po raz setny. Życie na Ziemi nie

miało dla nich żadnego sensu, było puste, ich energia i gniew stawały się coraz bardziej

kłopotliwe. Zastanawiał się, czy sam Teraumysł wymyślił ten fortel, żeby zgromadzić ich

wszystkich w miejscu, gdzie mogli zrealizować się w sposób kontrolowany, niegroźny – a więc

z czasem, po upływie pokoleń, możliwy do ujarznienia.

– Zjawią się ich tu całe roje – mówiła Lilisaire. – Przegłosują nas, a wkrótce potem przewyższą liczbą.

– Nie ma powodu, żebyście nie konkurowali z nimi pod tym względem – wtrącił sucho Venator.

Tyle że Lunarianom brakuje tej mocnej żądzki rozmnażania, która istniała w jego rasie,

doprowadziła Ziemię na krawędź katastrofy i którą wciąż trudno było opanować, ciągle była źródłem rozruchów i niepokojów. Biotop pozwoliłby się wyżywić Terranom, przynajmniej przez pewien czas. Lunarianie nigdy nie dorównywali im płodnością. Dlaczego? Czy wynika to z rozwoju cywilizacji, czy ma jakieś podstawy genetyczne? Nadal nie wiadomo. Można było sporządzić mapę genomu, ale mapa to nie teren rzeczywisty, ponadto nie odkrywa tego, co dzieje się pod powierzchnią. On sam uważa, że związek nie był bezpośredni. Zarozumiali, samowolni ludzie nie chcieli żyć z brzemieniem liczego potomstwa.

Lilisaire znów się roześmiała.

– Nareszcie po wielokroć wyeksploatowane argumenty nabierają nowych rumieńców! –

I dodała lekko: – Witam cię, kapitanie, jako nowego gościa w starym domu. Czy chciałbyś zaspokoić głód i pragnienie?

Przyzwyczał się już do gwałtownych zmian nastroju Lunarian.

– Dzięki ci, pani.

Nalała wina do pucharu z rżniętego kryształu – dźwięk odbił się czystym echem od muzyki fletni – po czym wzniosła kielich. Wino lśniło złotem.

– *Uwach yei* – wzniosła toast oznaczający mniej więcej tyle co: „W górę”.

– *Serefe* – odparł. Zadźwięczały szklane krawędzie.

– W jakim to języku? – zapytała.

– Tureckim. „Na twoją cześć”. – Wypił łyk. Było wyśmienite.

– Bywałeś zatem w szerokim świecie – i to, jak sądzę, zarówno osobiście, jak i za pomocą vivifera i quiviry.

– Obowiązki wzywały – odpowiedział zdawkowo.

– Z jakiego pochodzisz szczepu?

Przez chwilę bardzo się zdziwił, ale natychmiast rozpoznał idiom, który miała na myśli.

– Urodziłem się na południowych krańcach Afryki, pani.

– Z tego, co widziałam, to surowy i piękny ląd.

– Opuściłem go, gdy byłem jeszcze mały. – Gdy chciało się rozwijać potencjał

synojontyczny, trzeba było pielęgnować go od dzieciństwa. Wrócił myślami do poświęceń, jakie ponosili rodzice – matka przestała pracować; ojciec, pastor Chrześcijańskiego Kościoła Kosmologicznego, patrzył, jak mały, krok za krokiem, odchodzi od Boga; chcieli być przy nim w Ogrodzie Mózgu na Świętej Helenie, gdy stopniowo się od nich oddalał. Ale rodzice zawsze podporządkowywali siebie i swoje dzieci większym sprawom. Historia znała uczniów szamanów, proroka Samuela, dalajlamów, pomniejszych mnichów wielu wyznań, tak, chłopców zmienianych w eunuchów, bo tylko w ten sposób mogli kroczyć drogą służby cesarzowi... – Od czasu do czasu tam wracam. – Rzeczywiście piękny był ten zakątek, gdzie lwy chodziły na swobodzie, a złocista trawa kołysała się w podmuchach wiatru.

Musi zmienić kierunek rozmowy. Lilisaire stała zadumana. Ile wiedziała, ile się domyślała?

Z ulgą usłyszał jej słowa:

– Może lepiej najpierw rozpatrzmy twoją sprawę, a potem udamy się na spoczynek?

Z przyjemnością pokazałabym ci swoją siedzibę.

– Byłbym zaszczycony – odparł, i wcale nie udawał, chociaż był świadom, że zobaczy tylko tyle, ile zechce pokazać mu gospodyni.

– Wraz z... pomniejszymi towarzyszami (czy domyślała się jego prawdziwej rangi?)

zbadaliście Caraine'a i Aianta oraz innych ze starej krwi. (Jak prędko się o tym dowiedziała!)

A teraz moja kolej, nieprawdaż? – Jej spojrzenie można by wziąć za szczere. – Mówiąc krótko i węzłowato, nie słyszałam o żadnym spisku w celu zniszczenia planów Biotopu. Na pewno nie spodziewałaś się, że się do tego przyznam. Uważam, że wszelkie takie wysiłki byłyby daremne, głupie. W końcu nawet Niolente nie mogła powstrzymać zachłannej Federacji.

Pomimo oporu, intryg, podsycania buntu, zbrojnego oporu do samego końca – rzeczywiście nie mogła. Venator miał ochotę powiedzieć, że upadek suwerennej Selenarchii, ustanowienie republiki, jej przystąpienie do Światowej Federacji i zasady Przymierza nie były po prostu efektem nacisków politycznych i gospodarczych. Wszystko sprowadzało się do siły moralnej. Gdy Rinndalir i Guthrie odeszli, a Ognista Kula zaczęła się rozpadać, zbyt wielu Lunarian się załamało. Serce Niolente biło zbyt samotnie. Zamiast tego rzekł:

– Mieliśmy nie rozdrapywać ran, które zdążyły się zagoić, pani – zauważył.

Uśmiech Lilisaire potrafił być uwodzicielski.

– Jesteś inteligentnym mężczyzną, kapitanie. Zdaje się, że mogłabym cię nawet polubić.

– Nie oskarżam ani nie podejrzewam cię o wrogie knowania, pani – dodał pośpiesznie. –

Jestem tylko nieco, hm, dezorientowany, i liczę na oświecenie w pewnych sprawach.

– Pytaj dalej. – Wykonała gest ręką. – Może usiądziemy? Wobec niewielkiej grawitacji na

Lunie znaczyło to więcej niż na Ziemi. Opadł na kanapę przy stole. Ona zajęła miejsce obok. Aż nadto dojmująco zdawał sobie sprawę z jej bliskości. Feromonowe perfumy? Nie, nic tak prymitywnego i o ograniczonym działaniu.

– Skosztuj – zachęciła.

Ugryzł kanapkę z przepiórczym jajkiem i kawiozem. Wykwintność tej kobiety go zawstydziała. Odchrząknął.

– Moi ludzie wytropili ślady jakichś działań w przestrzeniach kosmosu. Inicjatywa wychodzi prawdopodobnie z asteroid, ale nie mamy pewności.

Kłamał. Nie słyszał o żadnej tego typu działalności, chyba żeby liczyć ów zaciekły opór wobec rządów Federacji, który wygasł wraz ze śmiercią Niolente, poprzedniczki Lilisaire. Nad samą Lilisaire Federacja sprawowała możliwie najściślejszy nadzór, ponieważ Lunarianka sprzeciwiała się wszystkiemu, co symbolizowała owa organizacja, a w dodatku mogła się okazać

niebezpieczna. Wykryto, że przeszukiwała wszystkie archiwa i bazy danych, do jakich mogła dotrzeć, otarła się też o sprawę Prozerpiny. Gdyby ją odkryła, mógłby to być decydujący, śmiertelny cios. A teraz jeszcze wezwała Iana Kenmuira.

– Nie musi to być zaraz coś bezprawnego – podjął Venator ale chodzi o operacje, o których się nie mówi, najwyraźniej tajne. Jeżeli mogą mieć jakieś konsekwencje, rząd będzie naturalnie chciał zdobyć o nich informacje.

– Tak – potwierdziła cicho – żeby je wprowadzić do modeli komputerowych, wkomponować w anemiczną strukturę socjoekonomiczną.

Wyczuł jad, ale postanowił nie zwracać na to uwagi.

– Skoro prowadzisz tam pewne działania, pani – a wszyscy koloniści są Lunarianami, którzy dobrze znoszą słabe przyciąganie – pomyślałem, że może doszły cię o tym jakieś słuchy.

– Jeżeli przedsięwzięcie jest tajne, jak to możliwe? – zaczynała się z nim droczyć.

– To znaczy nie bezpośrednio, ale może ktoś coś zauważył i przypadkiem ci o tym wspomniał.

– Nie. Przebywam zbyt daleko od tamtych krain. Zbyt długi czas mnie tam nie było. Tak, tak, zbyt długi czas – dodała z goryczą.

Bo musi stąd prowadzić swą ukrytą wojnę?

– To na pewno zaledwie moje próżne nadzieje – stwierdził. – Zresztą cała sprawa może być wynikiem omyłki, jakiejś błędnej interpretacji z naszej strony. – Rozmowa zmieniała się w farsę.

Nie liczył już na to, że uda mu się ją wybadać. Gonił za rzeczami niewymiernymi, cechami osobowości, miłością, nienawiścią, słabymi i mocnymi punktami, traktował ją jak żywą istotę.

Gdyby ją poznał, łatwiej mógłby sobie z nią poradzić. – Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyś zechciała poszperać w pamięci, przeszukać osobiste archiwa, znaleźć coś, co miałoby choć najodleglejszy związek.

– Owszem, mam pewne wspomnienia. Ale musisz mówić jaśniej, na razie wszystko zawieszono jest w mgławicowej próżni.

– Zgoda. – Miał przygotowane szczegóły, informacje, które mogłyby ją przekonać.

– Ale nie ma aż takiego pośpiechu. – Dotknęła palcami jego nadgarstka. Ponownie się uśmiechnęła. – Ledwie tknąłeś wino, a jest ono ozdobą mych piwnic. Poznajmy się lepiej.

Wspominałeś o dzieciństwie spędzonym w Afryce...

Musi uważać, uważać. Ale w kontaktach z umysłem jej pokroju nie powinno być kłopotów z unikaniem szczegółów, które mogłyby go zdradzić. Minął dzienny cykl. Pili, rozmawiali, chodzili, jedli i oddawali się innym jeszcze przyjemnościom.

W jego oczach czynności seksualne były pożądane ze względu na zdrowie. Teraz odkrył inne ich zalety.

Pożegnała go nazajutrz o porannej straży, chłodna niczym górski strumień. Z powrotnego lotu do Tychopolis zapamiętał niewiele. Dopiero gdy znalazł się w odosobnieniu i uporządkował myśli, zorientował się, że nie powiedziała mu nic znaczącego, gdy on tymczasem mógł przypadkiem napomknąć o pewnych istotnych sprawach.

Przez chwilę przeszła mu myśl, że słuszność była również po jej stronie. Ale nie. Ogień, który w niej płonął, musi zostać wcześniej czy później zduszony. W niedalekiej przyszłości – no cóż, to Ziemianie ożywili Księżyc, kiedy świat nie słyszał jeszcze o żadnych Lunarianach. Mogli rościć sobie pewne prawa do tego świata, wywalczone przed setkami laty przez Dagny Beynac i jej podobnych.

MATKA KSIEŻYCA

Wielki meteoryt, który wybił krater Tycho, zawierał więcej żelaza i niklu niż większość podobnych mu ciał. Odłamki rozproszyły się szeroko, zagrzebane tuż pod warstwą regolitu. Co większe bryły chondrytu, które stopiły się pod wpływem uderzenia, utworzyły pokłady rud będące rzadkością na bezwietrznej, bazaltowej Lunie. Kiedy dla celów szerzej zakrojonych operacji potrzebne były bazy na półkuli południowej, rudy stanowiły idealną lokację.

Dagny Ebbesen uczestniczyła w budowie takiej bazy, gdy szef posłał ją do żyły rudnej Rudolfa.

– Bo widzisz, obiecaliśmy robotnikom lepsze kwatery – tłumaczył Petras Gedminas. –

Chodzi o typowy montaż, ale zdobędziesz trochę doświadczenia w kierowaniu odcinkiem prac.

Urwał. – Chociaż nie. Daleko nam jeszcze do fazy, kiedy jakakolwiek praca będzie standardowa. Bądź gotowa na wszystko.

Ta przestroga była niepotrzebna. W ciągu dwóch lat pracy Dagny zdążyła doskonale pojąć tę naukę. Inżynier budownictwa, nawet niski rangą, musi znać się na wszystkim po trosze.

Trzy cykle dzienne po jej dotarciu do odkrywki, po jednej dziesiątej dnia lunariańskiego, zdarzyła się tragedia.

Nadjechała polowa ciężarówka. Kierowca jeszcze przed przyjazdem zameldował się jako Edmond Beynac; wracał w towarzystwie asystenta z jakiejś ekspedycji. Chcieliby trochę odpocząć i rozerwać się w towarzystwie, potem ruszą w dalszą drogę. Dagny z niecierpliwością czekała na spotkanie z geologiem. Jego sprawozdania miały dużą wagę dla budowniczych, wskazując punkty, w których skała była solidna, określając powód i stopień tej solidności.

Ponadto jego analizy i odkrycia zmieniły kilka elementów obrazu globu. Pozostawała jeszcze sama przygoda, wędrówka i oglądanie miejsc, których nie tknęła ludzka stopa!

Była godzina 21.30, minęła połowa wieczornej straży. Brygada pracowała non stop, sypiając na zmiany, by skończyć, zanim słońce wejdzie tak wysoko, że upał i promieniowanie nie pozwolą w ogóle wyjść na zewnątrz. Pewnego dnia, myślała, technika pokona i tę przeszkodę. (Tak, i rozprawi się z tym wszechobecnym, upartym, brudzącym wszystko pyłem). Znużenie przenikało ją do szpiku kości. Jednak mając dwadzieścia dwa lata i funkcjonując w środowisku, gdzie przyciąganie było równe jednej szóstej ziemskiego, nie musiała zwracać uwagi na zmęczenie. Mogła całkowicie zatracić się w swojej pracy i przeczuciach.

Na obraz jej miejsca pracy składała się na razie plątanina wykopów, rusztowań, nie do końca zainstalowanych układów zasilania i podtrzymywania życia, wśród których uwijali się zespoleni z maszynami ludzie. Ogromne sterty zapasów sprawiały, że ludzkie schrony wyglądały przy nich niezbyt imponująco. W pewnej odległości wznosiły się niewiele większe kopuły i ule obozu wyjściowego; kwatery pomieszczono głównie pod powierzchnią. Tam też stała centryfuga. Górnicy odpoczywali, za wyjątkiem kilku, którzy doglądali ciężkiego sprzętu służącego do kopania, kruszenia i ładowania. Wszystko to znajdowało się dwa kilometry na wschód stąd, niemal na linii horyzontu, spowite zasłoną słońca, cienia i mgiełką pyłu; od czasu do czasu dało się zauważyć błysk metalu.

Wyraźnie widoczne były pylony kolejki linowej. Dwie linie wagonów, znacznie oddalone od siebie, ruszały z kopalni, mijały ją o sto metrów, by zniknąć z oczu gdzieś na południowym-zachodzie. Kable tworzyły wąskie smugi na tle czarnego nieba. Jakąś gondolę napełniono właśnie rudą i wyciągnięto w górę. Kabel został ponownie wprowadzony w ruch. Gondola odbywała podniebną podróż niczym zawieszony na nici pająk. Ruszała w kierunku budowniczych Tychopolis, którzy oczyszczą rudę i wykorzystają metale. W zamian przyślą to, czego potrzebowały pracujące brygady. Był to najoszczędniejszy środek transportu materiałów w sytuacji, gdy brakowało pojazdów, a kraterowe podłoże usłane było nierównościami.

A było ich sporo: pagórki, półki, głązy, wyboje, szczeliny, pęknięcia, cała trudna do objęcia i mroczna równina. Za kopalnią można było dojrzeć nasypy najwyższej kondygnacji zewnętrznych murów. W skąpym blasku słońca pozbawione były jakichkolwiek rysów, rzucając cień podobny do smolistego jeziora. Gdziekolwiek spojrzeć, pomniejsze cienie muskały czubkami kamienie. Gwiazdy tonęły w odblasku łuny. W takim pozbawionym barw krajobrazie przemykały maleńkie sylwetki, odziane w brudne skafandry z jaskrawymi odznakami i wyłogami.

Za to na północnym nieboskłonie panowała Ziemia. Widoczna była niecała połowa. Jej krzywizny okalały białobłękitny marmur, ochrową smugę, która była lądem, jasnością, pozostającą w oku tuż po odwróceniu głowy, tak jak tuż po przebudzeniu w myślach pozostają jeszcze ślady snu. Ziemia wyglądała wspaniale.

Poniżej panował spokój. Bez powietrza dźwięk zamiera, nim jeszcze się narodzi.

W odbiorniku Dagny rozlegał się czasami jakiś głos, ale praca postępowała zazwyczaj w milczeniu, jak walka umiejętności z czasem. Słyszała też szum powietrza w przetworniku i nozdrzach, krwi w uszach.

– Zastąp mnie – nakazała Joe Packerowi, swojemu zastępcy, i skierowała się w stronę polowej ciężarówki.

Składała się ona z kabiny i laboratorium, zdolna była przebyć setki kilometrów bez konieczności doładowania i podtrzymywać życie przez wiele tygodni; stojąc na ośmiu ogromnych oponach, przewyższała kopułę, przy której się zatrzymała. Gdy Dagny szła w jej kierunku, otworzył się zewnętrzny wjazd i na ziemię została spuszczone drabina. W nowych budynkach będzie możliwe bezpośrednie przejście z jednej śluzy powietrza do drugiej, ale na razie przybysze będą musieli wyjść na zewnątrz, by przedostać się do wejścia.

Dagny przyspieszyła kroku. Już dawno przyzwyczała się do niewielkiego przyciągania

i poruszała się w skafandrze niczym w kombinezonie roboczym, długimi, lekkimi susami.

U szczytu drabiny pojawiła się podobnie ubrana postać.

– Halo! – zawołała. – Witamy! Grunt zadrżał jej pod nogami.

Wstrząs przeniknął przez buty i ciało niczym uderzenie gromu.

Mało nie upadła. Zataczając się, spojrzała na słońce. Płyta kasku pociemniała, żeby ochronić wzrok, dlatego tarcza słoneczna wydała jej się nagle biała. Odzyskała równowagę, potem wzrok, by popatrzeć ku północy.

Wysoko nad widnokrzem uniosła się chmura. Wspinała się coraz wyżej niczym obłok kłębiącej się sadzy, po brzegach rzadsza i szarzejąca. Wyglądała jak plama na tle Ziemi.

Wylatujące z niej iskry zakreślały długie parabole niczym spadające gwiazdy.

Uderzenie meteorytu! Miała przed sobą jego efekty, wyrzucane skały, szrapnele. Rażeni ogniem żołnierze rzucali się na ziemię. Nie! Gdy pociski spadają z nieba, stojąc, stanowi się mniejszy cel. I nie wolno uciekać.

Jej uwagę zwrócił obraz we wstecznym lusterku. Obróciła się na pięcie, chcąc przyjrzeć się tej scenie bezpośrednio. W pobliżu najbliższego pylonu coraz szersze łuki zakreślała kołysząca się gondola. Kolumna zadrżała. Kilka metrów dalej w powierzchnię uderzył kamień, wznosząc niewielką chmurę pyłu i wybijając krater. Jeszcze jeden uderzył w wielki głaz narzutowy, otarł się i poleciał niebezpiecznie tuż nad regolitem.

Pył zaczynał opadać. Razem z nim powracała ślepotą. Dagny czuła drżenia kolejnych uderzeń gdzieś w pobliżu. Stała twardo i szukała w torbie kawałka materiału do przecierania hełmu. Być może nie chcąc wpaść w popłoch, pomyślała: łącza zasilające w skafandrach są w porządku, ułatwiają utrzymanie ciśnienia wewnątrz, ale kiedy inżynierowie stworzą wzmacniacze dotyku do rękawic, żeby można normalnie czuć, co się robi?

Księżyc powoduje dość powolne przyspieszenie przedmiotów, ale za to nie ma powietrza,

które by je hamowało. Po minucie, sześćdziesięciu śmiertelnie groźnych sekundach, małe bombardowanie dobiegło końca i Dagny mogła wreszcie wytrzeć płytkę hełmu.

Poczuła falę ulgi, zaszlochała, kolana jej zmiękły, jak gdyby zaraz miała upaść. Wyglądało na to, że na obóz i kopalnię spadł tylko pył. Rzecz jasna przewidywano pewne niebezpieczeństwa i podjęto odpowiednie środki, bez tego ekspedycja w ogóle nie mogłaby dojść do skutku, ale nikt nie spodziewał się uderzenia tak wielkiego obiektu w tej okolicy w przeciągu najbliższych setek, a nawet tysięcy lat... Jej spojrzenie zatrzymało się w jednym punkcie. Ledwie zdusiła krzyk.

Pylon był zniekształcony. Kabel, napięty do granic możliwości, nie poruszał się, z pewnością napędzający go silnik uległ poważnemu uszkodzeniu. Trzy metry dalej leżała przewrócona na bok gondola. Szalone kołysanie spowodowało zerwanie liny, ładunek został rozrzucony na wszystkie strony. Na całym placu walały się bryły metalu.

Rozległ się czyjś krzyk, urywany i charczący odgłos cierpienia. Przerwał pełną osłupienia ciszę: zniemacka w radiu zaczęła grać muzyka. Dagny włączyła swój przekaźnik na pełną moc. – Trzymajcie się! – zawołała ze wszystkich sił. – Cisza! Przystępujemy do akcji ratunkowej!

Pognała na miejsce wypadku. Jakaś mroczna część jej osoby dziwiła się, jak śmie przejmować kontrolę, ona, która jeszcze nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji. Zajęcia i symulacje w akademii miały niewiele wspólnego z rzeczywistością. Ale obowiązki i rola dowódcy spadły na nią.

Potem miała ręce pełne roboty i ani chwili czasu na lęki czy wątpliwości.

– Podawać imiona i nazwiska, kolejno według numerów. Meldunki rozlegały się w jej słuchawkach jeden po drugim.

Janice Bye leżała martwa, hełm pękł na pół, twarz w blasku zachodzącego słońca wyglądała upiornie. Dwoje ludzi było chyba w szoku, leżeli i cali się trzęśli. A Joe Packer spoczywał na plecach, z lewą nogą przywaloną stertą ciężkich odłamków.

Dagny przykleła obok niego. Po wydaniu pierwszego, zwierzęcego wrzasku ucichł, tylko z trudem chwycił powietrze. Skóra mu poszarzała, krople potu lśniły na niej jak rosa. Za to przerażająco białe gałki oczne otaczały czarne tęczęwki i rozszerzone źrenice. Czy to Ziemia przydała im lekko błękitnego odcienia? Dagny chwyciła go za rękę.

– Joe, jak się czujesz? – Pytanie zadała pewnym głosem. On usiłował zdobyć się na takie samo opanowanie.

– Jakbym się dusił – wybełkotał. – Nie boli... za bardzo... już... ale kręci mi się w głowie i... ooch...

Uznała, że pękła mu nogawka skafandra, i to najpewniej na kolanie. Zbiornik rezerwowo nie nadążyłby z uzupełnianiem zapasów powietrza, które wydostawało się przez otwór, zanim wystarczająca ilość mazi wypłynęłaby na zewnątrz i zastygła, zatykając takiej wielkości dziurę. Serce, po przebytych wstrząsach, pozbawione jeszcze tlenu, mogło w każdej chwili stanąć.

– Greenbaum, przynieś butlę z tlenem i złączkę – warknęła. Trzeba było wydać każdemu dokładne rozkazy, żeby się nie pozabijali o swoje nogi. – Royce, Olson, zajmijcie się Etcheverrym i Grafem (tymi w szoku). – Reszta niech bierze łomy i szpadle i odwala te kamienie z Joego. Tylko ostrożnie!

– Odsuń się, do jasnej cholery! – usłyszała grzmiący bas zdumiewająco podobny do głosu Ansona Guthriego, tyle że z angielskim akcentem. W lusterku zobaczyła stojącego nad sobą człowieka. Za nim następnego, który coś taszczył. Pewnie geologowie. Nikt z głównego obozu ani z kopalni nie mógłby dotrzeć tu w takim tempie.

Nie mogła dopuścić, żeby ktokolwiek się wtrącał.

– Czego chcecie? – zapytała stanowczo.

– *Sacre putain de l'archeveque anglais!* Ten człowiek zdechnie bez powietrza. Zejdź mi z drogi. – Przybysz nachylił się, ujął ją pod pachy i odstawił na bok.

Dagny opanowała wściekłość. Edmond Beynac, bo to musiał być on, na pewno zna się lepiej niż ona na sposobach postępowania w takich wypadkach. Tak, jego towarzysz niósł zbiornik z jakąś wypustką. Ze swojej pozycji na szczycie drabiny widzieli prawdopodobnie, co się dzieje, domyślili się, czego potrzeba, i natychmiast to przynieśli. Jezus Maria, co to znaczy szybkie myślenie!

Mężczyźni pochylili się z obu stron nad Packerem i z miejsca zabrali do dzieła.

– Greenbaum, już nie trzeba, wracaj, to nam pomożesz! – zawołała przytomnie Dagny.

Beynac zaraz się wyprostował. Brygada z narzędziami już się zebrała. Dwóch ludzi zaczęło odsuwać kamienie.

– Nie tak, idioci! – zagrzmiął Beynac. – Niech was szlag! Przecież go przywalicie! *Comme ci.* – Wziął z rąk najbliższego łom i pokazał.

Rzeczywiście, myślała Dagny, na Lunie wszystko odbywa się inaczej, mniejsze przyciąganie oznacza mniejszą siłę tarcia i... Usłyszała pomruki niezadowolenia.

Róbcie, jak mówi – nakazała. – On przejmuje tu teraz kierownictwo.

Wszystko wskazywało na to, że ludzie przy odkrywce otrzymali polecenie usuwania szkód na miejscu, za to nadchodzili już pierwsi z obozu. Dagny przystąpiła do ich organizowania. Gdy wróciła, Beynac niósł na rękach oswobodzonego Packera.

– Zabiorę go do wozu i udzielę pierwszej pomocy – powiadomił ją geolog. – Może potem *medecins...* lekarzom uda się uratować tę nogę. – Nie czekając na zgodę, ruszył po nierównym podłożu.

Cztery osoby zebrały się w głównym biurze, które należało do Miguela Fuentesy, kierownika operacji w Rudolf. Dagny Ebbesen zjawiała się w charakterze jednego z kontrolerów, Edmonda Beynaca zaś zaproszono ze względu na jego znajomość rzeczy. Czwartą osobą był Anson Guthrie. Uczestniczył w naradzie z Ziemi, przemawiając z ekranu telewizyjnego.

Oficjalnie nie miał tu nic do roboty. Kopalnia, podobnie jak Tychopolis i praktycznie wszystkie inne działania na Lunie, była przedsięwzięciem prowadzonym przez międzynarodowe konsorcjum pod nadzorem ONZ. Lecz Ognista Kula była głównym wykonawcą wszystkich konsorcjów, a nie ograniczało się to do transportu kosmicznego. Poza tym znajdowali się na etapie wstępnej oceny.

– Dochodzenie rządowe będzie się ciągnąć całymi miesiącami i kosztować podatników więcej, niż usuwanie szkód – stwierdził.

– Nasze dzisiejsze zadanie polega na dojściu do tych samych wniosków co śledczy i odpowiednim rozplanowaniu działań.

– Co to znaczy rozplanować? – zainteresował się Fuentes.

– Meteor takiej wielkości to wybryk natury, równie dziwnym zbiegiem okoliczności było to, że uderzył tak blisko miejsca, gdzie znajdowali się ludzie. Przecież wypadek nie może nas powstrzymać. Czy politycy są naprawdę aż tak głupi?

Gestem trzech palców pokazał hologramowi, żeby poczekał; wszyscy milczeli, podczas gdy fale radiowe przebiegały przestrzeń kosmiczną w tę i z powrotem.

Dagny uświadomiła sobie niewielkie rozmiary pomieszczenia, zagraconego aparaturą, ozdobionego zaledwie kilkoma krzykliwymi obrazkami przymocowanymi do ściany – wyglądem przypominały jej krajobrazy z Florydy, które w tej scenerii prezentowały się raczej żałośnie. Coś utkwilo w przewodach przetwornika powietrza, tak że strumień wypływający z wentylatorów lekko cuchnął przypalonym metalem. Wolałaby znaleźć się na zewnątrz.

– Politycy nie są o wiele głupszy od innych, włączając w to przewodniczących rad nadzorczych wielkich korporacji – odparł Guthrie. – Przejrzałem najnowsze doniesienia. Ta skała nie była aż taka wielka i nie uderzyła znowu tak blisko, żeby narobić tyle szkody. Widocznie trafiła w jakiś słaby punkt konstrukcji; ale my myśleliśmy, że zabezpieczyliśmy się przed

najgorszymi ewentualnościami, prawda? Cośmy przeczyli? Jeżeli uda nam się błyskawicznie wykryć defekt i sposób usunięcia go, będzie wiadomo, co powiedzieć komisji. Wtedy jej członkowie będą mogli pętać się po Lunie, ile im się żywnie podoba; my tymczasem będziemy robić swoje. – Potarł brodę. – Wy jesteście tam na miejscu. Macie jakieś pomysły?

Dagny popatrzyła na siedzącego po drugiej stronie stołu Beynaca. Przyłapała się na tym, że sprawia jej to przyjemność. Wyglądał na mężczyznę około trzydziestki, był od niej nieco wyższy, lecz potężnie zbudowany: długa głowa, kwadratowa twarz, prosty nos, wystające kości policzkowe, sztywne jak druty, brązowe włosy, zielone oczy. Trudno było go nazwać przystojniakiem. Ale za to jak promieniował męskością!

Zagała ostrożnie, z poprzedniego spotkania wiedząc, że tamten potrafi być nerwowy:

– Jest pan tu geologiem, doktorze Beynac. Czy skały w tej okolicy mogą mieć jakieś nadzwyczajne właściwości?

– Nie mają – oświadczył. – Badałem je osobiście dwa lata temu. Po odkryciu złóż przyglądał im się dokładniej mój uczeń, porządny młody człowiek. Gdybyśmy wykryli jakieś zagrożenia, natychmiast byśmy wszystkich przestrzegli. – W spokojniejszych warunkach mówił po angielsku z akcentem wyczuwalnym głównie w przeciąganych samogłoskach.

– To jasne – przytaknęła. – Chodzi mi o fale sejsmiczne. Jak one się tutaj rozchodzą?

– *Hein?* Trzęsienia Księżyca nie mają znaczenia, mogą interesować jedynie naukowców.

– Wiem, Ale zastanawia mnie droga przebyta przez wstrząs po uderzeniu.

– Wstrząsy nie są w stanie niczego przewrócić – burknął. Sama pani widziała.

– Tak – najeżyła się Dagny. – Ale widziałam też na własne oczy wszystkie zniszczenia.

Spowodowały je jakieś siły. Skąd mogły się wziąć? Z uderzenia. Jak się tam przedostały?

Poprzez naprężenia gruntu. – I porywczo dodała: – To jest chyba oczywiste dla wszystkich.

Nie wybuchnął w odpowiedzi. Skupił wzrok i mruknął:

– Ma pani jakąś hipotezę?

– To za duże słowo jak na te domysły – przyznała Dagny – ale coś chodzi mi po głowie.

Powiedzcie, co o tym sądzicie?

– Zwracała się teraz również do Fuentesa, a przede wszystkim do Guthrie. – Częstotliwość rezonansowa wprawiała w drgania akurat ten pylon. Pylon z kolei przeniósł falę na linę, która rozkołysała gondolę. Jeżeli pod gondolą znajdowała się skała, od której odbił się wstrząs, impuls zostałby powtórzony i rozszalałyby się oscylacje.

Beynac gwałtownie się wyprostował.

– *Pardieu!* – krzyknął. – Zdaje mi się, że być może... – Odchylił się na krześle, przymykając oczy. – Możliwe. Niech no się zastanowię, czy zachodzi taka możliwość. Element poprzeczny...

– Zagłębił się w myślach.

– Prawdopodobieństwo jest śmiesznie niskie – zaproponował Fuentes. – Układ musiałby się charakteryzować dokładnie odpowiednim obciążeniem i właściwą konfiguracją w danym momencie czasu.

– Jasne. – Dagny skinęła głową. – Proponuję rozważyć przypadek przekraczający najbardziej pesymistyczne oczekiwania. Nie mam żadnych innych pomysłów. A panowie? Trzeba będzie przeprowadzić testy laboratoryjne i przygotować symulacje komputerowe, żeby sprawdzić moją hipotezę. Ale może doktor Beynac powie nam już dzisiaj, czy warto się nią w ogóle zajmować.

– A niech to – Guthrie odezwał się, gdy kobieta jeszcze kończyła – coś mi mówi, że trafiłaś w dziesiątkę! Dobra robota, mała! – Szeroki uśmiech i mrugnięcie okiem miały oznaczać: „Jaka szkoda, że nie mogę się tobą pochwalić, moja ty wnusiu”. – A jeżeli masz rację, to nie widzę powodów do zmartwienia. Prędzej wyciągnę pięć dużych pokerów pod rząd, niż powtórzą się identyczne warunki.

Beynac ocknął się, otworzył oczy i mruknął:

– I tu się pan myli. – Nie mając cierpliwości, by robić przerwę na transmisję, podjął od razu:

– Co do tego konkretnego wypadku, będę musiał przeprowadzić analizy, lecz sądzę, że pani inżynier Ebbesen ma zasadniczo rację. Bardziej interesują mnie jednak meteory. Ta bryła należała do Roju Beta Tauryjskiego. Wskutek precesji orbitalnej staje się on znów, po wielu stuleciach, realnym zagrożeniem. Następne uderzenia mogą zabijać ludzi na inne sposoby.

Niedawny incydent możemy więc uznać za ostrzeżenie. Co roku w czerwcu należy przerywać wszelkie operacje powierzchniowe od wschodu do zachodu słońca.

– Chwileczkę! – Fuentes zeszywniał. – Zdaje pan sobie sprawę, jakie byłoby to dla nas obciążenie?

– Phi! – Beynac wzruszył ramionami. – Ja jestem naukowcem i mogę tylko coś zalecić.

Sprawa kosztów należy do pana.

Fuentes usłużnym, choć nie unizonym gestem dał znak, że przemówi Guthrie.

Na twarzy szefa Ognistej Kuli zagościł osobliwy uśmiezek.

– *Gracias* – zaczął. – Sam też od jakiegoś czasu łamię sobie nad tym głowę. Tylko bądźcie łaskawi nie wyjeżdżać z tymi rewelacjami na żadnych konferencjach prasowych. Zbierzemy fakty, liczby, wszystko porachujemy i dopiero wtedy ujawnimy wyniki. To ważna sprawa. Duże obiekty zagrażają nawet Mamuśce Ziemi. Dinozaury przekonały się o tym na własnej skórze; a gdyby meteor tunguski spadł o kilka godzin później, spokojnie zmiotłby z powierzchni ziemi całą Belgię.

Beynac spoglądał na obraz w przyływie szacunku. Guthrie ciągnął:

– Jednak ludzkość mogłaby skorzystać z tego karambolu na Rudolfie. Moglibyśmy wywołać burzę emocji, dzięki której powstałby kosmiczny patrol do tropienia meteoroidów i odchyłania ich torów lub niszczenia co bardziej niebezpiecznych. – Roześmiał się. – Ognista Kula stanie do przetargu na stworzenie takiego patrolu.

Dagny zdziwiła się, usłyszawszy cichy komentarz Beynaca:

– Jeszcze jeden powód, by umieszczać ludzi na Księżycu. Kotłujące się myśli dostarczały jej aż nadto takich powodów. Energia. Kolektory słoneczne Criswella, okrążające glob i promieniujące na Ziemię czystą, taną i praktycznie niewyczerpalną elektrycznością.

Nauka. Astronomia na Drugiej Stronie, stabilna platforma, tarcza wielkości planety, chroniąca przed zakłóceniami radiowymi i zanieczyszczeniem świetlnym. Chemia, biologia, fizjologia, agronomia w wyjątkowych i niezwykle pouczających warunkach. Kto wie, jakie jeszcze otwierają się perspektywy?

Przemysł. Dziś małe, wyspecjalizowane zakłady. Docelowo wszelkiego rodzaju gigantyczne fabryki nie otoczone delikatną biosferą, produkty wysyłane w aerodynamicznych pojemnikach, które bez trudu wędrują do celu. Albo zostają wysyłane w kosmiczną przestrzeń...

Astronautyka, budowa rakiet i eskortowanie statków do portów, przynajmniej dopóty, dopóki ludzkość nie zagrzeje miejsca gdzie indziej. W przyszłości. Prawdą jest, że na Lunie brakuje pierwiastków ciężkich, brakuje powietrza, wody; ale bogate złoża tych surowców czekają na asteroidach i kometach, aż wreszcie nadejdzie dzień, gdy nie trzeba będzie już niczego wydierać żywej Ziemi.

Przygody, odkrycia, czyny do dokonania i pieśni do odśpiewania.

– Damy sobie radę! – krzyknęła.

Twarz jej zapłonęła. Była przecież na spotkaniu służbowym. Czemu nie powstrzymała takiego dziecinnego wybuchu? Fuentes, człowiek bardzo przyzwoity, wyglądał na odrobinę zakłopotanego. Obraz Guthrie'ego nie miał jeszcze czasu na reakcję. Wyobrażała sobie, jak pobłaźliwie chichocze i przechodzi nad tym do porządku dziennego. Beynac – jego wzrok spoczął na niej. I on też się uśmiechnął.

– Dobra robota, *mademoiselle* – stwierdził.

Blask słońca rozlał się w miliony płasających iskier. Morze mieniło się odcieniami błękitu: ametystem, szafirem, kobaltem. Na wzburzonej powierzchni kotłowały się fale. Szumiały i huczały łagodnie niczym wiatr, a dźwięk ten dorównywał głębią otchłani samego morza. Na zachodzie widniała biała ściana cumulusów, wznosząca się nad ciemną smugą lądu. Dookolną przestrzeń wypełniały ruchliwe barwy, zapach soli i powietrza.

Wtem zapadła ciemność. Przez chwilę Aleka widziała tylko stojący przed nią ejdofon, obrazy na jego ekranie, i słyszała wrzask dobiegający z głośników. Z wolna orientowała się w położeniu, lecz ciepło łagodnego wiatru nie przenikało dalej niż skóra.

Nie ma czego żałować, przebiegła jej przez głowę drwiąca myśl. Już wybierając się na umówione spotkanie, była w kiepskim nastroju.

Czas zaczynał ją gonić na podobieństwo rekina. Zerwała się na równe nogi i wychyliła za lewą burtę.

– Ka’eo! – zawołała. – *Hele mai! Awiwi*, na pokład!

Jej towarzysz wychynął z wody i rzucił się na niski bukszpryt, i przechyliła się. Zakołysała się, gdy przesuwał się po pokładzie w stronę środka, przed kokpitem, do miejsca, gdzie stała Aleka.

– *Kdohi mai’oe!* – ostrzegła: Trzymaj się mocno. Pływak wepchnął przednie płetwy w coś podobnego do kajdan, przymocowanych do specjalnej konstrukcji; ciemne, smukłe ciało ociekało wodą.

Płynęli dotąd powoli, robiąc cztery do pięciu węzłów, bo Alece wcale nie spieszyło się do spotkania z oczekującymi ją ludźmi. Teraz ruszyli z kopyta. Po chwili łódź zaczęła nurkować i szybować gwałtownie jak orzeł, prąc naprzód niczym galopujący jednorożec. Silnik szumiał cicho, obdarzony mocą równą połowie mocy kosmicznego odrzutowca, ale powietrze huczało

obok chroniącej Alekę osłony ze szkliwa.

Za przesłoną napotkała spojrzenie brązowych oczu Ka'eo. Burczał i stękał na tyle głośno, że umiała wyłowić z tego słowa. Mówił w języku anglo, z licznymi japońskimi i hawajskimi zapożyczeniami i coraz większą – z roku na rok rosnącą – liczbą wyrazów charakterystycznych dla Keiki Moana. Lecz takich dźwięków nie potrafiłyby wydać żadne ludzkie usta.

– (Co zmusza nas do takiego pośpiechu, siostró krwi?) Aleka dotknęła krążka na desce rozdzielczej i ponaddźwiękowy impuls przekazał mu jej odpowiedź w odmianie tego samego języka:

– Starcie między dwoma inspektorami, a jakimiś *kauwa*. Co najmniej dwie ofiary. – Rzuciła okiem na transmisję na płaskim monitorze, na niewielkie postacie; ledwo słyszała okrzyki zagłuszone hukiem łodzi.

Nie dostrzegła żadnych zmian na foczej twarzy, tyle że wąsy zaczęły bardziej sterczeć z pyska i przez chwilę zabłyśły kły. Czasami zastanawiała się, co jego rasa odczytuje z jej ruchliwych rysów. Możliwe, że obydwa gatunki były sobie na tyle obce, iż wyraz twarzy znaczył niewiele. Jednak w tonie głosu usłyszała przerażenie:

– (To bardzo źle, orka źle. Przemów do nich, ma siostró! Niech zaprzestaną).

Przez głowę przemknęło jej kolejne szalone pytanie. Skąd wzięło się to wyrażenie? Po tych wodach nie grasowały żarłoczne wieloryby. Keiki Moana z pewnością oglądali je na filmach dokumentalnych i tym podobnych zapisach, ale jakim cudem nazwa orek weszła do języka, i to jako synonim zła? Przecież jej rasa z kolei od wielu wieków litowała się nad wielkimi kotami i chroniła je.

Czy przedomóżgowie u foczych osobników zaległo na tyle cienką warstwą, że ciągle panował w nim lęk przed zwierzętami, które polowały na ich przodków? W takim razie jakie jeszcze odruchy były tam zlokalizowane?

Łatwo mówić o „metamorfach”. Ale czy równie prosto jest o tym pomyśleć? Szczep organizmów, których DNA zmodyfikowano, tworząc coś niewidzianego dotąd w przyrodzie – mikroby, które powodowały rozkład lub kawałkowanie toksycznych odpadów. Drzewa o żywicy, która była paliwem. Egzotyczne zwierzęta. Mówiące. Lunarianie... ale po takich przekształceniach organizmu jakie zmiany zachodzą w mózgu? W duszy?

Może wszystko wzięło się stąd, że pewne Keiki zawędrowały – bez wiedzy ludzi – daleko na północ i powróciły z opowieściami o orkach? A może nie? Jak niewiele wiedziała o tych stworzeniach, swoich przyjaciółach i towarzyszach w Lahui Kuikawa.

Na razie to nieważne, zwłaszcza dopóki w pobliżu się mordują. Z wysiłkiem się opanowała, siedem razy powtórzyła Mantrę Tulipanów, wreszcie poczuła, że bolesne napięcie opuszcza kręgosłup, a ręce przestają drżeć.

– Major Delgado, *por favor* – poprosiła do słuchawki, używając lądowego anglo. Na ekranie pojawiła się blada twarz mężczyzny. – Płynę do was pełną parą. Ale nie możecie tego jakoś opanować?

Szef zespołu śledczego Władz Pokojowych przygryzł wargi.

– Staramy się – wykrztusił – ale nie słuchają. Czy oni w ogóle rozumieją, czym to grozi?

Możliwe, że nie. Ich młode pokolenie utrzymuje z nami coraz mniej kontaktów. A co się dzieje w tej chwili?

– Zawieszenie broni. Niech pani sama zobaczy. – Delgado przekreślił skaner i Aleka ujrzała wszystko na własne oczy.

Pojazd jego grupy, niewielka łódź podwodna z wieżyczką obserwacyjną, dryfował przy krawędzi biopasma. Za prawą burtą jak okiem sięgnąć ciągnął się zielony dywan luźno splecionej roślinności, pulsujący falami i przecinany nurtami, chłonący światło i produkujący materiał, na którym zależało projektantom w tym przypadku, jak wiedziała Aleka, chodziło o antyrakową

zasadę wirusową. Na horyzoncie kręcił się połyskujący metalicznie hodowca, pochłonięty wyłącznie swoimi obowiązkami, wszechstronna maszyna zdolna do uczenia się i znacznego przystosowania, pozostająca jednak pozbawionym świadomości robotem.

Za lewą burtą widać było obrzydliwie lśniące, czerwone smugi. Fontanny piany tryskały raz po raz w miejscach, gdzie jakieś podłużne kształty zanurzały się w wodzie, przebijały jej powierzchnię lub miały się na niej jak nieprzyjaciele. Te kształty otaczały statek, a było ich więcej, niż przypuszczała dziewczyna, dwadzieścia, może nawet trzydzieści. Chrapliwe ryki wydobywające się z ich gardeł docierały przez telefon aż do uszu Aleki. Zespół Delgado ustawił się przy relingu – dziesięcioro kobiet i mężczyzn w błękitnych uniformach polowych. Każde trzymało w rękach broń.

Skaner znów pokazywał twarz dowódcy.

– Wielokrotnie apelowałem przez amplisonor o spokój – mówił zdesperowany Delgado. –

Nie zwracają na to najmniejszej uwagi. Rzecz jasna nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia, ale... Co robić? Zanurzyć się? Opuścić tę okolicę? – Zesztywniał. – Nie możemy dać im do zrozumienia, że zwyciężyli, przecież łamią prawo.

– Chwileczkę. – Zażądała podania swojego położenia. Współrzędne pojawiły się na desce rozdzielczej. – Zjawię się na miejscu za dokładnie dziesięć minut. – Zaczerpnęła tchu. – Co się właściwie stało? *Por favor*, niech pan zacznie od samego początku, *señor*.

W trakcie wypraw poza terytorium Hawajów poznała wartość uprzejmości, graniczącej czasem z uniżonością. Zresztą podczas krótkiego kontakty z Delgado odniosła wrażenie, że to porządny człowiek. Jeśli nawet w pracy musiał się z nią ściierać, nie była to jego wina; za to teraz mogli połączyć siły, żeby nie dopuścić do dalszego rozlewu krwi.

– *Ciertamente* – skinął głową. – Podczas rejsu zauważyliśmy znaczące ślady naruszenia prawa, zwłaszcza ekologicznego; ale o szczegółach będzie pani mogła przeczytać później, kiedy

przedstawimy raport. Dopiero tutaj natrafiliśmy na takie rażące wykroczenia, kiedy to stado fok – to znaczy, hm, metamorfów – bez osłonek trzebiło ławice ryb niezbędnych dla istnienia całego pasma. Na pewno wie pani, o jakich gatunkach mówię.

Wiedziała. Nie chodziło o ten drobiazg, który żywił się pasożytami, lecz o ryby pasące się na morskiej roślinności: tłuste, leniwe, wcielone pokusy.

Systematyczne wyłożenie sprawy chyba przynosiło Delgado ulgę.

– Wezwałem je do zaprzestania polowania. Zignorowały mnie. Wtedy kazałem do nich podpłynąć; też nie poskutkowało. *Señorita*, jesteśmy zobowiązani służyć prawu i dobru ogółu. Przybywało coraz więcej fok. Było jasne, że kłusuje duża banda. Posłałem do nich płetwonurka z karabinem wstrząsowym. Wymyśliłem, że oszołomimy kilka – boleśnie, ale bez urazów – w nadziei, że się rozproszą. Tymczasem dwie z nich zaatakowały naszego człowieka. Wie pani, *señorita*, że to duże zwierzęta o ostrych kłach. Zostały zastrzelone z pokładu naszej jednostki, i słusznie. Płetwonurek wrócił. A teraz te stworzenia zachowują się tak, jakby nas oblegały. Wiedząc, że pani się do nas zbliża, od razu panią zawiadomiłem. – Westchnął. – Żałuję, że nie było tu pani od samego początku. Ale już za późno, prawda?

– Pański plan był w danych okolicznościach jak najbardziej racjonalny, majorze – przyznała Aleksa.

Przygotowując się na czekające ją spotkanie, powtarzała w myślach wszystkie okoliczności: skargi, podejrzenia, udowodnione straty, gwałtowne wypadki, a na dodatek statystyki demograficzne. Władza Pokojowa z pewnością się nimi bliżej zajmie. Jedynym zaskakującym elementem było to, że tak długo nikt się nimi nie interesował. Delgado napomynał o tym – o nadziejach, że Lahui jakimś sposobem rozstrzygną te problemy między sobą. Tak, kiedy w końcu urzędowe śledztwo okaże się nieuniknione, najlogiczniejszym wyjściem będzie wysłanie inspektorów wysokich rangą, maksymalnie przygotowanych przez bazy danych

i vivifery. Miejscowi przewodnicy mogliby bowiem, świadomie lub nie, wprowadzić ich w błąd. Jednak ona była w Lahui ludzkim łącznikiem pomiędzy Keiki Moana a resztą świata. Byłoby całkiem rozsądne, gdyby wraz z jakimś metamorfem dołączyła po pewnym czasie do zespołu; mogłaby służyć swoim doświadczeniem i zaprowadzić inspektorów do miejsca, gdzie jej zdaniem winni przeprowadzić obserwacje. To, że walka rozpętała się, gdy byli jeszcze w drodze, stanowiło zwykły zbieg okoliczności.

I to niezbyt zaskakujący, pomyślała Aleka. Zwłaszcza gdy pamiętało się, od jak dawna wre w tych wodach nienawiść.

Delgado skrzywił się, jakby uznał, że zbytnio ujawnił swój miękki charakter.

– Nie pierwszy to raz, kiedy ktoś ginie – oznajmił. – Zdarzały się trupy ludzi.

– I nie tylko ludzi – dorzuciła.

Przy niewielkim wysiłku wyobraźni mogła usłyszeć, jak Delgado myśli, jak dobiera słowa.

Przecież obdarzone świadomością metamorfy miały wszystkie prawa, niezależnie od tego, czy pochodziły z jego gatunku, czy z innych. To samo odnosiło się do sofotektów, o których nie sposób było powiedzieć, że mają przodków – jeśli „prawa” oznaczały coś sensownego dla inteligencji nieorganicznej, myślała Aleka.

– Szkodliwą działalność... prowadziły... niemal wyłącznie... foki – cedził Delgado. – Ludzie, którzy zginęli, usiłowali się im przeciwstawić. – Natrafili na nie przypadkiem i zareagowali gwałtowniej niż nakazywałby rozsądek. Ale kto mógłby apelować do wściekłości o rozsądek?

– W sumie było siedem ofiar – odpowiedziała Aleka. – Oraz trochę obrażeń, które nie były śmiertelne. Wśród Keiki Moana ofiar było więcej. – Ludzie z reguły wozili na okrętach narzędzia, noże, trójzęby, bosaki, kotwice, których można było w razie czego użyć jako śmiertelnej broni. Podobnie jak kadłubów samych statków, gdy taranowało się nimi pływające ciała.

Twarz Delgado stężała.

– Położymy temu kres, *señorita*. A ja nie mówiłem, że ludzie są bez winy.

Chyba wiedziała, o co mu chodzi. I poczuła, jak w jej ciało wkrada się z powrotem chłód.

– Poczekajcie – powtórzyła. – Nie wolno ich prowokować. Zaraz będziemy na miejscu.

Kiwnął głową i wyszedł poza zasięg skanera, choć nie wyłączył telefonu. Popatrzyła przed siebie, poza tułów Ka'eo. Łódź podwodna była już widoczna jako niewielka smuga na widnokręgu, szybko rosnąca w oczach. Przełączyła na ręczne sterowanie, jej dłonie zaczęły śmigać nad deską rozdzielczą. Łódź została nakierowana na cel i pomknęła przed siebie.

– Zrozumiałeś wszystko, Ka'eo?

– (Tak sądzę, siostrze krwi) – odparł.

– I co ty na to? – Mówiła do Keiki, więc metafora nabierała dosłownego sensu: – Jak twoje zmysły odbierają tę wodę?

– (Wir w rafach). – Zamilkł na chwilę.

Jego rasa bardzo powoli i ostrożnie podchodziła do poważnych rozważań, jak gdyby darzyła tę umiejętność wielkim szacunkiem, jako coś nowo nabytego. Alece nieraz przychodziło do głowy, że właśnie tak mogła wyglądać prawda. Kilka stuleci minęło od czasu, gdy eksperymenty doprowadziły do narodzin tej rasy... Czy pierwsi ludzie także z największą uwagą zastanawiali się nad każdym następnym krokiem?

– (*Kauwa*) – podjął, możliwie najstaranniej wypowiadając to słowo. Osąd był oczywisty, lecz ciąg dalszy wymagał wykorzystania wiedzy. – (Nie znaleźli się tutaj przez przypadek. Tworzą zorganizowaną grupę z przywódcą, który zaplanował ten wypad. W przeciwnym razie już by się rozproszyli. Muszą trzymać pod wodą sieci lub saki napełnione rybami, które wezmą do domu. Ale dla nich dom nie może oznaczać żadnej stałej kolonii, bo na pewno bym o tym słyszał.

Muszą przemieszczać się według jakiegoś planu wśród wysepek, skał, niewielkich,

niezamieszkanymi zatokami i plażami. To ziarno... narodu, ma siostrę).

– Nomadowie. – Skrzywiła się. – Domyślałam się. – To było chyba wcześniej czy później nie do uniknięcia. – Ale dlaczego zaatakowali, gdy przyłapano ich na grabieży, czemu nie uciekli?

– (Ci dwaj zaatakowali chyba rozwścieczeni. Najwyraźniej byk alfa rozkazał im powstrzymać się, lecz zarazem pozostać na miejscu. Zapewne chce dać pokaz siły, zdecydowania).

Zamarło jej serce. Zabiło znowu na dźwięk jego skrzeczącego głosu:

– (Ale może liczy na negocjacje, a przynajmniej na rozmowę. Wie, że nie wygra. Jeżeli pływa w nim ziarno mądrości, doskonale wie, że żaden lud *kauwa* nie przetrwa zbiorowego polowania mieszkańców lądu. I że nie jest wart ocalenia, gdy ma tylko to, co może ukraść, bez pisma, obrazów, robotów, maszyn, narzędzi).

Bez rąk, dodała w myślach Aleka. Ogarnęło ją przygnębienie. Jakim prawem naukowcy rozdęli te mózgi, tworząc coś, co nie było ani dobrym człowiekiem, ani porządną foką? Badania nad naturą inteligencji to kiepska wymówka. Mózgi tych naukowców należało zasejwować, żeby mogły się teraz smażyć w wirtualnym piekle.

Nie. Poniosło ją. Gdyby mogła przenieść się w czasie, jakim prawem miałyby nie dopuścić do stworzenia tych ukochanych istot, braci krwi i źródła tożsamości Lahui? Ka'eo był tym, kim był, dobrym Keiki Moana, który myślał o przyszłości swej rasy.

Z powrotem opanował ją chłodny spokój. Zbliżali się do okrętu rządowego. Wyłączyła napęd. Szum ucichł, kadłub opadł, fale obijały się o burty, spryskując jej wargi solą. Łódź sunęła w kierunku banitów.

Zauważyli ją i umilkli, stając się ciemnymi plamami, od których roilo się w wodzie.

Promienie słońca odbijały się od wilgotnych futer i wielkich oczu. Ka'eo rozłożył płetwy, obrócił

się i warknął coś do pobratymców.

Na ekranie telefonu ukazał się obraz Delgado. Aleka zobaczyła, że oficer stoi na pokładzie obok wieżyczki, otoczony uzbrojoną załogą.

– Co robicie? – zapytał stanowczo.

– Próbujemy nawiązać kontakt, panie majorze. Jeżeli dopisze nam szczęście, zaczniemy negocjacje.

– Co? Niemożliwe. To przestępcy. Jesteśmy w kontakcie ze stacją na wybrzeżu. Uruchomili swoje monitory w paśmie i okazuje się, że szkody zostały wyrządzone...

– *Por favor*. Nie zamierzamy podpisywać żadnych układów. Może uda nam się zakończyć to starcie bez dalszego rozlewu krwi. Najlepiej będzie, jeśli nikt nie będzie nam w tym czasie przeszkadzał. Im także.

Delgado zaczerwienił się i przełknął ślinę, po chwili skinął głową i odszedł od ekranu. Aleka zdała sobie sprawę, że ma przed sobą sprawnego oficera, postawionego jednak w położeniu, którego nie rozumie. A co ona ma powiedzieć o sobie?

Jakiś długi kształt, pozostawiając na powierzchni smugę piany, dopłynął do jej łodzi. Pokryta bliznami głowa uniosła się ponad bukszpryt. Po chwili Ka'eo zsunął się na pokład i stanął przy towarzysze.

Zdarzenia następnej godziny były dla kobiety nie do końca zrozumiałe, a czasem zupełnie niepojęte. Keiki Moana porozumiewali się między sobą środkami znacznie bogatszymi od mowy. Często znikali na całe minuty pod wodą; innym znów razem odpływali od stada, ocierając się nosami lub klepiąc płetwami w grzbiety; albo unosili się na wodzie, bez ruchu i bezgłośnie.

Wysoko nad nimi szybowały dwie fregaty o skrzydłach i rozszczepionych ogonach podobnych do wyciągniętych mieczy. Na zachodzie piętrzyły się chmury, pod nimi kłębiła się ponura ciemność, w końcu lunął błękitnoszary deszcz, którego szmer Aleka słyszała z odległości paru

kilometrów.

Nareszcie przyszła jej kolej na zabranie głosu. Potem byk alfa stęknął:

– (Tak popłynie ten strumień) – i wrócił do swoich popleczników. Na krótko rozległ się jakiś hałas, po czym foki jak jeden mąż zniknęły pod wodą. Po jakimś czasie spostrzegła, jak wynurzają się znowu, już w pewnej odległości na północ od pasma. Kilka holowało sieci pełne lśniącej zdobyczy.

– Co jest? – zawołał Delgado. – Co wy wyprawiacie? Aleka westchnęła. Ta godzina ją wyczerpała, wysssała z niej wszystkie soki.

– Uzgodniliśmy, że mogą odejść...

– Bez kary? Zabierając swoje łupy? Nie!

– *Senior*, stracili dwóch towarzyszy, inni odnieśli poważne obrażenia, ryby i tak już zdechły, a cały ich wysiłek na niewiele się zdał. Jeżeli pozwolimy im wrócić do siebie, pozostawią biopasma w spokoju przez trzy miesiące, według miary księżycowej, nie będą też nękać rybnych ławic. Będą starali się wyżywić tym, co złapią na pustkowiach. W tym czasie ich przywódcy będą prowadzić negocjacje z... godnymi przedstawicielami waszej strony, próbując dojść do trwałego porozumienia. Może pan za nimi podążyć i wszcząć prawdziwą wojnę, ale moim zdaniem cała sprawa zakończyła się wyjątkowo pomyślnie.

Delgado przygryzł wargi. Wreszcie zapytał:

– *Señorita*, przyjdzie pani do nas, żeby opowiedzieć wszystko w szczegółach?

– Ależ oczywiście.

Zbliżając się do nich, czuła, jak wzrasta jej tętno. W myślach odmówiła Mantrę Cierni i z jakiegoś wewnętrznego źródła powrócił spokój. Jednym susem wyskoczyła z kokpitu, chwyciła za reling, przycisnęła bose stopy do ogrzanego słońcem metalu łodzi podwodnej i wskoczyła na pokład. Jej łódź odpłynęła niesiona prądem, pilnowana przez czujnego Ka'eo.

Konstabile uważnie przyglądali się gościowi, mężczyznom jej widok sprawiał przyjemność.

Mieli przed sobą młodą kobietę – dwudziestoośmioletnią – średniego wzrostu, ubraną w szorty i kostium. Pływaniu, bieganiu, wspinaczce i intensywnej gimnastyce zawdzięczała idealną figurę.

Po wielu ludzkich rasach odziedziczyła śniadą cerę, faliste, czarne włosy z niebieskawym połyskiem, teraz związane w kok tuż poniżej uszu, okrągłą głowę, szeroką twarz, krótki nos, pełne usta, duże, ciemnoszare oczy. Zdyscyplinowani członkowie oddziału pozostali na miejscach, gdy Delgado z jeszcze jednym człowiekiem wyszli jej na powitanie.

Dowódca sztywno uścisnął jej dłoń. Miała twardą skórę.

– *Bienvenida* – zaczął. – Z doktorem Zaidem Hakimem chyba się nie znacie. Jest tu z nami w charakterze obserwatora z ramienia ministra ochrony środowiska. Doktor Hakim, *señorita* Aleka... hm, Karne?

– Alice Tam – przedstawiła się w języku anglo, po czym dodała: – *Buenas tardes, señor.*

Odziany w proste ubranie cywilne Hakim skłonił się.

– Dzień dobry. – Mówił rzeczowym tonem naukowca. – Gratuluję niezwyklej skuteczności działania. Czy dobrze rozumiem, że występuje pani w imieniu swojej społeczności, *mademoiselle* Tam?

– Nie – odparła zaskoczona Aleka. – Nikt nie ma prawa do czegoś takiego. Jestem tłumaczką, tak, można to tak ująć. – Ale skąd on miałby znać jej lud? Ile jego ugrupowań istniało na świecie? Pół miliona? Wiele z nich było płynnych jak piana. Lahui Kuikawa obejmowało około dziesięciu tysięcy ludzi na niewielkiej wysepce na Hawajach i jakieś pięćdziesiąt tysięcy Keiki Moana, może znacznie więcej, pływających po największym z oceanów.

Czy takie życie na uboczu chroniło tę społeczność? A może ta izolacja dobiegała już końca?

– Chodźmy porozmawiać pod pokład – zaproponował Delgado, a do załogi rzucił: –

Spoczniej, ale bądźcie czujni.

W porównaniu z jaskrawą jak stopiony metal powierzchnią morza w jego kabinie panował mrok i chłód, było ciasno, chociaż niczego nie brakowało. Wysunął trzy krzesła.

– Proszę siadać – zachęcił. – Coś do picia? – Serwotuba podała kawę dla niego i Hakima, piwo dla Aleki. Czują, że na nie zasłużyła.

Pieczenie jak po drapnięciu kota zniknęło, gdy Hakim stwierdził:

– Tak, poszło pani nadzwyczajnie, *mademoiselle*, lecz obawiam się, że pani wysiłki okażą się w zasadzie daremne. – Uniósł rękę.

Nie, nie ruszymy w pościg. Jednak Federacja nie może układać się z bandytami.

– To niewłaściwe określenie, *señor*. – Aleka zdobyła się na odwagę.

– A jakie byłoby właściwe?

– Żadne pana... Federacji słowo ani prawo do nich nie pasuje. Oni są *kauwa*.

– Proszę jaśniej.

– Od czego mam zacząć? We współczesnym hawajskim *kauwa* oznacza z reguły służbę, lecz może również mieć dawny sens rozbitka, wygnańca, choć niekoniecznie wroga publicznego, raczej kogoś, kto nie przystaje do reszty społeczeństwa, na przykład ze względu na podejrzaną pochodzenie albo niestosowanie się do zasad lub po prostu dlatego, że zbyt długo przebywał z dala od ludzi.

– Muszę zapamiętać to słowo – powiedział Delgado. – Na świecie istnieje niewiele takich określeń. – Nie są jej wrogami, pomyślała Aleka. Nie chcieli nikogo prześladować. I przez to byli jeszcze groźniejsi.

– *Bueno* – podjęła. – W miarę jak rosła liczba Keiki Moana, musieli naturalnie poszukiwać coraz to nowych terytoriów... Chwileczkę. Niech skończę, *por favor*. Nie mogli i nie powinni byli pozwolić sobie na życie emerytów, karmionych i trzymany za ogrodzeniem. To nie są chomiki ani zwierzęta cyrkowe, to istoty obdarzone świadomością! Chcieli zrealizować swój...

swój potencjał, stworzyć kulturę, która nie mogła być taka jak nasza. Czy po sofotektach spodziewacie się, że będą działały, myślały i czuły jak wy? Co więc powiedzieć o metamorfach? Czego możemy dowiedzieć się, jaką inspirację odnaleźć w cywilizacji organicznej innej niż ludzka?

Z trudem powstrzymała się, by nie powiedzieć „żywej”. Lepiej nie ujawniać żadnej wrogości wobec sztucznej inteligencji, określać ją mianem elektrofotonowej. Zresztą mówienie szło jej coraz płynniej. Ile już razy wyjaśniała te sprawy nie wtajemniczonym?

– W tym celu musieli stać się samowystarczalni. Wiedzą panowie o rybich fermach, oswojaniu delfinów, akwakulturze, przedsięwzięciach rekreacyjnych pracach wydobywczych, misjach ratunkowych i badawczych, i całej reszcie prac, które potrafili wykonywać wspólnie z ludźmi, czy to na morzu, czy na rafach. Byli intensywnie wykorzystywani, lecz to się opłacało, bo zaoszczędzono na robotyzacji. Dochody umożliwiają nam, Lahui, utrzymywanie swoich poetów, myślicieli, pieśniarzy, artystów, tancerzy, wynalazców, marzycieli. Naszego ducha. Ale roboty taniały. A populacja Keiki rosła. Wraz z nią bieda. Coraz częściej musieli wybierać się na polowania. Regularne, bezpośrednie kontakty z Lahui, jądrem społeczeństwa, stawały się rzadkością. Stąd właśnie wzięli się *kauwa*, *señores*. To biedacy, ludzie z obrzeży społeczeństwa. Fakt, niektórzy wrócili do stanu barbarzyństwa. Ale czy można ich za to winić? – Nabrała tchu. – Wybaczcie, jeżeli powtarzam to, co wiedzą wszyscy. Wiem, majorze Delgado, że zna pan już większość tych faktów. Ale czasami trudno się zorientować, co w waszej ortosferze jest powszechnie znane.

Hakim uniósł brwi.

– Czyli uważa pani, że ci... Lahui należą do heterosfery?

– *Bueno*, nie mamy wiele wspólnego z gospodarką globalną ani cyberkosmosem. Tak, wydaje mi się, że wszyscy możemy sprawiać na was wrażenie *kauwa*. – Aleka wyzywająco

wypiła swoje piwo.

Gdyby powiódł się bunt Liudowa, przynajmniej na międzyziemiu, gdzie maszynom stawiano jeszcze jakieś ograniczenia... ale to były sny na jawie. Sprawa była od początku skazana na klęskę; i może tak powinno być. Nie ma sensu powracać do romantycznych obrazów dzikości, która zniknęła, kiedy jej nie było jeszcze na świecie. Jurij Wołkow doszedł do takich właśnie wniosków... po czym się od siebie oddalili...

Pani metamorficzni przyjaciele mogliby dostać wszystko, włącznie z obfitym pożywieniem, gdyby tylko poprosili – stwierdził Hakim. – Wystarczy przestrzegać prawa, nie niszczyć cudzej własności i środowiska.

– I zrezygnować z wolności? – zripostowała. – Łowy mają w genach.

– Ludzie się przystosowują.

– Ludzie już od bardzo dawna mają po temu o wiele więcej okazji. Zresztą świat w znanej nam dziś postaci wywodzi się od nich. A nie jestem pewna, czy wszyscy są aż tak bardzo szczęśliwi.

– Przy odpowiednim ograniczaniu wzrostu demograficznego pewien stopień żerowania na dzikiej przyrodzie mógłby zostać zintegrowany z ogólnym ekosystemem i stać się dopuszczalny. Ale focze łowy wymykają się spod kontroli i przybierają poważne rozmiary.

– Kontroli urodzin nie mają w genach. – Raptem uświadomiła sobie, jak żałośnie wypadają jej argumenty w obliczu tego nieubłaganego rozsądku.

– Ludzie z reguły dają sobie z tym radę – oświadczył Hakim. – Zdarzają się wyjątki. Pani małe społeczeństwo – ci, hm, Lahui Kuikawa – nie starają się ograniczać liczby narodzin. Chodzi mi oczywiście o ludzi żyjących w tej społeczności. Na waszej wyspie robi się ciasno, prawda? Wkrótce będziecie musieli zrezygnować ze swojej, jak pani to ujęła, wolności.

– Potrzeba nam czasu – przekonywała Aleka. – To jasne, że musimy ograniczać swoją liczbę.

Żyjący z nami blisko Keiki również zdają sobie z tego sprawę. Obydwa nasze gatunki zajmują się tą kwestią i niedługo przedstawimy ten problem *kauwa*. Oni też nie są idiotami. Ale... żyć z niewielką liczbą dzieci, niewielką liczbą małych... Dajcie nam czas!

Chciała mówić dalej: nie jest to kwestia osobistego wyboru. Sęk w tym, że zawsze byliśmy młodym narodem. Radość i lekkomyślność, niespodziewana miłość w blasku księżyca i domy pełne dzieci, świętowanie urodzin, wiosenne karuzele, tak, i szacunek dla starszych, których mądrości wielu z nas nie zdobyło, te wszystkie i wiele innych spraw składało się dotąd na nasze życie. Nie możemy się tak z dnia na dzień zmienić.

Poza tym Keiki Moana to nasi duchowi krewni. Bardzo możliwe, że my od nich nauczyliśmy się znacznie więcej niż oni od nas. Nasi przodkowie opiekowali się ich kolonią, gdy nie mieściła się już na dużej wyspie i trzeba ją było przenieść na Nuhau. (Ognista Kula, pierwszy protektor kolonii, została rozwiązana. Sam Guthrie odleciał na Alfa Centauri. Ktoś musi stać się pośrednikiem między tymi stworzeniami a światem ludzi i maszyn. Czy wy, ludzie, zapomnieliście o historii, która nas stworzyła?) W miarę jak się usamodzielniali, przybywali inni ludzie, pomagali im i brali udział w ich życiu. Przybyszami byli ci, których morze i otwarte niebo, wieś i łódź na falach, blask ognia i gwiazd odciągały od świata cyberkosmosu. Dzieci wychowywali zgodnie z takimi zasadami. Członkowie kolejnych pokoleń, którym nie przypadło to do gustu, mogli wynieść się gdzie indziej. Ci, którym się podobało, zostawali i w coraz większym stopniu przeobrażali się w Lahui Kuikawa, Wolny Lud. I byli rodzeństwem krwi Keiki Moana, wybierali się z nimi na wyprawy, zgromadzenia, wspólnie się radowali i obchodzili żałobę, dopóki nie zbudziły się te głęboko pogrzebane instynkty morza.

Nie, chciała powiedzieć, nie chowaliśmy się przed światem. Nie próbowaliśmy przywrócić idealnej epoki kamienia, która nigdy nie istniała. Jestem na to dowodem. Lecz stworzyliśmy życie, które jest nasze, jest nami, i z własnej woli nie pozwolimy go unicestwić.

Ale w tej sytuacji kontynuowanie rozmowy nie miało sensu. Dość się już nagadała.

Hakim uśmiechnął się – odniosła wrażenie, że z pewnym żalem.

__ Potrafię panią zrozumieć – oświadczył. – Sądzę, iż po dalszych badaniach poradzę rządowi, by udzielił zgody na pani propozycję i podjęcie prób zawarcia jakiegoś porozumienia z... *kauwa*. Przynajmniej z tą ich grupą. Będzie nam bardzo potrzebna wasza pomoc, cywilizowanych... Lahui, w trakcie negocjacji i później, żeby dopilnować przestrzegania postanowień układów.

Opadła mu warga. Potrząsnął głową.

– Ale będę szczery, *mamselle*, i powiem, że nie spodziewam się znaczących efektów.

W najlepszym wypadku złodzieje zgodzą się na przyjmowanie pożywienia, opieki medycznej i innego rodzaju pomocy. Historia uczy, że to ich zdemoralizuje, doprowadzi do wzrostu elementu przestępczego, a z drugiej strony nie ograniczy reprodukcji. Pozostaje jeszcze wasza kultura. Pod wieloma względami jest godna podziwu. Ale czy jest w stanie przystosować się... powiem otwarcie... do rzeczywistości?

Czasu, chciała zawołać Aleka. Dajcie nam czas, miejsce, ziemię i wodę, gdzie nie wszystko jest czyjąś własnością i podlega jakimś przepisom; zostanmy przez jedno czy dwa pokolenia sami, żebyśmy mieli szansę się zmienić i przy okazji nie ulec zagładzie.

Ale w tej sytuacji nie powiedziała nic.

Nie miało też sensu dłużej tu z nimi siedzieć. Po tym, co zaszło, zespół nie popłynie dalej.

Przedłoży raport i zostanie niewątpliwie odwołany do bazy, gdzie jego członkowie otrzymają przydziały do innych zadań. Gdy będą potrzebne rady Delgado albo Hakima, wystarczy telekonferencja, gdziekolwiek się znajdą.

Aleka znała to uczucie leżenia w trumnie, gdy zamykają wieko.

Mimo to pobyła z nimi jeszcze dwie, trzy godziny. Mężczyźni zadawali jej pytania,

przebiegłe, lecz uprzejme. Bardziej interesowało ich słuchanie niż mówienie. Nieoczekiwanie dla samej siebie zaczęła opowiadać im dużo o domu:

– wyspa, góra wznosząca się nad koralowcowym lądem, sady, łąki, parki, niegdyś urocze, okolone morzem zacisze, teraz jednak trudno było znaleźć odludne miejsce, bo wioska rozrosła się do rozmiarów...

– miasta. Niegdyś stał tam barak otoczony chatami mieszkańców, którzy gromadzili się w nim na uroczystości, święta i w celu rozwiązywania wspólnych spraw. Dziś kilkanaście tego rodzaju skupisk służyło także liczbie *ohana*...

– wielopokoleniowych rodzin, których członkowie opiekowali się sobą od momentu narodzin do kremacji. Tak, dzieci znały oczywiście rodziców, obdarzały ich największą miłością i otrzymywały od nich najwięcej wskazówek; ale wujkowie, ciotki, kuzyni, dziadkowie i pradziadkowie byli równie bliscy i zawsze można było zamieszkać w ich domach. Tak, ludzie naturalnie się kłócili, prowadzili rodowe wojny, kłamali, oszukiwali, kradli i zdradzali, może nawet częściej niż wyobcowane jednostki w świecie łatwo tworzonych i kończonych związków; lecz *ohana* znajdowała sposoby załatwiania sporów. Oprócz przyjaciół, szacownych starszych i tradycyjnych obyczajów, pozostawał jeszcze wpływ *luakini*...

– świątyni, w której uczestniczono w prostych obrzędach i wielokrotnie słuchano prostych słów Dao Kai, które Kelekolio Pela wypowiedział dawno temu, morskich nauk dla morskiego ludu. Odbywały się również zgromadzenia świeckie, podczas których dorośli, jeśli im na tym zależało, mogli omawiać rozmaite kwestie i głosować we wspólnych sprawach i podczas których rozstrzygano różne spory. Przestępców przekazywano policji na Oahu, ale najgorszą karą było wygnanie, wydalenie z wyspy, z *ohana*, spośród ludu...

– i ich pieśni, opowieści, tańce, zabawy, święta, uroczystości, niektóre wymyślone przez Keiki Moana, wszystkie charakterystyczne dla duszy Lahui. Wspólnota nie próbowała odgradzić

się od świata, ale też w żaden sposób nie przyciągała przypadkowych gości, dzieci zaś przed odbywaną w wieku dwunastu lat inicjacją mogły oglądać programy w multiodbiornikach jedynie w celach edukacyjnych. Potem wykształcenie mogły zdobywać gdzie indziej, jak uczyniła to Aleka. Ale jeżeli lata wczesnej młodości wystarczająco głęboko zapadły im w pamięć, po powrocie wolały zachowywać ukochany styl życia. Wszyscy niezadowoleni mogli odejść. I coraz więcej tak robiło. Nie zawsze z radością...

– bo faktycznie Lahui, zarówno ludzie, jak i foki, rozmnożyli się tak, że przydzielony im obszar morza oraz działalność, jaką prowadzili, nie mogli ich wyżywić. Celem połączenia się obydwu ras było zdobycie gospodarczej niezależności i opanowanie sztuki wyżywienia się z wody. Mając do dyspozycji robotykę, biotykę, energetykę, nanotechnologię, wyćwiczone umysły i sprawne ciała, przez wiele pokoleń wiedli życie łudzące swą prostotą. Swoje wytwory wymieniali na produkty i ograniczoną ilość artykułów luksusowych z zewnątrz. Ale w miarę przyrostu ludności wyspy malał globalny popyt; sytuację pogorszyły jeszcze odzysk i synteza bezpośrednia. Gdy traciły na znaczeniu kopalnie i rafinerie poza Ziemią, jak mogło przetrwać kilka pomniejszych firm na morzu?

– A, tak – podsumowała Aleka – możemy żyć na kredyt Federacji. Nie umrzemy z głodu, nie zachorujemy i nie stracimy domów. *Gracias* za to.

Hakim pominął milczeniem gorycz w jej głosie. Sam przemówił łagodnie:

– Nie, podziękowania należą się przede wszystkim współczesnej wydajności. Potem tylko rozdziela się dobra. Na co wy przeznaczacie swój kredyt?

– Na co się komu podoba. – Aleka wzruszyła ramionami. – Często na coś dla swojej *ohana*.

Keiki zamawiają zwykle zabawki, niektórzy oszczędzają na zakup sprzętu. To znaczy ci, którzy pobierają kredyt. A znajdują się w mniejszości.

– Czyja to wina, że większość Keiki nie jest zarejestrowana?

– Nikogo nie obwiniam. – Aleka westchnęła. – Mówię jedynie o faktach. Kiedy już wszystkim pozostanie tylko kredyt, będzie po nas. Ludzie będą żyli, to nie ulega wątpliwości, ale ich życie straci jakikolwiek sens i sama nie wiem, co wtedy zrobimy, chodzące, pływające duchy.

– Będziecie się musieli zmienić – oznajmił Delgado tonem mniej brutalnym niż słowa. – Poczynając od waszych *kauwa*.

Nie chcemy na nich polować z robotami i karabinami, żeby wsadzać ich do więzienia. Ale oni zagrażają regionalnej równowadze biologicznej i trzeba położyć temu kres. Włącznie z niepohamowanym rozmnażaniem się. Poprzez przymusowe szczepienia, jeżeli nie pomogą inne sposoby. – Nie wspomniał o historycznych precedensach. Wiedział, że ona zdaje sobie sprawę, iż w tym przypadku nie będzie mowy o powszechnym oporze, z jakim spotykały się niektóre z tego typu kroków.

– Najpierw przekonamy się, co wyjdzie z porozumienia, które pani dziś zawarła, *mamselle* Tam – dodał Hakim. – Może to być początek owocnej współpracy, szczególnie jeśli do układów przystanie pani miasto. Ale Lahui też muszą się zmienić.

– Żądacie, żebyśmy zmieniali się prędzej niż jesteśmy w stanie – protestowała Aleka. – Jeszcze raz powtarzam, że nie jesteśmy neonomadami. Nasz sposób życia to my. Dajcie nam czas, dajcie nam dość miejsca, dostęp do środków, żebyśmy na razie mogli wytwarzać to, co chcemy, żebyśmy nie musieli uzależniać się od waszych wyrobów i cen, które nam podyktujecie! Wyraz twarzy Hakima stawał się coraz surowszy. Jemu także wyczerpywała się cierpliwość.

– *Mamselle* Tam, jeszcze raz powtarzam, że spełnienie pani próśb nie jest możliwe. Zakłóciłoby to funkcjonowanie istniejących pasm, ferm, przemysłu wydobywczego, które i tak mają już znaczenie marginesowe. Spowodowałoby zakłócenie ekologicznego porządku w tej części Pacyfiku. Byłoby niezgodne z planami przystosowania i konwersji, obejmującymi okres, w którym te firmy i instytucje będą likwidowane. Są to sprawy o znaczeniu ogólnoplanetarnym,

znaczeniu – w porównaniu z którymi śmierć jednej kultury to tylko kwantowe wahnięcie.

– Ten spór jest pozbawiony sensu – wtrącił się Delgado. – Doktor Hakim i ja nie jesteśmy upoważnieni do podejmowania żadnych decyzji. Złożymy raport i przedstawimy swoje zalecenia wspólnie z setkami innych badaczy – włącznie z sofotektami i robotami kontrolującymi – lecz decyzje zapadną w Hiroszynie. Jeżeli macie ochotę, możecie przedstawić swoją sprawę na forum publicznym. Niech wasi przedstawiciele przekonają delegatów na Zgromadzenie. Złóżcie apelację do Sądu Najwyższego albo Prezydenta.

Albo Teraumysłu? – zatrzęsała się Aleka. Szczyt, ostateczna inteligencja cyberkosmosu.

W dawnych czasach, pomyślała natychmiast, użyłaby słowa „Bóg”. Wyparowała z niej cała energia.

Nie, przepraszam, *señores*. Ze swojego punktu widzenia kierujecie się dobrymi intencjami; macie rację – nic tu po mnie. Wybaczcie, wracam do domu.

Odpowiedzieli uprzejmie i wyprowadzili ją na pokład, cywilizowani mężczyźni, których obecności nie mogła dłużej znieść. Za pomocą informanta na nadgarstku przywołała z powrotem łódź.

– *Adios* – powiedziała (celowo nie użyła słowa *aloha*) i wskoczyła do kokpitu. Odpłynęła w towarzystwie Ka’eo.

Ulewa w oddali przeszła w podzwrotnikowym tempie. Słońce już zachodziło. Złotawe smugi mieniły się na ciemnobłękitnych i fioletowych falach, które mruczały jej kołysankę, bujały do snu. Powietrze stawało się chłodniejsze; zielone opary pasma pozostały za rufą i teraz wdychała delikatną, słoną mgiełkę. Na niebotycznej wysokości promienie słońca lśniły na skrzydłach albatrosa. Na razie była wolna.

Tęskniła za domem – chatą, wonią jaśminu i hibiskusa przy ganku, szumiącymi nad głową palmami, zwirem, bambusami i pięknymi kamieniami wokół długiego budynku, belkami, które

szły w zawody ze szczytem Paniau w niebie, łąkami i ogrodami, gdzie ludzie spokojnie się przechadzali, cicho rozmawiali, ktoś czasami uderzył w struny lub zagrał na flecie, sklepami i statkami w porcie, warsztatami zamykającymi się z nastaniem zmierzchu, nigdy nie zatrzymującymi się maszynami, cenotafem upamiętniającym tych, co zginęli na morzu, bo Lahui obdarzeni byli sporą dozą brawury...

...ale najpierw chciała побыć trochę sam na sam ze swoim oceanem i milczącą bliskością brata krwi.

Nie było pośpiechu. Instrumenty umożliwiały żeglugę nocną. Niebawem wszędzie Księżyc, który niedawno przechodził fazę pełni. Wyłączyła silnik i wydała komendę. Uniosły się maszt, bom i miecz, ustawiły grotzagiel i kliwer, wynurzył się ster i rumpel. Wiatr wiał w kierunku Nuhau. Nie czuła szczególnego głodu ani pragnienia; na swój sztywny sposób Delgado okazał się gościnnie. Jednak z szafki w kabinie wyjęła butelkę wody i tabliczkę żywności, a dopiero potem zajęła się sterowaniem.

Łódź podwodna skryła się za wschodnim horyzontem. Jedynym śladem obecności Ka'eo były zawirowania w wodzie kilka metrów od sterburty. Od czasu do czasu znikał pod wodą na dłuższą chwilę, natomiast ona próbowała nie wyobrażać sobie, co tam chwyta. Czasami na niebie ukazywała się iskra samolotu. Mogła swobodnie szukać ukojenia.

Nie było to łatwe. Nie bardzo pomagało rozluźnianie mięśni, recytacja mantr. Usiłowała wkomponować przeżyty właśnie dzień w jakąś większą całość. Nie zdarzyło się nic naprawdę nowego. Wszystko zmierzało do rozstrzygnięcia, z czego zdawała sobie sprawę już od pewnego czasu. Ta świadomość narastała w niej całe życie, a jej korzenie sięgały okresu sprzed jej narodzin i miejsc na krańcach Układu Słonecznego. Ale widziała to na własne oczy i odczuwała własną duszą.

Szukała wspomnień, i to raczej nie z tej okolicy, z Rosji, o Juriju, ludowowskiej nienawiści

do cybernetycznego świata, której zar tlił się w głębi jej ducha, z misji do Ameryki i na temat podziemnej siatki metamorfów, z którą się pobieżnie zetknęła, na temat Luny i zimnego, lunariańskiego gniewu, na temat maszyn: wszechobecnych maszyn i sofotektów w swej wielości i jedności...

Historia stała się kolejną fazą ewolucji. Nie ma sensu przeciw niej oponować, tak samo jak protestować przeciwko zagładzie Demeter. Na Ziemi po wymarciu dinozaurów zjawiły się przynajmniej ssaki, a gatunek dinozaurów przetrwał w ptakach. Czy skazany na śmierć lud również ma szansę na jakąś metamorfozę?

Na to pytanie nie znajdowała żadnej jednoznacznej odpowiedzi; ale dzięki tej myśli, rysującej się perspektywie i drżącemu jej w dłoniach sterowi spłynęło na nią nieco spokoju. Słońce zaszło, błyskawicznie zapadła noc, rozbłyśły gwiazdy. Nie wszystko zmierza ku upadkowi. Gdyby żyła w początkach dziejów Lahui, nie miałaby szans ujrzeć takiego widoku. Technika parła naprzód, liczba ludności na świecie spadała, opanowano efekt cieplarniany, było mniej chmur i przeszkód na drodze światła. Pozostała oczywiście śladowa mgiełka. Lecz i tak nie doświadczyła wspaniałości znanych jej przodkom za czasów, gdy przemierzali ten ocean od krańca do krańca. Za to była na Księżycu, znalazła się po Drugiej Stronie, gdzie nigdy nie widziano kuli ziemskiej, i patrzyła w czerń kosmosu.

Stała wewnątrz gigantycznego diamentu i pośród rozszczepionych promieni światła słyszała słowa, które mogły przynieść nadzieję.

Za plecami weszła Luna, jakby śledząca tok jej myśli. Grot-żagiel wypełnił się mdłym blaskiem, poświata kładła się smugą na wodzie.

Aleka przekręciła ster. Zatrzeszczała tkanina, woda zalśniła i zabulgotała; łódź zmieniła kurs.

– Aleka Kame – rozległo się w telefonie. Wzdrygnęła się. Kto to taki?

– Dolores Nightbom do Aleki Kame, do Alice Tam – mówił kobiecy głos bezbarwnym

anglo. Ale ona natychmiast go poznała. – Potwierdzić odbiór.

Słyszała własne tętno. Sięgający do przyrządu palec cały się trząsał. Tarcza, która zabłysła, przypominała maleńkie okno.

– O... odbiorę – wykrztusiła.

Gdy odpowiedź zmierzała do adresata, miała więcej niż sekundę na wyobrazenie sobie jej trasy. Wiadomość musiała przejść przez Oahu i być przeznaczona dla niej osobiście. Ponieważ numer tego telefonu pozostawiła w miejscowej bazie danych na wypadek, gdyby ktoś chciał się z nią skontaktować, system nie musiał wszczynać poszukiwań, które mogłyby obiec całą planetę. Przekazał sygnał wprost na morze. Znał również centralę, z której rozmowa dotarła na Ziemię. Tak więc jej odpowiedź wędrowała na przekaźnik satelitarny, pędziła ku Lunie, z pewnością przechodziła przez stację szyfrującą i docierała na miejsce, w którym oczekiwała jej pani Lilisaire.

„Gdybyśmy miały okazję porozumiewać się w sposób tajny, będę podawała się za Dolores Nightborn. Gdyby ktoś cię o to pytał, kobieta o tym nazwisku jest Ziemianką zameldowaną w Tychopolis; możesz też powiedzieć, że poznałaś ją w czasie swojej wizyty i że obydwie interesujecie się biologią morza”.

Fotony przemierzały kosmos. Na ekranie ukazał się obraz, głowa i ramiona kobiety w średnim wieku, rasy kaukaskiej, pulchnej, absolutnie przeciętnej. Aleka wiedziała, że jest tak samo syntetyczny jak głos, że to elektroniczne widmo.

– Witaj – zaczął głos. – Jesteś sama? Będziesz miała niebawem czas?

– Tak! Dwa razy tak! – Serce Aleki zabiło gwałtownie. Z całą pewnością znajdzie czas.

Przerwa na transmisję. Przekręciła się i popatrzyła na Księżyc. Nablado popielatej, niemal pełnej tarczy nie płonęły żadne światła. Gdyby wyjęła teleskop i nastawiła powiększenie, wykryłaby ślady ludzkiej obecności. Nie było potrzeby. Wiedziała, jak wyglądało tamtejsze

życie.

– To dobrze. – Twarz uśmiechała się, głos mruczał. – Aleko Kame, chciałabym, żebyś... –

Głos urwał, by podjąć z niepokojem: – Moja droga, czy mogę prosić cię o przysługę? Pamiętasz, jak wspominałam ci kiedyś o jednej krewnej, Mary Carfax z Integracji Zatoki San Francisco?

Starej, kruchej i żyjącej samotnie? Uparcie twierdzi, że ma się dobrze, ale kiedy ostatnio z nią rozmawiałam, wyglądała okropnie i bardzo się o nią martwię. Mogłabyś złożyć jej wizytę i potem powiedzieć mi, co o niej sądzisz? Będę ci wdzięczna do końca życia, a gdy następnym razem odwiedzisz Księżyc, przygotuję dla ciebie wspaniałą niespodziankę.

Lilisaire przypomniała sobie, że ma włączyć program, który przetwarzał nie tylko dźwięk i obraz, ale także dialekt. W tej bezkresnej samotności dziwną pociechę niosła świadomość, że ona też potrafiła być roztargniona.

Ale co mogło zakłócić jej samokontrolę?

„Gdybym chciała przekazać ci jakąś tajną wiadomość, pošlę cię pod jakimś niewinnym pretekstem do Mary Carfax, mojej ziemskiej agentki mieszkającej najbliżej ciebie. Ona również funkcjonuje pod fałszywym nazwiskiem. Naprawdę jest sofotektem, od którego uzyskasz dalsze instrukcje”.

Po co tyle wybiegów? Któż mógłby je podsłuchiwać?

„Wspaniała niespodzianka”. O czym mówiła Lilisaire owego dnia w diamentowej pagodzie Wysokiego Zamku?

– Z przy-y-jemnością – odparła Aleka. Zaszło jej w ustach. Jak zmylić ewentualnego podsłuchującego? Chwyciła się pomysłu, który przemknął jej przez głowę. – Miałam nawet ostatnio ochotę zrobić sobie wakacje. – Wprawdzie biorąc urlop w kryzysowej sytuacji, naraziłaby się na wyrzuty, lecz w pracy pozostawiano jej dużą swobodę, poza tym mogła spokojnie zapytać, co komu przysłoby z jej obecności na miejscu zdarzeń. – Potrzebuję kilku

dni na załatwienie formalności.

Przerwa na przekaz.

– Dobrze. Jesteś... bystra. – „Zgodnie z moimi przewidywaniami”. – Zresztą będzie nawet lepiej, jeżeli złożysz wizytę za tydzień. Bardzo ci jestem wdzięczna. Co u ciebie?

Aleka opowiedziała o wypadkach minionego dnia, ponieważ wydawało jej się to naturalnym krokiem i ponieważ te informacje mogą się przydać w Wysokim Zamku.

– Tak, z pewnością trzeba coś na to poradzić. Może coś się da zrobić. *Zobaczmy. Adiós,* moja droga.

Ekran pociemniał. Pozostała tylko mowa wiatru, morza i syk rozcinanej dziobem wody.

Wzrok Aleki znów spoczął na tarczy Luny. To dziwne, że właśnie w niej pokładała swoje nadzieje, nadzieje na dawną nierozumność życia. Chociaż może nie jest to takie dziwne. Tam też kwitło ono od początku dziejów, nie zważając na maszyny, które je podtrzymywały.

MATKA KSIĘŻYCA

W Port Bowen przybyło kilka miejsc publicznych, do których należała *Il'Etoile de Diane*.

Restauracyjna karta była skromna, lecz wynikało to z faktu, że wszystkie owoce i warzywa były świeże i pochodziły z agrodziałki restauracji. W miarę postępów prac wydobywczych i poprawy zaopatrzenia menu udało się wzbogacić o ryby i drób. Właściciel wspominał o winie, któremu nie będzie szkodził transport z Ziemi. Dagny, która nie bardzo mogła sobie pozwolić na bywanie w takim drogim lokalu, ucieszyło zaproszenie Edmonda Beynaca. Zdawała sobie sprawę, że tamtemu nie chodziło tylko o kolację.

– Niezła – ocenił swoją pieczeń z kaczki. – Ale jeżeli dadzą nam urlop na Ziemi w tym samym terminie, pozwól, że przedstawię ci prawdziwe *confit d'oie*. Znam pewną gospodę na Les Eyzies, gdzie robią najlepsze we wszechświecie. – Popił łyk ze szklanki i zachichotał. – Tak powinno być, do diabła. Zajmują się tym od wielu stuleci.

Razem na Ziemi? Dagny przypomniała swojemu tężnu o dobrych manierach.

– Tam wszystko jest stare, prawda? – spytała, nie znajdując bardziej błyskotliwej odpowiedzi.

– Nic to, jesteśmy żywymi ludźmi, a nie eksponatami muzealnymi albo zabytkami dla turystów. – Wzruszył szerokimi barami. – Ale masz rację, to starożytny ląd, na którym przetrwało coś więcej niż zamki i wykopaliska archeologiczne. Moi przodkowie w większości pochodzą od człowieka z Cro-Magnon. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Albo od kogoś jeszcze starszego, jeżeli nie mylą się genetycy twierdzący, że mamy w żyłach krew neandertalczyków. Nie miałbym nic przeciwko pokrewieństwu z facetem, który przetrwał w obliczu lodowców i jaskiniowego niedźwiedzia.

Przypomniała sobie obrazek w jednej książce, przedstawiający myśliwego na owych

pierwotnych pustkowiach, i pomyślała, że Edmond jest do niego podobny. Może miejsce sprzyjało takim skojarzeniom – nie, nie to niewielkie, ciepłe, nasycone zapachami pomieszczenie, w którym słycać było pomruki rozmów i muzykę (Debussy?) płynącą z głośnika, ale widoki w portach i w przeźroczystej kopule. Za dnia jadało się w podziemiach; nocą lokal na powierzchni czekał nagości, którzy nie przejmowali się dodatkową dawką promieniowania. Świece na stołach raczej nie miały szans na przyćmienie blasku Ziemi; z ciemności wzywały nawet niektóre gwiazdy, nieruchome i lodowate. Powierzchnia Księżyca nie była już naga i ponura, zalewały ją senna poświata i mrok, jakby ożyły wszystkie kamienie, a każdy najmniejszy krater stał się studnią zamieszkaną przez duchy, które mogły spełniać życzenia. Widoczne stamtąd dzieła ludzkich rąk także nabierały magicznego charakteru niczym kształty na malowidle człowieka, który zabijał mamuty. Edmond siedział na tle zimnego pustkowie, w którym ścigał zwierzynę znacznie większą od bestii zamieszkujących tundrę.

– Interesuje cię prehistoria? – odważyła się zapytać Dagny. – Bo masz całą furę zainteresowań.

Jego pogodny uśmiech pojawiał się równie szybko, jak znikał.

– Wiesz, mój ojciec wyklada ją na uniwersytecie w Bordeaux. Ja też nosiłem się z myślą o zajęciu się tą nauką, ale doszedłem do wniosku, że wszystkie ważniejsze odkrycia w tej dziedzinie zostały już zrobione, a... Ognista Kula otwierała przed nami granice kosmosu.

Nie potrafiła się oprzeć:

– Niedokładnie przed nami, jak wyraziłby się Anson Guthrie.

– *Touche!* – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Ale ceny ustala takie, żeby podróżni mogli je zaakceptować, a my nie mamy dzięki temu do czynienia ze ślepyimi jak kury i obrośniętymi sadłem biurokratami, wystarczy zapłacić i rusza się do celu. Zazdroszczę ci, że tak dobrze go znasz.

W czasie ich zacieśniającej się znajomości opowiadała mu wybrane fragmenty swojego życia.

– Ostatnio mało go widuję. Wraz z żoną umieścili mnie w dobrej szkole i pokryli koszty nauki w akademii, ale musiałam się tam dostać o własnych siłach, a od momentu, gdy ją ukończyłam, nie okazywali mi żadnych względów.

– Wiem.

Przypomniała sobie, że już zwracała na to jego uwagę, i zaczerwieniła się. Łyk wina dodał jej na tyle odwagi, że mogła założyć przynętę.

– Oczywiście utrzymujemy ze sobą kontakty, odwiedziłam ich podczas wakacji w zeszłym roku i mam nadzieję, że taka wizyta jeszcze się powtórzy. – Może nie będzie wtedy sama? Lepiej skierować rozmowę na inne tematy. – Jednak przed chwilą mówiliśmy o tobie. Wspominałeś, że nie od razu zająłeś się swoją specjalnością.

– Kręciłem się tu i ówdzie. – Głos mu złagodniał. – Mieliśmy daczę w północnym Dordogne.

W dzieciństwie tak zaprzyjaźniłem się z miejscowymi chłopami, że przezwali mnie *Jacquou le croquant*, Jakubem rolnikiem, od tytułu pewnej sławnej powieści. Byłem nawet przekonany, że będę uprawiał rolę, gdy dowiedziałem się, iż dzięki technice gospodarstwo rodzinne już dawno przeszło do lamusa historii, a moi przyjaciele byli zwykłymi zarządcami. Zresztą wkrótce bardziej przemówiło do mnie zajęcie ojca. Z kolei matka, właścicielka firmy importowo – – eksportowej, tekstylia i dzieła sztuki, wysłała mnie na rok do Malezji, gdy miałem lat szesnaście.

Wskutek tego zapragnąłem zwiedzić więcej świata niż zwykły turysta i jako osiemnastolatek zaciągnąłem się do francuskich oddziałów w siłach zbrojnych Narodów Zjednoczonych. – Czy mogła popchnąć go do tego nieszczęśliwa miłość? – Wysłano nas na pogrążony w chaosie Bliski Wchód, bo, widzisz, Europa ustanawiała tam wówczas *Befehl*.

– Widziałeś wojnę? – zapytała cicho Dagny.

– Jak najbardziej – odparł ponuro. – Aż za dużo. Najmniejsza utarczka to już zbyt wiele.

Zaczynałem wtedy samodzielnie myśleć. Po dwóch latach odniosłem ranę, która pozwoliła mi na zwolnienie się z wojska. – Czyli wytrzymał tyle czasu, złożył przysięgę, mimo że nie znosił takiego życia, i musiał być odważny, bo taki sprytny facet umiałby wkręcić się do służby w jakimś eszelonie na tyłach frontu. – Lekarze poskładali mnie do kupy, noszę w sobie tylko parę odłamków metalu, które nawet mi nie dokuczają. Ale byłem już przygotowany do życia cywilnego, studiów, pracy w terenie na Ziemi, zdobycia stopnia naukowego, wreszcie, cztery lata temu, do studiów podyplomowych na Lunie.

Z każdym słowem coraz bardziej się rozpogadzał.

– Tu jestem szczęśliwy – oświadczył na koniec. – To prawda, nie ma tu idealnych warunków. Można by sobie na przykład darować te godziny w cholernej centryfudze, co ty na to? Co robisz w tym czasie?

– Odbębniam standardowy zestaw ćwiczeń. Chyba tak jak wszyscy? Poza tym czytam, piszę listy, oglądam jakiś film. To znaczy kiedy jestem w dużym ośrodku. Na terenowej platformie nie ma zbyt wielkiego wyboru.

– Kiedy jestem sam na sam z odciaźnikiem, wyłączam nadajnik i śpiewam – zwierzał się. – Wtedy nikt nie musi cierpieć, słuchając mojego głosu.

Wybuchnęła śmiechem.

– A widzisz, potrzeba jest matką wcale niezłych wynalazków!

– Nie jest najgorzej – przyznał. – I cena nie jest zbyt wysoka. Kiedy zaczną się poważne badania Marsa i asteroid, będę się chciał tam wybrać. Ale na razie mamy jeszcze pełne ręce roboty tutaj. – Obrzucił ją spojrzeniem. – Nie brak tu też dobrego towarzystwa.

Serce zupełnie zignorowało jej nakaz, żeby biło ciszej.

W miarę jak statek przemierzał krzywą lądowania, Luna na monitorach przesuwała się w dół,

zmieniając się z grubego sierpa w płową, kamienną krainę, poznaczoną bliznami kraterów. Na południowym niebie wisiała rogata Ziemia.

Milczenie stawało się nieznośne. Kenmuir odchrząknął.

– No cóż, Barbaro – zaczął, słysząc swój niezręczny ton – musimy się pożegnać...

przynajmniej na razie.

– Oby czas ten obdarzył cię szczęściem – odpowiedział statek. Kenmuir urządził to tak, żeby podczas rozmów sam na sam pojazd przemawiał kobiecym głosem. Anglo z akcentem lunariańskim brzmiał serdecznie, wręcz ciepło. Valanndray zamówił dla siebie świszczący, ptasi, nieludzki głos. Nie tłumaczył tego wyboru, a Kenmuir nigdy nie pytał go o powody. Gdy rozmawiali we troje, rakieta używała neutralnego, męskiego głosu.

– Dziękuję. Nawzajem.

Uderzyła go niedorzeczność tej odpowiedzi. Skrzywił się. Co on wyprawia, bawi banalną rozmową sofotekta? Tak, posiadał świadomość, myślał, ale w jakim ograniczonym zakresie! Po połączeniu z bazą danych o cywilizacji maszyna mogłaby z nimi przeprowadzić ciekawą rozmowę na dowolny temat, od szekspirowskich kalamburów po przyczyny buntu Li udowa, ale Kenmuir zdawał sobie sprawę z czysto algorytmicznej natury takich dialogów. Twórcza osobowość sofotekta tkwiła w złożonych, zmiennych funkcjach statku kosmicznego.

Tak, polubił tę maszynę, tak jak kiedyś zżył się ze starym laserem, koszulą w kratę czy ziemskim domem swoim i Annie, ale było to co innego niż uczucie do człowieka czy ulubionego zwierzęcia. Nie wiadomo czemu czuł, że nie powinien odchodzić bez pożegnania.

Czy statek mógłby się obrazić? Nie mieściło mu się to w głowie. Wypowiadane przez statek słowa, w zależności od sytuacji przyjacielskie lub pełne troski, sprawiały wrażenie uczuć zaledwie podobnych do ludzkich. Jakiego rodzaju emocje zdolna była przeżywać maszyna?

Pytanie pozbawione sensu. Wyobrażał sobie, z jaką przyjemnością wykonuje trudny manewr, jak

tęskni za pełnym połączeniem z innymi, z cyberkosmosem, za uczestnictwem w świadomości, której człowiekowi nie będzie nigdy dane poznać; ale myśląc tak, dopuszczał się antropomorfizacji. Było to tak samo szalone jak obdarzanie statku imieniem Barbary, pierwszej ukochanej dziewczyny, której zresztą nigdy nie zdobył.

Przebywając zbyt długo w kosmosie, człowiek popadał w lekki obłąd. Przynajmniej według ziemskiej miary.

– Zaczynamy podchodzenie – przestrzegł statek.

To też nie było konieczne. Oprócz instrumentów na konsoli miał jeszcze własne zmysły, wyczuwające huśtawkę. Czy algorytm wyliczył, że mężczyzna doceni ten gest?

Zaczął się przesyłanie sygnałów. Krzyżowały się elektrofotonowe wiązki. Powróciła masa, osadzając Kenmaira na fotelu, i statek zaczął schodzić w kierunku Port Bowen.

Nie dawała mu spokoju myśl o Annie. Szukał wzrokiem Ziemi. Gdzie ona przebywała?

Żadnych wieści od dziesięciu lat: rozstali się dwanaście lat temu. Głównie z jego winy, tak przypuszczał. Kosmonauci nie nadawali się na małżonków. Lecz ich związek zaczynał się tak szczęśliwie, w gniazdku pod Ben Dearg, w krainie, której wzgórze i wrzosowiska mieli niemal wyłącznie dla siebie... Westchnął. „Ty, Ian, kochasz kosmos – mówiła... jakże cicho, z króciutkim błyskiem łzy w oku. – Mnie nie wystarcza reszta ciebie, która z tego zostaje”.

Szczerze mówiąc, nie pożegnał się jeszcze z nadzieją, że któregoś pięknego dnia pozna jakąś odpowiednią kobietę. Ale z żadną z tych, które napotykają na swych drogach podróżnicy, nie zdołał poczuć takiego pokrewieństwa dusz jak z Annie, nie licząc kobiet z marzeń sennych w quivirze, ale tych wolał nie przyzywać zbyt często.

Lilisaire czeka! Przebiegł go dreszcz na poły żądzy, na poły strachu, od którego zaczął się cały trząść.

Statek opadł łagodnie niczym piórko. Na lądowisku stały jeszcze dwa pojazdy, kulisty

frachtowiec i niewielki, smukły suborbitalny, którym miał pewnie polecieć do Wysokiego Zamku. Za czasów Ognistej Kuli widywało się tutaj po kilkanaście statków.

Próbował się opanować i zastanowił się, czego może chcieć od niego Lilisaire; popatrzył na zachód, za wieżę kontroli lotów. Nad widnokrzem unosiła się iskierka L-5. Ale nie nastawił ekranu, by dokładniej obejrzeć gwiazdy, i oślepiający blask słońca we wczesne lunarne popołudnie zaćmiewał większość z nich, włącznie z tamtym opuszczonym, małym światem. Czy to symbol, wróżba?

Nieżyły anachronizm. Kenmuir uśmiechnął się na myśl o własnej naiwności, napięcie ustąpiło. Odpiął pasy i poszedł po bagaż. Po trzech cyklach dziennych w warunkach przyciągania czterokrotnie większego niż ziemskie, przy jednej szóstej człowiek czuł się, jakby unosiły go podmuchy łagodnego wiatru.

Z przyjemnością opuszczał ogołoconą kabinę. Wystarczyła mu jedna torba. Spakował resztę rzeczy: roboty zajmą się nimi, dopóki nie przekaże telefonicznie dalszych instrukcji. Właściwie nie musiał niczego brać. Gospodyni obficie zaopatrzy go we wszystko, włącznie z ubraniami. Zbyt obficie. Osobiście wolał swoje proste stroje i swoją niezależność.

Gdy zbierał się do wydania komendy otwarcia śluzy powietrza, zaskoczył go statek:

– Powodzenia, lanie Kenmuir. Oby los pozwolił nam odbyć jeszcze wspólną podróż.

– Tak, tak, byłoby miło – wyjąkał.

Życzenie pozbawione sensu. Gdyby posłano go na inną raketę, jej inteligencji zostałyby przekazane wszystko, co wie o nim Barbara. Następna osobowość byłaby identyczna jak poprzednia – jeżeli w ogóle można mówić o osobowości, odrębności sofotektów. Wobec tego co skłoniło ją do tak ludzkiego pożegnania?

W gruncie rzeczy nie pojmował tych umysłów. A czy one same się rozumiały? Po przekroczeniu pewnego progu złożoności w układach panuje chaos, nieprzewidywalny

i niepojęty nawet dla nich samych. Nie ulega wątpliwości, iż Teraumysł wnikał głębiej, ale czy ta introspekcja była kompletna i czy ogarniała całą ich przepastną psychikę?

Zignorował to pytanie.

– Na razie, Barbaro – wymamrotał i dał sygnał wewnętrznemu włazowi.

Ten się skurczył. Mężczyzna przeszedł przez śluzę. Zewnętrzny właz już się odsunął, portal szczelnie przyczepił się do szybu windy na lądowisku. Kenmuir wyszedł na platformę. Ta zawiozła go w dół do terminalu. Wynurzył się na zewnątrz.

Przed sobą miał rozległą, lśniącą i niemal pustą płytę lądowiska. Ścienne malowidła zdawały się drwić ze spraw, które przedstawiały: lądowanie Armstronga, Wielki Powrót, Anson Guthrie zakładający bazę, która miała rozrosnąć się w miasto, Dagny Beynac nadzorująca budowę setnego kolektora energii Criswella... Żadne nie pochodziły z epoki Selenarchii, mimo że właśnie wtedy powstała kolonia na Marsie, odbywały się międzygwiazdne wyprawy, nastąpił exodus Guthrie i Rinndalira na Alfa Centauri. Lunarianie nie chełpili się swymi osiągnięciami; byli indywidualistami, istotami skrytymi, podobnymi do kotów... Powietrze było zimne.

Na płycie czekał mężczyzna w obcisłym, czarno-srebrnym stroju. Kenmuir go poznał, był to Eythil, zaufany sługa Lilisaire. Wychował się na Marsie, był niższy i bardziej barczysty niż typowi przedstawiciele jego rasy zamieszkali na Księżycu, silny, w razie potrzeby niebezpieczny. Cerę miał ciemną, kędziory czarne, ale nie było to niczym niezwykłym; miał w sobie geny wielu ras ludzkich.

Zasalutował, przykładając dłoń do piersi.

– Serdecznie witam, kapitanie.

To, że sam z własnej woli użył języka ojczystego Kenmuira, było oznaką szacunku i uznania jego pozycji – równej lub prawie równej Lunarianom. Darował sobie również wyjaśnienia, że zabierze przybysza do swej pani, i pytanie, jak przebiegła podróż.

– Serce zaiste cieszy się na twoje powitanie, *saljaine* – odparł w podobnym tonie Kenmuir.

Tytuł nie miał żadnego ziemskiego odpowiednika, ponieważ Selenarchowie nigdy nie nadawali swoim poplecznikom stałych rang. Być może odpowiadało mu określenie „oficerze”, może „wierny zauszniaku”.

Ruszyli. Jako Terranin, Kenmuir czuł się zobowiązany do prowadzenia rozmowy.

– Port nie świecił aż takimi pustkami, kiedy odlatywałem w zeszłym roku. Czy zmalał ruch, czy to statystyczna aberracja?

– Chyba i to, i to – powiedział Eythil. – Słyszałem, że w ciągu ostatnich trzynastu miesięcy ze służby wycofano trzy duże statki, a zapewne dowiedziałbym się o większej liczbie takich przypadków, gdybym przestudiował urzędową bazę danych. – Chciał przez to zasugerować, że nie każdy bit informacji był powszechnie dostępny, nawet na tak nieszkodliwy temat jak handel międzyplanetarny.

Kenmuir, który się z nim zgadzał, kiwnął głową. Jednocześnie myślał już o niektórych powodach tego stanu. Nie należał do nich spadek liczby ludności. Początkowo gwałtowne załamanie demograficzne (dzięki któremu rozległe obszary Szkocji miał do swojej dyspozycji w dzieciństwie, a potem, z Annie, w okresie małżeństwa) ustabilizowało się i krzywa zbliżała się obecnie do asymptoty zerowej. Do powodów należało z pewnością zmniejszony popyt na surowce, co wynikało z wydajnego odzysku, produkcji trwałych towarów, rzadszego wprowadzania zmian wzorów. Ale co się za tym kryło? Z ludzi uszła dawna energia pchająca ich do działania? – Jak? Dlaczego?

W głosie Eythila zabrzmiała wściekłość:

– *Hargh*, niedługo znowu zwałą się ich tutaj całe roje, pełne statki, kiedy utworzą Biotop, i zaczną się mnożyć, mnożyć. Chyba że... – Urwał. Kenmuir nie wiedział, czy zachowywał stosowne środki ostrożności, czy przestał mówić dlatego, że na ich spotkanie szedł robot.

Robot czy sofotekt? Ta wieżyczka też mogła pomieścić komputer o ludzkim potencjale umysłowym. Zresztą mogła być sterowana zdalnie przez jakąś inteligencję. Mieli przed sobą standardowy, uniwersalny model, podobny do pudła, o trzech parach rąk i czterech nogach unoszących czujniki do poziomu oczu.

W miejscach, gdzie nie poruszały się gibkie elementy organiczne, lśnił matowzłoty metal.

Sofotekt zbliżył się. Z głośnika popłynął melodyjny anglo z zachodu:

– Wybaczcie, kapitanie Kenmuir, szlachetny Eythilu. Stanęli – Czego chcesz? – burknął

Lunarianin. Nie było niczego podejrzanego w tym, że Kenmuir, przybyły dopiero co z kosmosu, jest tu znany; lecz fakt, że system rozpoznał także jego towarzysza, potęgował wrażenie, iż zostali schwytani.

– Kierujecie się do pojazdu? – zapytała maszyna. – Bardzo żałuję i przepraszam, lecz pozwolenie startu opóźni się o mniej więcej godzinę.

– Co to znaczy?! – wykrzyknął zdumiony Kenmuir.

– Przed kilkoma minutami na Epsilonie-93 zdarzył się przypadkowy wybuch. Czy ta nazwa wam coś mówi? Chodzi o górę lodową, niedawno tu ściągniętą.

Kenmuir i zeszywniały Eythil kiwnęli głowami. Nie słyszeli o tym obiekcie, lecz nie było w tym nic dziwnego. Wzbogacone fragmenty komet wprawiano zazwyczaj w ruch po trajektoriach, którymi wędrowały z Pasa Kuipera na orbitę Luni, gdzie je oczyszczano i odsyłano. W ostatnich dziesięcioleciach niezbyt często przeprowadzano takie rutynowe, całkowicie zautomatyzowane operacje, ale wszystko wskazywało na to, że rozpoczynają się prace na większą skalę. Napływający po ustanowieniu Biotopu osadnicy będą potrzebowali więcej wody i powietrza niż Księżyc był obecnie w stanie odzyskać.

– Fragmenty latają w przestrzeni – ciągnęła maszyna. – Nie przewidujemy uderzeń w Lunę, lecz na razie nie można stwierdzić tego z całą pewnością, dopóki nie zbadamy wszystkich

trajektorii. Kontrola Ruchu zabrania lotów cywilnych, zwłaszcza w tej okolicy. Szacujemy, że potrwa to około godziny. Wylądował pan akurat na czas.

Eythil się skrzywił. Kenmuir wzruszył ramionami, chociaż jego chyba jeszcze bardziej dręczyła niecierpliwość.

– Administracja przeprasza za powstałe niedogodności – mówił automat. – Zapraszamy do poczekalni pierwszej klasy, gdzie będą serwowane gratisowe napoje.

Eythil i Kenmuir spojrzeli na siebie. Na ich twarzach pojawiły się uśmiechy.

– Nigdy tam nie byłem – przyznał Lunarianin. – A ty, kapitanie?

– Ja też. Chyba spróbujemy?

Ulegli więc pokusie, by zaspokoić ciekawość.

Pomieszczenie, do którego zaprowadziła ich maszyna, było niezwykle zaciszne. Masywne meble w ziemskim stylu sprawiały wrażenie nieco zużytych. Na ścianach wisiały płaskie zdjęcia pionierów wypraw kosmicznych. W powietrzu unosił się lekki, symulowany zapach skóry i drewna. Kenmuir zastanawiał się, po co utrzymuje się taki zakątek. Jak często używano go od czasu, gdy port kosmiczny został całkowicie scybernetyzowany? Z drugiej strony jego prowadzenie nie powinno być zbyt kłopotliwe, a od czasu do czasu zdarzała się okazja taka jak dzisiaj. System był przygotowany na nieprawdopodobne okoliczności.

Usiedli z Eythilem na krzesłach. Maszyna podeszła do automatu.

– Czego sobie życzycie, *señores*? – zapytała. Eythil miał ochotę na księżycowe białe wino (winnice pod Kopernikiem jeszcze owocowały), Kenmuir wybrał piwo ale. Sofotekt dotknął pulpitu, pojawiły się naczynia, automat nalał napoje w odpowiednie kielichy zdjęte z półki; sofotekt przyniósł je do stolika. – Jeżeli będziecie jeszcze czegoś potrzebowali, proszę mnie wezwać – powiedział, wskazując najbliższe stanowisko interkomu. – Mam nadzieję, iż wkrótce ruszycie w drogę.

– Dzięki – odpowiedział Kenmuir. Ostatecznie albo sama maszyna, albo urządzenie nią sterujące posiadało świadomość. Automat oddalił się. Kenmuir wypił łyk piwa. Dobrze, trzeba przyznać. Co z tego, że wytworzone przez mechanizmy molekularne: płyn miał zdecydowany

smak, był zimny. – Może lepiej zadzwonić, że się spóźnimy? – zwrócił się do Eythila.

– Nie ma potrzeby, chyba że oczekiwanie będzie się przedłużać. – Cały czas mówili w anglo.

Dziwny, myślał Kenmuir, jest swobodny stosunek Lunarian do planów i upływu czasu, gdy życie mogło zależeć od precyzji. Oni brak pośpiechu mieli praktycznie we krwi, tak samo jak Ziemianie podnoszenie się po upadku na swojej planecie o silnej grawitacji. Człowiek poznaje swoje obowiązki i bezpieczne granice, do których może się posunąć.

– Ciekawe, co się właściwie zdarzyło? – zastanawiał się głośno Kenmuir. – Wygląda na wypadek, który raczej nie powinien przytrafić się w naszych czasach.

– Tak utrzymuje cyberkosmos – warknął Eythil.

– Hmm, wiesz, nie ma nic pewnego. Plany mogą obejmować wszystko, ale... ciekawi mnie tylko, czy ten wybuch był efektem czyjejś omyłki, wymknięcia się sytuacji spod kontroli czy może kwantowej fluktuacji, która uległa wzmocnieniu... sam nie wiem, jak przeprowadza się tego typu operacje. Za parę dni, gdy będę miał wolną chwilkę, odnajdę gdzieś ich pełny opis.

– Uzyskasz go – wtrącił cynicznie Eythil – niezależnie od tego, czy będzie odpowiadał faktycznym zdarzeniom. Jeżeli coś w ogóle się stało, będziesz się musiał domyślać.

Ma rację, pomyślał Kenmuir. System mógł wprowadzić do bazy danych wszystko, co mu się żywnie spodoba, zaopatrzone w obrazy, liczby i analizy matematyczne. Z łatwością da się ominąć ludzkich funkcjonariuszy, którzy mają za zadanie uczestniczyć w całym procesie.

– Po co umysł miałby kłamać? – zaprotestował Kenmuir. – Szczególnie, że ta historia nie przynosi mu zaszczytu?

– Kto wie? – Eythil strzepnął palcami. – Może służy to jakimś szerszej zakrojonym planom?

Załóżmy, że ten incydent zostanie wykorzystany do skierowania jeszcze większych środków na cele Biotopu, czyli do jeszcze szybszego unicestwienia lunariańskiego stylu życia. Możliwe, że program socjotechniczny tak to sobie właśnie wykombinował.

Kenmuir pociągnął duży, dodający otuchy łyk. – Daleko idące wnioski. Przemawia przez ciebie gorycz, nie sądzisz?

– A nie ma po temu powodów?

Wyszły one na jaw w trakcie rozmowy, która przełamała naturalny dystans, jaki dzielił rasy Eythila i Kenmuira. Astronauta znał większość tych spraw, lecz słuchał cierpliwie, gdyż wymagała tego sytuacja. Ponadto dowiedział się o pewnych stronach zagadnienia, o których dotąd nie słyszał.

– Asteroidy stanowiły bezcenne źródło minerałów, ponieważ komety składały się z lodu i, tak jak asteroidy, z substancji organicznych. One same okazały się zbyt małe. Do celów frakcjonowania chemicznego, w którego wyniku powstają zdatne do użycia skupiska większości materiałów przemysłowych, konieczne są duże ciała. Stąd podjęto poszukiwania i wydobycie na księżycach Jowisza i Saturna. Na Merkurym wszystko odbywało się wyłącznie za pomocą maszyn... Chociaż Wenus była zbyt kosztowna nawet dla nich. Ludzi zatrudniało się rzadko w łatwiejszych środowiskach: byli to ci, których przyciągał tam zew przygody. Na pierwszym miejscu stał Mars, na który przybywali Lunarianie w okresie świetności Selenarchii. Terranie też mogli się rozmnażać w tamtejszym polu grawitacyjnym; lecz z początku byli mniej liczni, gdyż mało który przystosowywał się do krainy, która umiała zabijać. Mars pozostawał domeną Luny, dopóki obydwu nie objęła w posiadanie Federacja, a przecież powinniśmy używać lunariańskich nazw – mówił Eythil. – Czy państwo członkowskie nie powinno rządzić się samo? Ale nie, na odległym Marsie cieszymy się autonomią mniejszą niż tutaj, krążąc wokół Ziemi.

– Ale jest tam proporcjonalnie więcej Terran – zauważył Kenmuir. – Niezależnie od miejsca urodzenia myślą, działają i głosują zgodnie ze swą psychiką i kulturą.

– Mówisz jak socjotechnik. – W tych słowach czaiła się pogarda.

– Nie miałem takiego zamiaru – zaoponował łagodnie Kenmuir. – W czasie długich wypraw

kosmicznych sporo się czyta. I człowiek przyswaja sobie książkowe słownictwo. Sam wiesz: nie tylko jestem z rasy Terran, na dodatek urodziłem się na Ziemi. Ale naprawdę współczuję wam, Lunarianom. Wciąż na nowo pojawiają się stare, nierozwiązane problemy, prawda? Które niegdyś skłoniły Lunę do ogłoszenia się niezależnym i suwerennym narodem: prawa dziedziczne, prawa własności, wykształcenie, przetrwanie cywilizacji, która otwarcie odrzuca pewne podstawowe ideały. Co by jednak było, gdyby Luna nie związała się z Federacją? Jałowe spekulacje. Gdy reakcja na działania wojenne skazała na zagładę potężną Ognistą Kulę, zbliżał się kres separatystycznej Luny, niezależnie od tego, jak długo mogła grać na zwłokę Niolente i jej kohorty. Jednak w pewnej hipotetycznej, kwantowo-mechanicznej rzeczywistości...

– W myśl Przymierza Zgromadzenie i Rada Najwyższa winny przynajmniej respektować naszą Konstytucję – mówił Eythil. – Ale nic z tego, coraz bardziej naginają do swojej woli klauzulę o „fundamentalnej etyce”, chcąc zniszczyć dawne prawa i obyczaje. Podejmowanie decyzji w coraz większym stopniu leży w gestii maszyn.

Maszyn inteligentnych, dodał w myślach Kenmuir, nie podlegających ludzkiemu zepsuciu i okrucieństwu. Nie można jednak zaprzeczyć, że oznacza to rządy... obcych? Przed Teraumysłem odczuwało się coś w rodzaju trwogi w obliczu Boga, lecz nie był to Bóg – zbyt odległy, zbyt nieomylny. Co do codziennej praktyki, być może niektórym najbardziej dokuczała świadomość, że stali się nieistotni.

– Nie jest to wynik żadnego spisku – przekonywał Kenmuir. – To logika wypadków. Dawne narody praktycznie nie istnieją. Rozpadły się na tysiące społeczeństw, faktycznie, a często również formalnie. Federacja była zmuszona przejąć wiele spośród ich obowiązków. Bez zintegrowanej, światowej gospodarki wszyscy przymieraliby głodem.

– Ostatnimi czasy ta gospodarka nie przynosi nam, Marsjanom, zbyt wiele pożytku.

– Cóż, to kwestia spadku popytu na minerały.

– Moglibyśmy przystosować się na swój sposób. Ale nie, musi to się odbywać na modłę ziemską. Mówisz o Federacji jako o jedynym możliwym do zaakceptowania rządzie. Ale to oznacza, że między samotnym człowiekiem a nią nie ma już nic.

– Wiem. Historia uczy, że twój lęk jest uzasadniony. Anomia wywiera demoralizujący wpływ. Ale musisz przyznać, że Federacja nie usiłuje wtrącać się w ludzkie życie. Częstość ingerowała w sprawy Lunarian tylko po to, żeby ukrócić potęgę Selenarchów, która nie ma prawa bytu w ustroju republikańskim...

Być może szczęśliwie się złożyło, że głośnik w ścianie obwieścił:

– W przestrzeni nie istnieją obecnie zagrożenia. Możecie wystartować w dowolnie wybranym momencie, *señores*.

W milczeniu poszli do pojazdu, wystartowali i polecieeli. Eythil być może kipiał gniewem, może też zamknął się w jakimś własnym, niezemskim świecie. Kenmuir poczuł, że boli go głowa i zaczyna lekko gorączkować. Zastanawiał się, czy to ze zdenerwowania, strachu, że sprawi zawód Lilisaire... która nie wiadomo czego od niego chce.

Trajektoria wiodła w stronę zachodzącego słońca, które wspinało się dzięki temu coraz wyżej. Ziemia również przesuwała się po niebie, na północny wschód. Był to koniec pierwszej kwadry i wyglądała jak błękitny sierp w marmurowej powłoce białych chmur, które chłoneły tyle światła gwiazd i samej planety, że nocna strona Ziemi przybrała widmowo blady kolor. Taką samą scenę oglądał, gdy ona wezwała go po raz pierwszy.

Jeszcze nie wiedział dlaczego – był najzwyczajniejszym z ludzi, a na dodatek Ziemianinem.

„Ależ tobie daleko do zwyczajności” – mruknęła, gdy zdobył się na odwagę i ją o to spytał. –

„Całe życie zawodowe, czyny w kosmosie, więzi z przeszłością. Nie żyjesz w próżni i nie karmisz się złudzeniami jak tyłu innych. Wiesz, co działo się dawniej, znasz Ziemię, ludzi i czyny, z których powstała twoja istota; dla ciebie czas jest czymś rzeczywistym, tak samo jak

przestrzeń”. Taka odpowiedź niezbyt go zadowoliła.

Faktem jest, że często nakłaniała go do zwierzeń na temat Bractwa Ognistej Kuli. Nie bardzo wiedział, czemu, nie wiedział nic, czego nie mogłaby znaleźć w bazach danych. Było to koniec końców jakieś tam towarzystwo, loża czy bractwo stworzone z tęsknoty za dawno minioną świetnością, podobne pod tym względem do Romnów, Chełpliwców czy Wierzących. Też miało swoje obrzędy, zgromadzenia, pomoc wzajemną i niewiele ponad to. Wiedza, przekazywana rzekomo z Rydberga do Rydberga, nie mogła mieć szczególnego znaczenia, a już z pewnością nie dopuszczono do niej Iana Kenmuira.

Możliwe, że Lilisaire próbowała wybadać, na czym polega członkostwo. Lunarianie nie praktykowali niczego takiego i wiedza owa mogła jej pomóc w zrozumieniu drugiego gatunku. Z kolei być może interesowała się tym, bo Kenmuir wysoko cenił sobie Bractwo, a ona go na swój sposób lubiła.

Mówiła, że jest dobrym kochankiem. (Wspomnienie tych słów wybuchło w pamięci). „To dzięki temu, że jesteś dla mnie inspiracją” – odpowiedział. Roześmiała się i zmierzwiła mu włosy. Nie oszukiwał się, że jest czymś więcej niż dość przyjemną odmianą.

A jednak... wezwała go, i to pilnie, narażając na znaczne koszty przedsięwzięcie, z którego mogła czerpać zyski. Z jakiejś, choćby mało ważnej przyczyny, potrzebowała go.

Zatrzepotało mu serce. Nie wiedział, czy jest zakochany – w takim stanie nie był jeszcze nigdy w życiu – czy zauroczony. W tym akurat momencie było mu wszystko jedno.

Pojazd zaczął zniżać lot. Nad Kordylierami wznosiły się czarodziejskie wieże Wysokiego Zamku.

Po wylądowaniu Kenmuir minął Eythila i skierował się wprost do korytarza wyjściowego.

Chwilowa słabość już mu przeszła. Jeżeli płonął i drżał, działało się to z powodu Lilisaire. Dopiero potem uświadomił sobie, że mógł obrazić swojego towarzysza, przyszło mu także do głowy, że

Eythil miał pewnie z niego niezły ubaw.

W pierwszym pomieszczeniu nie oczekiwał żaden służący. Najwidoczniej pojazd uprzedził o ich przybyciu, i jakiś robot zajmie się jego rzeczami i zanieś je tam, gdzie zażyczy sobie Strażniczka. W powietrzu rozległ się głos:

– Witaj, lanie Kenmuir. Skieruj swe kroki do Pagody i rozgość się.

Znał tę wieżę i wiedział, jak tam dojść. I to jak dobrze! Gnał, pędził jak ptak zmieniającymi się korytarzami i wielokształtnymi komnatami. Kręcili się po nich Lunarianie obojga płci, załatwiając swoje sprawy. Byli to przeważnie słudzy, choć nie wszyscy nosili liberie, ale widział też trochę przybyszów z zewnątrz, poznał również dwóch magnatów. Nie zamienili z nim ani słowa, nie wykonali żadnego gestu, tylko na krótko i w ściśle określony sposób spojrzeli mu w oczy, co było tu oznaką uprzejmości. Na końcu drogi natknął się jednak na wartownika, czujnego niczym pantera, który zasalutował i otworzył przed nim drzwi.

Blask słońca wybuchł z oślepiającego środka, wysyłając iskry i błyski wszystkich kolorów, jakie umiał rozróżnić jego wzrok. Przepływały i przesuwały się z każdym najmniejszym jego ruchem, sunąc po szklistej podłodze i nielicznych sprzętach, po ścianach, suficie i jego własnych rękach. Znalazł się wewnątrz wielkiego, syntetycznego diamentu o milionach ścianek.

W powietrzu unosiła się woń korzeni i bratków. Ledwie słychać było zawodzące dźwięki pieśni Verdei w skali minor.

Przy zastawionym kryształami stole, obok szerokiej sofy wyczekiwała Lilisaire. Grzywa bursztynowych włosów opadała na nagie ramiona i długą do kostek tunikę, która leżała na niej jak druga skóra. Na białej tkaninie igrały tęczowe wiry. Dla ozdoby założyła jedynie kolczyki w kształcie gwiazd i pierścionki, w którego klejnocie migotały niewielkie płomyki. U stóp leżało jej oswojone zwierzę, które mężczyzna pamiętał, czarny leopard o złocistych cętkach. Stworzenie uniosło głowę i wpiło w niego nieruchomy wzrok.

– Tak – uśmiechnęła się. – Witam cię, kapitanie – mruknęła w anglo.

Zatrzymał się, raptem nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Podeszła w jego stronę. Zaszemrały suknie. Uniósł rękę. Koniuszki jej palców musnęły nadgarstek. Oznaczało to, że kobieta jest jego władczynią, ale ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że może być inaczej. Delikatnie skierowała go do stołu. Opuściła rękę i stanęła przy nim.

– Nalej – poleciła.

Spełnił rozkaz. Płyn zadźwięczał przejrzyście przy akompaniamencie muzyki. Ruchem zielonych oczu zachęciła go do skosztowania kanapek – wiedział, że są wyśmienite – sama zaś wzniosła kielich.

– *Uwach yei* – powiedziała.

– Do usług, pani – odrzekł. Z brzękiem zetknęły się krawędzie kielichów. Napili się. Wino śpiewało.

Przyjrzała mu się. Zapomniał o diamentowych promieniach.

– Do usług? – powtórzyła cicho. – Czy mówisz poważnie? Zaczepnął tchu, by odpowiedzieć:

– Tak. I to nie dlatego, że dla ciebie pracuję.

– Mój kapitanie. – Poglądziła go po policzku. Cios odebrałby mniej dojmująco i z mniejszym drżeniem. Usiłował odzyskać spokój ducha.

– O co chodzi? – zapytał sucho. – Co ja mogę?

– Na pewno odgadłeś. Ma to związek z Biotopem.

– Tak... tak przypuszczałem. Jesteście mu zdecydowanie przeciwni, ty i twój klan, pani.

Rody Selenarchów muszą być w wielkiej potrzebie, myślał, skoro zniżają się do polityki – czegoś, co same nazywają lewymi interesami. Faktem jest, że robią to z reguły pośrednio. Ci, którzy – jak Lilisaire – odziedziczyli poważne majątki na Ziemi, mogli tam znaleźć

popleczników i przepchnąć kilku bezużytecznych kandydatów do Zgromadzenia Federacji.

Opinia publiczna (a raczej te jej odłamy, które w ogóle zwracały na to uwagę) z entuzjazmem popierała bowiem pierwsze pionierskie przedsięwzięcie od wielu pokoleń. Co więcej, plan został zaproponowany przez cyberkosmos. Inteligencja sofotektyczna, przewyższająca ludzką, z pewnością wiedziała, co jest najlepsze dla ludzkości.

Głos Lilisaire oderwał go od wspomnień.

– Zaiste, zaczęliśmy sprawiać tyle kłopotów, że rząd uznał za stosowne przeprowadzić dochodzenie.

Naturalnie gdybyście robili zamieszanie, skanowali dane...

– To jeszcze nic. Funkcjonariusze z Ziemi węszyli tu, rozpytywali. Jeden z nich pojawił się u mnie tuż po tym, jak cię wezwałam. A nie był zwyczajnym agentem Władz Pokojowych.

Należał do wybrańców, do synojontów.

– To poważna sprawa! – zawołał zdumiony Kenmuir. Strzepnęła palcami.

– Przede mną nie ujawnił swej natury. Ale wyczułam, że nie jest zwykłym śmiertelnikiem.

Później przeprowadziłam własne dochodzenie w bazach danych i między ludźmi. Nie obawiaj się. Mało prawdopodobne, że się o tym dowiedział. Nie odkrył też żadnych podejrzanych spraw.

– Zadzwieczał jej śmiech. – Bo żałuję, ale do niczego takiego nie doszło. A niby jak miałyby dojść? – dodała raptownie z zimną wściekłością. – Leżymy jak powiązane zwierzęta i czekamy na ciosy noża. Który nawet nie dokona swego dzieła czysto. Najpierw wykastrują kobiety i mężczyzn.

Leopard warknął.

Kenmuir z trudem dobierał słowa.

– Z pewnością nie dojdzie aż do tego, pani. Uspokoila się.

– Tylko pomyśl! Co nas do tej pory chroniło prócz faktu, że Terranie nie mogli rozmnażać

się na Księżycu?

W myślach próbował się jej opierać. Rozum podpowiadał, że dominacja Selenarchii została zachowana – jeśli nie formalna, to przynajmniej faktyczna. Zaczynała się chwiać, gdy biotechnika umożliwiła jego rasie bezpieczne życie w warunkach niskiej grawitacji, kiedy to zdrowiu mógł zagrozić jedynie zanik tkanki mięśniowej, jeżeli nie uprawiało się regularnie ćwiczeń fizycznych. (Na mgnienie oka wyobraził sobie, że czuje działanie wszczepionych mikrobów, których chemia zalewa każdą komórkę). Coraz więcej przedstawicieli starego gatunku osiadało gdzieś na stałe. Ale prawdą jest, że ich liczbę ograniczał fakt, iż kobiety nie były w stanie donosić dzieci ani wychować już narodzonych poniżej trzeciego roku życia, kiedy rozwija się jeszcze układ nerwowy. Arystokraci lunariańscy kurczowo trzymali się swej niepewnej władzy nad nominalną republiką.

– A teraz spodziewacie się masowego napływu osadników z Ziemi? – zapytał z głupia frant Kenmuir.

– Będzie niepowstrzymany. Przekonują o tym równania socjotechniczne. Setki tysięcy wyrażają żarliwą chęć przeniesienia się na Księżyc. Gdy tylko Biotop będzie gotowy...

Opuszczony obiekt o symbolu L-5 został odnowiony, sprowadzony na niską orbitę księżycową, zaopatrzony w żagle, które zaprzęgną odpowiednią energię, żeby utrzymać go na tej niepewnej orbicie i wprowadzić w ruch obrotowy, co pozwoli wytworzyć pełne ciężenie ziemskie na obwodzie. Oto miejsce, gdzie Terranie będą mogli rodzić młode, które przetrwają pierwsze lata, jednocześnie nie utrudni im to swobodnego podróżowania na Księżyc i z powrotem...

– ...a stanie się to niezadługo. Czas goni nas jak chart, Kenmuirze. – Nigdy nie używała jego imienia. Nie wiedział, czy wynikało to z przyzwyczajenia, czy też chciała uniknąć nadmiernej poufałości.

– Ale oni staną się elitą ludzkości – przekonywał. – Ludźmi zdolnymi zająć się prawdziwą

pracą, wieść autentyczne życie tu, w kosmosie. – Tak jak on, musiał przyznać. Dopisywało mu szczęście, dostał się do Akademii, do Służby Kosmicznej, w końcu do Przedsiębiorstwa. Jakże mógłby mieć komuś za złe, że pociągają go gwiazdy?

Uniosła wargę.

– Tak, panowie tego świata i ich automatyczni zwierzchnicy powinni się cieszyć, że cały ten niespokojny element odpływa z planety niczym życiodajna krew. Na Księżycu będzie go łatwiej opanować – mówiła z coraz większym przekonaniem. – Ale czy ty niczego nie rozumiesz? Oni przekształcą Lunę. Utworzą nowe społeczeństwo, nie licząc się zupełnie z nami, ich ogromne budowle zakłócą spokój Luni, ich hordy zaś utworzą takie społeczeństwo, jakie będą chciały.

– No, to nie stanie się z dnia na dzień.

– Szybciej niż sądzisz, niewinny kapitanie, i w sposób nieunikniony jak entropia. Powtarzam, że to nas zniszczy.

– Mars...

– Mars jest już stracony.

Kenmuir przypomniał sobie Eythila i nie zaprzeczył.

– Hm, wasi koloniści na asteroidach i księżycach zewnętrznych... ale tamte obiekty byłyby w stanie pomieścić zaledwie jakieś niedobitki. – Bezsilne, zubożone, aż statki z Ziemi usunęłyby je stamtąd pod sztandarami miłości i utylitaryzmu.

Spuścił wzrok na leoparda i wyobraził sobie, że spędza całe życie w klatce pełnej małp.

– My albo nasze dzieci utracimy wolę życia – ciągnęła Lilisaire. – Niektórzy będą uparcie dożywać swoich dni, inni nie będą mieli na to ochoty, wybiorą gwałtowny bunt, zbrodnię, samobójstwo. Nikt nie będzie chciał zmuszać młodych do życia w takiej psiej budzie. Za dwa, trzy stulecia nasza wiecznie spiskująca, nieprzystosowana rasa wymrze. Co idealnie pasuje do planów cyberkosmosu.

Kenmuir nie wierzył w jej troskę o własny gatunek. Za to rozpacz, której nuty brzmiały pod stalową maską, była jak najbardziej szczerą! Jeżeli ma rację, jeśli Lunarianie wyginą, wszechświat utraci jedną ze swych wspaniałości.

Czy cyberkosmosowi faktycznie mogło na tym zależeć?

Wpatrujące się w niego oczy nie płakały, smukłe ciało było wyprostowane.

– Na pewno planujesz jakieś środki zaradcze – stwierdził. Skinęła głową. Czerwone włosy zafalowały.

– Wyprawę z góry skazaną na klęskę – oznajmiła tym samym beznamiętnym głosem – podobną do poszukiwania skarbu, który okaże się mitem. – Nachyliła się nieco do przodu, napinając mięśnie. – Starczy ci na to odwagi?

Zabrakło mu tchu.

– Co ta-akiego? – wyjąkał. Wyprostowała się, rozluźniając mięśnie.

– Nie musi to być nic nielegalnego... z twojej strony usłyszał. – Niemniej jednak jest pewna sprawa, skrywana przez wiele pokoleń, o której mógłbyś się dla mnie czegoś dowiedzieć.

– Cóż to takiego?

– W tym domu z pokolenia na pokolenie przekazuje się pewną tradycję. Jednak istnieją również konkretne fakty. Chodź, pij, uspokój się, wysłuchaj mych słów.

Zdumiewała go zręczność, z jaką traktowała historię. Znał te dzieje, lecz ona rzucała na nie światło – swoje światło – i wspominała o faktach, o których wiedział bardzo niewiele.

Przypomniała mu długą, makiaweliczną walkę o zachowanie suwerenności Luny, niezależności od Federacji, toczoną przez Niolente i jej kohorty po tym, jak Guthrie i Rinndalir odlecieli na Alfa Centauri i Ognista Kula zaczęła się rozpadać. Nie wiedział o kilku misjach w przestrzeni kosmicznej, których celu nigdy nie ujawniono, ani o tym, że właśnie one dodały Niolente pewności i wiary w prowadzoną batalię.

Naturalnie w ostatecznym rozrachunku i tak jej to nie pomogło. Nastąpiła lawina zdarzeń, proklamacja republiki przez jedno ze stronnictw, natychmiastowe uznanie jej przez rządy na Ziemi, wysłanie na pomoc wojsk Władz Pokojowych. Niewątpliwie stara kobieta postanowiła wówczas zginąć z bronią w ręku, bo zgromadzone przez nią wojska nie miały najmniejszych szans. Władze z całą pewnością złupiły wszystkie miejsca, które przedtem zajmowała, włącznie z istniejącymi w nich bazami danych.

Kenmuir nie zdawał sobie sprawy z faktu konfiskaty wszystkich materiałów. To, co potem ujawniono, było ich okrojona wersją, a późniejsze urzędowe relacje o przypadkowym zniszczeniu części archiwów zupełnie nie pasowały do metodycznych procedur kierownictwa. Nikt nie zwrócił na to szczególnej uwagi. O całej sprawie wkrótce zapomniano, a wyjątkiem byli niektórzy spośród bezpośrednich potomków Niolente.

– Prowadziła jakieś działania w kosmosie? – wydyszał.

– Musiała to być broń... albo sama nie wiem co.

– To skąd ja miałbym o tym wiedzieć?

Wychyliła swój puchar i ruchem ręki dała znak, żeby dolał jej wina. Leopard wstał i zaczął przemierzać pomieszczenie, czarno-złoty w okrucach światła.

– Słuchaj – podjęła Lilisaire. – Tradycja, o której mówiłam, sięga jeszcze dalej, do czasów Dagny Beynac. Jeden z jej synów wyprawił się w przestrzeń kosmiczną i już nie powrócił. Nie podano żadnych przekonujących wyjaśnień. Rodzina zachowała dla siebie całą wiedzę o tej sprawie.

Licząc na ostateczny zysk? To pasowałoby do Lunarian. A może w ten sposób chcieli uczcić pamięć zmarłego?

– Przetrzęsając ocalałe dokumenty, ponieważ zdobywcy nie odnaleźli wszystkiego, doszłam do wniosku, że właśnie z tego odkrycia miała zamiar skorzystać Niolente. Zawładnąwszy nim,

moglibyśmy urzeczywistnić przynajmniej część jej nadziei. Ale nie mamy zbyt dużo czasu, a nieprzyjaciel może, dając posłuch podejrzeniom, zacząć działać, zanim jeszcze zostanie uruchomiony Biotop. Dlatego natychmiast, gdy natrafiłam na ślad tajemnicy, wezwałam ciebie, żebyś mógł podjąć dalsze poszukiwania.

– Aleja... ja nie mam pojęcia, od czego zacząć – najeżył się.

– Od Ziemi. – Przeszyła go spojrzeniem.

– Że co? – Zdał sobie sprawę, iż stoi z rozdziawionymi ustami, więc natychmiast je zamknął.

– Jak to?

– Na pewno wiesz, że pierwszy Rydberg był synem i zaufanym powiernikiem Dagny Beynac. I... mistrz loży Bractwa Ognistej Kuli do dzisiaj strzeże jakichś sekretów, które pochodzą chyba jeszcze z tamtych burzliwych czasów.

– To znaczy...

– Wiem, że szansę są nikłe, ale nie widzę wielu innych możliwości. – Westchnęła.

– Broń... – Kenmuirowi przebiegł po grzbiecie zimny dreszcz. Sprawy zaczęły przybierać kiepski obrót już wtedy, gdy Ognista Kula skierowała swoją flotę przeciw Awantystom. Mimo że krok ten mógł wydawać się uzasadniony, wywołane przezeń wszechświatowe oburzenie położyło kres Ognistej Kuli i suwerenności Luny. Teratonowa głowica jądrowa, asteroida, którą można sterować... – Nie!

– Możliwe, że nie mam racji – przyznała. – Ale jeżeli mam, samo zagrożenie może zapewnić nam wolność. Tak czy owak władzom Ziemi bardzo zależy na utrzymaniu tej sprawy w tajemnicy, dlatego sama groźba jej ujawnienia stanowiłaby broń, prawda?

Wypił duży łyk. Warto byłoby przyjrzeć się temu winu bliżej, ale musiał skupić się na innych sprawach. Żar, który rozlewał się po jego żyłach, nakazywał mówić z namysłem:

– Ta-ak, skoro informacja była tak pilnie strzeżona, musiały istnieć po temu ważne powody...

Ale te powody mogły być słuszne.

– Nie nakłaniam cię do zdrady – powiedziała z błyskiem pogardy w oku. – Znajdziesz, co będziesz mógł, i zrobisz z tym, co zechcesz.

Rany, które zadawała, były boleśniejsze, niż można byłoby sądzić.

– Szczerze wątpię, czy Rydberg weźmie moje słowa za dobrą monetę i zacznie mi się zwierzać.

Znowu ciepło się uśmiechała.

– Może i zacznie, jeśli tylko wszystko mu wytłumaczysz. Jeżeli nie, albo jeśli to, co ci powie, będzie dla nas bezwartościowe, wtedy... – Echo nie dokończonego zdania wybrzmiało niczym muzyka.

– Wtedy co? – ponaglił.

– Mam na Ziemi jeszcze innych agentów. Czy zechciałbyś z nimi współpracować? Twoja znajomość kosmosu może okazać się niezwykle przydatna.

Czyste szaleństwo, myślał. Nie był żadnym szpiegiem, buntownikiem, tylko zwykłym, praworządnym technikiem w średnim wieku, którego śmiałość była zamknięta w głowie i znajdowała ujście w kontaktach z bezosobowymi siłami pośród gwiazd, dokąd nigdy nie sięgną cierpienia i spory rozdzierające ludzkość. A ona rzucała mu wyzwanie – i chciała tego, potrzebowała, mógł uratować jej życie.

– Spróbuję – usłyszał własny szept.

Krzyknęła, roztrzaskała puchar o ściany diamentu i rzuciła mu się w ramiona.

Żywa sofa przyjęła ich i reagowała na każdy ich ruch.

W duchu mógł tylko chwalić tę straszliwą konieczność, która stworzyła Lilisaire i jej rasę.

MATKA KSIĘŻYCA

Nocą nad Drugą Stroną Księżycy króluje wspaniałość gwiazd. Nie przyćmiewa ich ani słońce, ani Ziemia, wystarczy więc oddalić się od światła ludzkich siedzib i ma się przed sobą pełne jasności niebo; kilka tysięcy gwiazd jawi się oku, które dzieli od nich przezroczysta płytko i kilka centymetrów oddechu. Lśnią nieruchome w krystalicznym mroku, a najjaśniejsze nie muszą wcale być najbliżej; niektóre płoną blaskiem stalowobłękitnym, złotym, bursztynowym, rdzawym. Konstelacje nie tworzą już geometrycznych wzorów, lecz szerokim gestem rozstawione zastępy w szyku jakby wojskowym, z płonącymi gdzieś planetami. Mgławice unoszą się jak czarne, burzowe chmury lub płyną leniwie, oświetlone łagodnym blaskiem. Od widnokręgu do widnokręgu pręży się łuk galaktycznego pasa, sprawiającego wrażenie nie mlecznego, ale lodowcowego, niczym skuta zimowym mrozem rzeka płynąca przez noc. Jeszcze dalej można dostrzec jego najbliższe siostry – obłok Magellana i olbrzymi, rozmyty kształt Andromedy. Starczy wyłączyć odbiornik i człowiek całkowicie nasyci się tym obrazem, tonącym w ciszy równie przepastnej jak sam firmament. Obserwatorowi tylko ciche odgłosy ciała dają znać, że jest i że żyje.

Czasami w górze zaiskrzy się kometa, szybko niknąca w cieniu Księżycy.

Dagny Beynac westchnęła i zawróciła w stronę obozu. Nie mogła wpatrywać się zbyt długo w ugwieżdżone niebo, miała dużo pracy.

Najpierw okres planowego wirowania. Szef nie powinien kazać na siebie czekać. Wpadła w kangurzy rytm, osiem do dziesięciu kilometrów na godzinę po mrocznej lawie, swobodne i radosne tempo. Blask lamp przyćmił gwiazdy.

Pozostała trójka już czekała przy centryfudze. W nie rozpraszającej światła próżni, w blasku odbitym od krajobrazu, światło i cień, biel i kurz otaczały ich skafandry ulotnym światłocieniem.

Tak jak każdy nowo przybyły na Księżyc, Dagny musiała nauczyć się widzieć, zwłaszcza po zachodzie słońca nad Drugą Stroną. Dziś bez trudu rozpoznała tamte kształty, stację zaopatrzeniową i bunkry, brygady i maszyny, olbrzymie, skomplikowane konstrukcje. Na Mare Moscoviense wznoszono kompleks obserwatorium astronomicznego, a ona kierowała budową kwatery dla jego personelu. Roboty postępowały szybko, jeśli człowiek dawał sobie radę, jeżeli wytrzymywał...

Z powrotem uruchomiła radiostację. Wyłączenie jej w terenie było rażącym naruszeniem przepisów, ale od czasu do czasu potrzebowała chwili dla siebie, żeby poczuć niebo i rosnące w sobie życie.

– Cześć – zagadnęła. – Zwarci i gotowi?

Wim den Boer nie wychwycił wesołkowatej drwiny.

– Nie – mruknął. – Diabli nadali te trzy godziny! Nie mam czasu! Przecież wiesz, że przez problemy z dostawami pomp mój zespół ma opóźnienie.

Dagny przystanąła.

– Mój drogi, kiedy już skończymy te roboty i wrócimy do Bowen, postawisz mi piwo w Baku Paliwa, a usłyszysz o takich nieszczęściach, że usta przymarzną ci do kufla. A na razie nie łam sobie znowu głowy, bo jeszcze dojdę do wniosku, że jest za mała. Zerowe prawo termodynamiki mówi, że wszystko trwa dłużej i więcej kosztuje.

– Ale opóźnienie mamy dość poważne, prawda? – włączyła się Jane Ireland. Była dobrym elektrykiem – dzięki niej rozwiązano problemy z siecią przesyłową energii z kolektorów Criswella do przekaźników na Pierwszej Stronie – ale zbyt przejmowała się polityką. – Czy zdajesz sobie sprawę z ostrego lobbingu Eurospace i EcoAstro przeciwko podpisywaniu umów z pierwszą lepszą firmą prywatną, a przede wszystkim naszą? Jeżeli zawiedziemy...

– Nie zawiedziemy – odrzekła Dagny. – Szef wszystkich rozgromi. Jeśli Guthrie nie zdoła

pobić, nabrać i zakrzyczeć połączonych sił rządów na Ziemi, to możemy spokojnie wracać do domu, a Amerykanie niech nawracają się na Odnowę. Jesteśmy w stanie mu pomóc tylko przez wykonanie umowy pomimo wszystkich kłód, jakie rzuca nam pod nogi Murphy.

Od samego początku zorientowała się, iż na jej stanowisku umiejętności kontaktów międzyludzkich są istotniejsze od wiedzy technicznej, i z zapałem zabrała się do ich opanowywania. Najpierw korzystała ze wspaniałych rad Edmonda, lecz z czasem musiała uczyć się sama, często po omacku, metodą prób i błędów, kierując się raczej wyczuciem niż przepisami, bo każda jednostka we wszechświecie jest jedyna w swoim rodzaju.

Z pomocą pospieszył jej Pedro Naguchi:

– Wim, Jane, jeśli zachorujecie, będziecie niezdolni do pracy. I tak odbywamy te sesje najrzadziej, jak się da. Może zamiast gadać po próżnicy, zabralibyśmy się do rzeczy? To ich uciszyło. Wielu z tych ludzi, myślała Dagny, okazuje osobliwą lojalność wobec Ognistej Kuli, czasami silniejszą niż dla własnej ojczyzny. Nią kierowały względy osobiste, ale co powiedzieć o innych? To nie mogło się brać tylko z ciekawej pracy, wysokich płac, sympatycznego kierownictwa i perspektyw kariery, której mogły stanąć na drodze jedynie brak umiejętności i pech. Jakimś sposobem w Ognistej Kuli ludzie mieli poczucie wspólnoty, panował tu pewien specyficzny duch, który zanikł w innych miejscach na Ziemi.

Wyszukała swoje miejsce i wzięła się do pracy.

Stroma centryfuga polowa, która się nad nią wznosiła, miała dwa i pół metra wysokości od szerokiej podstawy do czterech obrotowych ramion. Była przenośna i różniła się znacznie od ogromnych, stałych urządzeń, jakie stawiano w osiedlach. Ramiona miała wydrążone, do każdego przymocowano linę z klatką, której podłogę stanowił krąg o średnicy półtora metra, zwisający nad ziemią na poziomie kolan. Do ścian we wnętrzu przytwierdzono proste urządzenia gimnastyczne. Od spodu do podłogi przyspawano skrzynię do wytworzenia odpowiedniej masy.

Nikt z obecnych, nawet w skafandrze i z wyposażeniem, nie ważył sto dwadzieścia jeden kilogramów – czyli dwadzieścia jeden kilogramów według miar lunariańskich – które stanowiły obciążenie standardowe. Dagny stanęła na wbudowanej w podstawę wadze. Nie racząc skorzystać z kalkulatora w lewym rękawie, obliczyła różnicę w myślach, po czym z ustawionego obok słupka wybrała cegły konieczne do wyrównania niedowagi. Wsunąwszy odpowiednią ich ilość do skrzyni, zamknęła ją i weszła do klatki. Zamknęła drzwi, na wszelki wypadek przymocowała się do ściany i nakazała:

– Raport sytuacyjny.

– Gotowe... gotowe... gotowe... – usłyszała.

– Centryfuga do nadzoru, rozpoczynamy trzygodzinne ćwiczenia! – zawołała. Człowiek w wieży kilometr stąd potwierdził odbiór. Będzie ich pilnował, tak jak ona czuwała nad robotami, na wszelki wypadek.

– Ruszamy – oznajmiła. W każdej klatce znajdował się przycisk startu i zatrzymania, ale ona, jako najstarsza rangą, zaczynała.

Uruchomiła silnik w podstawie kolumny. Rotor zaczął się obracać. Zaciski rozluźniły się i rozstawiły na podłożu, nierównym i niezbyt gładkim, podobnym bardziej do rumowiska niż do twardej skały. Czujniki nadzorowały przesunięcia sił i dawały sygnały efektorom; machina utrzymywała dynamiczną równowagę. W miarę jak rotor nabierał prędkości i unosiły się klatki, trzymające je liny rozwijały się i zaczynały przyjmować niemal poziome położenie. Gdy układ osiągnął pełną stabilność, każdy z ludzi znajdował się w warunkach przyciągania i przyspieszenia ziemskiego.

Dagny rozpięła pas. Przez chwilę spoglądała w górę pomiędzy kratami. Niektórzy wpatrywali się w ziemię lub na boki, inni zamykali oczy, byle jak najmniej kręciło im się w głowach; ona wołała niebo. Gwiazdy wirowały szalonym kołem, którego piasta znajdowała się

gdzieś ponad nią. Oddechy jej i jej towarzyszy stawały się coraz głośniejsze. Wibracje rozlegały się jak delikatne szemranie w krwiobiegu. Masa kładła dłoń na jej skafandrze, ciele, kościach, każdej najmniejszej komórce.

To uczucie było w sumie przyjemne. Nieważkość sprawiała jej niezwykłą radość, lecz natura nie stworzyła jej do takiej wolności.

Stała tak i zastanawiała się, kiedy został ustalony jej los. Jedną trzecią miliarda lat temu, kiedy przodkowie wypłynęli z morza i musieli się prostować? Mond wszystko by jej dokładnie wyłożył. Aż za dobrze znała efekt końcowy, wielorakie, wspaniałe, zniewalające przystosowania, które ewolucja wytworzyła dla jedyne go swojego świata. Grawitacja Luni po prostu nie wystarczała stworzeniu z Ziemi.

Ale najgorzej działo się w skali mikro. Człowiek nie miał mdłości, nie puchnął, mięśnie i szkielet kurczyły się dość powoli, szkody stawały się nieodwracalne dopiero po wielu latach, potem do śmierci zostawało jeszcze trochę czasu – takie przynajmniej były prognozy na podstawie ekstrapolacji eksperymentów na zwierzętach i symulacji komputerowych. Lecz rozkład był wszechobecny, chodziło o równowagę płynów i chemię komórkową, degenerację naczyń krwionośnych, dysfunkcję bariery między krwią a mózgiem, wrzodowate narośla na różnych tkankach, sklerozę lub nekrozę innych, pierwsze skutki dawało się wykryć klinicznie po niecałym roku.

Jeżeli chciało się zachować zdrowie, należało możliwie najczęściej dźwigać ciężary, do których było się stworzonym.

Narodziny. Ręka Dagny ukradkiem dotknęła brzucha. Wspomnienia kłębiły się w jej głowie niczym gwiazdy na niebie.

Nie mieli z Mondem takich zamiarów, przynajmniej do czasu upewnienia się, że nic nie grozi matce i dziecku. Zastryk miała zaplanowany za pół roku. Czyżby to niepowodzenie było

kolejną konsekwencją niskiego g? (Być może był to efekt idiosynkrazji, bo jeden Bóg wiedział, jak często ludzie kochali się na Lunie, wykorzystując rozkoszne sposoby, które trudno byłoby uskuteczyć gdzie indziej). Lekarz proponował usunięcie. Dagny uparcie dopytywała się, jakie są inne możliwości wyboru. Doktor odbył międzyorbitalne konsylium. Naukowcy byli zdania, że ciąża powinna przebiegać normalnie. W sumie płód dryfowałby sobie w wodach płodowych, w tym pierwotnym oceanie. Ssaki, włącznie z małpami, rodziły już na Księżycu i młode żyły, gdy tylko zdołano eksperymentalnie ustalić właściwy dla danego gatunku rozkład sesji w centryfudze.

Rzecz jasna specjaliści niczego nie gwarantowali. Mieli zbyt skąpe wiadomości. Nauka z radością skorzysta z tej okazji i podejmie obserwacje, lecz pani Beynac musi zrozumieć, że takich okoliczności zupełnie się nie spodziewano. Kuracje i praktyki znane pod zbiorczą nazwą biomedycyny mogły przedłużyć przeciętne ludzkie życie tak, by trwało ponad sto lat, lecz medycyna nie jest w stanie naruszyć podstaw ludzkiego organizmu. To wymaga zmian DNA.

Opracowywano plan, który mógłby stać się jedyną realistyczną szansą założenia na Lunie autentycznej kolonii – wysoce kontrowersyjny, nie mający nic wspólnego z panią Beynac, która może uznać, że dobro jej dziecka wymaga powrotu na Ziemię.

W porządku, jeśli będzie to bezwzględnie konieczne. Ale tylko pod tym warunkiem.

W każdym razie może kontynuować pracę na Lunie, dopóki zdoła się wcisnąć w skafander.

Poranne wymioty – tortura znacznie bardziej męcząca niż ów na poły realny pierwszy raz – przeszły. Oznaki i testy dodawały otuchy. Ognista Kula nie zwolni jej, nie zdegraduje ani nie udzieli nagany, jeżeli przeniesie się na Ziemię, lecz jej osoba była pilnie potrzebna na Drugiej Stronie. Tym sposobem już w drugim trymestrze znalazła się w tym miejscu, czujna, sprawna, nosząca w sobie dziecko Edmonda.

Juliana, powiedziała w myślach. To będzie dziewczynka. Juliano, Księżycowe dziecię, witaj

w przyszłości.

Starczy tych wspomnień, roztkliwiania się. Jeśli chciało się maksymalnie skorzystać z dużej grawitacji i skrócić czas przebywania w takich warunkach, należało nie tyle stać czy siedzieć, ile ćwiczyć.

Dagny kucnęła, odpięła sztangi i podniosła je. Poruszała się ostrożnie, żeby nie zakręciło jej się w głowie. Pseudomasa Terry była przeciętną liczoną dla pasa, między głową a stopami było dziesięć procent różnicy. Mniej przeszkadzała siła Coriolisa, choć z nią także trzeba się było liczyć. Wielkie centryfugi były wygodniejsze pod obydwojma względami. Pełny luksus, największa w Port Bowen miała osobne przedziały, wersalki – Dagny uśmiechnęła się od ucha do ucha. Podejrzewała, że właśnie tam została poczęta Juliana.

Sztangi w górę, w dół, w górę, na boki, trucht w miejscu. Zgiąć, wyprostować, zgiąć, niech ciało się odpręży, a umysł poszybuj na karuzeli gwiazd. Zaczerpnąć głęboko tchu, oczyścić płuca, poczuć słodki zapach potu, zakosztować ciepła rozchodzącego się po całym ciele. Serce bije szybko, krew przyspiesza, a czy tam, na dole, też coś przyspiesza, czy Juliana również tańczy?

Nie, przypomniała sobie Dagny, o wiele za wcześnie, nie, jeszcze nie.

Ból przeorał ją jak pług pole.

Szpital w Port Bowen był mały, skromny i pierwszorzędnie wyposażony. Gdy Edmondowi Beynacowi udało się tam wreszcie dotrzeć z ekspedycji, na której akurat przebywał, żona była już gotowa do porożenia.

– Nie musisz tu przyjeżdżać – mówiła, gdy dzwonił pierwszy raz. – Nic mi nie jest. Niedługo mnie wypuszczą.

– Bujać to my, a nie nas! – krzyczał zgrubiałym głosem.

– Masz *une avortement*, poroniłaś w tym cholernym skafandrze

– i mam nie być przy tobie? – Ekran telefonu był niewielki, jakość obrazu, wędrującego po telefonicznych łączach, kiepska, a]e i tak zdawało jej się, że widzi na jego policzkach łzy.

Pierwszy taki przypadek.

Wskutek konwulsyjnego poronienia, które nie było jeszcze kompletne, gdy koledzy zanieśli ją do środka i zdjęli z niej ochronny ubiór, bardzo mocno ucierpiała. Była jednak młoda i pełna energii, a szpitalny personel miał do dyspozycji coś więcej niż chirurgię – biotechnikę molekularną.

Siedziała na łóżku po spacerze przez korytarze, gdy zjawił się Edmond. Przenośny czytnik, który trzymała w ręce, wyświetlał akurat *Wilka morskiego*; lubiła powieści przygodowe, a ostatnimi czasy powstawało ich niewiele. Izba była zarezerwowana dla niej, ale przez to mikroskopijna. W obecności męża było jej tu ciasno. Co jej nic a nic nie przeszkadzało. Objął ją silnymi, może tylko nieco drżącymi ramionami, przy pocałunku podrapał ją zarostem, a gdy położyła mu głowę na piersiach, poczuła łomotanie pod żebrami.

Po chwili usiadł na brzegu łóżka i po prostu wziął ją za rękę.

– Mówię serio, Mond, nie przejmuj się tak, nic mi nie jest – powtarzała uparcie. – Tutaj twierdzą, że za dwa tygodnie będę mogła wracać do pracy i tym razem nie będę musiała martwić się o żadne terminy. – Tu popełniła błąd. Głos jej się załamał. Opuściła powieki i wymamrotała:

– I będziesz mógł mnie przelecieć. Stęskniłam się za tobą, kochany.

– Będziemy już zawsze uważać. – Nie opuszczała go powaga.

– Tak, tak.

Nie spuszczał z niej wzroku. Cisza się przedłużała.

– Ale chciałabyś mieć dzieci – stwierdził wreszcie.

– Pod warunkiem, że ty też, ale szczerze i mocno.

– Dwoje już straciłaś. – Nie wspominał o tym od wieczoru, kiedy poprosił ją o rękę, a ona

opowiedziała o dziecku, które ktoś adoptował. Wtedy również przez pewien czas siedział nieruchomo, by w końcu oświadczyć, że to nie ma znaczenia, że było i minęło, po czym zmienił temat.

– Nie kłam – bardziej rozkazał niż poprosił, chociaż tonem pełnym współczucia. –

Doskonale wiem, że płakałaś, gdy leżałaś sama w tym łóżku.

– Ale już po wszystkim. – Na tyle tylko potrafiła się zdobyć.

– Trzeci raz nie można na to pozwolić.

– Nie można. – Odrzekła zdecydowanie. Sporo ostatnio przemyślała. – Przede wszystkim pragniemy Księżycy.

– Bardziej niż dzieci?

– Tak, jeżeli mam wybierać.

– Wiesz, na czym polegają nasze trudności? Skinęła głową.

– Doktor Nguyen wszystko mi wyjaśnił. Modele komputerowe stają do góry nogami, kiedy wprowadzi się zmienione dane, które uzyskano z mojego przypadku. Badania, testy, próbki, kontrola elektrochemiczna, Boże, w czasopismach naukowych będą omawiać mnie przez najbliższe pięć lat. Stanowię oczywiście jedyny przypadek, ale dostarczyłam istotnych informacji, których brakowało. Nowe orzeczenie brzmi, że to, co się zdarzyło, było nieuniknione. Antykoncepcja przestaje działać wcześniej niż na Ziemi, dlatego nie można donosić żadnej ciąży. Zwierzęta doświadczalne wprowadziły nas w błąd. Ludzie są przede wszystkim znacznie więksi, co sprawia, że gospodarka płynami to zupełnie inny problem techniczny, przynajmniej w słabym polu grawitacyjnym. Co więcej, cały nasz skomplikowany mózg daje się oszukać i wysyła sygnały do mięśni, gruczołów i nerwów żeńskiego układu rozrodczego. Pękają chemiczne bariery ochronne łożyska, nasilają się reakcje alergiczne, płód – już zmarły albo umierający – zostaje wydalony. Nasz gatunek nigdy nie będzie rozmnażał się w sposób naturalny na Lunie.

Więc wydusiła to z siebie, co prawda pospiesznie, ale nawet nie zadrżał jej głos. Wsparła się na poduszkach, nagle wyczerpana.

– Słyszałeś o tym? – wyszeptała.

– Tak, kontaktowałem się ze szpitalem przez całą drogę tutaj. – Edmond urwał. – Istnieją opinie, że można wyprodukować lekarstwa, które umożliwią narodziny.

– Wiem – westchnęła. – Ale wiem też, że będzie to nieprzyjemne i drogie i skaże następne pokolenie na to samo, co mnie. Nie chcę.

Zobaczyła i poczuła, jak mężczyzna sztywnieje.

– Dagny – cedził słowo po słowie – możemy przenieść się na Ziemię... dopóki nie jesteśmy za starzy.

– Byłeś na to gotowy od samego początku – odparła cichym głosem.

– Byłem. Bo narodziny dzieci... Chcę, żebyśmy mieli dzieci. Potrząsnęła głową. Narastał w niej spokój, nowy, silny.

– Juliana istniała. Zdarzyła się i nie mieliśmy zamiaru zabijać jej ani porzucać. Ale wiedziałam... byłeś taki dobry, taki łagodny na swój grubiański sposób. Nigdy ani słowem nie zająknąłeś się, co by to dla ciebie oznaczało, porzucenie doskonale zapowiadającej się kariery naukowej i powrót tam, gdzie wszystko jest suche i poszufladkowane, gdzie mógłbyś co najwyżej pomarzyć o jakiejś nudnej profesurze na przeciętnym uniwersytecie. Ale wiedziałam, Mond, wiedziałam, że będziesz chodził na długie spacery, żeby wykrzyczeć wszystkie swoje bluźnierstwa, że zacząłbyś pić, a zdrowy cynizm przeszedłby w gorzkie wyobcowanie – nie opuściłbyś mnie, bo tak przyrzekłeś, i nigdy nie obwinałbyś o nic dziecka. Mond, ja żałowałam, że nie wierzę w Boga, bo mogłabym się pomodlić, żeby nie kazał nam wracać. I nie kazał.

– *Bien aimee* – powiedział drżącym głosem. Odczuła kolejny przyływ siły. Wyprostowała się.

– Co nie oznacza, że musimy być bezpłodni. – Nie, chciała użyć słowa „jałowi”, ślepa uliczka, podwójna śmierć, i do diabła z fanatykami ograniczenia liczby ludności.

– *Qu'est-ce... co masz na myśli?* – Uniósł pochyloną głowę.

– Oczywiście genetykę. Rasę, dla której Księżyc jest miejscem naturalnym. Zaczęłam przyglądać się tej sprawie, jak tylko zorientowałam się, że jestem w ciąży... to możliwe, Mond. Wiedza już istnieje, mamy mapy genomu, biologię molekularną, histologię, zwykłą, starodawną anatomię i fizjologię. Komputery pokazały nam, jakie zmiany DNA są potrzebne, praktycznie atom za atomem. Metoda nie różni się zasadniczo od tego, co dzieje się w biotechnice przy wytwarzaniu nowego organizmu. Cały zabieg jest już z grubsza opracowany jako ćwiczenie naukowe i środek na nagłe przypadki. Szczegóły można dopracować za rok, może dwa, jeżeli projekt otrzyma zielone światło.

– A ty, ty byś...

– Czemu nie? Bo co, do cholery? Bierze się zapłodnione jajeczko, obrabia, wszczepia. – Zaczynało ją ponosić. – Nawet założę się, że zapłodnienie można odbyć tradycyjnym sposobem.

– Nie! Zagrożenie dla ciebie. I koszty... nie moglibyśmy sobie na to pozwolić.

– Nic podobnego. Ryzyko nie jest większe niż podczas wycieczki na powierzchnię. Możesz mi wierzyć, pilnie badałam tę kwestię. Płód lunariański wchodziłby w inne interakcje. Faktem jest, że potrzebne będzie chemiczne podtrzymanie, ale nie większe niż przy dziecku naszego gatunku, nie grozi żadnym późniejszym upośledzeniem. Co do kosztów, dopóki rządzą tu państwo Guthrie, Ognista Kula ma horyzonty szersze niż rachunek zysków i strat. Przecież do tej pory finansowali także badania. Myślę więc, że z radością pomogą przy stworzeniu pokolenia, które nie będzie już potrzebować pomocy.

– Porządnie ci odwalilo – warknął.

– Możliwe, że nie będzie się udawało za każdym razem. Będzie to bolesne, ale jeżeli ty się

zgodzasz, ja jestem gotowa podjąć takie ryzyko, byle tylko dożyć czasów naszych dzieci, naszych dzieci na Lunie. Nasza krew przetrwa tu już na zawsze.

Własna krew zatętniła jej w żyłach. Chwyciła go kurczowo za rękę. Jeszcze się wahał.

– Dagny, eksperymentowanie na ludziach budzi potężne sprzeciwy. Mnie samego dręczy sumienie. A co powiedzieć o mieszkańcach i politykach Ziemi?

– Guthrie na pewno uzyska zgodę. Kochany, powiedz tak, tak, a jutro wysyłam do nich szyfrowaną prywatnie wiadomość.

Krew Ansona Guthrieego żyjąca na Księżycu.

Fakt, że był jej dziadkiem, to ostatnia prawdziwa tajemnica, jakiej nie odkryła przed Edmondem. Miała nadzieję, że teraz będzie mogła się nią podzielić.

Dom Guthrieego wyglądał na starszy, niż był naprawdę, kamienie, z których go zbudowano, sprawiały wrażenie ukształtowanych nie przez ludzkie ręce, ale przez deszcz, wiatr i mróz.

Gmach zrósł się z okolicą, z otaczającymi go zewsząd jodłami, kwietnikami i rozległą łąką, ciągnącą się do samej wody. Dok, łódź i zabudowania gospodarcze równie dobrze pasowały do wyspy. Nie raziła nawet rakieta i bunkier, w którym stała.

Ale wszystko to brało się z jego wnętrza, myślał Kenmuir. Wynikało z tradycji, świętości, o której natura nie miała pojęcia. Na jej tle poczucie powrotu do starożytności było złudzeniem.

Biało-błękitne chmury wznosiły się niczym śnieżne zaspę; rozgrzaną ziemię chłodził lekki wietrzyk niosący wonie lasów i soli; fale lśniły i szumiały, puszcza wzdychała; na niebie szybowało kilka mew – w starannie pielęgnowanej i wyraźnie ograniczonej enklawie. Tak się złożyło, że nie przelatywały akurat żadne statki powietrzne. Gdy zajdzie słońce, ujrzy satelity wędrujące wśród gwiazd, które uda mu się być może zobaczyć pomimo łuny na niebie.

Możliwe, że właśnie dlatego rakietę nie sprawiała wrażenia intruza, a raczej strażnika tego spokoju. Stanowiła przynajmniej totem, punkt, przy którym zwoływano zgromadzenia. Tak czy owak, nie narzucała się patrzącemu. Zajmowała polanę kilkaset metrów w głąb wyspy i gdyby nie wzniesienie terenu, nie byłaby w ogóle widoczna. Można było dostrzec tylko dziób, wystający nad koronami drzew i dachami na podobieństwo grotu włóczni.

Kenmuir zostawił swój niewielki wolant na pasie startowym i skierował się w stronę domu – pod stopami chrzęścił żwir. Wzrok i myśli skupiał właśnie na rakiecie. „Kestrel”, mały statek klasy Sokół, pilotowany przez Kyrę Davis; dawno, dawno temu ocalił Guthrie przed Awantystami i starł się z jego sobowtórem. Kenmuir sam uczestniczył kiedyś w dorocznym obrzędzie kontroli, czyszczenia i ładowania akumulatorów, kończącym się słowami błogosławieństwa: „Bądź zawsze gotowa odlecieć”. Wobec całej tej podniosłej atmosfery po plecach przebiegły mu ciarki, włosy stanęły dęba. Był wtedy taki młody... ale dzisiaj też czuł coś podobnego. Jednak życiu i śmierci jego rasy patronowały symbole. Tak samo było z Lunarianami. A co z sofotektami?

Przyszło mu do głowy, że nigdy nie interesował się dziejami tego zabytku. Jakich wybiegów i szantażu wymagało nawet nie samo zdobycie rakiety, ale pozwolenie na to, by można było ją

utrzymywać w pogotowiu? Tak, teraz była przestarzała, ale w tamtych czasach bynajmniej; a od tej pory zezwolenie na przechowywanie na Ziemi najmniejszej nawet ilości antimaterii można było uzyskać pod warunkiem, że pełną kontrolę sprawowały nad nią maszyny.

Cóż, Przedsiębiorstwo Ognistej Kuli, które niegdyś panowało w Układzie Słonecznym, nie uległo likwidacji z dnia na dzień, a związani z nią ludzie uzyskali nieco przywilejów. Niech sobie zachowają ten pomnik. Już za swojego życia zmienili się w coś w rodzaju nieszkodliwej sodalicii. Po upływie jednego czy dwóch pokoleń mało kto pamiętał o istnieniu „Kestrel”. Dla cyberkosmosu stanowiła którąś tam pozycję w bazach danych.

Niemniej jednak rakieta tkwiła w swoim bunkrze. A czy Ognista Kula była nieszkodliwa? To się jeszcze okaże. Kenmuir przyspieszył kroku.

Na werandzie stał wartownik, bez broni. Była to dziewczyna, którą postawiono tutaj dla dodania miejscu uroczystego charakteru. Terminowała przed zaliczeniem w poczet pełnoprawnych członków swojej grupy. Matthias lubił, żeby goście byli witani w wielkim stylu.

Zauważyła, że Kenmuir ma na sobie ten sam szary uniform Ognistej Kuli, więc zaszalutowała.

Natychmiast odwzajemnił gest. (Jednocześnie myślał, że za czasów istnienia firmy nie było mowy o takich formalnościach. One narastały, jak koral obrasta zatopiony okręt).

– Kapitan Kenmuir – zaanonsował się na jej użytek. – Umówiony na prywatną rozmowę z Rydbergiem.

– *Aye, señor* – odpowiedziała – proszę za mną.

Nie był tu od lat, ale gdy wchodził do przedsionka, ogarnęła go fala wspomnień. Dębowa wykładzina, szklane okno, na którym rozkładają skrzydła Dedal i Ikar – a w głębi korytarza wielka, mroczna sala ze starożytnymi meblami, dywanem i gobelinami, kandelabrami i kryształami, obrazami, księgami, tradycją. W fotelu przy kamiennym kominku siedział Matthias. Kenmuir stanął przed nim na baczność.

– *Hola, señor* – zaczął od przyjętego tu pozdrowienia. Starzec skinął głową.

– *Bienvenido*. – Odrzekł basowym, grzmiącym głosem. Nie zmienił się za wiele od ich ostatniego spotkania. Sylwetkę miał ciągle zwalistą, brzuchatą, lecz kończyny, toporne rysy twarzy i haczykowaty nos nie postarzały się od tamtej pory; białe włosy tworzyły papuzi czub, oczy były głęboko osadzone i niewzruszone. Odznaka Ognistej Kuli na lewej piersi sprawiała, że nie potrzebował niczego oprócz swej prostej, niebieskiej tuniki.

Kenmuirowi przemknęło przez głowę pytanie, czy Matthias zawsze nosił tylko to jedno imię. Ziemianie często używali wielu. Nie znał zbyt dobrze tego mistrza łoży. Wobec powszechnej długowieczności człowiek mógł pracować tyle lat, że jego przeszłość pogrążała się w mrokach zapomnienia.

– Spocznij, kapitanie – powiedział Rydberg. – Proszę usiąść.

– Dziękuję, *gracias*. – Kenmuir zajął krzesło naprzeciw gospodarza.

Rozległ się chichot.

– Dostyc już będzie na dzisiaj tych amerykańizmów i anachronizmów, nieprawdaż? Może się pan czegoś napije, kapitanie?

– Hm, cóż...

– Jak dla mnie, pora nie jest zbyt wczesna na szkocką z wodą.

– Poproszę piwo – odważył się wreszcie Kenmuir.

Matthias dał znak strażniczce, która wyszła. W domu pracowało kilkoro służby oraz automaty, ale dla dziewczyny taka praca była zaszczytem.

– Rzadko pan tu zagląda – zauważył gospodarz.

– Tak, proszę pana, nie bywam za często na Ziemi, a kiedy już się to zdarza... – Po prostu nie przepadał za życiem towarzyskim. Zaglądał do znajomych w różnych miejscach planety, wyszukiwał historyczne miejsca i śnił na jawie, wyprawiał się na całodzienne wycieczki do

rezerwatów. Czasami odwiedzał prostytutki, choć niezbyt często. Zawsze wynosił od nich smutne wrażenia, nawet jeśli znajdowały w swym zajęciu przyjemność. – Tak, powinienem więcej czasu poświęcać Bractwu.

– Udział jest dobrowolny. – Matthias rozparł się wygodniej, złożył palce, przymknął powieki i podjął donośnym głosem:

– Zastanówmy się. Po pana prośbie o rozmowę wyszukałem wszystkie dane na pana temat. Są nieliczne i być może nieprawdziwe. Proszę mnie więc poprawiać. Pana przodkowie należeli do Ognistej Kuli w czasach, gdy była firmą, lecz rodzice mieszkali na Ziemi i również niezbyt udzielali się w korporacji.

Kenmuir poczuł ukłucie bólu. Powinni jeszcze żyć. W końcu on, ich jedynek, miał zaledwie pięćdziesiąt pięć lat. Ale wypadki zdarzają się nawet w społeczeństwach cybernetycznych. Zderzenie dwóch ręcznie sterowanych wolantów nad arktycznym ośrodkiem sportowym, gdzie panuje niewielki ruch – a on gdzieś za orbitą Plutona, usiłujący opanować kometę.

– Mój brak aktywności nie wynikał z tego, że nie cenię swojego członkostwa, proszę pana. – Był zupełnie szczery.

– Zgoda. Ale idźmy dalej. Dostał się pan do Akademii. Zauroczenie gwiazdami, prawda? A co więcej, poparte zdolnościami. Zaczął pan pracę w Federalnej Służbie Kosmicznej, potem przeniósł się pan do Przedsiębiorstwa.

Kenmuir wiedział, iż Matthias pracował tylko w Służbie Kosmicznej, więc próbował się bronić:

– Wie pan, wszystko na Ziemi stało się takie...

– Takie niezawodne – przytaknął Matthias. – Nie ma miejsca dla ludzi, chyba że zadowolą się pracą na niby, nie ma miejsca dla własnej inicjatywy. Za moich czasów w Służbie Kosmicznej nie wykorzystywano aż tak bardzo zaawansowanej techniki. Za to z wiekiem coraz

mniej zazdrościłem młodym.

– Kosmos jest jeszcze ludzki dzięki Lunarianom. – Kenmuirowi szybciej zabiło tętno.

– W pewnym sensie ludzki.

Nie wolno od razu ustępować. W Rydbergu wzbudziłoby to pogardę.

– Robią to również dla nas. Jesteśmy im potrzebni.

– Bo ich sposób działania jest całkowicie niezyciowy.

– Chyba że coś leży w ich naturze. To samo można powiedzieć o licznych Terranach.

– Tak, tli się jeszcze płomyk starego ducha. – Matthias nieco się rozpogodził. – Biotop

powinien go podsycić. Może dane mi będzie dożyć chwili, gdy na własne oczy zobaczę to, co do tej pory widywałem w viviferach i quivirach.

– Właśnie w tej sprawie tu przyszedłem.

– Tak też myślałem. – Badawcze oczy starca przenikały go na wskroś.

Co on tak naprawdę wie?

Dziewczyna wróciła z tacą, postawiła napoje na stolikach i odeszła.

Matthias wygłosił toast:

– Dobrego startu. – Mężczyźni przytknęli naczynia do ust. Piekący płyn dodał Kenmuirowi animuszu.

– Wie pan, co stanie się z Lunarianami po stworzenie Biotopu – zaczął.

– Stopniowo się ucywilizują – parsknął Matthias.

– Nie przetrwają tego doświadczenia.

– Tak twierdzą. – Głos Rydberga stwardniał. – Czy oni naprawdę nie potrafią się przystosować, czy chodzi o garstkę Selenarchów, którzy tupią i wrzeszczą, bo utracą swoje przywileje? Kenmuir dobierał słowa.

– Z całym szacunkiem, proszę pana, ale Lunarian, wszystkie klasy Lunarian, znam tak

dobrze, jak tylko może poznać ich mieszkanię Ziemi... Terranin. Gdy wielokrotnie podróżowało się z kimś na krańce Układu Słonecznego, zaczyna się go rozumieć. – A spotykał ich na Lunie, na Księżycu i mikroskopijnych koloniach, przyczepionych do asteroid, które wirują pośród zimowych gwiazd, albo wkopanych w lód i skałę pod majestatycznym Jowiszem i lśniącym jak klejnot Saturnem.

– To znaczy, że pan ich pokochał? – zapytał łagodnie Matthias.

Zbity z tropu Kenmuir zdołał wyjąkać:

– No, czuję ich... ich położenie. Matthias uniósł palec.

– Musimy ustalić jedno: ja ich nie nienawidzę. Są godni podziwu, jak, nie przymierzając, tygrys. Racja, są solą naszego jałowiejącego świata. – Urwał. – Ale musimy pamiętać o własnej rasie. – Wzruszył ramionami: – Zresztą nasze opinie czy słowa nie mają najmniejszego znaczenia.

– Biotop jest błędnym krokiem. – Kenmuir zacisnął dłoń w pięść.

Matthias uniósł brwi.

– Błędem jest danie szansy przeżycia przygody tysiącom ludzi i niezliczonym ich potomkom?

Tak, myślał Kenmuir, te argumenty już słyszałem: powrót dynamizmu, ludzkość oderwana od zabaw i gier cieni, zwrócona ku nieskończonemu wszechświatowi. Wy stępował w takiej samej sprawie jak Indianie, gdy koła wozów białych wgniatały ich w glebę po drodze ku Pacyfikowi. Ale co miała na myśli Lilisaire, mówiąc o fali lunariańskich kolonistów skierowanej do akwarium? Gdy biali Amerykanie zajęli już nową ziemię, kapitaliści i demagogowie błyskawicznie przemienili obywateli w poddanych.

– Proszę pana – przekonywał – na moim przykładzie widać, co lunariańska wolność może zrobić z Terranina. Jeśli kiedykolwiek dotrzemy do gwiazd – gdzie istniał jeszcze zasejwowany

ślad życia Guthnego – będziemy musieli zrobić to wraz z nimi.

– Możliwe. Proszę mówić dalej.

– Zaslugują na to, by dać im szansę, tak samo jak my.

– Nie przeczę, gdyby szansa była realna. Ale, jak już mówiłem, jaki my mamy na to wpływ?

Słucham dalej.

Kenmuir zaczerpnął tchu i podjął swój wywód. W ciągu trzech dni Lilisaire bardziej szczegółowo tłumaczyła problemy, które z początku tylko naszkicowała, ale przede wszystkim rozpaliała w nim żar walki o swoją sprawę. Nie wspominał o tym, co robili w przerwach między rozmowami. Czy Matthias, siedzący bez ruchu w fotelu, domyślał się tego?

Wypowiedział tylko jedną uwagę:

– Zadziwiające, że te działania Niolente w kosmosie można było utrzymać w tajemnicy.

– Wie pan chyba, jakie znaczenie ma dla Lunarian *etaine*. – Wybrał ich własne określenie, ponieważ zwyczajowe tłumaczenia, takie jak „rodzina” czy „klan”, nie oddawały istoty rzeczy.

W cywilizacji ziemskiej nie istniały żadne dokładne odpowiedniki. Czasami przychodziło mu do głowy słowo „duma”, ale nie, Lunarian trudno też było zaliczyć do lwów. – Wszystko wskazuje na to, że ekspedycje były wysoce zautomatyzowane, a nieliczny personel dobierano ze względu na więzy krwi lub umiejętności. Było pewne, że nikt nie zdradzi tajemnicy. Niolente zamierzała chyba ogłosić swoje plany w odpowiednim czasie i miejscu, co dałoby Lunie pożądaną przewagę, o którą jej chodziło, gdyby sama trzymała na wszystkim rękę wraz ze swoim klanem.

Wygląda na to, że w ostatecznej katastrofie zginęli wraz z nią wszyscy dopuszczeni do tajemnicy. Ukryli się pod Kraterem Delandresa i z pewnością przypomina pan sobie, jak pociski zniszczyły kopułę ochronną, mimo że Władze Pokojowe użyły ich tylko po to, by skłonić Lunarian do poddania się. Zdaje mi się, że zgromadziła ich wszystkich w jednym miejscu właśnie ze względu na zachowanie tajemnicy, a groziła wystrzeleniem głowic nuklearnych

jedynie dla wywalczenia bardziej korzystnych warunków – przynajmniej amnestii. Doprowadziła natomiast do bombardowania. Wydaje się również, że zniszczyła wszystkie dokumenty dotyczące przedsięwzięcia, jakie mogła. Archiwum przejęte przez Władze Pokojowe było fragmentaryczne. Jej dorosłe dzieci wiedziały tylko tyle, że szykuje się coś poważnego. I nie ma się chyba co dziwić, że trzymały język za zębami. Przekazywały sekret z pokolenia na pokolenie, pod przysięgą, dokładnie tak, jak... Rydbergowie z Bractwa.

Kenmuirowi zaschło w gardle, napił się piwa. Zapadła cisza; czuł pulsowanie krwi w żyłach.

– A teraz ta kobieta chce, żebym przekazał panu słowa Założyciela, dla jej korzyści i z nadzieją, że pomoże jej to w pokrzyżowaniu planów związanych z Biotopem – odezwał się w końcu Matthias.

– Jeżeli... jeżeli to możliwe...

– A co ona sobie wyobraża na ich temat?

– Że zawierają informacje. Na długo przed Niolente syn Dagny Beynac, Kaino poprowadził ekspedycję w odległe rejony kosmosu. Rodzina nigdy nie ujawniała jej charakteru.

Najprawdopodobniej stanowiła punkt wyjściowy przedsięwzięcia Niolente. Z kolei Lars Rydberg dowiedział się, chyba od samej Dagny Beynac, czegoś, co uważał za sprawę wielkiej wagi.

– Dotyczącą jakiejś gigantycznej broni na odległej orbicie podślonecznej? – podjął drwiąco Matthias. – To jacyś szaleni lunatycy, by użyć starego, niekulturalnego dziś słowa.

– Nie chodziło mi... Lilisaire niekoniecznie chodziło o coś takiego.

– Ale przypadłoby jej do gustu. Dla osobistych korzyści. Sądząc z pana opowieści, ani słowem nie zająknęła się o swych planach przed żadnym z magnatów.

– Proszę pana, nie chodzi mi o... nie patrzyłbym przez palce na...

– Ale szuka pan sposobu na zatrzymanie Terran na Ziemi.

– Niezupełnie, nie jest to celem samym w sobie. Czy można ukrywać informacje dotyczące

spraw aż takiej wagi? Podjęta w nieświadomości decyzja może potem kosztować życie wielu ludzi. Przepraszam, jeżeli... jeśli...

Matthiasowi wyrwało się westchnienie.

– Niech pan nie przeprasza. Nie ma powodu. Żadna takie informacje nie istnieją.

– Żadne? – zaproponował Kenmuir.

– Tak, Lars Rydberg przywiózł na Ziemię pewien sekret – podjął ciężko Matthias. –

Przekazał go najstarszemu synowi, nakazując ochronę tajemnicy do czasu wielkiej konieczności.

Od tamtej pory sekret przechodzi na następców. – Ale nie spadkobierców, chociaż w każdym mistrzu loży płynie trochę krwi Rydberga. – Tyle dowiedział się świat. A ja nie zamierzam zostać zdrajcą.

Kenmuir natknął się na mur stanowczości.

– Może mógłby pan udzielić mi jakiejś wskazówki? – błagał. – Przynajmniej powiedzieć, że Lilisaire się myli i te informacje na nic by się jej nie przydały?

– Tak, sądzę, że tyle mogę z czystym sumieniem powiedzieć. – Starzec kiwnął głową. Znów westchnął. – Po upływie takiego czasu wątpię, żeby wiadomości przydały się na cokolwiek. My, Rydbergowie, dotrzemy przyrzeczenia po prostu dlatego, że to jedna więcej tradycja, obrzęd, więź spinająca Bractwo, w którym żyje jeszcze jakiś duch Ognistej Kuli... To ja pana przepraszam, kapitanie.

Nagle Kenmuir poczuł się wyżęty, pusty.

– Tak, rozumiem. Dziękuję, panu.

– Chyba nigdy pan się zanadto nie łudził, co?

– Chyba nie.

– Co pan teraz robi?

– Opowiem o wynikach tej rozmowy.

– Może pan zadzwonić stąd.

– Dziękuję, ale...

– Aha, musi pan zaszyfrować przekaz?

– Miałem skontaktować się z kimś na Ziemi, ale numer jest zastrzeżony i...

– Wystarczy. Dla komunikacji naziemnej nasze zabezpieczenia są dostateczne. Bo widzi pan, od czasu do czasu Bractwo udziela pomocy towarzyszowi, który woli nie ujawniać wszem wobec swoich kłopotów.

Oślupiały Kenmuir mamrotał:

– Przecież jest pan przeciwny moim zamierzeniom...

– Nie do końca. Nie podoba mi się także to, że rząd ukrywa informacje, które są, być może istotne. Ale liczy się przede wszystkim fakt, że sam również jest pan członkiem Bractwa. Wiąże nas przysięga lojalności. – Zmierzył go baczny spojrzeniem. – Ufam, że jej pan nie złamie. –

Po chwili dodał: – Jeżeli zbytnio się pan nie spieszy, napijmy się jeszcze. I zjedźmy kolację.

Zanocuje pan u mnie. Chciałbym wysłuchać opowieści o pana wyprawach.

Nie, myślał, Kenmuir, z całą pewnością się nie sprzeniewierzy. Będzie spełniał kolejne polecenia Lilisaire, dopóki nie zorientuje się, że grożą dobru publicznemu. A tego się nie spodziewał. Ona z pewnością wie, na ile może sobie pozwolić. Ale musi uważać. Wypadki mogą potoczyć się jak lawina. A duch lunariański – przypomniały mu się klasyczne lektury – był zawsze duchem lucyferycznym.

MATKA KSIEŻYCA

Ziemia widziana z gór Taurus znajdowała się nisko ponad południowo-zachodnim horyzontem. Jej sierp malał coraz bardziej, w miarę jak słońce pięło się po wschodnich stokach. Cienie za ławką, na której siedzieli Beynacowie, znacznie się już skurczyły, choć nadal znaczyły płaską, szarawą skałę. Dookolne stoki i szczyty również pokrywały ciemne blizny. Dolina pod ich stopami, do której nie dotarło jeszcze światło, przypominała jezioro ciemności. Wszystkie kontury były miękkie, złagodzone przez gigałata meteorytowych deszczów, nie znalazłoby się tu nic podobnego do terrańskich grani i stromych, skalnych ścian z Marsa. Stara kraina dyskretnie strzegła swych tajemnic.

Oczom Dagny ten widok, jak zresztą cała Luna, jawił się jako wspaniały. Możliwe, że pobudzała ją sama nagość terenu, rzucająca wyzwanie. W tej chwili jednak nie zwracała na nią uwagi, bo jej myśli skupiały się na Tychopolis, położonym dwa tysiące siedemset kilometrów stąd.

Miała przed sobą twarz Joe Packera, wyraźnie widoczną przez nowego typu hełm w kształcie słoja dla ryb. Hialonowa obudowa pociemniała od tyłu, gdzie padały na nią promienie słońca, które oślepiłyby człowieka, gdyby spojrzał na nie wprost i bez ochrony. Wielki holomonitor pokazywał pracującą za plecami Packera koparkę, spowitą w tumany kurzu, które sama wzniecała. Obraz nie był zbyt doskonały. Do tych bezludnych okolic nie docierały żadne kable z włókien szklanych, sygnały przechodziły przez satelitę. Wystarczało to jednak dla codziennych potrzeb.

– ...ogólnie rzecz biorąc, postępy są zadowalające – mówił Joe Packer. – Ale musimy podjąć decyzję. W nocy w północno – – zachodniej części placu budowy kompleksu numer trzy natrafiono na potężny głaz. Strukturę ma najwyraźniej taką samą, jak otaczające go skały, ale

Pedro Noguchi twierdzi, że będziemy go musieli usunąć, a wtedy pozostanie po nim otwór i pęknięcia, które spowodował. Nakazałem mu poczekać, aż się z nimi skontaktujesz. –

Uśmiechnął się, białe zęby zaśniły na tle czekoladowej skóry. – Ale nie przejmuj się, już znalazłem jego brygadzie tyle roboty, że nie będą mieli czasu na głupoty.

– Jasne – przytaknęła Dagny.

Packer w każdym calu dorównywał jej skutecznością i jest pewne jak w banku, że zajmie jej stanowisko, gdy zostanie przeniesiona do administracji ogólnej. Dlatego oraz by dać mu okazję do nabrania doświadczenia w terenie, od czasu do czasu korzystała ze sposobności i towarzyszyła Edmondowi w jego wyprawach – w celu przeżycia przygody, scementowania życia rodzinnego i wsparcia męża w jego badaniach. Ciągłe brakowało ludzi, a te prace były równie istotne dla podstaw techniki i przyszłych mieszkańców, jak i ze względów czysto naukowych. Wznoszenie konstrukcji Uniwersytetu Luni nie powinno tak czy inaczej stwarzać jakichś niezwykłych trudności.

Choć każde zadanie na Lunie wcześniej czy później czymś zaskakiwało, a na niej spoczywała ostateczna odpowiedzialność. Jeszcze dziesięć lat temu nie mogła ruszyć się z miejsca robót. Obraz na telemonitorze był jak kolejne wcielenie.

Tak, przemknęło jej przez myśl, w kosmosie historia pędzi na złamanie karku, może nawet szybciej, jak gnająca ku słońcu kometa. Nie tylko tutaj. Budowa L-5, portu kosmicznego, kompleksu przemysłowego, miejsca, gdzie Ziemianie będą mogli rodzić ziemskie dzieci.

Korzystanie z zasobów asteroid. Lód z odległych zakamarków wszechświata przemieniony w wodę, tyle wody, ile dusza zapagnie. Niedługo potem produkcja antymaterii wzrosła na tyle, że rakiety mogły używać jej do przyspieszania przez całą podróż, w trzy tygodnie przecinając orbitę Plutona. A po uzyskaniu takiej swobody, powiedział Guthrie, wyśle się sondy ku najbliższym położonym gwiazdom...

Przypomniała sobie, gdzie jest i po co.

– *Muy bien* – stwierdziła. – Zobaczymy, co się tam dzieje.

Packer wypowiedział komendę. Komputer zmienił perspektywę. Dagny oglądała rumowisko, wycięty pod kątem otwór, masę kojarzącą się z wysuniętą nieco do przodu pięścią, od której oderwały się leżące niżej kawałki. Packer przekazał jej kontrolę oglądu. Patrzyła na to miejsce ze wszystkich stron, oświetlała mroczne zakamarki, powiększała, wywoływała fosforyzowanie.

– Hmm – mruknęła po pewnym czasie. – Tak jak myślałam. Sam pewnie też się domyśliłeś.

– Za to ona dowiedziała się od Edmonda Beynaca. – Starożytny meteor, zalany późniejszymi strumieniami lawy. Natury plutonicznej – delikatnie mówiąc, niezwykle. Na pewno bardzo zainteresuje to mojego męża.

– Że co proszę?

– Nie wiedziałeś? Oprócz tego, co ma pod nogami, bada także meteory. Uważa, że nie zrozumiemy sposobu powstawania planet, dopóki nie zbadamy asteroid. – Dagny mlasnęła. – Zarzeka się, że niedługo poleci do Pasma i zacznie osobiście węszyć. – Zadrzało jej serce. Tylu zginęło w tamtym rejonie. – Ta skała dostarczy mu dowodów na poparcie dość niepopularnej teorii, że niegdyś istniało w tych okolicach ciało takiej wielkości, że zdążyło się najpierw porządnie rozgrzać, a potem ochłodzić. Sądzi, że ten obiekt z niklu i żelaza, dzięki któremu powstały kopalnie Tycho, jest fragmentem jądra takiego ciała. – Dagny zadrzała. – Ale odbiegam od tematu. Pedro ma rację, będziemy musieli to usunąć. Dziura i otaczające ją rysy będą stanowić potencjalne zagrożenie dla fundamentów. Nie możemy ich tak po prostu zalać i udawać, że nic się nie stało. Zwłaszcza po uderzeniu meteorytu w okolice złoża rudy Rudolfa albo nieco późniejszym, ale tragiczniejszym w skutkach wypadku w Criswellu Struvego.

– No, więc co? – zapytał Packer.

– Masz jakiś pomysł? Mnie przyszło już co nieco do głowy, ale ty miałeś więcej czasu, żeby

się zastanowić. Między nami mówiąc, musimy znaleźć jakieś praktyczne rozwiązanie. – Wyrwał jej się okrzyk. – Sorry, odzywają się rozkosze macierzyństwa, zaraz wracam. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Dagny wysliznęła się z części biurowej i wyszła tylnymi drzwiami zbyt dużej, całkiem zwyczajnej ciężarówki, którą ochrzciła swoim osobistym bambimobile. Rodzina często nim podróżowała – głównie dla rozrywki, czasami ze znajomymi, choć nie była to pierwsza poważna ekspedycja tym środkiem lokomocji – więc pojazd był wyposażony we wszystko, co trzeba, od kabiny pilota z przodu po leżankę dla Edmonda w tyle. Mijając spiżarnię, mikroskopijną kuchnię i jadalnię, znalazła się w głównym pokoju, gdzie były dzieci.

Było to pomieszczenie liczące dziesięć na sześć metrów.

Zawsze można się było jakoś przemknąć, choćby zygzakiem, wśród składanych stolików i krzeseł, na tyle cienkich, na ile pozwalało księżycowe przyciąganie, i szafek, które mogły służyć do siedzenia – niezależnie od zabaw, uroczystości, rozrywek, nauki czy zwykłego odpoczynku, jakim oddawali się mieszkańcy. Duramech tworzył żywy, zielony dywan.

Zapasowe zbiorniki wody i powietrza zasłaniały widok na niebo, za to przez szerokie okna roztaczała się rozległa panorama. Zobaczyła stojącą nieopodal ciężarówkę terenową, wirówkę, rozrzucone próbki geologiczne i inne drobiazgi, dalej górski pejzaż, wielką i uroczą Ziemię, błądy krążek słońca w tle. W głośnikach jęczała muzyka, na szczęście dla niej ściszona – pewnie jakieś najnowsze *feng-huang*. Nie podzielała gustów swojego potomstwa. Czasami tylko zastanawiała się, co skomponuje ich pokolenie, gdy dorośnie.

Anson był na zewnątrz z ojcem i dwoma świeżo upieczonymi studentami. Gabrielle, siedmioletnia, druga z jej dzieci pod względem wieku, siedziała przed komputerowym terminalem. To zgodna z planem pora na naukę. Ale dlaczego kręci się przy niej pięcioletni Sigurd? Powinien odrabiać swoje lekcje. Trzyletni Francis leżał na łóżku z czytnikiem. Nie było

w tym nic dziwnego, one wszystkie w jego wieku umiały już czytać; leżącą w kołysce Helen pewnie również to czeka, a Francy wyglądał na urodzonego mola książkowego. Co czytał dzisiaj? Nigdy nie interesowały go typowe lektury...

Skoncentrowała się na Gaby i Sigurdzie. Skupieni, nie zauważyli jej wejścia. Przypomniało jej się niedawne zachowanie tych dwojga, szybkie zmiany miejsc, gdy się zjawiała, skryte, podejrzane spojrzenia. Dwa kangurze susy i już nad nimi stała. Odgłosy wydawane przez niemowlę nie brzmiały alarmująco.

Dziewczynka na mgnienie oka okazała przerażenie, natychmiast je skrywając. Chłopiec nie zmienił buntowniczego wyrazu twarzy. To on mącił najwięcej. Dagny rzuciła okiem na ekran.

Nie, nie zobaczyła interaktywnego programu matematycznego. ARVEN ARDEA NIO LULLUIPEYAR.

– Co tu się, u diabła, wyprawia? Córka zgasła ekran.

– Nic – wybąkała. Na przemian rumieniła się i bladła. Wyglądem najbardziej z nich przypominała Ziemiankę, była pulchna, z jasnobrązowymi kędziorami. Cicha, skupiona, czy stanowiła największy paradoks? – To taka gra.

Spokojnie, myślała Dagny, powoli, nie wywołuj w nich wrogości. Miały w sobie obce geny, za to DNA pochodziło od dwojga potężnych, zdecydowanych na wszystko rodziców. Spojrzała w oczy Sigurdowi.

– Nie wygląda mi to na grę, która by się dla ciebie nadawała – oznajmiła łagodnie temu masywnemu, mocno zbudowanemu, rudowłosemu *muchacho*.

– No, chcieliśmy zrobić sobie przerwę. – Teraz z kolei on się zaczerwienił.

– Ciekawiej byłoby iść na wagary. Mogę wiedzieć, na czym polega ta gra?

– Pe-per-permutacje – oświadczyła triumfalnie Gaby, która odzyskała już po trosze kontenans. – A widzisz, uczyłam się.

Kazali maszynie zestawiać chaotyczne kombinacje, nie, nie słów, a czego, sylab? Dagny pokręciła głową. Nie, nie o to chodziło. Zauważyła jakiś układ, jakby słów w nieznanym języku. Czy to możliwe, że ci dwoje tworzą sobie fantastyczny świat? Gaby wykazywała pewne zdolności w tym kierunku. Niespokojny Sigurd, który miał im za złe, że po urodzeniu brata musiał dołączyć do stadka innych dzieci, znajduje być może ujście dla swojej frustracji we wspólnych marzeniach.

Jeśli tak, to fajnie, że dwoje tych tak bardzo odmiennych dzieci odłożyło na bok swary i zajęło się czymś razem, choćby nie miało to trwać długo. Dagny przypomniały się sekrety dzieciństwa, do których nie wracała już ze trzydzieści lat. Lepiej zaprzestać dalszego śledztwa.

– Może być – ustąpiła – ale dzisiaj miałaś się uczyć nie teorii zbiorów, tylko arytmetyki.

A ty, Sigurd, miałaś ćwiczyć ortografię, przecież wiesz, że nie idzie ci z nią jak po maśle.

– Nu-udy – jęknął. Gaby raz po raz potakiwała.

– Wiem – odparła matka. – I na pewno zastanawiacie się, po co to wszystko, skoro mogą robić to za was komputery. *Bueno*, to posłuchajcie. Może się zdarzyć, że nie będziecie mieli pod ręką komputera, a trzeba będzie coś wyliczyć albo napisać bez błędu. Co więcej, nauka systemów jest jedynym sposobem na ich zrozumienie. Jeżeli nie będziecie mieć pojęcia, jak i po co działają maszyny, one nie będą wam służyć, tylko nad wami zapanują. I straciecie dostęp do tyłu wspaniałości. Musicie zapamiętać: ludzie niezależni muszą *być* niezależni. Grami zajmujcie się w czasie wolnym. Teraz jest czas Ognistej Kuli. Udowodnijcie, że możemy wam zaufać.

Tym sposobem zagoniła ich z powrotem do roboty. Francis, blondyn drobnej budowy ciała, prawie nie zwracał na to wszystko uwagi. Doświadczenie podpowiadało Dagny, że widział więcej, niż się przyznawał.

Helen już wyla. Dagny sprawdziła, czy nie trzeba zmienić pieluchy, po czym rozpięła tunikę i przystawiła małą do prawej piersi. (Fantastyczny element życia na Księżycu – z wyjątkiem

okresów w centryfudze można było chodzić bez stanika, a piersi i tak nie obwisały).

– Jestem zajęta – powiedziała i wróciła na przód ciężarówki.

Mała, ciemnowłosa głowa wysysała z niej mleko. W drugą stronę płynęło ciepło i miłość. Co tam wszystkie uciążliwości podczas ciąży, pragnęła jeszcze jednego istnienia, które rozjaśni życie jej i Monda, zanim wyfrunie w niezbadaną przyszłość.

I niezbadaną przestrzeń. Co czekało Ziemię? Teraz lśniła błękitnobiała nad szczytami gór. Ile tajemnic, grozy i rozpacz skrywały chmury? Nieszczęsna Ameryka Północna, zubożała i ogłupiona, Odnowa klejąca się do resztek złudzenia rządów, podczas gdy rzeczywistość tonie w bezprawiu. Nieszczęsny Bliski Wschód po cofnięciu *Befehl*, gdzie rozpętał się chaos, fanatyzm z dnia na dzień narasta... Za to w szczęśliwszych rejonach kwitły cywilizacja, dobrobyt, wolność, prawdziwa odnowa, lekarstwo dla chorej planety, opłacane bogactwami, jakie przywoziła do domu Ognista Kula... Kobieta przytuliła niemowlę.

Gdy usiadła z powrotem w biurze, obawy prysły, a Helen na powrót zmieniła się w słodką istotkę, która lada dzień zdobędzie świadomość. Packer spojrział z uznaniem, po czym sam też zabrał się do pracy. Tak minęło kilka następnych godzin, przerywanych jedynie w chwilach, kiedy Dagny zносиła córeczkę do kołyski. Zastała Gaby i Sigurda przy nauce. Nie mieli zanadto skruszonych min.

– Hm, tak, to brzmi rozsądnie – stwierdził w końcu Packer.

– Nie tylko wyciąć małą solidną skałę i zalać betonem. Metalowy szkielet budowli przenosiłby w dół żar dnia i nocny chłód; po latach odmienne współczynniki rozszerzalności termicznej wywołają efekt zmęczenia. Dlatego trzeba zatkać otwór wymiennikiem ciepła, który automatycznie wyrównuje temperatury. Wymaga to projektu, ale z czymś takim powinien dać sobie radę gotowy program komputerowy, a pomysł może przydać się na innych budowach. Jasne, najpierw przepuścimy prosty model przez komputer, żeby sprawdzić, czy cały projekt jest

prawidłowy

– ciągnął Packer. – Nie, nie, najpierw wysłuchamy zdania doktora Beynaca. – Był na wieki oddany człowiekowi, który uratował mu życie, nie w żaden uniżony sposób, ale niezmiennie, co Edmond i Dagny szanowali.

– Powinien tu niedługo być – stwierdziła. – Wręcz się spóźnia. Porozmawiam z nim i zadzwonię do ciebie jutro o tej samej porze, może być? – Według ziemskiej rachuby; nad księżycowym Taurusem słońce będzie stało dwanaście stopni wyżej. – Szczęśliwego lądowania.

Wyłączyła aparat, wstała, rozciągnęła skurczone mięśnie i poczuła ochotę na mały seans w wirówce. Nie, za dużo z tym zabiegów, a tu trzeba jeszcze przygotować kolację. Potem, wczesnym wieczorem, w łóżku – wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Oficjalnie ćwiczenia w poziomie się nie liczyły, ale miała to gdzieś. Zawsze po tym zrywała się o świcie wyjątkowo rześka.

Przeszła na tył pojazdu. Pora nauki minęła. Gaby i Sigurd nie powrócili do swojej osobliwej gry. Dagny zastanawiała się, czy zabiorą się do tego dopiero w domu w Tychopolis, gdzie mają oddzielne pokoje. Dziewczynka siedziała zgarbiona na krześle i gapiała się przez okno, trzymając na kolanach elektroniczną podkładkę. Poruszała ustami, pisała coś rylcem, potem znowu się zamyślała. Dagny postanowiła się nie wtrącać. Franczy urządził sobie w jednym z terminali widowisko z fraktali – albo poprosił o pomoc któreś z rodzeństwa – i nie mógł oderwać od niego wzroku. Skulony przy stole Sigurd przesuwiał żołnierzy i maszyny I w trakcie jakiejś batalii. – I-i-i-bum – dyszał. – S-s-s. Trach.

Przedstawiali siły pokojowe ONZ i jakichś urojonych zbrodniarzy, ale po głowie na pewno chodziło mu zupełnie co innego. Dagny wołała nie pytać.

Nie, nie pozwalali sobie z Mondem na to, żeby dzieci ich terroryzowały. Nie brakowało też uczucia i radości. Ale one i im podobne, urodzone przez innych rodziców, odziedziczą Księżyc,

a nie Ziemię.

Helen spała spokojnie. Jednak po matowych oczach, dziwnym kształcie usznej małżowiny, kościach skrytych pod dzieciennym tłuszczem można już było poznać twarz, jakiej nie miał żaden z jej przodków.

Sigurd odwrócił się. Miał szorstkie rysy twarzy, podobne do ojca.

– Jaa-u! – zapiszczał, jak gdyby starcie sprzed chwili nie miało miejsca. – *Mądre*, przyrzekłaś, że opowiesz o jefie Guthriem na Marsie. Może teraz?

Mógł w każdej chwili podbić jej serce. Tak jak one wszystkie. Mimo że nie zdawał sobie sprawy z więzi pokrewieństwa, i może nigdy się o nich nie dowie, pan Ognistej Kuli pozostanie dla niego taką samą legendą, jak dla wszystkich innych ludzi. Dagny, która знаła te historie prosto z ust dziadka, od czasu do czasu pozwalała sobie na jakąś wzmiankę.

– Teraz? – najeżyła się. – Ale muszę odgrzać racje żywności.

– Bez szczegółów!

– Tak, tak! – krzyknął Francy.

Dagny ustąpiła. Była to zabawna opowieść o tym, jak to Anson Guthrie wystrzelił się na orbitę wokół Deimosa i tym sposobem zupełnie zbił z tropu przeciwników. Tych słuchaczy nie interesowały polityczne i strategiczne konsekwencje tego kroku.

– ...i dlatego kosmonauci nazywają to miejsce Żalem po Whisky. – Co tak długo zatrzymuje tych geologów?

– Dlaczego rząd nie życzył sobie tam Ognistej Kuli? – Do grupy przyłączyła się i Gaby.

Pytania córki nie można chyba zbyć byle czym? – Trudno to wytłumaczyć, skarbie. Istniał nie jeden rząd, ale trzy, które się ze sobą ścierały. Kosmos należy niby do całej ludzkości, ale każdy jest obywatelem tego czy innego państwa; my jesteśmy uznawani za Ekwadorczyków, tata jest Francuzem, a Guptowie Hindusami – i rządy stawiają nam żądania, które nie zawsze są

identyczne. Na dodatek pracujemy w Ognistej Kuli... ale oto i nasi wędrowcy!

Dagny dostrzegła przez okno *camion*, który objeżdżał wschodni stok góry. Niedorzeczna jest ta ulga, którą raptem odczuła. Gdyby ekipa Monda natknęła się na trudności, natychmiast uprzedziliby o tym telefonicznie. Tak czy inaczej, mieli znaczne opóźnienie, a był z nimi Anson...

– Dokończę innym razem – obiecała. – Teraz trzeba się uwijać.

Nie było specjalnego pośpiechu, ale krzątania rozładowywała napięcie. Początek kolacji. Kiedy pozwalał na to czas, gotowała według wzorów, których nauczył ją Edmond, chyba że mężczyzna sam miał na to ochotę. W terenie, kiedy kierowała brygadami w Tychopolis, zadowalali się gotową żywnością. Ale trzeba przynieść aperitify i kieliszki. Zmienić kombinezon na sukienkę. Mond weźmie prysznic i też się przygotowuje, zaś dzieci będą czekały w ciszy, chociaż mogłyby swobodnie rozmawiać. Guthrie nazywał to godziną szczęścia. Ale przecież wszystkie jej godziny były pełne szczęścia.

Od czasu do czasu zerkąta, jak pojazd nadjeżdża, jak wyładowują to, co zebrali, jak asystenci przenoszą to do terenowej ciężarówki. Ross i Marietta praktycznie tam spali i stołowali się. Nie oznaczało to, że Beynacowie się izolowali. Młodzi potrzebowali trochę czasu dla siebie; nie zajmowali się przecież tylko jedzeniem, spaniem i pracami laboratoryjnymi. Ojciec i syn zblizali się do swojego wędrownego domu. Ich skafandry oślepiały bielą na tle płowych skał i długich cieni. Co za ulga, że wynaleziono impregnaty odporne na kurz!

– Nie śmiecie się z fiksatów na punkcie techniki – mawiał Guthrie. – Na nich opiera się postęp. Tak jest od chwili, gdy Ung Uggson oderwał od skał fragment krzemienia.

Dagny straciła ich z oczu, gdy znaleźli się w wejściowym korytarzu. Rozległ się hałas, zewnętrzny właz otworzył się i zamknął, powietrze z powrotem napełniło zapasowy zbiornik, a ciężkie buty tupały w drodze do szatni. Dobiegło ją basowe przekleństwo:

– Niech to szlag, cuchnę jak zdechły kozioł! – Dagny uśmiechnęła się.

Kombinezony powędrowały do pralki, która z miejsca zaczęła szumieć. Edmond i Anson wrócili na górę. Dagny wyszła im naprzeciw. Obydwaj mieli na sobie kąpielowe szlafroki. Mimo że Edmond nie był żadnym purytaninem, nie mógł przyzwycząić się do nonszalanckiej nagości, z jaką obnosili się mieszkańcy Księżyca. Uważał, że przynajmniej dorośli powinni unikać jej przy dzieciach płci przeciwnej.

Dagny rzuciła mu się na szyję.

– Moim zdaniem pachniesz podniecająco – zaśmiała się. – Chodź. – Przywarła ustami do jego warg.

Po krótkiej chwili puściła go i odstąpiła o krok.

– Czułam się tak, jakbym całowała robota. Spoconego, ale nie zaprogramowanego do takich zadań. Co się stało?

Skrzywił się. Anson stał z ponurą miną.

– Umyj się – nakazał mu Edmond. – Potem idź do swojej kabiny.

– Chwila! – zawołała Dagny. – O co chodzi?

– Nie dostanie dzisiaj kolacji – warknął Edmond. – Zachował się lekkomyślnie i nie słuchał rozkazów. Odejdź – zwrócił się do chłopca.

– Poczekajcie – sprzeciwiła się Dagny. – Co on takiego zrobił?

– Oddalił się od nas – oznajmił Edmond. – Porządkowaliśmy próbki i nie zauważyliśmy, że go nie ma. Wołaliśmy, ale bez odzewu. Ślady prowadziły po stoku do nagich skał, gdzie nie można go było tropić. Szukaliśmy ponad godzinę, aż natrafiliśmy na niego w rozpadlinie. Przez cały ten czas nie odpowiadał.

– Nie było odbioru – odparł Anson krótko i rzeczowo, co w jego przypadku oznaczało

wściekłość. – Zasłaniały mnie grzbiety gór. Ta skała wisząca nad bazą musiała zablokować

przekaz satelitarny.

– Już to mówiłeś. A ja też ci mówiłem – i to ile razy, do jasnej cholery – że nie wolno opuszczać swojego zespołu bez pozwolenia.

– Gdy odchodziłem, nie wołaliście, żebym został.

– Wiedziałeś, że na ciebie nie patrzymy. *Hein?* Mówiłem, że jak chcesz pospacerować, musisz pozostawać w zasięgu wzroku. A gdy znajdziesz się w strefie bez odbioru, wracasz tą samą drogą, którą przyszedłeś. Natychmiast! *Mon Dieu!* Mogłeś zabłądzić, mogło się coś stać... –

Głos ojca zadrżał. – Po paru dziennych cyklach znaleźlibyśmy twoją piękną mumię.

Dagny zastanawiała się, czy jest świadkiem pierwszej sprzeczki z prawdziwego zdarzenia, czy też odtwarzają ją na użytek matki i żony. Widać było, że Ansonowi nieźle się oberwało, ale wcale go to nie skruszyło.

– To święta prawda – stwierdziła cicho. – Czemu tak zrobiłeś?

Chłopak popatrzył jej w oczy. Był ozdobą jej gniazda, smukły, wyprostowany, zgrabny jak kot i szybujący niczym ptak przy grawitacji, do której został stworzony. Wysoki wzrost, który miał się stać cechą charakterystyczną Lunarian, sprawiał, że zrównał się z ojcem. Popielate blond loki opadały mu na białe jak mleko skronie, na które wystąpiła żyła, błękitna jak skośne, lunariańskie oczy. Kości policzkowe były azjatyckie, nos, usta i broda helleńskie, chociaż nie miał w sobie ani kropli takiej krwi; wynikało to ze zmian genomu i zaskoczyło samych genetyków. Mówili coś o chaosie nierozzerwalnie związanym z układami biologicznymi, lecz wywnioskowała z tego wszystkiego, że nie znają przyczyn. Uśmiechnął się do niej i przemówił łagodnie:

– Nic się nie stało, *mądre*, nic mi nie groziło. Kierowałem się słońcem i tym wysokim, wystrzępionym szczytem na południe od nas, według którego zawsze się orientuję.

– *Merde!* – ryknął Edmond. Dagny uciszyła go ruchem ręki.

– Ale po co tam poszedłeś, kochanie?

– *Bueno*, nie zauważyłem, kiedy straciłem ich z oczu, potem przyszło mi do głowy, że chciałbym przyjrzeć się tym formacjom, które znaleźliśmy w rozpadlinie, a w których *padre* nie dostrzegł niczego interesującego. – Anson wzruszył ramionami. – Przysięgam, że wróciłem, zanim zabraliby się do odjazdu.

– Gdybyś nie zabłądził w tej cholernej gmatwaninie... tym labiryncie. – Edmondowi trzęsły się trochę ręce. Dagny wiedziała, że trzeba go będzie pocieszać.

– To niemożliwe – przekonywał Anson. – To mi się nigdy nie zdarza.

Być może ma rację, pomyślała. Do tej pory nigdy nigdzie nie bywał sam, ale na wycieczkach z przewodnikiem zachowywał się tak, jakby miał mapy wyrysowane w głowie. Praktycznie żaden przybysz i bardzo niewielu starych bywalców było stać na coś takiego w księżycowym krajobrazie, który nie miał odpowiedników na Ziemi.

Jednak nie wolno jej podważać autorytetu Monda.

– Mogłeś przekonać się na własnej skórze, że to możliwe – stwierdziła. – W każdym razie okazałeś brak zrozumienia i lekkomyślność, przysporzyłeś całą masę kłopotów, a co najważniejsze, naruszyłeś dyscyplinę. Jeśli się nie poprawisz, możesz kiedyś spowodować czyjąś śmierć. Idź się umyć i do łóżka.

Chłopiec odszedł, milczący, wyniosły i sztywny. Gdy zniknął, mężczyzna objął kobietę.

Wsparała głowę o jego siłę, wchłaniając ciepło, męski zapach, i mocno go przytuliła.

– Nie znoszę tego – wyszeptał jej do ucha. – Ale tak trzeba.

– Tak, o, tak – odparła. – Dla ich własnego dobra. Jeżeli wiedzieli, co jest słuszne. Ile starych zasad jeszcze przetrwało? Te dzieci nie były podobne do żadnych innych przed nimi. W pewnym sensie nie były nawet ludźmi. Nie będą nigdy w stanie spłodzić dzieci kobietom jej rasy, nie wytrzymają też zbyt długo na Ziemi. Nie dla nich wiatr i błękitne fale, niebo, grzmoty, tęcza,

wielkie koło pór roku; do nich należały nagie kamienie, wżgardliwe gwiazdy i życie, które trzeba było zaczynać od nowa. Nie sądziła, by odmienność ich ciała miała większe znaczenie. W przeciwnym wypadku w ogóle by ich nie urodziła. Ale jak bardzo obce były ich dusze?

Zaraz po opuszczeniu korytarza, którym wydostała się z lotniska, Aleka Karne zorientowała się, że będzie jej potrzebne znacznie cieplejsze ubranie. Niebo pokrywała warstwa ołowianych chmur. Zimny wiatr niósł strzępy mgły znad morza. Ziemską atmosferę nie zawsze poprawnie reagowała na sygnały Kontroli Pogody i czasami nie sprawdzały się nawet krótkoterminowe prognozy lokalne. W sumie zresztą planeta zachowywała się chaotycznie.

Zauważyła na dworcu automat, więc zawróciła. Wybór był skromny, ale nie zamierzała stroić się w modne fatalaszki. Przy bramce kontrolnej nie musiała się nawet rozbierać, tak lekko była ubrana. Gdy zażądała brązowego kombinezonu z calidexu i zapisała go na swój rachunek, układ przygotował go i przesłał w ciągu trzech minut. Założyła go na bluzkę i szorty i wyszła z powrotem na dwór.

Pojazd wysadził ją kilka przecznic od celu pierwszego etapu podróży. Idąc ulicą Fell, zauważyła, że od czasu jej ostatniej wizyty opustoszało jeszcze więcej domów. Stały obudowane dachówkami, wieżami, pomalowane, opieczętowane i ciche jak muzea staroci. Lokatorzy byli przeważnie starzy i pilnowali, żeby dorobić sobie do kredytu. Gdzieniegdzie działały jednak małe firmy: usługowe, rozrywkowe, sklepy z osobliwościami, lokale, w których osobiście przygotowywano jedzenie i napoje, w których można było posiedzieć i pogadać przy kawie. Ruch był minimalny: przechodnie, motorolki, miniauta, czasami jakaś służbowa maszyna wypełniająca nieznane Alece zadanie. Mijając Steinera, zauważyła nową quivirę naprzeciw placu Alamo. Architektonicznie miała wtapiać się w archaiczne otoczenie; nie poznałaby, co to takiego, gdyby nie schemat kosmosu migający dyskretnie nad wejściem.

Czyli ludzie przychodzili tutaj, kładli się do zbiorników i czerpali ze snów radość, której nie mogli znaleźć w rzeczywistości? To znaczy, że dzielnicą jeszcze nie wymiera... albo też socjotechniczne kalkulacje wykazały, że tym sposobem można ożywić mieszkańców, co przyda

się kiedyś do jakiegoś ważniejszego celu...

Albergo Vecchio mieścił się w budynku, na którego przebudowę mieszkańcy otrzymali zgodę. Skrzypiał poruszany wiatrem szyl, przedstawiający kolorowe, letnie pola, gdzie zmęczeni żniwami chłopci gasili pragnienie ze skórzanej butelki. Utrzymane w podobnym stylu ściany w środku mieściły niewielki barek z obrusami w czerwonej kratę. Z odtworzonej na prymitywną modłę kuchni dolatywały zapachy gotowania. Mama Lucia wybiegła z okrzykiem: *Benvenuta, carissima!* – przycisnęła Alekę do obfitych piersi. Gość musiał przystać na kieliszek wina z kawałem chleba i sera.

W swoim pokoju na górze, również małym i starannie postarżonym, Aleka westchnęła, potrząsnęła głową i uśmiechnęła się ze smutkiem. Zawsze zatrzymywała się tutaj po przyjeździe do Integracji Zatoki San Francisco. Oni naprawdę nie udawali: był to godny podziwu wysiłek, by utrzymać niezależność rodziny i wykonywać pracę, na której człowiekowi cokolwiek zależało. Dawało to wytchnienie od świata maszyn. Jej okno wychodziło na ogródek warzywny. Rośliny wyglądały na tradycyjne.

Jeżeli pragnęło się tego rodzaju wypoczynku, quivira w zupełności go dostarczała; ale autentyk, choć miał ograniczone możliwości, był mniej kosztowny.

Naturalnie nie było ucieczki od multiodbiomika i ejdofonu. Aleka wykręciła numer Mary Carfax. Na ekranie pojawiła się twarz starej kobiety.

– *Buenos tardes?* – zapytał drżący głos. Aleka przedstawiła się.

– Jestem znajomą pani ciotecznej wnuczki, Alice Nightborn

– oznajmiła. – Poprosiła, żebym, będąc w mieście, wpadła do pani i przekazała przy okazji nowiny, które mogą panią ucieszyć

– nic ważnego, ale same przyjemne niespodzianki – i w razie potrzeby w czymś pomogła.

– A, tak, tak. Kochana Dolores. *Gracias, milgracias, señorita.* Może pani odwiedzić mnie

zaraz, w porze podwieczorku?

Trudno było uwierzyć, że mówi to inteligencja elektrofotonowa, a jakiś program moduluje przekaz. Aleka zachowała kamienny wyraz twarzy i spokój w głosie. Od tego wysiłku aż się zapomniała i podziękowała słowem *Mahalo*, ale co z tego; na razie nie bawiła się w zmiany tożsamości.

– Nie ma sprawy, z największą radością. Za pół godziny, *bien!*

Błyskawicznie przebrała się w przyzwoity unikostium, narzuciła na niego skafander i zesłała na dół.

– Mam dużo spraw do załatwienia – oznajmiła Mamie Lucii. – Nie wiem, kiedy wrócę. –

Wypowiadając swobodnie te słowa, w środku cała drżała.

Znak na dworcu wskazał jej drogę do przystanku na alei Kolumba. Nigdy przedtem nie zaglądała do tej dzielnicy. Mieszkańcy zajmowali się czymś, co nie było bezpośrednio związane ze sprawami ludzi. Na prawo wyrastał stumetrowy mur, biegnący przez kilometr, podobny do palisady, pozbawiony okien i drzwi. Nisze i żłobkowania tworzyły subtelny wzór, przez który przewijały się barwy tysięcy zachodów słońca. Światło igrało też, tworząc roziskrzane refleksy, na budynku po drugiej stronie, którego niebotyczna zawilość kojarzyła się z fontanną. Za nim wznosiła się metalowa konstrukcja, dodająca budowli wysokości i gracji: kable tworzyły tam ruchomą sieć, skupiającą się wokół srebrzystych węzłów sterowania. Aleka żałowała czasami, że nie jest w stanie pojąć estetyki sofotektów, że umie ją tylko podziwiać lub stać wobec niej oszołomiona.

Rozpierała ją energia, mimo że cały czas wiał porywisty wiatr, a pojazdów było mniej niż na ulicy Fell. Cyberkosmos znacznie częściej posyłał na miejsce pracy wiadomości niż istoty organiczne. W zasięgu wzroku miała około dwudziestu maszyn. Minął ją ogromny transportowiec w kształcie torpedy, automatyczny. Nad głową przemknęły dwa małe samolociki,

których soczewki wystawały z błękitnego metalu, a długie ramiona wlewały się za ogonami.

W pobliżu przesunął się trzymetrowy manipulator o drzewiastej strukturze fraktalnej; najcieńsze spośród jego wypustek drżały i lśniły na wietrze. Nowością była dla niej kula na kołach, zaopatrzona w liczne wypustki. I tak dalej, i tym podobne... Które z nich były robotami inteligentnymi

i obdarzonymi

świadomością, a które marionetkami w rękach istoty

przebywającej być może na drugim końcu świata? Jaki sens miało takie pytanie? Umysły elektrofotonowe były w stanie tworzyć dowolne konfiguracje, realizować każdą możliwość...

Nie była zresztą tutaj jedynym człowiekiem. Obok przeszedł jakiś mężczyzna, niezwykle skupiony, więc na pewno miał tu do spełnienia jakieś zadanie. Konsultant, technik? Nieco dalej stała kobieta dyskutująca z antropomorfem, którego z tej odległości można było wziąć za kosmiczny skafander. Czy możliwe, że była synojontem? Dwóch innych mężczyzn, siwych i z niewyraźnym zarostem na twarzach, przeszło pogrążonych w ponurej rozmowie.

Miejscowi? Najprawdopodobniej. Kręciło się ich tutaj niewielu, bo ludzie z krwi i kości czuli się w tego rodzaju miejscach nieswojo, za to w bocznych uliczkach można było znaleźć tanie kwatery.

Jedną z nich zajmowała istota zwana Mary Carfax. Natłok danych w okolicy na pewno pomagał jej ukrywać swoje kontakty. Być może nikt nie mieszkał w pobliżu, dzięki czemu nie było ciekawskich, których zainteresowałoby, dlaczego Mary nigdy nie wychodzi z domu.

Starczyło przemycić aparat do środka i go zainstalować. Trudniej poszłoby z wrzuceniem do bazy danych fałszywego meldunku, ale przy znajomościach Lilisaire to także dałoby się zrobić.

Aleka znała się co nieco na tego rodzaju numerach.

Skręciła z Greenwich i minąwszy kilka przecznic, znalazła się na miejscu. Był to opuszczony

dom w lśniącym pastelowo-plastikowym stylu sprzed osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu lat.

Budynki obok i naprzeciwko sprawiały wrażenie niezamieszkanym. Widać było, że automaty komunalne utrzymywały domy w dobrym stanie, a Alece przemknęło przez myśl, że kiedyś trzeba będzie je zburzyć, by uczynić miejsce dla kolejnych generacji maszyn.

Tylko po co miano by to robić? Sofotekty nie rozmnażały się dla samego rozmnażania, jak mieli to niegdyś w zwyczaju ludzie. Chodziło im o rozwój bardziej eteryczny, o wzrost zdolności intelektu, o sięganie do Teraumysłu i jeszcze wyżej. Aleka zatrzęsała się od podmuchu przenikliwego wiatru.

Stała przed drzwiami i wymówiła swoje nazwisko. Carfax z pewnością wydała odpowiednie instrukcje, opatrując je zapisem obrazu, bo drzwi natychmiast się otwały. Aleka oblizła wargi, zacisnęła zęby i weszła.

W zagraconym pokoju stały przestarzałe meble i wisiały banalne obrazki. Zaskoczona Aleka doszła później do wniosku, że chodziło o wywarcie odpowiedniego wrażenia na nieproszonych gościach, na przykład konstablach, których trzeba by było wpuścić. Przeszła dalej, znalazła się w dużym i nieruchomym pomieszczeniu. Ściany odsunęły się, tworząc jeden pokój. Okna pociemniały. Sufit imitował słońce i ciepłe powietrze; Aleka domyślała się, że wszystko zostało przygotowane dla niej, to samo dotyczyło stojącej na środku pokoju sofy, która była tu jedynym sprzętem. W przeciwległym końcu pomieszczenia dostrzegła dużą, szarą płytę, zaopatrzoną w czujniki, monitor, głośnik i klapy, które bez wątpienia zakrywały wyjścia jakichś urządzeń. W pobliskim kącie stał robot do zadań ogólnych. Domyślała się, że był sterowany bezpośrednio przez sofotekta. Sam umysł, układ fizyczny był... gdzieś na terenie domu.

– *Salud* – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. W odpowiedzi usłyszała donośny baryton.

– *Bienvenida, señorita* Karne. Proszę zdjąć okrycie, usiąść i się rozgościć. Czym mogę cię poczęstować? Jedzenie, picie, narkotyki, środki pobudzające? Zgoda, wybór jest ograniczony,

ponieważ rzadko przyjmuję gości takich jak ty, ale mam wszystko to, co zwykle.

– Nie-e, *gracias*. – Aleka obawiała się, że gdyby dostała jakiś talerz lub filiżankę, wyszłoby na jaw, że trzęsą jej się ręce. W duchu dziękowała Mamie za wino.

Reakcja zaskoczyła ją samą. Czemu się tak denerwuje? Nie miała do czynienia z żadnym bogiem, tylko z maszyną – jedną jedyną, odciętą od reszty cyberkosmosu. Tak, obdarzoną świadomością, talentami, dzięki którym pod pewnymi względami ją przewyższała, ale tak w ogóle to ograniczony automat, naiwny, przeznaczony do jednego celu. Po jego osiągnięciu i wprowadzeniu nowego programu zmieni się w zupełnie inny umysł, inny byt.

Faktem jest, że angażowała się w przedsięwzięcie, które mogło okazać się niebezpieczne.

Ale ryzyko знаła nie od dziś. Z reguły nie miała nic przeciwko. Stawka była tego warta...

Dla dodania sobie otuchy uśmiechnęła się od ucha do ucha. Zdjęła kombinezon, rzuciła go na podłogę i usiadła. Wolałaby pozostać na nogach, ale domyślała się, iż pozycja siedząca dowodzi, że jest rozluźniona i że panuje nad sytuacją. Wyprostowała sofę i starała się nie zwracać uwagi na zmysłowy sposób, w jaki dopasowywała ona się do konturów i temperatury ciała.

– Gotowa? – zapytała maszyna. Kobieta przytaknęła. Serce zabiło mocniej. – Występuję w imieniu Strażniczki Lilisaire, która dostarczyła mi kartotekę z informacjami na twój temat.

– Czy to bezpieczne? – Aleka zmarszczyła brwi. – Zwłaszcza jeśli ją obserwują...

– Skąd wiesz, że ją obserwują?

– Skoro jest taka przezorna, to chyba ma swoje powody. Głos zachichotał.

– Idealnie. Potwierdzasz jej wrażenie o swojej bystrej inteligencji. Przekaz nie nastąpił z Luny. Miał postać zapisu i został przywieziony na Ziemię przez wysłannika. Ten w tajemnicy przekazał go jeszcze jednej osobie, która przyniosła zapis tutaj.

Czyli Lilisaire nie miała powodów do podejrzeń, że Aleka jest śledzona. To sprawiło jej ulgę.

Tętno uspokoiło się.

– Czy jesteś upoważniona do, hm, podejmowania decyzji?

– W pewnych granicach. Jak sądzisz, po co cię tu sprowadzono?

– Ma to chyba jakiś związek z Biotopem.

Podczas spotkania Lilisaire sporo o tym mówiła, nie szczędząc jadowitych komentarzy, chociaż skupiła się przede wszystkim na oczarowaniu gościa i skrytym jego indagowaniu. Poza tym tajemnicą poliszynela był powszechny wśród Lunarian sprzeciw wobec Biotopu.

– Racja – potwierdziła maszyna. – Co sądzisz o tej sprawie?

– Ja, ja niezbyt dużo się nad nią zastanawiałam – przyznała Aleka. – Pomysł wydawał się...

intrygujący... do czasu, gdy wysłuchałam jej argumentów. Od tej pory... potrafię ją zrozumieć.

Jeśli Ziemianie chcą zakładać kolonie, niech skierują się na Marsa.

– Długa, kosztowna droga.

– Co to za koszty, kiedy rakiety można praktycznie hodować w nanozbiornikach i nie trzeba wyposażać ich w ludzką załogę? Poza tym na Marsie niepotrzebny jest żaden Biotop.

– Ciekawy punkt widzenia. Cytowałam argumenty zwolenników. Bo widzisz, to są ludzie, ci z rządu i ci poza nim.

– Czym skusił ich cyberkosmos? – zapytała z goryczą.

– Niczym szczególnym. – Ton urzędzenia był rzeczowy. – Chęci mają szczere. Zgadzą się na przedstawiony im rachunek zysków i strat, bo ufają cyberkosmosowi. Powody znasz. Świat naprawdę jest stabilniejszy, nigdy, do czasu pojawienia się inteligencji sofotektycznej, nie panowała tu taka sprawiedliwość społeczna i ekonomiczna. Nie powinnaś mieć im tego za złe.

– Nie mam, nie mam. – Emocje Aleki nieco opadły. – Tylko podchodzę... sceptycznie.

Czasami zastanawiam się, dokąd zmierza ludzkość i w jakim stopniu panujemy jeszcze nad swoim życiem.

– Przeszłość w ruchu Liudowa?

– Nigdy w życiu nie byłam zwolenniczką Liudowa! – wykrzyknęła. – Nie było takiej możliwości. Bunt wybuchł wiele pokoleń temu.

– Ale podczas nauki w Instytucie Irkuckim zetknęłaś się z ludźmi, których przodkowie uczestniczyli w tym ruchu. Nadal uważają, że był to brutalnie stłumiony bunt w słusznej sprawie. Gwałtowna fala wspomnień, rosyjskie równiny, cudowne jezioro Bajkał i Jurij, Jurij, który wielokrotnie zabierał ją do tej wioski.

– Miałam tam bliskiego znajomego, także studenta. Tak, on pochodził właśnie z takiej rodziny. Starali się żyć po staremu, pracować na roli, uprawiać rzemiosło, aż robiło się żal. Przedstawił mnie rodzinie. Byłam wtedy bardzo młoda. – Aleka westchnęła. – Później on... zmienił zdanie. – I ich drogi się rozeszły, a ona wróciła na Hawaje. Ostatnio rzadko dręczył ją w snach.

– A ty?

– Mam pracę. – Wzruszyła ramionami.

– Po prostu się z tobą zapoznaję – oznajmiła łagodnie maszyna. – Mam informacje od Lilisaire, ale są one niepełne i abstrakcyjne.

Jednak mówią więcej, zorientowała się Aleka, niż sama zdradziłam. Agenci na Ziemi z pewnością przeglądali jej kartoteki, nim Strażniczka uznała, że można jej zaufać. Albo i jeszcze wcześniej. Lilisaire miała swoje powody, nie ograniczające się do kilku wspólnych znajomych, żeby podczas jej wakacji na Księżycu zaprosić ją do Wysokiego Zamku.

Aleka czuła, że powinna mieć jej za złe takie szpiegowanie, ale nie mogła się na to zdobyć.

Nie czuła nawet żalu, że Niolente brała niegdyś udział w wywołaniu i podsycaniu buntu Liudowa. Zgoda, było to działanie świadczące o wyrachowaniu, a służące osłabieniu Federacji, żeby zrezygnowała z dążeń do wcielenia Luny. Ale zwolennicy Liudowa i Lunarianie mieli sporo wspólnego.

Aleka postanowiła zając jasne stanowisko.

– W porządku, przyznaję, że dawne sympatie pozostały. Przynajmniej do pewnego stopnia.

Osobiście nie jestem zdania, że możemy albo powinniśmy zawracać bieg historii. – Był to zaiste rozpaczliwy krok: zachować ludzkość u steru; nie dopuścić do stworzenia sztucznej inteligencji obdarzonej pełną świadomością; powstrzymać ten proces, dopóki nie jest za późno, a dopiero potem zastanowić się nad niezbędnym stopniem mechanizacji i automatyzacji. – Za późno – dała wyraz swoim myślom. – Ale widzę, co system robi z moim ludem.

– Tak też mówiłaś pani Lilisaire.

Wyciągnęła to ode mnie, mało nie dodała Aleka. Nigdy w życiu przed nikim się tak nie zwierzała, chodziło o uczucia tak głębokie, że czystą postać otrzymywały dopiero po wypowiedzeniu. Takiego wpływu nie mieli na nią ani matka, ani ojciec, ani siostry, ani Jurij. Do tej pory nie wiedziała, jak Selenarchini tego dokonała.

Jednak zachowała te myśli dla siebie. Pół minuty upłynęło w milczeniu.

– Przejdziemy do rzeczy? – zagadnęła maszyna.

– *Olu'olu!* – wyrwało się Alece, która natychmiast się poprawiła: – *Por favor!* ‘

Spokojny ton głosu przywracał równowagę ducha.

– Posiadasz niezwykłą znajomość lokalnych obejść, a jednocześnie globalnej sieci danych.

– Nie... nie jestem żadnym szpiegiem.

– Czy zechciałabyś opowiedzieć mi o swoim życiu? Jak już mówiłam, Lilisaire przekazała mi te informacje, ale wysłuchanie ich bezpośrednio od ciebie dodałoby im głębi.

Maszyna musiała też ocenić, czy Aleka faktycznie spełnia wymagania Strażniczki. Dość chaotyczna opowieść jeszcze bardziej uspokoiła kobietę.

– Szczegóły, anegdoty zajęłyby nam czas do końca tygodnia. Ale... no, w czasach studenckich stykałam się z ludźmi i miejscami na całej Ziemi, jednocześnie zdobywając

wykształcenie techniczne. Bo widzisz, Lahui potrzebują ludzi takich jak ja, a starsi uznali, że mam talent, dlatego zachęcali mnie do obracania się po świecie i finansowali to. Od tego czasu służę za łącznika między Keiki Moana a światem zewnętrznym. Często bywam na kontynencie, bo... *bueno*, metamorfy przy załatwianiu istotnych spraw nie lubią posługiwać się telefonami. Chodzi między innymi o to, że obawiają się podsłuchu.

Nie bez powodu, pomyślała. Władze wołały mieć ich na oku. Stanowili element chaosu, który mógłby, jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, zaburzyć starannie opracowane plany społeczne.

– Keiki Moana chcą nawiązać kontakt z innymi ziemskimi metamorfami? – Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie.

– Najważniejsi... wołałabym nie używać słowa „cywilizowani”... Keiki chcą. – Dlatego Aleka też to robiła. – To nie ma nic wspólnego z przestępstwem czy rewolucją. Ale...

chcielibyśmy po cichu nawiązać kontakt, znaleźć jakieś wspólne zainteresowania, próbować stworzyć organizację, która będzie im pomagała i broniła ich.

Lunarianie także byli metamorfami.

– Nie ma to nic wspólnego z przestępstwem czy rewolucją – powtórzyła maszyna. – Ale Lilisaire napomknęłaś o jakiejś podziemnej działalności.

– To odruch samoobrony. – Niezupełnie. – Nie dopuszczono mnie do licznych sekretów... –

Po części dlatego, że była przydatna, trochę dlatego, że narzucała się przywódcom, była chętna i ciekawska. Pociągała ją egzotyczna przygoda.

– Te kontakty mogłyby okazać się cenne. Co do twojego dostępu do baz danych i sieci komunikacyjnych...

– To proste – przerwała, bo zaczynała roznosić ją niecierpliwość. – Jestem funkcjonariuszem oficjalnie uznawanej społeczności i muszę kontaktować się z urzędnikami rządowymi. Czasami

najlepszym wyjściem jest zachowanie tajemnicy. Wiesz, żebyśmy mogli mówić otwarcie i skupić się na swoich sprawach. W związku z tym orientuję się w sieci danych. Ale nie mam nieograniczonego dostępu.

Nawet teoretycznie zakładając, że by miała, skąd miałaby wiedzieć, że coś przed nią ukrywają albo że coś sfabrykowano tylko po to, by wprowadzić ją w błąd?

– *Muy bien* – zgodziła się maszyna. – Przejdźmy do sedna. – Wreszcie, wreszcie! – Pani Lilisaire natrafiła na wskazówki sugerujące, że istnieje tajne... – I tak dalej.

Aleka siedziała przez chwilę w milczeniu, zdumiona, by w końcu wyszeptać:

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, co można by zrobić. Ani co powiedzieć.

– Mamy nadzieję, że odkryjesz prawdę i że to pomoże Lunie odzyskać trochę kontroli nad własną przyszłością.

– To niemożliwe – potrząsnęła głową – jeżeli oni... – Oni! – ...chcą zachować to w tajemnicy.

– Czy aby na pewno? Otrzymasz całą pomoc, na jaką nas stać, włącznie z Terraninem obeznanym z kosmosem.

Lilisaire i ten myślący silnik nie popchnęliby jej do jakiegoś niedorzecznego wysiłku.

Poczuła dreszcz podniecenia. Pochyliła się, chwytając rękami za kolana.

– Kim ona jest?

– On. – Wyostrzone zmysły chłonęły każde słowo skrótowej opowieści i każdy rys pokazanej na monitorze twarzy Iana Kenmuira. Ale...

– Obawiam się... – zaczęła niespokojnie.

– To do ciebie nie pasuje.

– Obawiam się, że on jest, hm, spalony. Skoro odwiedzał niedawno Lilisaire, a na nią padło podejrzenie...

– Zdajemy sobie z tego sprawę. Potrafiłabyś zniknąć razem z nim?

– Hm – zastanowiła się. – Być może. Ale trudno mi powiedzieć, czy coś z tego wyjdzie, wiem tylko tyle, że szansę są nikłe.

– Ale spróbujesz?

Spokojnie, spokojnie, dbaj o swoją niezależność i zdrowy rozsądek.

– A po co?

Riposta była brutalna, ale maszyna chyba się nie obraziła. Zresztą czy w ogóle była do tego zdolna?

– Zgoda, ryzyko będzie znaczne. Nie będziesz go podejmowała bez nagrody.

– Co proponujecie? – Postawa lunariańska, pomyślała.

– Jeżeli uczciwie się przyłożysz, a mimo to przegrasz, sowite wynagrodzenie. Zanim odmówisz, pomyśl, ile korzyści popłynie stąd dla twoich ludzi.

– To zależy odkwoty. – Targować mogą się później. Idźmy dalej. – A jeżeli jakimś cudem mi się powiedzie?

– Co byś powiedziała na własny kraj?

– Że co?

Maszyna wszystko jej wytłumaczyła. Pod koniec Aleka padła na kolana i zaczęła szlochać:

– O, tak, Pele, tak, tak. Maszyna przeszła do szczegółów.

Gdy Aleka wyszła, wyczerpana psychicznie, od wschodu ku miastu podkładał się zmierzch.

Nim znalazła się na ulicy Fell, zdążyła zapaść noc. Mrok był ociążały od chmur; blask odbity od chodników nie potrafił ich do końca rozproszyć. Coraz zimniejszy wiatr przyganiał gęstniejącą mgłą.

Nie mogłaby wytrzymać radosnego nastroju Mamy. W jakiejś autokawiarni przełknęła szybko kolację, nie zwracając uwagi na smak. Po powrocie do gospody poszła wprost do pokoju. Spróbuje się uspokoić, zapaść w sen. W tym celu wystarczyłaby pigułka, ale wtedy

zbudziłaby się z takim samym mętlikiem w głowie. Od początku postanowiła, że nie będzie odwiedzać quiviry. Życie było skomplikowane bez wplątywania w nie spraw, które nigdy naprawdę nie istniały. Do jej potrzeb idealnie nadawałby się vivifer, ale w tym miejscu ich nie było. *Bueno*, multiodbiornik zajmie oczy i uszy, wyobraźnia wykona resztę pracy.

Ale co obejrzeć? Wyszukała spis ważniejszych programów. Żaden nie przypadł jej do gustu, a nie chciało jej się przetrząsać setek pomniejszych kanałów. Czyli pozostał informator na nadgarstku. Tysiące pozycji, zarówno tekstów, jak i audycji audiowizualnych, od faktów po rozrywkę. Wielu jeszcze nie oglądała; umieściła je w przyrządzie dlatego, że przyszło jej do głowy, iż kiedyś to zrobi.

Zaznaczyła interesującą ją opcję i docisnęła ramkę do skanera. Po ekranie przesuwały się tytuły i krótkie opisy. Wybrała *Zachód słońca nad Tycho*, nakazała multiodbiornikowi ściągnąć go z baz danych i wygodnie się usadowiła. Była to komedia, którą dobrze wspominała, akcja toczyła się w początkach dziejów kolonizacji Luny, kiedy życie było prostsze i całkowicie ludzkie.

MATKA KSIĘŻYCA

Przestronny i pełen wdzięku salon Beynaców tworzył niemal doskonałe złudzenie, że znajduje się na powierzchni dawno utraconej Ziemi. Kwiaty na półkach rozlewały się czerwonymi, żółtymi, fioletowymi i zielonymi plamami na tle ścian barwy kości słoniowej i nad ciemnoniebieskim dywanem. Ich zapach nasyczał powietrze podobne do letniego wietrzyku.

Meble były aż nadto masywne. Na gigantycznym ekranie zmieściłby się widok za oknem lub księżycowy pejzaż, lecz pokazywał on obraz z Dordogne; drzewa poruszały się na wietrze, który owiewał stok wzgórza; na jego szczycie stał średniowieczny zamek; szum tych drzew stanowił tło spokojnego krajobrazu. Na przeciwległej ścianie wisiały zdjęcia członków rodziny, w tej chwili nieożywione, oraz komputerowa reprodukcja pejzażu morskiego Winsłowa Homera. Na jednym z krzeseł spał kot.

Ale człowiek przemieszczał się tu z nieziemską swobodą, a gdy coś upuścił, upadało powoli jak we śnie.

Weszło troje ludzi.

– Witam – zaczęła Dagny. – Dom obejrzysz sobie później. Teraz pora napić się czegoś przed kolacją.

– Od razu widać, że nieźłą macie chatę – zauważył Anson Guthrie. – Ale w pełni sobie na to zasłużyliście.

– Sami braliśmy udział w budowie – włączył się Ed – mond.

Mógł sobie pozwolić na odrobinę chełpliwości. Prace nie szły jak z płatka, często były piekielnie trudne, wiecznie brakowało materiałów, sprzętu, a przede wszystkim wolnego czasu.

Budowa trwała całe lata.

Dagny znów czuła radość na myśl, że upływ czasu nie wycisnął na dziadku zbyt mocnego

piętna. Nie widzieli się od pięciu lat, a obrazy na monitorach telefonicznych zbyt słabo odpowiadały rzeczywistości. Co więcej, strata, jaką niedawno poniósł, niejednego by złamała. Ale podczas spotkania na kosmodromie jego bas ciągle dudnił, a uścisk pozostał niedźwiedzi. Mimo siwych, przerzedzonych włosów i głębokich bruzd na czole, zapowiadało się, że jeszcze przez wiele lat pozostanie u steru Ognistej Kuli. Co dobrze wróżyło jej, jej rodzinie i wszystkim miłośnikom wolności we wszechświecie. Po co przejmować się zmarszczkami? Gdy sama się śmiała, w kącikach ust i oczu pojawiły się bruzdy. Mondowi posiwiały skronie, ale żadne nie zwolniło tempa życia.

– Tak, Dagny oprócz spraw służbowych przekazała mi też trochę plotek – mówił Guthrie. – Dobra robota. Dom sprawia wrażenie solidnego, a to spotyka się coraz rzadziej. Chcieliście, żeby posłużył następnym pokoleniom, co?

Kobieta przytaknęła.

– Mamy taką nadzieję. Oczywiście nie może się równać *i* twoim domem na Ziemi.

– Którym?

– No, cóż, przypominała mi się akurat posiadłość na wyspie Vancouver. Morze, lasy... –

Chwile tam spędzone wspominała jako najlepsze z niezbyt częstych pobytów na planecie, może oprócz wizyt z Mondem w jego Francji. Ruchem ręki wskazała ekran. – Musimy udawać. –

I szybko, by nie powziął mylnego wrażenia, że jej tu źle, dorzuciła: – Za to mamy wiele rzeczy, których brakuje u ciebie.

I to coraz więcej, w miarę rozrostu Tychopolis. Ptaszarnia w parku Avis. Przepiękny plac Hydry. Wyhodowane dla Luny cuda w ogrodach botanicznych i zoologicznych. Na zewnątrz surowy majestat, sporty – bieg za piłką, zjazdy narciarskie na skałach, wspinaczka, loty suborbitalne, ekspedycje – oraz podniecenie, oszołomienie i załamania towarzyszące narodzinom nowej cywilizacji.

– To prawda – potwierdził Guthrie. – Żałuję, ale nie mogłem do was wcześniej zajrzeć. Za dużo roboty. I wiecznego gania. – Rozejrzył się po pokoju. – Strasznie brakuje mi książek – stwierdził. – Antycznych, oprawnych w skórę tomów. W młodości, gdy zachodziłem do kogoś, kto czytał, rzut oka na półki i to, co na nich stało, mówił mi o danej osobie więcej niż miesiąc gadania

– To dało się odczuć w twoich domach – odparła Dagny. – Ale nie muszę ci chyba opowiadać o kłopotach z transportem, które zniknęły dopiero niedawno.

– Mimo to możemy ci coś zaproponować – odezwał się Edmond. Wziął ze stołu cyberlupę leżącą obok małego meteorytu wypełnionego metalicznymi błyskami, i uruchomił ją. Na ekranie pojawiły się tytuły, imiona i nazwiska autorów. – Masz, pobaw się. – Podał przyrząd Guthriemu. *Jefe* przewinął część katalogu, przeglądając jego zawartość. Większość pozycji pochodziła z centralnej bazy danych biblioteki, a tutaj wymieniono je dlatego, że interesowały Beynaców.

Niektóre stanowiły ich prywatną własność. Wywołał kilka stron, między innymi odtworzone teksty i rysunki sprzed kilkuset lat.

– Piękny zbiór – ocenił. – Ta zabawka nie do końca przypomina książkę, ale wyobrażam sobie, że egipscy kapłani robili Solonowi nudne wykłady o tym, jak to hieroglify mają więcej charakteru niż jego pałankowaty alfabet.

Dagny uświadomiła sobie, że nie jest durniem mimo zdarzających mu się czasami drwiących napadów na samozwańczych intelektualistów.

Otwarły się drzwi. Domowy robot wyczuł ludzi, a nie doczekawszy się żadnych poleceń, wycofał się i z powrotem zamknął drzwi.

– O, twoje publikacje zawodowe, Mond – spostrzegł Guth – Imponujący zbiór. Noo, widzę, że nadal z uporem maniaka lansujesz teorię o wielkiej, starożytnej asteroidzie.

– Gromadzę coraz więcej dowodów – odpowiedział geolog. Podszedł do miniaturowego barku. – Ależ my jesteśmy niegościnni. Czego się napijesz?

– Słyszałem, że od mojego ostatniego pobytu zaczęli na Księżycu warzyć przyzwoite piwo. Więc poproszę piwo, a za nim niech popłynie zimna wódka, jeśli takową macie.

– Dagny by się mnie wyrzekła, gdybyśmy nie mieli, zwłaszcza na twój przyjazd. – Edmond przygotował żonie ten sam zestaw, sobie zaś nalał wytrawnej sherry.

– A gdzie twoje prawdziwe dzieła? – zapytał Guthrie.

– *Hein?*

– Te powieści, o których napomykała Dagny, wydane pod nazwiskiem... a, do diabła, zaczynam się starzeć...

– Nieprawda, wujanso – zaprotestowała Dagny. – Ale tyle masz na głowie. Jacques Croquant – to jego pseudonim literacki.

– Już po tajemnicy! – jęknął Edmond. – Nie wiedziałem, że mu mówiłaś.

– Chętnie bym je przeczytał. Boję się, że resztki mojego francuskiego dawno zabłądziły w ciemnym lesie, ale jeśli jakiś program do tłumaczenia nie okaleczy zbytnio stylu, myślę, że mogłoby być ciekawie.

– Czy warto aż tak przejmować się stylem? – Edmond wzruszył ramionami. – To powieści przygodowe, których akcja rozgrywa się w odległym kosmosie, piszę je w wolnych chwilach. Korzystam z pseudonimu, bo naukowcy akademicy to snoby. Owszem, szanują moje dokonania na Lunie. – A śmieliby nie szanować, pomyślała z wściekłością Dagny. Zrewolucjonizowały selenologię. – Ale chciałbym, żeby moje koncepcje co do początków Układu Słonecznego też były brane poważnie i zbadane.

– To dałoby się załatwić, zwłaszcza że organizujemy patrol meteorytowy. – Guthrie kontynuował chaotyczne przeszukiwanie katalogu. – Co, trzy biografie Charleśa de Gaulle’a? I dzieła zebrane. To twój idol?

– W dwudziestym wieku za ledwie dwóch przywódców państw zasługiwało na miano mężów stanu, on i Konrad Adenauer. Co do reszty... – Edmond wzruszył ramionami. – *Eh bien*, pewnie co niektórzy mieli dobre intencje.

– Mond szanuje władzę bardziej niż ja – wtrąciła Dagny.

– A, tak, jesteś urodzoną buntowniczką o dwóch dominantach, Dzidzi. To jak czuje się coraz bardziej znacząca siła polityczna na Lunie? – Guthrie uśmiechnął się.

– Tak nie jest – zaproponowała. – Sęk w tym, że rządy ładują nam na głowę polityków i biurokratów, którzy nie odróżniają kupy gówna od krateru. Praca w administracji pociąga za sobą nieuniknione kontakty z tymi matołami i jeżeli mnie i moim znajomym uda się nakłonić mieszkańców Luny do popierania Ognistej Kuli i obsadzenia właściwymi ludźmi niewielu pozostawionych nam, wybieralnych urzędów, to... sam rozumiesz. Chodźmy, drinki są już

gotowe. Siadajcie, proszę.

Usiedli, chociaż na Księżycu mogliby spokojniejszce długo postać, co niejednokrotnie robiono podczas spotkań towarzyskich trwających cały wieczór. Beynacowie woleli hołdować pewnym gestom, zwyczajom, symbolom. Dagny była ciekawa, czy będą konsekwentni do końca życia.

Gdy Edmondowi na czymś strasznie zależało, namiętnie argumentował:

– Musimy uznać prawomocną władzę – mówił. – W przeciwnym wypadku społeczeństwo rozpada się, a ludzie z wdzięcznością witają jakiegoś wojskowego, który brutalnie narzuca porządek zapewniający im jakie takie bezpieczeństwo. Problem nie polega na źródłach legitymizacji władzy. Dzieje znają wiele sposobów: narodziny w królewskiej lub szlacheckiej rodzinie, kapłaństwo, wybory powszechne, teoria socjologiczna *etcaetera, etcaetera*. Chodzi o to, czy władza postępuje praworzędnie, i o to, kiedy tę praworzędność traci. Moim zdaniem załamanie przychodzi, kiedy władza w większym stopniu zaczyna robić coś ludziom niż dla ludzi. To zdarzało się i zdarza nadal w coraz większej liczbie państw na Ziemi. W kosmosie nieład, który prędzej czy później następuje po załamaniu, oznacza zagładę. Ognista Kula ma więcej praw do władzy niż większość roszcujących je sobie rządów, ponieważ jej szefowie honorują swoje zobowiązania wobec podwładnych.

Nie jest konwencjonalnie przystojny, myślała Dagny, ale kiedy się do czegoś zapalał, w niej również zaczynała płonąć supernowa. Poczwała na języku smak kminku, po nim gorzyc piwa, ale spokój wciąż nie powracał.

– *Gracias* – powiedział Guthrie. – Staramy się. Ale możesz mi nie dziękować. Podziękuj ludziom czynu, na przykład własnej żonie. Albo pogratuluj samemu sobie, Mond, nawet jeśli nie znosisz politykierstwa. Ja w pewnym sensie miałem na was oko. Wy dwoje nie uchylacie się od obowiązków, wręcz ich szukacie.

– Jeżeli nam coś wychodzi, to tylko dzięki tobie. Inspirujesz nas do działania i umożliwiasz je.

– Nic z tych rzeczy. – Guthrie potrząsnął głową. – Mijasz się z prawdą. Ludzie wierzący w człowieka niezastąpionego długo nie wytrwają, zresztą tak powinno być. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, wypił porządny łyk i dodał: – Tylko nie bierzcie mnie za skromnisia. Na swoim odcinku odwałam kawał dobrej roboty. Ale należę do ekipy, której solidność bierze się z klasy jej członków.

– A wszystko opiera się na tobie.

Dagny kiwnęła głową. Rok za rokiem obserwowała, jak wzmacniają się wzajemne więzi.

Ten nowy zwyczaj zaprzysięgania na wierność firmie, która przez funkcjonariusza składała przysięgę, rozprzestrzenił się błyskawicznie i w pełni spontanicznie.

– To ty założyłeś Ognistą Kulę, wujanso – stwierdziła łagodnie. – Przeprowadzałeś ją przez najgorsze zawieruchy.

– Raczej Juliana, nie ja – dobiegło gdzieś z głębi gardła Ansona.

– Wszyscy za nią tęsknimy. Ty... – Poczowała pieczenie w oczach. Pochyliła się i na krótką chwilę położyła ręce na jego dłoniach.

– Mną się nie przejmujcie – burknął. – Walka trwa.

– Ona by się z tego cieszyła – stwierdził Edmond.

– To leży w twojej naturze – wymamrotała Dagny. Guthrie potrząsnął barczystymi ramionami.

– Słuchajcie, schodzimy na poważne tematy – zaoponował. Dagny wiedziała, że unikał rozmów na tematy osobiste. Ale kiedy znowu nadarzy się okazja, żeby spokojnie pogadać?

– Jeszcze trochę cierpliwości – poprosiła. – Tak bardzo chcieliśmy usłyszeć, co myślisz, o czym wiesz. Ziemia weszła na fatalną drogę, a Ognista Kula wydaje się jedyną istniejącą

jeszcze siłą pchającą świat ku lepszemu.

– Ho, ho, panienko! – zawołał. – I Chrystus nie dorównałby takiemu ideałowi. Przecież wiecie, znacie wielu takich, którym władza nie sparaliżowała szarych komórek.

– Tak, oni są dźwignią postępu, przynajmniej w nauce i technice – zauważył Edmond. – Do awangardy należą oświeceni superbogacze, tacy jak ty. Baronowie-sawanci.

– I kilku ludzi w rządach, chociaż przyznaję to z niechęcią.

– A co z resztą? Co z przytłaczającą większością, która nie może odnaleźć się w tym stechnicyzowanym wszechświecie, który stworzyliście?

– Właśnie. Świat Wyżyn przeciwko Nizinom. To coś więcej niż dziennikarski banał.

Należycie do szczęśliwców. Wszyscy mieszkańcy kosmosu należą do Wyżyn. I nie jest to gra słów. Inaczej być nie może.

Dagny poczuła, że marszczą jej się brwi.

– Może właśnie dlatego trudno nam pojąć to, co dzieje się na Ziemi.

– Nie wiem, czy jest tam co pojmować, skarbie. Sytuacja z dnia na dzień się pogarsza, mimo wysiłków tych, których chcecie kanonizować.

– Wiadomości, analizy, książki, wieści od znajomych – z Księżyca to wszystko wydaje się takie... abstrakcyjne? Surrealistyczne? – Dagny wydusiła z siebie pytanie: – Czy rzeczywiście szykuje się wojna?

– Wojny wybuchają już na całej planecie – odparł zasepiony Guthrie. – Nazywamy je zaburzeniami, rewolucjami albo Bóg wie, czym jeszcze, ale wszystko to sprowadza się do działań wojennych. Tak, obawiam się, że szykuje się wielka wojna.

– Dżihad? – wychrypiał Edmond. – Ci kaznodzieje... ale to nie będzie starcie islamu z niewiernymi, prawda? Nie jest to takie proste?

– Nie, z pewnością nie. Ja nazwałbym to ostatnią rewoltą Świata Nizin przeciwko

porządkowi rzeczy, którego nie rozumie i z którego czuje się wyłączony. Świat Wyżyn będzie miał trochę sojuszników wśród muzułmanów, a prorocy znajdą sobie sprzymierzeńców wśród wyznawców każdej religii.

– Co z tego wyniknie? – szepnęła Dagny.

– Raczej nie eksplozja – pocieszył ją Guthrie. – Sądzę, że w napadzie furii ktoś wystrzeli parę pocisków nuklearnych, ale nie będzie ich zbyt wiele i nie będą zbyt mocne. Cały ten zgiełk jest zanadto skomplikowany, zakręcony i pomieszany pod względem geograficznym, etnicznym, ekonomicznym i Bóg jeden wie, jakim – z tego nie może wyniknąć żadne jasne rozstrzygnięcie. Czuję, że walki będą ciągnęły się przez lata, na niektórych terenach na małą skalę, gdzie indziej poleją się rzeki krwi. Kraje Wyżyn wyjdą z tego zwycięsko, ale podstawy ich potęgi zostaną tak naruszone, że nie da się powrócić” do dawnego status quo. – Po chwili podjął: – Wątpię, żeby kiedykolwiek zdarzyła się albo miała się zdarzyć wojna warta wynikłych z niej kosztów, kiedy uwzględni się koszty ponoszone przez wszystkich zainteresowanych, włącznie z nie narodzonymi pokoleniami. Ale świat, który wyłoni się z tego chaosu, może okazać się pod kilkoma względami lepszy. Na przykład nie wyobrażam sobie, żeby z kryzysu wyszła cała ta pozbawiona jaj, nadęta Odnowa. Tak w ogóle możecie się jednak cieszyć, że siedzicie z rodziną na Księżycu i musicie martwić się tylko o próżnię, promieniowanie, meteory, awarie układów podtrzymywania życia i biurokratów.

– Najbardziej cieszy mnie to ze względu na dzieci – orzekła Dagny.

– Jasne.

Teraz wszyscy mieli ochotę na zmianę tematu.

– A gdzie młodzież? – zainteresował się Guthrie. Dagny z radością pochwyciła deskę ratunku:

– Odpowiedzi na to pytanie jest więcej niż samych dzieci.

– Pętają się wszędzie – pokiwał głową Edmond – albo... *vont a la derobee*... chodzą na palcach jak koty. Mają też swoje sekrety, o których nic nie wiem. – Westchnął. – Z wiekiem coraz więcej.

– Tak, Dagny mi mówiła. – Kiedy Dagny zwierzyła się kiedyś Guthriemu, w odpowiedzi usłyszała opowieść o kurze, której dano do wysiedzenia i odchowania kacze jaja, bezradnie patrzącej, jak małe pływają po stawie. – Ale gdzie są w tej chwili?

– Brandir jest w Port Bowen – zaczęła matka. – Może pamiętasz, jak wspominałam ci, że chce zostać inżynierem konstruktorem, dlatego załatwiłam mu kilkutygodniową pracę przy nowej katapulcie do wystrzeliwania rakiet transportowych, niech zdobywa doświadczenie z pierwszej ręki. Bardzo chciał się z tobą zobaczyć, ale jeśli nie zostaniesz dłużej, niż zapowiadałeś, albo nie poszukasz go sam, będziecie mogli porozmawiać najwyżej przez telefon. Verdea jest u przyjaciółki, zapewne testuje na niej nową kompozycję. Zespół latających kaskaderów Kaino...

– Chwila moment, *por favor*. Brandir, Verdea, Kaino? Opisywałaś mi panującą wśród lunariańskiej młodzieży modę na przybieranie i uparte używanie wymyślonych imion – prasa też o tym pisała – aleja nie pamiętam, które z nich jest które.

– To więcej niż moda – włączył się Edmond. – Oni traktują to ze śmiertelną powagą. Co więcej, tworzą na swój użytek całkowicie nowy język. Nie slang czy gwara, ale język.

– To nie znaczy, że nas odrzucają – dodała Dagny. – Naprawdę. – Nie miała innego wyjścia, musiała w to wierzyć. A dzieci rzeczywiście odnosiły się do rodziców przyjaźnie, każde na swój sposób, a jeśli pod powierzchowną serdecznością kryła się wyniosłość, czy zadawały jej ból większy niż ona im? – Chodzi o to, że są... inne, o wiele bardziej inne niż ktokolwiek się spodziewał. Usiłują zrozumieć swoją naturę, a my niemożemy im za bardzo pomóc.

Guthrie potarł brodę.

– Nie żaden tam młodzieńczy bunt, co? Ale gdyby przyjrzeć się ziemskim oficjelom na

Lunie, to ci młodzi postępują jak najbardziej słusznie. – Wychylił piwo. Edmond wziął kufel i kieliszek po wódce, żeby znów je napełnić. – *Gracias, amigo*. Możecie mi ich pokazać?

Dagny puściła na ekranie kilka aktualnych scen z dziećmi i dodała od siebie krótki komentarz na ich temat.

Brandir. Anson. Szesnaście lat. Dwa metry wzrostu, barczysty, zwinny; blond włosy o popielatym odcieniu, srebrno-niebieskie oczy, marmurowa skóra, której nigdy nie pokryje zarost. Twarz ze śladami podobieństwa do matki, nie w stu procentach lunariańska. Często kłócił się z ojcem, choć niezbyt poważnie, i wydawało jej się, że jest z nią bardziej związany emocjonalnie niż reszta rodzeństwa. Co nie przeszkadzało mu w podbijaniu serc ziemskich dziewcząt. Stosunki z kobietami jego gatunku opierały się na bardziej partnerskich zasadach. Te dziewczęta miały swoje odrębne zainteresowania, co traktowały z taką oczywistością, że nie czuły potrzeby podkreślania swej niezależności. Gdzie się podziały szkolne randki?

Verdea. Gabrielle. Czternaście lat. Z wyglądu niemal Ziemiańska, średniego wzrostu, pulchna, z okrągłą twarzą i nosem jak kartofel. Brązowe oczy i krótko przycięte kędziory. Dziewczyna z zacięciem literackim, wyrażonym w wierszach i szkicach prozatorskich, które przerastały Dagny. (Wolność gwiazdnych kamieni; Achilles/Odyseusz...) Kilkoro innych młodych geniuszy stworzyło program, który dał podstawy nowego języka lunariańskiego, natomiast ona należała do twórców rozrastającego się i coraz subtelniejszego słownictwa. Dagny zastanawiała się, czy dziewczynka prowadzi życie seksualne, ale skąd matka może o tym wiedzieć? Lunariańskie dzieci nie zwierzały się ze swoich sekretów, a Verdea gardziła chłopcami o ziemskich genach.

Kaino. Sigurd. Dwanaście lat. Jak na swój wiek duży, silny, rude włosy, niebieskie oczy, o rysach ciosanych grubo jak u ojca. Atletka w tej paczce, najbardziej hałaśliwy, impulsywny, czasami strasznie lekkomyślny. Rywalizuje z Brandirem, chociaż rzadko przejawia się to

w kłótniach. Potrafili krążyć wokół siebie bez słowa przez całe dni, by na krótką chwilę stawać się przyjaciółmi od serca. Kaino marzył o zostaniu pilotem statku kosmicznego. Nie mógł i nie chciał pogodzić się z faktem, że przystosowanie organizmu do księżycowej grawitacji oznacza jednocześnie, iż duże przyśpieszenia stanowią dla niego śmiertelną barierę nie do pokonania.

Temerir. Francis. Prawie dziesięć lat. Drobnej budowy ciała, platynowy blondyn, szare, matowe, wielkie oczy, ascetyczna twarz, pełne, czerwone usta. Jeszcze bardziej niż Verdea lubił czytać, uczyć się, był łagodny, aspołeczny. Okazywał wielki talent naukowy.

Fia. Helen. Siedem i pół roku. Jeszcze dziecko, a już zapowiadała się na nieprzeciętną piękność; czarne włosy, oczy koloru umbry, twarz będąca kobiecą wersją oblicza Brandira. Prawie tak pełna rezerwy jak Temerir. Mogła okazać się bardzo muzykalna, ale trudno to jeszcze ocenić, na razie większość słuchanych melodii jej się nie podoba. Być może skomponuje pierwszą naprawdę lunariańską muzykę.

Jinann. Carla. Cztery lata. Mały rudzielec, jak matka, żywa i uczuciowa. Lunariańskie imię nadało jej rodzeństwo, często je zapominała. Ale kto wie, co z niej wyrośnie?

– Czy najmłodsze są w domu? – zapytał Guthrie.

– Przypuszczam, że w pokoju zabaw – odparł Edmond. – Niedługo je zobaczysz, gdy tylko Clementine doprowadzi je do jako takiego porządku.

– One się tego domagają – tłumaczyła Dagny. – Niecierpliwie czekały na twój przyjazd, ale nie lubią, żeby obcy oglądali je... nieprzygotowane.

– Znaleźliście dla nich opiekunkę? – Guthrie uniósł brwi. – A ja myślałem, że kłopoty ze służbą są na Lunie nie do obejścia i że wszyscy zapomnieli już, co oznacza to słowo. Jakaś *au pairl*

– Nie, nie, Clementine to robot.

– Automatyczna opiekunka? Trudno zaprogramować nawet roboty domowe.

- To nowy model, wynaleziony niedawno przez niewielką tutejszą firmę – oznajmił Edmond.
- Zgodziliśmy się na przetestowanie go. Jak dotąd sprawuje się przyzwoicie.
- No, proszę! Pierwsze słyszę. Zresztą kto za tym wszystkim nadąży? – W czasach, gdy modele komputerowe i eksperymenty na poziomach nano sprowadzają dawne lata badań do godzin. Dagny zdawała sobie sprawę, że postęp zмага się nie z brakiem innowacji, lecz inwestycji kapitałowych i akceptacji rynku. – Czy aby nie igracie z ogniem?
- Nie ma obawy, istnieje mnóstwo zabezpieczeń – powiedziała. – Zresztą to zwykły robot do pilnowania, do wykonywania prostych, rutynowych prac i zabawiania dzieci. To znaczy, że ma w repertuarze fragmenty piosenek i opowieści, które może łączyć. On nas nie zastępuje, tylko pomaga. Więcej nam nie potrzeba.
- I na razie nie dostaniecie. I tak mnie zaskoczyliście.
- Czy postępy w dziedzinie sztucznej inteligencji są coraz wolniejsze? – zapytał Edmond. – Słyszałem takie opinie, ale producent Clementine jest innego zdania.
- Budujemy zdumiewające programy, imponujące maszyny. Z prac terenowych wiecie, do czego zdolne są roboty najwyższej klasy, a ciągle udoskonala się następne generacje i obdarza czymś, co można by nazwać myślą, zdolnością tworzenia. Ale są to na razie metody stochastyczne, zasadniczo podobne do kalejdoskopowych mozaik, jakie układa z fragmentów opowieści wasza niania. Do prawdziwego myślenia, świadomości, umysłu, jak zwał, tak zwał, bardzo nam jeszcze daleko, co wynika ze sprawozdań i relacji, które do mnie docierają.
- Dziwne – zastanawiała się Dagny.
- Czy polega to na fundamentalnym błędzie metody? – zapytał Edmond.
- Sądzę, że myśliciele, którzy tak twierdzą, mają rację. Jak pamiętacie, ich szkoła utrzymuje, że umysł nie jest do końca algorytmiczny. Jeżeli to prawda, to ostateczna Omega, o której trąbi ten Xuan, nigdy nie nastąpi. Przynajmniej nie tędy droga.

- Jesteś pewien? – spytała Dagny. – Nie wierzysz chyba w bezcielesną duszę ani nic takiego?
- Konkretnie rzecz biorąc, w świat nadprzyrodzony wierzę ociupinę bardziej niż w mądrość i dobroć rządów.
- Zamyślona Dagny zmarszczyła czoło. Od dawna łamała sobie głowę nad tym zagadnieniem.
- W takim razie umysł ma podstawę materialną. Czyli powinno być możliwe sztuczne go wytworzenie.
- Zapewne. Ale zadanie może być bardziej zawile, niż wyobraża to sobie szkoła algorytmiczna. Po pierwsze „materialna” jest określeniem, w którym czai się cały szereg pułapek. Przypomnijcie sobie mechanikę kwantową.
- Co powiesz o zasejwowaniu?
- Chodzi ci o zeskanowanie mózgu i rzutowanie go na specjalnie do tego celu stworzoną sieć neuronową? Sądząc z raportów, które przeglądałem, jest to obiecująca perspektywa. Chociaż sam nie wiem, czy chciałbym doczekać jej urzeczywistnienia.
- Czyli zamierzamy stworzyć maszynę obdarzoną świadomością?
- W pewnym sensie. – Guthrie pił piwo, dobierając słowa. – Ale myślę sobie, że nie stworzylibyśmy tego umysłu sami. Wziąłby się on z żywego ciała i wszystkich jego przeżyć. Stanowiłby całą istotę, a nie odizolowany mózg. Jeżeli kiedyś uda nam się przerzucić jego... kody molekularne... na matrycę elektroniczną albo fotonową, może to nam pomóc w zrozumieniu natury umysłu, a wtedy będziemy mogli zbudować sobie mózg z niczego. Sam nie wiem. – Skrzywił się. – Mnie byłoby żal tej zasejwowanej osobowości, a raczej tego jej cienia, który pozostał w maszynie. Bez brzucha, bez jaj, bez niczego.
- Miałby czujniki i efektory – zauważył Edmond. – I nigdy by się nie zestarzał.
- Mnie wystarczy to, co dała mi natura, wielkie dzięki.
- Z dodatkiem środków przeciwko starzeniu się, ciągłych napraw komórek i innych kuracji –

dorzuciła żartobliwie Dagny.

– Zgoda, przyznaję się, że nie chciałbym przeżywać ostatnich dwudziestu czy dziesięciu lat jako dziecinniejący starzec – ustąpił Guthrie. – A moja zasej wowana osoba mogłaby w sumie uznać dalsze istnienie za interesujące. Ale wolałbym chyba nie musieć tego robić.

Dagny rzuciła okiem na zegarek.

– Nie chciałbym przerywać... – zaczęła.

– Ależ śmiało – zachęcił ją Guthrie. – Jak powiedział Antoniusz do Kleopatry, niejestem skory do kłótni. Przyjechałem tu odpocząć w dobrym towarzystwie.

– Inteligentny spór to jedna z największych przyjemności w życiu – przypomniał mu Edmond.

– Podobnie jak porządny posiłek – wtrąciła Dagny -który zaraz znajdzie się na stole.

– To jej dzieło – poinformował Edmond Guthrie. – Dopijmy aperitify. Jakem Francuz, przyrzekam, że czeka cię ucza.

Los Angeles widziane z góry wyglądało jak potworne pustkowie, kilometry ruin rozciągających się ku wschodowi aż do miejsca, gdzie roztrzaskiwały się o rude góry i szarą pustynię. Wzrok Kenmuira wychwytywał w tym kłębowisku szczegóły: pagórki, które były niegdyś domami, błyszczące odłamki szkła, sterczące, wyschnięte i wypaczone kawałki drewna; pozostałości większych budowli; inne w prawie nienaruszonym stanie, ale spłowiałe i puste; wiadukt nad autostradą, który częściowo zapadł się w czasie jakiegoś trzęsienia ziemi; zatkany gruzami akwedukt, wyschnięty tak samo jak źródła, którymi karmiło się miasto; w górze bezchmurne niebo, łagodniejące wraz z nastawaniem zmierzchu, przekreślone meteorytową smugą statku transoceanicznego.

Do tej pory oglądał takie sceny tylko w filmach dokumentalnych, a i to sporadycznie. Groza rzeczywistości przerosła najśmielsze oczekiwania. Przekręcał gałkę monitora w poszukiwaniu

oznak życia. Wiedział, że muszą tu gdzieś być. Powolne pustoszenie miasta nigdy nie było całkowite, ludzie stopniowo powracali, dzicy lokatorzy, przedsiębiorcy, grupy ekscentryków. Jest oczyszczone miejsce, palmy, trawa, domy zbudowane przeważnie z ocalałych szczątków dawnych budowli, nie pozbawione uroku. I kolejne osiedle, w całkowicie odmiennym stylu, z piramidą w centrum – jakaś wspólnota religijna? I trzecia ludzka sadyba, jedyna struktura przypominająca fortecę. W oddali wymyślne kształty Xibalby... Kolonii powstało najprawdopodobniej tyle, żeby mogła je obsłużyć fabryka odsalania wody w Santa Monica. Niewiele; za to ani śladu dawnego przeludnienia.

Mimo to dziwił się, że nie przystąpiono do odbudowy. Podczas lotu z północy widział kwitnący biom w Dolinie Centralnej, przystosowany do suchego terenu, chociaż zaludniony równie rzadko jak tutaj. Czy przyroda tych okolic nie zasługiwała na odnowienie?

Pewnie chodziło o koszty i hierarchię zadań. Bez wątplenia miejscowy parlament rozważał kiedyś pobieżnie taką perspektywę, ale przyjął zalecenia komisarzy właściwych do tych spraw.

Ci z kolei opierali się w swych opiniach na cyberbadaniach, sięgających od penetracji nanorobotów w głąb gleby po orbitalne monitorowanie klimatu, oraz na analizach wyników prac wykonywanych przez umysł, który przewyższał swoimi umiejętnościami mózgi ludzkie.

Jeśli umysł ten widział wszystko w szerszej perspektywie i odkrył inne niż ekologia powody, by nie zaludniać tych obszarów, czy cokolwiek wyjaśnił? Bardzo możliwe, że żadna istota ludzka nie byłaby zdolna pojąć takich tłumaczeń.

Kenmuir porzucił swoje rozważania. Statek zaczynał zniżać lot.

Santa Monica usadowiła się na zboczach nad oceanem: kilkaset trzy – lub czterokondygnacyjnych *viviendas* na podobieństwo krużganków otaczających parki, od czasu do czasu szklane domy, *casas* Hiszpańskiej Odnowy kryte czerwoną dachówką, gdzieś tam budowle w najdziwniejszych stylach. Słyszał, że miastu wiedzie się nie najgorzej, jest

zamieszkanie przez ludzi rozrywki i przedstawicieli wolnych zawodów, tych, którzy oszczędzili coś więcej niż podstawowy kredyt emerytalny, oraz ludzi zaspokajających życiowe potrzeby bogatych. Teraz zobaczył łódzie na przystani, piasek plaży Malibu po drugiej stronie zatoki i położone jeszcze dalej ogrody, węzowaty kształt bioinspektora sunącego między spienionymi wirami. Na zachodzie falowało srebrne i turkusowe morze. Wody rozświetlały promienie rozżarzonego słońca, które chyliło się ku zachodowi.

Publiczny transport, zarówno naziemny, jak i powietrzny, przestał w tych okolicach funkcjonować od czasu ostatniej wizyty Kenmuira na Ziemi. Coraz częściej przytrafiało się to pomniejszych społecznościom i ogarniało nawet większe skupiska ludności. Tłumaczono to niedostatecznym popytem. Bardziej opłacało się skorzystać z własnego pojazdu, wynająć coś albo po prostu komunikować się na odległość. Zastanawiał się, czy to przyczyni się do scalenia społeczności i czy taki właśnie cel przyświecał pomysłodawcom. Na polu pod sobą zauważył trzy wolanty. Pewnie należą do ludzi będących tu przejazdem, może tylko je wynajęli. Pojazdy tubylców parkowały w jednym wielkim garażu.

Osiadali. Odpiął pasy, wstał, przeciągnął się. Chyba cisza, która zapanowała po ustaniu szumu silników, sprawiła, iż dzwoniło mu w uszach.

Musi się streszczać. Nieco za długo zabawił dziś na wyspie Vancouver, z rozkoszą chłonąc starożytną atmosferę Domu Guthriego, wód, lasów i „Kestrel”, jak zawsze gotowej do skoku w kosmos. Agentka Lilisaire w Integracji Zatoki San Francisco powiedziała, że jest umówiony na godzinę 21. (Numer, z którego dzwoniła, był zarejestrowany w jakimś miejscu, ale przekazowi nie towarzyszył żaden obraz). Nie bardzo orientował się, ile czasu zajmie droga stąd do Xibalby. Nie wiedział też, kogo tam spotka. Ani o czym będą rozmawiać. I gdzie spędzi tę noc.

Najrozsądniej będzie zostawić bagaż w statku.

Mimo że strój miał jak najbardziej odpowiedni – szary unikombinezon i buty z miękkimi

cholewami – po wyjściu na zewnątrz poczuł się nagi.

Bzdura. Powietrze było delikatne, prawie nieruchome. Zdawało mu się, że wyławia jakiś aromat. Rosnący gdzieś w pobliżu jaśmin? Uszy wychwyciły jakiś pomruk. Małe fale, mały ruch czy sieć maszyn podtrzymujących funkcjonowanie miasta? Promienie zachodzącego słońca złociły pola i mury.

Ale co go czekało?

I właściwie dlaczego?

Wyprostował się i ruszył przed siebie.

Gdyby terminal był przyzwoitej wielkości, panująca w nim nieruchoma pustka działałaby drażniąco na napięte nerwy. Do odlotu szykowała się jakaś kobieta. Na odjezdnym rzuciła mu lekko zdziwione spojrzenie. Odruchowo je odwzajemnił. Typ kaukaski o śniadej cerze, w średnim wieku, elegancka, na pewno miejscowa. Wylądowała tuż przed nim. Do czego wracała? Otworzył się drzwi i kobieta na zawsze zniknęła z życia Kenmuira.

Podszedł do tablicy usługowej.

– Chciałbym zamówić taksówkę, *por favor*. – Uprzejmość przyszła automatycznie, jakby zwracał się do istoty świadomej.

– Dokąd? – zapytał robot.

– Do Xibalby.

– Stanowisko numer pięć, *sehor*.

Wyszedł. Wyznaczone miejsce znajdowało się około czterech metrów na prawo. Po krótkiej chwili przy krawężniku stanęła taksówka. Zdarzało mu się już czekać dłużej. Widocznie liczba ludności spadała tu bardzo szybko, może też mieszkańcom wystarczyło politycznej energii, by uzyskać przydział większej ilości taksówek.

Pojazd był przystosowany do tego regionu, zaopatrzone go w gaśnice i silnik zdolny do

pokonywania przeszkód w terenie. Z boku wysunęły się schodki. Wsiadł, zajął miejsce, wprowadził do informatora na nadgarstku numer swojego konta i podał sumę należności, która miała je obciążyć.

– Okręg Xibalba – zażądał. – To znaczy Asilo. Samochód zaszumiał i ruszył. Na ekranie pojawiła się mapa z przesuwanym się, czerwonym punktem, oznaczającym ich trasę.

– Informacje oficjalne – rozległ się głos. – Asilo to dom zgromadzeń, do którego przybywają zamieszkałe w sąsiedztwie metamorfy. Zdarzały się nieprzyjemne incydenty z udziałem przybyszów z zewnątrz. 3 sierpnia ubiegłego roku osobnik o standardowym genomie został ciężko pobity, zanim zdążyła interweniować policja. Proszę się zastanowić.

Wszystko wskazywało na to, że robot był zaprogramowany tak, by meldować inteligencji centralnej o podróżach do podejrzanych miejsc. Serce Kenmuira zabiło szybciej.

– Dziękuję, ale jakoś sobie poradzę. – Nie należał do ludzi szukających guza – wręcz przeciwnie – ale kiedy zdarzały się problemy, zawsze mógł skorzystać z wyuczonych sztuk walki. W starciach sparingowych szło mu nieźle.

– Jak pan sobie życzy, *sehor*.

Zmierzch przeszedł w noc. Jechali coraz wolniej, podskakując na pozbawionych oświetlenia chodnikach, popękanych, dziurawych i pełnych śmieci. Reflektory omiatały ocalałe ściany, które na powrót pogrążały się w mroku. Gdy przejeżdżali przez wieś, prostokąty jasności w oknach jeszcze bardziej podkreślały głębię panującej wokół ciemności.

Pejzaż dawał się Kenmuirowi we znaki. Czego tu w ogóle szukał? Był z misją Lilisaire u Rydberga i niczego nie osiągnął. Czy jest jej jeszcze coś winien? Co mu dała, co jeszcze da?

Tak, pracę wśród planet. Lecz gwiazdy niezmiennie z niego drwiły, Alfa Centauri świeciła zawsze poza zasięgiem. Dawała mu siebie, tak, uściski, jakich nie zaznał od żadnej kobiety ani w świecie realnym, ani w quivirze; ale nie wmawiał sobie, że ona go kocha, nigdy nie będą mogli

mieć dziecka. Ocalenie jej gatunku? Tak twierdziła; ale czy mówiła prawdę, szczerą prawdę? I czy miała jakiegokolwiek prawa do jego pomocy? Jeżeli powiedzie mu się i pokrzyżuje plany Biotopu, czy nie będzie to oznaczało odebrania jego rasie ostatniej szansy na powrót w kosmos i przetrwanie w nim?

Kolonia Guthriego się nie liczy, pomyślał. Za kilka stuleci Demeter zostanie rozbita w pył.

Jej mieszkańcy – według wieści, które stamtąd docierały – podobno nie tracili nadziei, ale jednocześnie nie wymyślili żadnych sposobów ratowania swoich potomków. Czy kiedykolwiek je znajdą?

Z przodu zapłonęła łuna świateł. Dostrzegł grupę budynków, barak na czterech łukach, biały ośmiokąt pod lśniącą kopułą i iglicą w kształcie korkociągu. To dodało mu nieco otuchy.

Wyprostował się w fotelu. Najpierw posłucha tej Irenej Norton, z którą się umówił.

Taksówka stanęła.

– Asilo, *sehor*. *Qzy* życzy pan sobie skorzystać z moich usług o jakiejś określonej porze?

– Nie, nie.

Pojazd odjechał.

Po wąskiej i pustej, ale czystej ulicy jeździło niewiele pojazdów i kręcili się nieliczni przechodnie. Część parteru kwadratowej, murowanej budowli zajmowało bistro; w pozostałej części mieściły się być może mieszkania, a być może pomieszczenia do bardziej ekscentrycznych celów. Nad wejściem migotał surrealistyczny neon. Mężczyzna wszedł do środka.

Izba, w której się znalazł, była długa i obszerna. Drewnianą, łamliwą podłogę zastawiono stołami i krzesłami. W tyle znajdował się bar i kuchenka. W powietrzu unosiła się błękitna mgiełka. Wśród zapachów Kenmuir poznał tytoń i marihuanę, domyślał się opium i koki.

Klienci, usadowieni w małych grupkach albo pojedynczo, zajmowali około połowy miejsc przy stołach. Tło dla rozmów stanowiła syntezatorowa muzyka. Żywy kelnerniósł tacę z napojami.

Kenmuir od niepamiętnych czasów nie widział takiego lokalu. Istne średniowiecze.

Zapytał informanta o godzinę. 20.32. Zostało pół godziny, jeśli Norton będzie punktualna.

Usiadł z boku, chociaż w niezbyt ciemnym kącie, żeby nie musiała go długo szukać. Agentka z San Francisco na pewno przekazała jej obraz Kenmuira z ejdofonu.

Kelner zaniósł gościom tacę i podszedł do Kenmuira. Sam również był metamorfem,

Tytanem, głowa z szopą włosów wznosiła się na wysokość dwa i pół metra i ginęła w kłębach dymu, masywny tułów podtrzymywały nogi grube jak słupy. Wytarte spodnie i tunika wyglądały na takim olbrzymie raczej żałośnie. Nie ma go co żałować, pomyślał Kenmuir, bo mógłby spokojnie rozedrzeć przeciętnego człowieka na kawałki. Czy zarząd zatrudnił go ostatnio dla zatrzymania fali przemocy, czy też w zeszłym roku, gdy bili tamtego gościa, stał z boku i się przyglądał?

– Co dla pana? – zagrzemiał.

– Piwo – wymamrotał Kenmuir. – Jeśli jest, to poproszę Sun Brew. – W większości lokali było, a da sieje przynajmniej wypić.

– Płatne gotówką.

– Co? A, tak, tak.

Kenmuir wygrzebał z mieszka banknot o nominale dziesięć ucu. Leżał w nim od dawna, ale i tak wyglądał zaskakująco czysto w kontraście z obrusem. Kelner skinął głową i oddalił się. Pod jego nogami skrzypiały deski podłogi.

Kenmuir rozejrzał się. Mimo że nie był tu jedynym typowym człowiekiem, lokal był jednak przeznaczony przede wszystkim dla metamorfów. Przy jednym stole szwargotało piskliwymi głosami kilka Maluchów. Ładowcy także trzymali tyko ze sobą. Jakiś Chemo rozmawiał z dwoma Wodniakami, którzy kulili się w ubraniach nawilżanych wodą ze zbiorników na plecach. Co sprowadziło ich tutaj, tak daleko od morza? Czy Chemo, nie mający trudności

z oddychaniem w takim powietrzu, korzystał z niewygodnej dla nich sytuacji, żeby ich nabrać?...

Nie wszyscy sprawiali wrażenie aż tak ubogich. Cztery Szympany w zdumiewająco bogatych strojach jadły wcale suty posiłek. Ale one również nie sprawiały wrażenia radosnych... Lecz najsmutniejszy był chyba widok Intelakta z głową jak bania, który rozgrywał z komputerem partię heisenberga. Musiał nastawić maszynę na niski poziom, żeby w ogóle dać sobie jakąkolwiek szansę.

– *Hola, amigo.*

Kenmuir odwrócił się na dźwięk tego gardłowego trylu. Do jego stolika podeszła Egzotyczka, następny metamorf. Szczupła niczym łasica, może z wyjątkiem bioder i piersi, odziana w sznur paciorków i gładkie, płowe futro, uśmiechała się do niego wielkimi, żółtymi oczami i ostrymi zębami. Pióropusz ogona zakreślał łuk nad delikatnymi rysami twarzy i obfitą, czarną grzywą, spływającą uwodzicielskimi falami.

– Czujesz się samotny? – mruknęła. – Jestem Rnenna.

– Nie, dziękuję – odparł niezręcznie.

– Nie-e-e? Taki przystojniak nie powinien siedzieć bez towarzystwa. Na pewno nie zjawiles się tutaj bez jakiegoś celu.

– Cóż...

– Nie sądzę, żebyś wolał spotkanie z Pnapeją. W razie czego da się to załatwić, ale...

Nachyliła się nad nim. Mimo dymu poczuł zapach piżmowych perfum.

– Nie! Ja... ja na kogoś czekam.

– *Muy hien* – wyprostowała się – tak tylko pytałam.

– Przykro mi. – Co za gafa. – Powodzenia. Odplynęła. Dosłyszał fragment piosenki, którą nuciła:

Jeden taki poznał jedną, Trafił na nią w zbożu...

Po czym jej głos zginął w ogólnym gwarze, a postać w dymie.

Najgorsze, że naprawdę było mu przykro. Te nieszczęsne stworzenia, żywe skamieliny, ofiary dawno upadłych reżimów na skalę Tamerlana, Kaliguli, Czaki, Stalina, Zeyda – geny zmodyfikowane dla celów wojennych, naukowych, przemysłowych, dla przyjemności – nie wiadomo po co jeszcze żyły, płodząc kolejne pozbawione nadziei pokolenia.

Lunarianie też byli metamorfami.

Ale i Terranie po co właściwie istnieli, jeżeli sofotekty pod każdym względem ich przewyższały?

Oprócz człowieczeństwa.

Zastanawiał się, czy właśnie z powodu sprzecznych wzorów tak niewielu przedstawicieli jego gatunku serio próbuje zmienić swoje życie. Pod względem technicznym było to całkiem wykonalne. Każdy mógł korygować kształty ciała, płęć, temperament. Ale nikt nie odczuwał takiej potrzeby, stąd brakowało środków i każdy, kto pragnął zmian, musiał obywać się smakiem.

Czy ślepy instynkt przetrwania nakazywał zarówno ludziom, jak i metamorfom kurczowo trzymać się swojej tożsamości? Podobnie rzecz się miała ze społeczeństwami, które nigdy nie zmieniały się do takiego stopnia, do jakiego było to prawdopodobnie możliwe. Czy również warunkowało je dziedzictwo biologiczne, które swoimi korzeniami sięgało epoki przed pojawieniem się człowieka?

Kelner wyrwał go z zamyślenia, przynosząc piwo. Zapłacił i wychylił je duszkiem.

– *Buenas tardes*, kapitanie Kenmuir.

Uniósł wzrok. Serce zatrzepotało mu pod żebrami.

– Nazywam się Irenę Norton. – Kobieta mówiła melodyjnym młodzieńczym kontraltem.

Poza tym nie wyróżniała się niczym szczególnym: blada twarz, brązowe włosy do ramion. Była przeciętnego wzrostu, jej sylwetkę skrywały rozcięte poncho i szerokie legginsy. Taki ubiór nie

był niczym niezwykłym, ale po co miałyby silić się na oryginalność? Chciał wstać. Machnęła ręką.

– Mogę się przysiąc? – spytała. Usiadła, ruchy miała zgrabne.

– Napije się pani czegoś? – wyjąkał.

Przyjrzała mu się uważnie pozbawionymi wyrazu oczami.

– *No, gracias*. Jesteśmy tu, bo uznałam to miejsce za dogodne.

– Ściany nie mają uszu? – Co za kretyńskie pytanie. Potrząsnęła głową.

– Poza tym trochę znam miejscowych. Ale nie traćmy czasu. Żeby pogadać poważnie, będziemy musieli zmienić lokal, ale na razie... – Pochyliła się. Wyjęła ręce spod poncho i oparła je na stole. – Czy podczas tej ekspedycji zdarzyło ci się coś niezwykłego? – Niezauważalnie przeszła na „ty”.

– No, czy ja wiem. – Roześmiał się chrapliwie. – Sama sprawa jest już dość niezwykła.

– Chodzi mi o to, czy zauważyłeś coś sugerującego, że jesteś śledzony?

Wzdrygnął się, gdy pojął, kogo ma przed sobą. Powinien zorientować się już po gestach.

Ręce i nadgarstki były silne, kształtne i... ciemnozłote. Na twarzy miała żywą maskę.

Mogła przebrać się staranniej, bardziej uważać na ruchy, jakie wykonuje. A mówiła prawie tak niepewnie, jak on. Czyli nie była zawodowcem. Dwoje amatorów, być może równie zdezorientowanych i niespokojnych? Co ją do tego skłoniło?

Zmobilizowało go poczucie, że spoczywa na nich taki sam ciężar odpowiedzialności.

Zrozumiał, że niedawno był w dołku i właśnie dlatego miał wrażenie, że jest pionkiem – on, który z własnej inicjatywy wyprawił się w żuźlowy sztorm łodzią na ratunek pięciu ludziom pozostawionym samym sobie na jądrze komety.

– Sam nie wiem – odparł wolno – niech pomyślę. – I myślał na głos, wpatrując się w kufel albo z niego popijając. – Jeżeli podejrzewają i śledzą Lilisaire, sprawdzili, że oddzwoniła do

mnie z Luni. Wiadomo ci coś o tym? I wiedzieliby naturalnie, że odwiedzałem ją w zamku. Leciałem zwykłym wahadłowcem z Port Bowen do Kenyatty. Możliwe, że ktoś leciał ze mną albo uprzedził, żeby czekali na mnie i poszli moim tropem. Ale... nie jestem specjalistą w tych kwestiach. Jednak szczegółowo omówiłem z nią sposób postępowania. Gdy wynajmowałem w Kenyacie wolant, obciążyłem rachunek jej ziemskiego agenta. Zostawiłem go w znanej mi części Szkocji z instrukcjami, żeby nazajutrz wracał do portu macierzystego, a sam przeszedłem trzydzieści kilometrów przez niedostępny szkocki rezerwat, żeby dotrzeć do drugiego wolanta. Ten został załatwiony albo przez posłańca, albo za pomocą szyfrowanego kwantowo polecenia, nie znam szczegółów, ale wiem, że na pewno jest bezpieczny. Podczas podróży nie widziałem nikogo, a prognozowane zachmurzenie utrudniało obserwację satelitarną, nawet gdyby chciało im się ją zorganizować. Nad Jeziorem Górnym przesiadłem się jeszcze raz i poleciałem na wyspę Vancouver, gdzie zadzwoniłem do Domu Guthriego i umówiłem się na rozmowę z Rydbergiem. Stamtąd zatelefonowałem do San Francisco. Rydberg mówił, że linia jest bezpieczna, i sądzę, że założenie na niej podsłuchu wymagałoby zorganizowania specjalnej operacji. Dzisiaj, zgodnie z otrzymanymi poleceniami, przyleciałem tutaj.

Uniósł wzrok, uśmiechając się kpiąco:

– Zdaje mi się – powiedział – że gdyby chcieli przez cały ten czas mnie śledzić, powinni mnie od razu zatrzymać i przesłuchać. Prościej i taniej.

Maska zmarszczyła brwi. Jeszcze nie nauczyła się, jak jej używać.

– Mnie się zdaje, że są sprytniejsi. Agent Lilisaire przestrzegł mnie, że Strażniczce złożył osobiście wizytę pewien wysoko postawiony agent.

– Tak, mówiła...

Zniecierpliwiona, przerwała mu:

– Skup się i poszukaj w pamięci. Czy zdarzyło się coś, choćby najgłupszy drobiazg, czego

nie potrafisz wytłumaczyć?

Przebiegł go lekki dreszcz. Przemierzył w myślach swą trasę. Nic... nic... Chwileczkę.

– Chyba nie, ale... kiedy wylądowałem na Księżycu i wyszedł po mnie jej człowiek, nasz lot został opóźniony z powodu jakiegoś wypadku na orbicie.

– I co? – Skuliła się pod poncho.

– Nic. Skierowali nas do poczekalni pierwszej kasy i zafundowali po drinku. Potem nas puścili.

– Drink. I nie wspominałeś o tym Lilisaire?

– Nie pamiętam. Może tak, może nie. Mieliśmy tyle spraw do omówienia...

– Pele! – Zerwała się na równe nogi. – Idziemy!

– Co?

– *Awiiwi!* – Złapała go za rękę i pociągnęła. – Być może się mylę, ale obawiam się, że mam rację. Idziemy!

Usłuchał bezmyślnie. Lawirowali pomiędzy stołami, kierując się na zaplecze. Na drodze stanął im kelner. Norton wyrzuciła z siebie kilka słów w języku, którego Kenmuir nie znał.

Tamten sposepniał, odsunął się i machnął, żeby szli dalej.

– Na spotkanie wybrałam to miejsce, bo je znam – tłumaczyła Norton. – Wołałam spotkać się z tobą po zmroku, bo ciemności mogą nam pomóc. Jeśli się pospieszymy i dopisze nam szczęście, to może... Tędy.

Minęli drzwi na zawiasach i znaleźli się w jakimś magazynie. Przeszli przez jeszcze jedno takie drzwi i trafili na schody, które zanurzały się w mroku. Dotknęła kontaktu, rozbłysło nagle światło, pociągnęła za sobą Kenmuira i zamknęła drzwi. Zaczęli schodzić w dół.

Przecież nie jest żadnym przestępcą, oponował w duchu. Nie złamał prawa, nie ma powodów, by uciekać. To dlaczego to robi? Jeszcze rano rozmawiał przy śniadaniu

z Matthiasem. Mistrz loży przyznał wówczas niechętnie, że Lunarianie są być może największą szansą na to, by ludzkość dosięgła gwiazd i nie uzależniła się w stu procentach od inteligencji sofotektowych – jeżeli był to godny zachodu cel... Zdawało mu się, że od tamtej pory upłynęła cała wieczność, że działo się to w innej epoce, równie odległej co czasy pierwszego Rydberga.

MATKA KSIEŻYCA

Wracająca z Jowisza „Caroline Herschel” przelatywała tak blisko L-5, że obiekt ten był widoczny gołym okiem. Gigantyczny walec lśnił w przestrzeni kosmicznej jak wykwintny klejnot na poły pograżony w mroku, wymierzając swe szpiczaste końce w gwiazdy. Statki i maszyny uwijały się wokół niego niczym świetliki. Ziemia i Luna wyglądały stąd jak zalane słońcem sierpy, jeden duży, drugi mały, opalizujące i popielate.

– Szkoda, że nie lądujemy parę miesięcy później – stwierdziła Eva Jannicki. – Trafilibyśmy akurat na uroczyste otwarcie portu i napili się szampana.

Mimo że kolonia orbitalna była przedsięwzięciem azjatyckim, przede wszystkim japońskim, Ognista Kula w naturalny sposób zaangażowała się w niejako wspólnik i miała zdominować prowadzoną tu wymianę handlową.

– Nasi ludzie będą się zawsze gromadzić albo na Lunie, albo na Ziemi – zauważył Lars Rydberg. – Tam tkwią korzenie naszych tradycji.

– Ach, ty! – Niska, otyła kobieta obrzuciła wysokiego, kościstego mężczyznę wzrokiem pełnym komicznej rozpacz. Niebieskie oczy odwzajemniły spojrzenie, spoglądając spod krótko przyciętych blond włosów, znad szpiczastego nosa i masywnej szczęki. – To był żart. Miałam nadzieję, że się domyślisz.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy trzykrotnie widziałam, jak się uśmiechasz. Raz na własne uszy słyszałam śmiech. Myślałam, że moje starania zaczynają nareszcie przynosić skutki.

– Jak zwykle przesadzasz, moja droga. – Kąciki ust Rydberga uniosły się ze smutkiem. –

Chociaż jest w tym ziarno prawdy. Obawiam się, że my, Szwedzi, przypominamy Anglików ze starych podań. Jeśli ktoś chce uszczęśliwić nas na starość, powinien w młodości opowiedzieć nam jakąś zabawną historię.

– Ale jak się postarasz, to potrafisz. A w ogóle to sam mówiłeś, że twoi przodkowie nie byli Szwedami.

Przeniósł wzrok na iluminator, przez który widać było niebo. Jego głos stwardniał.

– To był błąd z mojej strony. Umówmy się, że nic takiego nie powiedziałem.

W ciszy, która teraz zapadła, tym głośniejsz rozlegał się szum wentylatorów. Dwuosobowa załoga „Herschel” dryfowała w stanie nieważkości, natomiast statek przemierzał trajektorię ku punktowi, w którym miały rozpocząć się końcowe manewry. W tym akurat momencie cykl wymiany powietrza spowodował powstanie dużej ilości ozonu; pachniało jak po burzy.

Jannicki dotknęła rękawa Rydberga.

– Przepraszam – szepnęła – nie chciałam cię urazić. Zwłaszcza w takiej chwili. – Znowu na nią popatrzył.

– Masz rację – przyznał. – To ja powinienem przeprosić, że tak na ciebie burknąłem.

Poruszyłaś czułą strunę, ale skąd miałaś o tym wiedzieć, to nie twoja wina.

– Faktycznie, nigdy zbyt wiele o sobie nie mówiłeś – przytaknęła. – A struny potrafią być napięte. – Piętnaście tygodni, w czasie których utrzymywali kondycję dzięki ćwiczeniom w centryfudze, czytali, oglądali nagrane programy, słuchali muzyki i oddawali się wszystkim innym rozrywkom możliwym w stanie nieważkości. – Jesteśmy tu potrzebni jak piąte koło u wozu...

– Nieprawda. Mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego, z czym statek nie dałby sobie rady.

A tymczasem... – Zapal, nauka, przygotowania. Zapasy i pomoc dla bazy Himalia. Udział w badaniach

i poszukiwaniach

złóż

na

księżycach

zewnątrznych,

uczestnictwo

w telekonferencjach,

podczas których ludzie kierowali robotami brnącymi przez

promieniotwórczy deszcz w stronę samej królewskiej planety. Świadomość, że te odległe

i nieznanne obszary wymagały obecności ludzi, którzy być może kiedyś znajdą, rozumieją

i wykorzystają zdumiewające cuda, które ich otaczały. Rydberg podjął w zadumie: – Jeszcze raz

przepraszam. Nie kontroluję własnych wspomnień. Mam taki nałóg, że powtarzam komunały.

– Wybaczam – uśmiechnęła się.

– Serio?

– Musiało mi to wejść w krew.

– Cud, że jeszcze nie poderżnęłaś mi gardła.

– Ja też nie jestem doskonała. Nigdy nie kusiło cię, żeby targnąć się na moje życie?

– Ależ skąd. Poza okropnym widokiem i prawnymi konsekwencjami byłaby to strata dla ludzkości.

– W pełni się z tobą zgadzam. – Urwała. Gdzieś ulotniła się wesołość. – Kiedy powstanie nowa generacja statków, kiedy podróże będą trwać kilka cykli dziennych przy jednym g...

– I automaty będą tak zaawansowane, że wystarczy jedna osoba... Tak – westchnął. – Mnie też będzie brakować długich ekspedycji. Ale nim to nastąpi, być może odejdziemy już na emeryturę i będziemy żyć wspomnieniami.

– Tak, tak, wspomnieniami.

– O tak.

Zamrugła rzęsami. Dostała lekkiej chrypki.

– Bo widzisz, możemy powiększyć ich zasób. Zostało jeszcze kilka godzin do chwili, gdy będziemy musieli zasiać przy sterach.

– Teraz ty powtarzasz komunały. – Uśmiechnął się. Odbili się od dziobu i poszybowali ku rufie.

Gdy po chwili odpoczywali, przypięci do łóżek, objęci i otuleni swoim ciepłem, kobieta stwierdziła:

– Tak, psychologowie dobrze nas dobrali.

– Spodziewam się, że jeszcze nieraz połączą nas w jeden zespół – odparł w charakterystyczny dla siebie uroczysty sposób.

– Ja też. Co do urlopu... Nie mówiłeś mi, jak planujesz go spędzić, oprócz wizyty... u rodziców... na Ziemi.

Wbijał wzrok w metal.

– Nie wiem. To zależy.

– Ja też nie jestem jeszcze pewna. Wszyscy moi znajomi związani są z Ognistą Kulą. Będę się z nimi spotykać, zawierać nowe znajomości... dla urozmaicenia... – W jej głosie zabrzmiała tęsknota. – Ale potem... umówimy się?

– Nie wiem – powtórzył.

„Herschel”, pasująca rozmiarami raczej do Luny niż do Ziemi odczekała trochę na orbicie postojowej, po czym zaczęła podchodzić do lądowania w Port Bowen. Jako że manewr poprzedziły rozmowy radiowe, a krótka inspekcja rozstrzygnęła, iż wszystko jest najwyraźniej w porządku, załoga nie musiała spędzać zbyt dużo czasu w biurach. Zgodnie ze zwyczajem jej członkowie otrzymali osobne pokoje w hotelu Aldrin – samotności, ile tylko dusza zapragnie! – ale Eva poczuła się urażona, gdy mężczyzna nie przyjął zaproszenia, by od razu wpaść do Baku Paliwa. Nawet nie zauważył jej reakcji.

– Może potem do ciebie dołączę – mruknął i oddalił się do swojej kwatery.

Gdy został sam, zamówił rozmowę z Genewą. W Europie był dzień pracy, toteż uzyskał żądane połączenie.

– Chwileczkę – poprosił i wypłacił z konta należność za szyfrowanie kwantowe. – Więc czego się pan dowiedział?

Gdy detektyw zdał mu relację, długo i cicho gwizdnął, posiedział chwilę w milczeniu, wreszcie rozkazał:

– Niech to pozostanie wyłącznie między nami. Po przerwie na przekaz nadeszła sucha odpowiedź:

– Zatrudniając nas, znał pan reputację naszej agencji.

– Naturalnie. – Nie tylko pracownicy Ognistej Kuli byli przewrażliwieni na punkcie organizacji, do których należeli. – Bez urazy. Spisał się pan bez zarzutu. Proszę zaszyfrować materiały, dopóki nie zjawię się na Ziemi i będę miał czas dokładnie się z nimi zapoznać. – Co raczej nie wniesie niczego nowego. – A potem je zapewne zniszczymy i zapomnimy o sprawie. Rozłączywszy się, Rydberg zerwał się na równe nogi i zaczął przemierzać pokój nie krokami lunariańskimi, lecz krótkimi i szarpanymi, jakby w ten sposób chciał powiększyć pomieszczenie. Po pewnym czasie spojrzął na zegarek i zaklął. Był późny wieczór. Z wyjątkiem policji i tym podobnych instytucji administracja już nie pracowała. Raczej nie powinien chyba dzwonić do domu Beynaców.

Tak, tak będzie najlepiej. Telefon wyszukał żądany numer biurowy i nawiązał łączność.

Odebrał asystor, co nie było najszcześniejszym zbiegiem okoliczności. Możliwe, że program urządzenia nie był na tyle elastyczny, by umożliwić wysłuchanie prośby i podjęcie decyzji.

Jednak nie zawiódł. Automat oznajmił, że pani burmistrz przyjmie go jutro o godzinie 1 .30.

Przeskanował nawet bazę danych transportowych i poradził, jak najwygodniej dotrzeć na

miejsce.

Rydberg orientował się już, że pani burmistrz hołdowała dość swobodnym metodom pracy i że nie poświęci mu wiele czasu, jeśli uzna sprawę za niewartą jej uwagi.

Ale jeżeli sprawa okaże się ważna – a chyba powinna – wypadki mogą potoczyć się zupełnie inaczej.

Na razie musiał spełnić jeszcze jeden obowiązek. To powinno zająć myśli i ukoić skołataną serce. Zastał Stena i Linneę Rydbergów w ich sztokholmskim domu. Staruszkowie pytali, kiedy wróci i cierpliwie czekali. Na widok ich radości poczuł pieczenie w oczach. Z trudem wykrztusił słowa:

– *Nej, ack, jag vet ej* (przykro mi, ale nie wiem, kiedy wrócę). Najpierw muszę zająć się tu jedną sprawą. Jak tylko ją załatwię, zaraz do was przyjadę, obiecuję. – Mówił serio, choć nie bardzo wiedział, kiedy nastąpi to „zaraz”.

Hotelowy pokój zamienił się w klatkę. Przyszedł mu do głowy pub. Evie Jannicki zgotowano tam hałaśliwe przyjęcie. Ale czy jego to interesowało? Nie. Zazwyczaj wśród towarzyszy czuł się dobrze, ale dzisiaj byłaby to radość wymuszona, wspomagana alkoholem, marihuaną albo levitanem. Po młodzieńczych eksperymentach pozostała niechęć do tego typu środków.

Wybrał więc publiczną salę gimnastyczną. Na boisku do piłki sprężynowej był sam, co bardzo mu odpowiadało. Rozegrał z robotem mecz, po którym poczuł przyjemne zmęczenie. Po prysznicu i lekkiej kolacji w kafeterii spało mu się lepiej niż oczekiwał.

O świcie wsiadł do monotoru do Tychopolis. Był to nowy środek lokomocji; Rydbergowi podobała się jazda mimo budzącego się na nowo zdenerwowania. Pojazd był nie tylko szybszy od półpociągu, ale wygodniejszy i bardziej przestronny, a przez iluminatory roztaczały się fantastyczne widoki. Za dnia, kiedy Ziemia zmniejszała się do rozmiarów sierpa, a gwiazdy znikwały z pola widzenia, niebo nie przykuwało wzroku na całe godziny; wrażenia nie dało się

porównać z tym, co widział w okolicach Marsa, Jowisza czy Saturna, mimo to ciągle powracał spojrzeniem w górę. Na satelitach, na których bywał ostatnimi czasy, nie było mowy o autentycznym krajobrazie. Były zbyt małe; ich kamieniste pejzaże przytłaczały. Tutaj przyglądał się równinom i wzgórzom, patrzył na tarcze kolektorów energii wznoszące się niczym pomniki triumfu.

Jeden ze współpasażerów nawiązał z nim rozmowę. Był turystą, ale człowiekiem inteligentnym, inżynierem ekologicznym, który przybył tu prosto z rejonu na południe od Grenlandii, gdzie uczestniczył w eksperymencie rolniczym. Martwił się kłopotami na Bliskim Wschodzie i w Afryce i wyrażał nadzieję, że nie doprowadzą do wybuchu wojny, ale przede wszystkim rozpierało go oburzenie. Cholerni fanatycy, opóźniający odzyskanie terenów wielkości półtora kontynentu.

– Czy w okolicach Jowisza docierały do was wiadomości? – spytał.

– Czasami. Gdy tylko zbliżał się moment transmisji, a my byliśmy na miejscu, wszyscy gromadzili się wokół ekranu pewnie zawsze tak się dzieje. Na Ziemi zostali nasi krewni i przyjaciele. Ale przeważnie byliśmy czymś zajęci. Wydarzenia wydawały nam się takie odległe, niezbyt realne. Było nam wstyd z tego powodu.

– Niepotrzebnie. Sam zostałąm kosmonautą, gdyby w młodości nadarzyła się okazja. Tu czeka nas przyszłość.

Rydberg zastanawiał się, jaka część ludzkości osiedli się poza Ziemią. Jakie to będzie miało znaczenie oprócz korzyści naukowych i przemysłowych?

W Tychopolis spokojnie zdążył znaleźć kwaterę i zjeść obiad. Nie dopisywał mu jednak apetyt. Wędrował po mieście. Wszędzie widać było oznaki gwałtownego rozwoju. Następował on nie tylko w wyniku działań rządu albo Ognistej Kuli. Przy prospekcje Ciołkowskiego biegły trzy arkady z siedzibami firm. Monitor na jednych drzwiach zapowiadał przedstawienie *Króla*

Leara na żywo. Wzniesiono budynek dla baletu. Mieszkania odnawiano, by dogodzić gustom lokatorów, często utytułowanych osobistości. Jeszcze gdzie indziej znalazły się miejsca kultu, chrześcijańskie, żydowskie, muzułmańskie, buddyjskie, hinduskie, religii Szinto i Gai. Bambusowy gaj Kaifungfu napełniały odgłosy muzyki i zabawy, towarzyszące piknikowi Cinco de Mayo.

W tłumie kręcili się Lunarianie, nowa generacja, nastolatki lub młodzieńcy, urodziwi i zgrabni.

Zbliżała się umówiona godzina. Rydberg wszedł do ratusza.

Trzy czy cztery pokoje wynajęte w kompleksie Ognistej Kuli raczej nie zasługiwały na tę nazwę. Władze miejskie odgrywały rolę wyznaczoną im przez połączone narody, polegającą głównie na nadzorowaniu usług. Uśmiechnął się na tę myśl. Ta dziedzina miała przecież największe znaczenie dla mieszkańców Księżyca.

Ludzi pracowało tu niewiele. Obowiązki wypełniali bez urzędniczej pozy. Asystor w biurze burmistrza prześwietlił Rydberga, zażądał imienia i nazwiska, po czym przepuścił go do środka.

W następnym pomieszczeniu nie było zbyt wielu sprzętów. Na dużym biurku stał telefon, komputer i kilka rzeczy osobistych – zdjęcie, bryłka ciemnoniebieskiego minerału, wypełniony zapiskami i bazgrołami notes. Z głośnika dobywała się cicha muzyka; Rydberg poznał *Wiosną w Appalachach*.

Kobieta za biurkiem spokojnie patrzyła mu w oczy. Widywał ją w wiadomościach, gazetach i książkach. Miała w sobie siłę, której się spodziewał, ale jednocześnie równowagę ducha, spokojną czujność, która nie wiadomo czemu spowalniała nerwowe bicie serca.

Dagny Beynac była już po czterdziestce i odrobinę przytyła. Szeroka twarz z krzywym nosem i wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi zachowała jasną cerę, przy niebieskich oczach i pełnych ustach pojawiły się niewielkie bruzdy. Białe pasemka tylko podkreślały

rudobrazowy odcień włosów. Miała na sobie prostą, szarą tunikę i legginsy, pod szyją wpięła srebrną broszkę z opalem.

– Pilot Rydberg? – mówiła ciszej niż podczas wystąpień publicznych, bardziej chrapliwie. –

Salud. Czym mogę służyć?

Odruchowo stanął na baczność.

– Nie wiem. Uniosły się rude brwi.

– Co to ma znaczyć?

Zdumiał go obojętny ton własnego głosu.

– Jestem pani synem, *madame*.

Winda do centryfugi służyła niepełnosprawnym i leniwym. Oni korzystali ze schodów, które oplatały szyb windy. Napotykanii ludzie przeważnie ją znali i pozdrawiali. Odwzajemniała się uśmiechem, gestem ręki, jakimś słowem, ale nie zatrzymywała się. Rydberg nie miał pojęcia, jak ona to robi. Jemu zasoby życzliwości wyczerpały się po stu metrach.

Kształtem i wielkością maszyna różniła się od urządzeń spotykanych na pokładach statków lub na powierzchni ciał niebieskich o niewielkiej grawitacji tak samo, jak Luna różniła się od tamtych miejsc. U dołu wchodziło się na wąski pas, potem następował cały ich szereg, z których każdy obracał się szybciej niż poprzedni. Do łagodzenia efektów przyspieszenia służyły poduszki, ale w miarę sprawne fizycznie i obeznane z maszyną osoby ich nie potrzebowały.

Jednak gdy dotarło się do koła pierwotnego, trzeba było przedostać się na okalającą go kładkę – i wtedy najlepiej było złapać za poręcz z prawej albo lewej strony.

Wielkie koło ciągle i bezszelestnie się obracało, lśniące i majestatyczne, a nad nim rozciągał się monitor z symulacją ziemskiego nieba, białych obłoków na tle błękitu, przelatujących ptaków.

Przy takiej masie precyzyjne wyważenie nie było konieczne. W miarę jak człowiek przemieszczał się ku obwodowi zewnętrznemu, zmieniała się siła i kierunek masy odśrodkowej.

Zakreślająca spiralę kładka nieco się przechylała, dzięki temu nie usuwała się spod nóg, aż w końcu docierało się do kołnierza i uzyskiwało ziemską masę. Machina była ustawiona niemal pionowo do horyzontu Luny i wyposażona w szeroką drogę, pokrytą giętym duramchem. Ludzie tłoczyli się na pasie spacerowym, w większym porządku przemierzali pas do biegania, w rozmieszczonych regularnie niszach uprawiali aerobik albo podnoszenie ciężarów. Naprzeciw kładki wokół kręgu umieszczono przedziały. Ze środka można było zobaczyć nieprzerwaną linię dachu, stąd widziało się liczne drzwi. Otwarte koło było dostępne dla wszystkich o dowolnej porze, ale przedziały trzeba było rezerwować i za nie płacić.

– Często przyprowadzam ludzi do kabin w wirówce na prywatne rozmowy – mówiła Dagny Beynac. – Oprócz tego, że nikt nam tu nie przeszkadza, można przy okazji zaznać nieco ziemskiej grawitacji. – Roześmiała się. – A gdy zobaczą dzisiaj, jak zamykam się z przystojnym, młodym mężczyzną, to ho, ho – *etwieuse soit qui mai y pense*.

Ale z początku przez mgnienie oka była bardziej wstrząśnięta od niego. Jemu chyba nie udałooby się tak szybko opanować emocji ani przybrać takiej wesołej miny. Jego bronią była bierność.

Chcąc powiększyć przyciąganie, ludzie chodzili w kółko, toteż Dagny Beynac i Lars Rydberg lawirowali wśród tłumu, aż wreszcie dotarli do wyznaczonego numeru dziewiętnaście.

Weszli i zamknęli za sobą drzwi. W klimatyzowanym i oświetlonym wnętrzu zmieściła się wersalka, toaleta i umywalka za przepierzeniem oraz kawałek nakrytej dywanem podłogi.

Beynac rzuciła się Rydbergowi na szyję i kurczowo go objęła. Czuł, jak drży.

– O mój Boże, Boże – wyjąkała. – To ty. W najśmielszych snach nie...

Przytulił ją. Zdał sobie nagle sprawę, po co go tutaj przyprowadziła, i to zaraz po oznajmieniu nowiny. Wtedy nie mógł tego pojąć. Czyżby chciała go o wszystko wypytać, przyprzeć do muru, dowieść, że jest oszustem i wyciągnąć, czego od niej chce? Tymczasem

przez bluzę czuł jej łzy.

– Matko – szepnął strwożony. I po chwili dodał: – Czy coś źle zrobiłem? Może robię ci krzywdę, jak duch, który nie powinien wstawać z grobu. Wybacz mi, proszę. Wyjadę stąd i już nigdy przed nikim się nie zdradzę.

– Nie, proszę, nie. Lars... – Odstąpiła o krok, objęła go spojrzeniem i uśmiechnęła się, cały czas w jego ramionach. Wargi jej drżały, na rzęsach i policzkach błyszczały łzy, ale przestała płakać i już równiej oddychała.

– Lars – szepnęła. – Jakie ładne męskie imię. Cieszę się, że ci je dali.

– Przybrani rodzice zawsze byli dla mnie dobrzy.

– Wiedziałam. Wybierał ich Anson Guthrie. Nigdy jednak nie zdradził mi ich nazwisk, ale ufałam, że wiedzieli, co robią, on i jego żona.

– Wiedzieli. Przed tobą było całe życie. Ciągle zadaję sobie pytanie, czy słusznie postąpiłem, że cię odszukałem. I ciągle nie wiem.

– Słusznie. Jestem taka szczęśliwa. Wielokrotnie myślałam, żeby cię odnaleźć, ale obawiałam się, że mogę ci tym wyrządzić krzywdę. Teraz rozwiązałeś mój dylemat. Dziękuję, najdroższy.

Puściła go, przesunęła dłonią po swojej twarzy i głośno westchnęła.

– O kurczę! Na pewno wyglądam jak monstrum. Chwileczkę.

Zniknęła za przepierzeniem w części sanitarnej. Stał, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia.

Wyszła uładzona, opanowana, promieniejąca.

– Hej, nie bądź taki poważny – zbeształa go z szerokim uśmiechem. – Siadaj, porozmawiamy. Mamy do omówienia – ile to już będzie? – dwadzieścia sześć lat.

– Dzisiaj raczej nie starczy nam czasu. Przechyliła rudą głowę i popatrzyła na niego z ukosa.

– Dobra, okres ochów i achów uznaję za zamknięty, teraz przejdźmy do rzeczy. *Mon Dieu*, ależ ty jesteś poważny!

Usadowiła się na prawym krańcu wersalki. Rydberg przypuszczał, że znajdzie u niej zrozumienie dla swej nieśmiałości i usiadł na przeciwległym końcu, pozostawiając około metra wolnej przestrzeni. Przekręciła się, wsuwając łydkę pod kolano, a rękę zakładając tak, żeby móc patrzeć mu prosto w twarz. On trzymał obydwie nogi na podłodze, podparł brodę, żeby jej się przyjrzeć.

– Masz nade mną przewagę – zagaiła. – Wiem, jak się nazywasz, że jesteś pilotem pierwszej klasy w Ognistej Kuli i moim pierworodnym. Koniec, kropka.

– Wiesz to z moich ust – odparł. – Powinienem tego dowieść. Nie mam przy sobie żadnych dokumentów, ale będziesz mogła wywnioskować wszystko z historii mojego życia.

– Nie ma co robić sobie tylu kłopotów. Starczy, że zapytam wujka Ansona. – Uważnie przyjrzała się Rydbergowi. – Hmm, ale widzę, że bardzo zależy ci na uwiarygodnieniu swojej pozycji. Typ metodyczny. W porządku. Jak mnie znalazłeś?

Relacja przynosiła rosnące uspokojenie.

– Moi przybrani rodzice są Szwedami. Oj... ojciec był inżynierem, matka nauczycielką, potem poszli na emeryturę. Gdy mnie adoptowali, byli bezdzietnym małżeństwem w średnim wieku. Wcale tego nie ukrywali, mówili, że wzięli mnie z pewnej agencji, która nie ujawniła moich rodziców biologicznych, gdyż uznano to za najrozsądniejsze wyjście. Potem dowiedziałem się, że mówili prawdę, nie wspomnieli tylko o udziale w całej sprawie Ansona Guthriego. Możliwe, że przekupił jakiegoś pracownika agencji.

– To do niego podobne. – Beynac zachichotała. – Nie zdziwiłabym się, gdyby skorzystał też ze znajomości w rządzie. Ale mów dalej.

– Myślę, iż mama i tata coś podejrzewali, ale nie mieli pewności i woleli nie rozpytywać.

Ojciec pracował w firmie, która kilkakrotnie współpracowała na Ziemi z Ognistą Kulą, na przykład przy rozbudowie kosmodromu australijskiego, i nawet poznał osobiście Guthriea. Guthrie złożył nam potem kilka krótkich wizyt. Tak się akurat składało, że bawił wtedy w Szwecji. Przynajmniej tak twierdził. Po pewnym czasie zaczęło mnie to zastanawiać. Dlaczego on, człowiek światowy, rozrywany towarzysko, pamięta o kimś takim jak my? Wiedziałem, że nie jest snobem, że ma znajomych z różnych sfer, lecz te sporadyczne odwiedziny nie należały do tego rodzaju kontaktów. A... kiedy złożyłem podanie w Ognistej Kuli, przyjęto mnie na praktyki, mimo że setki kandydatów, których odrzucono, miały co najmniej takie same jak ja kwalifikacje. Dlatego gdy postanowiłem odszukać prawdziwych rodziców – nie mówiąc o tym mamie i tacie, by ich nie zranić – *jo*, natychmiast przyszło mi do głowy, żeby zacząć od Guthriea. Zleciłem to zadanie agencji detektywistycznej, ale nie było zbyt trudne. Kłopoty były przede wszystkim wynikiem chaosu panującego w Ameryce Północnej, dokąd prowadził trop. W przypadku osób publicznych formatu Guthriea ich obecność w danym miejscu natychmiast wywołuje sensację. Zapomniane informacje przechowywane są potem przez całe lata w dziennikarskich bazach danych, bo nie ma powodu, żeby je usuwać. Znałem swoją datę urodzin, gdyż adoptowano mnie natychmiast, więc dzień urodzin, który obchodziliśmy, musiał być mniej więcej prawdziwy. A ponieważ niemal na pewno byłem dzieckiem z nieprawego łoża... wybaczone, mamie...

– Nie ma sprawy. – Dagny poklepała Rydberga po ręce.

– Ehem! Zadałem sobie pytanie, gdzie był Guthrie i co porabiał przez dziewięć poprzedzających tę datę miesięcy? Okazało się, że sześć miesięcy przed interesującym mnie dniem w lokalnych wiadomościach nadawanych w nadmorskiej miejscowości nad północnym Pacyfikiem donoszono, że miasto znów zaszczylił swą obecnością państwo Guthrie, odwiedzając znajomych, państwa Ebbesenów. Na miejscu detektyw wypytał różnych ludzi, przetrząsnął bazy danych i dowiedział się, iż w tym okresie panna Dagny Ebbesen przeniosła się

do Quito w Ekwadorze, gdzie pod pieczę państwa Guthrie miała rozpocząć naukę w tamtejszej szkole Ognistej Kuli, a następnie podjąć pracę w firmie. W Ekwadorze nie istnieją żadne dokumenty odnoszące się do urodzenia przez nią dziecka, ale nie byłoby trudno ukryć ten fakt, zaś śledztwo wykazało, że do tamtej szkoły zapisała się dopiero kilka miesięcy po wyjeździe z Aberdeen. Prawdopodobieństwo było duże, a przebieg twojej kariery powszechnie znany. Nie da się zaprzeczyć, że jesteś sławna; już dawno o tobie słyszałem.

Suchy, pospieszny wywód raptownie się urwał. Rydberg odwrócił się od niej i wbił wzrok w ścianę.

– Zdziwiłeś się? – zapytała łagodnie.

– Myślałem sobie, że skoro matka była protegowaną Guthrich... to na pewno nie żyła w biedzie. Poza tym nic o niej nie wiedziałem.

– Liczne dzieci marzą o prawdziwych rodzicach, wspanialszych i ważniejszych niż ci, których znają. Obawiam się, że nie spełniam takich oczekiwań.

Błyskawicznie przekręcił głowę w jej stronę. Prawą rękę zacisnął na swoim udzie, lewą chwycił kurczowo brzeg wersalki.

– Niczego od ciebie nie chcę! – zawołał. – Nie potrzebuję! Nic mi nie brakuje!

– Spokojnie, kochany – powiedziała cicho, unosząc dłoń. – Nie to miałam na myśli. Jeśli jesteś pilotem, na pewno sowicie cię wynagradzają, poza tym wartość twoich udziałów w firmie rośnie w zawrotnym tempie. Nie wyobrażałam sobie też, żebyś przyszedł prosić o przywileje lub specjalne traktowanie. Mojej intuicji można zaufać.

– Przepraszam – szepnął skruszony. – Nie panuję nad językiem. Wybaczysz mi?

– Nie ma o czym mówić. Cały drżysz. Ja pewnie też? Chciałam ci tylko dać do zrozumienia, że nie jestem nikim szczególnym. Dziś żona i matka, kiedyś byłam inżynierem. Zwrócono się do mnie z prośbą o zajęcie się sprawami administracyjnymi. Stopniowo administracja wyparła

z mojego życia technikę. Przez to zaangażowałam się w politykę, bo ktoś musiał występować w imieniu zwykłych mieszkańców, narzucać się stowarzyszonym rządóm, żeby podatki i przepisy pozostawały w jakimkolwiek związku z rzeczywistością. I teraz za wszystkie swoje grzechy odsiaduję tu wyrok na stołku burmistrza i obawiam się, że czeka mnie jeszcze parę kadencji, zanim przyłapię następcę, który nie zdąży mi czmychnąć. To wszystko.

– To... dużo... chyba.

– Ty z pewnością prowadziłeś o wiele ciekawsze życie.

– Wątpię.

– Opowiadaj.

– Nie jestem człowiekiem interesującym – zapierał się.

– Wolałabym osądzić sama. – Dagny Beynac zmieniła pozycję, oparła się wygodniej i założyła nogę na nogę w pozie zachęcającej do swobodnej rozmowy.

Z każdą chwilą mówił coraz śmieiej.

– Podstawowe fakty już znasz. Młodość spędziłem w Szwecji. Dużo podróżowaliśmy po całej Ziemi, aleja zawsze pozostawałem... pod urokiem gwiazd. Chciałem się stamtąd wyrwać, jak mawiają Amerykanie, i w wieku osiemnastu lat znalazłem się w akademii Ognistej Kuli.

Nadawałem się do zawodu pilota i udało mi się nim zostać. Odbywam misje zarówno regularne, jak i badawcze, ostatnio wróciłem z okolic Jowisza.

– I mówisz, że to nudne? Dobre sobie! Co porabiasz na Ziemi? Jesteś żonaty? Tęsknię za wnukami.

– Nie – odparł zachrypłym głosem. – Miałem żonę, ale to już przeszłość.

Przybrała ton, jak gdyby chciała pogłaskać go po głowie.

– Nie miałam zamiaru się wtrącać. Nie chciałabym rozmawiać o sprawach, które wolałbyś zostawić w spokoju. Obiecuję. – Po chwili dodała: – Pilotom strasznie trudno stworzyć udane

rodziny. Wszyscy to wiedzą. To na pewno była odważna i kochana dziewczyna.

– Zasługiwała na lepszy los. Mam nadzieję, że się jej przytrafił.

– Przestań dręczyć się tymi wiecznymi wyrzutami sumienia. Ale wróćmy jeszcze... naprawdę nie chcę się wtrącać... mówiłeś, że żyłeś pod urokiem gwiazd, jednak na pewno starczyło ci oleju w głowie, żeby zdawać sobie sprawę, iż kosmos niesie z sobą nie tylko wspaniałe przygody, ale i niebezpieczeństwa, ofiary i nieszczęścia; a z twojego opisu wynika, że na Ziemi pędziłeś życie przyjemne i bynajmniej nie nudne. Mogłeś wybrać zawód, który szybko przyniósłby ci tyle pieniędzy, byś mógł poznać smak kosmosu jako turysta. To znaczy turysta, który najpierw dużo się uczy, żeby przeżyć coś autentycznego. A ty mówisz, że chciałeś się wyrwać. Dlaczego? Coś ci nie pasowało?

– Czuję, że jest mi ciasno, że ograniczają mnie warunki.

– Serio? Pamiętam, jak Anson Guthrie mówił kiedyś, że Szwecja jest, jak to określił, krajem niańczonym, ale teraz wszystko się zmieniło i ludzie stamtąd mają wolności więcej niż mieszkańcy większości innych państw, włączając w to Amerykę Północną. Na pewno właśnie dlatego tam cię ulokował.

– To prawda. Ale na całej Ziemi – w każdym regionie zdającym do życia – człowiek odnosi wrażenie, że wszystko jest z góry ustalone, że wszystko, co ważne, zostało już zrobione, zaś prawdziwy postęp może być szkodliwy. Ten, jak to się nazywa, neoromantyczny ruch dążący do przywrócenia tradycji, które przez całe stulecia były opiewane w księgach, a być może w ogóle nie istniały, budzi we mnie mdłości. W kosmosie nikt nie boi się rzeczy nowych i wielkich. Ludzie mają tam swoje obyczaje, autentyczne tradycje, które się rozwijają, służą jakimś celom, są żywe.

– Domyślam się, że nie było to takie proste – Beynac kiwnęła głową – że nigdy do końca nie rozumiałeś swojej motywacji i pewnie nigdy jej już nie pojmiesz; ale wiem, o co ci chodzi. – Iz

uśmiechem dodała: – Widzę też, że nie jesteś nudziarzem. Założę się, że twoi nastoletni koledzy uznawali cię za nieznośnego nonkonformistę o sztywnym karku. Po chwili ciszy podjęła, ostrożnie ważąc słowa:

– Ale muszę zapytać, dlaczego mnie odszukałeś. Bo chyba nie z czystej ciekawości?

– Nie. Chciałem odnaleźć swoje korzenie. Czułem się zagubiony. Tak, lubię moich przybranych rodziców, ale bardzo się od nich oddaliłem.

– Wiem, co muszą czuć – zauważyła szeptem. On postanowił zmienić temat.

– Teraz prawdziwą rodziną jest dla mnie, tak samo jak dla wielu moich kolegów, Ognista Kula. Może wynika to z faktu, że jeszcze nie do końca wyrosłem z samotniczej młodości, ale ciągle czułem w sobie tę dziwną pustkę. Była bezsensowna, lecz nie potrafiłem jej wypełnić. W końcu przyszło mi do głowy, że jeśli dowiem się, kim są moi prawdziwi rodzice, skąd się wzięłem, ta świadomość mnie uleczy. Ale nie chciałem cię niepokoić. Samo to, że wiem, kim jesteś, że się z tobą widzę, jest cudem.

– Nie musisz odchodzić, Lars – zapewniła go Dagny. – Nie dopuszczę do tego, o ile będzie to w mojej mocy. – Po chwili podjęła: – Wygląda na to, że nie dowiedziałeś się, kto jest twoim biologicznym ojcem. Nazywał się William Thurshaw. To była letnia miłość, dzika, romantyczna i całkowicie nierealna. Sprzeciwiałam się aborcji, uratowaliśmy cię, jak wiesz, razem z państwem Guthrie. A wszystko dlatego, że... nie, może kiedyś ci powiem. Bili był zdolnym chłopcem. Chyba przede wszystkim to mnie do niego przyciągnęło. Na dodatek był rycerski i troskliwy, taki też pozostał jako mężczyzna. Potem już się ze sobą nie kontaktowaliśmy, ale Guthrie mi o nim opowiadał. Dostrzegam w tobie wiele jego cech. I fizycznych, i duchowych. – Jej głos stwardniał.

– Z pewnością mógł podjąć pracę w Ognistej Kuli, tak jak my dwoje, ale obrał inną drogę.

Dwa lata temu Guthrie powiadomił mnie o jego śmierci. Na pewno wiesz, że Odnowa nabiera

coraz bardziej żarliwego i obłądnego charakteru, w miarę jak żyjący pod jej butem kraj się rozpada. Bili zbyt otwarcie opowiadał się za wolnością. Został zabity, „gdy stawiał opór”, jak twierdzi policja.

– Przykro mi. – Rydberg zdobył się tylko na tyle.

– Dla mnie był dawno minionym snem. – Głos Dagny Beynac złagodniał. – Trochę sobie popłakałam. Mąż mnie przytulił i sprawił, że na nowo pogodziłam się ze światem. Jestem bardzo szczęśliwa w małżeństwie, Lars. Ale z ojca możesz być dumny.

Ujęła dłoń Rydberga. Siedzieli tak przez chwilę.

– Cieszę się z twojego szczęścia – odezwał się wreszcie. – Nie mogę go naruszać. Odejdę.

To, co stało się dzisiaj, zupełnie wystarczy.

– Nie! – krzyknęła. – Do jasnej cholery, nigdy w życiu! Zostań!

– Ale twój mąż, dzieci...

– Proszę cię. – Odzyskała panowanie nad sobą. – Nie mogę tak po prostu pozwolić ci zginąć z powrotem w tłumie i o wszystkim zapomnieć. Rzecz jasna nie mam do ciebie żadnego prawa.

Ale może byśmy się lepiej poznali, co?

– U ciebie w domu? Czułbym się jak intruz.

– Nie mów. – Głos jej lekko zadrżał. – Edmond będzie się z początku czuł trochę nieswojo, ale nie aż tak bardzo, i szybko dojdzie do siebie. Bo widzisz, to w każdym calu prawdziwy mężczyzna. Dzieci sprawa zainteresuje, ale ani zbyt mocno, ani na długo; jak kota po pojawieniu się gościa. Nie bardziej. Lars, kocham je z całego serca, ale jesteś jedynym moim potomkiem, który jest w pełni człowiekiem.

Błękitne jezioro ciągnęło się ku zachodowi niczym morze ginące gdzieś za horyzontem.

Wisiały nad nim ostatnie strzępy porannej mgły. Nad kilkoma wysepkami unosił się blednący Księżyc. Na wschodzie wyraźnie rysował się brzeg, a słońce wypełniało zielone wyżyny cieniami. U ujścia zatoki leżało białe miasto Musoma. Górą przeleciały trzy pelikany i czapla. Powietrze stało ciche i nieruchome, nasycone zapachem ryb, który miał nasilać się z upływem dnia.

Od brzegu oddaliła się jakaś łódka. Siedziało w niej dwóch mężczyzn, zwróconych do siebie twarzami. W rękach trzymali wędki.

– Śliczny poranek – zagaił rozmowę Charles Jomo.

– To prawda – przytaknął Venator. Jego ciało odczuwało urodę dnia tak samo, jak organizm człowieka. Mimo to w głębi duszy budził się myśliwy. – Jest szansa, że coś przegryziemy?

Mówili w języku anglo. Jomo chciał ćwiczyć. Venator nie przyznał się, że zna któryś z używanych w okolicy języków. Swoje umiejętności lepiej trzymać w odwodzie, a zaskoczenie to potężna broń.

– Tak, tak – odparł Jomo. – Ryby w tych wodach zachowują się inaczej niż na płyciznach. Są stworzone dla sportowców. Obiecuję, że czeka nas jeszcze dużo niespodzianek. Tymczasem trzeba trochę cierpliwości. Przed nami w końcu cały dzień.

Był siwowłosym mężczyzną o bardzo śniadej cerze i wydatnym brzuszku. Tak jak towarzysz, nosił jedynie tunikę. Nie mieli powodów, by obawiać się porażenia słonecznego.

– To bardzo miło z pana strony, że tak się pan stara dla kogoś obcego. – Venator powtórzył uprzejmą uwagę, która padła już z jego ust. Gdyby tamten wiedział, jak bardzo są sobie obcy! – pomyślał sardonicznie.

– Zawodowy przewodnik, którego zapewne by pan wynajął, byłby innego zdania. – Jomo

zachichotał.

Venator postanowił udać zatroskanego.

– Przepraszam, nie przyszło mi to do głowy.

– Nie ma się czym przejmować. Jemu nie zależy na zyskach. Bo i komu zależy?

– Znałem paru takich.

– Ambitni. – Jomo zdradzał coraz większe zainteresowanie. – Nie zdaje się panu – czy nie jest tak na terytoriach, skąd pan pochodzi? – że ciężko pracującym ludziom zależy nie tyle na powiększeniu swojej mocy nabywczej, ile na sławie, osobistej satysfakcji czy innych tego rodzaju korzyściach emocjonalnych? Jakie znaczenie mają dobra materialne i usługi, kiedy wszyscy otrzymują podstawowy kredyt?

Jest nieźle, pomyślał Venator. Liczył, że wciągnie znajomego do rozmowy. Najczęściej dobrze wykształcone jednostki o skłonnościach filozoficznych, zaangażowane w działalność na rzecz swych społeczności, były w stanie najwięcej powiedzieć. Nierzadko zdumiewało go to, co od nich usłyszał.

Ale sam nigdy nie ujawniał swoich reakcji. Mogłoby to pokrzyżować mu plany. Nie chodziło tylko o to, że synojont, jako postać wzbudzająca trwogę, nie nadawał się do rozmowy jak człowiek z człowiekiem, lecz o to, że był zbyt oddalony od zwykłych, ludzkich spraw.

Funkcjonariusz policji musiał rozumieć ludzi w ich nieskończonej różnorodności jednostkowej, społecznej i cywilizacyjnej. Venator zmuszał się do powrotu do grona osobników swojego gatunku, gdy tylko pozwalały mu na to obowiązki i pragnienia.

Jak dotąd Jomo nie powiedział niczego wyjątkowego. Jednak wyrażał przynajmniej typowe dla tubylców opinie na temat wielu aspektów ich życia. Mało prawdopodobne, by były takie same, jak opinie Australijczyków, Brazylijczyków czy nawet mieszkańców Południowej Afryki.

Trzeba kuć żelazo...

– Niektórzy pracują ciężko, bo wymaga tego od nich wykonywane zajęcia – zauważył Venator. – Zawodowi atleci, artyści, kosmonauci. – Ci nieliczni, którzy pozostali, przeważnie na usługach Luny. – *Et caetera.*

– To ich wybór – przytaknął Jomo. – Tak jak mówię. Satysfakcja osobista, prestiż, uznanie bliskich i znajomych.

– Hmm, nie sprawia pan wrażenia ani leniwego, ani zbyt dbającego o swój status.

– W tych okolicach mało kto leniuchuje. Tego się nie toleruje. Z drugiej strony nie jesteśmy fanatycznymi pracocholikami. Nigdzie nam się nie spieszy. Weźmy moją praktykę medyczną. Przypadków zachorowań jest niewiele i rzadko bywają śmiertelne, więc kiedy mam przed sobą perspektywę miłego dnia, to odkładam urzędowanie, żeby jechać na przykład na wycieczkę taką jak dziś.

– Czy to znaczy, że przeważnie macie pracę? I starcza jej dla wszystkich?

– Wiele zajęć nie jest płatnych: prywatne hobby, prace społeczne.

– A pan czym się zajmuje, jeśli mogę wiedzieć?

– Należę do miejskiego komitetu rekreacji, organizujemy zwłaszcza zajęcia dla dzieci. – Jasne, pomyślał Venator, do dzieci, już i tak nielicznych, zawsze przywiązuje się szczególną wagę, a tu nie jest inaczej, nie inaczej. – Uprawiam ogród. Uczę się języka Kikuyu, by móc poznawać dzieła starożytne w oryginale.

Venator pomyślał, że czasy archaiczne cieszą się w Afryce dużą popularnością. Czy brało się to z idealnego przystosowania większej części kontynentu do współczesnego świata? A może sięgało głębiej, było poszukiwaniem czegoś utraconego, zapomnianego, a jednak w głębi duszy odczuwanego? Gdy plemiona i całe pierwotne dziedzictwo przepadło w latach wymierania, umożliwiło to Protektoratowi położenie mocnych fundamentów pod budowę nowego, racjonalnego świata – ale czy brak korzeni dręczył i bolał po tylu wiekach niczym urojony ból

amputowanej kończyny w epokach przed wynalezieniem medycznej regeneracji?

Nie, to niedorzeczne, zupełnie nienaukowe myśli.

Ale ludzki umysł charakteryzował się własną, mroczną matematyką, różną od logiki i zależności przyczynowo-skutkowych. Chaotyczną.

On miał za zadanie opanować chaos.

Głos Jomo wyrwał go z chwilowej zadumy.

– A pan, panie Mthembu?

Nazwisko, pod którym urodził się Venator, często służyło mu za pseudonim. Uśmiechnął się.

– No, w tej chwili jestem na urlopie. – Ale cały czas obserwuję. – A tak w ogóle, jak już mówiłem, zajmuję się łącznością z cyberkosmosem.

– To bardzo rozległa dziedzina. Pańskie stanowisko... Venator bardziej wyczuł przez skórę brzęczenie w kieszeni niż je usłyszał. Coś się stało? Uniósł rękę.

– Przepraszam, ale zdaje mi się, że ktoś do mnie dzwoni.

Jomo przyglądał się, zaintrygowany, miniaturowemu krążkowi, który wyjął tamten. Nie był to zwyczajny minifon. Nie spełniał też tylko typowych funkcji. Venator przyłożył go do głowy tuż za prawym uchem.

– Raport na temat obiektu Kenmuir – dobiegło za pośrednictwem kości.

Pozornie siedział ze swobodą, kołysząc wędką. Łódka tańczyła; z wody wypryskiwały szybkie jak rtęć kropelki. Ale wewnątrz przemienił się w myśliwego. Wyostrzoną świadomość maszyny ożywiła pulsująca krew.

– Mów – nakazał podgłosem. Jako dodatkowego zabezpieczenia używał sztucznego języka, który stanowił ścisłą tajemnicę jego korpusu.

– Utraciliśmy kontakt z obiektem. Wszystko wskazuje na to, że agent opozycji przemycił go do jakiejś dokładnie ekranowanej sekcji, bez wątplenia chce go ewakuować z okolicy.

„My” nie oddawało istoty rzeczy, ale równie nietrafne byłoby, ja”. Zaimek odnosił się do tych aspektów świadomości, które – zależnie od zmiennych okoliczności – poświęcały uwagę tej sprawie; z kolei sama świadomość stanowiła zmienną część znacznie większej całości. Piana na falach oceanu.

– Cholera! – wyrwało się Venatorowi. Jomo posłał mu zaciekawione spojrzenie. – Streść przebieg wypadków.

Ostatnim razem kontaktowali się trzy dni temu. Nie miało sensu – byłoby wręcz szkodliwe – kontrolowanie sytuacji godzina po godzinie, kiedy nie działo się nic groźnego; od tego były roboty wysokiej klasy. On miał na głowie wiele innych spraw. Ten krótki pobyt w Victoria Nyanza nie był li tylko wypoczynkiem. Od czasu do czasu nadchodziły wieści dotyczące kilku innych śledztw.

– Kenmuir opuścił dziś rano, amerykańskiego czasu pacyficznego, Dom Guthriego i poleciał do Los Angeles. Wychodzi na to, że w Domu zadzwonił z zastrzeżonej linii i uzyskał dalsze instrukcje.

– Tak, tak, można się było tego spodziewać.

Sofotekt doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że Venator niepotrzebnie to mówi, ale wywiadowca nie marnował energii na tłumienie każdego ludzkiego odruchu.

Nie starczyło czasu na zbadanie tej linii. Bractwo Ognistej Kuli miało całe stulecia, podczas których mogło stworzyć prywatne kanały łączności i skarbcę. Ostrożność rządu, sięgająca jeszcze czasów Ognistej Kuli, przyczyniała się do unowocześniania tych zabezpieczeń. Venator się tym nie przejmował. Kenmuir miał naprawdę znikome szansę na wydobywanie czegokolwiek z Matthiasa. Prawdopodobnie ważniejszy był następny krok Kenmuira. Choć z drugiej strony warto byłoby się zająć również Rydbergiem...

Kenmuir zniknął. To było ważne.

– Dalej – nakazał Venator.

– W Los Angeles skierował się do pewnej podejrzanej kantyny. Spotkał się z kobietą podającą się za niejaką Irenę Norton. Odbyli krótką rozmowę, po czym ona pospiesznie go wyprowadziła.

– Jeszcze raz. – Po wysłuchaniu zażądał: – Opisz mi miejsce ich spotkania. – Po chwili dodał: – Naturalnie podejrzewa, że jest śledzony – i dokładnie z tego powodu wybrała ten lokal, bo знаła tajemne wyjście, którym go wyprowadziła. To może nam ułatwić odkrycie jej tożsamości. Jest bystra i ma trochę doświadczenia, choć nie wygląda na zawodowca.

– Badanie baz danych wykazuje, że nie może być żadną z osób znanych jako Irenę Norton.

Pseudonim. Rozkazy?

– Przeczesujcie okolicę. Możliwe, że znajdziemy ich w miarę szybko. Kenmuir będzie się musiał w końcu ujawnić. Być może nawet sam przyzna się do wszystkiego. Wątpi w słuszność całej sprawy. Tymczasem rozpytujcie w tym Asilo. Dyskretnie, taktownie. Mam wrażenie, że personel i klientela nie są do nas zbyt przyjaźnie nastawieni. Ale detektywom może uda się dowiedzieć, kim jest ta kobieta.

– Tak jest, pragmatyku. Jeszcze jakieś polecenia?

– Informuj mnie o każdej nowej okoliczności. Zaraz jadę do Centrali, żeby objąć pełne dowodzenie.

Venator schował krążek do kieszeni. Niebo, woda, słońce, łagodny wiatr zaczęły mu przeszkadzać.

– Mam nadzieję, że to nie są złe wieści – powiedział wolno Jomo.

– Nagła sprawa. Związana z pracą. Nie wolno zdradzić mi nic więcej i obawiam się, że będę musiał natychmiast wyjechać.

– Szkoda. – Jomo i gość zwijali żyłki. – Proszę nas jeszcze kiedyś odwiedzić.

– Bardzo bym chciał. – Właśnie tego rodzaju spokój i rozsądek starał się zachować, nie zapominając o głównym kosmicznym celu swego życia.

Jomo włączył silnik. Łódź pomknęła ku brzegowi.

Zdaniem Venatora sytuacja nie była krytyczna. Jeszcze nie. A może nigdy taka nie będzie?

Czego może dokonać dwójka uciekinierów?

Było jasne jak słońce, że Ognista Kula nie wiedziała o Prozerpinie. W przeciwnym razie prawda już dawno wyszłaby na jaw – duchy, które wciąż tęskniły do gwiazd, nie oparłyby się takiej pokusie. Tajemna wiedza, o którą tak bardzo troskał się Rydberg, to z pewnością jakiś epizod dawno minionych dziejów, a może nawet jeszcze mniej: coś formatu nie opublikowanego dziennika przodka.

Prowadząca intensywne badania Lilisaire natrafiła w głębi kosmosu na sygnały jakiejś tajemnicy. Miała nadzieję, iż znajomość sekretu mogłaby umożliwić jej powstrzymanie prac nad Biotopem, a nawet oderwanie Luny od Federacji.

Rzecz jasna bardzo się myliła. Poznanie tajemnicy groziłoby znacznie gorszymi konsekwencjami.

Ale ocalałe dane były pilnie strzeżone. Samemu Venatorowi nie przekazano do dyspozycji kodu dostępu – biologicznego; i będzie tak aż do momentu, gdy cyberkosmos dojdzie do wniosku, że działania Lilisaire są na tyle niepokojące, iż powinien go poznać. Skąd dwoje amatorów miałoby wiedzieć, gdzie zacząć szukać, nie mówiąc już o wdarciu się do środka?

Nie, sami w sobie byli nieistotni. Byli tropem wiodącym do Lilisaire i jej podziemia – sprytniej, niebezpiecznej Lilisaire.

(Zamach? Trudny, jeśli nie niemożliwy, w razie niepowodzenia konsekwencje mogą być katastrofalne. Zresztą możliwe, że przekaże swoją wiedzę następcom, którzy podejmą dzieło.

Zatrzymanie? Pod jakimi zarzutami, z jakimi reperkusjami? Chwileczkę odczekać. Rozegrać

partię. Miło się gra z naprawdę trudnym przeciwnikiem).

Niemniej jednak Kenmaira i Norton należy schwytać jako chodzące poszlaki. Istniały też inne luki, punkty, które trzeba było zabezpieczyć. Tutejsze środki łączności nie nadawały się do tych celów. Musi wrócić do Centrali.

Do jedności. Ta świadomość przeniknęła go z potęgą miłości.

Rozumujący mózg kontynuował swoje dzieło. Przede wszystkim trzeba odzyskać kontrolę nad przebiegiem wypadków, zanim runie lawina i jeden kryzys zacznie wywoływać następny, jak to bywało w zamierzchłej przeszłości.

MATKA KSIĘŻYCA

Pokój w Port Bowen był zbyt obszerny dla dwóch osób, lecz Dagny Beynac podobał się gest zorganizowania spotkania właśnie tutaj, a nie w jakimś biurze. Łagodziło to nieco wymowę faktu, że została wezwana. Podobnym celom służyła przestronność pomieszczenia i rozległa połać dywanu. Z boku znajdował się stół konferencyjny, w ścianę koło niego wmontowano konsolę do wyszukiwania danych i nawiązywania łączności. Przy dwóch zajętych fotelach ustawiono stoliki, na nich po filiżance i imbryku.

W wystroju pomieszczenia odbijał się duch generalnego gubernatora władz lunariańskich. Na ekranie widniał pejzaż przedstawiający domy na stromych stokach gór i majestatyczny nurt przepływającej między nimi Jangcy Kiang. Na przeciwległej ścianie wisiał zwój. Czarno-biały rysunek przedstawiał siedzącego starca w tunice, prawdopodobnie mędrca. Czy w kaligraficznych znakach na zwoju utrwalono jakiś utwór poetycki?

Służący, który przyniósł herbatę, uklonił się i wyszedł. Był młody, zdyscyplinowany, jego cywilny strój kojarzył się z mundurem. Dagny podejrzewała, że jest tajnym agentem. Drzwi zasunęły się za nim. Przez chwilę w uszach dzwoniła jej cisza.

– Proszę usiąść – odezwał się Zhao Hai-Feng. Mówił po angielsku płynnie, nieco za głośnym i terkotliwym głosem. Był wysoki, kościsty, siwowłosy, surowo odziany. – Czy przeszkadza pani tytoń?

– Nie, proszę śmiało palić – odparła Dagny.

Powstrzymała się od wyrażenia nadziei, że zdjęcia jego komórek rakowych odzwierciedlają aktualny stan organizmu. Jeśli Luna musi mieć prokonsula, może jej się trafić ktoś gorszy od tego byłego profesora socjodynamiki. Tak jej się przynajmniej zdawało. Dzisiejsze spotkanie mogło wpłynąć na zmianę tej opinii.

Usiedli. Zhao wyjął papierosa, dotknął go pierścieniem z zapalniczką, mocno się zaciągnął i wypuścił nozdrzami strumienie dymu. Dagny zastanawiała się, czy tamten jest tak samo zdenerwowany jak ona. Wychwyciła nutkę cierpkiego zapachu. Czujniki wentylacyjne też ją wykryły, bo natychmiast rozwiała się w sosnowym aromacie.

– Bardzo miło z pani strony, że zechciała się pani pofatygować osobiście – stwierdził Zhao. –
Wiem, że jest pani bardzo zajęta.

– Prośba... waszej ekscelencji... wydała mi się nagłąca – odpowiedziała Dagny.

– Niezależnie od poziomu zabezpieczenia linii łącznościowych – mówił gubernator –
uważam obraz holograficzny za niedostateczną namiastkę obecności żywego człowieka,
zwłaszcza kiedy w grę wchodzi sprawy wielkiej wagi.

Poza tym, myślała Dagny, jej przybycie tutaj było symbolem, stanowiło akt uległości. Czy liczył, że przestraszy ją tym subtelnym manewrem? Gdy dzwoniła z wieścią o wezwaniu do Ansona Guthriego, Zhao wyszczerzył zęby w uśmiechu i skomentował: – Jagnię żąda, żeby wilczyca przyszła je odwiedzić. – Wolne żarty. Pod tą konfucjańską fasadą nie krył się żaden potulny baranek.

– Czy zaprosił pan właściwą osobę? – spytała Dagny. – Zdaje pan sobie bowiem sprawę, że nie występuję już w żadnej urzędowej roli.

– *Madame* Beynac, proszę sobie darować. – Zhao uniósł dłoń. – To jest rozmowa w cztery oczy. Wie pani doskonale, że pod pewnymi względami ma pani na Lunie władzę większą niż ja. Trzeba go wybadać.

– Jak to? Byłam delegatką do Komitetu Koordynacyjnego z regionu Tycho. I nikim więcej.

– Została pani przewodniczącą... – Zhao pochylił głowę – ...co przyniosło komitetowi zaszczyt. – Zaciągnął się papierosem. – Nie bawmy się w uniki. Mój czas jest równie cenny jak pani. Koloniści zachowali w sercach żywą pamięć o komitecie. Dzięki niemu jako tako

przetrwali okres anarchii. Większość jego członków jest ściśle powiązana z Ognistą Kulą, która zdobyła niezdrową przewagę w kosmosie. – Dagny najeżyła się, lecz zbyła ten komentarz milczeniem. – Władze Luny uznawane są za nikomu niepotrzebną nowość, za organ zupełnie nieczuły na autentyczne troski Lunarian, za brzemień. Moim obowiązkiem jest zmienić ten niekorzystny stan rzeczy.

Dagny, mimo woli zaskoczona, wymamrotała:

– Wasza ekscelencja mówi wyjątkowo otwarcie.

– *Entre nous, madame.* – Uśmiechnął się Zhao.

Od momentu otrzymania od niego wiadomości Dagny możliwie najstaramiej przygotowywała słowa i myśli na to spotkanie.

– A nie wydaje się panu, że pan przesadza? Komitet został utworzony *ad hoc*, w sytuacji, kiedy piętrzyły się trudności i ktoś musiał wszystkim pokierować. – W myślach dokończyła to zdanie: pokierować, kiedy na Ziemi nastał czas Wielkiego Dżihadu, kolejno waliły się powiązane gospodarki wielu krajów, rewolucje i bezprawie niszczyły społeczeństwa, kruche, stare ONZ rozpadło się w pył, nikt na całej planecie nie miał czasu na zajęcie się sprawami mizernych kilkudziesięciu tysięcy osadników na Księżycu. – Istotnie, Ognista Kula nam pomogła. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że nas ocaliła. Ale nie przejęła rządów. Nie było takiej możliwości.

– Tak czy owak – zauważył sucho Zhao – wołała tego nie robić. Być może dlatego, iż pan Guthrie przewidział, że wy, Selenicy, odłożycie na bok wewnętrzne konflikty i utworzycie jedną, niepodzielną władzę.

Señor, wie pan, że według naszych intencji komitet nigdy nie miał stać się organem stałym.

Czyż po waszym przybyciu nie współpracowaliśmy z panem i pańskimi ludźmi?

– Nie stawialiście oporu.

– Z posiadania ujednoliconego prawa cieszymy się tak samo, jak z istnienia Federacji Światowej i Władz Pokojowych na Ziemi. – W zasadzie tak, dodała w myślach. W praktyce zależy to od interpretacji tegoż prawa. – A wracając do tematu: postanowiliście komitet rozwiązać.

– Sam nie wiem, czy tak szybki krok był mądrym posunięciem. – Zhao uniósł filiżankę. – Jednak właśnie taka decyzja zapadła w Hiroszynie.

Dagny poszła za jego przykładem i również się napiła. Płyn był gorący i miał kwiatowy smak.

– Rozumiem ich motywację. Trudno mówić o autonomii bez rozsiewania wirusa nacjonalizmu.

– Tym sposobem dochodzimy do obecnej sytuacji – podchwycił Zhao. – Wy, Selenicy, nie stanowicie dla nikogo poważnego zagrożenia – przy czym nie imputuję, że macie takie zamiary. Ale jeśli dacie przykład arogancji w działaniach, które zakończą się powodzeniem, wykorzystanym następnie jako precedens przez rosnące w siły nacjonalizmy na Ziemi, może stać się to początkiem nowej tragedii. Proszę sobie wyobrazić, ilu ludzi zginęłoby okropną śmiercią, gdyby obalono Protektorat Afrykański. – Westchnął. – Federację będzie można poddawać poważnym próbom dopiero wtedy, kiedy nabierze sił, zapuści korzenie.

Nie mogła oprzeć się pokusie.

– A póki co – warknęła – Luna to małe, przyjemne, na szczęście odległe poletko doświadczalne, na którym można wypróbować tę czy ową teorię rządów międzynarodowych. Z miejsca pożałowała swojego wybuchu. Odetchnęła z ulgą, gdy mężczyzna rzekł łagodnie:

– Proszę nie szydzić.

– Ani mi to w głowie – odparła pospiesznie. – Niektórzy spośród nas są cynikami, to prawda, ale moim zdaniem – i tu pragnę podziękować za rozmowę w cztery oczy – ma pan dobre

intencje, *señor*. – Mówiła w miarę szczerze. Jego dobra wola niekoniecznie przystawała do jej zamiarów.

– Dziękuję. *Gracias*. – Zhao włożył niedopałek do popielniczki w blacie stołu i sięgnął po następnego papierosa. – Wobec tego proszę o pomoc.

– Ależ jak mam panu pomóc? Jestem tylko osobą prywatną. Starannie odmierzał słowa.

– Pani wpływy rozciągają się na całą Lunę. Koloniści panią szanują, są jej posłuszni, inaczej niż mnie czy moim urzędnikom. Poza tym pani doskonale wie, czego chcą lub potrzebują. A ja po trzech spędzonych tu latach nadal jestem przybyszem z zewnątrz. Proszę o radę. O pomoc... – Głęboko się zaciągnął. –.. jak dalece pozwala pani sumienie. Ze swej strony przyrzekam, że kiedy usłyszę od pani opinię niezgodną z moją, chętnie jej wysłucham.

– Radę? – zapytała zdumiona Dagny. – *Señor*, wszystko, co mogę panu powiedzieć, wysłuchał pan już setki razy.

Zadrzała. Znalazła się tutaj ze względu na synów. Jeżeli ten człowiek coś jej zaproponuje, będzie musiała to bez wahania przyjąć.

– Czego my tu, na Lunie, chcemy i potrzebujemy? – powtórzyła. – To raczej oczywiste. Po pierwsze zniesienia wielu przepisów i ograniczeń, które są pozostałościami dawnego reżimu. Zdawało nam się, że już nie obowiązują, lecz przedstawiciele Władz Pokojowych ogłosili, że niemal wszystkie pozostają w mocy.

– Te spośród nich, które są uzasadnione.

Być może najlepszą pozą będzie brawura granicząca z bezczelnością.

– Na przykład?

– Podatki płacone poszczególnym rządóm na Ziemi. Tak, narzekacie tutaj, że w zamian nie dostarcza wam się proporcjonalnych usług. Możliwa jest chyba poprawa tej sytuacji. Nie ulega jednak wątpliwości, że przy braku solidnych rządów na Ziemi zostalibyście pozbawieni rynków

zbytu i szybko byście zbankrutowali. To też można nazwać usługą.

– Jesteśmy już samowystarczalni, jeśli chodzi o powietrze, wodę, żywność i energię.

Dawaliśmy sobie radę w czasie Dżihadu. Nasza przyszłość leży w kosmosie.

Zhao obstawał przy swojej argumentacji.

– Poza tym macie zobowiązania wobec ludzkości jako takiej, wobec cywilizacji, z której wyrosliście i do której wciąż należycie pod względem duchowym.

– Osobiście jestem tego samego zdania – zgodziła się ostrożnie Dagny.

– W odróżnieniu od niektórych innych. Przede wszystkim... bez obrazy, proszę mi wybaczyć... przedstawicieli młodszych pokoleń, metamorfów. – Dagny kiwnęła głową.

– Czuli by się mniej obco... mniej wyobcowani, gdyby stawiane im przez system szkolnictwa wymagania były przystosowane do... do ich natury.

– Tu również możliwe są zmiany. – Zhao dodał ostro: – Są już nawet dokonywane. Mój urząd zdaje sobie sprawę, co dzieje się w domach kolonistów. Coraz częściej jest to miejsce, gdzie dzieci pobierają najistotniejsze lekcje na podstawie programów pisanych w domu, od starszych i od rówieśników. Mam rację?

– Tak. To zjawisko jak najbardziej naturalne.

Zhao zmarszczył brwi, zaciągnął się papierosem i machnął nim w powietrzu, jakby coś przebijał.

– W pewnej mierze tak, *madame*. Nie wolno dopuścić do dalszego narastania tej alienacji, o której pani wspomina. Jej skutki mogą być nieprzyjemne, ba, wręcz groźne.

Dagny spodziewała się, że poruszą ten temat. Będzie jednak grała na zwłokę, pozwoli mu wypowiadać się na poziomie ogólników, a tymczasem postara się zbudować linię obrony.

– Protestują nie tylko młodzi – odezwała się. – Wielu z nas wyrażało swój sprzeciw na długo przed okresem Dżihadu. Zarzuty są bowiem prawdziwe, ekscelencjo.

Przystał na jej taktykę. Ciekawe, czy dlatego, że była zgodna z jego własną?

– Mam rozumieć, że chodzi pani przede wszystkim o zarządzanie lunariańskim przemysłem?

– Między innymi. O tłamszenie miejscowej przedsiębiorczości.

Uniósł brwi.

– Wy, koloniści, nie chcecie przystać na to, że ten bezcenny pod względem naukowym i cywilizacyjnym region zasługuje na ochronę.

– Naturalnie, że nie. – Przypomniała jej się wściekłość Edmonda na myśl o tym, co może stać się z różnymi odkrywkami geologicznymi. Pomyślała o tym, co ich syn, Temerir, miał do powiedzenia na temat astronomii, którą zaczynał się zajmować: te kilka lodowatych słów utkwiliło w pamięci głębiej niż wszystkie pirotechniczne, bluźniercze wybuchy jego ojca. – Tak czy inaczej przysła chyba pora na jakiś kompromis.

– Nie mówimy tu o niewielkim zanieczyszczeniu niemal dziewiczej, prawie doskonałej próżni ani o szkodach wyrządzanych różnym interesującym obszarom przez górnictwo, ani wreszcie o innych sprawach, których nie da się uniknąć. Skupmy się na rozstrzygnięciu, czy należy utrzymywać je w rozsądnych granicach. – Zhao wpijał się w nią wzrokiem. Zebrała siły i spojrzała mu w oczy. – Nie wolno nam również zapominać o fundamentalnej zasadzie, mówiącej, iż Układ Słoneczny jest wspólnym dziedzictwem całej ludzkości.

Przysła jej do głowy tylko standardowa riposta:

– I dlatego nikt pochodzący spoza Ziemi nie może posiadać na własność fragmentu kosmosu.

– Ależ skąd, czynione są znaczne ustępstwa. Ognista Kula rozrosła się do monstrualnych rozmiarów i bynajmniej nie zajmuje się już tylko transportem kosmicznym. Podobnie rzecz ma się z licznymi innymi firmami i osobami.

– Tak. – W swej politycznej karierze, w którą dała się dość niechętnie wciągnąć, Dagny nauczyła się mówić wzniosie, lecz nigdy bezpośrednio. Teraz przypomniła sobie tę umiejętność.

– Ale żaden z nas nie może stanąć na kawałku ziemi, nawet krążącej po orbicie skały, i oświadczyć: „To jest moje. Ja doprowadziłem to do dzisiejszego stanu. Zostawiam to w spadku dzieciom i ich dzieciom”.

– To dziwne – mruknął – że takie prymitywne pragnienie odrodziło się w kosmosie.

– Prymitywne? Może po prostu ludzkie? Nie odeszliśmy zbyt daleko od człowieka z Cro-

Magnon. – Przed oczyma duszy stanął jej raptem Edmond, czekający w domu myśliwy, przemierzający nieznanne szlaki. Szczątki jego przodków spoczywały w jaskiniach, dolinach i na stokach Dordogne od czasów, gdy północne połacie świata skuwał lód, a przez tundrę wędrowały mamuty. Jak gdyby wypowiadała teraz jego słowa: – Ciągłe nosimy w sobie instynkt posiadania swoich terytoriów. Spokojny, łagodny Zhao nagle zaatakował:

– *My, madame!* Czy pragnienia nowej generacji, stworzonej specjalnie dla Luny, są aż tak proste? Potrafi pani powiedzieć, czego oni chcą tak w głębi duszy? Czy sami to wiedzą?

W pokoju zapadła cisza, która ciągnęła się przez sto następnych uderzeń serca. Wzrok Dagny spoczął na monitorze. Na obrazie szybował ptak, sylwetkę górskiego szczytu przekreślał warkocz obłoku. Piękny widok. Szkoda, że nie przedstawia piasku, morza i wyrzuconych przez nie szczątków.

Zwróciła się do Zhao:

– *Muy bien.* Żarty się skończyły. Nie wezwał mnie pan dlatego, że jestem sporą ropuchą w tej na poły wyschniętej kałuży Księżyca. Nie, jestem matką Brandira i Kaino.

– Oficjalnie rzecz biorąc, Ansona i Sigurda Beynaców – mówił równie wyważonym głosem.

– I Gabrielle Beynac, która może się prawdopodobnie okazać jeszcze bardziej niebezpieczna.

Zapoznałem się z pismami Verdei. – Tak, pomyślała Dagny, przygotował się do spotkania. – Nie mają otwarcie wywrotowego charakteru. Nie, nic z tych rzeczy. Za to uwidacznia się w nich nowy, obcy duch.

– Co w tym złego?

Właśnie, co? Czy każde małe, bliskie sercu stworzenie nie wyrasta prędzej czy później na kogoś obcego? Za to Lars Rydberg podczas wizyty w ich domu zdjął posępną maskę, którą ukazywał światu, dając jej i nawet Mondowi coś z siebie, ciepło wynikające z poczucia, że jest się komuś potrzebnym. W odróżnieniu od jej lunariańskich dzieci.

– No, nie pora na filozoficzne rozważania – stwierdził Zhao. – Nie da się ukryć, że dwaj pani starsi synowie i ich koledzy dopuścili się poważnego naruszenia prawa. Mam tylko nadzieję, że zdoła ich pani sprowadzić na właściwe tory, zanim stanie się coś nieodwołalnego. To samo odnosi się oczywiście do pani męża. Nie zapraszałem go tu dzisiaj, bo całe życie unikał polityki i, jak by to powiedzieć, obecność człowieka o jego temperamencie mogłaby okazać się kłopotliwa. Dagny zrozumiała. „Zapraszałem” to kolejne sprytne określenie.

– Co oni takiego zrobili? – zapytała stanowczo.

– Przecież pani wie, *madame*. Jest to powszechnie wiadome.

– Widzieliśmy się z nimi, ja i mąż, tylko przelotnie. Nie spieraliśmy się, czy słusznie postąpili. – Już dawno tego zaprzestali. – Wszystkiego dowiadujemy się z mediów. – Nie może sobie pozwolić na bierność, musi przejąć inicjatywę i zadawać Zhao pytania. – Ale proszę o krótkie naświetlenie sprawy z pańskiego punktu widzenia. Najpierw musimy się porozumieć w kwestii, co każde z nas ma na myśli.

– Jak pani sobie życzy – kiwnął głową. – Mnie zależy na ładzie publicznym.

– Mam nadzieję, że go nie zakłócili?

– Na razie nie... nie otwarcie... niezupełnie. Nieodparcie nasuwa mi się myśl, że chcą zmusić Władze Pokojowe do podjęcia pierwszego kroku, którego mogą potem pożałować. – Zhao z namaszczeniem wypił łyk herbaty. – Pozwoli pani, że zaprezentuję jej sprawę. Nie została jeszcze upubliczniona, gdyż mogłoby to mieć nieobliczalne następstwa.

– Doskonale, ekscelencjo. Ja też wolałabym uniknąć kłopotów. Jak każdy zdrowy na umyśle człowiek.

Jego spojrzenie miało chyba oznaczać, że taka definicja niekoniecznie obejmuje prawdziwych, młodych Lunarian.

– Możliwe. Ten materiał miał być przekazany do centrali Władz Pokojowych na Ziemi jako trójwymiarowa relacja z wypadków. Został przygotowany na rozkaz naczelnego konstabla Levine’a pod kierownictwem funkcjonariusza, który dowodził misją. Spodziewając się trudności, konstabl kazał wszystko rejestrować. Dla jasności materiał został zredagowany i opatrzony komentarzem, lecz pozostaje obiektywny.

– Czy coś takiego jest możliwe w sytuacjach, gdy w grę wchodzi ludzie?

Na ustach zaigrał mu krzywy uśmiezek.

– Fakt, w Hiroszimie interpretowano by to inaczej niż tutaj, na Lunie. Właśnie dlatego zatrzymałem ten materiał. Jeszcze nie zdecydowałem się na transmisję. Proszę wczuć się w moje położenie.

Wstał i podszedł do konsoli. Dagny również błyskawicznie się podniosła i korzystając z małej grawitacji, przemierzyła pokój. Światło przygasło. Z ekranu zniknął chiński pejzaż.

Przesunęli krzesła w kierunku monitora i na nowo zajęli miejsca. Dagny głęboko zaczerpnęła tchu i rozluźniła mięśnie, co kojarzyło się jej z rozplątaniem całego szeregu węzłów.

Zobaczyli stojącego, ubranego w mundur mężczyznę, który znajdował się w urządzonym po spartańsku studiu. Z ruchów warg można było zorientować się, że nie mówił po angielsku, że to, co słyszeli, było dziełem programu translacyjnego.

– Pułkownik Mohandas V. Sundaram z Władz Pokojowych. Przedstawiam relację z ostatnich wypadków... – Następnie podał dzień, godzinę, miejsce akcji, po czym tym samym rzeczowym tonem zarysował tło sytuacji: – W czasie Wielkiego Dżihadu i tuż po nim faktyczne rządy na

Lunie sprawował samowładny Komitet Koordynacyjny. – Nieprawda, pomyślała Dagny.

Urzednicy kolonialni przyznawali, że istnieje taka potrzeba, zaś delegatów wybrano. Nie można zaprzeczyć, że kilka ziemskich rządów potępiło ten krok, lecz nie było w stanie mu przeciwdziałać. – Sprawował on nadzór nad bezpieczeństwem publicznym i najważniejszymi usługami. – A czym jeszcze mógł się zająć? Czym powinien? – Liczni koloniści i ich organizacje wykorzystali tę sytuację i podjęli działania uznawane dotąd za bezprawne, zwłaszcza w dziedzinie przemysłu wydobywczego i wytwórczego. Komitet posunął się do tego, że przekazał im wiele zakładów. – Ktoś je musiał prowadzić. – Używali ich nie tylko do produkowania niezbędnych towarów, lecz również do stworzenia sobie niedostępnych do tej pory możliwości. – Efekt mnożnika, trzykrotnie większa moc po zastosowaniu robotów i technologii molekularnej.

Przez głowę przemknęła jej taka myśl: Odnowa stanowiła zaledwie pewną frakcję, która pojawiła się na mocno zideologizowanej Ziemi. Ludzie skłonni byli patrzeć na rozmnażanie mniej więcej tak, jak średniowieczny Kościół na seks – jako na coś z natury grzesznego i niszczycielskiego, czym należało się zajmować tylko w celu przedłużenia rasy. Przynajmniej taki był ideał, a ideały częstokroć narzucają swoje horyzonty większości, która niekoniecznie żyje zgodnie z nimi. Dlaczegoż mieszkańcy Księżyca mieliby się do tego dostosowywać?

A ludzie Ognistej Kuli, którzy się na to nie godzili, coraz bardziej zacieśniali więzi wzajemnej lojalności, odgradzając się od reszty świata... na modłę średniowiecznych Żydów?

Straciła wątek. Teraz musiała go odzyskać.

– ...roszczenia do „zarządzania” znacznymi obszarami były zazwyczaj legalizowane przez Komitet. Takie zezwolenia dawały wyłączne prawa do eksploatacji, zakazywały wstępu osobom niepowołanym, mogły być zbywane i kupowane. W praktyce stanowiły prawa własności do pozaziemskich nieruchomości, nie uznawane przez Narody Zjednoczone. Federacja Światowa

utrzymała ten zakaz w mocy. Władze Luny muszą wprowadzić go w życie.

Myśli Dagny znów powędrowały gdzie indziej. Lunariańskie dzieci nie były jej tak całkiem obce. Anson-Brandir rozwodził się na temat wielkich czynów, których trzeba dokonać, dla Sigurda-Kaino do takich dzieł należała budowa stoczni i statków kosmicznych dla niego i jego rasy...

– ...najbardziej rażący przypadek w paśmie Kordylierów. Zgodnie ze strategią deklarowaną przez generalnego gubernatora dołożono wszelkich starań, by osiągnąć porozumienie. – Dobrze chociaż, że Sundaram nie wymieniał tych niezliczonych telefonów i faksów, czajenia się, protestów, zapytań, uników, gry na czas, burzowych chmur, grożących wyładowaniami w tych ich pieczarach... ale nie, to przenośnia niestosowna w odniesieniu do rejonów, które nigdy nie zaznały podmuchów wiatru... – ... wreszcie zarządzono ekspedycję do rzeczonego obszaru.

Raptem na ekranie ukazał się widok tych miejsc, nierównej powierzchni nagich wzgórz wznoszących się ku górom, pokrytych cętkami i bliznami cienia. Kamera, ukryta w jednej z dwóch dużych ciężarówek, obróciła się ku wschodowi. Nad horyzontem widać było kurczącą się połać tarczy Ziemi w pierwszej kwadrze. Położenie słońca sugerowało, że jest późny ranek. Do tego miejsca postoju wiła się wielokilometrowa droga, właściwie pas nieco gładszego regolitu. Kamera zakreśliła łuk i pokazała widok przed pojazdem. Droga wiodła dalej, by w końcu zginąć wśród górzystego krajobrazu. Tam natykała się jednak na łuk specjalnie ułożony ze skał, zamknięty stalową bramą. Dagny doskonale pamiętała tamten portal. Brandir przeprowadzał tamtędy ją i Edmonda, gdy pokazywał im swą krainę i to, co w niej budował. Było to cztery lata temu. Od tamtej pory w wiadomościach pokazywano od czasu do czasu satelitarne zdjęcia tych okolic. Jak zwykle na Lunie ogromny kompleks wznoszono szybko. Ci, którzy w nim mieszkali, oraz ci, którzy pracowali przy budowie, niewiele mówili na temat życia, które toczyło się wewnątrz. Rodzice Brandira wiedzieli, że nie ma sensu go o nic wypytywać.

Przed bramą stanęły cztery postacie w skafandrach. Na ramionach niosły jakieś przedmioty, z których nad plecami sterczało coś na kształt rury. Za kratami stał pojazd, który ich tu przywiózł, szybki i sprawny samochód księżycowy.

Kamera skupiła się na skrytych pod hełmami głowach przybyszów. Trzech Dagny nie znała. Pierwszy był mężczyzną jej gatunku, łysym, krępy, muskularnym. Dwie postacie były młodymi Lunarianami, mężczyzną i kobietą. Czwarty, przywódca, to był jej Kaino. Jego rozczochrane, rude włosy silnie kontrastowały z burymi skałami.

– Witam – odezwał się Sundaram po angielsku, głosem trochę zniekształconym przez automatyczny translator. Przedstawił się i dodał: – Jestem szefem zespołu inspektorów, o którego przybyciu zostaliście zawiadomieni.

– Już dawno was wykryliśmy. – Angielski Kaino nigdy nie nosił aż tak silnego piętna języka, którego Lunarianie używali w swoim gronie. – Witam i życzę pomyślnego powrotu do domu.

Druga kamera została wycelowana w Sundarama, który siedział w kabinie sterowania pojazdem. Obraz podzielił się na dwie części: Sundaram zajmował lewą połowę ekranu, Selenici prawą. W centrum tej ostatniej znajdował się przeważnie Kaino, choć kamera od czasu do czasu skupiała się na jego towarzyszach, jak gdyby chciała przyłapać ich na czymś zdrożnym. Dwoje Lunarian stało w pozach przyczajonych panter, człowiek przestępował z nogi na nogę i krzywo się uśmiechał. Sam Kaino jak zwykle gestykulował, gdy mówił.

– Dziękuję – odparł sztywno pułkownik. – Rozumiem, że zaprowadzicie nas do osiedla?

– Nie, chcieliśmy was tylko przestrzec przed podejmowaniem dalszej drogi.

– Co? – Dagny przypuszczała, że Sundaram nie okazywał całego zaskoczenia, jakie odczuwał.

– Jak zapewne wiecie dzięki kamerom, ta droga schodzi pod powierzchnię gruntu i dzieli się na kilka tuneli, które dopiero po pewnym czasie wyłaniają się z powrotem. W takich warunkach

nietrudno zabłądzić.

– Chyba że będziecie nam pokazywać drogę.

– Ależ nie będziemy. – Kaino uśmiechnął się od ucha do ucha. – Już mówiłem, że chcieliśmy was przestrzec. Teraz zawracamy. – Wzruszył ramionami na podobieństwo Ziemiaków. – Rzecz jasna możecie objechać tę bramę. Ona tylko oznacza granicę. Ale raczej nas nie prześcigniecie.

– Czyli nie będziecie naszymi przewodnikami?

– Nie, ani do Wysokiego Zamku, ani w jego obrębie. – Budowany zamek już wtedy wyglądał imponująco, lecz Dagny wiedziała, że jest to zaledwie czubek lodowej góry, której olbrzymie podnóża leżały pod ziemią, zabezpieczone przed obserwacją.

– Mówię jako konstabl władz Luny.

– A ja jako brat lorda Brandira, rządca na włościach jego i pani Ivali.

– „Na włościach” – powtórzył cicho Sundaram. – To określenie wiele mówi o waszej postawie.

– Nie jesteśmy nastawieni wrogo, pułkowniku. Przestrzegam tylko przed dalszą drogą bez przewodnika. Nie zna pan bezpiecznych przejść. Mapy satelitarne i nawigacja inercyjna nie pokazują żadnych zdradliwych miejsc – jam pod gruzami, rozpadlin, głazów, których naruszenie może natychmiast wywołać lawinę. Dla waszego dobra proszę, byście zawrócili.

– Takie niebezpieczeństwa są wyolbrzymiane w... tradycyjnych podaniach.

– Sprawia pan wrażenie człowieka lepiej obeznanego z tym starożytnym światem niż my, jego mieszkańcy.

– A jeśli coś się nam stanie, co wtedy?

– Respektujemy przepis prawa mówiący, że porzucenie człowieka w nieszczęściu jest ciężką zbrodnią, lecz nie możemy zagwarantować, że dowiemy się o waszych kłopotach ani że będziemy was w stanie uratować, kiedy o nich usłyszymy.

Po chwili namysłu Sundaram burknął:

– Stojąc tam, łamiecie prawo. O ile mnie wzrok nie myli, trzymacie w rękach broń.

– Przyrzędy do ćwiczeń – odparł lekko Kaino, machając ręką.

– Nigdy takich nie widziałem.

– To prawda. – Kaino przybrał poważną minę. – W przestrzeni kosmicznej wolno używać tylko broni krótkiej w celu utrzymania porządku. W trudnych czasach przyszło nam do głowy, że dobrze będzie wymyślić lepsze modele. Nie jesteśmy pewni, czy tamte czasy na dobre odeszły.

Wydaje nam się słuszne ćwiczenie w posługiwaniu się bronią. Lecz nigdy dobrowolnie nie będziemy strzelać do żywego celu.

– Tak przynajmniej twierdzicie. – Oficer zamilkł. Szerokie przednie okno pojazdu okalało jego głowę niczym *czarna* rama obrazu. – Chciałbym rozmówić się z twoim bratem – powiedział w końcu. – Ten... lord Brandir może okazać się... realistą.

– Naturalnie, może pan dzwonić. – Kaino uśmiechnął się. – Jeśli nikt nie odbierze, podam panu numer do jego kwatery prywatnej. Nie wiem, czy znajduje się w twierdzy i czy ma ochotę na rozmowy.

– Doskonale wie, że tu jesteśmy – odparł szorstko Sundaram. – Ile macie w tym rejonie ukrytych monitorów?

Następnych kilka minut pominięto. Pułkownik nawiązał łączność za pomocą podziemnego kabla transmisyjnego. Na ekranie telefonicznym przed Sundaramem ukazała się twarz, która zastąpiła obraz syna Dagny.

Wala, której po narodzinach nadano nazwisko Stefanii Tarnowskiej, odznaczała się istic lunanańską urodą: cerą równie białą jak Brandir, z dodatkiem bursztynowych włosów, które opadały do ramion, dużych, matowych, orzechowych oczu, wąskiej twarzy o delikatnych, rzeźbionych rysach. Na szatach, które uwydatniały jej smukłe kształty, pląsały iskierki światła.

Za nią, na tle szkarłatnej kotary, rozkwitała gigantyczna orchidea. Dagny wstrzymała oddech.

Oto matka wnuka jej i Edmonda.

– Witam – zaczęła Ivala śpiewnym głosem. – Lord Brandir jest nieobecny. – Czy mówiła prawdę? – Ale on i ja to jedno.

Dagny z podziwem obserwowała, jak Sundaram błyskawicznie odzyskuje panowanie nad sobą.

– *Lady Ivala?* Wielki to dla mnie zaszczyt. – Podał swoje nazwisko. – Jestem pewien, że zna pani cel naszej misji.

Ivala skinęła głową.

– Chcecie obejrzeć Wysoki Zamek i zbadać, jaką działalność się tu prowadzi.

– Dokładnie. Stojące za tą bramą osoby utrudniają nam przejście. Proszę, żeby nam pomogły.

Kąciki ust Ivali uniosły się.

– We wcześniejszych rozmowach niedwuznacznie oznajmiliśmy, że nie będziemy współpracować.

Sundaram zeszywniał.

– Teraz jesteście do tego zobowiązani na mocy decyzji władz Luny.

– Ma pan przy sobie nakaz rewizji? – Rozległ się śmiech. – Czyżby władze uznały te tereny za naszą własność? Wielki to dla nas zaszczyt.

– Proszę z nami nie igrać, *madame*.

– Czy wobec tego zamiast „obejrzeć” mam powiedzieć „napaść”, „zagrozić”,

„przeszkodzić”? – Ton jej głosu stał się chłodny. – Zachowujemy sobie prawo do odmowy udziału w takich działaniach.

– Żaden sąd nie przyzna takich praw.

– Czyżby był pan sędzią pomocniczym? – zakpiła.

– Jestem przedstawicielem prawa, obarczonym obowiązkiem, który zamierzam wypełnić. –

Sundaram znów urwał. Gdy podjął, mówił już spokojniej: – Jeżeli nie macie nic do ukrycia, to czemu naruszacie w ten sposób prawo? Moja grupa przeprowadzi inspekcję, a potem być może zalecimy podjęcie kroków zmierzających do uregulowania waszego statusu prawnego.

– Naruszenie prywatności jest sprzeczne z prawem. – Miękkie rysy twarzy stwardniały.

– Nie rozumiem. – Sundaram zmarszczył czoło.

– Przecież to jasne.

– Czy naprawdę odmawiacie współpracy? Jesteście gotowi stawić opór?

– Na niektóre pytania lepiej nie odpowiadać, pułkowniku. Do rozmowy wtrącił się Kaino:

– Proszę o chwilę uwagi. Zainteresował się pan naszym wyposażeniem. Może chce pan, żebyśmy pokazali, jak się go używa?

– To znaczy? – Sundaram aż podskoczył.

– Urządzimy pokaz. Jako wojskowego może to pana zainteresować.

– Dobrze – odparł beznamiętnym głosem Sundaram, przybierając wyraz twarzy, który niczego nie zdradzał. – Z całą pewnością będzie to ciekawe.

Kamera skierowała się na zewnątrz. Kaino i towarzysze poruszali się kangurzymi susami.

Zrzucili z ramion to, co na nich nieśli, i otworzyli ogień w kierunku stoku wzgórza. Serie z automatów dziurawiły strome zbocze. Jedna z nich oderwała kawałek glazu, wprawiła go

w ruch i popychała dalej. Wystrzeliła miniaturowa rakietka, zobaczyli błysk, kurz wzbił się ze świeżego, szerokiego na metr krateru. Ożyło i czwarte narzędzie, zmieniając obraz w plątaninę błysków i grzmotów.

Gdy wszystko się uspokoiło, ujrzeni stojącego na tle nieba Kaino z karabinem w rękę, zadartą, płomienną czupryną, gromko się śmiejącego.

Na monitorze pojawili się znowu Sundaram i Ivala.

– Dziękuję – wykrztusił z kamienną miną oficer. – Było to niezwykle interesujące.

– Nie sędzę, żeby pana ludzie dysponowali czymś podobnym – Iwala zamruczała jak kotka.

– Nie. Nie widzieliśmy potrzeby konstruowania broni piechotnej w kosmosie. Jak dotąd.

– Jak to? To, co pan widział, to zwykła zabawa. Sundaram wpatrywał się w śliczną postać.

– I nie grozicie nam?

– Absolutnie. – Serdeczny głos spoważniał. – Tylko ostrzegamy.

– Przed czym?

– Przed tym, co nieprzewidywalne. Wydarzenia bardzo łatwo mogą wymknąć się spod kontroli. Prawda? Pozwoli pan, pułkowniku, że zasugeruję naradzenie się z przełożonymi.

Powodzenia. – Jej twarz zniknęła.

Zhao wstał i poszedł wygasić ekran. Nie włączył z powrotem pejzażu z rodzinnych stron.

– Reszty oglądać nie musimy – stwierdził. – Pani wie, co się stało. Ostatecznie zespół otrzymał rozkaz zawrócenia.

Skinęła głową.

Stanął nad jej krzesłem.

– Na moje bezpośrednie polecenie – oznajmił. – Nie chcę prowokować gorących głów.

– Całkiem możliwe, że te głowy są nieludzko chłodne. – Uniosła na niego wzrok. – Tak czy inaczej, dziękuję, ekscelencjo. Jest pan rozważnym człowiekiem.

Na wargach zaigrał mu uśmiech.

– Dziękuję. Szczerze mówiąc, błędzę po omacku, jak wszyscy inni. – I ponuro dodał: – Zgodzi się pani, że takiej bezczelności nie mogę puścić płazem.

– To co pan pocznie?

– Najpierw zwrócę się do pani. To pani synowie. Wszyscy na Księżycu darzą panią wielką estymą. Jeżeli synowie się opamiętają., dopilnuję, by nie wniesiono żadnego oskarżenia.

– Spytałam, co pan pocznie? – Starannie ważyła słowa.

– Proszę?

– Nie posłuchają mnie ani męża, jak wszyscy dorośli, uparci mężczyźni. Może nawet jeszcze bardziej. – Zhao zajął miejsce naprzeciw niej.

– Nie przekonała mnie pani. Nie jest pani przeciętną kobietą.

– *Gracias*. Ale niech pan z drugiej strony nie pokłada zbytnej wiary w tym, co im mogę powiedzieć. To taka podstawowa zasada. – Dagny westchnęła. – Tak, często żałuję, że nie są bardziej... taktowni, przebiegli. Ale są tacy, jacy są. Właśnie w tym tkwi sedno problemu. Próbuje pan z nich zrobić istoty, którymi nie są i być nie mogą.

– „Lwa i Wołu tyczy jedno prawo: ucisk” – zacytował Zhao.

Dagny obrzuciła go zaintrygowanym spojrzeniem.

– Tak przed wiekami pisał poeta William Blake – wyjaśnił. Znowu wzrósł jej szacunek. –

A ja jestem wyrokiem sprawiedliwości dla wołu. I dla nieszczęsnej, zranionej Ziemi. Czy wy nie macie dla nas odrobiny litości?

Dagny przeszył dreszcz.

– Nie jesteście aż do tego stopnia zależni... Zresztą nieważne. Nie, nie pragnę konfliktu, a tym bardziej zbrojnego starcia. Byłoby to czyste szaleństwo. Tylko chcę pana przekonać, że aby go uniknąć, musielibyście dawać więcej niż zabieracie. Naturalnie w granicach rozsądku.

– Boję się, że ustępstwa spowodowałyby więcej żądań. Co będzie w przyszłości?

– Nie mamy nad nią kontroli. Ludzie łudzili się kiedyś, że nad nią panują.

– Teraz pani cytuje. Ansona Guthriego. – Uśmiechnął się blado.

– Czemu by nie? Ognista Kula jest istotnym elementem sytuacji. – Wychyliła się do przodu.

– Proszę posłuchać. Chce pan, żebym użyła swoich wpływów i skłoniła Brandira do kompromisu. W tym wypadku moje wpływy nie sięgają zbyt daleko, a gdyby sięgały,

niekoniecznie użyłabym ich do takiego celu. Jednak z całych sił spróbuję przekonać Guthriego. Niewątpliwie słyszał pan o naszej przyjaźni. On ze swej strony... coś wymyśli. Stabilność Luny leży również w interesie Ognistej Kuli. Zresztą nie dopuści, by ludzie ginęli od ognia, który może ugasić.

– Ale czy zdoła ich przekonać do przestrzegania prawa? – Zhao wyprężył się jak struna.

– Wydaje mi się, że wspólnymi siłami możemy skłonić ich do kompromisu, jeśli pan z kolei przekona do tego polityków Federacji. Chodzi mi o sprawy tego kalibru, co wpuszczenie zespołu Sundarama na tereny zajmowane przez Lunarian. Potem Lunarianie mogą zaprzestać pewnych działań, które nie uzyskają waszej aprobaty. – Nie wspomniała o możliwości, że inspektorzy nie znajdą wszystkiego oraz że raz zatrzymane przedsięwzięcie można zawsze uruchomić od nowa. – Federacja musiałaby uprzednio złożyć Lunarianom wiarygodną obietnicę, że zezwoli im na kontrolowanie lunariańskich terytoriów.

– „Ich” terytoria. – Zhao przygryzł wargę. – Własność prywatna, jeśli nie *de iure*, to na pewno *de facto*. Nie, coś znacznie gorszego. Feudalne włości. Ta czwórka przy bramie stanowiła część prywatnej armii. Co na to inni Lunarianie? Do czego będą dążyć po usankcjonowaniu takiego precedensu?

Dagny powstrzymała się, żeby nie poklepać go po ręce.

– Proszę się tym nie przejmować. Bandy umundurowanych Lunarian nigdy nie będą wałęsały się po Lunie, zastraszając wyborców. Oni interesują się polityką w naszym tego słowa rozumieniu mniej więcej tak samo jak moje koty. Owszem, ma na nich wpływ, reagują na nią, ale nie jest to gra, w którą mieliby ochotę się włączyć.

– Koty. – Tym razem Zhao uśmiechnął się swobodniej. – Sam trzymam dwie papugi.

– Chętnie bym je obejrzała. – Dagny odwzajemniła uśmiech.

– Zapraszam. – Uśmiech spelzł z jego warg. – Ale pani trzyma koty.

– *Bueno*, co pan powie na moją propozycję? – Zdecydowała się kuć żelazo, póki gorące.

– Naradzenia się z Guthriem? Bardzo proszę. I tak nie mogę pani tego zabronić. Potem zobaczymy. Jedno jest pewne: mamy trudny orzech do zgryzienia.

– Aha. I czeka nas mnóstwo niespodzianek. Mimo wszystko możemy mieć jednak nadzieję na podjęcie negocjacji pokojowych, prawda?

– Jak najbardziej.

Rozsądny, miły z niego człowiek, pomyślała. Chętnie by ustąpił, cały czas zachowując formy. Być może uda mu się przekonać tych na Ziemi. Naturalnie zachowa swoje wątpliwości.

Tak jak ona. Na przykład co do konsekwencji na dłuższą metę.

Nie da się ich przewidzieć. Człowiek tak naprawdę może się zмагаć tylko z otaczającą go teraźniejszością.

Już w podziemnym magazynie Kenmuir dostrzegł następne drzwi i ruszył w ich kierunku.

– Nie, nie tędy – powstrzymała go Norton. – Tędy wychodzi się z powrotem na ulicę. Tutaj.

– Nacisnęła zastawioną naczyniami półkę. Na pewno pełniła jednocześnie funkcję dźwigni, bo

część ściany odsunęła się. Przed nimi otworzyło się przejście, półmroczone, puste, o ścianach pokrytych matowozielonym plastikiem w spreju. Wszedł za nią do środka. Dotknęła drugiej dźwigni i ściana za ich plecami zasunęła się. Powietrze było duszne i zastałe, przesycone kurzem.

– Chodź – popędzała go. Zbuntował się i stanął.

– Co to w ogóle ma znaczyć? – zapytał stanowczo.

– To nasza droga ucieczki. O ile się nie mylę, oni pomyślą, że wydostaliśmy się stąd innym wyjściem, niezauważeni. Ale jeśli będziemy kręcili się w pobliżu, mogą wykryć nas czujniki ruchu, podczerwień przenika ściany, i będzie po nas. Idziemy.

– Ale co ma znaczyć to wszystko? – Potrząsnął głową. Pociągnęła go za rękę. Uchwyt miała mocny.

– *Kahuhu*, rusz się, ty *tonto!* Możliwe, że nasz czas mierzy się w minutach.

– Spokojnie, nie tak szybko. – Stawił opór. – Przed kim uciekamy? W co i dlaczego mnie pakujesz?

Puściła go, wzięła się pod boki i nerwowo zaczerpnęła tchu. Zwrócona ku niemu, pozbawiona wyrazu, blada twarz osobliwie kontrastowała z intensywnym tonem.

– Boisz się, że to jakieś przestępstwo? Słuchaj. Jesteśmy na usługach pani Lilisaire, prawda? Czy ktoś stawiał jej jakieś zarzuty?

– No, ja... ona...

– Myślisz, że Władze Pokojowe śledziłyby ją tak bez powodu, co? *Bueno*, powód istnieje.

I chyba ci o nim powiedziała? Pragnie powstrzymać realizację planów Biotopu. Od kiedy to

Przymierze Federacyjne zakazuje obywatelom państw członkowskich posiadania opinii politycznych i bronięcia ich? Od kiedy poszukiwanie informacji jest przestępstwem?

Przynajmniej jak dotąd prawo łamała tylko strona przeciwna. Zwłaszcza jeśli nie mylę się, podejrzewając, co wyprawiali z tobą. Dowiesz się wszystkiego i sam zdecydujesz!

– Chodzi ci o... – Nie umiał znaleźć słów. Przypominało mu to koszmar, z którego nie mógł się obudzić. – Spisek wewnątrz rządu...

– Nie wiem – odpaliła stanowczo. – Jak będziemy tu stali i na nich czekali, to nigdy się nie dowiemy. Ja idę. Ty rób, jak uważasz, ale przynajmniej mnie nie zatrzymuj.

Lilisaire. I czyn, każdy czyn był lepszy niż niezdecydowane czekanie na coś, co miało się zdarzyć. Możliwe, że jego obywatelskim obowiązkiem jest odkrycie prawdy, a potem, gdy pozwolą na to okoliczności, doniesienie o tym właściwym ludziom... kimkolwiek oni są. Kobieta gnała przed siebie rączym kłusem. Dogonił ją.

– Dobrze – stwierdziła. – Wiedziała, że się nadajesz, w przeciwnym wypadku przecież by cię do tego nie wybrali.

Nadaje się do czego?

Korytarz rozgałęział się. Poprowadziła lewą odnogą. Po pewnym czasie się skończył. Stanęli.

Powietrze drażniło mu nozdrza. Czuł, jak po żebrach ściekają mu strumienie potu, znacznie obfitsze, niż wynikałoby to z wysiłku podczas biegu.

– Zaczekaj – nakazała.

– Dlaczego? – Wrócił upór. Norton westchnęła.

– Tunel jest zamaskowany. Juana, kelnera, poprosiłam, żeby zorganizował wóz z zaciemnionymi szybami, który ma czekać w tym końcu. Teraz pójdę na górę i zorientuję się w sytuacji. Gdy przyjedzie, zejdziesz tu po ciebie. Jeśli się pospieszysz, może cię nie zauważą. Jeżeli dopisze nam szczęście, powinniśmy stąd zniknąć, zanim oni zdążą tu dotrzeć. – Wyśliznęła się

przez kłapę wyjściową, po czym zamknęła ją za sobą.

Stał, cały drżąc. Dręczyło go mnóstwo pytań. Ukrywać się? Przed kim? Oni? A po co ścigają jego, a nie ją?

Pytała o niezwykle zdarzenia w czasie podróży. Gdy jej opowiedział... chwila! Uniósł rękę, jakby chciał odpędzić strach. Nie, to niemożliwe, tak nie wolno. Ta kobieta z pewnością go nabrała. Albo natrafił na gniazdo obłąkanych, którzy nie zdążyli znormalnieć. Zaraz, zaraz, ale Lilisaire zatrudniła Norton, no nie? Zatem Norton... Czy Lilisaire zniżyłaby się do tego, by wykorzystać wariatów do zadań, których nie podjąłby się żaden człowiek o zdrowych zmysłach? Nie, to do niej niepodobne. A Norton sprawiała wrażenie fachowca, wrażenie wręcz przerażające...

Wróciła. Na jednym z ramion niosła metaliczną tkaninę. Czy faktycznie pod poważnym tonem dosłyszał nutkę śmiechu?

– Już jest. I przywiózł ci coś takiego. Stary, dobry Iscah. Ostry jak kiel rekina. Wkładaj.

Wziął to od niej i potrząsnął. Rozwinęło się coś w rodzaju tuniki z kwefem, z drobnej siateczki, której węzółki lśniły na ciemnym tle.

– Przenośna osłona – wyjaśniła. – Teraz nie powinni cię wykryć. A pojedziemy zwyczajnym samochodem, który nie wzbudzi podejrzeń żadnego urzędnika kontrolnego. Iscah na pewno zadzwonił do kogoś, kto mógł nam podesłać ten wóz. On zna w tym mieście wszystkich. –

Zabrzmiał jej śmiech, jak na kontraltowy głos dość przenikliwy. Kenmuir uświadomił sobie, jak bardzo tamta jest zdenerwowana.

Zarzucił strój na głowę. Był lekki i luźny, sięgał połowy łydek. Kolczuga: anachronizm równie dziwaczny jak cała reszta tego wieczoru. Norton poprowadziła go do pustej piwnicy, potem schodami do pustego pokoju, oświetlonego jedynie przez blask wpadający przez brudne okna. Niezamieszkaný dom, zorientował się, przeznaczony na kryjówkę lub drogę ucieczki – dla

kogo? Wyszli na ulicę. Czekaający tam pojazd przypominał taksówkę, którą jechał do miasteczka, tyle że z zewnątrz był bardziej poobijany i obdrapany, a w środku bardziej zapuszczony. Po drugiej stronie ulicy wznosiła się posępna kamienica. W dwóch oknach lśniło niebieskawe, zimne światło. Kenmuir był ciekaw, kto tam mieszka.

Dachy omiotły trzy smugi światła. Norton rzuciła *yta* nie okiem.

– To może być pościg. Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Czy zwrócą uwagę na strój Kenmuira i wylądują? Pospiesznie wsiadł do auta. Norton tuż za nim.

– Gotowi – oznajmiła samochodowi, który ruszył. Kenmuir obejrzał się za siebie. Reflektory pozostały w górze.

Podczas błyskawicznej akcji na nieznanym terytorium nawet najlepiej wyposażony oddział nie był w stanie z miejsca wszystkiego rozpoznać. Chyba jednak nie zgromadzono tu środków pozostających do dyspozycji całego cyberkosmosu. Poczł fale ulgi.

Czy aby słusznie? Gdyby go dostrzegli i złapali, czy nie byłoby to ocalenie?

Opadł na siedzenie, usiłując spowolnić tętno i raz jeszcze wyliczając powody, dla których robi to, co robi. Norton również siedziała bez ruchu. Mijane światła przebiegały na mgnienie oka po jej pseudotwarzy, która natychmiast pogrążała się w niepokojącym półmroku.

Zdobył się nareszcie na wykrztuszenie pytania:

– Dokąd zmierzamy?

– Sądę, że do laboratorium Iscaha – odparła tym samym, monotonnym głosem. – Mam rację? – zwróciła się do pojazdu.

– Nie znam tej informacji, nie mogę też podać adresu – odpowiedział samochód.

Wzruszyła ramionami i zwróciła się do Kenmuira:

– Juanowi zdołałam przekazać tylko tyle, że sytuacja wygląda na podbramkową, że jest ze mną osoba, która być może promieniuje, oraz że udamy się do pewnego punktu na Pico

z nadzieją, że Iscah zdoła dostawić tam jakiś środek transportu odpowiednio ekranowany. –

Głowa opadła jej na piersi. – Gdybyśmy mieli czekać do rana i nic by się nie pojawiło, nie wiem, co bym poczęła. – Głowa uniosła się, głos odzyskał barwę: – Coś bym wymyśliła.

– Ukryte drzwi, tunel i ekranowany pojazd – wyliczył powoli. – Nieźle orientujesz się w tym podziemiu, co?

– Niezbyt. – Przyglądała mu się przez chwilę, po czym kontynuowała: – Nie biorę udziału w żadnych bezprawnych działaniach. Nie jestem również częścią żadnego ruchu rewolucyjnego ani tym podobnego *pupile* – takich tam bzdur. Nie znam takich osób. Ja tylko pracuję z metamorfami. Zazwyczaj gdzie indziej, ale bywałam tutaj w związku z pracą i poznałam trochę tych ludzi.

Na chwilę umilkła, a gdy znów podjęła rozmowę, w jej głosie słychać było więcej emocji:

– Metamorfy na Ziemi... ciężki jest ich los. Uprzedzenia, dyskryminacja, a państwo nie może zbyt wiele dla nich zrobić, bo oni po prostu nie pasują do całości. I nie mogą. Przypomnij sobie Lunarian, szczęśliwców, którzy też nie pasują.

Znów zapadła cisza. Czekał. Kosmonauta ma w tym wprawę.

– Tworzą swoje organizacje, społeczeństwa – nawet cywilizacje, a przynajmniej ich załączki.

Fakt, czasami dopuszczają się rzeczy nielegalnych, lecz ofiary są zwykle innymi metamorfami, a często nie ma w ogóle żadnych ofiar; oni w ten sposób tylko pomagają sobie nawzajem w celu stworzenia modelu życia, który lepiej odpowiadałby ich gatunkowi. Różni przywódcy przeważnie próbują wypracować jakąś... wspólnotę, drogę, na której wszystkie metamorfy mogłyby otwarcie i legalnie współpracować. Nie jest to łatwe, nie zrobiliśmy zbyt dużych postępów, być może na dłuższą metę jest to zupełnie niemożliwe, ale trzeba chyba próbować?

I właśnie w takich działaniach biorę udział w imieniu swojego ludu. – Zastanawiał się, czy ona sama, pod tą maską, nie jest podrzutkiem. Jakiej jest rasy? A jeśli nie, to z jaką rasą i jak bardzo

się utożsamia? – Zostałam wtajemniczona w różne osobliwe sprawy, ponieważ chciałam uzyskać informacje, które mogłyby pomóc mojemu ludowi w obraniu najlepszej drogi. Nie zadawaj zbyt wielu pytań.

– Muszę cię trochę wypytać – wysapał. – Ty, oni, bardzo szybko reagowaliście na... urzędowe działania, byliście doskonale przygotowani. A taka postawa nie wygląda mi na legalną.

– Przyznałam, że niektóre działania są skryte – przypomniała mu. – My, przywódcy, z którymi mieszkałam, chcemy je stopniowo eliminować, ale póki co musimy współpracować z, można by powiedzieć, wodzami band, którym jednak zwyczajni, przyzwoici członkowie ufają. – Po kolejnej chwili ciszy dodała: – Wojny gangów już się praktycznie skończyły. Tak samo jak jawne prześladowania i nagonki z udziałem ludzi o normalnych genach. Ale historia metamorfów pełna jest tragicznych momentów, co nakazuje im zachować czujność.

Poza tym, dokończył w myślach, utrzymywanie struktur obronnych i wspólnotowych jednoczy, daje nadzieję i sens życia. Ognista Kula...

Norton wyraźnie opadła z sił.

– *Por favor*, jestem wykończona – szepnęła. – Możemy trochę odpocząć?

– Jasne – odparł współczująco. Sam też odczuwał wielkie zmęczenie.

Samochód przemierzał kilometr za kilometrem, w ciemności i przeważnie wśród ruin. Po pewnym czasie Kenmuir przestał patrzeć na zegarek.

Norton siedziała z zamkniętymi oczami, wtulona w kąt, być może spała. Owinęła się ciasno poncho, ukazując zgrabną sylwetkę. Była imponująco zbudowana, lecz Kenmuir wyczuwał w niej jakąś nielogiczną wrażliwość. Czemu walczyła w tej przegranej chyba sprawie? Dla dobra swojego ludu, niezależnie od tego, co to znaczyło? Mało prawdopodobne. Co przyrzekła jej Lilisaire?

A co tak naprawdę obiecała jemu?

Pojazd stanął, co przeniosło go z ciemności własnych myśli do mroku na zewnątrz. Norton wyprostowała się.

– Jesteśmy chyba na miejscu – stwierdziła.

W jej słowach dało się wyczuć radość. Gdy otworzyły się drzwi auta, zgrabnie wysiadła, jak gdyby odzyskała całą energię. Młoda, uznał Kenmutf. On sam zeszywniał, było mu zimno.

Pięćdziesiąt pięć lat to niedużo, zwłaszcza w tych czasach, ale wiek nużył ducha tak samo, jak w przeszłości. Wsiadł za nią.

Łuna nad murami oznaczała, że gdzieś w pobliżu znajduje się osiedle. Zatrzymali się przed tajemniczym budynkiem, w którego oknach zamontowano stalowe kraty. Ceglana fasada była raczej w dobrym stanie, o ile można było coś dojrzeć w ciemnościach, natomiast sąsiednie konstrukcje chyliły się ku ruinie, a jedna przedstawiała sobą zwał gruzów. Zdaje się, że Iscahowi zależało na izolacji.

Norton skierowała się ku drzwiom z nagłym, niewytłumaczalnym wahaniem.

– Nigdy tu nie byłam – przyznała. – Widziałam się z nim tylko raz, na... zjeździe organizacji i słyszałam to i owo o jego działalności. Zajmuje się techniką. – U ludzi, którzy nie mogą pozwolić sobie na zatrudnienie kogoś na pełnym etacie, albo nie chcą, żeby ktoś wiedział o łączących ich z nim stosunkach, pomyślał Kenmuir. – Carfax... agentka Lilisaire, która udzielała mi instrukcji, wspomniała, że można się kontaktować między innymi z nim.

Tak, pomyślał Kenmuir, Strażniczka ma na Ziemi więcej wysłanników niż Norton, a niektórzy z nich być może udzielają się bardziej niż ona. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż kobieta wykonuje pierwsze zadanie dla Lunarian, ponieważ ma najlepsze kwalifikacje w danych okolicznościach. A może najsilniejszą motywację? Z kolei inni zbierali informacje, wszelkiego rodzaju informacje, które mogą się kiedyś przydać. Znaczna ich część dotyczy zapewne heterosfery, gdzie funkcjonuje najwięcej niezarejestrowanych firm i nieprzystosowanych

osobników...

Drzwi otwarły się nagle. W strumieniu światła ukazała się sylwetka młodej Tytanki. Dała im ręką znak, żeby weszli i zamknęła za nimi drzwi.

Z trudem mieściła się w przedsionku. Ale gdy wziąć pod uwagę szerokość konieczną przy jej masie, była kobietą dość zgrabną, pochodzącą z Bliskiego Wschodu, ubraną w schludną bluzkę i spodnie w szkocką kratę. Jediną niezbyt przyjemną cechą ubioru był nóż u pasa i pieszczocha na ręce. Jej basowy głos był całkiem kobiecy i sugerował osobę wykształconą.

– *Bieiwenida, señorita Tam i sehor*. Mam nadzieję, że wszystko poszło dobrze?

Tam? Kenmuir zerknął na Norton. Tak, kelnerowi podała właściwe nazwisko, w przeciwnym razie nie ruszyłby palcem, żeby jej pomóc.

– Chyba wymknęliśmy się niepostrzeżenie – oznajmiła.

– *Muy bien*. Może zechciałby pan zdjąć ten płaszcz, *sehori* Dom jest pod stuprocentową osłoną... – Tytanka pomagała Kenmuirowi zdjąć tunikę, jednocześnie dodając: – Mam na imię Soraya. Proszę za mną.

Powiesiła metalową siateczkę na krześle i ruszyła w głąb korytarza tak lekko, że stare, wyschnięte deski podłogi prawie nie skrzypiały. Czuł za to, że drżą.

W głębi domu odsunęły się nowoczesne drzwi. Pomieszczenie za nimi również było całkiem współczesne, choć raczej zagracone. W celu stworzenia takiej przestrzeni na pewno zburzono ściany kilku dawnych pokojów. Sufit odbijał się bielą na półkach, szafkach, stołach, konsolach, przyrządach fizycznych, chemicznych, biologicznych, medycznych, informatycznych i innych, już nieznanym Kenmuirowi. Mimo zainstalowania krutek wentylacyjnych w powietrzu unosił się dość skisły odór, efekt prowadzonych tu prac. W tle coś tykało.

Sprzed terminalu komputerowego wstał jakiś mężczyzna. Był to Chemo, całkowicie pozbawiony owłosienia, ze skórą czarną jak obsydian. Chude ciało, długa twarz i czaszka oraz

blade oczy były nordyckie. Na koszulę i pończochy narzucił tylko szary fartuch, mimo to strój sprawiał wrażenie królewskiego. Za to mówił cicho, dość wysokim głosem.

– *Buenas tardes, señorita i señor.* Proszę usiąść. – Machnął ręką w stronę wysokich stołków.

Wyglądało na to, że nie ma zamiaru uścisnąć im dłoni, skłonić się lub w jakiś inny sposób przywitać. – Może kawy?

– *Gracias, no* – odmówiła Norton. – Jestem zbyt podniecona. A ty? – zwróciła się do Kenmuira.

– Ja też dziękuję – powiedział dość szczerze.

Coś mokrego przydałoby się, by zwilżyć zaschnięte wargi, ale nie chciał opóźnić toku wypadków, a poza tym nie miał pewności, czy cokolwiek przejdzie mu przez gardło. Znużenie zmieniło się w pulsujące napięcie. Tak jak Norton przysiadł na stołku. Soraya zajęła miejsce za ich plecami.

– Jestem Iscah. – Mężczyzna stanął przed nimi, wsparty o laboratoryjny stół, założył ręce na piersi i zaczął mówić: – Mniemam, że pani, *señorita*, to Alice Tam, znana również jako Aleka Karne. Muszę się po prostu upewnić. Czy zechciałaby pani zdjąć maskę? Soraya pani pomoże. Na mgnienie oka się zawahała, po czym gwałtownie skinęła głową.

– Chyba mi to nie zaszkodzi.

Poszła z Tytanką przez labirynt sprzętów na stanowisko medyczne.

– Jest to posunięcie leżące również w pani interesie – zauważył Iscah, gdy go mijała. – Jeżeli śledzący będą pytać gości Asilo, uzyskają pani rysopis w przebraniu. Zakładam, że nie znajdą sposobu, by skojarzyć go z pani prawdziwą osobą. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – O ile słowo „prawdziwa” ma tu jakikolwiek sens.

– Jestem Aleka Karne – rzuciła przez ramię. – Przynajmniej tak było, gdy ostatnim razem przeglądałam się w lustrze. – Rozpaczliwe silenie się na dowcipy przypadło Kenmurowi do

gustu.

– A do pana jak mam się zwracać, *señor!* – Iscah skupił się teraz na nim.

Kosmonauta zastanowił się. Do jasnego Q, nie występuje przecież w thrillerze historycznym wyświetlanym na jakimś multi, w którym trzeba zachowywać się tajemniczo. Wyrzucił z siebie nazwisko i zawód.

– I chciałbym się dowiedzieć, czemu służy ta cała maskarada? – dodał. Własny obcesowy ton go zaskoczył. To do niego nie pasowało. Iscah nie dawał się jednak wyprowadzić z równowagi.

– Podzielamy pańskie pragnienie wiedzy. Spróbujemy coś wywnioskować. Co może mi pan powiedzieć o tej sytuacji, kapitanie?

Kenmuir przełknął ślinę. Co ma powiedzieć, otoczony takimi groteskowymi figurami?

– Śmiało! – zawołała kobieta, która nazywała siebie Aleką. – Nie ma się czego wstydzić. –

I po chwili dodała: – Poza tym zdaje mi się, że rozpowszechnianie pewnych faktów zakłóci spokój tych skurwieli.

Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka, pomyślał Kenmuir, nawiązując do liczących stulecia tekstów, które umknęły działaniu niezliczonych cykli dziennych. Ale... Uśmiechnął się żałośnie.

– Obawiam się, że niezbyt dobrze mi pójdzie. – Faktycznie, całość dało się zamknąć w kilku zdaniach. – Pomimo ansy Lilisaire do Federacji, dopiero po tym, jak pani Nor... Tam wyciągnęła mnie z tego lokalu, zdałem sobie sprawę, że policja jest świadoma mojego istnienia.

– „Ansy” – zawtórował Iscah. – Czuję, że mógłbym polubić człowieka, który używa takich słów.

– Nie mam też ochoty na znalezienie się poza prawem – oświadczył Kenmuir. – Skoro rząd próbuje położyć kres tej sprawie, musi mieć swoje powody.

– A czy muszą być one słuszne? – spytała Soraya, wyjmując z torby jakiś instrument.

– Najpierw zajmijmy się gromadzeniem tych nielicznych dostępnych nam danych – wtrącił się Iscah. Poszedł w głąb pomieszczenia. – Proszę za mną, kapitanie.

Przy jednej ze ścian stały rzędy sprzętu elektronicznego. Kenmuir znał przyrząd, który wziął do ręki Iscah: magnetyczny wzornik pola. Nie mógł dojrzeć odczytu, gdy Iscah przesunął urządzeniem przy jego tułowiu, na dodatek ciemne oblicze tamtego było pozbawione wyrazu.

W drugim końcu pokoju pracowała Soraya, z niewiarygodną delikatnością posługując się swymi gigantycznymi rękami i odrywając maskę z twarzy Aleki. Można to robić samemu, Aleka zaś na pewno własnoręcznie nałożyła maskę, lecz zdejmowanie trwało bardzo długo i jeśli nie chciało się urazić wrażliwego organizmu, należało zachować daleko idącą staranność.

Dziwny związek, przyszło Kenmuirowi do głowy. Tytanka, zmodyfikowana genetycznie, aby była silna i wytrzymała, mięso piechotne posyłane tam, gdzie nie docierają wojenne maszyny, i Chemo, uodporniony na promieniowanie i zanieczyszczenia, które spowodowałyby śmierć przeciętnego człowieka; obydwójce pochodzili od nielicznych przodków zaprogramowanych do walki z rzeczami tak przestarzałymi, jak rządy i fanatyzm. Istoty pozbawione sensu i celu, zdane wyłącznie na siebie. Mógł się tylko domyślać, co robiły ze swym życiem. Wyglądało na to, że Soraya jest kimś więcej niż strażnikiem; czy więc Iscah jest kimś więcej niż zwykłym technikiem? Czy możliwe, żeby byli kochankami? Myśl wydała się najpierw szaleńcza, potem wzruszająca, wreszcie tragiczna.

Iscah badał Kenmuira za pomocą przeróżnych instrumentów, gdy odłożył ostatni z nich, odstąpił o krok i kiwnął głową.

– Miała pani rację, *señorita* Tam – stwierdził ciągle niewzruszonym głosem. – Ma w sobie szpiega.

Słowa jak błyskawica przeleciały przez głowę Kenmuira, nie pozostawiając śladów.

Orzeczenie było jak cios pięścią w twarz. Z trudem łapał dech.

– To niemożliwe! – krzyknął. – Jak ktoś mógł... nie ma cudów... – Zmroziło go spojrzenie barwy lodu.

– Pozwoli pan, że wyjaśnię – zaczął Iscah. – Ta metoda nie jest powszechnie znana, ale w moim fachu muszę wiedzieć o takich sprawach. Wstawiono panu zestaw połączonych assemblerów molekularnych. Może pan to sobie wyobrazić jako wirusa. Wszystko wskazuje na to, że podał je panu z drinkiem robot w poczekalni kosmodromu. Kropla tego płynu wystarczyłaby do uaktywnienia nanomasy. Czy potem nie czuł się pan nieco słabiej, nie miał gorączki?... Tak myślałem. Pseudowirus pobierał materiał z pańskiego krwiobiegu i za jego pomocą rozmnażał się. Gdy zebrała się dostateczna ilość assemblerów, przystąpiły do dzieła, wykorzystując oczywiście pierwiastki w pana organizmie: węgiel, żelazo, wapń – nie chcę zanudzać pana szczegółami. Proces jest sam w sobie nieszkodliwy, gdyż urządzenie waży nie więcej niż gram i zgrabnie wplata się w otrzewną w pobliżu przepony, zużywając niecały mikrowat metabolizmu sąsiadujących komórek. Jest to w zasadzie prosty obwód sterowany przez zwykły komputer z wbudowanym programem kierującym, chociaż jego część stanowi transponder do wibracji dźwiękowych.

– Nie znałam tych szczegółów – zauważyła Aleka głosem tłumionym przez skórę, którą ścigała z głowy. – Widziałam tylko doniesienia na temat pierwiastków znacznikowych, które umieszczano w ludziach i zwierzętach dla celów badawczych, a agent Lilisaire przestrzegał, że można tego dokonać skrycie.

Tak, przemknęło Kenmuirowi przez myśl, takie podejrzenia pasują do Lilisaire. Był to podstęp, do którego sama chętnie by się uciekła.

– To, to nie może promieniować tak... żeby radiacja została wychwycona... z daleka... przy szumie tła – zaproponował.

– Ależ, nie, nie – powiedział Iscah. – Wykrywa w pobliżu – czyli praktycznie w każdym

miejsca na Ziemi – normalną linię łącznościową i podłącza się do niej za pośrednictwem mi – krosygnau, nałożonej modulacji. Do przechwycenia, wzmocnienia i zinterpretowania takiego słabego impulsu potrzebne są specjalne urządzenia, ale cyberkosmosowi takich nie brakuje. Tym sposobem śledzi czyjeś poruszenia – również w powietrzu, bo każdy pojazd musi być w stałym kontakcie z Kontrolą Ruchu. Urządzenie przekazuje także mowę. Żeby podsłuchiwać to, co człowiek słyszy, przeprowadza linię do kanału słuchowego – a zapewniam was, że to submikroskopijna nić. Przerwy w nadzorze występują sporadycznie i są przypadkowe, chyba że się je zorganizuje tak, jak zrobiliśmy to my.

Kenmuira ogarnęła furia. Wydawało mu się, że nareszcie pojął, co czuje zgwałcona kobieta.

Nie żeby w ciągu kilku ostatnich dni mówił coś prywatnego. Ale kto to słyszał!

Z oddali dochodziły słowa myślącego na głos Iscaha:

– Zastanawiam się, czy szpiegowi udało się was podsłuchać w Domu Guthnego. Słyszałem, że dom ten jest dobrze ekranowany, a mówił pan, że pozwolono panu skorzystać z zastrzeżonej linii. Prawdopodobnie numer, pod który pan dzwonił, również uruchomił program maskujący. Proszę jednak brać pod uwagę ewentualność, że ten agent Lilisaire jest spalony.

– To, to pogwałcenie moich praw, zagwarantowanych w Przymierzu – wykrztusił Kenmuir. –

Nie wyraziłem zgody. Idę zaraz do najbliższego rzecz... – Umilkł.

– I co? – zapytał szyderczo Iscah. – Spodziewa się pan znalezienia i ukarania złoczyńców?

Proszę pamiętać, że to rządowi agenci.

– Ale dlaczego? Dlaczego?

– Tajemnica musi być największej wagi – skomentowała Aleka. – A to oznacza, że Lilisaire ma rację co do jej skali.

Podeszła do mężczyzny już bez maski. Kenmuir nie mógł oderwać od niej oczu. Poncho

zdejła także, ukazując umięśnione ciało, odziane w prostą tunikę i legginsy. Jej twarz również

przykuwała uwagę. Odnosiło się wrażenie, że połączyły się w niej harmonijnie genotypy wszystkich ziemskich ras. Rzecz jasna ludzie, których stać na biorzeźbę, mogą zafundować sobie każdą dowolną twarz, ale jej oblicze było z pewnością naturalne. Tylko natura mogła ożywić je takimi drobnymi nieregularnościami i rysami szczególnymi.

– Jak będziesz domagał się sprawiedliwości? – zapytała. Energia go opuściła. Zgarbił się.

– A co ja teraz mogę? – wymamrotał. – Jestem naznaczony. Jakiś lekarz będzie mi to musiał wyciąć.

– To zajęłoby co najmniej dzień w klinice, w której dysponują środkami przyspieszającymi gojenie – orzekł Iscah. – Ja ich nie mam, a pójście do takiej instytucji pokrzyżowałoby nam plany. Na szczęście mogę tak zamontować rezonator, że obwód spali się od przeładowania. Przy takich mocach nie jest to groźne dla organizmu. Ból będzie minimalny i krótkotrwały. Potem, w bardziej sprzyjających czasach, może pan iść na operację. Mnie by się me chciało. Resztki urządzenia będą nieczynne i niezauważalne.

Kenmuirowi dodało to otuchy. Wyprostował się.

– To co?

– Zastanowimy się – stwierdziła Aleka. – W razie czego nam pomożecie, prawda?

– Z pewnością – zagrział nad ich głowami głos Sorai.

– Dlaczego? – pytał zdezorientowany Kenmuir. Iscah zachichotał.

– W odpowiednim czasie przedstawię pani Lilisaire odpowiedni rachunek.

– Nie... chodzi mi o... ryzyko...

– Ryzyko towarzyszy nam cały czas – powiedziała cicho Soraya. – Czuję, że ta gra toczy się o bardzo wysoką stawkę.

– Naprawdę? – zdziwił się Kenmuir. – A co wy, wasz lud, możecie na tym zyskać?

– Może nic. Może dużo. Zobaczymy.

Patrzył na nich po kolei. Wściekłość w nim wygasła, pozostał tylko chłód w głębi duszy. Był człowiekiem miłującym spokój, a teraz nic z tego nie rozumiał i dręczyły go wątpliwości.

– Nie możecie chyba ważyć się na... obalenie Federacji. Nie jesteście obłąkani. A ja, ja bym na to nie poszedł. Koniec końców być może istnieją uzasadnione powody, dla których zachowuje się tajemnicę.

– W takim wypadku – stwierdziła Aleka – powiedzieliby o tym jak każdy uczciwy *po e*. Nie ujawnia się wielu informacji, ale wszyscy wiedzą dlaczego. Na przykład jak manipulować automatycznym kierowcą, żeby pojazd uderzył w określony cel. Ale nie, oni się włamali do twojego ciała, zaczęli obserwować twoje najzupełniej uprawnione śledztwo, zanim je jeszcze rozpoczęłeś. – Na chwilę zamilkła. W ciszy głośniejszą niż zwykle słychać było tykanie. – Ja też nie chcę anarchii – wyszeptała – ale sądzę, że natknęliśmy się na zbrodniczy spisek.

– I przeciwstawimy mu się własnymi siłami? – dokończył drwiąco.

Ujęła go za rękę. Jej dłonie były ciepłe i mocne; czuł niewielkie pęcherze.

– Błagam, posłuchaj mnie. Bardzo możliwe, że w którymś momencie zwrócimy się do odpowiednich władz. Ale do których? Czego możemy dowieść? Że założył ci podsłuch... ktoś, kogo nie można wytropić? Za to ktoś ustosunkowany, kto będzie mógł kontratakować, a potem ukryć całą sprawę w strefie subdukcyjnej. Zanim się ujawnimy, musimy zdobyć więcej informacji. Zdaje mi się, że wiem, jak i gdzie ich szukać. Bądź ze mną przynajmniej do tej pory, Kenmuirze. Jesteś człowiekiem, wolnym człowiekiem. Chodź ze mną!

Wolność, Lilisairé i na powrót narastająca chęć zemsty. Skoro przygotowali mu coś takiego, co mogą zrobić innym? Pobiegł myślą w przeszłość, do czasów, kiedy ten groźny twór można było zdusić w zarodku, ale dopuszczono, by coraz bardziej się rozrastał. Co powiedział Burke? „Wystarczy, że dobrzy ludzie nie będą nic robili, a zło zatriumfuje”. Coś w tym guście.

Czy faktycznie zetknął się ze złem? Jedyłą możliwością odpowiedzi na to pytanie dawało

wytropienie prawdy. O ile to możliwe. Aleka w to wierzyła, a była poinformowana lepiej niż on i...

– Niech będzie – usłyszał własny głos, czując jednocześnie wybuch radości. – Na razie się przyłączam, zachowując sobie prawo do odejścia, gdy tylko będę chciał.

A diabeł w jego głowie dorzucił, że bardzo intrygowała go owa tajemnica, która sięgała korzeniami do zarania świata Lilisaire.

MATKA KSIĘŻYCA

Lars Rydberg wkrótce pojął, że podczas wizyt u matki i ojczyma czuje się jak u siebie w stopniu większym niż gdziekolwiek indziej, nawet bardziej niż u pary starszuchów, którzy dali mu wykształcenie i miłość. Beynacowie byli ludźmi kosmosu, ludźmi Ognistej Kuli. Ekspedycje, podczas których rzadko kontaktowali się osobiście, jeszcze bardziej go z nimi wiązały.

Tym razem na wielkim monitorze w ich salonie znalazł się widok Archipelagu Sztokholmskiego. Na Ziemi wielką przyjemność sprawiało mu pływanie pod żaglami. Fale tańczyły i skrzyły się pośród licznych wysepek; wiatr chwiał koronami drzew, przeganiał chmury po błękitnym niebie i kołysał łódkami. Odgłosy, szумы i gwizdy były delikatne. Obieg powietrza nastawiono na gorzki posmak soli i blask słońca, które łączyły się z woni kwiatów Dagny. Chciała sprawić mu radość. Tak jak wszyscy.

Wszystko szło mniej więcej zgodnie z oczekiwaniami. Fakt, uśmiechał się z rzadka, ale zawsze był człowiekiem poważnym, skupionym w sobie. Dziś siedzieli i słuchali opowieści o jego ostatniej wyprawie. Było ich w sumie czworo. Jinann, najmłodsza córka Beynaców, mieszkała jeszcze z rodzicami.

– ...lot w kosmos odbył się bez niespodzianek – mówił. – Zwyczajna, długa, leniwa podróż.
– Ale sam mówiłeś, że sprawa była pilna – wtrąciła Jinann. – Czemu przez całą drogę nie leciałeś na jednym g?

Znała się na takich sprawach mniej niż większość mieszkańców Księżyca. Interesowała się sztuką, zwłaszcza jubilerstwem, które zaczynało przynosić jej przyzwoity dochód; i szeregiem burzliwych romansów z mężczyznami. Dziwnym zbiegiem okoliczności jednocześnie pasjonowało ją poszukiwanie prawdy i sensu. W sumie była z całego potomstwa najbardziej zżyta z rodzicami i wyglądem najbardziej przypominała Ziemiankę – Dagny Ebbesen w wieku

dwudziestu czterech lat.

Rydberg posłał jej spojrzenie dyskretne, lecz niewątpliwie pełne zachwytu.

– Przy takiej masie koszty paliwa byłyby absurdalne w porównaniu do zaoszczędzonego czasu – wyjaśnił.

Dagny przypomniała sobie o niedawnej zmianie w języku. „Paliwo” zaczęło oznaczać nie tylko antymaterię, lecz również materiał, który był wynikiem jej spalania. Chociaż osiągnano już znakomite efekty, nie powinna zapominać, że na to wszystko trzeba czasu, trzeba rozsądnie gospodarować inwestycjami w starsze modele statków kosmicznych... Myślała językiem Guthriego. Poczula ukłucie bólu.

Z powrotem skupiła się na słowach Rydberga.

– ...i stale mieliśmy pełną masę, gdy już wprowadziliśmy kadłub w ruch obrotowy.

Oczy Jinann rozszerzyły się. Gdy się prostowała, jej włosy rozpały się na tle nieba i wodnym płomieniem.

– Pajęcz statek, no nie? Cud natury. Próbowałam zrobić broszkę w takim kształcie, wmontowałam minisilnik, żeby wprawić ją w ruch, ale wokół brakowało wszechświata.

Chciałabyś zobaczyć nasz? – spytał Rydberg. Pod maską rezerwy, myślała Dagny, ma dla ludzi więcej serca, niż się wydaje, może nawet więcej, niż sam sądzi. – Skoro mam ci pokazać zdjęcia, powinniśmy zacząć od tego. To skan standardowy, podobne rzeczy widziałas setki razy.

Ale ten... podnosi na duchu.

– Co nam się jak najbardziej przyda – burknął Edmond Beynac.

Zamknął w swej ręce dłoń Dagny.

– Cii – szepnęła. Nie chciała psuć ulotnej atmosfery w pokoju. Jednak jego troska była budująca. Sam też odczuwał stratę – jakże mogło być inaczej? – ale wiedział, jaki to dla niej cios.

Rydberg podjął suchy wywód:

– Duży statek kosmiczny z reguły wypuszcza na zewnątrz małego żuka, który prowadzi obserwacje, uzupełnia instrumenty i czujniki, pilnuje, żeby wszystko było jak należy.

Kosmos nie wybacza, pomyślała Dagny. Biegła wspomnieniami przez wszystkie te lata, myślała o zmarłych i tych, którzy są blisko śmierci.

Rydberg wyjął z tuniki kieszonkowy bank danych i uruchomił ekran multiodbiornika.

Zobaczyli zapis dokonany przez latającego wokół statku robota. Odległości skurczyły się, kadłub pojazdu zmienił się w łzę, odbijającą się na tle czerni i mroźnych gwiazd; cztery fulerenowe przewody ciągnące się po kilometrze od bioder statku przypominały babie lato, na ich końcach lśniły strąki. Obracały się niczym wskazówki sekundnika na zabytkowym zegarze, odmierzające czas podróży pośród planet.

– Cudowne – wydyszała Jinann.

– Za to życie w środku nie jest takie znowu wspaniałe.

Rydberg przez chwilę szeroko się uśmiechnął. Zrobił zbliżenie synchronicznej rotacji statku.

Jakiś człowiek schodził po szczeblach w elastycznej rurze powietrza przymocowanej do kabla.

Kamera śledziła jego ruchy aż do strąka, do którego wszedł. Potem ujrzeli kolejną scenę sfilmowaną na ciasnej kwaterze.

– To ja.

Ograniczenia techniczne nie pozwalały na uprawianie zbyt wielu hobby. Na obrazie Rydberg siedział przy warsztacie i za pomocą różnego rodzaju narzędzi starał się ręcznie wyrzeźbić długi kawałek drewna. Kamera skupiła się na wzorze składającym się z misternego gąszczy pnączy i liści. – Będzie to fryz do komody, którą zrobię na Ziemi.

– Dla siebie, do domu? – zapytał Beynac.

– Do domu, który chciałbym znaleźć – westchnął Rydberg.. – Mam już dość wynajmowanych mieszkań.

Tak, myślała Dagny, pracy w kosmosie zostało mu niewiele. Kiedy zaczynało się tę zabawę za młodu, kończyło się bardzo wcześnie. Niezależnie od leków na długowieczność i od robotyki, dzięki której ludzka powolność i kruchość traciły wszelkie znaczenie. Po przekroczeniu pewnego progu żadna biotechnologia nie potrafiła zrekompensować skutków długotrwałego promieniowania. Pewnego pięknego dnia zostanie udoskonalony ekran elektromagnetyczny, który powstrzyma promienie kosmiczne i słoneczny wiatr, ale na razie ograniczały one czas, jaki człowiek mógł przepracować w kosmosie. Z reguły ludzie odchodzili po pięćdziesiątce, chcąc jeszcze normalnie i zdrowo przeżyć kawałek życia. Skronie miał już posypane srebrem...

Mniej przejmowała się zaawansowaną siwizną Monda zestawioną z jej płomiennorudymi włosami, boje farbowała, bardziej w akcie oporu niż próżności. Większą część życia spędzili wewnątrz Księżyca, który zapewniał o wiele lepszą ochronę.

Wróciła wzrokiem do obrazu. Człowiek, który go filmował, niewątpliwie na czyjeś życzenie, odsunął się daleko od statku, chcąc uzyskać panoramiczny widok. Jakaś ponętna kobieta podeszła do Rydberga, popatrzyła, co robi, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Hm, to Leota Mannion z Ameryki Północnej, jeden z inżynierów, których wieźliśmy – nieco pospieszył się z wyjaśnieniami.

– Wygląda sympatycznie – zauważyła Dagny, rozpogadzając się.

– Cóż, podczas długich ekspedycji... – Rydberg odwrócił głowę.

Jego przyszła? Naprawdę najwyższa pora na dzieci. Zwłaszcza jak na kosmonautę. Dagny nie była przekonana, czy nanokuracje potrafiły w stu procentach leczyć zmutowane DNA.

Faktem jest, że ona i Mond mieli już wnuki i spodziewali się następnych – u Brandira i jego dwóch żon, Verdei i Zarenn (niegdyś Jiang Xi), którym udzielała ślubu według nieziemskiego obrządku; u żyjącego w czymś w rodzaju komuny Kaino (choć w tym przypadku tylko analiza genetyczna mogła wykazać, kto jest czyim ojcem, a członkom wspólnoty jakoś niezbyt na tym

zależało), Temerira i jego koleżanki Hylii (przedtem Olgi Voulainen), może w przyszłości u Fii i Jinann... Ale Lars był Ziemianinem.

Cieszyłaby się z północnoamerykańskiej żony. Naturalnie coraz powszechniejsze było tam przekonanie, iż republika konstytucyjna nie sprawdza się jako forma państwa. Ale w razie potrzeby zawsze można wyjechać za granicę. Co prawda Lars nie był pierwszej młodości, ale wiek nie przeszkadzał mu jeszcze w rozpoczęciu nowego życia. Ma go przed sobą sporo, około siedemdziesięciu pięciu lat, jeżeli będzie się stosował do reżimu medycznego i ominą go tragiczne niespodzianki losu...

Ach, gdyby tylko wujanso urodził się trochę później, tak by metody leczenia zostały już wypróbowane i mógł z nich skorzystać!

Ale wtedy wszystko potoczyłoby się innym torem, Dagny pewnie nigdy by go nie poznała, być może nigdy nie przyszłaby na świat...

Zamrugła oczami, chcąc powstrzymać łzy, i usłyszała pytanie Jinann:

– Czy wy rzeczywiście żyjecie podczas lotu w kompletnej izolacji? Czy podróż nie zostawia miejsca na *samach P*.

Powaga młodości, pomyślała Dagny. Na wargach jej zagościł blady, dodający otuchy uśmiech. Jinann była najpierw wyznawczynią buddyzmu, potem kosmologii; teraz wędrowała samotnie i biła się z myślami pod gwiaździstym niebem Luny. Czy kiedyś stanie się prorokinią swego ludu?

– W pracy mamy wystarczająco dużo kontaktu z wszechświatem – odpowiedział Rydberg. –

A oto kres naszej podróży, tuż za orbitą Saturna.

Kamera pokazywała niewielką kometę. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała zbyt imponująco, była niemal brzydka: ciemna, niekształtna bryła na tle majestatu galaktyki. Gdy kamera wykonała zbliżenie, zarówno umysł, jak i zmysły przekonywały widza, że nieduży

rozmiar oznacza w tych przestrzeniach coś zupełnie innego: wiele miliardów ton skały, zakrzepłych gazów i lodu. Kamera omiotła, jednym, zapierającym dech w piersi ruchem, poznaną licznymi otworami powierzchnię, by skupić się na instalacjach wzniesionych przez ludzi. Konstrukcje te nie należały do mikroskopijnych. W każdym innym miejscu owe budowle, maszyny i wysokie szkielety natychmiast przykuwałyby uwagę. Obraz znieruchomiał. Rydberg włączył wskazówkę, chcąc pokazać punkty, w których dźwigary wybrzuszyły się lub wygięły.

– Widzicie, że fundamenty nie wytrzymały pod naporem masy – mówił. – Uszkodzenie przekraczało zdolności samonaprawcze układu i towarzyszących mu urządzeń. Pamiętacie chyba z wiadomości, że powodem było trzęsienie gruntu wywołane z kolei reakcją na nieustający nacisk.

Beynac parsknął.

– Mówiłem tym idiotom, żeby przede wszystkim dokładniej zbadali wnętrze komety. *Tetes de merde!*

– Był to głos rozsądku, jak powiedziałyby Leota Mannion – odparł Rydberg, kierując te słowa głównie do Jinann. – Przy ówczesnych odległościach i niedostatecznej liczbie statków spawalniczych dalsze badania zajęłyby wiele lat i kosztowały fortunę. Jednocześnie położenie komety byłoby coraz bardziej niekorzystne, aż w końcu okazja by się nam wymknęła. Podjęto decyzję o rozpoczęciu prac na podstawie wiedzy, którą uznano za solidną, i postanowiono popychać komety w stronę słońca.

– Wiem, wiem – mamrotał Beynac. – Gdyby wysłano na miejsce mnie i kilku moich uczniów, zdążylibyśmy ich przestrzec.

To by mu dopiero sprawiło rozkosz, pomyślała Dagny. Rozwiązał aż za wiele zagadek Księżyca. Uzupełnianie ich szczegółowymi danymi nigdy nie przypadało mu do gustu; jego ekspedycje w teren coraz bardziej przypominały krążenie dzikiego kota po klatce.

– Jak wam wiadomo, wmontowano zabezpieczenia i ten wypadek nie miał katastrofalnych następstw – oznajmił niepotrzebnie Rydberg. – Interweniowaliśmy na czas. – My. Dagny nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy syna i jego brygadę w akcji. – Naprowadziliśmy ją z powrotem na początkową orbitę.

– Dla celów transfiguracji – mruknęła Jinann. Rydberg uniósł brwi.

– Czy twoim zdaniem to coś złego? Niektórzy nie pochwalają tej operacji.

Utrzymują, że komety należy pozostawić w stanie nienaruszonym, tak by mogły swym pięknem oddawać cześć słońcu. Ale ta akurat nie miałaby na to szans, myślała Dagny. Mijałyby eony, a ona przemykałaby przez Pas Kuipera, przecinając orbity Neptuna i Plutona, gdzie Słońce było zaledwie najjaśniejszą z gwiazd

– Nie, nie – potrząsnęła głową Jinann. – Powiedziałam „transfiguracja”.

Przemiana w coś żywego. Dagny znów przebiegł dreszcz. Lód, wydobywany i przewożony na Lunę, woda, zniwo obfitsze niż plony, które można by uzyskać z asteroid, początek bogactwa, które nareszcie obdarzy mieszkańców rzekami, jeziorami, może nawet wewnętrznym morzem; a istoty żywe składają się przede wszystkim z wody.

Duma najbardziej rozpierała ją na myśl, że sama brała udział w tej batalii, w tym wyzwaniu, polityce, transakcjach i unikach, porażkach, rozpaczach i okupionych wielkim wysiłkiem powrotach do momentu, gdy Federacja Światowa przyznała, że warto zapłacić za nowy, całkowicie ożywiony świat.

Z drugiej strony nie przypisywała sobie zbyt wielkich zasług. Bez wsparcia Ognistej Kuli mieszkańcy Księżyca byłiby zaledwie gromadką much, które można odegnąć ruchem ręki, gdy zaczynają głośno bzyczeć.

Tę samą myśl wypowiedział cichym głosem jej mąż.

– Powinniśmy dziękować za to Ansonowi Guthriemu.

– Tak – wyszeptała.

Jinann obdarzyła rodziców niespokojnym spojrzeniem.

– Jak sądzicie, co się teraz stanie, po jego odejściu? – spytała.

Mimo lunariańskiej duszy czuła się tak, jakby upadło wielkie drzewo, pozostawiając puste miejsce na niebie.

Dagny nie podzielała takich uczuć. Może to przyjdzie z czasem. Teraz była pora żałoby po wujanso.

– Ognista Kula nie przestanie istnieć, nie obawiajcie się – zapewnił Rydberg. – Na szczęście zanim umarł, zdecydował się na zasejwowanie swej osobowości, lecz nawet bez niego Ognista Kula zachowa jego siłę, marzenia.

– Marzenia mogą umrzeć – zauważyła Jinann – a wraz z nimi ginie siła.

Jaki był ten zapis osobowości Guthrieego? Dagny z trwogą oczekiwała godziny, w której będzie musiała go poznać.

– Dopilnujemy, by tak się nie stało – przyrzekł Rydberg. Zwrócił się do Dagny i zaczął mówić z zapałem, za którym – jak wiedziała – zawsze skrywał coś, co go dręczyło. – Mond, zapowiadałem, że mam dla ciebie ciekawe wieści.

Geolog też ucieszył się ze zmiany tematu rozmowy.

– Tak?

– W trakcie prac remontowych podjęliśmy oczywiście intensywną obserwację nieba. Orbita komety będzie różnić się od trasy, jaką z początku przewidywano, do tego stopnia, że musieliśmy sprawdzić prawdopodobieństwo uderzenia meteorytu. Po analizie wyników obserwacji komputer orzekł, że taka groźba nie istnieje. Ja jednak miałem trochę wolnego czasu, a pamiętałem jeszcze twoje teorie na temat krążących po kosmosie odłamków asteroid. Zaprogramowałem poszukiwanie sygnałów, które normalnie zostałyby zignorowane.

– Tak? I co odkryłeś? – Beynac pochylił się.

– Nic malowniczego. Widmo odbicia, niezwykle trudne do odczytania i bardzo niewyraźne, obiektu, który w świetle obowiązujących teorii nie powinien krążyć po takiej orbicie, po jakiej krąży. Przepraszam, teraz na chwilę przerwę pokaz.

Włączył bank danych. Obraz komety ustąpił miejsca wiązce rozmazanych linii, umieszczone pod spodem liczby oznaczały długość fal, jeszcze obok widniały kolumny jakichś innych liczb.

Na dole ekranu znajdował się spis wniosków z analizy suchych danych.

Beynac zmrużył oczy, mało nie poderwał się z krzesła, opadł na nie z powrotem i wymamrotał:

– *Mon Dieu. Enfin, enfin.* – Po chwili zwrócił się do Rydberga: – Ja wiedziałem, że musi tak być. Jeśli miałem rację, było to konieczne. Ale nikt nie badał tego tak, jak powinien.

Myśli Dagny nuciły pieśń na jego cześć. Złapała go za rękę.

– Co to ma znaczyć? – zainteresowała się Jinann.

– To asteroida nikłowo-żelazowa, obecnie znajdująca się trzydzieści jednostek od słońca – tłumaczył Rydberg. – Nie dysponujemy jeszcze danymi liczbowymi, które umożliwiłyby wyliczenie dokładnej orbity, chociaż wysłałem jedną superszybką sondę i uzyskałem paralaksę. Peryhelium znajduje się w przybliżeniu pięć astronomicznych jednostek długości, afelium czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy – ultrakometowych. Nachylenie do ekliptyki wynosi czterdzieści trzy stopnie.

Dziewczyna była zaznajomiona z podstawami astronomii – jak każdy mieszkaniec Księżyca – słyszała też często, jak ojciec wypowiadał swoje herezje.

– Coś takiego nie powinno istnieć, dobrze myślę? – zapytała.

– Nie, nie, *rien labas*, tam powinny być tylko lodowe karły – odparł niemal odruchowo

Beynac, jakby spał lub był oszołomiony. – W ramach standardowego obrazu świata. Przyznaję, iż

pomysły skolonizowania komet są niedorzecznością. Zbyt oddalone od siebie, zbyt skąpe złoża minerałów, zbyt głęboko ukryte pod lodem. Ale coś takiego... – Ucichł. Patrzył nieruchomo przed siebie i ciężko dyszał.

– Możliwe, że obiekt nie powstał aż tak daleko, szczególnie że ma zakrzywioną orbitę – mówił Rydberg do Jinann. Tłumaczył nieskładnie, nie będąc pewnym, co ona już wie, nie chcąc jej ani obrażać, ani pozostawiać w nieświadomości – Wpatrywała się w niego z przyjazną uwagą. Kątem oka Dagny obserwowała z podziwem, jak córka potrafi w dowolnej chwili przybierać pozę ziemskiej kobiety. – Pewnie znasz pomysł swojego ojca, który narodził się w wyniku badań dystrybucji asteroid w centrum Układu Słonecznego. On uważa, że między Marsem a Jowiszem istniało na początku więcej niż dziesięć ciał, o których mówi powszechnie przyjęta nauka, a zderzenia zmniejszyły ich liczbę właśnie do znanych nam obecnie dziesięciu. – Przełknął ślinę.

– Miałem wrażenie, że nasze odkrycie mogłoby stać się dowodem na poparcie tej teorii.

Beynac zwrócił się w ich stronę. Jak doskonale Dagny знаła ten jego nastrój, kiedy intelekt krąży w poszukiwaniu ofiary, na którą może się rzucić.

– Uważam, że te jedenaście wzięło się z trzech – zagrzmiął.

– Możliwe, że dowiemy się czegoś dzięki temu ciału. Ale to nie jest to największe, które zaginęło. Za małe. A tego rodzaju orbita jest niestabilna. Za kilka milionów lat planety drastycznie ją zmieniają. Moja duża, gęsta asteroidea została wypchnięta o wiele wcześniej, w początkach istnienia Układu Słonecznego. W przeciwnym bowiem wypadku mielibyśmy więcej odłamków takich jak ten, na który natrafiłeś, Lars. Ten został zawrócony prawdopodobnie w wyniku zetknięcia z dużą kometą. Co oznacza, że ten wielki jeszcze krąży gdzieś w przestrzeniach międzygwiazdnych po szerokiej i zakrzywionej orbicie. Możliwe, że kiedyś go znajdziemy. Ale najpierw zajmiemy się tym maluchem.

– Nie wiem, kiedy to będzie możliwe. – Rydberg wzruszył ramionami.

Beynac najeżył się.

– *Hein?* – warknął.

Rydberg wziął piwo, które przedtem odstawił, i napił się, cały czas zbierając myśli.

– W obecnych warunkach... – zaczął. – Guthrie z miejsca sfinansowałby jakąś ekspedycję, ale on już nie żyje. Obejmowanie kierownictwa przez jego zasejwowaną osobę powoduje ogromne zamieszanie, i nie wiadomo jeszcze, czy jest to w ogóle możliwe. Stronictwa w obrębie Ognistej Kuli starają się wykorzystać sytuację. Politycy łowią ryby w mętnej wodzie. Tak, do nas w kosmosie też dociera mnóstwo wiadomości i w drodze powrotnej długo się nad nimi zastanawiałem. Poza tym projekt Alfa Centauri pochłania większość funduszy specjalnych Ognistej Kuli, co się nie zmieni, dopóki realizacja nie osiągnie zaawansowanego stadium.

Co było słuszne, dodała w myślach Dagny. Czy wyprawa na sąsiadującą z Sol gwiazdę nie była hołdem złożonym przez wujanso Julianie, która pierwsza podsunęła mu tę myśl? Minisonda, za nią uniwersalny statek, obładowany zakodowanymi na poziomie molekularnym instrukcjami do skonstruowania robotów, które przeprowadzą na tych planetach konieczne badania naukowe...

– Tymczasem asteroida się odsuwa, z każdym cyklem dziennym dotarcie do niej wymaga większego wysiłku i większych wydatków, aż w końcu oddali się być może bezpowrotnie. –

Pomruki Beynaca zmieniały się w ryk. Zerwał się na równe nogi. – Nie! Za żadne skarby świata!

Nie! – Potrząsnął zaciśniętą pięścią, dopadł ściany, stanął, groźnie rozglądając się wokół siebie.

– Możesz starać się o przyznanie funduszy na badania – zaczął Rydberg.

– Możemy przeprowadzić kampanię poparcia – dorzuciła Dagny.

Ku jej zdumieniu do rozmowy włączyła się Jinann. Dagny wiedziała, że w dziewczynie narasta fala tej samej żółci, która stanowiła motywację działania jej braci.

– Gdybyśmy chociaż mieli swój statek! Ale nic z tego, nigdy nie zezwolono nam na

posiadanie więcej niż kilku krążowników orbitalnych. Czy obawiają się, że uderzymy na

Hiroszime?

No cóż, rodzice chyba nigdy nie dowiedzą się, co naprawdę dzieje się w sercach ich lunariańskich dzieci!

– Uzyskanie zgody najprawdopodobniej zajęłoby zbyt dużo czasu – ciągnął Rydberg. –

Nawet konkretne modele robotów zamawia się z dużym wyprzedzeniem. Również te, których jeszcze nie skonstruowano i nie zaprogramowano. Na wszelki wypadek należałoby dołączyć ze dwóch ludzi, żeby przy długich przerwach w transmisji można było błyskawicznie podejmować decyzje. Sądzę, że najpierw powinniście spróbować wynająć statek na wyprawę załogową. Jeżeli was na to stać, Ognista Kula ma trzy lub cztery zapasowe. Dagny przebiegł dreszcz.

– Brandir ma dużo pieniędzy. Moglibyśmy go poprosić.

Możliwe, że by trochę wyłożył, kierując się chęcią przysporzenia chwały i wielkości swojemu domowi i Lunie. Może też z miłości do ojca?

Rydberg, jej Lars, nie lubiący efektów dramatycznych, zauważył rozsądnie:

– Oprócz naukowców niezbędna byłaby wykwalifikowana załoga. Mógłbym ją zorganizować i sam stanąć na jej czele jako kapitan. To znaczy, o ile to w ogóle możliwe, czego nie mogę w tej chwili obiecać.

– A ja zostanę głównym geologiem – dorzucił Beynac. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego.

– Co? – zawołał Rydberg.

– Odniosłeś już w życiu dosyć sukcesów, tato – zaprotestowała Jinann głosem, jakiego nie słyszeli u niej od prawie dwudziestu lat.

Dagny siedziała w milczeniu, przypominając sobie pewien wiersz:

Czym jest kobieta, że ją tak opuszczasz Samotną przy ognisku, a sam się wypuszczasz Na wyprawę ze starą i siwą Monarchinią Wdów?

‘Mond stanął nad nią, zjrzał jej w oczy i powiedział:

– Tak, ja też polecę.

– Wstawaj! Szkoda czasu.

Kenmuir budził się z trudem. Sen rozwiął się, gdy mężczyzna poczuł, że ktoś potrząsa nim jeszcze raz. Otworzył oczy. Aleka przykucnęła przy materacu i szarpała go za ramiona.

– No, już, śpiochu – poganiała go. – Trochę się zdrzemnąłeś. Czeka nas teraz ciężka przeprawa.

Zamrugał powiekami. Bunkier, łuk bladuróżowej barwy, chronił go pod swą małą kopułą.

Ziemia była twarda i spękana, powietrze gorące i suche niczym pustynny piasek. Przeprawa?

Wracała świadomość. Wspomnienia ostatnich dni przypominały jeszcze jeden sen: długa jazda po nocy z siedziby Iscaha, oboje milczeli, od czasu do czasu zapadając w sen, aż dotarli do tego miejsca i po zamienieniu z kimś kilku niewyraźnych słów Kenmuir dowlókl się do swojego zacisza. Przyszła za nim, rozłożyła materac i poślanie, ale teraz stała już na nogach i sprawiała wrażenie oburzająco wypoczętej.

Rzucił okiem na swój informator. Była godzina 13.10. Spróbował gwizdnąć, ale zaschło mu w ustach. Stopniowo stawał na nogi. Z trudem owinął się w pasie kocem. Aleka roześmiała się.

– Grzeczny chłopiec. Wiedziałeś, że starczy spróbować, a na pewno się uda.

– Jaki jest plan? – zaskrzeczał.

– Obiad z *padre*. Wysłil się na inteligencję, a przynajmniej na uprzejmość. Praktycznie go przekonałam, ale przed podjęciem ostatecznej decyzji chce poznać jeszcze ciebie. To zrozumiałe.

– Przechyliła głowę i uśmiechnęła się. – Niech będzie, okażę litość i dam ci się pozbierać. –

Odwróciła się, rozsunęła płachtę w wejściu i zniknęła mu z oczu.

Padre? – przemknęło mu przez myśl. A, tak. Aleka i metamorfy postanowili wysłać ich do obozu Pustynników – gdzie mieliby do dyspozycji środki łączności – a to akurat plemię, czy jak się to nazywa, składało się z biokatolików. Oglądał kiedyś film dokumentalny na temat tej sekty.

Liczyła niewielu członków, rozproszonych po świecie i głęboko wierzących – cóż innego mogłoby dodawać im sił do życia? – ale pod żadnym względem nie zacofanych. Postara się wyrzeć jak najlepsze wrażenie.

Przed przenośnym zlewem i sanitariatem wisiała zasłona. Zauważył końcówki, za pomocą których można było przyłączyć oba urządzenia do instalacji odzysku wody. Na pewno Pustynnicy nie marnują tej drogocennej cieczy, jeśli nie liczyć parowania i przypadkowego rozlania. No i potu, z którym sporo się wydala. Skorzystał z tego, co mu dali, po czym nakrył twarz i tors ręcznikiem. Na łańcuchu wisiał grzebień. Ostatnia dawka środka hamującego porost brody powinna działać jeszcze przez jakiś czas. Ubrania, w które się wcisnął, były już nie pierwszej czystości, ale na to nie było chwilowo rady.

Trochę odświeżony wynurzył się z namiotu. Słońce grzało wściekle na niebie jak z błękitnego metalu. Ledwie widać było blady, zachodzący Księżyc. Nic dziwnego, że Aleka się spieszyła. Musieli nawiązać łączność, dopóki Luna znajdowała się jeszcze ponad linią horyzontu. Korzystanie z naziemnych stacji przekaźnikowych mogło zwrócić na nich uwagę systemu. Wzięła go pod rękę. Jej dotyk dodawał mu więcej otuchy niż powinien.

– Tędy – powiedziała.

Szedł z nią przez obóz.

Półkule domów różnej wielkości, zależnie od liczby zamieszkujących je osób, ustawiono wokół kawałka pustej przestrzeni. Za nimi, w błocie stanowiącym resztkę Morza Saltona, działał odsalacz. Dalej rozciągała się białoszara, pusta równina. Gdzie indziej z ziemi wyrastały krzaki, kaktusy, nędzne drzewa, sporadycznie rozsiane po alkalicznym piachu. Wiedział, że niektóre z roślin były charakterystyczne dla tego klimatu, lecz większość stanowiły metamorfy stworzone do tych warunków, produkujące pożywienie, włókna, paliwo i środki lecznicze. Dostrzegł jakieś postacie chodzące pieszo lub jadące minirowerami: oglądały, pielęgnowały, za pomocą

specjalnych urządzeń zbierały produkty tych roślin. Z boku stały nie używane pojazdy: kilka ciężarówek, dwa wolanty, cztery zniszczone samochody, nie licząc auta, które przywiozło tu jego i Alekę.

Drżące od żaru powietrze rozmywało poczucie odległości. Przesycały je gorzkie zapachy.

– *Hola* – pozdrowił ich grzecznie jakiś przechodzień.

– *O, buenos dias* – odparł Kenmuir. Czy to poprawna reakcja? Nie był Amerykaninem.

Tamten był typowym Pustynnikiem, szczupłym, o czarnych włosach, żółtawobrązowej cerze, szerokiej twarzy, wąskich szparkach oczu i orlim nosie. Biała szata z kapturem dumnie wydymała się na olbrzymich pośladkach. Kobiety przebywające w zasięgu wzroku były podobnie odziane i także odznaczały się obfитоścią kształtów. Dzieci miały słabiej rozwinięte komórki do gromadzenia wody. Wszyscy poruszali się cicho, z jakąś wrodzoną godnością, prawie się nie odzywając. Zresztą nie kręciło się tu wielu ludzi. Temperatura im nie przeszkadzała, lecz albo pracowali w polu, albo zajmowali się czymś w namiotach. Odbywająca się pod dużą kopułą grupowa recytacja w wykonaniu słodkich, sopranowych głosów sugerowała, że niektórzy zajmują się nauką.

Na obwodzie wolnej przestrzeni, służącej po zachodzie słońca za miejsce wspólnych spotkań i życia towarzyskiego, stały cztery lampy. W centrum wznosił się trzymetrowy krucyfiks. Krzyż wyrzeźbiono w kształcie okrytego liśćmi drzewa, zaś Chrystus wyglądał... niezupełnie na metamorfa, chociaż rzucała się oczy jakaś jego inność... Zdumiony Kenmuir zorientował się, że przypomina Lunarianina.

Być może nie było to intencją twórcy, myślał kosmonauta, lecz idea ogólna była jednoznaczna. Wiara, która próbuje odkupić grzechy ludzkości w stosunku do Matki Ziemi... To chyba nieuniknione. Gdy wyprodukowano pierwszych Pustynników, którzy mieli wytrzymać tego rodzaju warunki życia, pustynie ciągle się rozrastały. Rozpoczęte później odzyskiwanie

terenów pozbawiło ten gatunek wszelkich racji bytu. Dlatego niektórzy je sobie tworzyli.

Ciekawe, czy dostrzegali ironię w fakcie, że to właśnie kredyt umożliwia im zakup artykułów pierwszej potrzeby, których nie mogli wyprodukować, lub ich wymianę na nieliczne niezbędne towary.

Ale czy faktycznie była w tym jakaś ironia? Przecież zbierali wszystkie pieniądze do jednej kasy; nie przejmowali się zbytnio rzeczami materialnymi; uznanie zyskiwały osobiste dokonania, siła, talent, świętość. Możliwe, że różnica pomiędzy tymi neonomadami – przypomniawszy sobie, że członkowie tego plemienia nazywają sami siebie Legionistami – a Bractwem Ognistej Kuli polegała na tym, że oni wcielali ideały w życie, a Bractwo bawiło się w marzenia. Kto był szczęśliwszy? Kto lepiej przystosował się do cyberkosmosu?

– Jesteśmy u celu – oznajmiła Aleka.

Nad wejściem do namiotu naprzeciwko placu widniał namalowany symbol ryby. Stanęła przed nim i cicho zawołała:

– *Hola. Visitantes, por favor!*

– *Entrad en el nombre de Dios* – odpowiedział męski głos. Posłuchali zaproszenia. Wnętrze było podobnie ascetyczne jak w namiocie, w którym spali: dwa materace, blat stołu na nogach z drewnianych pieńków, przenośna kuchenka i półka na naczynia, część sanitarna za zasłoną.

W głębi stało proste biurko z półkami zastawionymi różnymi przedmiotami, wśród nich czytnikiem i miniaturowym krucyfiksem. Jakiś chłopak parzył kawę; jej aromat przypomniawszy Kenmuirowi, jak długo nie miał nic w ustach. Na środku, na wielkim postumencie, siedział po turecku mężczyzna. Włosy miał białe, twarz całą pobrużdżoną, ale siedział wyprostowany. Na jego szyi wisiał łańcuch z rzeźbionym w koralu krzyżem ankh.

– *Padre Fernando, el Capitan Kenmuir* – przedstawiła ich sobie Aleka. Kapłan uniósł rękę.

– *Bendecidos, hijos mios* – powitał ich.

– Ja... przepraszam... *no hablo* – wystękał Kenmuir. Przy – najmniej nie w tej sytuacji.

– Może mi pan wierzyć, kapitanie, że kontaktujemy się ze światem zewnętrznym –

uśmiechnął się Fernando. Jego anglo był naznaczony ledwie wyczuwalnym akcentem. Dał im znak ruchem ręki: – Proszę siadać.

Zajęli miejsca na płaskiej poduszce, umieszczonej za stołem naprzeciwko gospodarza.

Kenmuir zastanawiał się, czy odzienie Aleki uchodzi w tym miejscu za nieprzyzwoite. Ale przecież ten lud nie żył w izolacji, oglądał programy na multi i od czasu do czasu przyjmował gości.

– Mam nadzieję, że pan wypoczął – zwrócił się do niego Fernando.

– Ja również mam taką nadzieję. – Wzruszył ramionami, co wywołało chichot tamtego. –

Dziękuję.

Na stole stała karafka i puchary.

– Mamy taki zwyczaj witania gości – oznajmił Fernando. Nalał wody i podał im kielichy.

Przypominając sobie tamten dokumentalny film, Kenmuir popijał płyn w pełnym szacunku milczeniu.

– Ale – roześmiał się Fernando – przypuszczam, że tak naprawdę napilibyście się kawy.

Skinął dłonią. Chłopiec przyniósł tacę z imbrykiem i filiżankami, przykląkł, ustawił je na stole i oddalił się.

Kenmuir z trudem powstrzymywał się od okazywania łapczywości.

– *Padre* – odezwała się po chwili Aleka – tłumaczyłam... – Fernando pokiwał głową.

– Jeśli chcecie jeszcze dzisiaj porozumieć się bezpośrednio z Księżycem, zostało wam niewiele czasu.

– Macie tutaj odpowiednie urządzenia. Serce Kenmuira zabiło mocniej.

– Tak – potwierdził Fernando. – Sam przekaz nie wymaga wielkich mocy. W gruncie rzeczy

chodzi o przyrząd do szyfrowania kwantowego.

Co ci prości nomadzi mieli wspólnego z łączami zabezpieczonymi przed podsłuchem? – zastanawiał się Kenmuir. Przypomnieli mu się Iscah i Soraya. Wszystko wskazywało na to, że Legioniści również nie byli takimi znowu prostakami. Przesył wiadomości między plemionami? Być może przekazywali sobie obrzędy i wiedzę zarezerwowaną dla wtajemniczonych w sprawy kościoła, może koordynowali plany współpracy handlowej na planecie, może wreszcie był to środek bezpieczeństwa pozostały po okresie otwartej wrogości – i kanały o dużym zakresie częstotliwości były ograniczone, a pozwolenie na ich użytkowanie musiało pochodzić z bardzo dawnych czasów... Fernando ciągnął pełnym powagi głosem:

– Teraz pojawia się pytanie, czy powinniśmy udostępnić wam nasze urządzenia. Wybaczcie, ani was nie oskarżam, ani niczego nie insynuuję. Ale biedacy tacy jak my nie mają odwagi, by mieszać się w jakiegokolwiek spory.

– Nikt nie musi o tym wiedzieć – zaryzykowała Aleka.

– Mogliby się dowiedzieć. – Fernando zmarszczył brwi. Jak najbardziej, pomyślał Kenmuir, gdyby ich złapali. Ale czy myśliwi faktycznie uciekną się do zerowania mózgu? Wolał o tym nie myśleć. Z drugiej strony nie chciał też siedzieć z założonymi rękami.

– Aleka, co powiedziałaś naszemu... gospodarzowi? – zapytał.

– Bynajmniej nie wszystko – przyznała. – Ty również uważaj. Jak sam mówisz, *padre*, nie wolno narażać twojego ludu. Chcemy tylko odbyć poufną rozmowę dotyczącą, hm, sprawy zasługującej na wasze wsparcie. – Zwróciła się do Kenmuira: – Wyjaśniłam, że występujemy w imieniu pewnej organizacji lunariańskiej. – Cóż, Lilisaire miała swoich zauszników. Możliwe, że na Księżycu znalazła także kilku równych sobie sprzymierzeńców. – Chcemy dowiedzieć się czegoś o pewnej sprawie związanej z planami Biotopu, którym, jak powszechnie wiadomo, Lunarianie są przeciwni. Wygląda na to, że informację ukryto, nie podając do publicznej

wiadomości żadnych przekonujących powodów, co jest wymagane w świetle Przymierza.

Chcemy nawiązać łączność w celu otrzymania dalszych instrukcji, ale tak, by nie dotarło to do ludzi odpowiadających za naruszenie prawa.

– Jeśli tacy w ogóle istnieją – wtrącił Kenmuir. – To może być jedno wielkie nieporozumienie.

– Albo aż nadto straszna prawda – warknęła Aleka. – Możliwe, że sofotekty przewyższają nas pod względem moralnym, ale za to przeciętni ludzie są jak zawsze chciwi, zepsuci i żądni władzy.

– Wasza sprawa dotyczy czegoś więcej – zauważył przebiegle Fernando, pocierając brodę. – Nie bójcie się, nie będę was wypytywał. Odpocznijmy sobie, porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

Chłopiec podał wegetariański posiłek. Po krótkim błogosławieństwie Kenmuirowi dane było odkryć, że nie zna ani większości potraw, ani egzotycznych przypraw. Do picia otrzymali natomiast zupełnie przyzwoite białe wino.

Jednocześnie Fernando za pomocą inteligentnych pytań i uwag skłaniał Kenmuira do opowiadania o sobie. Ten z kolei dowiadywał się o Pustynnikach rzeczy, których istnienia w ogóle nie podejrzewał. Bez wątpienia Aleka również w podobny sposób mówiła kiedyś o sobie. Kenmuir bardzo chciałby wysłuchać jej opowieści.

Na koniec Fernando oznajmił rzeczowo:

– Tak, teraz możecie nawiązać łączność. Wstrząśnięty Kenmuir zdał sobie sprawę, że w ciągu ostatniej godziny kapłan oceniał swych gości i doszedł do wniosku, że mówią prawdę.

Razem przemierzili obóz. Na widok Fernanda ludzie krzyżowali ręce na piersiach, on zaś udzielał im błogosławieństwa. Po drodze wygłaszał różne uwagi:

– ...pustynne szczury stanowią problem ekologiczny, lecz najbardziej bezpośrednim

zagrożeniem staje się nowa choroba, narośnię na białku. W sumie życie nie może dla naszej wygody tak po prostu przestać mutować i ewoluować, prawda? Biosłużby wyprodukowały środek zwalczający chorobę, ale przed udostępnieniem go chcą rzecz jasna zbadać skutki uboczne... Nasze święto najkrótszej nocy w roku... Coraz więcej młodych się wynosi.

Zastanawiam się czasami, ilu wytrzymałoby w tych ciężkich warunkach, gdyby wszyscy mieli możliwość wyboru... Laser znajdował się w ciężarówce, którą Fernando otworzył.

– Potrzebna wam będzie pomoc? – zapytał. – Mogę wezwać naszego specjalistę od łączności.

Kenmuir zajął do środka.

– Nie, dziękujemy. Znam ten model.

Było to urządzenie przestarzałe, ale podobnie rzecz się miała z resztkami lunariańskiej floty kosmicznej. Modernizacja równałaby się ostatecznej cybernetyzacji, a wtedy ludzie pojawialiby się w kosmosie sporadycznie, tylko w charakterze pasażerów. Rozumiał tych spośród Legionistów, którzy pozostawali wierni Legionowi.

– A ja znam się na szyfrach – dodała Aleka. Opanowała jeden z kluczy, którymi dysponowała Lilisaire.

– *Muy hien*, to teraz zostawię was samych – powiedział Fernando. – *Por favor*, kiedy skończycie, zamknijcie wszystko na klucz i wracajcie do mnie. – Odszedł, samotny pod olbrzymim nieboskłonem.

Wsiedli do ciężarówki i zamknęli za sobą drzwi. Zanurzyli się w dusznym półmroku, rozgrzanym niczym piec. Podeszli do urządzeń i stali przez chwilę w milczeniu.

– No, dobra! – odchrząknął Kenmuir, chcąc zagłuszyć walenie serca. – Zabierajmy się do roboty, zanim się udusimy.

– Przekaz nie dotrze do jej zamku najprostszą drogą – zauważyła Aleka. – Jeżeli Lilisaire jest obserwowana tak pilnie, jak przypuszcza, mogliby wysledzić jego źródło, a wtedy zniecka

otoczyłaby nas brygada szybkiego reagowania. Sygnał będzie chaotycznie wyszukiwał pośród kilku...

– Wiem, w każdym razie nie jestem dezertorem... – Kenmuir urwał. – Przepraszam, nie chciałem. Jestem zdenerwowany.

Uśmiechnęła się w mroku. Mężczyzna zobaczył krople potu na jej górnej wardze, dekolt pod częściowo rozpiętą tuniką, poczuł zapach zdrowego ciała.

– Jesteś *kanaka oi*, Kenmuir – szepnęła. Przeczesła swoje ciemne, wilgotne włosy i rzuciła:

– Jak powiedziałeś, zabierajmy się do dzieła.

Palce nie miały wiele do zrobienia na klawiaturze; komputer był tylko robotem, ale pojął komendę i natychmiast rozpoczął jej wykonywanie. Sygnał wyszukiwał pierwszy adres, satelitę przekaźnikowego na orbicie Luny. Nie była to stacja urzędowa, lecz selenarchiczna, niewielki, zasilany słonecznie automat. Przekazała zaszyfrowaną wiadomość zgodnie z otrzymanymi instrukcjami; podobnie przebiegały następne etapy, aż wreszcie ostatni przekaźnik wycelował w Wysoki Zamek. Odtworzenie drogi tego zygzaka z Ziemi byłoby zadaniem niepraktycznym, nie tylko trudnym, lecz w ogóle pozbawionym sensu. Prawa mechaniki kwantowej chroniły tajemnicę przed wszystkimi, którzy nie znali klucza do niej.

– Coś mi się zdaje, że komuś bardzo zależy na tym, żeby Przymierze nie gwarantowało prawa do tajemnicy – zauważyła Aleka.

– Zostało spisane w innych czasach – odparł z roztargnieniem Kenmuir. Całą uwagę skupiał na ekranie. – Spotykałem się z argumentacją, żeby je zmienić, dopasować do nowych warunków.

– I ściślej nas kontrolować?

– Hm, mówi się o wymykających się spod kontroli sporach między społeczeństwami, czasami tragicznych w skutkach, o spiskach... – Ludzki beład, bezrozumność, niebezpieczne anachronizmy.

Monitor rozjaśnił się, pokazała się na nim twarz Lunarianina. Kenmuir poznał Eythila z Marsa.

– Witam, kapitanie – zagaił tamten w anglo – co u ciebie słyhać?

– Nie najlepsze wieści, co nie powinno nikogo dziwić – odpalił Ziemianin. – Ja i moja współpracowniczka musimy naradzić się z panią Lilisaire.

Oblicze znieruchomiało, co Lunarianie mieli w zwyczaju podczas oczekiwania na dotarcie fotonów do celu. Po mniej więcej trzech sekundach tamten zmarszczył czoło i oznajmił:

– Zdaje się, że ona wypoczywa.

Straż nocna: na Księżycu nie było stref czasowych. Kenmurowi przyszło do głowy, że Lilisaire może tak naprawdę oddawać się biesiadowaniu albo innym, bardziej wymyślnym rozkoszom.

– Zapewniam, że to sprawa najwyższej wagi i przeznaczona jedynie dla jej uszu – oznajmił.

– Jeżeli nie może podejść do odbiornika, powiedz, kiedy mogę ponowić próby nawiązania kontaktu. Ale nie obiecuję, że będzie to możliwe.

Przerwa.

– Poszukam jej – odparł Eythil. – Zaczekaj. – Monitor przygasł.

– Wydaje mi się, że możemy tu zostać nawet do jutra – odezwała się Aleka. –

Prawdopodobnie zatarliśmy za sobą ślady. Za to gdyby zaangażowali do tego cały system...

Na przykład satelity kontrolne, które potrafiły wykryć człowieka na powierzchni Ziemi i stwierdzić, czy śmieje się albo płacze. Przeszukiwanie baz danych pozwoliłoby wykryć każdego mieszkańca Ziemi, który miał kiedykolwiek, pośrednio lub bezpośrednio, styczność z Lilisaire.

Zapytania kierowane do niczego nie podejrzewających społeczności. Dalsze poszukiwania: zapisy w kartotekach kontroli ruchu, czyj pojazd i dokąd się ostatnio udawał.

– Miejmy nadzieję, że nie jesteśmy aż tacy ważni – powiedział Kenmuir.

Jeszcze.

Czas pełzał jak ślimak. Od pewnego momentu zaczęli trzymać się za spocone ręce.

Na ekranie pojawiły się głowa i ramiona, piękne jak pokryty śniegiem górski szczyt, jaskrawe niczym ogień. Kasztanowe kosmyki były rozczochrane, lecz zielone oczy całkowicie się już rozbudziły.

– Witajcie – mruknęła Strażniczka. – Czemu mnie wzywaliście?

Kenmuir puścił dłoń Aleki. Język stanął mu kołkiem. To ona wyprężyła się i zdała krótką relację z niedawnych wypadków.

Przerwa. Lilisaire nieznacznie się uśmiechała. Kenmuir nie mógł oderwać od niej wzroku.

Przez głowę przebiegały mu strzępy informacji, że Aleka pochodzi z Hawajów, spotkała się w San Francisco z agentem, który był sofotektem – co powstrzymywało go od porzucenia sprawy Lunarian i stopienia się z cyberkosmosem, skoro posiadał pełnię inteligencji? – ale przed oczami miał obraz Lilisaire.

Poruszyła się. Uśmiech ustąpił miejsca zasępionemu czołu.

– Długo zastanawiałam się nad Venatorem – mówiła jakby do siebie. Kim? Na mgnienie oka jej usta rozszerzyły się w uśmiechu. – Zastawiłam też na niego małą pułapkę, co może nam się w końcu przydać. – Na powrót spoważniała. – Macie słuszość, szybkie działanie jest niezbędne, w przeciwnym wypadku jesteście zgubieni. Aleka, maszyna Carfax przedstawiła ci zarys moich planów. Czy nadal sądzisz, że mają one choć cień szansy powodzenia?

– Tak, jeśli uzyskamy dostęp do archiwum – oparła Ziemianka. – Przyszło mi właśnie do głowy, że może być podwójnie strzeżone.

Przerwa. Lilisaire patrzyła przed siebie zamyślonym wzrokiem. Kenmuir utonął w jej oczach.

– Wydaje mi się, że na to znalazłby się sposób – oznajmiła Alece Lunarianka. – Słuchajcie.

Kapitan Kenmuir niech uda się w miejsce, do którego raczej nie dotrze wkrótce pościg.

Wybierzcie jakiś punkt niezbyt odległy od ostatecznego celu, o którym już rozmawialiśmy.

Niech tam pozostanie, natomiast ty wróc do... Kamehameha, to najbliższej od was położony kosmodrom. Przygotowałam coś, co mój agent przywiezie porannym wahadłowcem. Agentem będzie Terranin, w tej chwili nie wiem dokładnie, kto, ale będzie występował pod imieniem Friedrich i wynajmie pokój w hotelu Clarke. Odnajdź go tam, odbierz to, co ci przywiezie, i umów się na spotkanie z kapitanem Kenmuirem. Dalej postępujcie zgodnie z planem i własnym sprytem. Oby dopisało wam szczęście. – I promiennym głosem dodała: – Jeżeli dopomożesz w zwycięstwie prawdy, otrzymasz to, co ci przyrzeczono, i to nawet z nawiązką.

Usiadła w oczekiwaniu na odpowiedź jak ryś, który czeka na ofiarę. Aleka przełknęła ślinę.

– Tak, ja... będę się starać – wykrztusiła. – Oni nie podejrzewają mnie o udział, na pewno.

Nikt nie zwróci na mnie szczególnej uwagi. Spróbuję, pani.

Strach, który starała się opanować, udzielił się Kenmuirowi. Ktoś na niego polował.

– A co ze mną?! – zawołał. – Jaka będzie moja nagroda? Przerwa. Żar, pragnienie, tęsknota.

Aleka dysząca obok. Lilisaire znowu się uśmiechnęła.

– Mówiłam ci, kapitanie – odpowiedziała śpiewnie. – Sprawa wolności i ludzkich wypraw ku gwiazdom. Ale masz rację, to abstrakcyjne idee, a bierzesz udział już nie w zwykłej intrydze, lecz w wojnie. Zatem czy zechciałbyś objąć dowództwo nad moimi kosmicznymi przedsięwzięciami i zostać u mego boku panem pośród Selenarchów? Z chęcią ci to ofiaruję, jeżeli powrócisz do mnie z tarczą.

Przeplýwały sekundy, gdy stał oszołomiony, nie wierząc własnym uszom.

Aleka szturchnęła go pod żebro.

Decyzję trzeba było podjąć teraz. Mógł odmówić, udać się do władz i żyć aż do śmierci. Ale mógł też podjąć wyzwanie, ruszyć w nieznane, być może okryć się niesławą albo zginąć.

W najlepszym wypadku czekała go przyszłość naznaczona bólem, zazdrością, intrygami, tęsknotą za domem... ale przecież nie miał już prawdziwego domu.

– Tak! – krzyknął.

Patrzył na jej niezmiernie oddaloną twarz i pojmował, bardzo boleśnie pojmował, że może nawet jej nie kochał, lecz pragnął jej tak, jak człowiek zagubiony na pustyni pragnie wody i ognia.

– Z chęcią znowu okryłabym twe usta pocałunkami. – Nie słyszał, żeby jakakolwiek

Lunarianka wypowiedziała takie słowa do Ziemianina.

Ekran zgasł.

– *Bueno* – wydyszała Aleka po dłuższej chwili. – Teraz jesteśmy już związani na dobre i na złe.

– A ty czemu to robisz? – zapytał otępiały.

– To długa historia, a nie ma czasu do stracenia. Przede wszystkim wyjdźmy z tego pieca. –

Pociągnęła go za rękaw. – Słuchaj. Wypełnienie jej poleceń powinno zająć mi co najwyżej kilka dni. Wezmę samochód, którym przyjechaliśmy do Santa Monica. Na lotnisku nakażę wolantowi wrócić tutaj i być do twoich usług. To stanie się gdzieś jutro rano. Aha, jeszcze będę musiała kupić ci inne ubranie i włożyć je do wolanta. Samochód odeślę Iscahowi, sama polecę na Hawaje. Tobie nie powinno tutaj nic grozić, ale siedź raczej w ukryciu, wychodząc zaś, zakładaj ten habit z kapturem. Pustynnicy są gościnni z zasady, a *padre* przypadnie do gustu. Jednak gdy tylko przybędzie środek transportu, natychmiast stąd znikaj.

– A gdzie mam się podziać? – Czuł się bezsilny w swej niewiedzy.

– Hm, niech pomyślę. Na wszelki wypadek nie powinnam ci jeszcze mówić, dokąd udamy się po ponownym spotkaniu. Ale Lilisaire ma rację, trzeba wyruszyć z niewielkiej odległości od tego punktu. Sama nie znam tamtej okolicy, ale... wiesz co, znajdziemy trochę danych.

Fernando skierował ich do kopuły, pod którą stały terminale komputerowe. Mógł używać ich każdy, lecz w tej akurat chwili nie było nikogo. Aleka zleciła wyszukiwanie w miarę niezależnych społeczności w głębi kontynentu, które żyły we względnej izolacji. Również istotne było zachmurzenie przewidywane na kilka najbliższych dni. Po pewnym czasie dokonała wyboru.

– Bramland. Według tych informacji nie jest tam zbyt przyjemnie, ale oznacza to jednocześnie, iż policja nie jest mile widziana. Wykombinujemy jakąś historyjkę o tym, jak musisz się przez parę dni ukrywać, a potem ja mam do ciebie dojechać. Do ubrań i innych rzeczy, które ci obiecałam, dorzucę trochę gotówki. Od tej pory staraj się nie wychylać i trzymaj język za zębami. Wiem, że to potrafisz. – Wzięła go za rękę. – Oboje potrafimy.

Odkryć coś, co pozostawało w ukryciu przez wiele stuleci? Nie pierwszy już raz – to pewne – myśli Kenmaira powędrowały w przeszłość, po omacku szukając śladów, które zasypała lawina dziejów.

MATKA KSIĘŻYCA

Z kawiarnianego tarasu rozciągał się cudowny widok. Budynek, w którym się znajdowała, stał blisko stoku wzgórza Domme – kamienie pogrążone w ponurej zadumie nad zaułkami, w których rozlegał się niegdyś stukot kopyt rycerskich rumaków – i górował nad doliną, lasami, polami i domami, spoglądając ku odległym grzbietom gór i majestatycznemu, letniemu niebu nad Ziemią. Chylące się ku zachodniemu widnokręgowi słońce rzucało cienie i refleksy światła; rzeka płynęła jak struga stopionego złota pośród drzew o koronach złotozielonej barwy. W ciepłym powietrzu budził się wietrzyk. Spokoju nie mąciły odgłosy ruchu na drogach. Dagny napiła się wonnego bordeaux, odstawiła kieliszek, oparła się wygodniej i pozwoliła oczom nacieszyć się krajobrazem. W kawiarni byli z Edmondem prawie jedynymi gośćmi, co sprawiało jej tym większą przyjemność.

– Pięknie – westchnęła. – Cieszę się, że wybrałaś właśnie to miejsce.

‘Mond, który siedział naprzeciw niej, również sączył wino. Gdy odstawiał kieliszek, usłyszała delikatny brzęk szkła o blat.

– Wolałabyś jakiś inny lokal? – Wyczuła w jego głosie niepokój. – Nic nie mówiłaś. –

Popatrzył jej w oczy i uśmiechnął się.

– Chciałam, żebyś wybrał sam. A wiedziałam, że najchętniej znów odwiedziłbyś swoje stare Dordogne.

– Ale to także twoje wakacje.

– Wiedziałaś przecież, że zawsze miło spędzałam tutaj czas. – Takie słowa nie oddają istoty rzeczy, pomyślała. Ich wizyty na Ziemi były takie rzadkie i tak krótkie, a on zawsze chętnie dogadzał jej pragnieniom. Ile razy byli na południu Francji? Trzy, włącznie z dzisiejszym dniem. Chciała powiedzieć coś na ten temat, ale mieli na głowie pilniejsze sprawy. – Tym razem

zakochałam się w tym miasteczku. – Była szczerą, choć zdawała sobie sprawę, że cieszy się w dużej mierze ze względu na niego, że udziela się jej radość mężczyzny. – Dziękuję.

Odwzajemnił uśmiech. Przez chwilę milczeli. Zaszło słońce. Stado kruków przemierzyło wciąż błękitne niebo.

– Dagny... – Edmond poruszył się.

Czekała, nie poganiając go, bo nauczyła się, że to najlepszy sposób. Zawsze gotowy do wybuchów śmiechu, pasji, stanowczości, czasami z trudem wyrażał to, co leżało mu na sercu.

– Chciałem coś powiedzieć – odezwał się po kilku sekundach – ale nie bardzo wiedziałem jak. I dalej nie wiem. Ale postaram się.

– Twoje starania zazwyczaj przynoszą efekty, *rnon vieux* – zapewniła go.

– Wkrótce ruszę ze względu na ciebie w kosmos. – Od razu się poprawił: – Dzięki tobie.

Zaprzeczenie ułatwi mu być może sprawę.

– O wiele więcej zawdzięczasz Larsowi i Brandirowi.

– Spisali się na medal i jestem im za to wdzięczny – przyznał – ale ich wysiłki były możliwe tylko dzięki tobie. Ty... przetarłaś szlak, połączyłaś przewody. – Zachichotał z przymusem: – Możesz podsunąć mi jakąś lepszą metaforę?

Zastanawiała się, do czego on zmierza. Już wiele razy podkreślał jej rolę w minionych wydarzeniach. W pamięci przebiegała kilka ostatnich miesięcy. Tak, gubernator Zhao był ich głównym przeciwnikiem, wydając dekret zakazujący wyprawy, upierając się, że tak stanowi prawo i że o zezwolenie należy zwrócić się do Rady Najwyższej Federacji Światowej; doskonale zdawał sobie sprawę, z jaką łatwością prośba może utknąć w komisjach. Problem polegał na tym, że ona cały czas wierzyła staremu gnojkwowi i była przekonana o jego dobrej woli. Wydawało jej się, że z całym przekonaniem rozwodził się o zagrożeniach wynikających z lunariańskiej podróży w kosmos. Poza tym mówił jej, iż na samej Ziemi istniało już tak dużo nacjonalizmu, że nie

wolno było dopuścić do wyhodowania tego wrzodu również na Księżycu.

Być może coś w tym było. Co gorsza, każde z ich prywatnych spotkań kończyło się słuchaniem muzyki, i to dzięki temu Dagny poznała ostatnie kwartety Beethovena... Lecz od czasu do czasu musiała się kłócić z rozmówcą.

Wróciła myślą do obecnej chwili. Edmond zażartował. Ona też powinna postarać się o poprawienie atmosfery. Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Wiem, gdzie leży pies pogrzebany.

Z prawdziwą przyjemnością wierceła dziurę w brzuchu komisarzowi Zachariaszowi, aż ten musiał szukać wsparcia u gubernatora.

Widząc na nowo poważną minę Edmonda, wypowiedziała, co ją dręczyło:

– I wiesz, koniec końców dotarłam do... zasejwowanego umysłu. Mimo ciężkich zmagień z Ognistą Kulą znalazł jeszcze czas na odrobinę zakulisowych rozgrywek i spowodował uchylenie zakazu. – Analog Guthriego, duch wujanso, pamiętał... Przełknęła ślinę. – Uważam, że wdzięczność należy się przede wszystkim jemu.

– Ta pierwsza rozmowa z nim na pewno nie szła ci łatwo. Jak zresztą wszystkie te zabiegi. Czuję to. Czasami w nocy, kiedy leżałaś obok mnie, dusiłaś się.

Czyli wiedział. Rozumiał to do tego stopnia, że leżał bez ruchu. Poczula pieczenie w oczach.

– Kochany, już nadto podziękowałeś mi za moje starania.

– Tak – odparł powoli – ale nigdy dostatecznie nie wyraziłem swojej wdzięczności za powody, dla których to robiłaś.

– A były one bardzo solidne – podchwyciła z ożywieniem. – Nauka. Przygoda. Zaspokojenie pragnień Kaino i twoich. Precedens dający obietnicę swobody. Porządny kop w tłustą dupę władz Luny. W sumie gra w pełni warta świeczki.

– Ale moja. To ja wyruszam. Nie będzie mnie przez wiele miesięcy, może będę narażał się

na niebezpieczeństwo. A tego sobie nie życzysz.

– Ale ty tak. – Spojrzała prosto w tę twarz z epoki Cro-Magnon. Skinął głową.

– Właśnie. Nie cieszę się, że cię zostawiam, ale cieszę się z wyprawy. Czy to ma jakiś sens?

Jesteś temu przeciwna, ale dla mojego dobra poparłaś sprawę. Tak... tak bardzo mnie kochasz. –

Poczuła, jak w skroniach pulsuje jej krew.

– Nie jestem za trzymaniem orłów w klatkach – zdobyła się na odpowiedź. – Nie, w tym przypadku byłyby to uwięzione w klatkach niedźwiedzie. – Pochyliła się i zmierzwiła jego siwą

czuprynę. – Stary, dobry miś!

– Chcę... ci tylko powiedzieć, że... rozumiem.

– A ja rozumiem, że rozumiesz, i to daje mi szczęście – odrzekła, starając się powstrzymać

łzy. – W porządku, Mond, zabawmy się. Wypij to i pójdziemy gdzieś na kolację.

Zapadł zmierzch. Gdy wstali, Dagny poczuła w kościach siłę grawitacji. Ziemia nigdy jeszcze nie wydawała się tak ciężka. Cóż, czas spędzany w centryfudze i w trakcie programu medycznego nie zatrzyma upływu lat. Możliwe, że już nigdy nie wróci tu z Księżyca. Ale nie ma się co przejmować, przekonywała się. Przynajmniej nie teraz, kiedy jest przy swoim mężczyźnie. Ognista Kula mogła sobie pozwolić na zaproponowanie im co najwyżej „Sacajawei”, statku klasy Wenus, zgrabnego i solidnego, ale nie należącego do wytworów najnowszej generacji zdolnych skrócić podróż do kilku tygodni. Tego typu pojazdy były jeszcze nieliczne i rezerwowane z dużym wyprzedzeniem. „Sacajawea” operowała przede wszystkim w Pasie Asteroid. Na czas podróży do skały Rydberga przyspieszyła do jednej piątej g, chcąc oszczędzić Lunarian, aż do osiągnięcia szybkości właściwej dla przyjętej trajektorii lotu; potem przez mniej więcej sto cykli dziennych miała swobodnie opadać aż do momentu, kiedy trzeba będzie rozpocząć manewr hamowania.

Po tak długim pobycie w stanie nieważkości każdy Terranin, choćby odbywał

najintensywniejsze ćwiczenia, musiał po powrocie na Ziemię poddać się sześć – lub siedmiotygodniowej rehabilitacji w celu odzyskania pełni sił, masy kostnej i mięśniowej, koordynacji, szybkości odruchów i równowagi chemicznej organizmu. Co więcej, pewne zmiany mogły okazać się nieodwracalne; jednostki cechują różną elastyczność. Lunarianin odcierpiałby mniej, ale też nie powróciłby do dawnej formy z dnia na dzień. Podczas wykonywania czekających ich zadań Beynac i jego ludzie musieli być w jak najlepszej kondycji. Grawitacja u celu podróży będzie raczej słaba. Dlatego wszyscy często korzystali z wirówki.

W kabinie, gdzie postawiono urządzenie, ledwie starczało miejsca na trzymetrowy promień wahadłowy. Liny mocowały wąską platformę, naprzeciw której ważąca tonę kula, przytwierdzona do końcówki wysuwanego ramienia, obracała się w przeciwnym kierunku. Większość ćwiczeń wykonywało się równoległe do platformy: pompki, rowerek, podnoszenie ciężarów rękami i nogami. Wstawało się bardzo powoli; gdy mózg zostaje raptownie poddany około sześćdziesięcioprocentowej utracie masy, do najłagodniejszych konsekwencji należą zawroty głowy i mdłości, trzeba także uważać na siłę Coriolisa. Mimo że pasek i linka, przywiązane do centralnego słupa, zapobiegały odrzuceniu przez siłę odśrodkową, łatwo było nawet o skręcenie karku. Podczas przysiadów i truchtania najlepiej było trzymać się właśnie tego słupka. Było to natomiast konieczne podczas stania na głowie, kiedy serce, mniej więcej zgodnie z dyktatami natury, pompowało krew w górę.

Beynac należał do tych, którzy byli w stanie wykonywać te wszystkie ćwiczenia z otwartymi oczami i nie wymiotować. W samotności, gdy starczało tchu, mógł sobie śpiewać, a im rubaszniejsza była piosenka, tym lepiej mu to robiło. Mimo to nie lubił tych sesji; a tutaj, w warunkach mikrogravitacji, trzeba było poświęcać na nie więcej czasu niż na Księżycu. W końcu wyczerpywał mu się repertuar, milkł i urozmaicał sobie monotonię rozmyślaniami i wspomnieniami.

Często skupiały się one na Kaino.

– Gdybyśmy my, Lunarianie, mieli własne statki – oświadczył młodzieniec kilka straży temu w mesie – nie byłoby to konieczne. W każdym razie i my, i nasi ziemscy pasażerowie nie znosiliby tego gorzej niż na Lunie. Moglibyśmy przyspieszać przez całą podróż.

– Gdybyście mieli flotę nowoczesnych statków, nie musielibyście zajmować się handlem w kosmosie – beształ go Beynac. – Moglibyście po prostu tarzać się w pieniądzech.

– Czy ludzie Ognistej Kuli siedzą z założonymi rękami? – skrzywił się Kaino. Głos drżał mu ze zniecierpliwienia. – Polecieć... I nie kupowalibyśmy statków, tylko je budowali.

– Nawet w takiej sytuacji, mój synu, nie oplaca się zwiększać prędkości przez cały czas, chyba że w jakimś szczególnym celu.

– My byśmy tak robili! Ale kto zechce dać nam wolność? Guthrie często drwił z rządu, ale nie zrobił nic, by nas od niego oswobodzić. On też się nas obawiał.

Beynac miał na końcu języka ripostę, że syn mówi bzdury. Przedsiębiorstwo zajmujące się lotami kosmicznymi winno z racjonalnego punktu widzenia witać z otwartymi rękami zdolnych przybyszów. Konkurencja nie stanowiła problemu; ludzi nie starczało do obsłużenia już istniejących linii. Jednak potęga i wpływy Ognistej Kuli miały swoje granice.

Uprzedził go Rydberg.

– Przyglądałem się astronautyce lunariańskiej – mówił kapitan, jak zwykle metodyczny. –

Przy dostępie do antymaterii po rozsądnych cenach silniki palnikowe mogą stać się opłacalne dla większości rodzajów lotów, być może nawet dla wszystkich. Stale przyspieszając o jedną szóstą g, załoga złożona z Lunarian nie potrzebowałaby w ogóle centryfugi. Dlatego mogłaby być mniej liczna, być może ograniczona nawet do jednej osoby. W trakcie zawracania prędkość byłaby odpowiednio mniejsza od pełnego g, a więc pochłaniałoby to mniej paliwa. Naturalnie wzrósłby czas przelotu, o mniej więcej pierwiastek kwadratowy liczby sześć, ale przy trasach w obrębie

Układu nie miałyby to większego znaczenia, Nawet wyprawa taka jak nasza potrwałaby około miesiąca.

Bardzo słusznie zawrócił rozmowę z torów politycznych, myślą! Beynac. Kiedy sześciu mężczyzn, wśród nich dwóch Lunarian, leci ściśniętych jak sardynki przez całe tygodnie, nerwy łatwo zawodzą.

Czy atmosfera poprawiłaby się, gdyby w skład załogi weszły dwie lub trzy kobiety? Chyba nie wszystkie linie, lecz Ognista Kula powszechnie stosowała taki zabieg. Ale nie, Dagny miała niewątpliwie rację, gdy opowiadała się przeciw takiemu rozwiązaniu ('Mond podejrzewał, że to za jej sprawą zorganizowanie załogi z samych mężczyzn stało się jednym z warunków umowy wynajmu). Wobec lunariańskiego temperamentu, niezależnie od tego, czy wynikłego z genetyki, czy cywilizacji, w takich okolicznościach nietrudno byłoby o kłótnie.

Beynac zaśmiał się. Jeśli martwiła się o niego pod tym względem, to niepotrzebnie. Od samego początku w pełni wystarczała mu jako kobieta – „i jeszcze ktoś”, jak dopowiedzieliby jego znajomi z Północnej Ameryki.

Na razie spełnił obowiązek wobec ciała. Mógł już wrzucić przepocony, śmierdzący dres do pralki, wykąpać się i założyć skafander, potem, ach, tak, pójść do własnej kabiny, jeszcze przed udaniem się do mesy. Od wielu lat nie widział *Wesela Figara*. Słuchawki. Jako jedyny na pokładzie interesował się operą. Terrańscy mieszkańcy Księżyca, odcięci zarówno od własnej planety, jak i od dzieci, potrafili hołdować archaicznym gustom.

Wyłączył wirówkę. Masa ciała zmniejszała się wraz ze zwalnianiem obrotów centryfugi, w końcu mężczyzna zawisł w powietrzu wśród luźnych lin. Złapał za stojak, do którego przyciągnął się wraz z platformą, za pomocą pasa bezpieczeństwa przymocował sprzęt gimnastyczny, wreszcie skierował się do drzwi.

Otwarły się i do środka zajrzał Hitu.

– O, czekałem, aż się pan uwolni – oznajmił.

– Coś się stało? – zapytał Beynac. Nagle uświadomił sobie samotność statku, tej metalowej bańki unoszącej się na powierzchni wrzącego powoli kosmosu.

– Nie. Tylko natrafili na dobry widok asteroidy. Pomyślałem sobie, że będzie pan chciał natychmiast ją obejrzeć.

– Tak, jak najbardziej. Dziękuję. – Beynac poszedł za swoim studentem korytarzem wzdłuż osi statku. Wzruszył go uprzejmy gest, już nie pierwszy, jaki wykonał Hitu. Był... niech będzie, bardziej ludzki, bardziej otwarty od większości Lunarian. Czasami Beynac czuł, że jest mu bliższy niż własne dzieci.

Lars Rydberg, Antonio Oliveira i Manyane Nkuhlu chyba naoglądali się już do syta. Kaino unosił się sam w kabinie sterowania. Zawsze z chęcią odbywał wachtę pilota, nawet za kogoś, chyba że podwyższał swoje umiejętności w symulatorze, który uparł się zabrać w drogę.

Zdawkowo skinął rudą głową, nie odrywając wzroku od ekranu. Beynac zbliżył się, wyhamował, popatrzył i cicho gwizdnął.

Radar zdążył już ustalić wymiary asteroidy: bryła nieregularnych kształtów, szersza z jednego końca, zmieściłaby się w walcu długości trzystu i szerokości stu kilometrów. Przy maksymalnym powiększeniu wciąż sprawiała wrażenie niewielkiej, zewsząd otoczonej czernią kosmosu. Była barwy łupkowoszarej, nakrapiana czarnymi plamami, które musiały odzwierciedlać najgłębsze nieregularności powierzchni, w połowie długości ciągnęła się rozległa, szara i płaska powierzchnia. Z jej krańca sterczało coś przypominającego igłę: szczyt albo turnia przebijająca mrok. Obroty asteroidy były ledwie zauważalne. Oddalając się od słońca, ciało wykonywało obrót wokół własnej osi mniej więcej raz na pięć godzin, jakby od czasu do czasu podzucane przez nieuważnego giganta.

Na tle Pasa asteroida przedstawiałaby całkiem interesujący obraz. „Sacajawea” zdążyła się

jednak zagalopować o cztery miliardy kilometrów dalej, w pobliże tras uczęszczanych z reguły przez komety.

– *Oui, tu voila* – wyszeptał Beynac, dodając już głośno na użytek reszty obecnych: –

Wytropiliśmy cię, gadzino.

Gdy zabrzmiał dzwonek, Dagny ruszyła kangurzymi susami do przedsionka. Przy drzwiach się zawahała. Serce trzepotało jej w piersi. Nikt w Tychopolis nie czuł potrzeby montowania juda sza ani kamery. Mógł to być przypadkowy, niezapowiedziany gość... Choć wołałaby kogoś innego. Zagryzła wargi i odsunęła drzwi. Przed domem biegła ulica Hudsona, korytarz wysadzany różami w żardinierach, po drugiej stronie widniał kącik gastronomiczny sąsiada. Napięte zmysły czuły zapach kwiatów niczym pchnięcia noża.

Robot, który stał przed drzwiami, wzrostu dwóch metrów, był zdumiewająco podobny do człowieka i odziany w coś na podobieństwo średniowiecznej kolczugi. (Złudzenie pryskało, gdy zwróciło się uwagę na złącza, zasilanie, wieżyczkę z głośnikiem, czujnikami dźwiękowymi i pierścieniem soczewek). Widziała go kiedyś w wiadomościach; taki kształt był niepraktyczny, chyba że maszyna chciała spełniać zadania specjalne, takie jak na przykład dzisiaj.

Przez chwilę stali oboje bez ruchu. Do ich uszu dobiegał cichy szum miasta.

– Witam – zagaił robot.

Dagny знаła ten głos z transmisji, z telefonu, z pamięci. Był to głos Ansona Guthrieego, nie ochrypły jak w ostatnich latach życia, lecz silny i donośny. Czuła, jak słabnie wbrew wszelkim nakazom woli.

Opanowała się.

– Wi-witam.

– Mogę wejść?

Robot mówił nieśmiało, jakby niepewnie. W rzeczywistości był bez wątpienia silny

i przebiegły, urządził wszystko tak, by zgubić tłum ciekawskich, którzy chętnie przyszliby jego śladem aż tutaj, ale w tej chwili także nie bardzo wiedział, co powiedzieć, i ta świadomość dodała kobiecie pewności siebie. To po to tu jesteś, co? – chciałyby spytać, ale w porę się powstrzymała.

Zamiast tego wymamrotała:

– Ależ proszę. – I odsunęła się z drogi. Czy powinni uścisnąć sobie dłonie?

Robot minął ją pełnym gracji krokiem: pod błękitnobiałym metalem krył się wspaniały mechanizm. Dagny zamknęła drzwi.

– *Gracias* – powiedział robot i stanął.

Wyobraziła sobie, jak ogląda wejście, wybite dębową boazerią ściany, antyczne lustra, zdjęcia wybrzeża w stanie Waszyngton, mikroskopijne pomniki na cześć Ziemi, która już praktycznie nie istniała. Wieżyczka nie poruszała się. Komputer w jej wnętrzu przesunął spojrzenie z soczewki na soczewkę, zakreślając pełne koło.

W układzie otwartym, przypomniała sobie Dagny, komputer wyposażony był w dwie soczewki umieszczone na długich słupkach wystających z obudowy. Robot nie był ciałem komputera, nie był nim, a tylko pojazdem do tymczasowego użytku.

W pewnej chwili przestała o nim myśleć jak o automacie. Wyczuwało się tu jakąś iskrę ducha Guthriego, który był w każdym calu mężczyzną. Zasejwowany umysł odziedziczył imię i nazwisko. Można go w takim razie obdarzyć również płcią.

– Układ taki, jak kiedyś – stwierdził już nieco swobodniej. Eksperci utrzymywali, że ma swoje nastroje, uczucia, być może inne niż kiedyś, ale prawdziwe. – Byłem ciekaw, czy coś zmieniłaś. Kopę lat, no nie?

– Tak – odparła. – Sześć, siedem? – Od czasu gdy on, pierwotny on, gościł u siebie ją i Monda. Potem spotkali się na krótką chwilę na Ziemi (jak on się wtedy postarzał, choć język miał wciąż niewyparzony), a przez telefon rozmawiali praktycznie do końca... – Tędy proszę. –

Poprowadziła go korytarzem do salonu.

Przystanął w środku. Nastawiła monitor na bezpośrednią prezentację z kamery zainstalowanej na szczycie muru okalającego działkę. Ku widnokręgowi ciągnęło się pustkowie zalane plamami cienia i łagodnego światła. Nad linią horyzontu wznosił się kolektor Criswella, jedyny jaśniejszy punkt w tej krainie. Nad głowami mieli nocne niebo i Ziemię w drugiej kwadrze, majestatycznie białoniebieską. Nie bardzo wiedziała, dlaczego dzisiaj upodobała sobie akurat ten widok. Możliwe, że w głębi duszy nie śmiała albo nie mogła silić się na stwarzanie pozorów.

– Tutaj też niewiele się zmieniło – zauważył Guthrie.

Okazało się, że jednak stacją na podjęcie rozmowy.

– Wiesz przecież, jak stare małżeństwa się przywyczajają.

– To nie odnosi się do ciebie i Monda. Przynajmniej jeszcze nie. I tak już chyba pozostanie.

On poleciał z górki na pazurki w kosmos. Ty kierujesz budową Asterburga i, jak słyszałem, zalewasz gubernatorowi sadła za skórę, kiedy tylko sobie na to zasłuży.

Żadnych pozorów! A więc co? Dagny zagryzła wargi.

– Nie wiem, czym... czym cię poczęstować... – Zadudnił śmiech.

– Raczej nie filiżanką herbaty. – Ręka, która wyglądała na odlaną w piecu, a faktycznie wyhodowano ją w nanokadzi, wykonała gest. – Może usiądź. – Zaczął mówić ciszej. – Mnie wolno. Tu, na Księżycu, nie załamie się pode mną krzesło.

– Nie czuję zmęczenia... na Księżycu. Zamilkli. Milczenie przerwał Guthrie:

– Czy Carla... Jinann jeszcze z wami mieszka?

– Tak, ale w tej chwili siedzi w swoim sklepie jubilerskim. Uprzedziłam, żeby przed przyjściem zadzwoniła i że być może poproszę ją, by tę noc spędziła gdzie indziej.

– Ale po co, do jasnej cholery?! – zawołał dokładnie tak samo jak żyjący mężczyzna. –

Chciałbym ją jeszcze raz zobaczyć, i to razem z całą twoją rodziną.

– Jeszcze raz? – wyrwało jej się. Przerazona wstrzymała oddech. – O! O Boże, przepraszam!

– Nie trzeba – powiedział łagodnie.

– Nie chciałam...

– Wiem.

– Przepraszam.

Podeszła do stolika, na którym stała flaszka i kilka kieliszków. Było ich kilka, bo postawienie jednego albo dwóch wyraziłoby to samo, co przed chwilą jej się wymknęło. Trzęsącymi się rękami naląła sobie wódki i wychyliła czwarty kieliszek. Whisky paliła w język i gardło, zmierzając prosto do krwiobiegu. Z góry domyśliła się, że alkohol może się przydać.

– Bez urazy – odezwał się – ale nie rwę sobie włosów na głowie z powodu swojego stanu. –

I chichocząc, dorzucił: – Ani jednego włoska.

To była jego ulubiona szkocka. Poczęstował ją tym trunkiem – ile to już lat temu? A teraz nie będzie mu dane poczuć jego smaku, nigdy, chyba że w jakimś elektronicznym marzeniu wirtualnym. Dagny odwróciła się w jego stronę.

– Ja bym tak nie chciała – poskarżyła się. – Głupi z ciebie staruch.

Pogładził ręką dolną część wieżyczki, jakby Guthrie dotykał brody.

– Na twoim miejscu bym tak nie mówił. Jesteś nie tylko bystra, ale ciągle niezła z ciebie babka.

Mrugała powiekami. Nie będzie przecież płakać. Niewątpliwie to zauważył, bo pospiesznie dodał:

– Ostatnimi czasy mówię o takich sprawach bardziej ogólnikowo. Ale ciągle to i owo pamiętam.

– Ta-ak.

– Albo pamięta – poprawił się Guthrie, znów poważny. – To byłoby chyba bliższe prawdy?

– Nie wiem. – Wypiła kolejny łyk.

– Tak jest. Na pewno. Wpuścili mu do układu nerwowego chmurę nanoskanerów, zakodowali efekty i wykorzystali to do zaprogramowania sieci neuronowej, która byłaby dokładnym analogiem jego mózgu... *Bueno*, nie ma sensu rozwodzić się na ten temat. Jestem jego następcą.

Jak bardzo mógł cierpieć zasejwowany umysł? Dagny wciągnęła powietrze.

– Mimo to maszerujesz dalej, bo walka trwa. – Jego własne słowa po śmierci Juliany. Jak można pocieszyć komputerowy twór? – Bo stworzyli cię na jego obraz i podobieństwo.

– I pod pewnymi względami jestem taki jak on – uzupełnił ją. – I to tyle na ten temat. –

Chwilę milczał. – Gdy odwiedziłem go na łożu śmierci, powiedział, a raczej przypomniał mi o tym, co to znaczy być człowiekiem.

– Świat zrobił się dziwny, prawda? – Dagny mimo woli zadrżała.

– Chyba niewiele się zmieniło. – Znowu słyszała dobrze znajomy ton. – Jak zareagowałby któryś z jaskiniowców Monda, gdyby zobaczył cię w dzieciństwie? Same zmiany są już czymś dziwnym.

Whisky zaczynała ją rozgrzewać.

– Jesteś... całkiem podobny do... wujanso – zaryzykowała.

Zdawało jej się, że robot chciał wygenerować uśmiech.

– *Gracias*. Staram się.

– Bo potrzebuje cię Ognista Kula. I my wszyscy.

– Taka była ogólna myśl przyświecająca całej operacji. Osobiście nie przywiązuję zbyt wiele do Świętego Mikołaja, dobrych wróżek ani ludzi niezastąpionych. Aleracja, zostało jeszcze parę niedokończonych spraw; dopiero potem będę mógł odejść ze względnie czystym

sumieniem.

– Odejść. – Znowu przebiegł ją zimny dreszcz.

– Dać sobie spokój – podjął niemal z humorem. – Wyłączyć się. Przepaść. Jak zwał, tak zwał.

Przestać istnieć. Wypiła kolejny łyk, co dodało jej odwagi, żeby zapytać:

– A chcesz? – Mógł przecież istnieć jeszcze tysiące lat, może bez końca.

Robot przeważnie się nie poruszał. Czasami jakby przypominał sobie o języku ciała.

Wzruszył ramionami.

– A, siebie mi nie żal. *Por favor*, uwierz mi, że mam analogowe jaja. To jest jeszcze diabelnie ciekawy wszechświat. Ale tak między nami – i musisz przysiąc na doktora Dolittle, że nie będziesz mnie cytować – za życia czułem się lepiej.

Zadrżała. Nieprawda!

Tak, był potężny, mógł dokonywać cudów nieosiągalnych dla zwykłego śmiertelnika.

Biedne, dzielne widmo.

– Zawsze robiłeś to, co uważałeś za swój obowiązek, prawda? Twoja wizyta w okresie, kiedy masz tyle na głowie i wszyscy cię zamęczają, to gest boskiej dobroci. Tak podobny do mojego wujanso.

Znowu mówił nieskładnie, przestępując z nogi na nogę.

– Hm, ten wizerunek do publicznych wystąpień, niepotrzebnie go użyłem, telefonując do ciebie, Dagny. Od razu zorientowałem się, że to idiotyczny błąd, i strasznie cię przepraszam.

Przypomniała sobie ten bolesny widok, choć niewyraźnie, jak gdyby dzieliło ją od niego więcej niż kilka zwykłych cykli dziennych. Syntetyczny obraz Ansona Guthriego w kwiecie wieku, sterowany przez wirtualny umysł tak, jak żywy mózg kieruje żywą twarzą, potrafił poruszyć miliardy widzów albo zadać śmiertelny cios samotnej wnuczce.

– Nic się nie stało – wymamrotała.

– Stało się, stało, a ja chciałbym to naprawić – upierał się.

– Nie powinienem stosować wobec ciebie kretyńskich fałszerstw. – Uniósł ręce. – Musimy wyjaśnić sobie kilka spraw.

– Ton stał się rzeczowy. – Bo w przyszłości będziemy ze sobą współpracować tak samo często, jak współpracowałaś z nim.

Nim? Pomyślała. Odrębną, utraconą istotą? A w ogóle co to jest umysł, ego, dusza?

– Dziękuję – wyszeptała. – Jestem ci wdzięczna bardziej, niż potrafię to wyrazić.

Uspokoił jej skołataną duszę.

Długim krokiem, możliwym przy małej grawitacji, podeszła do niego i ujęła go za wyciągnięte ręce. Były nieco zimne w dotyku, ale ciężarem przypominały dłonie wujanso.

– Ach, Dagny. – Gdy go puściła, objął ją na krótki, delikatny moment.

To po to tak naprawdę przyszedł, pomyślała. Kiedyś ją kochał. I to się nie zmieniło.

Edmond Beynac zginął w bezsensownym wypadku. Choć z drugiej strony każdy wypadek jest pozbawiony sensu, tak jak i cała historia.

– Nie, to nie jest starożytne, zagubione ciało niebieskie, które opisywałem w swojej hipotezie

– tłumaczył Manyane Nkuhlu po pobieżnym rzucie oka. Kosmonauta nie znał się na geologii, ale chętnie by się czegoś dowiedział. – Do jasnej cholery, przecież wyjaśniałem to jeszcze przed startem. Nie? *Eh bien*, byłeś wtedy zajęty, a potem nie miałeś okazji posłuchać. Przed sobą mamy obiekt złożony przede wszystkim z metali, żelaza, niklu i tym podobnych, które w pewnym momencie stopiły się ze sobą. A to oznacza, że jest to odłamek ciała na tyle dużego, iż zdążyło się stopić i utworzyć jądro – do którego samo się nie ogranicza, jasne? Ta płaska część to miejsce oderwania w wyniku wielkiego zderzenia. Ale nie sądzę, żeby wielki meteoryt rozpadł się w wyniku kolizji na tego typu małe fragmenty. Wówczas uderzenie pozostawiłoby inne ślady.

Całkiem możliwe, że jakaś potężna siła pchnęła duży obiekt i oderwane od niego mniejsze kawałki na bardzo zawiłą ścieżkę, na której Jowisz je przechwycił i wypchnął w przestrzeń kosmiczną. Jeśli nie wydostały się w ogóle poza Układ Słoneczny, ich nowa orbita była z pewnością ogromna, a gdy w przeciągu trylionów lat mijały różne gwiazdy, peryhelium oddalało się jeszcze bardziej.

– Nowa orbita? – powtórzył Nkuhlu. – Nie chce pan chyba powiedzieć, że kawałki poruszały się w grupie po identycznej trajektorii?

– Ależ oczywiście, że nie. – Ręka Beynaca przecinała powietrze. – Jednak ich tory musiały być dość podobne. I dalej ku Obłokowi Oorta – tak, lata tam wiele komet, ale przy takiej objętości są od siebie znacznie oddalone! Rzadko coś zakłócało lot fragmentów, przynajmniej tego dużego. To prawda, stopniowo grupa się rozpadała. Nie ulega wątpliwości, że orbitę tej bryły drastycznie zmieniła jakaś kometa. Obecnie peryhelium asteroidy jest porównywalne do początkowego. Musiało się to dzieć całkiem niedawno, jakieś kilka milionów lat temu, ponieważ orbita jest jeszcze bardzo niestabilna. Spotkanie nastąpiło prawdopodobnie w sąsiedztwie dawnego peryhelium. Bliżej słońca komety mają nieco większą gęstość. Co zdaje się sugerować, że duże ciało nie znajduje się w największej możliwej odległości od nas. Być może uda nam się przeprowadzić wyliczenia i określić jego przybliżone położenie... – Beynac uniósł ręce i odrzucił głowę. – Ale dosyć tych wykładów! – roześmiał się. – Poniósł mnie zapal akademika. Znajdę ci okazję do nauki praktycznej.

Był to być może jeden z czynników, który po kilku tygodniach doprowadził do jego śmierci. W odróżnieniu od innych, ten nie należał do przypadkowych. Wobec braku ludzi i sprzętu w badaniach przydawała się każda para rąk. On i Hitu nie nadawali się do wiercenia, kopania i zbierania próbek. Ich rola sprowadzała się do ogólnych badań, do poszukiwania obiecujących miejsc. W laboratorium na pokładzie „Sacajawei” przygotowywali próbki do zbadania, oglądali

Je i ziarnko do ziarnka gromadzili wiedzę na temat asteroidy i jej historii. Od czasu do czasu ćwiczyli w centryfudze, myli się, jedli albo spali.

Reguły wymagały, żeby człowiek, który umiał w razie czego samodzielnie poprowadzić statek, pozostawał na jego pokładzie. W tym przypadku oznaczało to albo Rydberga, albo Kaino. W praktyce wyglądało to tak, że obydwaj pracowali wspólnie, wspierając się umiejętnościami. Nkuhlu i Oliveira byli więc wolni.

Tak zostało ustalone na początku. Beynac cieszył się z perspektyw czekających syna, zwłaszcza że przywódcy Ognistej Kuli zaczęli dostrzegać korzyści płynące z posiadania kilku lunariańskich pilotów. Nkuhlu i Oliveira byli doświadczonymi skałolazami. Świetnie spisywali się w działaniach na skalistych ciałach i zdradliwym lodzie komet.

Byli technikami, nie naukowcami czy inżynierami. Ale prawdopodobnie nikt nie byłby w stanie przewidzieć niebezpieczeństwa. *Zawsze*, ma się tylko pewność, że każda wyprawa w nieznaną obszar kosmosu przyniesie niespodzianki.

Stopa ludzka nigdy jeszcze nie stanęła na niczym podobnym do płaszczyzny powstałej po odłamaniu tego obiektu. Miała długość około dziesięciu i szerokość dwudziestu kilometrów, wrzynała się w głąb walcowatego ciała. Otaczały ją skały, lżejszy materiał, który nagromadził się na pierwotnym jądrze i pozostał na nim podczas kolizji lub spadł na nie wkrótce potem w postaci na poły płynnego gradu. Powierzchnia była ciemna i nierówna. Uderzenia meteorów, które by ją ścierały i znaczyły kraterami, były rzadkie w rejonach, po których wędrował obiekt. Obszar płaszczyzny lśnił bladą szarością na tle dookolnych kamieni, poznaczony kilkoma zaledwie jamami.

Na krawędzi tej blizny położonej od strony Oriona wznosił się szczyt, który dostrzegł Beynac. Wyglądał także na rezultat kolizji, wybryk natury stanowiący efekt składowej sił w tym akurat punkcie. Możliwe, że fala wstrząsu, skupiona przez sejsmiczną granicę gęstości, wyrzuciła

do góry płynny metal, który zastygał, tryskając. Był wysokości rzędu nie tyle góry, ile iglicy na wieży, pagórka, dziwnie poskręcane i sękatego, tysiąc metrów pionowej ściany od rumowiska u stóp do wierzchołka, który zakrzywiał się niczym orli dziób nad płaską powierzchnią złamania. Za górą ciągnęły się tarasy i piargi skalnego pustkowia. Gdy człowiek zapuścił się tam pieszo, docierał do punktu, w którym między horyzontem na prawo i lewo ciągnął się pas szerokości trzydziestu metrów, lecz reszta ginęła w mroku. Stojąc pod iglicą i patrząc w przeciwną stronę, widziało się praktycznie pozbawioną znaków szczególnych równinę, otoczoną z obydwóch stron gwiazdami, a kończącą się po dwudziestu kilometrach skarpą. Nad głową roztaczała się ciemność, w której nocą tłoczyły się konstelacje przedzielone poświatą Mlecznej Drogi, nawiedzane przez mgławice i siostrzane galaktyki. Później na niebo wtaczało się słońce, skurczone do rozmiarów punktu, lecz wciąż nieznośnie gorące, płonące z siłą pięciuset Księżyców obserwowanych z Ziemi. Gwiazd widać było wtedy niewiele, lecz za jedną z nich można było wziąć towarzyszącą „Sacajawei” wrzecionowatą raketkę. Masa również niejasno kojarzyła się z planetą ludzi. Na krańcach asteroidy człowiek był lekki jak piórko, lecz tutaj, w pobliżu środka masy bryły żelaza, grawitacja przekraczała jedną dziesiątą g.

Tak wyglądał pejzaż, w którym zginął Edmond Beynac.

– Wejdźcie na szczyt – mówił Nkuhlu i Oliveirze. – Po drodze róbcie jak zwykle zdjęcia i odczyty gamma. Wracając, zabierzcie w plecakach kawałki wierzchołka – ustalcie laserem ich dokładne współrzędne, tym razem, do cholery, nie zapomnijcie o tym! Tak, i trochę rdzenia, z głębokości do dwóch metrów. Przeprowadźcie badanie sondą sejsmiczną. Muszę poznać wnętrze tego obiektu. I skąd się to, do diabła, wzięło.

Szanował ich, dlatego nie tłumaczył czegoś, co rozumiało się samo przez się, to znaczy, że posyłał ich na ciężką, może wręcz niebezpieczną wyprawę. Sam wraz z Hitu skierował się do trudnej strefy na przeciwległym krańcu blizny. Tam natrafił na kolejną zagadkę: warstwę

geologiczną w miejscu, gdzie według teorii być jej nie powinno.

Wspinaczka Nkuhlu i Oliveiry zmieniła się w mały epos. Przyciąganie było małe, ale sprzęt ciężki, a skalne ściany strome. Bywało, że przed rozpoczęciem następnego etapu przyglądali się drodze przez godzinę i zastanawiali, czy w ogóle podejmować wspinaczkę. Co więcej, każdy z nich mógłby trzy razy zginąć, gdyby nie powstrzymała go lina przywiązana do uczonego skały towarzysza. Zużywali mnóstwo powietrza, wewnątrz skafandrów zrobiło się gorąco, zadyszeli się, zaschło im w ustach; na skalnych półkach odpoczywali wiele minut, wysysali wodę z butli, racje żywności i środki pobudzające wpychali sobie przez otwory najedzenie – aż w końcu, na uginających się kolanach, stanęli na szczycie, spojrzeli na pustynię pod stopami i ogrom przestrzeni kosmicznej.

Wtedy zaczęła się prawdziwa praca. Jeszcze nigdy w życiu nie zmagali się z takim materiałem. Nie była to skała, lecz metal; niejednorodny, stanowił wielokrotny i zawiły stop, płataninę warstw, narośli i wakuoli. Gdy tylko palnikiem jonowym odcięli próbkę, groziło im opiyskanie przez rozżarzone do białości krople. Gdy górę przenikał dźwiękowy impuls, potrafiła zadrzeć cała podstawa.

Katastrofę wywołał miniładunek kumulacyjny. Normalnie powinien rozszczepić wyjątkową żyłę ołowiu, z której dałoby się pobrać próbki. Tymczasem wybuch wywołał rezonans. Słabe punkty, na które od miliardów lat nic nie naciskało, ustąpiły. Oderwał się dziób orła. Spadło kilka ogromnych i około setki mniejszych odłamków.

Beynac i Hitu wychynęli na równinę z rozpadliny, gdzie lampki w ich hełmach oświetlały kolejne tajemnice. Szli po przekątnej, kierując się ku kopule w przeciwległym rogu płaszczyzny i pojazdowi, który przetransportowałby ich z powrotem na pokład statku. Otaczające ich skały nie przepuszczały fal radiowych. W przeciwnym wypadku Beynac słyszałby swoich asystentów, którzy na głos komentowali każdy swój krok. Możliwe, że by ich przestrzegł. Chociaż być może

niczego by się nie domyślił.

Przebyli już spory kawałek płaszczyzny, gdy oderwał się zakrzywiony czubek wierzchołka. Z takiej odległości skały sprawiały wrażenie niewielkich i leciały bardzo powoli. Jednak przyspieszały więcej niż metr na sekundę. Podczas uderzenia leciały z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. W większości wypadków ugrzęzłyby w miejscu. Tu jednak powierzchnia była twarda i gładka. Tarcie, i tak już niezbyt wysokie przy małej grawitacji, tu równało się praktycznie zeru. Co gorsza, płaszczyzna nie była tak naprawdę równa. Wzrost masy w miarę zbliżania się do centrum asteroidy powodował niewielkie, lecz znaczące nachylenie.

Oliveira i Nkuhlu padli na brzuchy i chwyтали się, czego mogli, podczas gdy góra trzęsła się pod nimi. Pył wzbijany przez upadające gązdy na chwilę przesłonił niebo. Powoli opadał. Wstali i zobaczyli, jak skały i żwir rozchodzą się kręgiem po równinie niczym żelazna burza, której pięść wymierzona była w dwie postacie w centrum płaszczyzny.

Usłyszeli przez radio: „*NomdeDieu. 'A bas, Hitu! Padnij, padnij. Jasny szlag!*” Nikt nie umknąłby przed zbliżającą się lawiną. Geologowie padli plackiem na ziemię. Widzieli, jak skały skaczą, odbijają się i toczą w ich kierunku. Bezgłośne uderzenia odczuwali niczym bicie perkusji, którego rytm przenikał skafandry, ciało, kości. W powietrze wlatywały iskry, efemeryczne gwiazdy pod gwiazdami. Mieli czas, żeby pomyśleć, wspominać, nawet coś powiedzieć.

Hitu, Lunarianin, syczał ze złością. Beynac wołał spokojnym głosem:

– Jeśli nie przeżyję, powiedz Dagny, że ją kochałem! – Nie zwracał uwagi na gorączkowe krzyki z iglicy i statku. Ale gdy dopadła go lawina, nadał jeszcze, zapewne nieświadomie: – *o maman, mamon...*

Hitu dopisało szczęście. Jakiś kamyk przebił mu strój, zadrapał bark i wyleciał. Otwory z miejsca automatycznie się zasklepiły. Co do Edmonda Beynaca bryła rozmiarów jego pięści roztrzaskała mu hełm. Powietrze uleciało w próżnię.

Dobra to śmierć. Po kilku sekundach traci się przytomność, wkrótce potem człowiek umiera.

Jego synowie zgromadzili się w domu matki na Księżycu.

– Później tak, wprowadzimy w nasz krąg więcej ludzi – oznajmił Brandir – ale ten wieczór należy wyłącznie do nas.

Stał tak samo jak matka i bracia. Za jego plecami widać było wielki ekran. Animowany obraz rzeki Dordogne, zielonej doliny i zamku na szczycie sprawiał wrażenie podwójnie odległego w zestawieniu z jego wysoką, odzianą w czerń i srebro postacią, długimi, bladymi włosami i rysami twarzy, które nie należały do żadnej konkretnej rasy na Ziemi. A przecież, myślała Dagny, on też, niczym jakiś dawny pan feudalny, mieszkał w niebotycznej, górskiej twierdzy.

– Czemu? – zapytała.

Może wpuszczą przynajmniej siostry. Uświadamiała sobie, że ci mężczyźni nie przybyli tu odprawiać wraz z nią żałoby. Słyszała głosy:

– Musimy pomścić naszego ojca.

– Co?! – krzyknęła. – Karać odłamek skały?!

Nie. To pokolenie było osobliwe, lecz przy zdrowych zmysłach. Pod pozorami rycerskości krył się bowiem realizm tak zimny, że aż czasem bała się o tym myśleć. Język ulega mutacjom.

– Co macie konkretnego na myśli? – spytała.

Kaino mówił najgłośniej. W życiu słyszała go już wściekłego, rozzalonego, drwiącego, wrogiego, ale nigdy tak posepnego.

– Musimy uregulować rachunki z tymi, którzy zgotowali mu taki los.

Po grzbiecie przebiegły jej ciarki.

– Chwileczkę! – zawołała. – Z tymi dwoma nieszczęśnikami, którzy wywołali skalną lawinę?

Nie! – Nabrała pełne płuca powietrza, popatrzyła mu w oczy i oznajmiła: – Zabraniam!

Po powrocie statku wzięła tamtych dwóch na stronę i pocieszała, jak mogła.

– Nie wybaczam wam – oznajmiła – bo nie ma czego. Tego nie można było przewidzieć. –

Oli veira płakał i całował ją po rękach. Nkuhlu salutował tak, jak mógłby pozdrawiać Ansona Guthriego.

Brandir machnął niecierpliwie ręką.

– Nie ma potrzeby – odpalił. – Oni nic nie zawinili. Niech żyją w spokoju. – Jego arogancja przybierała w oczach Dagny swego rodzaju osobliwą, wręcz kocią niewinność. – Nieszczęście spadło na nas za sprawą panów Ziemi.

– Gdybyśmy mieli należący do nas statek – wycedził przez zęby Kaino – i lunariańską załogę...

– Posłałbym go w drogę z najlepszymi ludźmi – deklarował Brandir – i najnowocześniejszymi urządzeniami.

W tej chwili mógłby już sobie chyba na to pozwolić, myślała Dagny. Jego przedsięwzięcia – działania grupy młodzieńców, którzy zaprzysięgli mu wierność – oplatały siecią cały glob.

Zabroniono im między innymi budowania statków kosmicznych i prowadzenia działalności dalej niż na Ziemi.

– Lunarianie wyczuliby czyhające pułapki – dodał Kaino.

– Chociaż być może niekoniecznie – zaproponował Temerir. Wzrok Dagny spoczął na tym trzecim synu, który z reguły odzywał się dopiero wtedy, gdy dostrzegał okazję do wygłoszenia jakiejś trafnej uwagi. Drobnej budowy ciała, blady i szarooki, stał w prostym, błękitnym skafandrze, który ostro kontrastował z elegancją Brandira i krzykliwością stroju Kaino. Za to miał z całej trójki najbardziej typową lunariańską twarz.

– Być może – przyznał Brandir – ale szansę powodzenia byłyby większe.

– A wyprawa nasza – dodał Kaino.

– Nasza zemsta i pomnik na cześć ojca – zwrócił się Brandir do Dagny – będzie polegać na

złamaniu zakazu panów Ziemi i wywalczeniu dla Luny wolności w kosmosie. Matko, prosimy o pomoc.

Tętno Dagny zamarło, po czym odżyło i zabiło szybciej.

Wiedziała, że bez niej nie zdołają zmienić prawa. Mogli zgromadzić bogactwa na skalę krezusów, ale pod względem politycznym byli karłami, przede wszystkim dlatego, że nie byli utalentowanymi mężami stanu.

Co nie znaczyło, że retoryka, manipulowanie prawdą, zakulisowe transakcje, pochlebstwa, kompromisy, szantaż, terror, przekupstwo, łamanie obietnic i pycha stanowiły jej drugą naturę. – Sama... sama nie wiem – wyjąkała.

Spojrzała na pejzaż Dordogne za Brandirem, potem na porośnięty mchem kawałek brzegu rzeki. Ach, czyżby to było to samo miejsce, w którym spacerowała za rękę z Mondem?

Zatrzymali się wtedy, puszczali na wodzie kaczki, usiedli na miękkim i wilgotnym podłożu, a on objął ją w pasie i pocałował. Broda trochę drapała...

Czuła się tak, jakby w sercu stopniał jej raptem lód. Całą nocną straż po otrzymaniu wieści wyła samotnie jak wilczyca, ale trzeba było dokonać wielu rzeczy i powiedzieć niezliczoną ilość słów, wysilić się na niezliczone uśmiechy, dlatego niech automat wykona program i wyłączy się z nastaniem nocy. Pustka może poczekać, nigdy jej już nie opuści.

W tym momencie... musiała wytrzymać jeszcze trochę, jeszcze jedną chwilę. Potem będzie mogła wypuścić strugi łez, przejrzeć jego biurko, ubrania, książki, bazę danych z telefonami i wiadomościami, które wysyłał podczas pracy w terenie już od tylu lat, dzień za dniem, będzie mogła przekonać się, że odszedł do wieczności, pogodzić się z tym faktem, ogrzać dłonie przy wspomnieniach o nim.

Ale jeszcze nie teraz. W tej chwili oczy jego dzieci były skierowane na nią niczym lufy karabinów, czekała ją praca. Trojjedyny bóg Edmonda Beynaca nazywał się pokrewieństwo,

prawda i wolność.

Wyprostowała się. Mięśnie z przyjemnością zareagowały na ten ruch.

– Dobrze – odparła. – Spróbuję. Dołożę wszelkich starań. Polityka nie sprowadza się do brutalności i oszustw, myślała. – w gruncie rzeczy rządziła nią uczciwość, którą ludzie kierowali się przy porządkowaniu wspólnych spraw. Można by na przykład aczać od urabiania telekomisarza Lefevre’a. Byli z Mondem bliskimi znajomymi...

Kaino ją objął, co nie zdarzyło się od czasu, gdy miał dziesięć lat.

Nie będzie płakać.

Odsunął się. Mówiła pospiesznie:

– Nie spodziewajcie się cudów. Może coś mi się uda, a może nie. W najlepszym nawet wypadku zajmie to mnóstwo czasu i będzie trzeba rozejrzeć się za sojusznikami.

– Możesz liczyć na wszystko, co my trzej możemy ci dać – Brandir skinął głową – włącznie z cierpliwością.

– Zacznijmy od sióstr... na przykład Verdea mogłaby wywołać potrzebne nam ogólne poruszenie. – Shelley i Byron dokonali tego w sprawie wyzwolenia Grecji, Sołżenicyn dla Rosji, Jaynes dla Ameryki Północnej.

– I Fia, tak, jeszcze Fia – mruknął Brandir.

Helena, czarne warkocze, brunatne oczy, pełna rezerwy, oficjalna, skryta, z wyjątkiem podejścia do muzyki... Carla – Jinann, nie, do momentu, kiedy sprawy osiągną etap przemówień, presji emocjonalnej, parad, demonstracji, apeli, gdy może okazać się cenną łączniczką między co bardziej kłótliwymi Ziemianami, którzy zamieszkują Księżyc, a wyniosłymi Lunarianami...

– Jak sądzisz, ile to potrwa? – zapytał Kaino. Poczwała ostrze jego tęsknoty

– Już mówiłam, że nie wiem – westchnęła.

– Mnie również przyjdzie pić z czary czasu – dodał Te – merir.

Popatrzyła na niego zaskoczona, gdy stał na tle jej kwiatów.

– Co? Dlaczego? – spytała.

– Zamierzam poszukać wielkiej planetoidy, o której marzył ojciec – odparł astronom.

Brandir wznosił mu prywatne obserwatorium na Drugiej Stronie. – Poszukiwania zajmą całe lata.

Tym bardziej, że będą naszą tajemnicą.

– Co? Tajne przedsięwzięcie naukowe? Będziesz się nim zajmował, kiedy nikt nie będzie zwracał na ciebie uwagi? Jakim sposobem, na miłość Boską?

Rozłożył palce. Rodzice wzruszyliby w tej sytuacji ramionami.

– Wyprawa ojca dostarczyła pewnych wskazówek. Ale mało kto zwracał uwagę na jego teorie na temat początków Układu Słonecznego. Brano je za wybryki na ogół potężnego umysłu.

Nie powinno być kłopotu z zagrzebaniem całej sprawy – z twoją, matko, pomocą. Kto może przewidzieć, co odkryje kiedyś Lunarianin? – Wpiło się w nią lodowate spojrzenie. – Jeżeli wszyscy obecni tu dzisiaj nie przyrzekną milczenia, nie podejmę swoich poszukiwań ku czci Edmonda Beynaca.

Dagny przeszył dreszcz. Czyż nie jest to na swój sposób najbardziej imponujący spośród jej synów?

Widziana z lotu ptaka równina ciągnęła się jak okiem sięgnąć, mieniając się płynnymi odcieniami zieleni pod równie ogromnym niebem. Od podmuchów wiatru przez trawy przebiegały czasami fale, delikatne i ulotne niczym cienie; Kenmuir niemal słyszał ich szelest, czuł woń wzrostu i ciepłej od słońca ziemi. Gdy teren opadał, tworząc mokradła, drzewa okalały tafłę wody, nad którą krążyło niezliczone ptactwo. Na powierzchni biegło kilka prostych jak strzały dróg, po których mało kto się poruszał. Równie opuszczone pozostawały wieże przekaźnikowe, którejakimś sposobem nie zakłócały krajobrazu. Te niebotyczne, zgrabnie zwieńczone, smukłe konstrukcje jakby jeszcze bardziej uwydatniały otaczające je zewsząd życie. Którego w pewnym sensie strzegły, pomyślał Kenmuir. Były nieodzowną częścią systemu technologicznego i, tak, społecznego, na którym to wszystko się wspierało. Nie wystarczyło, że spadek liczby ludności, powstanie plantacji genetycznie zmodyfikowanych, a tym samym bardziej wydajnych roślin, oraz synteza bezpośrednia wspólnymi siłami doprowadziły do spustoszenia licznych regionów rolniczych. Uzdrowienie ekosystemu – a właściwie jego stworzenie – i zachowanie go wymagało czegoś więcej niż dobrej woli i nadwyżek ekonomicznych. Konieczna była tu analiza, objęcie całości, co przekraczało zdolności samotnego mózgu człowieka.

Tak, pomyślał, cyberkosmos spisywał się jako władca biosfery lepiej od ludzkości. Dopóki rządy będą słuchały jego rad, Ziemia pozostanie zielona.

Rad? Może rozkazów? A czym się od siebie różniły? Przyjmowano strategiczne zalecenia, ponieważ były sensowne, a po niedługim czasie okazywało się, że nie ma odwrotu, gdyż ludzie w zbyt dużym stopniu uzależnili się od tego typu decyzji; więc przyjmowało się kolejne zalecenia. Ale czy kiedyś było inaczej? Polityka czysto ludzka, krótkowzroczna, nieudolna, przesądna, kierująca się zwierzęcymi namiętnościami, bez przerwy powtarzała te same potworne

błędy. Kenmuir czytał raz pewną uwagę Ansona Guthrieego: „Czy wolnością można nazwać pobyt w klatce na tyle dużej, że nie chce się jej przelecieć z jednego końca do drugiego?” Otrząsnął się z zadumy i rozejrzał. W oddali widać było trzy wolanty, po niebie niczym iskra przemknął pojazd suborbitalny. Pod sobą dostrzegał inne błyski, maszyny zajmujące się transportem naziemnym, kontrolą, zabezpieczaniem okolicy. W cieniu drzew leżało małe miasteczko. Sprawiało wrażenie białego i spokojnego. Zapewne wszystkim mieszkańcom bardzo przypadły do gustu takie pejzaże. Ci, którzy nie żyli po prostu z kredytu, prawdopodobnie pracowali telekonferencyjnie, do tego dochodziły jeszcze lokalne firmy usługowe. Mieli też swoje hobby, sporty, wycieczki, działalność społeczną, może jakieś specjalne obrzędy i święta; no, i pod tą uśpioną powierzchnią na pewno kryło się życie prywatne, jak zwykle burzliwe i zagmatwane. W pewnym sensie podobna była społeczność, w której sam dorastał.

Ale w pogodne noce wychodził na pustkowie, wspinał się na najbliższe wzgórze i tęsknił do gwiazd. Ilu jest jeszcze takich jak on? Jakie Lilisaire miała prawo, by odebrać ich życiu sens? – Niech to szlag! – mruknął Kenmuir. – Ty to dopiero masz talent do marnowania czasu, nie, mały?

Długie godziny na rozmyślaniach spędził już w obozie Pustynników, po odejście Aleki i przed powrotem lotniaka. Jeśli zamierzał wypełnić swoje zobowiązanie, a zamierzał, niezdecydowanie równało się zdradzie.

W ostatecznym rozrachunku chodziło jedynie o zdobycie informacji, które ukryto – być może bezprawnie. Jeśli były ważne i znajdowały się w posiadaniu Rady i Zgromadzenia Federacji, wszyscy, którym by na tym zależało, wkrótce by je poznali. Jednak nikt o nich nie wiedział. A demokracja, ba, sama racjonalność były niemożliwe bez dostępu do odpowiednich danych.

Mógł wnieść zażalenie do swoich delegatów lub rzecznika; mógł również ogłosić

oświadczenie, w którym domagałby się ujawnienia informacji, po czym uznano by go za wariata.

Gdyby sprawa wyszła na jaw... Lilisaire musi być zdesperowana, a jej szansę są nikłe. Nie spodziewa się chyba, że dzięki samej ich akcji plany Biotopu zostaną zarzucone? Nie, marzyło jej się zdobycie władzy, dzięki której wymusiłaby ich zaniechanie. Ale jak? Chodziło o jakąś starą broń, którą umiałyby się posługiwać? Potworny absurd.

Faktem jest, że Lunarianie w kosmosie, mimo że było ich niewielu i byli bardzo rozproszeni, mieli do dyspozycji straszliwy potencjał militarny. Tak jak wszyscy, którzy posiadali statki. Ale aby wywołać ich powstanie, zgromadzić, narzucić im dyscyplinę, zanim zdążą interweniować Władze Pokojowe – jakiej trzeba było nowiny? Nigdy nie należeli do rasy krzyżowców. Zalanie Księżyca przez Terran zaostriłyoby rozgoryczenie lunariańskich kosmonautów, asterytów, Marsjan, kolonistów z satelitów, ale nie popchnęłyoby ich do wojny, którą niemal na pewno by przegrali. Nie zbuntowaliby się nawet Lunarianie z Księżyca.

Kenmuir dawno uznał, że poszukiwanie prawdy pozwoliło Lilisaire ujrzeć jej przebliski, o których nikomu nie wspominała.

Przebywając samotnie na pustyni, przeklinał łączące go z nią więzi. Poprzysiągł sobie, że nie pozwoli, by doprowadziły go do jakichkolwiek działań na czyjąś szkodę. Już prędzej wybrałby życie bez niej. Może by nawet zrezygnował, gdyby nie Aleka. Nie znał jej zbyt dobrze, ale zupełnie nie sprawiała wrażenia zbrodniarki, fanatyczki lub naiwnego półgłówka. Poświęcała się jakiejś sobie tylko znanej sprawie, ale wątpliwe, żeby chciała wziąć udział w czymś, co uznałaby za niesłuszne. Tak więc jeszcze z nią trochę popracuje, przedzierając się przez tę mgłę niewiadomych.

Przez jakiś czas zastanawiał się, czy nie poszukać danych na jej temat. Trzymał w ręku pewne nici przewodnie: młodość na Hawajach, związki z metamorfami – tak, tak, przypominał sobie wiadomości o istnieniu jakiegoś wyjątkowego społeczeństwa w tym regionie... Nie, lepiej

nie. Szukanie poprzez oficjalne kanały mogłoby wzbudzić czujność przeciwnika. Poza tym chciałby dowiedzieć się czegoś więcej na temat celu podróży. Turyści często szukają takich informacji, więc to nie wywołałoby podejrzeń; Bramland to kolejne dziwaczne miejsce, które miał wiedzieć.

Lecząc, widział wynurzające się zza horyzontu chmury. Najpierw błyszczały niczym śnieg, potem znalazł się pod nimi i zieleń matowiała, a niebo zmieniło się w szarą, pozbawioną cech szczególnych płaszczyznę. Prognozy pogody mówiły o kilkudniowym zachmurzeniu. Nie uniemożliwi ono pracy satelitom kontrolnym, lecz przynajmniej oślepi ich optyczne kamery. Jeśli system przetrząsa w jego poszukiwaniu całą planetę.

A przecież w tym przypadku stawał do walki z kimś lub czymś, co mogłoby wydać takie polecenie – z Federacją? Powstrzymał dreszcz, zacisnął zęby. Jeżeli chcą go powstrzymać, niech zrobią to oficjalnie, uczciwie, w razie potrzeby za pomocą publicznego oświadczenia w ogólnoswiatowej sieci. I niech mu wreszcie wytłumaczą swoje racje.

Na razie wystarczą mu wyjaśnienia Aleki... Poczynając od Bramlandu.

Monitor terminalu w wolancie przedstawiał rys historyczny, złożony w większości ze znanych aż do znudzenia, socjotechnicznych klisz. Różnorodne grupy etniczne, kulturowe, religijne lub po prostu gromady ekscentryków starały się zachować tożsamość. Rzadko odmawiały przyjęcia podstawowych korzyści i usług świadczonych we współczesnym świecie – jego wydajność i panujący na nim pokój były wręcz warunkiem ich istnienia; ale nie akceptowały jego bezosobowego racjonalizmu. Ewolucja ludzkości rozpoczęła się w fazie plemiennej i potrzeba należenia do plemienia była równie silna jak seksualna żądza. Przykładem Bractwo Ognistej Kuli... Samych Lunarian wiązały feudalne zależności.

Tego rodzaju tendencje częściowo secesyjne dały się szczególnie mocno odczuć w Ameryce Północnej w obliczu chaosu, jaki zapanował po upadku Awantystów. Podsycali je dawni

walczący w ruchu oporu partyzanci, różnego pokroju nonkonformiści i niektórzy wygnańcy, którzy w nowych warunkach liczyli na ponowne zaakceptowanie przez społeczeństwo.

Zgromadzili środki, które mieli do dyspozycji, i nabyli rozległe połacie ziemi.

Trzecia Republika nie stawiała im przeszkód. Zresztą podzielonego społeczeństwa nie byłoby na to stać, mogło co najwyżej wymagać przestrzegania przepisów dotyczących środowiska naturalnego. Bramlandczykom to nie przeszkadzało. Szukali sposobu życia, który uważali za naturalny. Zakładali wsie rozrzucone na dużych obszarach, które rzadko liczyły więcej niż pięciuset dorosłych mieszkańców, co pozwalało wszystkim na uczestnictwo w sprawach publicznych. Z pokolenia na pokolenie przyłączali się do nich podobnie myślący ludzie spoza społeczności, odchodzili niezadowoleni; tym sposobem ewoluowała kultura. Nie było to zjawisko jedyne w swoim rodzaju.

Ewolucja jest jednak ślepa, natomiast selekcja, zachodząca poprzez chaotyczne mutacje i przepływ genów, potrafi płać różne figle. Dzisiaj ostatnie ślady demokracji były w Bramlandzie czysto obrzędowe. Rytuały, tabu i rozwarstwienie społeczne zaspokajały pragnienie zwykłego człowieka, by życie posiadało jasno określony sens, a on miał poczucie wspólnoty i własnej wartości. Mężczyźni uprawiali rzemiosło lub handel, lecz był to dodatek do ich autentycznego powołania – wojownika, kapłana, czasami myśliwego. Kobiety spełniały się w mistycznych wspólnotach żeńskich oraz w roli gospodyń domowych, erotycznych artystek, czasami matek. Burmistrz danego miasteczka mógł kierować się radami starszych, ale w rzeczywistości był władcą absolutnym. Status taki osiągnął dzięki zwycięstwu nad poprzednikiem w szeregu zawodów sportowych, które często kończyły się śmiercią rywali. Spory z osobami piastującymi odpowiednie funkcje w innych wioskach także prowadziły do tego rodzaju brutalnego współzawodnictwa pomiędzy miejscowościami.

Żadne zażalenia nie wydostawały się na zewnątrz tak sformułowane, żeby zmusić

północnoamerykański rząd do interwencji. W sumie nieliczne spośród zgonów wskutek wojen i pojedynków były nieodwracalne. Na podporządkowaniu trzymano mrożone trumny, a ofiary pośpiesznie przewożono do stacji medycznych, gdzie je naprawiano i ożywiano. Całkiem możliwe, myślał Kenmuir, że czasami mniej poważne obrażenia wymagały więcej zabiegów – z zakresu chirurgii, regeneracji, fizykoterapii.

Zresztą jeżeli komuś nie podobał się taki układ, zawsze mógł odejść. Gdy dana społeczność nie stanowiła zagrożenia dla świata zewnętrznego, wtrącanie się w jej sprawy byłoby groźnym precedensem. Tego typu wspólnoty miały swój interes w tym, żeby, wykorzystując wpływy polityczne, nie dopuścić do takiej sytuacji. Cyberkosmos nigdy nie doradzał podejmowania innych kroków. Dawno minęły stare, złe czasy, kiedy prawo ograniczało istnienie dobrowolnych stowarzyszeń. Bramlandczykom chyba niczego nie brakowało?

Oczywiście, myślał Kenmuir, większość z nich była zupełnie zadowolona. Nie grzeszyli inteligencją. To efekt autoselekcji.

Tyle historii. Wyszukał najnowsze doniesienia z osiedli. Rzadko kiedy pokazywano je w wiadomościach – kto by się tym interesował? – lecz sofotekty, które tam pracowały, przekazywały swoje uwagi do ogólnej bazy danych.

Meldunki nie zawierały niczego szczególnie alarmującego. No, może tylko to, że Joetown i Trzy Rogi rozegrały między sobą pojedynek. Walna bitwa nie zakończyła zabawy, więc teraz grupy mężczyzn polowały na siebie po polach i nad rzekami. Naturalnie bez broni, to tylko sport... jeśli nie liczyć odpowiednio ukształtowanych pałek i maczug, ciosów karate, traktowanych z przymrużeniem oka kamieni... Rosła liczba ofiar. Lepiej unikać tego miejsca.

Wybrał Overburg. Burmistrz posprzeczał się co prawda z kolegą z EWille, lecz nie doszło jeszcze do żadnych starć, istniała również możliwość porozumienia. Ponadto w Overburgu, miejscowości względnie dużej, znajdowała się gospoda. Wsie utrzymywały ze sobą kontakty

handlowe, ludzie podróżowali, zdarzali się przybysze z zewnątrz. Kenmuir wydał wolantowi polecenie i poczuł, jak pojazd zmienia kurs.

Pojawiły się jakieś uprawy. Miejscowi zajmowali się hodowlą, przetwórstwem i produkcją dla siebie i na sprzedaż. Nazywali to „niezależnością” i być może mieli rację – przynajmniej niezależnością duchową, kolejnym zbiorem obrzędów. Artykuły naprawdę pierwszej potrzeby przywożono z zewnątrz, płacąc za nie z kredytu.

– Wiadomość – obwieścił wolant.

Kenmuir zeszywniał. Na ekranie pojawiła się męska twarz. Człowiek był blady, szczupły i nerwowy. Na głowie miał opaskę ze srebrnego filigranu, na bluzie spoczywał wisior. Pewnie jakieś urzędowe insygnia, pomyślał Kenmuir

– Mówi komisarz portu Jego Wielmożności Bruna, Burmistrza Wielkiego Overburga – przedstawił się w swoistym anglo. – Pana pojazd sygnalizuje zamiar lądowania. Ma pan pozwolenie?

– Proszę? – zdziwił się Kenmuir.

– Pozwolenie. Nie? Kim pan jest, *seOori* Co pana tu sprowadza?

– Od kiedy to na publicznych lądowiskach wymaga się zezwoleń? Macie jakieś problemy?

– To pan będzie je miał, jeśli będzie się pan stawiał. Imię, nazwisko i cel podróży.

Kenmuir powstrzymał ogarniającą go furję. Biurokracja to jeden ze sposobów, w jaki ludzie dodają sobie powagi.

– Przepraszam pana. Nazywam się Hanibal i lecę z zachodniego wybrzeża, a tutaj chciałbym zatrzymać się na dzień, może dwa. Niemożliwe, żebym był pierwszą osobą, która zjawia się tu bez wcześniejszego zezwolenia.

– Nie wygląda pan na kogoś z Północnej Ameryki.

– Jestem, no, z Europy... ale co to do Q ma za znaczenie? Mogę wylądować czy nie?

– Okej. Trzeba będzie stawić się przed burmistrzem i poprosić o tymczasowe pozwolenie.

Miasto było już widać. Domy przy zacienionych ulicach nie różniły się zbyt od budowli, które Kenmuir wypatrzył wcześniej: archaiczne projekty wykonane z nowoczesnych materiałów, spadziste dachy i mury z wielkich płyt. W centrum znajdował się wybrukowany plac otoczony większymi budynkami. Kenmuir domyślał się, że mieszczą się tam instytucje, takie jak hale targowe, magazyny, sale zgromadzeń i tym podobne. Największa konstrukcja z ornamentálnymi kolumnami pełni na pewno funkcję ratusza, pałacu burmistrzowskiego, czy jak to się tutaj nazywa. Tuż poza obszarem zamieszkanym leżało niewielkie lotnisko z hangarami i terminalem. Wylądował, wziął walizkę, którą kupiła mu Aleka, i zanurzył się w wilgotnym, ciepłym powietrzu.

Czekał na niego komisarz portu w otoczeniu czterech zwalistych mężczyzn. Przy takiej aurze założyli luźne i wielobarwne stroje. Długie, zaplecione w warkocze włosy opadały im na epolety wyszywane we wzory, które oznaczały prawdopodobnie rangę albo pochodzenie. Każdy miał nóż i maczugę zaopatrzoną na końcu w kulę z brązu, którą można było rozwalić czaszkę.

– Proszę tędy. Odprawa celna – oznajmił urzędnik i dumnym krokiem skierował się do terminalu.

Była to standardowa, zautomatyzowana procedura, w której nikt oprócz nich nie uczestniczył. Urzędnik kazał Kenmuirowi otworzyć torbę i zaczął przetrząsać jej zawartość. Były to zakupy Aleki: zestaw toaletowy i parę kompletów ubrań. Celnik z ledwie skrywaną niechęcią oddał torbę i powiedział:

– Dzwoniłem. Jego Wielmożność w swej łaskawości zgodził się przyjąć pana natychmiast.

Zaprowadź go, Jeb. – Szczupły, siwiejący mężczyzna, nieuzbrojony i samotny, nie wymagał licznej straży.

Droga do centrum zajmowała dziesięć do piętnastu minut. Usiłowania Kenmuira, by

nawiązać rozmowę, spełzły na niczym. Jeba rozpieła duma z pełnionego zadania. Minęli kilka samochodów, lecz na ulicy przeważali piesi. Kobiety były ubrane w powłóczyste tuniki, często nosiły kosze. Stały w grupach i rozmawiały, czasami towarzyszyły im nieliczne dzieci, otaczane z tego powodu szczególną miłością. Mężczyźni również przebywali w swoim towarzystwie, ewentualnie siedzieli na gankach, grając w coś lub pijąc. Niektórzy nosili wymyślne tatuaże, żaden nie usuwał blizn. Stanowiły one pewnie powód do dumy.

Gdzieś Kenmuir dostrzegł warsztat i robiącego w nim coś mężczyznę – narzędzie, mebel, ozdobę – posługującego się co najwyżej elektryczną wiertarką. Styl i wykonanie tych rzeczy sprawiały wrażenie prymitywnych. Niemniej jednak ludzie wyglądali na zadowolonych; widział uśmiechy, słyszał śmiech i ożywione rozmowy. Ich urywki, które dobiegały jego uszu, dotyczyły plotek, pogody, plonów, wędkowania, nikczemności E Wille, „taa... pewno... ho, ho...” Pomyślał, że gdyby przyszło mu tu zostać przez dłuższy czas, z chęcią wziąłby udział w jakiejś miniwojnie, byle tylko nie zwariować z nudów.

Kolumnom pałacu nadano formę krwiożerczych potworów. Przy wejściu stało dwóch wartowników.

– Tylko teraz z szacunkiem – przestrzegł go Jeb. – Zegnij kolano.

Znaleźli się w obszernej izbie. Kenmuir spostrzegł namalowane na ścianach tarcze i zawieszane na belkach pod pułapem sztandary. Szkarłatny chodnik wiódł do podium stojącego w głębi pomieszczenia. Na nakrytym baldachimem tronie siedział Bruno, burmistrz Overburga. Cztery skąpo, a luksusowo odziane kobiety leżały na poduszkach po obydwu jego bokach. Straż pełniło sześciu wojowników. Paziowie czekali na rozkazy. Obecnych było również kilku starszych mężczyzn; Kenmuir nie wiedział, czy byli doradcami, dworzanami, petentami czy po prostu gośćmi. Szedł w ciszy, śledzony przez wbite w niego spojrzenia.

Jeb stanął metr przed podium. Kenmuir uczynił to samo. Strażnik zaszalutował, przykładając

dłoń do czoła, i zameldował:

– To ten obcy, *señorissimo*. – Kenmuir przypomniał sobie, że ma klęknąć, co też niezręcznie zrobił.

– Aha – mruknął burmistrz. – Nazwisko i cel wizyty.

Był zwalistym, muskularnym mężczyzną. Grzywa blond włosów okalała twarz i wystającą szczękę, na której jeżyła się broda, najwidoczniej rzadko tu spotykana. Oznaka urzędu, podobnie jak opatrzona rogami opaska na głowę i złoty łańcuch? Pod rozpiętą, brudną koszulą widać było włochate piersi. Wsunięty w pochwę nóż, przypasany do spodni w szkocką kratę, był za duży.

Nogi burmistrz miał bose i niedomyte. W prawej ręce ścisnął drewniany puchar.

– Nazywam się Hanibal – odparł Kenmuir.

Ustalili ten przydomek z Aleką. W żaden sposób nie zdradzał jego tożsamości, ale był zarazem na tyle szczególny, żeby Aleka mogła zaufać wiadomości na temat miejsca pobytu współpracownika zamieszczonej w publicznych wiadomościach.

– Hanibal? A przypadkiem nie Kanibal? – zarzął Bruno.

Mężczyźni i chłopcy posłusznie się roześmiali. Kobiety zachichotały. Kenmuirowi zdawało się, że śmiechy dwóch z nich były wymuszone i że patrzyły na burmistrza przerażonym wzrokiem.

Bruno wychylił się w jego stronę.

– Po coś tu przyjechał? Szpieg? Agent Gummint? Co? – Usiadł, oczekując odpowiedzi, i pociągnął z pucharu.

Wydalenia przybysza powinien się wystrzegać jak ognia. Czy było to w ogóle możliwe? Kto wie? Z pewnością miałby z tego powodu całą masę kłopotów.

– Zapewniam pana – westchnął Kenmuir – że jestem najzwyczajszą osobą prywatną. Razem ze znajomą zamierzamy spędzić trochę czasu w rezerwacie Jeziora Górnego. Przyjaciółkę

w ostatniej chwili zatrzymały pewne sprawy. Słyszałem o tutejszej wspólnocie mnóstwo ciekawych rzeczy, toteż, czekając na koleżankę, chciałbym się tu na krótko zatrzymać. –

Ciekawscy goście na pewno czasami tutaj zaglądają. – Bo, widzi pan, ja handluję unikatami, wytwarzanymi ręcznie przedmiotami, i słyszałem, że macie zdolnych rękodzielników. – Kto kiedy patrzy krzywo na pochlebstwa lub pieniądze?

– Mówisz, że przyjedzie tu jakaś ona? – Bruno uniósł brwi.

– A tak, pewna młoda dama – odpowiedział Kenmuir, któremu wyczerpywały się już zapasy cierpliwości. Ktoś zachichotał. – Czy mógłbym również dla niej uzyskać pozwolenie lądowania i obejrzenia miasta? – Gdzieś po drodze będzie musiał bardzo poważnie z nią porozmawiać. Być może to ostatnia szansa przed zapuszczeniem się w nieznane rejony.

– Młoda. Hm. Taa. – Bruno rozważał sprawę. Kenmuir widział wolno obracające się koła. –

No, dobra. Idź do inspektora zdrowia, niech cię zbada i wyda pozwolenie. Możesz zostać.

W gospodzie. Wydawać pieniądze.

Rozmowa nie poszła najgorzej. I nic w tym dziwnego. Kenmuir nie pochodził ze znienawidzonego Elville.

– Lądowanie – Bruno wyszczerzył zęby. – Byłbym zapomniiał. Podatek od lądowania.

Dziesięć, nie, piętnaście ucu na głowę. Jak chcesz, możesz zapłacić mi osobiście.

Wymuszenie – Kenmuir postanowił nie powoływać się na przepisy prawa.

– Czy ma pan coś przeciwko gotówce? – Gdyby wypłacił określoną kwotę z konta, byłoby to wskazówką dla tropiących.

– Gotówce? Nie, nie, może być. – Ton głosu Bruna wskazywał, że nie ma absolutnie nic przeciwko. Możliwe, że wolałby, aby po niektórych jego transakcjach nie pozostały żadne ślady.

Wziął banknoty i dwukrotnie je przeliczył, poruszając ustami. – Dobra, strażniku, zaprowadź go do inspektora zdrowia, a potem do gospody. – Przybrał niemal kordialny ton głosu: – Może

będzie jeszcze okazja pogadać, Hanibalu. Niewykłuczone, że zaproszę cię na kielicha. No, może nawet... – Pokiwał głową i mrugnął w stronę siedzących po obydwu stronach kobiet, z których dwie się uśmiechnęły.

Jeb zasalutował i wyprowadził Kenmuira.

– Tędy – komenderował. – Przez plac. Widzisz tę klinikę?

Dopiero teraz dotarł do niego sens wyrażenia „inspektor zdrowia”, które jak dotąd oznaczało tylko jakąś niejasną funkcję plemienną. Miał przed sobą sofotekta.

Potknął się. Stał jak wryty. Jeb obrzucił go zaintrygowanym spojrzeniem. Nie. Musi przez to przejść. Gdyby się teraz cofnął, wrócił do wolanta i odleciał, wzbudziłby niezdrową ciekawość.

– Przepraszam – mruknął i ruszył dalej.

Czemu Bruno chciał, żeby maszyna go sprawdziła? Biurokracja? Burmistrz, tak samo jak komisarz portu, nie miał zbyt wielu okazji imponowania obcym. A może Brunowi zależało na dobrych stosunkach z rządem, był skrupulatny i chciał okazać wolę współpracy? Być może obawiał się, że pewnego dnia z jakiegoś względu, niekoniecznie politycznego, miejscowe zwyczaje zostaną ukrócone.

To teraz nieważne. Kenmuir musi ich przekonać, że jest tym, za którego się podaje. Przełknął ślinę, odchrząknął, spróbował rozluźnić mięśnie.

Z zewnątrz klinika wyglądała jak sąsiadujące z nią budynki. Poczekalnie ozdobiono podnoszącymi na duchu, choć ohydnyymi motywami sztuki bramlandzkiej. Dalej, jak zdawał sobie sprawę Kenmuir, znajdował się nowoczesny sprzęt do leczenia wszelkiego rodzaju obrażeń i chorób. Podobnej klasy były urządzenia, które sofotekt wykorzystywał do kontrolowania higieny i zautomatyzowanych usług w rodzaju zapewniania energii i biologicznego dobrobytu okolicy. W mieście dzieciństwa Kenmuira, choć położonym na odludziu, funkcjonował

dokładnie taki sam sofotekt. Ludzie nazywali go albo opiekunem, albo „Starym Angusem”.

Miał niejasne poczucie, że tutejsza maszyna jest podobna: krępa, o czterech nogach i sześciu rękach, zaopatrzona w wieżyczkę z czujnikami i elektrofotonowym mózgiem, obudowę na zasilanie i wysuwaną antenę satelitarną. Głos miała męski, głęboki i dźwięczny.

– Witam, w czym mogę pomóc?

– Mam tu gościa, który chce się u nas zatrzymać na parę dni

– wyj aśnił Jeb. – Burmistrz przysłała go, żebyś dał mu zezwolenie.

– Aha. – Automat zaczął mówić głosem człowieka wykształconego. – *Bienvenido, señor.*

Proszę siadać. To tylko zwykła formalność. Wszyscy są dziś podenerwowani przez ten nieszczęsny spór z EWille. Mój odpowiednik tam i ja usiłujemy załagodzić napięcie, ale... – Para elastycznych odnóży zafalowała w geście wzruszania ramionami. – Możesz odejść, Jeb.

– Nie potrzebujesz mnie?

– Ależ skąd. Mówię, że możesz sobie iść. – Ton głosu stał się odrobinę surowszy. Jeb pochylił głowę, być może nieświadomie, i odszedł.

– Naprawdę proszę usiąść – zachęcił sofotekt. – Podejrzewam, że miał pan z nimi ciężkie przejścia. Napije się pan kawy, herbaty, a może whisky?

Kenmuir usiadł na krześle. Jego ciało mierziły automatycznie dopasowujące się kształty mebla, ale usiłował nie okazywać po sobie zirygowania.

– Nie, dziękuję, to tylko jeden z punktów mojej trajektorii.

– Maszyna natychmiast podchwyciła to wyrażenie.

– A, bierze pan udział w lotach kosmicznych? To niezmiernie interesujące. Jest pan pierwszym gościem nie tylko z tej ziemi. – Rozległ się chichot. Kenmuir skłął się w duchu.

– Nie, nie, mam tylko znajomego w Służbie Kosmicznej, i byłem kiedyś na Księżycu. To wszystko.

Streścił swoją opowieść. Siedział, czując, że boli go brzuch. Wybór imienia takiego jak

Hanibal nie był niczym szczególnym, można było to uznać za zwykły kaprys, ale ten urzędnik mógł go zapytać o numer służbowy.

Z tej opresji też można by wyjść cało, myślał, usiłując się opanować. Póki co miał przed sobą odrębną osobowość. Nie istniały powody do podejrzeń. (Chyba że cyberkosmos skontaktował się z każdą najmniejszą jednostką na planecie... ale operacja na taką skalę, przynajmniej w tym stadium, była bardzo mało prawdopodobna. Zaangażowanie tylu kanałów i takiej mocy przetwarzania danych...) Możliwe, że w ogóle nie zwróci się z pytaniem, czy człowiek o takim imieniu jest poszukiwany. Gdyby to jednak w końcu zrobił, dla ustalenia nieprawdziwości podanego numeru konieczne byłoby przeszukiwanie ogólnoswiatowych zasobów danych.

– Rozumiem – powiedział cicho sofotekt. – Pozwoli pan, że powtórzę *bienvenido*. Albo witamy, by użyć waszego sformułowania. Mam nadzieję, że panu i pańskiej przyjaciółce spodoba się u nas.

Sofotekt mówił ciepłym głosem. Czy możliwe, żeby życzenia były szczerze? Czemu by nie?

Kenmuir zaczął sobie przypominać Starego Angusa pocieszającego go – gdy będąc jeszcze dzieckiem, złamał żebro – opowiadającego bajkę i śpiewającego piosenkę... stary, dobry Angus, rozjemca rozstrzygający spory, powiernik słuchający chłopca, który żywił nie odwzajemnioną miłość... stary Angus, uprzejmie tłumaczący radzie miasta, że musi ograniczyć zbieranie małży, bo w przeciwnym wypadku rząd utworzy w zatoce patrol... Angus, przekonujący chłopca, że naprawdę ma zdolności do pilotowania statków kosmicznych, że powinien spróbować...

Czy w Overburgu obdarzono sofotekta imieniem i sympatią?

– To ja już pójdę! – Kenmuir wyrwał się z zadumy. Urzędnik uniósł po ludzku rękę.

– Jeszcze jedną chwilę, *por favor*. Chciałbym pana przestrzec. To trudna społeczność.

Konflikt między wodzami dolał oliwy do ognia. Proszę uważać. Zwłaszcza po przybyciu

przyjaciółki. Dał pan do zrozumienia, że to kobieta. Mam wrażenie, że atrakcyjna. Niech nie rzuca się zbytnio w oczy i wyjeżdża stąd możliwie najprędzej. Rozumie mnie pan?

– Chyba... chyba tak – odparł Kenmuir.

Myślał przede wszystkim o tym, jak błyskawicznie maszyna go przeniknęła. Ale co w tym dziwnego? Zbraku gruczołów miała do dyspozycji coś pełniącego te same funkcje: wolę, intuicję i intelekt, prawdopodobnie sprawniejszy niż jego własny.

Na pewno sprawniejszy, zwłaszcza jeśli uświadomić sobie, że oto jest wcieleniem cyberkosmosu, raz po raz stapiającym się w jedno z całością, czasami przez nią zmienianym, zawsze zachowującym wspomnienia z tej gigantycznej jedni, wręcz przeczuwane wizje Teraumysłu. Nic dziwnego, że interpretował sugestie, język ciała, to, co niewypowiedziane; całkiem możliwe, że z czymś w rodzaju empatii, a może nawet współczucia. Ten sofotekt, Stary Angus, każda inteligencja elektrofotonowa – tak, tak, włącznie ze skromnymi, pozbawionymi świadomości robotami – były falami jednego oceanu.

Soczewki załśniły. Co dostrzegały w jego ciele i twarzy? Jakie informacje umysł wprowadzi do bazy danych podczas najbliższego kontaktu?

Dla niego nałożenie żywej maski byłoby próżnym ćwiczeniem, był do tego całkowicie nieprzygotowany. Co gorsza, wskutek tego odstawałby od reszty. Szybkie sprawdzenie danych somatycznych, które z pewnością znajdują się w jakiejś kartotece, od razu doprowadziłoby do aresztowania.

Cała nadzieja w tym, że nie będzie się wyróżniał. Mógł liczyć na samą wielkość baz danych – na razie. Nawet przy doskonałym zaprojektowaniu schematu skanowania szukanie i ocena informacji zajmowały pewną skończoną ilość czasu. Myśliwi musieliby odczekać kilka dni, może tygodni, nim spośród permutacji dwóch miliardów ludzi wybraliby obiekt poszukiwań. Zresztą do tego raczej nie dojdzie. Zbyt duża część systemu zajmowała się utrzymywaniem przy życiu

cywilizacji.

Musi sprawić, żeby ta miła istota nie potrzebowała już więcej informacji na jego temat.

– Tak. Dziękuję. Ale, hm, chodzi ci...

– Burmistrz Bramlandu może nakazać każdej kobiecie oddanie się do jego dyspozycji na dowolny czas. Taki jest zwyczaj: rzadko która się sprzeciwia. Uważa się to wręcz za zaszczyt. –

Te, które miały coś przeciwko, mogły teoretycznie złapać najbliższy ulotnik i wyjechać.

Teoretycznie. Dlatego władze patrzyły na całą sprawę przez palce. – Gościom z reguły nie sprawia to szczególnej różnicy. Lecz nasz obecny burmistrz... Może wolałby pan jednak zaczekać na swoją przyjaciółkę gdzie indziej?

Kenmuir zastanowił się. Takie posunięcie niepotrzebnie zwróciłoby uwagę, zwłaszcza gdyby Bruno się obraził i zaczął wydzwaniać.

– Dziękuję za radę, ale myślę, że jakoś to będzie. On chyba nie ma ochoty stanąć przed sądem, co? Zresztą istnieje możliwość, że nie będzie miał okazji jej zobaczyć. – Wstał. – Do widzenia, oficerze.

– Do widzenia.

Jeb czekał na zewnątrz. Z uporem godnym lepszej sprawy zaprowadził go do gospody. Mimo wszystko kosmonauta poczuł przypływ nadziei. Jak dotąd wszystko szło po jego myśli. Czy oni aby nie przesadzają z groźącymi im dwojgu niebezpieczeństwami? Czekające ich zadanie może okazać się dość proste, dopóki – i tu serce zabiło mu mocniej – nie natkną się na informacje o dawnych czynach i odkryciach, dokonanych na Lunie.

MATKA KSIEŻYCA

Z wysokości obserwatorium Temerira można było ogarnąć wzrokiem większą część oznaczonego kraterami pustkowia, które tworzy Drugą Stronę. Stojące nisko nad horyzontem słońce nakrywało powierzchnię gruntu przemyślną siecią cieni i płowych ognisk blasku. Temerir nastawił monitor w salonie na ten właśnie widok, uzyskując obraz inny niż widziany przez oko, zmniejszając odblask i intensyfikując mniejsze błyski. Krąg słoneczny lśnił łagodnym blaskiem między skrzydłami zodiaku, a gwiazdy przypominały ogniste krople rzucane przez mknącą w dół Mleczną Drogę. Tak w ogóle pokój umeblowany był ascetycznie, co odzwierciedlało charakter właściciela. Abstrakcyjna rzeźba z lawy na stole przypominała pióropusz gęstego dymu. W nieco chłodnym powietrzu dało się wyczuć posmak ozonu, słychać było muzykę w skali, jakiej nie słyszano nigdy na Ziemi. Dagny kojarzyła się ona z duchami umykającymi przed wiatrem. Temerir nie powiedział, gdzie są żona i dzieci. Gości przyjmował sam: Brandira, Kaino, Fię i matkę. Kryształowe kieliszki i karafka wina były jedynymi ustępstwami na rzecz dobrych obyczajów. Nikt się nimi nie przejmował, nie nalewał alkoholu. Weszli i stali bez słowa przez mniej więcej minutę. Nie byli też rozmowni w trakcie podróży na jachcie Brandira; choć z drugiej strony kręciła się przy nich wtedy załoga.

Dagny przełamała lody:

– Możemy już przejść do rzeczy? – zapytała na tyle łagodnie, na ile było ją stać.

Aż za dobrze znała tę sprawę. Przyjemności towarzyszył posmak smutku. Jaka szkoda, że nie było tu Monda.

Zapanowała nad tym odruchem. Przez sześć lat nie przestała za nim tęsknić, choć minął już czas, kiedy na widok najmniejszej należącej do niego rzeczy, każdego miejsca, które się z nim kojarzyło, wybuchała płaczem. Miała serdecznych przyjaciół, absorbującą pracę, ciekawe

rozrywki, miejsce w awangardzie ludzkich ekspedycji w kosmos. Dość wcześnie dowiedziała się od Ansona Guthriego, iż uzalanie się nad sobą to najbardziej godne pogardy uczucie.

Mimo to czuła nostalgię.

– Może potem będzie czas nieco się zabawić – dodała. – Nie mam wielu okazji, żeby się z wami widywać.

To samo dotyczyło reszty jej dzieci, ich współmałżonków i potomstwa, tym bardziej teraz, gdy Jinann mieszkała z Yorisem, który kiedyś nazywał się Reynaldo Fuentes. Nie chodziło o to, że byli sobie obcy czy obojętni, lecz o to, że drogi ich życia rozeszły się, i była przekonana, iż żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że matka chciałaby urządzić to inaczej. Lars, jej ukochane dziecko z nieprawego łoża, rozumiał to, ale rzadko bywał na Lunie.

Głos Brandira popłynął w stronę Temerira. Dagny zorientowała się, że zadał tamtemu jakieś pytanie.

Astronom rzucił blade spojrzenie w jej kierunku i odpowiedział w anglo:

– Tak, oczywiście nie grozi nam podsłuchiwanie. Dopilnowałem tego, zanim jeszcze was wezwałem.

Krótką, złotą peleryną Brandira zawirowała, gdy się kłaniał:

– Wybacz, pani matko, zapomniałem się.

Ten pozbawiony znaczenia gest sprawił, że Dagny poczuła pieczenie pod powiekami.

– Nie ma sprawy – mruknęła. – Wiesz, jak się przyłożę, to całkiem nieźle rozumiem lunariański.

– Ale nie bez wysiłku, co? – wyrwało się Kaino.

Nie, odparła w myślach. Był to język mieniący się różnymi kolorami, wartki strumień, płynny również pod względem znaczeniowym, czego nie potrafiła tak naprawdę pojąć. Zrodziła te mózgi, ale ani ona, ani Edmond nie mieli z nimi wiele wspólnego.

– Zgadza się – przyznała. – *Gracias*.

Czarnowłosa Fia zmarszczyła czoło, słysząc porywcze uwagi brata. Zwróciła się do

Temerira:

– Sprawę można wyrazić prosto w każdym z języków. Znalazłeś planetoidę, której istnienie przepowiedział ojciec.

Tak, myślała Dagny, nareszcie, po tylu latach. Gdy człowiek obejrzy się wstecz, to bardzo długi okres. Ale faktem jest, że prowadził poszukiwania w czasie, który należałoby nazwać wykradzionym, wymyślał preteksty i różne powody. Mimo że był absolutnym władcą tego miejsca, lenna otrzymanego od Brandira, jego współpracownicy nie dawali się łatwo nabrać.

Nie zastanawiała się do tej pory, jak dużo zajęło to czasu. Miała tyle spraw na głowie.

Problemy osobiste, codzienne troski i radości, niekiedy powód do zmartwienia, przyjaciel w potrzebie lub zwierzenia kogoś młodego. Wzrost liczby ludności, rozwój przemysłu, lunariańskie przedsięwzięcia, korzyści i obowiązki, jakie to przynosiło. Posada administratora technicznego Ognistej Kuli była ściśle związana ze sprawami społecznymi: trzeba było znaleźć i przydzielić środki, pogodzić różne plany i ambicje, łagodzić tarcia powstające między mieszkańcami Księżyca, Lunarianami czy Terranami urodzonymi na Ziemi lub na L-5, rzekomymi Ziemianami...

– Tak – usłyszała – o ile „planetoida” jest właściwym określeniem dla tego, co znalazłem.

– Co wiesz na pewno? – warknął Brandir.

Temerir spojrział w oczy wyższego, silniejszego mężczyzny bez respektu.

– To, co powiedziały mi instrumenty i obliczenia – odparł. – Obserwacje teleskopowe przyniosły obfite żniwo, teraz pozostaje odsiać ziarno od plew. – Tak, przypominała sobie

Dagny, on mógł publicznie podjąć badania odległych krańców Układu Słonecznego, sporządzić przybliżoną mapę i próbować policzyć komety w Paśmie Kuipera za Neptunem i w okolicach

jeszcze bardziej oddalonego Obłoku Oorta. Za to nie dzielił się z nikim rezultatami niektórych prac. – Kilka wygląda na asteroidy, jednak są małe i skaliste, nie to, co miał na myśli ojciec. Znalazłszy obiecującego kandydata, musiałem opierać się na bladych widmach, jakie miałem do dyspozycji. A gdy obietnica nie okazywała się od razu fałszywa, musiałem czekać na okazję do wysłania sond z automatami na tyle daleko i szybko, by można było określić paralaksę. Ale wy, którzy jesteście tu nie od dzisiejszego cyklu dziennego, znacie te procedury. Na koniec tylko jedno ciało pozostało możliwym kandydatem.

– Jak wygląda? – niemal krzyknął Kaino. Temerir pozostał chłodny jak lód.

– Na pozór podobne do grobowca ojca, lecz o wiele większe. Ma kształt kuli i średnicę około dwóch tysięcy kilometrów. Spora część powierzchni jest pokryta nieprzenikliwym materiałem, lecz odkryłem wystarczająco dużo odbić charakterystycznych dla żelaza, by móc stwierdzić, że jest to materiał przeważający, co daje wysoką przeciętną gęstość. Nachylenie orbity wynosi kilka minut poniżej czterdziestu czterech stopni, podobne do mniejszych obiektów, które poznaliśmy aż nadto dobrze. To również sugeruje podobny skład. Peryhelium wynosi nieco ponad sto siedem jednostek astronomicznych, ekscentryczność ponad dziewięćdziesiąt dziewięć setnych. – Matko Święta, pomyślała Dagny, czyli punkt afelium leży około trzydziestu, czterdziestu j.a. Co także pasowało do asteroidy Monda. Mond, o, Mond! – W chwili obecnej ciało znajduje się trzysta dwie jednostki astronomiczne stąd i oddala się.

– Co proponujesz? – nie wytrzymała.

– A ty, matko? – zapytał Brandir. Czują, że to nie riposta, lecz zwyczajna reakcja. Wszyscy czworo patrzyli na nią z dziwnym... zapałem?

– Miło... miło z waszej strony, że mnie zaprosiliście – wyjąkała. – Nie mieliście takiego obowiązku.

– Wiedziałaś o poszukiwaniach od samego początku – oświadczyła Fia, chyba najbardziej

praktyczna z całego potomstwa. – Tak czy owak domyśliłabyś się, co się święci.

– Ponadto – dodał Brandir – szanujemy cię.

Dagny zastanawiała się, czy i w jakim stopniu mówią szczerze. A w ogóle czy byli otwarci nawet we własnym gronie? Myśl poniżej krytyki. Odpędziła ją i powiedziała wolno:

– No, wiecie, to pod względem naukowym... fascynujące, nie sądzicie? Rzuca dużo nowego światła na początki dziejów Układu Słonecznego. Cóż za pomnik wzniesiony waszemu ojcu!

– Wznieśliśmy go w naszych sercach, które należą tylko do nas – odparł Brandir.

– Co to znaczy? – Znała już odpowiedź. Brandir potwierdził to przeczcucie:

– Przewidziałem ogromne konsekwencje tego odkrycia i konieczność dochowania tajemnicy.

Nie widzę powodu, byśmy mieli dzielić się z Ziemią naszą wiedzą.

– Ale co z nią poczniecie?

– Zobaczymy! – zawołał Kaino.

– Jeżeli nie znajdziemy żadnego pożytecznego rozwiązania – odparł Temenr – po prostu ogłosimy wiadomość o naszym odkryciu.

A przecież jest wśród nich naukowcem, pomyślała Dagny. Czyżby ich pokolenie było jej aż tak obce? A może wyobcowane?

– Będzie nam potrzebny statek wyposażony w roboty najnowszej generacji – stwierdziła Fia.

Brandir w geście przeczenia machnął na ukos ręką. Ziemianin potrząsnąłby głową.

– Nie. Nie bylibyśmy w stanie przygotować tak kosztownej wyprawy w tajemnicy. – Dagny widziała wyraźnie, że myślał o całej sprawie już od pewnego czasu.

– Czyli ludzka załoga? – rzucił Kaino. – Aaaa! – Odchylił głowę i roześmiał się ku gwiazdom.

Tak się złożyło, że stał najbliżej Dagny. Raptem zobaczyła cały kontrast między jego rudymi lokami a własnymi włosami, które opadały jej do ramion. Od śmierci Edmonda posiwiały.

Przyszłość obok przeszłości...

Nic z tego. Nie była jeszcze gotowa do – jak to się mówiło w czasach jej dzieciństwa – przejścia na emeryturę. Ani jej się śniło zostać żalną emerytką. Jest starą kobietą, która będzie maszerować dalej, dopóki nie przyjdzie po nią Starzec.

Ci ludzie nie zaprosili jej tu z czystej dobroci. Mogła wyświadczyć im przysługę.

– Wejście na trajektorię wymagałoby zbyt wiele czasu i zbyt wielkich dostaw robotów – mówił Brandir. – Zaczekamy, aż zdobędziemy statek palnikowy.

A nie nastąpi to zbyt prędko. Całkiem niedawno Dagny i jej sprzymierzeńcy przepchnęli przez Federację niechętną zgodę na to, by mieszkańcy Księżyca mogli kupować, konstruować i obsługiwać statki o parametrach umożliwiających pełną nawigację międzyplanetarną. Trzeba robić to stopniowo, gromadzić kapitał, szkolić załogę, nabywać flotę; a pierwsze statki powinny mieć dość niewielki zasięg i wykonywać proste zadania. Nie ulega wątpliwości, że Brandir weźmie znaczący udział w każdym przedsięwzięciu.

Kaino miotał się po pokoju.

– Gdy przyjdzie pora, dobiorę sobie grupę zaufanych ludzi – tryumfował.

– Jak zamaskujecie start? – zapytała Fia.

Mówili o tym tak, jakby to miało nastąpić jutro, a nie za wiele lat, łącząc zapal z lodowatym wyrachowaniem.

– Ogłosimy, że Temerir odkrył w bliższych rejonach Pasma Kuipera kilka komet, które mogą zawierać żyły rud metali, a ja wybieram się w celu ich bliższego zbadania – oświadczył Brandir.

Historyjka dość rozsądna, zauważyła Dagny. Księżycowi przydałoby się jeszcze nieco wody i minerałów. Komet o odpowiednim składzie i orbicie nie było znów tak wiele. W ogóle Federacja uznała niedawno, że ma już tego dość, a jeżeli Selenitom nie wystarcza to, co mają, mogą poszukać sobie więcej, ale już bez dotacji. Takie odkrycie może sprawić, że spuszcza

trochę te swoje zadarte nosy...

Powoli docierała do niej zaskakująca informacja. Fia uprzedziła Dagny, unosząc brwi nad ciemnoszarymi oczami:

– Sam osobiście, Brandirze?

– Tak – odpalił. – Skoro i tak będzie to głównie moje przedsięwzięcie, chciałbym jak najwięcej się o nim dowiedzieć, by móc podjąć odpowiednie decyzje na przyszłość. – Zaśmiał się cicho, gardłowo. – Obawiam się też, że życie na Lunie trochę człowieka spłaszcza. – Szczególnie gdy osiągnęło się inne cele: bogactwo, władzę i bardziej osobiste pragnienia. – Nie będę krył swego rozdrażnienia, co pomoże wytłumaczyć, dlaczego lecą ludzie, a nie roboty. Zresztą do tego czasu, siostrze, powinnaś nauczyć się zarządzania grodem przy Wysokim Zamku przy pomocy Wali i Tuori. – Jego żon. Wszystko wskazywało na to, że Fia sprawdziła się na pomniejszym stanowisku kierowniczym, które zajmowała. Wiązało się ono z pewnym ryzykiem. A ma dopiero dwadzieścia trzy lata, pomyślała Dagny. Najstarszy, Brandir, miał ich czterdzieści jeden. A ona, ich matka, zaczęła pracę na Księżycu w wieku lat dziewiętnastu. (To już chyba czterdzieści osiem lat temu? Ale ten czas leci). Cóż, czasy pionierów to epoka młodych.

– Dzieło nie będzie ani szybkie, ani łatwe, nie podołamy mu również sami. – Brandir zwrócił się do Dagny: – Znow musimy skorzystać z twojej mądrości i pomocy.

– Mojej? – zawołała.

– Nikt nie nadaje się do tego tak, jak ty – oświadczył Kaino.

– Znasz stosunki panujące zarówno wśród Selenitów, jak i wśród Ziemiaków – podjęła Fia. –

Masz powiązania z wysoko postawionymi osobistościami i wiesz, jak je wykorzystać. Dzięki tobie możemy nawiązać współpracę z Ognistą Kulą, która w żadnym innym przypadku nie dałaby się nakłonić.

– Możesz dopilnować, by nasza wyprawa ku planetoidzie pozostała tajemnicą – dodał

Temerir.

– Jesteś tej samej krwi, co my – zakończył Brandir. Uśmiechnął się. Był piękny.

Czy ośmielają się zakładać, że ona zwróci się przeciw Ziemi?

Nie, tak nie można. Pomoc udzielona Lunie nie byłaby przecież żadną zdradą własnego

gatunku. Czyż nie? Komu – za wyjątkiem zakochanych w sobie polityków, wścibskich

biurokratów i magnatów wzbogaconych na licencjach^ monopolach – zaszkodziłoby zwiększenie

zakresu wolności dzieci jej i Monda?

Niedobrze, upomniała się. Od traktowania poważnie własnej propagandy krok do fanatyzmu.

Ziemia strasznie dużo zainwestowała w Lunę. Całe dzieje dobitnie potwierdzały słusność

stanowiska Federacji, która obawia się, że nacjonalizm znów podniesie głowę. Lunarian drażniły

prawa spisane w dobrych zamiarach, łamali je skrycie, a coraz częściej zupełnie otwarcie.

Wspólne dziedzictwo było tym najbardziej oczywistym punktem spornym. Troska o środowisko,

kontrola zbrojeń, standardy wykształcenia, podatki, licencje, przepisy, w zdecydowanej

większości rozumne z punktu widzenia cywilizowanego Ziemianina, na Lunie były odbierane

zupełnie inaczej; być może tutejsza cywilizacja nie była tak do końca ludzka...

Czy nie byłoby mądrym krokiem przynajmniej poszerzenie klatki, zanim zwierzę spróbuje

się z niej wyrwać?

Nie wiedziała. Jaka szkoda, że nie może poradzić się Guthriego. Ale zaprzysięgła milczenie,

a to były jej dzieci.

– Cóż – westchnęła – pogadamy.

Bębny dudniły i warczały. Na ich tle tętnił zaśpiew, raz głęboki niczym nuty organów, kiedy indziej przenikliwy jak gwizd, „haj-a-ho-hii”. Na lądowisku hałas cichł, zmieniając się w pomruk burzy, za to półmrok jakby bardziej tu gęstniał.

Burza, tak, pomyślała Aleka. Z warstwy chmur napierało gorące powietrze, nabrzmiałe zgromadzonym deszczem; skóra pod bluzką i szortami lśniła wilgocią.

Przez chwilę stała niepewnie przy wynajętym wolancie. Najprawdopodobniej wyjadą z Kenmuirem jej pojazdem, który go tutaj przywiózł. Ale nie mogła mieć pewności. Wieści, jakie odebrała tuż przed Overburgiem, wstrząsnęły nią – burmistrz Bruno znienacka zerwał negocjacje i zapowiedział pojedynek z Elville, rząd radził nie odwiedzać tych terenów. Może zająć potrzeba salwowania się pospieszną ucieczką.

– Czekać tutaj – nakazała taksówce – i jutro o godzinie, powiedzmy, siódmej wracaj na swoją stację, chyba że wydam inne polecenia.

– Wobec niebezpieczeństwa taryfa będzie dwukrotnie wyższa od standardowej – przestrzegł robot.

Debet znacznie uszczuplił stan jej osobistego konta. Jednak Lilisaire będzie musiała jej w końcu zwrócić wszystkie koszty.

Poza tym – tu uniosła głowę – gra toczyła się o niezmiernie wysoką stawkę.

– Potwierdzam. – Głos starczał za podpis. Chwyciła kurczowo dwie walizki i ruszyła przez lądowisko.

Świeciło pustkami. Gdy dotarła do pierwszych domostw, jedyne światło odbijało się od chodnika. Czyżby wszyscy mieszkańcy zebrali się w centrum? Najlepiej obejść tę część miasta szerokim łukiem. Ale nie wiedziała, jak to zrobić. Po prostu wywołała z bazy danych prosty plan i zapamiętała najkrótszą drogę do gospody. Leżała za rynkiem.

Gdyby wcześniej omówiła wszystko z Kenmuirem, ustaliliby bezpieczniejsze miejsce spotkania, może gdzieś poza miastem. *Bueno*, mężczyzna nie mógł mieć pojęcia, kiedy ona wyruszy w drogę. A nawiązanie kontaktu za pośrednictwem sieci łączności dałoby śledzącym łatwy trop. Po otrzymaniu złych wieści usiłowała zadzwonić do niego z wolanta. Właściciel gospody powiedział, że pan Hanibal wyszedł. Nie wiedząc, kiedy ma się jej spodziewać, poszedł pewnie coś zjeść albo w tym podobnych sprawach. Nie uznała za stosowne przekazać mu żadnych wiadomości. Przy drugiej próbie nikt nie odebrał telefonu. Znajdowała się wtedy tak blisko miasta, że postanowiła realizować plan w początkowej wersji.

Nie wiadomo, czy słusznie. Prawdopodobnie nie istniało żadne realne zagrożenie. Szła przed siebie. Mrok okrywał budynki baldachimem i czał się między nimi. Przed sobą widziała jednak coraz silniejszą poświatę nad dachami. Dudnienie bębnow, gwizdy, śpiew, tupania nogami narastały, by w końcu przeniknąć ją do szpiku kości.

Ulica skończyła się jakąś dużą konstrukcją, która nikła w ciemności. Aleka skręciła w lewo, doszła do narożnika, zwróciła się w prawo, chcąc jednocześnie uniknąć tłumów i nie zablądzić. Wpadła jednak w pułapkę nieznanego miejsca. Nagle wyszła na następną ulicę i znalazła się w jednym z rogów placu. Stała jak wryta.

Oto na środku placu płonął ogień, płomienie unosiły się na trzy metry, aż czerwieniał od nich dym. Dokoła tańczyli młodzi mężczyźni, obnażeni do pasa i lśniący potem. Wymachiwali nożami i pałkami, zawodzili, twarze wykrzywiała im pasja. W rogach kucali bębniarze i gwizdzący. Przy prawym boku placu zebrały się kobiety, dzieci i starsi, mroczna gromada, w której przebłyskiwał odbity od białek oczu ogień. Ich wycie wbijało się w śpiew tańczących niczym ostrze noża: „Ej-ja, hoa, haja-ho!”

Aleka przypomniała sobie uroczystości w domu, pełne namaszczenia lub wesołości, owacje na zawodach sportowych i paradach policji. To wydarzenie też było ludzkie.

Trzeba znikać. I to szybko.

Na ramieniu zacisnęła jej się czyjaś ręka. Tak pochłonął ją spektakl, że nie spostrzegła za sobą niczyjej obecności.

– Kim jesteś? Co tutaj robisz?

Mężczyzna był siwy i tęgi, dobrze umięśniony, uzbrojony w nabijaną ćwiekami maczugę i sztylet. Pewnie, uświadomiła sobie, nawet w tej godzinie obłędu stawia się strażę.

– *P-por favor* – wykrztusiła. – Jestem tu go-gościami. Idę do gospody.

– A może jesteś szpiegiem? Zobaczymy. Chodź. Wykręcił jej ramię. Tłumiąc lęk i złość, poddała się. Poszli wzdłuż lewej pierzei rynku.

Na ulicy tańczył samotny mężczyzna. Zrzucił na siebie pelerynę z kapturem sięgającą kolan. Mijając go, Aleka poznała po żylastych rękach i pomarszczonej twarzy, że nie pomoże mu już żadna biotechnika. Potem zorientowała się, że przód i tył peleryny są jednakowe, a na tylnej stronie kaptura miał maskę, wyobrażającą twarz młodzieńca. Na drugiej twarzy malowała się taka sama, ślepa ekstaza. Podrygując, poszedł swoją drogą.

Strażnik prowadził ją schodami dużej budowli o groteskowych kolumnach. Na werandzie stało czterech mężczyzn, także starych, lecz bogato odzianych, podobnie jak towarzyszące im kobiety. W środku grupki dostrzegła zwalistego mężczyznę w kwiecie wieku, potężnie zbudowanego, z szopą blond włosów, epoletem ozdobionym rogami i w złotym łańcuchu na szyi, były to zapewne insygnia jego władzy. Na stole obok stał dzban i puchar. Blondyn raz po raz pociągał z pucharu duży łyk jakiegoś trunku.

Spojrzenia przeniosły się z wojowników na nowo przybyłych. Wartownik zgiął kolano i pochylił maczugę.

– Wybacz, *señorissimo* – zaczął. – Złapałem tę tutaj jałowicę, ale nie wiem, kto to taki ani czego chce.

– I? – warknął olbrzym. Aleka zebrała się na odwagę.

– Czy pan jest burmistrzem, *señor!* – zapytała, siląc się na spokój. – Wyrazy uszanowania.

Nie miałam zamiaru nikogo skrzywdzić ani zrobić nic złego. Przyleciałam na spotkanie z innym przebywającym tu gościem. Na lądowisku nie było nikogo, więc pozostało mi tylko udać się do gospody, gdzie on mieszka.

– A-ha. Ten, jak mu tam, Hanibal, co?

– Tak. Przekazał wiadomość, że uzyskał dla mnie pozwolenie.

– Wiem. Ta. – Wzrok burmistrza prześlizgiwał się po niej od stóp od głów, przenikał ją.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie ma sprawy. To co, idziesz do gospody?

W porządku. Siedźcie sobie. Póki co muszę tu zostać, ale potem tam do was wpadnę. Tylko siedźcie, nie ruszajcie się, słyszysz? – A do strażnika powiedział: – Idź z nią, Bolly, i dopilnuj, żeby nie wytykali nosa z gospody.

– Czemu, *señor!* – zaproponowała Aleka, nagle zaniepokojona. – Zapewniam pana, że jesteśmy tylko przejazdem, że nie mamy nic wspólnego z... – Wielka jak łopata dłoń przecięła powietrze.

– Wiem. Tylko chcę z wami pogadać. Ruszajcie. Nie rób jej krzywdy, Bolly, chyba że przyjdzie jej do głowy wariować. Jasne? Dobra, idźcie już.

Wyglądało na to, że burmistrzowi nie wolno niepotrzebnie przeszkadzać w odgrywaniu swojej roli podczas przedstawienia. Strażnik poprowadził Alekę z powrotem po schodach. Już jej nie trzymał, lecz pełna ponurego zacięcia cisza aż nadto dobitnie mówiła o tym, jak bardzo żałuje, że odsyłają go z dala od centrum wydarzeń. Podejrzewała, że chętnie by się na niej wyładował, gdyby nie otrzymał wyraźnych rozkazów. W bazie danych było napisane, iż wódz narzuca absolutne rządy brutalnie i osobiście.

Ale to dotyczyło wyłącznie jego poddanych, którzy mogli w każdej chwili wyjechać, tłumaczyła sobie. Wszystko opierało się na cierpliwości. Jeżeli nie jest skończonym durniem, nie

będzie prowokował ogólnopanstwowego buntu.

Mimo to znacznie jej ulżyło, gdy stanęli i wartownik wymamrotał:

– Jesteśmy na miejscu. Wejdz. – Rozłożył się na trawie przy schodach i pogrążył w ponurej zadumie.

Motel wyglądał jak przeciętnej wielkości dom. W jednym z okien na pierwszym piętrze paliło się światło. Przedsiónek był oświetlony, lecz pusty. Gdy zamknęły się drzwi, Aleka poczuła przyływ spokoju. Kurz, kilka znużonych życiem mebli, duszny zapach – czyli hotel bez robotów, kierowany przez kilku ludzi. Mieli do odegrania taką rolę. Ale dzisiaj brali udział w innym, opętanym przedstawieniu. Jednak to oświetlone okno... Krew zaczęła jej żywiej krążyć w żyłach. Nie zważając na bagaże, rzuciła się po schodach na górę.

W korytarzu znajdował się rząd drzwi, pozbawionych skanerów i głośników. Kierując się intuicją i wspomnieniami oglądanych filmów historycznych, wybrała jedno z drzwi i zapukała. Otworzyły się i na widok twarzy Kenmuira poczuła powiew swobody.

– *Aloha, aloha* – sapnęła.

– To ty! – zawołał. – Na kosmos, ale cię miło widzieć. Wejdz, proszę. – Wziął od niej walizki i zamknął drzwi.

Pokój mógł mieć jakieś cztery metry na cztery, w kącie stała kabina do mycia, a pod nogami leżał tkany dywan. Nie było widać ani telefonu, ani multi. Łóżko, toaletka i dwa krzesła były prymitywnie wykonane i zaprojektowane. Innym anachronizmem były okna z ramami, przez które wpadał mrok nocy. Kenmuir zamknął okno, przez które nasłuchiwał zapewne odgłosów wrzawy, i włączył odzysk powietrza. Chłód rozładował atmosferę, w której Aleka zaczynała się dusić.

Wziął ją za rękę.

– Nic ci nie jest? – pytał niespokojnie. – Strasznie się martwiłem od momentu, kiedy

wybuchły te rozruchy. Liczyłem, że ominiesz to miejsce z daleka i wyślesz nową wiadomość.

– Też mi to przyszło do głowy, ale kosztowałoby to wiele czasu, a nie wiem, ile go nam jeszcze zostało – tłumaczyła. – Może tak byłoby lepiej. Ale teraz jest już za późno.

– Co to ma znaczyć? – wyczuł jej przygnębienie. Opowiedziała mu o wypadkach tuż po przylocie. Skrzywił się, przeszedł kilka razy po pokoju, potrząsając chudą głową.

– Miejmy nadzieję, że Brunonowi chodzi o okazanie gościnności, że na pożegnanie chce się jeszcze trochę popisać.

– A jakie są inne możliwości? – zapytała, czując, jak zasycha jej w gardle.

– Nie... nie wiem. Naturalnie nie może nas zatrzymać ani nic w tym guście. Możemy mu uzmysłwić prawne konsekwencje tego rodzaju prób. Obawiam się, że ten osiłek przed gospodą niczego by w swej głupocie nie zrozumiał i mogłoby się skończyć połamaniem kilku kości. Ale Bruno... miałem okazję poznać go trochę w ciągu paru ostatnich dni. Był... gościnny, na swój niezręczny sposób. Starał się mi zaimponować, jako człowiekowi z wielkiego świata. Zdaje mi się, że kompleks cywilizacyjnej niższości stoi za wieloma wybuchami przemocy i porywczosci. – Zaczął przemawiać jak uczoney. Powstrzymał się, próbował stłumić niepokój. Rozległ się śmiech.

– Ale co ze mnie za gospodarz? Siadaj, albo połóż się, jak wolisz. Napijesz się? Zdobyłem butelkę whisky.

Aleka usiadła na krześle i uśmiechnęła się do niego.

– *Gracias*. I dolej mnóstwo wody, *por favor*. O mnie się nie martw. Bywałam w znacznie gorszych opałach. Przygoda nieprzyjemna, ale krótka i... już się otrząsnęłam.

Nalewając whisky do kieliszków, przyglądał się dziewczynie; wreszcie zaczął powoli:

– Lubisz przygody, prawda? Założę się, że mogłabyś mi to i owo opowiedzieć. Przed nami wiele godzin czekania i możemy swobodnie porozmawiać. Ten pokój to jedyne... jedno z nielicznych miejsc na Ziemi, gdzie możemy nie obawiać się podsłuchu.

– Fakt, musimy pogadać – potwierdziła.

Podał jej kieliszek, przysunął drugie krzesło. Jako że był bardziej skrupowany, zaczął od potężnego łyka alkoholu.

– Kim ty jesteś, Aleko? I dlaczego bierzesz udział w tej intrydze?

– Ja też chciałabym cię lepiej poznać, Kenmuir.

– Ale otrzymałaś opis mojej postaci, prawda? Ty za to jesteś dla mnie okryta zupełną tajemnicą.

Nie mogła stłumić uśmiechu.

– Kobieta tajemnicza? A to się zdziwi mój lud. Jak mam się do tego zabrać? Wyuczyć się obcego akcentu, założyć tunikę z głębokim dekoltem, czy jak? Nie, ta działka należy do Lilisaire.

Zacisnął zęby. Czy widziała, jak się wzdrygnął? Pamiętała wyraz jego oczu podczas rozmowy z Selenarchinią w tamtej rozżarzonej do czerwoności budzie na pustyni. Ogarnęło ją współczucie. Kenmuir był człowiekiem pod każdym względem przyzwoitym, spokojnym, wplątany w operację, do której nadawał się tak, jak Keiki do alpinizmu; mimo to nie rezygnował, nawet pozbawiony nadziei, która stanowiła motywację dla dziewczyny.

Głos jej złagodniał.

– Przepraszam. Nie chcę cię zwodzić. Pytaj, o co chcesz. Odpowiem na wszystkie pytania, chyba że będą zbyt osobiste.

Zaczerwienił się

– Nie... nie śmiałybym wtykać nosa w twoje życie. – Tak bardzo cenił dyskrecję. – Ale skąd się tu wzięłaś i co skłania cię do...

Czas rozplątał się we wspomnieniach. Potrafił je w niej wywoływać, nie wiedziała dokładnie, jak, czy chodziło o nieśmiały uśmiech i pytania, czasem niezręcznie sformułowane, ale zawsze inteligentne, a może o okruchy jego życia i wspomnień, które proponował w zamian.

Rozumiała, że krok po kroku mężczyzna zaczyna poznawać jej Lahui Kuikawa, obydwie tak ukochane przez nią rasy, mile domki otoczone przestworami oceanu i owiewane przez wichry, starożytne tradycje i młodzieńcze rozkosze, życie z sensem i celem, w którym nie mogłaby uczestniczyć żadna maszyna, ale które właśnie te maszyny i ich zwolennicy próbowali wepchnąć w ciasne ramy i przerobić...

– Tak, przyznaję, że to konieczne, wręcz potrzebne – stwierdziła, mrugając powiekami, żeby stłumić płacz – ale dajcie nam jeszcze trochę czasu, szansę, byśmy mogli sami znaleźć swoją drogę życia!

Nie wiedziała, czy Kenmuir kiedykolwiek zdoła wyobrazić sobie w pełni jej uczucia. Mimo że był dumnym człowiekiem podróżującym pośród wspaniałości świata, na wyprawach doskwierała mu samotność i ciężkie warunki. Ale przytulił ją, krótko i czule, gdy zdawało się, że już poddawała się smutkowi – i rozpacz ustąpiła.

Zasługiwał na kogoś lepszego od Lilisaire.

Dotarli do punktu, gdy zapanowało milczenie, aż wreszcie Kenmuir zapytał:

– Co obiecała ci Lilisaire na wypadek, gdyby to szalone przedsięwzięcie się powiodło? –

Mówił głosem spokojnym, z nutą akademickiego tonu, w który często popadał. Usta skrzywiły mu się w nieznacznym uśmiechu.

Wątpliwości rozwiały się niczym mgła. Wyprostowała się na krześle i krzyknęła:

– Dom!

– Gdzie? Jakim sposobem?

– Nauru. – Obrzucił ją pytającym spojrzeniem. Słowa popłynęły wartką strugą: – Nic dziwnego, że nie słyszałeś. Wysepka w środku Pacyfiku, nieco na południe od równika, na północny wschód od Wysp Salomona. Żył tam kiedyś cały naród, mały, ale zamożny, bo mieli fosfat, który eksportowali. Jednak złoża się wyczerpały. – Jeszcze zanim technologia

molekularna poskromiła apetyty światowego przemysłu. – Licząca około dziesięciu tysięcy osób ludność usiłowała odbudować gospodarkę na nowych fundamentach, ale niezbyt jej się udawało i coraz bardziej biedniała. Gdy Ognista Kula zaproponowała kupienie wyspy za przyzwoitą cenę, tubylcy z radością zgodzili się wynieść gdzie indziej. Guthrie wymyślił, że postawi tam kosmodrom. Lecz na Ziemi wszystko podupadło, zapanowała Odnowa, Wielki Dżihad i w ogóle; kiedy sytuacja zaczynała się normować, Guthrie zmarł, a zanim jego zasejwowana osoba przejęła kontrolę w firmie, upłynęło sporo czasu; wtedy już w samym kosmosie powstało tyle baz kosmicznych, że wzniesienie kosmodromu na Ziemi by się opłacało. W końcu Ognista Kula sprzedała Nauru Brandirowi z Wysokiego Zamku. Działo się to w początkowym okresie niezależności Księżyca. Kilku Selenarchów zdobyło nieprawdopodobne bogactwa i szukało możliwości ich zainwestowania. Wybrało pokaźną liczbę nieruchomości na Ziemi, włącznie z gruntami. Ich część ciągle jest w posiadaniu rodziny.

– Czyli wyspa należy do Lilisaire? – mruknął Kenmuir. – I co z nią zrobiła?

– Raczej niewiele. Połowy ryb i uprawy wodorostów, prowadzone przez roboty i kilku miejscowych Ziemian. Zyski nieduże. Ale widzisz, trzymanie tam ludzi zawsze było niezmiernie istotne, choćby była ich garstka. Bo formalnie Nauru pozostaje odrębnym państwem.

– Chyba rozumiem. – Oczy Kenmuira rozszerzyły się. Zachichotał. – Ciekawe, jakich Guthrie użył manewrów, żeby zalegalizować taki stan rzeczy. Stary lis.

– O to chodziło. – Aleka energicznie pokiwała głową. – Rządy Australii i Ekwadoru współpracowały z Ognistą Kulą, ale gdyby mógł mieć swój własny... *Bueno*, jak już mówiłam, nic z tego nie wyszło. Selenarchowie wykorzystali ten sposób, by wprowadzić do Zgromadzenia Federacji polityka na swoich usługach, lecz nie sędzę, żeby wyszło im to w jakiś znaczący sposób na dobre. A teraz... – Urwała.

– A-ha. Przypadnie twojemu ludowi.

– Tak. Atol, do tego kilka pływających platform, które powiększą terytorium. Ponad ćwierć miliona kilometrów kwadratowych wód terytorialnych. – Sąsiednie państwa przyznały Nauru prawo do korzystania ze swoich wód, na zasadach wzajemności, z którego to prawa już od dawna nie korzystają. – Tak, tak, trzeba będzie przestrzegać przepisów ochrony środowiska, sankcjonowanych przez Przymierze. Ale są one na tyle elastyczne... kiedy zostaniemy kontrolerami... a naprawdę chcemy pogodzić tryb życia Keiki z przyrodą, tyle że jest to niemożliwe bez zniszczenia naszej natury, chyba że będziemy mieli czas i miejsce, i... wolność... – Urwała.

Nie była tam jeszcze osobiście, ale przed oczyma miała obraz, jaki uzyskała z bazy danych. Nauru, w przeciwieństwie do Niihau, była samotną wyspą o powierzchni dwustu kilometrów kwadratowych. Składała się głównie z płaskowyżu zrytego przez dawne kopalnie, okolonego ścianą koralowych nabrzeży; ponadto były tu piaszczyste plaże i bardziej odległe rafy.

Dominowały pustkowia, na których ludzkie siedliska z przeszłości, gdy wszyscy mieszkańcy mieścili się w kilku chatach, stały smagane słonymi wiatrami i krzykami morskich ptaków. Ale drzewa kołysały się na wietrze, kwiaty mieniły się barwami tęczy, na południowym zachodzie leżała laguna pitnej wody, wokół toczyło fale żyjące morze. Anglicy nazywali ją Przyjemną Wyspą.

– Zrobimy wszystko, na co będzie nas stać – szepnęła.

– Przypuszczam, że transakcja wywoła oburzenie w Hiroszynie. – Kenmuir pocierał brodę. –

Hm, ale coś mi mówi, że możecie powoływać się na inne jeszcze argumenty prócz argumentów prawnych. Opinia publiczna poprze taką romantyczną sprawę. Ponadto, a nie jest to nieistotne, będziecie przejmowali ziemię z rąk Lunarian. Tak, perspektywy nie wyglądają najgorzej.

Właśnie takie suche argumenty były jej potrzebne. Czy się domyślał? Aleka wróciła do rzeczywistości.

– Najpierw musimy spełnić swoją misję, a potem przekonamy się, czy Lilisaire uzna efekty za godne nagrody.

Kenmuir zmarszczył czoło.

– Tak, musimy. – Po chwili dorzucił: – Jaki masz plan?

– W gruncie rzeczy plan nie jest mój – odparła – i nie ma w nim mowy o żadnych konkretach; tylko instrukcje na temat zadania i kilka wskazówek co do jego realizacji. Możemy wybrać inną drogę. Ale mam wrażenie, że w tej wersji nasze szanse są największe. Czy mówi ci coś nazwa Prajnaloka?

– Nie-e... Zaraz, coś w rodzaju kultu czy tajemnego bractwa?

– Jeszcze ciekawiej. Praktycznie nie znałam tego ruchu, dopóki nie powiedziała mi o nim agentka w San Francisco. Później, przed spotkaniem z tobą, wyszukałam więcej szczegółów. Ruch ma zasięg ogólnoświatowy, chociaż nie uczestniczy w nim zbyt wielu członków, a nazwa zmienia się w zależności od języka – w anglo brzmi: Poszukiwanie Duszy. Prajnaloka to nazwa ośrodka w Ameryce Północnej, osady w górach Ozark, nieco na wschód od tego miejsca. Są tam urządzenia sieciowe zupełnie odpowiadające naszym celom, używane w tak dziwny sposób, że można mieć nadzieję, iż system nie zwróci na nas baczniejszej uwagi, jeżeli...

Drzwiami wstrząsnęło potężne stukanie. Aleka i Kenmuir zerwali się na równe nogi. Przez okropną sekundę dziewczynie zdawało się, że to ich nieprzyjaciel, wróg bez twarzy. Potem spojrzała na zegarek. Nie zwróciła uwagi na upływ godzin, podczas których cichła wrzawa na rynku i mijała noc.

– Bruno – stwierdził Kenmuir.

Sztywnym krokiem podszedł do drzwi i odsunął zasuwę. Masywna sylwetka burmistrza zajmowała niemal cały otwór drzwi. Aleka dostrzegła za jego plecami strażnika Bolly'ego.

– Dobry wieczór – zagaił Kenmuir – czy może raczej „dzień dobry”.

– Dobry, oj, dobry – wybełkotał Bruno. Miał rumieńca na policzkach, chrapliwie oddychał, ale ani na moment się nie zachwiał. Kenmuir musiał się odsunąć. Bruno szukał wzrokiem Aleki.

– Ha, tu jest panienka – zagrzemiał. – *Bienvenida*. – Podszedł do niej, stanął, położył jej ręce na barkach. – Dobrze ci u nas?

Zsunęła się z krzesła i wymknęła spod jego palców. Ruszył za nią. W nozdrza uderzał smród potu i alkoholu.

– Co, niedobrze? A, tak, trzeba siedzieć w pokoju. Zero przyjemności. Sorry. To dla twojego bezpieczeństwa. Różnie bywało. Ale teraz jest spokój. Chodź, pokażę ci nasze piękne miasto. Na pewno ci się spodoba.

Nie pozwolić sobie na drżenie głosu.

– *Gracias*, ale musimy już chyba jechać. Wzywają nas pilne sprawy.

– Nie takie znowu pilne. Wyjedziecie później. Kiedy wyruszę na pojedynek. Teraz się zabawimy. – Położył ręce na jej biodrach, zaczął je przesuwać ku piersiom. – Chodź. Spodoba ci się.

Wyśliznęła mu się. Złapał ją za nadgarstki i brutalnie ścisnął. Mimo fali mdłości usłyszała głos Kenmuira:

– Przecież ci mówię, nic z tego nie będzie. Puść ją.

– Ha? – Bruno popatrzył na niego wytrzeszczonymi oczami. – Ty mi rozkazujesz? Ty?

Bolly warknął na progu i zaczął szykować broń.

– Proszę, wypuść nas – powtórzył Kenmuir.

– A to czemu?

– Nie masz prawa nas tutaj trzymać. Molestujesz ją. Zastanów się, bo postawimy ci zarzut popełnienia przestępstwa.

Bruno przyciągnął Alekę do swego brzucha. Uległa. W tej pozycji przynajmniej nie będzie

jej obmacywał.

– Nikogo nie krzywdzę – oznajmił i pierdnął. – Chcę tylko zrobić dobrze tej panience. Tak dobrze, że jeszcze będzie mi dziękować.

– Upiłeś się.

Katastrofalnie, pomyślała Aleka. Chyba że ciągle był pod wpływem historycznego tańca wojennego. Aż się wzdrygnęła.

– Stul pysk! – ryknął. – Bo ci go zatkam twoimi własnymi zębami! – Aleka poczuła, że jego zapędy nieco osłabły. Zarost drapał ją w policzek. Mężczyzna się roześmiał: – Wczoraj miałeś ochotę na moją kobietę. Teraz moja kolej.

– Ostrzegam – mówił Kenmuir – że jeżeli w tej chwili nie puścisz tej dziewczyny, zostaniesz natychmiast aresztowany. Co ci wtedy przyjdzie z całego majestatu władzy?

Może nie powinien był tego mówić? Czy tym sposobem całkowicie nie wytrąci tego osobnika z równowagi? Bruno splunął na podłogę i wykrztusił:

– A to dla ciebie! Kto tu mówi o przemocy? Zobaczysz, że się jej spodoba. Będziesz błagać o jeszcze, panienko. Będziesz chciała u nas zostać. Dawaj. – Obrócił ją, ciągle trzymając tak, że ręce kobiety znalazły się na plecach. – Bolly! – rozkazał. – Przypilnuj, żeby ten frajer się ode mnie odwalił. Jasne?

– Tak jest, *señorissimo* – odpalił uszczęśliwiony strażnik. Kenmuir nie zwracał na niego uwagi; stanął w drzwiach i powiedział burmistrzowi:

– W porządku, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wyzwąć cię na pojedynek.

– Że co? – Bruno stanął jak wryty.

– Sami rozstrzygniemy, kto tu ma władzę.

– Ty, jak ty się odzywasz? – wycharczał Bolly, wznosząc maczugę.

– Czyżby burmistrz bał się stanąć ze mną do walki? – zripostował Kenmuir.

– Nie! – wrzasnęła Aleka. – Nie wolno ci... – Olbrzym rozdarłby szczupłego mężczyznę na ćwierci. Co im wtedy pozostanie? Mogliby razem z Kenmuirem przepaść jak kamień w wodę i nikt nigdy nie dowiedziałby się, co im się przytrafiło. – Pójdę z nim. Dobrowolnie. – Może później odwoła się do przepisów prawa. Albo Bruno nie obudzi się już żywy.

– Jesteś *loco* – wykasłał burmistrz.

– Nie – odpalił Kenmuir – po prostu wyzywam cię na pojedynek na pięści, Jeśli nie dostaje ci męskości, niech twój sługa obwieści to wszystkim w mieście.

Bruno ryknął jak byk.

Zanim się zorientowali, znaleźli się na ulicy pośród pospiesznego tupotu nóg. Bruno odskoczył i przyjął pozycję, wielka plama na tle blasku chodnika. Zerwał się lekki wiatr świszczący cicho wśród pogrążonych w mroku ścian. Zachodni skrawek nieba ponad dachami zaczęły przecinać błyskawice. Bolly stanął z boku. Trzymał Alekę za nadgarstki, niezbyt mocno, zobaczyła w jego oczach tępe zdziwienie. Kenmuir poklepał ją po ręce, co poczuła jak dotyk skrzydeł ćmy, i też przyjął pozycję. O, Pele, jakie miał kruche kości!

Możliwe, iż Bruno zadowolił się okaleczeniem go, zgwałceniem jej, a potem ich wypuścił. Ale to mało prawdopodobne. Na trzeźwo pomyśli o konsekwencjach. Aleka spojrzała ku niebu. Może Lilisaire wypatrzy, co im się przydarzyło, i ich pomści?

Bruno rozpędził się. Kenmuir czekał. Bruno dopadł go, zakręcił się i wyprowadził cios karate.

Przedramię Kenmuira przecięło powietrze. Noga odleciała w bok. Bruno zachwiał się, stracił równowagę. Stopa Kenmuira trafiła go poniżej kolana. Burmistrz zawył i runął na ziemię.

Kenmuir podskoczył i wymierzył mu cios piętą w pierś. Tamten sapnął, ale odtoczył się na bok i zerwał na nogi. Niewiarygodna odporność. Starczy, że dopadnie przeciwnika, a rozbije go jak młot kruszący filizankę.

Ale na pewno jest nieco oszołomiony. Skrzyżowały się pięści, Bruno wycelował w brzuch. Aleka natychmiast spostrzegła błąd, jaki popełnił. Ręka Kenmaira błysnęła jak nóż, zablokowała cios, który trafił w powietrze. Kosmonauta zadał uderzenie łydką i burmistrz znów padł na ziemię.

Takie przynajmniej odniosła wrażenie. Nigdy nie zajmowała się sztukami walki. Oddawała się łagodniejszym zabawom. Dla niej starcie było jednym wielkim, dzikim kłębowskiem. Bruno ponowił próbę, znów poniósł klęskę, jęknął i zatrzęsł się. Krew zalewała mu twarz, zlepiła brodę, kapała na ulicę, lśniąco obrzydliwie. Wydał zwierzęcy pomruk i wyciągnął nóż. – Nie, tak nie wolno! – zawył Bolly.

Bruno runął do natarcia. Kenmuir złapał go prawą ręką za nadgarstek, postąpił w bok, jednocześnie uderzając łokciem w szyję. Nóż potoczył się na chodnik. Bruno zmienił się w worek mięsa, który usiłował schwycić powietrze.

Kenmuir podszedł do Bolly'ego. Twarz świeciła mu od potu. Oddychał głęboko, wydzielając zapach... potężny, męski, myślała Aleka, której zakręciło się w głowie. Poruszał się jednak swobodnie, a słowa, jakie wypowiadał, były spokojne.

– Chyba rozstrzygnęliśmy nasz spór. Wypuść tę kobietę. Bolly usłuchał. Nie mógł oderwać od tamtego wzroku.

– Jeśli można, to wziąłbym ten kij. – Wyjął maczugę z nie stawiających oporu palców. –

Naturalnie nie ma tu już dla mnie niczego interesującego. Ale może zajmij się swym panem? –

Zwrócił się do Aleki: – Możesz przynieść bagaże?

Mogła. Przyniosła. Dopiero po powrocie, gdy uporządkowała myśli, zrozumiała, że są wolni.

Kenmuir rozmawiał jeszcze ze strażnikiem, który przykucnął nad leżącym ciałem i coś tam przy nim nieumiejętnie grzebał. Aleka zdążyła na pokaz użycia maczugi. Kenmuir demonstrował pewnie, jak ją w razie czego wykorzystać. Skinął głową na jej widok i wziął swoją walizkę.

– Chodźmy.

Szedł energicznie, ale niespiesznie. Nie chce okazywać strachu, zorientowała się Aleka.

Powodzenie ucieczki zależało od emocjonalnej równowagi, która mogła się lada moment załamać. Droga na lądowisko ciągnęła się w nieskończoność. Wiatr jęczał, migotały błyskawice, pomrukiwały grzmoty.

Wsiedli do wolantu i wznieśli się w powietrze.

Nie potrafiła opanować dreszczy. Tulił ją, głaskał, szeptał. Po pewnym czasie mogła się wreszcie zdobyć na to, by usiąść obok niego i powiedzieć:

– Przepraszam, to dzie-dziecinne.

– Ależ skąd – odparł. – Zupełnie naturalna reakcja. Groziło ci znacznie więcej niż mnie, a mimo to nie straciłaś nad sobą kontroli. A za to się zawsze płaci.

Zerknęła na niego. Znajdowali się już ponad pułapem chmur. Jego profil rysował się na tle blednącego nieba i kilku pozostających na nim gwiazd.

– Nie sprawiasz wrażenia poruszonego – odezwała się.

– Ależ jestem poruszony! – zwrócił się do niej z uśmiechem. – I wykończony. Wylądujemy gdzieś i prześpijmy wschód słońca.

Ciało boleśnie się tego domagało, ale powróciła już jasność umysłu, nawet jeszcze bardziej zogniskowana.

– Lepiej nie. Każdy postój, gdzie może nas ktoś zauważyć, to dodatkowe niebezpieczeństwo.

Każemy wolantowi krążyć przez kilka godzin, żebyśmy mogli odpocząć, a potem skierujemy się wprost do Prajnaloki.

– Q! – Klepnął się w czoło. – Masz rację. Wieść o bijatyce dotrze do sofotekta w Overburgu, on zbada sprawę i złoży odpowiedni raport. A spotkał się ze mną, rozmawialiśmy.

Taki mózg potrafił przekazać jego ruchomy i mówiący obraz do bazy danych. Na szczęście

nie widział przynajmniej jej. Równie szczęśliwym zbiegiem okoliczności – a czas najwyższy, żeby wreszcie uśmiechnęło się do nich szczęście, pomyślała Aleka – nie podała żadnemu mieszkańcowi miasta swojego imienia i nazwiska. Na pewno wyjdzie na jaw, że w mieście przebywał także drugi przybysz. Potem będą mogli, poprzez Kontrolę Ruchu, dojść do tego, że pojazd należy do niej, a następnie ustalić jego położenie.

Ale po co rząd miałby zaprzętać sobie głowę takim nieistotnym incydentem, który zdarzył się w społeczeństwie cieszącym się praktycznie autonomią? Przecież członkowie rządu nie wiedzieli, że ktoś z ich grona w tajemnicy ściga Kenmuira. Nie będą mieli powodu, żeby go śledzić. Jeśli będzie chciał wnieść oskarżenie, skontaktuje się z nimi; w każdym innym razie zupełnie spokojnie można pozostawić relację sofotekta w archiwum. Możliwe, że po pewnym czasie w archiwum pojawi się tyle zapisów podobnej treści, że władze będą chciały uważniej przyjrzeć się Bramlandowi. Aleka miała taką nadzieję. Ale raczej nie zdarzy się to zbyt szybko.

Jej towarzysz znowu się uśmiechał, starając się chyba o polepszenie nastroju, i dodał:

– Sama widzisz, że doskonale panujesz nad myślami.

– Kiedy... – zastanawiała się – kiedy go wyzwaleś, pomyślałam, że jesteś, *pupule*, szalony, że chcesz popełnić samobójstwo.

Wzruszył ramionami.

– Kosmonauci, jeśli chcą utrzymać kondycję, muszą dużo ćwiczyć. Ja najbardziej lubiłem sztuki walki. Gdy jestem sam, walczę z wygenerowanym przez komputer obrazem, co cudownie wyrabia refleks. Nie sądziłem, że kiedyś będę musiał to wykorzystać w praktyce, ale w zawodach szło mi nie najgorzej. Bruno opanował te umiejętności na elementarnym poziomie, o czym upewniłem się, rozmawiając z nim. – Na wypadek, gdyby potrzebował później takich informacji, uznała Aleka. Co za przewidujący człowiek. – Zresztą był pijany. Nie widziałem żadnych poważnych zagrożeń. Od samego początku zachował się głupio, kiedy próbował mnie kopnąć.

To cios potężny, lecz powolny i naraża atakującego na kilka możliwych kontrataków. Chodziło tylko o to, żebym utrzymał go od siebie z daleka, żeby nie mógł mnie złapać ani uderzyć, a w tym czasie powoli go wykańczałem. Tak, musiałem bardzo uważać, żeby go nie zabić, zwłaszcza że w takich okolicznościach nie dałoby się go raczej odratować. Obrzydliwe – skrzywił się Kenmuir. – Zawsze uważałem sztuki walki tylko zagimnastykę i rekreację. Nigdy nie chciałem, żeby odegrały w moim życiu jakąś większą rolę. – Westchnął. – Tak czy owak, Bruno chyba się z tego wylize, czego nie można zapewne powiedzieć o jego miłości własnej i statusie społecznym. Nakryła dłonie Kanmuira swoimi.

– Nieważne. I tak byłeś wspaniały.

– Przecież nie mogłem stać z boku z założonymi rękami. Zwłaszcza że... no, może nie wywołałem tego spięcia, ale się do niego przyczyniłem.

– Przyjąłeś jego gościnność z, jakby to powiedzieć, całym dobrodziejstwem inwentarza.

Od razu zdała sobie sprawę, że komentarz był bezsensowny, niesprawiedliwy, że wymknął jej się wskutek znużenia. Odwrócił głowę.

– Nie bardzo wiedziałem, jak mam odmówić – wybełkotał.

– Przepraszam! – wyrzuciła. – Znowu pcham nochal w nie swoje sprawy!

A... czy było mu dobrze?

– Może spróbujemy się przespać? – zaproponował. Wciąż spokojny, rozsądny, trzyma rękę na pulsie. Czemu wytknęła mu tamtą sprawę? Powinna się cieszyć, że ma u swojego boku takiego mężczyznę. Czy wielu było takich jak on kosmonautów? (Nie, niewielu, a i ci przeważnie byli Lunarianami). Ile ze swych cech zawdzięczał genom, a ile Ognistej Kuli, ideałom, obrzędowi, Bractwu, tradycjom starym jak sam Dom Guthriego?

MATKA KSIEŻYCA

Latem maleńka flotylla Rydberga stała zacumowana w porcie: kecz, dziesięcioosobowy hydrołot, gumowa szalupa do przepraw przez zatokę, z boku zimowy jacht mieszkalny. Z tyłu biegł pas startowy i znajdował się hangar, w którym zmieściłyby się trzy wolanty. Trawnik i klomby kwiatowe prowadziły do domu. Był zbudowany z kamienia i nakryty dachówką, ale rozmiarami nie dominował nad posiadłością: na tyłach poziom gruntu wznosił się i zaczynał się stary, jodłowy las, zaś ku zachodowi rozlewał się ocean, pokrywający jedną piątą planety. Tego dnia wiał silny wiatr z północy. Czubki drzew chwiały się i szumiały, ciemne fale wlewały się na ląd, jastrząb szybował nad wysoką dziś linią horyzontu. Chmury płynęły postrzępione, rozświetlane blaskiem słońca; gdy je zakrywały, przybierały szarą barwę, a ich cienie cięły powietrze niczym sierpy. W oddali morze przypominało płynną stal, jednak gdy kotłowało się i tworzyło fale, zaczynało bieleć i zielenieć. Wzburzone wody zatoki raz roziskrzały się w słońcu, raz ciemniały, łodzie kołysały się, skrzypiały kotwiczne liny. W ziemi ciągle jeszcze drzemało ciepło, lecz w powietrzu czuć było chłód, zapowiedź nadciągającej jesieni.

Wolant zgrabnie wylądował. Przypatrywali się temu Lars i Ulla Rydbergowie. Ubrani byli niemal jednakowo, w tuniki i spodnie, na które narzucili peleryny. Na wietrze powiewały kosmyki włosów: jego siwiejące blond, jej złote jak pszenica. Drzwi pojazdu otworzyły się. Wyłonił się z nich robot. Był to niewielki model wieloczynnościowy: cylinder z wieżyczką sterowniczą poruszał się na czterech nogach; dwie ręce kończyły się dłońmi, dwie inne wypustkami do różnych celów. Soczewki wieżyczki lśniły na wysokości około stu trzydziestu centymetrów nad ziemią. Z reguły sieć neuronowa wewnątrz komputera była przystosowana do niezbyt wymagających czynności fizycznych. Tego osobnika zmodyfikowano, by pomieścić

w nim zasejwowaną osobowość.

Głos, który wydobył się ze środka, należał do Ansona Guthriego– *Hola!* Miło was znowu widzieć!

– Witaj... – Ulla zawahała się na moment – – *jefe*. – Jeszcze nie bez trudu przychodziło jej używanie tego zwrotu grzecznościowego. W Ognistej Kuli była zaledwie od siedmiu lat, głównie ze względu na małżeństwo, w Ameryce Północnej mieszkała trzy lata; angielski, którego nauczyła się w Europie, pozbawiony był hiszpańskiego nalotu; jej spotkania z Guthriem były rzadkie i krótkie. – Czujemy się zaszczyceni. – Próbowwała zdobyć się na grzeczność. Była masywnie zbudowaną, rubaszną, ładną kobietą, nie nadawała się na pochlebcę.

– *Gracias*. – Guthrie chyba rozglądał się wokół siebie. – A gdzie dzieciaki? Spodziewałem się, że przybiegną w te pędy, a najmniejsze podkręci wózek na pełne obroty.

– Wysłaliśmy je na wycieczkę z *señorą* Turner – tłumaczył Rydberg. Miał na myśli jedyne go pomocnika, jaki był im potrzebny, prócz robotów, do wygodnego prowadzenia domu. – Przez telefon dałeś mi do zrozumienia, że będzie to poufne spotkanie.

– No, nie aż takie – odparł Guthrie, ściskając im dłonie. – Mogliśmy wybrać się na przejażdżkę łodzią albo na spacer po lesie... z wielką przyjemnością, albo po prostu zamknąć się na kilka godzin w jakimś pokoju. Przyleciałem osobiście, zamiast mlec swój obraz przez umówiony szyfr, bo chciałem z wami trochę побыć.

Mówił rzeczowo. Symulacja Guthriego, którą Ulla widywała na ekranie telefonu, wypowiadała się takim samym tonem. Czasami jednak obraz łagodniał, a na wygenerowanej twarzy *jefe* gościł szeroki uśmiech, na przykład wtedy, gdy pokazywała mu dzieci.

– Możesz u nas mieszkać, ile ci się tylko podoba – oświadczyła. – Proszę!

– Obawiam się, że mogę co najwyżej przenocować, *querida*. Za dużo spraw na głowie.

Zresztą gdybym zniknął na dłuższy czas bez uprzedzenia, dziennikarskie pasożyty wyssałyby

z takiej sensacji wszystkie soki. Wpakowałem się w to brzęczące pudło tylko po to, żeby mnie nie wypatrzyli. Dajcie mi zaproszenie *in blanco* na jakąś porządną wizytę. – Lars uśmiechnął się trochę sztywno.

– Do własnego domu? Jak chcesz, to możemy iść na ten spacer już teraz.

– Może najpierw zajrzemy do środka. Stęskniłem się za tą starą rudera.

Domem, w którym śmiertelny Guthrie spędził schyłek życia i w którym umarł.

Kontakty z prawnikiem utrzymywał zwłaszcza od chwili, gdy Lars dowiedział się o pokrewieństwie. Nie ujawniano publicznie tego faktu, a Guthrie nie okazywał Rydbergowi żadnych szczególnych względów. Rozmawiał z nim mniej niż na przykład z Dagny Beynac. Ale łączyła ich autentyczna więź.

Zasejwowany Guthrie dbał o nią; jeszcze bardziej wzmocniła się po tym, gdy Lars musiał z konieczności zakończyć karierę pilota. Na Ziemi odkrył w sobie talenty administratora i zajmował stanowiska znacznie ważniejsze – zwłaszcza w przedsiębiorstwach badawczych Ognistej Kuli – niż podczas lotów w Układzie Słonecznym.

Ich obrazy, prawdziwy Larsa i syntetyczny Guthriego, rozmawiały pewnego wieczoru w Sztokholmie. W Quitobyło popołudnie:

– Słyszałem, że chcecie się z żoną przeprowadzić – mówił Guthrie. – Mogę wiedzieć, czemu?

– Nie możemy znaleźć sobie miejsca – odparł Lars. – Europa jest taka, jaką ją zapamiętałem.

Wszystko jest zbyt... oswojone, za dużo tu kontroli. A skoro podróże kosmiczne będą się teraz ograniczać co najwyżej do Luni albo L-5, to wolę zostać na prawdziwej Ziemi, starej Ziemi, o ile to w ogóle możliwe. Ulla zgadza się ze mną. Wychowała się w Laplandii, w krainie lasów... – urwał. – Chcemy też mieć dużą rodzinę. Tutaj nie patrzą na to zbyt przychylnym okiem, płaci się wysokie podatki. Zaczynają nam to już dawać do zrozumienia. Zastanawiamy się nad Ameryką

Północną.

– Hm, tak, to teraz w miarę wolny kraj, tak. Chociaż nie wiadomo, czy sytuacja się nie zmieni.

– Jak to?

– Odnowa praktycznie zniszczyła klasę średnią. Druga Republika za bardzo miesza się ludziom do życia, za bardzo stara się o odtworzenie płodnego społeczeństwa, chce w ten proces włączyć klasy niższe, działając odgórnie, zamiast pozwolić ludziom, by zadbali o swoje interesy i sami zaprowadzili porządek. – Obraz Guthrie go wzruszył ramionami. – Ale swobody jeszcze na trochę wystarczy. Zresztą niezależnie od tego społeczności naszej firmy zachowają chyba autonomię, przynajmniej faktyczną.

– *Jefe*, chcielibyśmy żyć w otoczeniu natury, natury Północy, i to w całej jej obfitości, a nie w jakiejś enklawie.

– Hmm... Słuchaj, mam pomysł! Kiedyś kupiłem niewielki rezerwat na wyspie Vancouver, na północno-zachodnim Pacyfiku, zbudowałem duży dom, wymykałem się tam, gdy tylko czas pozwalał. Już od dawna dom stoi pusty, jest tam tylko stróż. Na pewno przyda się w tych murach trochę wrzawy i chaosu.

– Że co? Ale to... to... – Lars wytrzeszczył oczy.

– Jeżeli ci się spodoba, przepiszę go na Ognistą Kulę, a ciebie mianuję zarządcą powierniczym z prawem dziedziczenia stanowiska. Leży na uboczu, ale do Wiktorii lub Vancouveru jest tylko kawałek drogi powietrzem lub wodą, jeśli ma się szybką łódź. Dzieci będą mogły chodzić do szkoły, do kolegów, mogą ich zapraszać tak często, jak tylko to znieście. Zimy nie są tam surowsze niż w Szwecji; możecie je też spędzać w jakimś łagodniejszym klimacie na południu. Zastanów się, pogadaj z żoną, przeprowadź wizję lokalną i dajcie mi znać, gdy tylko podejmiecie decyzję. Chyba warto spróbować.

– To bardzo... niespodziewane.

– Kiedy wszystko układa mi się w wyraźną całość, nie lubię tracić czasu. – Sztuczny uśmiech Guthrie'go złagodniał. – Trzeba zachować, ile się da, w rodzinie, czyż nie?

Idąc ścieżką w kierunku werandy, zauważył:

– Widzę, że dbacie o wszystko. Podoba wam się tu jeszcze?

– I to jak! – zawołała z pasją Ulla.

– To samo słyszałem od paru naszych wspólnych znajomych. A nie męczy was ten ciągły strumień gości?

– Nie, skąd, to nasi przyjaciele. Poza tym dzieci mogą zetknąć się z tak różnymi ludźmi, i to nie na ekranie, ale w rzeczywistości.

– Poza tym ludzie ci przypominają nam o kosmosie tak, jak nie zdoła tego zrobić żadna książka ani film. – W głosie Larsa zabrzmiała nostalgia.

– Rozumiem – odparł cicho Guthrie.

– Przyjemne z pożytecznym – podsumowała Ulla. – Trzeba się we wszystkim orientować, zwłaszcza gdy tyle jeszcze nie wiemy. Ten dom zmienia się w centrum swobodnych, nieoficjalnych konferencji... ale po co ja ci o tym wszystkim mówię?

– Bo co nieco drżą ci nerwy, moja droga pani. Niepotrzebnie. Nie jestem szefem, który przychodzi do was na kolację. – Guthrie roześmiał się. – Nic podobnego. – Iz powagą dodał: – Lars i ja jesteśmy sobie bliżsi, niż ci się zdaje. Sądzę, że przyszła już pora, bo chyba okazałaś się osobą godną zaufania, żeby powiedzieć ci, co nas łączy. Ale przede wszystkim zjawiłem się tutaj, by prosić was o pomoc.

– Co tylko zechcesz!

Weszli po schodach, otworzyli drzwi i znaleźli się w przedsionku. Chmura odsłoniła słońce, którego promienie rozpały barwne witraże w oknie: Dedala i Ikara w locie.

Po zdjęciu peleryn wszyscy udali się do pomieszczenia bez sufitu, gdzie belki znajdowały się dwie kondygnacje nad parkietem, boazeria była dębowa, a w kamiennym kominku paliły się szczapy. Łagodny blask padał na masywne, starożytne meble, aby dywan i kotary, malowidła liczące wiele stuleci, kuty mosiądz i srebro. Z głośników płynęła *Weltawa* Bedricha Smetany. Robot wyglądał tu jak pajak w świątyni.

– Porozmawiamy tutaj? – zaproponował Lars.

– Może być. Widzę, że nie wprowadzaliście żadnych istotnych zmian. Nie krępujcie się. Czy wystrój nie wydaje wam się nieco przyciężki?

– Nie, nie – odparł Lars. – Zmienialiśmy dużo rzeczy w pozostałych częściach domu, ale tutaj... jest tak, jak być powinno.

– Nie traktujemy go jak sanktuarium – dodała Ulla. – Używamy tego pokoju, to centrum naszego domu. A zarazem serce albo korzenie nie tylko nasze, lecz i całej Ognistej Kuli.

Nie wspomnieli o drugim pomieszczeniu, które pozostawili bez zmian, izbie, w której zmarł Guthrie.

– Napijesz się... czegoś? – zapytała, czując się nagle niezręcznie.

– Wystarczy mi wasze towarzystwo. Dowcip, mądrość i co tam jeszcze macie w pogotowiu.

Czujcie się jak u siebie w domu, *por favor*, nalejcie sobie szkockiej albo kawy, rozgoście się.

Przez jakiś czas kierował rozmowę na plotki i mało ważne sprawy: ostatnie zdarzenia

w hawajskiej kamienicy, w której Rydbergowie spędzali czasem zimę; niedawne wakacje na L-5,

rozkwit sztuki i rozrywki opartej na zmiennym przyciąganiu; starannie zatuszowany, komiczny

incydent na Stacji Weinbauma na Marsie; kopalnie odkrywkowe na Elarze, XI księżycu Jowisza;

nowy park nad Jeziorem Aldrina na Lunie...

– To ma związek z Luną, prawda? – zapytał Lars. – Cel twojej wizyty?

Siedział przy Ulli, w ręce trzymał kieliszek, ona piła kawę. Guthrie stał przy kominku

zwrócony twarzą do nich. Odblask ognia pełgał na metalicznej powłoce. Z ust Guthrieego płynęła wartka struga słów.

– Jasne – odparł. – Na pewno domyśliłeś się zaraz, gdy zadzwoniłem z propozycją spotkania.

– Lars przytaknął. – Koniec końców twoją matką jest Dagny Beynac.

– Odgrywająca rolę równą gubernatorowi generalnemu – stwierdziła Ulla.

– Nieoficjalnie – przypomniał Rydberg. – Oficjalnie nie zajmuje żadnego stanowiska, jeśli nie liczyć posady w Ognistej **Kuli**.

– Tym większe ma wpływy.

– Mądra z ciebie kobieta – stwierdził Guthrie. – Fakt, ostatnio zajmuje się sprawami Ognistej Kuli zaledwie na pół gwizdka.

– Nigdy nie złamałaby przysięgi! – wykrzyknął Lars, zaszokowany taką otwartością.

– Tego nie powiedziałem. Masz naturalnie rację. Wręcz przeciwnie: od czasu odejścia na emeryturę jest naszym konsultantem, ale nie wiesz pewnie, jak bardzo brakowałoby nam jej rad.

– Po chwili ciszy Guthrie podjął: – Jednak, tak jak wszystkie ludzkie pojęcia, „przysięga” może być traktowana na wiele różnych sposobów.

– To znaczy? – Lars zajął pozycję obronną.

– Nic wielkiego. Nie przyszło jej do głowy, że Ognista Kula może odcierpieć to, iż jej Lunarianie zdobędą wszystko, czego chcą, czyli autonomię i swobodę manewru. Twierdzi, że na tym skorzystamy. Ale coraz mocniej angażuje się w ich interesy. – Guthrie westchnął. –

W efekcie trochę się od siebie oddaliliśmy.

– Od czasu, gdy... – Ulla nie dokończyła.

– Gdy mój oryginał zwinął manatki i ja zacząłem szefować? – odpalił Guthrie. – Mów śmiało. Zmiana w naszych stosunkach była rzecz jasna nieunikniona, ale nie zmieniło się aż tyle, ile być może sobie wyobrazasz. Jednak w ciągu kilku ostatnich lat... cóż, bardzo usilnie dzieli się

ze mną swoimi troskami i zamiarami.

– Starzeje się – zauważyła cicho Ulla. – Z wiekiem ludzie się zmieniają.

– Ciężko mi jest wyobrazić ją sobie jako staruszkę. Pamiętam, jakby to było wczoraj, gdy była dzieckiem z takimi barankami na głowie... – Guthrie urwał. To wczoraj nie do końca należało do niego. – Nie, czas tylko oszlifował Dagny Beynac.

– To co cię dręczy? – spytał Lars.

– To wymaga zarysowania kontekstu. Bo pewnie wiecie, że Lunarianie, odkąd dano im wolną rękę, usiłują wyprawić się w odległe rejony kosmosu. Prowodyrami są tu jej synowie. Zakupy, produkcja, szkolenia... jak dotąd wszystko na małą skalę, ale są energiczni i ambitni.

– Tak – rozmyślał na głos Lars. – Ambitni. I właśnie tej ich ambicji nie rozumiem. Nie chodzi o motywy ekonomiczne. Nigdy... Ognista Kula nie chce oczywiście hamować ich zapędów. Lecz gdy próbuję ich przekonać, że na tym etapie lepiej wyszliby na wynajmowaniu statków i załóg... są grzeczni, ja zaś czuję się tak, jakbym gadał do obrazu.

– Nie jesteś odosobniony w tych odczuciach – stwierdził sucho Guthrie.

– Przecież ci tłumaczyłam, kochanie – odezwała się Ulla. – Chodzi o samostanowienie, o dumę. Kiedy nauczysz się, że nie wszyscy kierują się rozumem, tak jak ty?

Guthrie znów się roześmiał.

– Ten niezłomny irracjonalizm racjonalistów. Masz rację, moja droga pani. Nie mam pewności, co Lunarianie, ten ród obłąkanych, uważają za racjonalne, ale zasadniczo się z tobą zgadzam. Zresztą, niech robią, co chcą. W kosmosie na pewno nie brakuje spraw do załatwienia, nawet jeśli musi się to odbywać dzięki dotacjom bogatych Lunarian. Ale... na pewno nie wiecie, bo to wyszło w moich kontaktach z Dagny Beynac... nawet wam się nie śni, jak ona na mnie napiera w imieniu tych ludzi.

Lars potarł brodę i pociągnął łyk whisky.

– Hmm, zastanawiałem się nad pomocą, jakiej udzielała im Ognista Kula, nad pożyczaniem pieniędzy, urządzeń i tak dalej. Jakim cudem mogło się to opłacać? Ale w sumie nie jestem ekonomistą.

– I znowu nie jesteś tu odosobniony. Innym też przyszło to do głowy, i wyrażali swoje wątpliwości, czasem bardzo natrętnie. Nie będąc w firmie dyktatorem, za jakiego uchodzę w mediach, odbyłem za kulisami kilka zażartych batalii, uzyskując pozwolenie na tę czy ową operację, dzięki czemu można je było kontynuować.

– Dlaczego? – zainteresowała się Ulla.

– Kto jak kto, ale kobieta na pewno zada człowiekowi kłopotliwe, bezpośrednie pytanie.

Czemu przystałem na prośby Dagny? Jak łatwo się domyślić, nie interesowała mnie tylko strona finansowa. Ktoś dostatecznie wysoki rangą powinien od czasu do czasu utrzyć nosa narodom Ziemi i całej tej ich tłustej Federacji Światowej. Nam samym też wyjdzie to na dobre, bo rząd nie zarośnie nas znowu jak jakiś zaraźliwy brud. – Słuchacze nie do końca pojęli sens takiego sformułowania. – No... poza tym... prośba wyszła od Dagny.

– A teraz posunęła się za daleko? – Trzaskanie ognia przytłumiło ciche słowa Larsa.

– N-nie. Ale pomysł jest na tyle rewolucyjny, że naprawdę daje mi do myślenia. Dlatego przyszło mi do głowy, żeby porozumieć się z wami.

– Nie... nie jestem z nią blisko. Czy w ogóle utrzymuje z kimś zażyłe stosunki... od śmierci Edmonda?

– Znasz ją dość dobrze. A ty, Ulla, potrafisz doskonale wyczuć ludzkie motywy i emocje. Spróbujmy.

– Czego chce? – Lars pochylił się do przodu.

– Statku palnikowego przystosowanego do przewozu załogi lunariańskiej. Sami rozumiecie, że tego nie da się zrobić ot tak. Finansowanie takiego przedsięwzięcia byłoby dla nas nielichym

ciężarem, a należności zwracałoby powoli albo wcale.

– Nie mogą doczekać do chwili, kiedy będą w stanie sami coś takiego wybudować?

– Najwyraźniej nie. To mogłoby potrwać nawet kilkanaście lat. A ich świerzbą ręce. Tak przynajmniej utrzymuje Dagny. Chcą zacząć własne badania. Prawdziwe badania.

– To nie jest... pozbawione racji – stwierdził Rydberg. Ulla wyczuła w jego głosie tęsknotę.

– Chyba nie. Ale mieć takie ambicje w tak wczesnej fazie... jak gdyby stawiali wszystko na jedną kartę, nie sądzicie?

– Nie zdradziła ci ich intencji?

– Nie. Tyle tylko, że chce tego, bo takie są pragnienia jej dzieci. Ależ tak, mówiła coś o tym, że to uspokoiłoby buntownicze nastroje młodszych pokoleń na Księżycu. Moim zdaniem to taka zasłona dymna. Napomknęła też o inwestycjach, o zdobywaniu umiejętności, doświadczenia, itd. itp. Ale przyznała, że powoduje nimi niecierpliwość.

– Nie stają się coraz młodszy – burknął Lars. Ulla mocniej ścisnęła go za rękę.

– Pomyślałem sobie, że macie informacje albo pomysły, które pomogą mi w podjęciu decyzji.

– Niestety nie. To lunariańskie pokolenie jest mi tak samo obce jak tobie.

– A ja podejrzewam, że nie działają po prostu i bez planu. – Ulla podniosła głowę. – Chodzi im o coś konkretnego.

– Mnie też coś tak mówi – zgodził się Guthrie.

– Nie uwierzę, żeby matka poparła to całym sercem, gdyby przedsięwzięcie nam zagrażało – powtórzył Lars.

– O tym nie ma mowy – przytaknął Guthrie. – Lecz oznacza to ogromny wydatek, być może nie do odzyskania, a dla mnie walną bitwę z dyrektorami.

– Jakiś skarb? Niewykluczone, że odkryli niezwykle bogatą żyłę na jakimś odległym

obiekcje.

– Ta myśl narzuca się sama. Od razu spytałem o to Dagny. Zaprzeczyła i zapytała z kolei, jakim cudem mogliby coś takiego odkryć, jeżeli nie mają sond kosmicznych i odpowiednio wyposażonych robotów.

– Statek na orbicie może okazać się potworną bronią. Jednostka tego rodzaju...

– Nie! – krzyknęła Ulla.

– Racja – powiedział Guthrie. – Lunarianie to pod wieloma względami pomyłenci, ale nie są obłąkani. Ani głupi.

– To nie było serio – wyjaśniał Lars, kiwając głową. – Chciałem po prostu wykluczyć tę możliwość. Również ze względu na naturę matki. Nigdy w życiu nie udałoby im się jej nabrać, a nie dopuściłaby... – Wciągnął powietrze. – Oprócz spraw ekonomicznych, co nam to szkodzi, *jefel* Wiedza, bogactwa, wszystko, czegokolwiek chcą, prędzej czy później stanie się udziałem całej ludzkości, nieprawdaż?

– Gadasz jak urodzony kosmonauta, a przy okazji, niestety, idealista. Nie jestem aż taki naiwny. A Ognista Kula nie jest organizacją dobroczynną.

– Ale przysparza dobra – zaproponowała Ulla.

– W pewnym sensie, przy okazji przysparzania sobie dóbr. Chociaż Bóg jeden wie, że i u nas nie brakuje krótkowzrocznych żądz, skończonych kretynów i innych ludzkich przypadłości.

Zresztą ich eliminacja nie była moim zamiarem... Ale odbiegamy od tematu. Czy mamy finansować tę wyprawę?

– Jestem skłonny powiedzieć, że tak... – zaczął Lars.

– Żeby zaspokoić ciekawość na jej temat, co? – I Guthrie znowu się roześmiał.

– To może się nie udać. Chodzi mi raczej o odkrycia, różnorodność... ale musimy jeszcze pogadać. Czy naprawdę możesz zostać tylko do jutra?

– Niestety. Ale to nic, będziemy próbowali rozprawić się z tą zagadką w czasie, którym dysponujemy. Jestem skłonny powiedzieć, że skończy się na stwierdzeniu: „Do diabła z torpedami! Cała naprzód!”

Ulla przyjrzała się robotowi i rzekła do ukrytego w nim umysłu:

– Również ze względu na twoją naturę.

Po rozmowie z Matthiasem Venator wrócił do Centrali niezbyt zadowolony. Nie było w sumie takiej potrzeby. Mógł trzymać rękę na pulsie i słyszeć myśli cyberkosmosu z każdego miejsca na Ziemi, gdzie znajdowało się międzyłącze. Ale czuł, że tu znajdzie spokój i pewność, dzięki którym umysł stanie się zupełnie jasny.

Doskonale znał powody takiego nastroju. Oto był na świętej ziemi.

Znajdował się wśród nielicznych ludzi, którzy wiedzieli o tym bez żadnych wątpliwości.

Wśród nielicznych, których stopy kiedykolwiek dotknęły tej ziemi.

Rankiem po przybyciu wybrał się na wielogodzinną wędrówkę. Mimo dobrej kondycji nie zaaklimatyzował się jeszcze na takich wysokościach. Za to wczoraj wieczorem otrzymał surogat hemoglobiny i dziś oddychał bez trudu. Czuł w organizmie zimne, spokojne, zupełnie czyste powietrze.

Wkrótce stracił z oczu leżące za nim kopuły, maszty i paraboliczne anteny. Zmalały do wymiarów stacji meteorologicznej. Nie było widać ani śladu podziemnej pracy maszyn.

Instrumenty na pokładzie satelity kontrolnego mogłyby wyłapać promieniowanie spod powierzchni, subtelne, elektromagnetyczne, złożone z neutrin; natomiast cyberkosmos usuwał wszelkie tego typu dane przed zapisaniem ich w publicznie dostępnych bazach.

Venator bywał tu rzadko, dlatego niezbyt dobrze znał te tereny. Od czasu do czasu wyjmował podręczny czytnik i skanował mapę oraz tekst ze spisem co ciekawszych miejsc; informant pomagał w ustaleniu dokładnego położenia i kierunku ruchu. Do tego sprowadzały się kontakty ze światem zewnętrznym. Chodził samotny, czerpiąc pogodę ducha z majestatu przyrody.

Przemieszczał się na północ. Tu i ówdzie rosły kępy karłowatych jałowców; brzozy i rododendrony ustąpiły miejsca srebrzystym krzewom, między którymi kwitły kwiaty i lśniły

niewielkie strumyki. Z nieograniczonego błękitu lał się słoneczny blask; okryte porostami głązy rzucały zdecydowane cienie. Czasami dostrzegał na wysokości sępiego orła, kiedy indziej zagwizdał świstak, raz z ziemi, niczym eksplodujący klejnot, zerwał się bazant. Przed nim piętrzyły się Wielkie Himalaje ciągnące się od horyzontu do horyzontu, lodowce błyszcząły na tle ciemnych skał, szczyty jarzyły się bielą. Powiew wiatru zdmuchiwał z jednego z tych potężnych wierzchołków śnieg, jak gdyby ostrzył górę.

Mięśnie Venatora napinały się, rozkoszując się wysiłkiem. Oddech był głęboki, wzrok wędrował daleko. Czerpał siłę z potęgi gór; troski wypaliły się; był sam na sam z nieskończonością i wiecznością.

Ale wszystko to rozgrywało się w jego wnętrzu. Wyżyna tylko wzmogła poczucie siły. Na tle gwiazd był to zaledwie dreszcz przebiegający po skórze niewielkiej planety, zagubionej w przestworze jednej galaktyki. Życie liczyło już sobie na Ziemi wiele lat, gdy Indie werżnęły się w Azję, wypychając skorupę ziemską ku niebu. Życie będzie trwać jeszcze wtedy, gdy wiatry i deszcze spowodują obniżenie ostatniego górskiego pasma – zanurzy się w kosmosie i będzie trwać do zgaśnięcia ostatniej z gwiazd – aż wreszcie stanie się wszechświatem, rzeczywistością. Bo inteligencja była ukoronowaniem ewolucji.

Wiedział o tym jeszcze przed przybyciem do Ogrodu Mózgu, znał tę prawdę nie tylko w formie słów, lecz odczuwał ją sercem i każdym nerwem ciała; była dlań sensem istnienia. Jednak często godziny służby, kłopoty, niezliczone drobne uciążliwości związane z byciem człowiekiem zacierały w nim to przekonanie i wykonywał zadania dla samych zadań, poruszając się po zawężonym kosmosie. Wtedy musiał poszukiwać możliwości odnowy. Tak samo – myślał z odrobiną drwiny – człowiek wierzący w Boga zamyka się w samotności, by modlić się i medytować.

Odzyskał zdolność całościowego i obiektywnego rozumowania. Gdy zatrzymał się, by zjeść

więcej niż skromny obiad na krawędzi jaru, na którego dnie płynęła ostra jak nóż, lodowcowa rzeka, przypomniał sobie swoją niedawną wizytę na wyspie Vancouver po drugiej stronie globu.

Wiatr przywiewał od morza deszcz, objający się o dom i zalewający starożytne szyby.

W kominku trzaskały płonące drwa. Ogień stanowił jedyny jasny punkt w wysokim, mrocznym pomieszczeniu. Jego odbłask pełgał po człowieku siedzącym na rzeźbionym krześle.

– Tak – zagrzmał Matthias. – Ian Kenmuir był tu w ubiegłym tygodniu. Nocował. Po co pan pyta, skoro i tak zna pan odpowiedź?

– Pytanie retoryczne – przyznał Venator, wzruszając ramionami i uśmiechając się. – Może pan to nazwać uprzejmością.

– Co pana interesuje w tej sprawie, pragmatyku? – Vena – tora przewiercało spojrzenie rzucane spod krzaczastych brwi.

Również z góry wiadomo było, że dużo. Venator przybył tu osobiście i zdradził swoją rangę, chcąc tym sposobem zaimponować Rydbergowi. Mimo to mówił łagodnym tonem.

– Ceł jego wizyty.

– Nic nielegalnego.

– To pan to powiedział.

– Niech pan jego zapyta.

– Bardzo bym chciał. Zniknął.

– Podejrzewacie jakieś przestępstwo? – Krzaczaste brwi uniosły się. Poruszyło się olbrzymie ciało.

Oto szansa na wykorzystanie jednej z więzi łączących Bractwo Ognistej Kuli.

– Być może – stwierdził Venator. – Wszelkie wskazówki z pana strony byłyby mile widziane.

Matthias chwilę rozmyślał, słyhać było szmer deszczu, wreszcie burknął:

– Człowiek może przepaść z wielu różnych powodów. Prawo nie zobowiązuje nas do codziennego podawania swojego położenia. Na razie.

Czyżby obawiał się zniewolenia w przyszłości?

– Do tego nigdy nie dojdzie – zapewnił go Venator. Mówił szczerze. Po co cyberkosmosowi tyle zachodu? – Ochrona policyjna to usługa, a nie obowiązek. Do jej funkcjonowania konieczna jest jednak współpraca obywateli.

– Policja. Hm. – Matthias pocierał brodę. Venator widział, że tamten gardził technokosmetyką; spod brązowych plam na rękach wystawały żyły. – Gdyby coś przydarzyło się danej jednostce, byłaby to sprawa policji cywilnej, a nie Władz Pokojowych. – Gdyby posiadał wyczerpujące informacje, być może dodałby: „a już szczególnie nie należy to do synojonta na ich usługach”. – Nie mówi pan całej prawdy, *sehor*.

Wstępnie zebrane dane przygotowały Venatora na taki upór.

– Więc postaram się wszystko wyjaśnić. Zacznijmy od okrężnej drogi: czy popiera pan plany Biotopu?

– To znaczy umieszczenia L-5 na orbicie księżycowej? – Głos ożywił się. – Oczywiście!

– Właśnie zdawało mi się, że takiego zdania powinni być wszyscy członkowie Bractwa – ciągnął Venator.

– Niektórzy spośród nas sympatyzują z Lunarianami. – Matthias skrzywił się. – Mają do tego pełne prawo.

– Czy należy do nich Kenmuir? – Venator napierał coraz mocniej. – Czy on nie dba o Ziemiaków, którzy chcieliby polecieć tam, gdzie on, przeżyć to, co on?

– Dajmy spokój retoryce, *porfcwor* – zastopował go Matthias.

– Nie jest tajemnicą wrogość większości Lunarian wobec planów Biotopu – Venator starannie dobierał słowa. – Wiadomo również, że Kenmuir nie tylko jest pilotem w ramach

Przedsiębiorstwa, ale... cieszy się względami swojej pracodawczyni. Mamy powody sądzić, że przyleciał na Ziemię właśnie dla niej.

– Żeby sabotować projekt? – zakpił Matthias*. – Pragma – tyku, jestem starym człowiekiem.

Nie mam czasu na głupie zabawy.

– Proszę wybaczyć. – Venator powstrzymał rozdrażnienie. – Nie miałem takich zamiarów.

Nie oskarżam również Kenmui – ra o łamanie prawa. Chodzi o... możliwości... dobrego lub złego... – Nie dokończył zdania, jak gdyby nie chciało mu się już wspominać o raketach i meteorytach, które mogłyby runąć na Ziemię z mocą bomby atomowej, złośliwej biotechnice i nanotech – nice, wszystkich tych koszmarach, które drzemały w głębi duszy wielu ludzi.

– Jakiego złego? – parsknął Rydberg. – W najgorszym wypadku chodzi o rezygnację z Biotopu. Zgoda, dla nieznacznej mniejszości byłaby to katastrofa, a przynajmniej powód do zmartwienia. Ale proszę tu bez apokaliptycznych wizji. Przejdźmy do konkretów.

Nie było to zbyt łatwe, zwłaszcza że nie wolno było zasugerować prawdy.

– Próbujemy zrozumieć sytuację – zaczął ostrożnie. – Wszystko wskazuje na to, iż stronnictwo lunariańskie ma coś w zanadru. Ale co? Czemu nie przeprowadzi swych zamiarów otwarcie, za pośrednictwem działań politycznych lub argumentacji? Może pan to nazwać sianiem paniki, ale Władze Pokojowe nie mogą stać z założonymi rękami. Wydarzenia mogą wymknąć się spod kontroli, a to miałyby katastrofalne konsekwencje. – Tak też było od początku dziejów, od zawsze: bo sprawy ludzkie pełne są chaosu. Od czasu, gdy inteligencja sofotektyczna przewyższyła ludzką, pokój mógł być co najwyżej stagnacją, a postęp nie równać się zniszczeniu; na dodatek jakie niepewne były dłonie sterników! Podniosło go na duchu, że siwa głowa przytaknęła. – Z drugiej strony nie mamy żadnych prawnych podstaw do bezpośredniej interwencji. Nie jesteśmy w stanie dowieść ani nie twierdzimy wprost, iż kapitan Kenmuir czy jakakolwiek inna osoba ma złe zamiary. Niewykluczone natomiast, że znajdują się one... pod

niewłaściwym wpływem. Są niedostatecznie poinformowane. Tak jak my w tej chwili.

– Całkiem możliwe, że jesteście na fałszywym tropie.

– Być może. Ale bez dodatkowych informacji nie możemy poczynić takiego założenia. Wie pan, na czym polega powinność.

– Czego ode mnie chcecie?

– Proszę mi powiedzieć, czego chciał od pana Kenmuir. – Rysy twarzy Rydberga stężały.

– Nie ma nic dziwnego w tym, że bracia, gdy tylko nadarzy się okazja, odwiedzają Dom Guthriego.

– Wątpię, żeby Kenmuir odbywał pielgrzymkę lub prosił o rady w sprawach prywatnych. Bo czemu miałby zniknąć?

– Bractwo szanuje zwierzenia swych członków. – Matthias nie ustępował.

– Mogę zgadywać? – Venator nieco pofolgował. – Bractwo jest pewnie strażnikiem jakiegoś sekretu, już od stuleci. Tak samo, jak dba o tę starą rakietę.

– Nie jesteśmy jedynym stowarzyszeniem, które ma swoje tajemnice, sanktuaria i relikty – stwierdził cicho Matthias.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale czy Kenmuir pytał pana, jaka to tajemnica?

Odpowiedzią było milczenie.

– Wnioskuje więc, że mnie również nie wolno zadawać takiego pytania? – westchnął Venator.

– Ależ proszę bardzo. – Matthias wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Tylko niech pan nie liczy na odpowiedź.

– A gdybym wrócił z urzędowym nakazem? – zaryzykował Venator.

– Tym bardziej nie doczekałby się pan odpowiedzi. – Nieustępliwy. – W razie potrzeby palnąłbym sobie w łeb.

Venator gwizdnął bezgłośnie. Ogień wypluł kilka iskiei.

– Czy to aż taka doniosła sprawa?

– Dla nas tak. – Matthias urwał. – Ale nie dla pana. To nic istotnego. Więcej nie powiem ani słowa.

– Gdyby mi pan powiedział i gdyby miał pan rację, a tak zapewne jest, zabrałbym tajemnicę ze sobą do pieca kremacyjnego – przyrzekł Venator.

– Czyżby? Czy to możliwe?

Venator oczyma wyobraźni zobaczył ekranowane pokoje i zastrzeżone, zaszyfrowane linie łącznościowe.

– Czemu pan aż tak bardzo nam nie ufa? – spytał cicho.

– Ze względu na waszą naturę. Nie pana jako jednostki czy funkcjonariusza. Ze względu na całość sytuacji w Układzie Słonecznym. Mnie obchodzi to niewiele. Jestem stary. Ale dla dobra wnuków i ich dzieci wolałbym się stąd wynieść.

– Jakim sposobem rząd Federacji może was uciskać? Chce wam dać Biotop.

– Celem rządu jest rządzenie – stwierdził Matthias. Vena – tor poznał cytaty z Ansona Guthriego. – *Muy bien*, obecny mało wtrąca się do naszego życia i zabiera nam mniej niż wszyscy jego poprzednicy. Ale wynika to z faktu, że nie ma autentycznej władzy, podobnie jak podległe mu rządy regionalne i lokalne, władzę ma cyberkosmos.

– Prawdą jest, że polegamy na cyberkosmosie...

– Dokładnie.

– Ale żeby planował zrobić z nas niewolników... oto pańska apokaliptyczna wizja! – zawołał

Venator – Jakim cudem? I po co?

– To pan tak powiedział. Sprawa nie jest prosta. – Ciężki głos umilkł. Na zewnątrz wiał porywisty wiatr i syczał odbijający się od ścian deszcz. – Nie będę udawał, że rozumiem, co się

święci. Obawiam się, że przekracza to ludzkie możliwości pojmowania, choć na razie mało zwracam na to uwagę. Ja dla dobra własnej rasy chcę się stąd wynieść, zanim będzie za późno.

Biotop może będzie nawet pierwszym krokiem, ale droga do gwiazd jest bardzo daleka.

Alfa Centauri, przemknęło Venatorowi przez myśl, znak na niebie. Bez Guthriego i jego kolonistów to marzenie – chimera – już dawno zmarłoby śmiercią naturalną.

– Tymczasem – dokończył Matthias – będę strzegł tego, co zwyczajnie po ludzku należy do nas. Dotyczy to również Słowa Założyciela. Zrozumiano? – Dźwignął się z krzesła. – Dosyć tego. *Adios*, pragmatyku.

Istniała szansa, że wszystko to nie miało znaczenia, że mistrz łoży mówił prawdę, a jego opór był tylko symbolicznym gestem. Bo jakie w sumie zagrożenie stanowili Kenmuir i jego domniemana towarzyszka? Venator zakładał, że kobieta posiada specjalne zdolności, do których Kenmuir doda swoją wiedzę; mogli wymyślić strategię odnalezienia pliku Prozerpiny i włamania się do niego.

Mało prawdopodobne, wręcz niedorzeczne przypuszczenie, zwłaszcza teraz, gdy zabezpieczenia wzmocniono o genetyczne kody dostępu. Venator nabierał coraz mocniejszych podejrzeń, że cała operacja jest sfingowana, by odwrócić uwagę od prawdziwego fortelu Lilisaire.

Nad sprawą pracowali jeszcze inni funkcjonariusze, zarówno sofotekty, jak i ludzie. Był ich szefem, ale skrupulatnie unikał mieszania się do ich działań. Gdy będą chcieli rady, skontaktują się z nim. Do tej pory będzie po prostu przyjmował ich sprawozdania i możliwie najlepiej wypełniał swoje obowiązki.

Warto byłoby schwytać Kenmuira i jego współniczkę ze względu na wskazówki, których mogliby dostarczyć w kwestii prawdziwych zamierzeń Lilisaire. Ponadto – Venator uśmiechnął się – sam problem był interesujący.

Nie przestawał nad tym rozmyślać, idąc cały czas przed siebie. Tych dwoje nie mogło w nieskończoność ukrywać się przed systemem. Na pewno pozostawili już ślady w bazach danych Kontroli Ruchu, w wyniku przypadkowych spotkań lub może wskutek udziału w niezwykłych zdarzeniach. Ludzie patrzyli zamglonymi oczyma, mieli słabą pamięć, wszystko zapominali lub kłamali. Cyberkosmos był inny. Na przykład każdy sofotekt rozpoznalby transmitowany przez sieć obraz Kenmuira i zdałby natychmiastową relację z jego postępów. Ale liczba maszyn tego typu sięgała milionów, nie licząc urządzeń bardziej wyspecjalizowanych, zarówno obdarzonych świadomością, jak i robotycznych. System ogarniał cały świat, był beznadziejnie wielki. Przeszukiwanie go potrwałoby wiele dni, wiążąc siły potrzebne do innych zadań. A czego w tym czasie mogłaby dokazać Lilisaire?

No, można było skoncentrować wysiłki. Wybrać lokalne jednostki o możliwych do objęcia rozmiarach. Wpytać każdego, czy na tym terenie zdarzyło się coś odpowiadającego takim to a takim parametrom. Uzyskałoby się niezbyt dużą ilość odpowiedzi, spośród których można by potem odsiać te najciekawsze. To także zajęłoby trochę czasu, ale...

Z pewnością musiał działać. Choćby szansa powodzenia była minimalna, nie mógł siedzieć beczynnie i ryzykować jej utraty.

Venator pokręcił głową. Czasami sam nie pojmował, dlaczego Prozerpina może mieć aż taką wagę.

Krótkoterminowe perspektywy polityczne były jasne. Starczy ujawnić fakty, a Terranie popierający Biotop sprzymierzyliby się z nienawidzącymi go Lunarianami; przynajmniej nie byłiby aż tak nieprzychylnie do nich nastawieni; jak zaś sam Teraumysł mógł przekonać całą ludzkość, że coś takiego grozi katastrofą?

A grozi? Ożywienie ducha faustowskiego, co za abstrakcja. Ilu mieszkańców tego spokojnego, dość szczęśliwego świata wiedziało, co to oznacza, nie mówiąc o tym jakże ma

konsekwencje?

I czy naprawdę złe? Sięgając ku gwiazdom, faustowski człowiek mało nie zniszczył własnej planety i nie zmiotł z jej powierzchni swojego gatunku. Ale czy wiedza, którą wydarł obojętnemu kosmosowi, instrumenty, które wyprodukował, nie były gruntem, z którego wyrósł wiek zdrowego rozsądku?

Venator zadrżał od coraz chłodniejszych powiewów wieczornego powietrza. Na zachodzie niezwykle cienki sierp księżycy w nowiu tonął poniżej górskich szczytów. Od wschodu nadchodziła noc.

Venator przeżywał grozę przeszłości, wojny, tyranów, fanatyzm, panoszących się przestępców, brzemie nędzy, spustoszoną ziemię, zatrutą wodę, śmiertelne powietrze, złamanie ludzkiego ducha, alienację, hordy rozpaczliwie samotnych, tryumf najpierw przeciętności, a potem głupoty, kolejne samobójcze cywilizacje. Przeżywał to za pośrednictwem książek, multimedialnych biorników, quivir, wyobraźni, pod przewodnictwem wielkich umysłów sofotektycznych. Nie żeby mu mówiono, co ma myśleć. Przedstawiono mu fakty i kazano je rozważyć. Na tle przeszłości widział łagodną teraźniejszość i rozpościerający się przed nimi ogrom przyszłości. Dlatego – tak, był urodzonym myśliwym, ale mimo wszystko został pracownikiem Władz Pokojowych.

Ale czy zarozumiała i nie znająca granic ambicja musi być przekleństwem? Przedsiębiorstwo Ognistej Kuli stworzyło bractwo lojalności i osiągnięć, które przetrwało na Ziemi do dziś.

Wspomnienia i przynęta żyły też na Alfa Centauri.

Venator przyspieszył kroku. Przed sobą zobaczył światła kolejnej stacji.

Jak gdyby na ten widok przyszedł mu do głowy pomysł.

Pstryknął palcami, rozzłoszczony na siebie. Dlaczego przedtem o tym nie pomyślał?

Zapewne dlatego, że ewentualność, przed którą zabezpieczał pomysł, wydawała się taka odległa.

Stanowiło to jednak niezbyt skomplikowany środek zapobiegawczy, a skoro na dodatek był w pełni słuszny, korzyści mogły okazać się niewymierne.

Wszystko wskazywało na to, że cyberkosmos także nie wpadł na ten pomysł. Maszyny o wyższej inteligencji mogłyby to z łatwością wymyślić, choćby przeprowadzając permutacje koncepcji z prędkością bliską szybkości światła. Ale one miały ważniejsze zajęcia. Sofotekty niższych poziomów były tak samo zdolne jak on, chociaż w inny sposób. Mózg elektrofotonowy działał inaczej od chemicznego układu neurogruczołowego. I właśnie z tego powodu nazywano go synojontem.

Venator wszedł do głównego budynku i zaczął schodzić w dół. Przemierzał korytarz, gdzie na ścianach lśniły drżącym blaskiem dziwne, abstrakcyjne kształty. Połączony z siecią, był w stanie doznawać niektórych wrażeń wywoływanych przez taką sztukę. Odizolowany, uwięziony w ciele, nie miał takiego daru. Był tu jedynym człowiekiem, mieszkał i żywił się niczym mnich. Działo się tak z jego wyboru. Ludzkie przyjemności należały się ludziom.

Minął go odłączony sofotekt. Ciało, które założył, toczyło się na kółkach, wyrastały z niego narzędzia. „Witam, pragmatyku!” – zawołał uprzejmie. Venator odpowiedział i rozeszli się każdy w swoją stronę. Zdarzało mu się już pracować u boku takich istot, prowadzić z nimi rozmowy. Jednak niezbyt często. Była to dla niego frapująca przyjemność, ale obydwie strony wiedziały, jak powierzchowny jest taki kontakt. Maszyny porozumiewały się z reguły za pomocą bezpośredniej wymiany danych. Venator tęsknił za takim życiem.

Wszedł do pokojujedności, drżąc z podniecenia. Ale wiedział, że odzywa się w nim zwierzę przeczuwające ekstazę mózgu. Endorfiny... Wyszkolony somatycznie, nakazał sobie spokój, nałożył międzyłaczę, usadowił się na sofie i poprosił o zezwolenie.

Mimo że miał przed sobą prosty i nieskomplikowany cel, wyczuwał cyberkosmos w formie olbrzymiego organizmu w milionach wcieleń. Punkt słoneczny, czyli jego świadomość, mógł

wędrować od nici do nici sieci przez ciągle zmieniające się łącza, by zlać się z każdym istnieniem w jej obrębie.

Bank instrumentów na dnie morza poznawał smak reakcji chemicznych organizmu czarnoskórego palacza i karmiącego się nimi życia. Robot naprawiał linię odwadniającą we wsi w Junanie. Jeden monitor obserwował, jak atom za atomem rosą fulerenowe kable w nanozbiorniku. Sofotekt pomocniczy wybrał właściwego pseudowirusa, który miał zniszczyć przedrakowe komórki w ciele starzejącego się człowieka. Kontrola Ruchu utrzymywała bezpieczeństwo lotów milionów statków powietrznych, ruchu równie skomplikowanego jak krążenie krwi. Pewna inteligencja tworzyła logiczną strukturę do udowodnienia lub zbiccia teorematu – ale ulotny punkt musiał po chwili odejść od tej pracy, na poły oślepiiony, na poły zdezorientowany.

Tworzył całość ze światem.

Po ułamku sekundy, pełniejszym od ludzkiego życia, zabrał się do roboty. Zwrócił uwagę konkretnego programu sieci i porozumieli się. W języku, do którego nie sprowadzała się łączność:

JEŻELI GDZIEKOLWIEK ZNAJDUJE SIĘ WZMIANKA O PLIKU PROZERPINA,
OFICJALNA LUB NIE, ODNALEŹĆ JEJ ŹRÓDŁO I ZAWIADOMIĆ AGENTA
VENATORA. OSTRZEC NAJBLIŻSZĄ BAZĘ WŁADZ POKOJOWYCH, KTÓRE
PODEJMĄ NATYCHMIASTOWE DZIAŁANIA.

NIE PODAWAĆ POWODÓW.

ZGODA – odpowiedział system – ZAPISANO JAKO INSTRUKCJĘ.

A potem coś w rodzaju pełnego troski, matczynego głosu:

Jesteś niespokojny. Wątpisz... Nie wątpię, odparł Venator. Nie do końca rozumiem, lecz uwierzę.

(Skąd system, choćby nawet Teraumysł, może znać rezultat? Pod względem matematycznym ludzkość jest chaotyczna. Można dowiedzieć się tylko tyle, że dzieje zawierają pewne atraktory. Próby opanowania całości mogą bez uprzedzenia pchnąć ludzkość do innego atraktora. Wprowadzenie nowego elementu może zdecydowanie zmienić całość, od konfiguracji po same wymiary. Czy możliwe jest spisanie równań? Jeśli tak, czy można je rozwiązać? Niebezpieczeństwo da się przewidzieć, lecz tragedia albo się zdarza, albo nie. Istniejemy w obecny sposób, gdyż nasi poprzednicy narażali się na straszne niebezpieczeństwa. Jak możemy mieć pewność, czego odmawiamy następcom, jeżeli nie śmiemy podjąć ryzyka?)

Nie można mieć pewności.

Ale w takim razie...

Dowiesz się.

I cyberkosmos zabrał Venatora do Jedni.

Jak dotąd zdarzało się to dwukrotnie, dla oświecenia go i w ramach nadzwyczajnego wynagrodzenia. I znów całkowicie się przed nim otworzył. Wykroczył poza granice świata. Nie był w stanie w tym współuczestniczyć. Jego biedny mózg nie był świadomy istnienia myśli i stworzeń, które przelatywały obok i śpiewały, nie mówiąc już o ich ogarnięciu. Intelekty, lśniące jak gwiazdy i płynne niczym oceany, unosiły się na podobieństwo gór, pnać się ku niewyobrażalnemu szczytowi Teraumysłu. Jednak jakimś sposobem znalazł się w nim, był jego częścią, najmniejszym drzeniem w olbrzymiej funkcji falowej; dosięgała go całość.

Rzeczywistość jest wielością.

Stał się czymś w rodzaju fotonu, atomu światła, mknącego jak strzała przez czasoprzestrzeń, zakrzywioną i wypaczoną przez materię, która sama była zmienna. Leciał po nieskończonej ilości ścieżek, każdej możliwości, którą obejmowało Prawo. Zakłócały się nawzajem, znosiły, aż w końcu pozostała niemal jedna, jedyna, geodetyka – niemal, niemal. Przeszłość i przyszłość

mieniły się niepewnie. Zbliżył się do czegoś, co powodowało uginanie światła, a swoją drogę był w stanie poznać dopiero potem. Osiągnął kres w cząstce, dla której był, przemieniony, energią powodującą jej ruch. Tor cząsteczki nie był wyznaczony, ale nieodwołalny, przez co stawał się przeznaczeniem.

W miarę swoich możliwości poznałeś teorię mechaniki kwantowej. Teraz popatrz na kwantowy wszechświat – jeśli potrafisz go ogarnąć.

Tożsamość, która go wiodła, była pewnym aspektem Jedności; lecz jednoczyła się z nim tak, jak nie potrafiłby tego uczynić żaden sofotekt. Gdyż był to zasejwowany synojont, który zmarł przed jego narodzinami, przyjęty przez Jedność.

Yang: Continuum jest niezmiennie, zdeterminowane od początku, prące naprzód poprzez wieczność. Bo obserwacje dwóch obserwatorów są równie prawdziwe, równie słuszne, lecz ich stożki światła nie są takie same. Przyszłość każdego z nich leży w przeszłości drugiego. Zatem jutro musi być równie ustalone jak wczoraj.

Yin: Drogi są w ostatecznym rozrachunku niepoznawalne. Istnieje nieograniczona ilość różnorodności. Obserwować znaczy determinować, a odnosi się to zarówno do przeszłości, jak i przyszłości. Umysł nadaje se?is ślepych ewolucjom, dzięki którym zaistniał. Istnienie to znaczenie. W obrębie Prawa istnieją nieskończone konfiguracje continuum. Mogą się zdarzyć wszystkie historie.

Yang i Yin: Rzeczywistość nie rozgałęzia się. Jest Jednym.

W uniwersum Teraumysłu nie byłby w stanie spojrzeć, tak jak w jądro słońca. Ale wiedział, że tam jest, wspaniałe, wieczne.

Potem leżał dłuższą chwilę, odzyskując równowagę. Płakał z tęsknoty, krzyczał z radości.

W końcu wstał i zabrał się do zwykłych ludzkich zajęć.

Uzyskał obietnicę. To ciało, ten mózg będą musiały kiedyś zginąć. Taki sam los nie spotka

jednak jaźni, ducha, który się z nich zrodził. On też wejdzie w skład tego, co odnajdzie

Ostateczność i się nią stanie.

Ale wszechmoc i wszechwiedza jeszcze nie istniały i nie zaistnieją przez najbliższe miliardy lat. Wiedział już, czemu w ich rzeczywistości Prozerpina musi pozostać w zapomnieniu.

MATKA KSIĘŻYCA

Słońce było tutaj zaledwie pierwszą pośród gwiazd, świecąca z jasnością stukrotnie mniejszą niż nad Luną, wielkości niecałej jednej dziesiątej Ziemi. Mimo to po zgaszeniu światel w kabynie obserwacyjnej, gdy wzrok przyzwyczał się już do półmroku, oczy dostrzegały nieznaczne, ruchliwe cienie. W małym świetle, który wypełniał główny monitor, wznosiły się sterczące turnie i szczyty, zaś błyski i lśnienia zdradzały nagi metal. Tylko oczy potrafiące widzieć w ciemności mogły zobaczyć na powierzchni skał coś więcej niż cętkowany półmrok.

Napotykały scenę jak gdyby ujrzaną w delirium: góry, równiny, doliny, strome brzegi, kanały, jamy, rozpadliny, strumienie zamrożone w przedśmiertnych konwulsjach, nieznane dotąd przedmioty, a wszystko w szaleńczym kłębowisku.

Po miesiącach życia w warunkach ciągu, przyspieszania i zwalniania przy stałym przyciąganiu księżycowym, nagły powrót nieważkości wydawał się dziwny nawet takiej załodze.

Brandir i Kaino milcząc unosili się w powietrzu. Odnosiło się wrażenie, że prądy powietrza szumią nie głośniejsz niż ich własna krew. Statek palnikowy „Beynac” powoli i cicho okrążał orbitę. Przemierzał ją szybciej niż obracał się wokół własnej osi, zakreślając pełny okrąg co dziewięć i pół godziny. Zza horyzontu wynurzały się coraz to nowe cechy krajobrazu.

– Patrzcie! – zawołał Kaino.

Wskazał jakąś brudną plamę, która pokazała się tuż pod północnym biegunem. Z oddali wydawało im się, że rozciąga się na pół planety. Z tej odległości zaczęli dostrzegać górskie podnóża i strome zbocza. Gdy łańcuch górski opadał lub był przecięty wąwozem, widzieli niebieskawobiałe wgłębienia.

– Co to takiego?

– W tym miejscu uderzyła kometa – zaryzykował Brandir.

– A to są skutki ciosu. Promieniowanie sprawiło, że obnażone minerały z wnętrza komety utworzyły większe cząsteczki. – Zamilkł na chwilę, jak gdyby tłumił drzenie. Jak dawno temu to wszystko rozegrało się na obrzeżach Układu Słonecznego? Jak długo trwało? Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się. Zmusił melodyjny język lunariański do przybrania rzeczowego tonu. – Wygląda na zamrożoną wodę.

Kaino skwapliwie przytaknął. Pytanie wyrwało mu się bezmyślnie; równie dobrze jak brat wiedział, co oznacza ten widok.

– Całe złoża! A jeśli to nie wystarczy, kilkaset jednostek astronomicznych stąd zauważyłem jeszcze jedną kometę. – Pokazał ręką ekrany pomocnicze, pełne gwiazd, Mlecznej Drogi, mgławic, nocy. – Szczęśliwy zbieg okoliczności wśród takiej pustki.

– Jeśli przyjdzie nam ochota z niego skorzystać. Wytropiliśmy marzenie ojca i nie wiadomo, jakie czekają nas jeszcze niespodzianki.

Brandir mówił opryskliwie. Ton głosu nie pasował do takiego zakończenia ekspedycji.

Mężczyzna wrócił do studiowania obrazu, któremu przyglądał się przed okrzykiem Kaino.

Jego uwagę odwróciło wejście Hitu, którego obrzucił groźnym spojrzeniem. Kasztanowe włosy geologa były zmierzwione, ubranie narzucone niedbale. Hitu wylądował przed głównym monitorem; zadowolenie malujące się na jego obliczu przemieniło się w radość.

– Czyli powróciłeś na łono nauki – przywitał go Kaino. Hitu i Etana oddalili się, by szukać rozkoszy, podczas gdy

„Beynac” podchodził do lądowania. Młodszy mężczyzna nie zwrócił uwagi na docinek, takie przynajmniej robił wrażenie.

– Próbowaliście określić masę? – spytał zdyszany. Kaino kiwnął głową.

– Dwadzieścia dziewięć i trzy piąte procenta masy Luny.

– A-ha. Czyli ciało faktycznie składa się przede wszystkim z żelaza. Jądro większego obiektu

roztrzaskanego w wyniku jakiejś gigantycznej kolizji, tak jak uważał mój mentor. – Hitu nie mógł oderwać wzroku od ekranu. – Ale nie był w stanie przewidzieć wszystkiego – podjął, mówiąc jakby do siebie. – Obraz chaosu, zupełnie jak Miranda. Sam też musiał rozpaść się na kawałki, z których część zlała się w całość, jak w rozżarzonym piecu... a potem wzajemnie obsypały się odłamkami, które się ze sobą stopiły... Tak. – Koniuszek palca drżał, opisując krawędź dwustukilometrowej skarpy, rozpadlinę ciągnącą się przez trzysta kilometrów, wyżynę zasypaną ogromnymi blokami, odłamkami i rumowiskiem mniejszych fragmentów. – Nie mógł stopić się całkowicie. We wnętrzu, między nie dopasowanymi do siebie segmentami, znajdują się pieczary i tunele. Długotrwałe bombardowanie doprowadziłoby do ich zawalenia, przez co sferoida byłaby jeszcze bardziej nieregularna. Czyli wiemy, że Jowisz odrzucił obiekt tuż po tym, gdy sam się ukształtował. Znaleźliśmy pozostałość pierwotnej bryły.

– Od tego czasu zdarzały się kolejne uderzenia – warknął Brandir. – Ślepy by to zobaczył.

Machnął ręką w stronę punktu, który szczególnie go zainteresował. Kratery były co prawda nieliczne, lecz na półkuli południowej znalazł się jeden ogromny, z wyrastającym w środku szczytem; w miarę jak statek i planetoida obracały się, krater znikał z ich pola widzenia.

– Fakt – przyznał zgodnie Hitu. – Gdyby nawet obiekty były niezmiernie rzadko rozsiane, w ciągu czterech czy więcej miliardów lat muszą na siebie natrafić. Ów wielki meteoryt i kometa, i jeszcze inne. Lecz zdarza się to sporadycznie i nie ma większych konsekwencji geologicznych.

– Chyba, że się nad tym zastanowić. Możecie się pętać po powierzchni, ja wiem, czego szukać.

Szczupła sylwetka Hitu zeszywniała.

– Trzeba z góry zaplanować roboty w terenie – stwierdził.

– Kiedy będę potrzebował waszego zdania, powiadomię was o tym – odpalił Brandir.

– Chodź – mruknął Kaino, pociągając go za rękaw. – Jesteś mi potrzebny na rufie.

– Badam teren – zjeżył się Brandir.

– Kamery lepiej sobie z tym poradzą. Wspólnie z Hitu. Chodź. – W głosie Kaino zadźwięczał metaliczny ton.

Naburmuszony Brandir wyszedł razem z nim z kabiny. W kosmosie rządził pilot.

Nie odepchnęli się od podłoża, by poszybować, tylko przytrzymywali się różnych przedmiotów i parli naprzód, ramię w ramię.

– Co zamierzasz? – zapytał stanowczo Brandir.

– Uspokoić cię, bracie. Wyczułem, że szykuje się kłótnia, a na to nie możemy sobie pozwolić. Stosunki między nami i tak są zbyt napięte.

Brandir obrzucił rudzielca ostrym spojrzeniem.

– I kto to mówi?

Kaino strzepnął palcami i krzywo się uśmiechnął.

– Gdy ktoś przekroczy już granicę półwiecza, ogień nieco przycicha. A ja myślałem, że w twoim sercu panuje większy chłód – zwłaszcza że jesteś starszy ode mnie, a Etana towarzyszy mi, nie tobie.

Brandir zaczerwienił się pod linią popielatych, rzednących włosów.

– Sądzisz, że jestem zazdrosny? Nie, chodzi o jego bezczelność.

– Raczej o to, że przywykłeś dostawać to, czego ci się zachce. Przyznaję, moja duma ucierpiała. Ale obydwaj mieliśmy w życiu mnóstwo kobiet, zarówno z naszej sfery, jak i spoza niej. Skoro Etana woli ode mnie nowego mężczyznę – chyba pociąga ją jego łagodność – niech i tak będzie, znajdzie się wiele innych, które zechcą ze mną zamieszkać. Przecież ona nie gardzi żadnym z nas, prawda? Daj sobie spokój. Nadmiar dumy nie powinien pozostawiać w nas miejsca na próżność.

Brandir rozchylił wargi, na powrót je zacisnął i potrząsnął gniewnie głową.

Drugi pilot wyłonił się z bocznego korytarza, zauważył ich i zbliżył się. Była to kobieta po trzydziestce, miała ciemną skórę i kształty obfitsze niż większość Lunarian. Podobnie jak Hitu odziała się w pośpiechu, a ciemne kędziory fruwały wokół jej twarzy, która pamiętała oceanicznych przodków. Skóra dziewczyny wydzielala nieznaczna woń piżma.

Stanęli naprzeciw siebie. Etana wyczuła zły humor Brandira i posłała mu uśmiech.

– Szłam właśnie zobaczyć, co odkryliśmy – oznajmiła.

– Jakoś wcześniej ci się nie spieszyło – zripostował.

– W czasie wolnym od służby sama wybieram sobie trajektorię. – Wzbierała w niej złość.

Kaino zamiauczał. Obrzucili go zdziwionymi spojrzeniami.

– Chrrr – wycharczał. – Ssss. Jaka szkoda, że nie macie futra, które można by najeżyć, ani ogona, żeby go postawić.

Po chwili Etana wybuchnęła śmiechem. Kąciki ust Brandira zadrżały.

– *Touche* – mruknał.

– Nie chciałam cię urazić, panie – powiedziała łagodnie. Nigdy dotąd nie używała tego dwornego zwrotu. Powinności wiązały ją jedynie z Kaino i statkiem; w razie potrzeby mogłaby zerwać każdą z więzi, gdyby uznała to za stosowne. – Nie przypuszczałam, że cię to tak mocno dotknie.

– Nie powinno – przyznał z oporami Brandir. – Jesteś wolna.

W oczach Kaino pojawił się błysk zrozumienia, może nawet współczucia, o ile w ogóle potrafił się na nie zdobyć. Odpłynął w milczeniu na bok.

Etana dotknęła ręki Brandira.

– Pozostaniemy tutaj pewien czas, a potem czeka nas długi lot do domu. Będzie dość czasu na rozmowy i inne zajęcia...

– Jesteś... uprzejmiejsza, niż sądziłem. – Znów nałożył chłodną maskę arystokraty. –

Postaram się wszystko urządzić jak najdogodniej dla ciebie, pani.

Na powierzchni on, główny udziałowiec Przedsiębiorstwa Kosmicznego Selene i najbardziej doświadczony przywódca, obejmie prawdziwe dowodzenie.

Stał na szczycie tej, jak ją sam nazwał, Góry Meteorytu i rozpierała go radość.

Mimo że kraina była raczej niewielka, z tego punktu ledwie sięgał wzrokiem zboczy krateru, które wznosiły się ponad widnokrąg. Ciemna, gruzłowata masa pod stopami opadała i przechodziła w równinę gładką niczym szkło: szaroburą powierzchnię przecinała sieć pęknięć i pokrywały liczne głazy. Nad jego głową i wokół niego lśniły gęste konstelacje. Mimo zapadnięcia nocy blask gwiazd zupełnie wystarczał osobie przyzwyczajonej do Drugiej Strony Luny po zachodzie słońca. „Beynac” przemierzał niebo, nie rzucając stożka cienia, iskra sunąca przez Aurigę w kierunku pasa galaktyki.

Poniżej na stoku wypatrzył jednego z robotów, który wycinał próbkę do celów analizy.

Zadanie zostało jednak w zasadzie zakończone. Niebawem odnajdzie ciężarówkę i zawiezie załogę z powrotem do obozu. Nadał wiadomość do statku, który miał przekazać ją dalej:

– To już nie ulega wątpliwości. Obiekt uderzający zbudowany był z *żelaza*; był zapewne odłamkiem pierwotnego ciała, które znalazło się na orbicie zbliżonej do obecnej i na koniec spowodowało kolizję. Centralny szczyt jest wypadkową budowy tamtego ciała i materiału wyrzuconego z wnętrza, stanowi żyłę użytecznych metali, zarówno lekkich, jak i ciężkich, które da się odzyskać łatwiej niż w innych odkrywkach.

– Co daje nam w sumie dwa skarby! – rozbrzmiał głos Kaino. Miał na myśli lodowiec komety, który badał wraz z Hitu. Nie tylko znaleźli ogromne ilości lodu i związków organicznych, na dodatek odkryli obecność obfitych złóż cyjanku zmieszanego z amoniakiem, zamrożonych lub wchodzących w skład związków chemicznych. Wodór, tlen, węgiel, azot: podstawy życia. – To pierwszy taki przypadek! Gotów jestem uwierzyć w boga, który to

wszystko dla nas przygotował.

– Ta hipoteza nie pasuje do sytuacji – stwierdził tym swoim łagodnym, precyzyjnym tonem Hitu. – Nie ma również mowy o zbiegu okoliczności. Według tezy Edmonda Beynaca – że istniało ciało na tyle duże, by posiadać jądro, że roztrzaskało się ono, a większa część odłamków przeniknęła do Pasa Kuipera – reszta wydaje się prawdopodobna, może nawet nieunikniona.

W trakcie gigalat musiały następować kolejne zetknięcia z kometami i innymi obiektami. To tutaj ciało, największe, przyciągało niezwykle dużą ilość innych. Niskie promieniowanie i temperatury otoczenia zachowują gazy lotne lepiej niż w pobliżu centrum Układu.

– Tako rzecz uczoney – zachichotała z pokładu statku Etana.

– Kiedy skończycie pracę? – zapytał swoich ludzi Brandir.

Odkrycia i ich konsekwencje były całkowicie nieprzewidywalne; a badania pochłaniały go tak, że nie miał czasu śledzić prac towarzyszy.

– Przygotowujemy się do odjazdu – odpowiedział Kaino.

– Niech już nasi następcy zbadają całą resztę. Po krótkim odpoczynku i uzupełnieniu zapasów Hitu chce zbadać jeszcze Wielką Skarpę i Olla Podrida. To chyba dobry pomysł, zwłaszcza jeśli będzie można podejść Żelaznym Wrzosowiskiem. – Tamte okolice zauważyli przed lądowaniem, lecz ich noga jeszcze tam nie stanęła.

– O tym pogadamy w obozie – powiedział Brandir. – Sięgamy szczytów w czasie, który nam dano.

– Założę się, że Hitu cię przekona – zaśmiał się Kaino. Brandir usłyszał pstryknięcie wyłącznika.

– Co to ma znaczyć? – zagrzmiał mu w uszach głos Etany.

– Oni wędrują sobie po nowej krainie, a mnie trzyma się w klatce? Żelazna reguła.

W odwodzie powinien zawsze pozostawać wykwalifikowany pilot. Mimo że niebezpieczeństwo

uderzenia meteoru było nikłe, a rozbłysk słoneczny praktycznie niemożliwy, Brandir wolał trzymać się przepisów.

– Droga powrotna będzie długa – oznajmił swego czasu. Ponadto gdy na powierzchni znajdowały się zaledwie trzy osoby i kilka robotów, przydawał się obserwator, który w razie potrzeby mógł wszcząć akcję ratunkową.

– Niech Kaino mnie teraz zmieni – przekonywała. – Obiecał. Tak jak wy wszyscy.

– Widzisz, on ma doświadczenie w robotach naskalnych na asteroidach – zauważył Brandir.

– A ja nie? To prawda. Ale nie jesteśmy na asteroidzie. Ciało bardziej przypomina Lunę. Ja zaś pracowałam w terenie księżycowym tak samo jak on czy ty.

– Ta-tak...

– Tego wymaga zwykła sprawiedliwość – przekonywała, już spokojnie. – W tobie, Brandirze, żyje duch. Czy byłoby ci miło siedzieć z założonymi rękami całe tygodnie w otoczeniu obrazów na monitorach, podczas gdy towarzysze swobodnie by wędrowali?

– Z pewnością nadejdzie też twoja kolej, tylko później.

– Już! Dwie wyprawy badawcze skończone, trwają przygotowania do trzeciej. – Głos Etany stał się słodszy. – Przecież mogłabym pracować u twego boku, prawda? Hitu do jego badań wystarczą roboty. Nasza uwaga kieruje się na to, co może być użyteczne w przyszłości.

– Muszę się zastanowić.

– Czyżby? A nie jest to jasne jak gwiazdy? I... Brandir, bardzo doskwiera nam dzieląca nas wrogość. Nie byłeś ze mną szczery. Musimy starać się porozumieć.

W końcu ustąpił. Zdając sobie z tego sprawę, w rozmowie z parą towarzyszy zachowywał się sztywniej, niż wymagały okoliczności.

Ukazało się słońce. Zniknęły przyćmione przez nie, bardziej oddalone gwiazdy. Ku zachodowi ich klejnoty cały czas zdobiły majestatyczne ciemności, bo pozbawione odbicia od

górnym promieniu słońca traciły swą moc. Kraina ta nie ograniczała się do równin z brudnoszarej skały. Gdzieś tam lśniła pośród cieni, które gromadziły się w nierównościach. Najdłuższe cienie rzucały szczególnie misterne twory, błyszczące i roziskrzane na słońcu.

Obszar będący anomalią dość gwałtownie przechodził w typowe dla tej planety niziny z grubo ciosanego regolitu, podobnego do łupka i niemal zupełnie niepylistego. Wóz terenowy przystanął przy krawędzi niziny. Wsiadły z niego dwie postacie w skafandrach. Za nimi wyłonił się robot o czterech rękach i nogach, obwieszony instrumentami. Przez chwilę postacie bez ruchu przypatrywały się leżącej przed nimi, nieznannej krainie.

– Idziemy! – warknął Kaino i ruszył.

– Czy to mądre? – zastanawiał się Hitu. – Może niech pierwszy idzie robot.

– Nie mamy czasu do stracenia na próby i sondy. Chcesz coś zobaczyć? To naprzód!

Po chwili wahania geolog go usłuchał. Maszyna gramoliła się z tyłu. Kaino był co prawda wściekły na Brandira i jego decyzję, jednak ten pośpiech miał pewne uzasadnienie. Kaino upierał się, że powinni najpierw obejrzeć Żelazne Wrzosowisko, a dopiero potem dojść do obozu i skierować się saniolotem na „Beynaca”, a Hitu go poparł. W innym układzie nie miałby już szansy na zobaczenie tamtych obszarów przy ograniczonym czasie, jaki im pozostał, i niewielkim prawdopodobieństwie wysłania niebawem kolejnej ekspedycji. Okrężna trasa lądem znacznie nadwyrężała zapasy żywności i komórek paliwa, co jeszcze bardziej go drażniło.

Należało działać zdecydowanie.

Po długim pobycie w ciasnym pojeździe swoboda ruchów wywołała uniesienie równie nagłe co wschód słońca.

– *Kai-ja!* – zawołał Kaino i pomknął susami pantery. Jego najwyższej klasy skafander zginał się w zależności od poruszeń ciała niby druga skóra. Zasilanie i butla z tlenem zdawały się nic nie ważyć. Gęsty glob przyciągał z siłą równą osiemdziesięciu sześciu procentom grawitacji

Luny, co umożliwiała Lunarianom życie w zdrowiu i płodzenie dzieci, jednocześnie dając im poczucie swobody i lekkości. Krajobraz wypływał spod bliższego horyzontu i rwał strumieniem pod jego stopami. Oddech śpiewał w nozdrzach, przeniknięty zapachem potu.

Zatrzymał się przy pierwszym tworze. Dogonił go Hitu. Patrzyli. Robot włókł się w ich kierunku. Został zaprogramowany do określonego typu zadań; poza tym zakresem był urządzeniem słabym, powolnym i głupim.

– Co to? – szepnął Kaino.

Z wysokości kosmonauci widzieli tylko jakieś twory, wystające z nieznanego terytorium. Nie potrafili pojąć natury tych kształtów. Z bliska wydawały się całkowicie nieziemskie.

Mieszkańcowi Ziemi skojarzyłyby się z koralami. Lunarianie znali te cuda jedynie z książek i ekranów. Misterna, cienka forma wyrastała do wysokości około stu centymetrów ponad powierzchnię, zmienna szerokość dochodziła do stu pięćdziesięciu. Zmieniała się również jaskrawość włókien, węzłów i rozet; wiele z nich błyszczało w twardym, wschodnim świetle. Hitu obszedł to coś, przyglądał się, dotykał, zerkał, pochylał się, prostował, wyjął z torby narzędzia szkło powiększające i zaczął oglądać kawałek po kawałku. Nie zwracał uwagi na robota, który przy nim stanął. Słońce wspinało się po niebie z szybkością oszałamiającą dla Lunarianina. Znikały kolejne gwiazdy.'

Kaino zaczął się przechadzać i coś sobie pogwizdywać.

– Stop żelaza, jak sądzę – oznajmił w końcu Hitu. – Po powierzchni regolitu rozsiane sącałe płaty metalu. Wydaje mi się, że stanowią czapę złoża, a nie samo czyste żelazo, ale to trzeba będzie sprawdzić. Myślę, że ten twór i inne jemu podobne to wynik rozrzutu. Jakiś wybuch ciskał na wszystkie strony ciekłe krople i bryły. Gdy spadły w jedno miejsce, krzepły razem, co działo się dość szybko.

– Upadek meteorytu? – ożywił się Kaino. – Nigdzie nie ma ani śladu kraterów.

– Możliwe, że zdarzyło się to podczas formowania całej planetoidy, rozgrzanej i plastycznej... no, to by oznaczało, że pierwsza, katastrofalna kolizja przydarzyła się w pobliżu Jowisza, bo silne pole magnetyczne było konieczne dla wprowadzenia takiej ilości kropeł na zbieżne trajektorie. A to już dużo mówi o narodzinach tego ciała i jego orbity... o początkach pasma asteroid i całego Układu Słonecznego... – Hitu zaczął po wiele – kroć walić pięścią w dłoń. Wpatrywał się w blednące gwiazdy.

– Gdyby ojciec tego dożył! – wyrwało się Kaino.

– Tak, tak, pamiętam. Nie posiadałby się z radości. – Hitu znów się zamyślił. – To tylko taka wstępna, prymitywna hipoteza. Mogę się mylić. Zaczynam się już zastanawiać, czy kiedyś w przeszłości na tej akurat planetoidzie nie powstał swoistego rodzaju wulkanizm. Pamiętasz chyba, że charakteryzuje się ona sporym polem magnetycznym, a ten tutaj twór jest pod kilkoma względami podobny do fenomenu Włosa Pelego na Ziemi.

– Tak, możemy zatrzymać się na kilka godzin i zebrać trochę danych – stwierdził Kaino.

Hitu uniósł górną wargę, spod której ukazały się zęby. Jego rodzice śmialiby się inaczej.

– Ja zostaję.

Wyjął czytnik, wprowadził mapę i bacznie jej się przyjrzał. Rozglądał się, starając się powiązać to, co widzi, z dziełem kartografii orbitalnej. Na całej równinie leżały żelazne twory. Około dwóch kilometrów dalej, w kierunku południowego horyzontu, pole widzenia przecinał jakiś metalicznie lśniący pas szerokości mniej więcej trzech metrów. Na jego przeciwległym końcu wznosił się cały rząd korałoidów, wysokich na jakieś pięć metrów.

– Pójdziemy tam – pokazał ręką.

– Tego się spodziewałem. Ho-ha! – zaśmiał się Kaino. Ruszyli równie szybko jak przedtem.

Po chwili Kaino zboczył ze szlaku.

– Dokąd? – zapytał Hitu, nie skręcając.

– Do tamtego krzaka. – Był mały, lecz cały roziskrzony.

– Ja przyjrę się najpierw większym obiektom. Jeśli czas pozwoli, a ciebie coś zainteresuje, wrócę tu.

Kaino kucnął przy pseudokrzewie. Cząstki tkwiące w ciemnym żelazie wyłapywały promienie słoneczne i błyszczały jak szkło. Być może są właśnie szklane, uznał po chwili: stopiony krzem połączony z kroplami, które składały się na tę formację. Mogły być również zbudowane z innego minerału, na przykład pirytu. Nie znał się na tym. Było jednak jasne, że intuicja nie zawiodła geologa. Nie było tu nic szczególnego, zwykle piękno. Kaino wyprostował się i ruszył śladem towarzysza.

Hitu dotarł właśnie do metalicznego pasa. Wskoczył na jego powierzchnię.

Pas rozpękł się. Hitu zapadł się pod ziemię.

– Jaaa! – wrzasnął Kaino.

Pognał najszybciej, jak mógł przy niskiej grawitacji. Ledwie zdążył wyhamować przed brzegiem wstęgi. Zwodniczej wstęgi. Ten jej odcinek, o ile w ogóle nie cała, nie był wcale złożem metalu rozlanym po skałach. Była raczej, przynajmniej do tej pory, przykry wką jamy – przepaści, rozpadliny – jednej z tych, których całe mnóstwo wykryły na planetoidzie sondy sejsmiczne, zgodnie z przewidywaniami Hitu.

Ułożenie pasma ciekłego metalu w poprzek powierzchni zamiast w dół było najpewniej efektem przypadku w tych pełnych furii chwilach, gdy rodziło się Żelazne Wrzosowisko. Mała grawitacja sprawiła, że metal zakrzepł przed wlaniem się do otworu – chyba że przepaść powstała jednocześnie, gdy planetę rozdzierały rozszalałe siły... Warstwa była cienka, a cztery miliardy lat kosmicznego promieniowania, odprysków i mutacji naruszyło ją jeszcze bardziej... Kaino położył się na brzuchu, doczołgał do krawędzi, zajrzał w dziurę. Nie zauważył przy tym, jak usuwają mu się spod ciała łupki. W dole zobaczył czarną czeluść.

– Hitu! – zawołał. – Hitu, odbiór! Słyszysz mnie? W słuchawkach dźwięczała cisza.

Wyjął z torby latarkę i poświecił w dół. Ujrzał tylko mętną, rozpraszającą światło pustkę.

Omiatał promieniem całe wnętrze. Jest, jest skafander. Wciąż nie ma odzewu. Trudno było ocenić odległość, kiedy wszystkie punkty odniesienia tonęły w mroku. Przesunął strugę światła wolno w górę. Niewielkie pole nierozproszonego blasku drżało wśród cieni. Ktoś bez doświadczenia mógłby stracić orientację niczym w złym śnie.

Kaino, obeznany z Księżycem i asteroidami, postrzegał wszystko inaczej. Nie wiedział, jak długa była rysa, zresztą nie miało to znaczenia, ale u szczytu mierzyła około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów szerokości i zwężała się ku dołowi. Ilitu leżał czterdzieści do pięćdziesięciu metrów pod nim. Fatalny upadek, prawdopodobnie śmiertelny, nawet przy takiej grawitacji; ale mogło go spowolnić tarcie o ściany otworu. Pod nieruchomym ciałem ciągnęła się jeszcze cała otchłań. Niewykluczone, że Ilitu wylądował na jakiejś półce.

Kaino wstał i wymierzył nadajnik w przestrzeń kosmosu. Statku tam w tej chwili nie było, lecz załoga rozstawiła na jego orbicie przekaźniki.

– Kod Zero – zaczął. Superpilne. – Kaino w Kodzie Zero.

– Co się dzieje? – odezwał się głos Etany. Zwięźle wytłumaczył jej sytuację.

– Powiadom Brandira – zakończył. – Będzie potrzebny sprzęt do wyciągnięcia Ilitu – pewnie silnik i lina do spuszczenia noszy – plus pełne wyposażenie medyczne.

– Czy nie może go wyratować robot numer jeden? Kaino spojrział na maszynę, która stała obok i czekała na polecenia.

– Nie, jest bezużyteczny. – Ta konstrukcja nie potrafiła schodzić w takich warunkach, program nie da sobie rady z czającymi się w mroku niewiadomymi.

– Może zajdzie potrzeba, żebyście wyciągnęli również mnie. Idę po niego – dorzucił.

– Nie! – ryknęła. – Kaino, ty... – Słyszał, jak przelyka ostatnie słowa. – Przynajmniej

przewiąż się liną i każ robotowi, żeby ją trzymał.

– To może zająć za dużo czasu. Możliwe, że Ilitu już tam kona.

– Możliwe. Prawdopodobne. Nie słysząc go, prawda? Kaino, nie idź!

– To mój człowiek. Jestem z rodu Beynaca. Powiadom Brandira, jak ci powiedziałem. – Pilot wyłączył nadajnik.

Mimo wszystko poświęcił minutę na poinstruowanie robota: wróć do ciężarówki, weź tamtą stalową linę, spuść ją, jeżeli będę jeszcze na dole. Sam zdjął ciężki plecak, w którym niósł prowiant, zapasy wody i rezerwowy sprzęt. Włączywszy lampy na głowie i piersiach, zbliżył się na czworakach do otworu i zaczął schodzić.

Naokoło sypały się kamienie. Dwa razy mało nie puścił krawędzi i nie spadł. Tak go to rozbawiło, że zaczął się cicho do siebie śmiać. Za trzecim razem mu się powiodło. Zaczął pełznąć w dół, wspierając się obcasami w jedną ścianę, butlę z tlenem przyciskając do drugiej. Było strasznie. Przez skafander i buty nie czuł powierzchni, których dotykał. Lampki niewiele pomagały, promienie światła ledwo muskały wypukłości, niknęły w pęknięciach, mieszały się z cieniami, które miały się wszędzie niczym kocie pazury mroku. Często się ześlizgiwał. Ratowały go wtedy tylko niska grawitacja i szybki refleks. Szczelina stawała się coraz węższa, co krępowało mu ruchy. Bolały go ciągle napięte mięśnie. Pot moczył ubranie i szczypał w oczy. Powietrze drapało zaschnięte gardło. Z trudem parł dalej.

Zaraz. Czy nie jest jakby nieco łatwiej? Teraz zobaczył coś, czego nie był w stanie dojrzeć z góry: od strony, o którą zapierał się nogami, rozpadlina zaczynała się na nowo rozszerzać. Jeśli zrobi się zanadto przestronna, trzeba będzie stanąć. Chyba że...

Udało mu się jakoś przekręcić szyję i spojrzeć w kierunku swojego celu. Światło wyluskało z mroku leżącą postać i odbiło się od powierzchni upstrzonej odłamkami o ostrych krawędziach. Hitu faktycznie wylądował na wąskiej półce wyrastającej ze ściany za Kaino. Jej krawędzie

pochłaniała wszechobecna ciemność. Łut szczęścia... Nie, nie do końca. Ta ściana nachylała się ku wnętrzu i zadziałała jako swego rodzaju ślizgawka; nierówności chwytały za skafander i plecak, hamując upadek i kierując nim.

Widząc dość wyraźnie cel, Kaino mógł ocenić odległości i wymiary. Półka znajdowała się około dziesięciu metrów pod nim, tak że przy tym ciężeniu mógł tam zwyczajnie skoczyć, ale była szeroka na mniej więcej metr, a tuż koło niej ziała próżnia szerokości dwóch metrów.

Niewielkie przyspieszenie dałoby mu okazję odepchnięcia się od żelaznej ściany i tym sposobem skorygowania toru lotu, ale miałyby na to trzy do czterech sekund; gdyby nie trafił, byłoby po nim.

– Spokojnie, istota szympanopodobna w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach – mruknął.

Po chwili zastanowienia odbił się od podłoża i poszybował.

Na ułamek chwili stracił poczucie czasu. Ale gdy kości zadrżały od uderzenia i wiedział, że jest bezpieczny, uniósł głowę, gdzieś wysoko zobaczył rozgwieżdżony firmament i roześmiał się, aż wewnątrz hełmu odbiło się echo.

Wziął się do roboty. Przyklęknął ostrożnie, nie chcąc wypaść poza skraj półki. Hitu leżał na plecach. Tułów przykrywał mu płat metalu który blokował fale nadaj nika. Kaino odrzucił go i usłyszał świszczący oddech towarzysza. Pochylił się. Wylądował za głową Hitu, widział ją więc teraz odwróconą; ruchy jego lamp powodowały grę światłocienia za hialonową przesłoną. Pod uchylonymi powiekami rannego widać było upiorne białka oczu. Na ustach pokazywały się różowe pęcherzyki.

– Żyjesz? – Odpowiedzią był specyficzny oddech. Klucze do rozwiązania zagadki odnalazł na nadgarstkach.

– Ajaj – szepnął.

Temperatura wewnątrz skafandra była znośna, lecz poziom tlenu wynosił piętnaście procent i stale się obniżał, dwutlenek węgla i wodne opary zanadto zgęstniały. To oznaczało, że zasilanie

działa, lecz aparat odzysku powietrza został rozbity, a zapasowa butla opróżniona.

– Hu – powiedział Kaino. – O żabi skok od śmierci, nie? Nie mógł niczego naprawić. Jednak awarie odzysku powietrza nie należały do rzadkości, stąd istniały odpowiednie zabezpieczenia. Sięgnął za plecy i wyjął rurkę obejścia, zwiniętą i przypiętą do modułu podtrzymania życia. Ostrożnie, w nadziei, że nie spowoduje nowych urazów, uniósł tułów Hitu. Wsparł go na swoim kolanie, rozwinął odpowiednią rurkę na skafandrze tamtego, skręcił końcówki i otworzył zawory. Z powrotem położył towarzysza. Łączyła ich metrowa pępowina i jego aparat obsługiwał obojdwóch.

Zmarszczył nos, gdy śmierdzące powietrze mieszało się ze świeżym. Doprowadzenie go do stanu używalności chwilę potrwało. Układ wystarczy pod warunkiem, że nie będą się wysilać – a żaden nie miał takiego zamiaru!

Pozostało tylko czekać. Zżerała go ciekawość. Mimo że powierzchnia występu była śliska jak metal i pochyła, wychynął za krawędź i poświecił w dół. Gwizdnął cicho. Poniżej półki przeciwległa ściana wybrzuszała się i obojdwie się stykały. Nie widział punktu zetknięcia, bo mniej więcej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów niżej, gdzie odległość między ścianami sięgała metra, lukę zasypywały odłamki z powierzchni. Większość z nich utkwiała właśnie tam, odbiwszy się od ścian szczeliny i półki. Niektóre były szpiczaste, inne cienkie i na pewno ostre na przełamanych krawędziach. Nawet upadek z tego poziomu byłby jak rzucenie się na baterię sterczących noży. Kosmiczna zbroja by to wytrzymała. Skafander nie. Kaino z powrotem usiadł. Hitu charczał. Minuty niezmiernie się wydłużały.

Uwagę Kaino zwróciło jakieś poruszenie. Skierował tam smugę latarki i ujrzał spuszczaną linę. Robot usłuchał jego poleceń. Lina zsunęła się pod półkę. Ograniczona maszyna spuściła ją całą.

Kaino nie zauważył, żeby cokolwiek zasłoniło gwiazdy. Niemniej jednak robot z pewnością

stał nad krawędzią, bo Kaino odebrał komunikat: „Rozkaz wykonany. Co teraz?” Jakiś kaprys chwili sprawił, że Lunarianin nastawił go kiedyś na mówienie ochryplym, kobiecym głosem. Teraz pożałował tej zachcianki.

– Przesuń linę, hm, na północ – nakazał. Mimo nachylenia orbity biegun planetoidy znajdował się w tym samym miejscu co na Małej Niedźwiedzicy. – Nie mogę dosięgnąć. Aa... Jest. Stój.

– Z trudem zawiązał pętle wokół pasa swojego i Hitu, tak na wszelki wypadek.

– Czy mam podnieść? – Program potrafił wykazać minimum inicjatywy.

– Nie. Czekać.

Nie wiadomo, jakie urazy odniósł Hitu. Przynajmniej poważny wstrząs mózgu, całkiem prawdopodobne złamanie kręgosłupa i żebra tkwiące w płucach. Nieostrożność może go zabić. To oznaczałoby koniec. Wyprawa nie dysponowała urządzeniami do odnowy komórkowej, a co tu mówić o ożywianiu. Lepiej zaczekać na porządny sprzęt ratunkowy, w nadziei, że tymczasem Hitu nie umrze, a wylew nie spowoduje szkód, których nie można będzie naprawić za pomocą sklonowanych komórek.

Kaino znowu zebrał myśli. Czas włókł się niemiłosiernie. Mężczyzna snuł wspomnienia i rozmyślał o przyszłości, uśmiechał się, odśpiewał pieśń, wyrecytował wiersz, zastanowił się nad sformułowaniem wiadomości do bliskiej osoby. Lunarianie nie różnili się aż tak bardzo od Ziemiaków. Często spoglądał na przepływające w górze gwiazdy.

– Kaino! – usłyszał w końcu.

– Tu jestem – odparł. – Hitu jeszcze żyje.

– Etana załadowała saniolot medykamentów, przetransportowała je do obozu i wróciła na pokład – mówił Brandir. – Jej zdaniem w razie potrzeby będzie można wylądować gdzieś w pobliżu.

– Najpierw weźmiemy Hitu do wozu i udzielimy mu pierwszej pomocy, a potem się zobaczy.

– Kaino nakreślił sytuację. – Możesz tu opuścić nosze?

– Jasne.

– Dobrze go zabezpieczę, a ty wyciągaj, tylko delikatnie. Ja poczekam, żebyśmy się o siebie nie obijali.

– Kiedyś nie starczało ci cierpliwości, braciszku – zaśmiał się Brandir.

– I znowu mi jej zabraknie, jeśli będziesz tam czekał, głupku. – Jego też rozpieęła dzika radość.

Nosze, objając się o ukośną ścianę, wynurzyły się z mroku i osiadły na występie. Kaino rozwiązał pętle zabezpieczające, rozłączył przewody z powietrzem, ułożył Hitu na noszach i porządnie go pozapinał.

W górę – zawołał.

Ranny zniknął mu z oczu.

– Mam go – nadał po kilku chwilach Brandir.

– To niech robot mnie teraz wciągnie. I potem naprzód... naprzód... naprzód! – krzyczał Kaino.

Lina napięła się, podnosząc go w stronę gwiazd.

Dużo później Brandir zdołał ustalić przebieg zdarzenia. W chwili kosmicznej katastrofy, jakieś cztery miliardy lat temu, wypiętrzone zostały zarówno skały, jak i pokłady metalu.

Pozioma szrama stopionego *żelaza*, która zakryła pęknięcie, była na brzegach delikatna jak mgiełka, po czym zakrzepła w szereg kropel. Zasłoniły je opadające kamienie. Planetoida odleciała w rejony, gdzie przypadkowe meteory zjawiają się sporadycznie. Żaden nie uderzył na tyle blisko, by wstrząsnąć tą delikatną konfiguracją.

Słaba grawitacja oznacza niewielkie tarcie, przez co odłamki spoczywały jakby na łożyskach.

Ciężar na końcu liny pociągnął robota. Regolit pod stopami ślizgał się. Automat runął do przodu.

Przewrócił się i wpadł do czeluści, za nim usunął się grad kamieni.

Kaino runął na półkę, ześliznął się i poleciał w głąb przepaści. Tam czekały już noże.

Na wielkim monitorze woda rozbijała się o zaśnieżony brzeg, tworząc obłoki piany. Fale zszarzały tak samo jak niebo, sycząca i kotłująca się woda zalewała piach i sięgała niemal do wyrzuconych przez morze, drewnianych szczątków leżących pod klifami niczym zbielełe szkielety. Te unosiły się tuż nad powierzchnią na podobieństwo dymu; piana przyływu mieszała się z kroplami deszczu; wiry i grzmoty wstrząsały powietrzem niosącym posmak soli i chłodu.

Miało się wrażenie, iż salon Dagny Beynac stoi samotny w otoczeniu żywiołów.

Przyszło jej do głowy, że chyba nie powinna zaprogramować takiego widoku. Pasował do nastroju, odtwarzała go od porannej straży, lecz stojącej przed nią młodej kobiecie obraz nie mówił nic. Czy Etana odczytuje go jako oznakę wrogości lub oskarżenie?

– Może usiądziesz? – zapytała.

Był to uprzejmy gest, rzadko zdarzający się na Księżycu podczas wizyt. Ostatnio dużo chodziła po pokoju albo odbywała długie spacerunki korytarzami, wokół jeziora lub po dnie krateru na powierzchni. Najwyższa pora wrócić do codzienności.

Gość skłonił głowę, co było mniej więcej odpowiednikiem podziękowania, i spłynął na krzesło. Dagny usiadła naprzeciw dziewczyny i podjęła:

– Masz ochotę na herbatę, kawę, może coś mocniejszego?

– *Grace*, nie. – Etana patrzyła na swoje splecione na kolanach ręce. – Przyszłam, bo... wiedziałam, że zrozumiesz... – Lunarianie rzadko się tak wahali.

– Mów, moja droga – zachęcała ją łagodnie Dagny. Ciemne oczy napotkały spojrzenie jej wyblakłych, niebieskich.

– Myśleliśmy, żeby złożyć go... z należnymi honorami... pod menhirem na Żelaznym

Wrzosowisku. Mogliśmy go też przywieźć, żeby krewni spalili jego ciało i rozrzucili prochy.

Dagny czekała, mając nadzieję, że wyraz jej twarzy oznacza łagodność.

– Ale zamarznącą mumię!?! – wykrzyknęła Etana. – Po co? – Już spokojniej dodała: –

I chociaż siłą rzeczy musimy ukrywać okoliczności jego śmierci, takie matactwa na jego pogrzebie to coś nie do przyjęcia, prawda?

– Poszłabyś? – myślała na głos Dagny, nie do końca zdając sobie z tego sprawę.

Lunarianom nawet nie chciało się drwić z ziemskich uroczystości, po prostu ich unikali.

Boże Narodzenie bez wnuków to ciężka próba.

– Przyszliby twoi przyjaciele i nie przypadłoby im do gustu, że rodzeństwo i towarzyszki łoża się nie pokazały. – Etana urwała. – Ale bez ciała, które można by złożyć na wieczny spoczynek, nasza nieobecność nie ma chyba znaczenia?

– Szczerze mówiąc, nie urządziłabym pogrzebu – oznajmiła Dagny. – Mój mąż sobie nie życzył. Ja również. Starczy, że pamiętacie.

– Tylko tyle? Towarzyszki łoża będą... Ale to nic. Dagny nie wypytywała o te ich obrzędy.

Młodsze pokolenia nie dbały zbyt o dyskrecję; po prostu nie wciągały w swoje obyczaje obcych, nic im o nich nie opowiadając. Wspomnienie zawodu, jaki spotkał kilku antropologów, przy wołało jej na usta uśmiech, pierwszy od momentu otrzymania wieści.

– W końcu – ciągnęła Etana – zrobiliśmy z Brandirem to, co uznaliśmy za godne jego i naszej czci.

– Wiem. – Dagny skinęła głową.

Brandir wszystko jej opowiedział. Gdy powracający statek osiągnął optymalną prędkość,

Kaino oddalił się w rakiecie kurierskiej, której trajektoria prowadziła wprost do słońca.

Etana z trudem podjęła zwierzenia.

– Bałam się, że Brandir nie dość jasno przedstawi moje... uczucia... i dlatego się tu zjawiłam

– Dziękuję – odparła autentycznie poruszona Dagny. Nie byli pozbawieni serca, ci

Lunarianie, jej dzieci, ich dzieci. Naprawdę. Ale takie osobiste tematy należało omijać szerokim łukiem. – Jak czuje się Hitu?

Nie miała czasu zasięgnąć języka, dowiedziała się tylko, że wrócił żywy, ale wymagał operacji kręgosłupa i pomniejszych bionapraw. Zbyt pochłaniał ją żal, odbieranie kondolencji i dwakroć błogosławiona praca.

– Dobrze – rozpromieniła się Etana. – Wkrótce powinien być zdrow jak ryba. Tym sposobem stanie się pamiątką po Kaino.

Zabrzmiało to jak wyuczona lekcja. Jednak radość dziewczyny sprawiała wrażenie szczerej, dlatego nie należało też wątpić w jej wdzięczność.

– Czyli ci na nim zależy?

Twarz Etany przybrała wygląd maski. Dagny pospiesznie zmieniła temat.

– Mam nadzieję, że w świecie, który badał także mój syn, pamięć o nim nie zaginie. Gdyby tylko... – Nie, tę myśl również lepiej zarzucić.

Jednak podjęła ją Etana, przepełniona współczuciem, ale już stanowcza.

– Zdajesz sobie przecież sprawę, że to musi pozostać w pałacu pilnie strzeżone miejsce dla garstki wybrańców. W przeciwnym wypadku Ziemia zamknęłaby przed nami wrota kosmosu.

Paranoja. Może tak, może nie. Odkrycie Temerira mogłoby nadawać się na kolonię – lunariańską. Przyciąganie było odpowiednie, minerałów obfitość, dostęp do ich złóż łatwy, ponieważ nie były pogrzebane pod kilometrami lodu, jak na kometach; była woda, amoniak i pierwiastki organiczne, można też było zwozić z innych ciał w pobliżu.

Ale kto chciałby osiedlić się tak daleko, w temperaturach bliskich absolutnemu zeru?

Zdaniem Dagny Brandir i jego sprzymierzeńcy coś kręcili. W sumie Lunarianom ani nie zabraniano badań i cywilizowania asteroid w Pasie Kuipera i pomniejszych księżyców odległych

planet, ani ich do tego nie zachęcano. A wszystko mimo ich znacznie lepszego przystosowania do panujących tam warunków niż na przykład ludzi typu ziemskiego; pod pewnymi względami przewyższali nawet roboty.

Nie mogła się jednak powstrzymać do końca:

– A kiedy je sobie sami otworzycie?

– W odpowiednim czasie. Być może wtedy od dawna nie będzie nas wśród żywych.

Wybieganie tak daleko w przyszłość było niehumaniczne, podobnie jak pewność, że sekret pozostanie nienaruszony. Dagny westchnęła.

– Tak, Brandir, Temerir, Fia rozmawiali ze mną na ten temat. Nie bójcie się, dochowam tajemnicę, nie zdradzę was.

– Tym większa twoja chwała – powiedziała z wyjątkową serdecznością Etana.

Wyraźnie nie miała ochoty na rozmowę o Kaino, mimo że była jego towarzyszką. Co działo się teraz w sercach innych jego kobiet? Miło z jej strony, że przyszła porozmawiać, nawet krótko, z jego matką. Dagny wolała nie ryzykować i nie drażnić tematu. Mimo wszystko nadarzała się chyba szansa, by postawić mu... no, coś w rodzaju cenotafu.

– Ale mam pewną propozycję – zaczęła. – Wymyśliliście już nazwę dla swojej planетки?

Etana okazała zdziwienie, co sprawiło starszej kobiecie przyjemność.

– Nie. Rozmawialiśmy o tym z Brandirem pewnego dnia podczas podróży, ale nic nie wymyśliliśmy. O ile wiem, inni także się nad tym nie zastanawiali. – Kolejna niehumaniczna cecha.

Młoda kobieta siedziała przez chwilę w milczeniu. – Tak, jakaś nazwa by się przydała.

– Prozerpina – podsunęła Dagny.

– Co?

– Taka daleka i samotna, jeszcze za Plutonem, a była boginią świata podziemi i zmarłych – pasuje na jego patronkę.

– Czy nie mamy już gdzieś Prozerpiny?

– Być może. – Dagny wzruszyła ramionami. – Asteroidę? Nie sprawdzałam. Sama wiesz, że istnieją dublety.

– Co sądzą o tym twoje dzieci?

– Jeszcze nie pytałam ich o zdanie. Pomysł przyszedł mi do głowy zaledwie wczoraj. Co ty na to?

Etana podparła brodę i spojrzała w dal.

– Melodyjna nazwa. Bogini zmarłych – bo przez nią straciłaś syna?

Morze ryczało.

Dagny wyprostowała się.

– I dlatego, że co roku na wiosnę Prozerpina powraca do świata żywych.

Prajnaloka dorównywała pięknnością okolicy, w której leżała. Z górskiego szczytu wzrok ogarniał w oddali pasmo Ozark, ciemnozielone w blasku słońca, zapuszczał się w dolinę z płynącą tam rzeką o nurcie barwy rtęci i sięgał cumulusów, pędzonych wiatrem przesyconym aromatami ziemi. W ciszy rozlegały się tryle lelka, przez nieruchome powietrze niczym jęzor ognia przemknął kardynał. Góry były stare, działaniu żywiołów zawdzięczały łagodność zboczy z białego lub bladozłotego wapienia. Od niepamiętnych czasów trwało na nich życie.

Niewielka społeczność skupiała się wokół *asramy*, instytucji usługowych i domostw.

Budowle sporządzono z naturalnego drewna, były niskie i rozległe, kryte stromymi dachami, większość miała od przodu ganki, na których ludzie mogli zbierać się w zapadającym mroku.

Okalały je wielobarwne klomby. Sadyba sprawiała wrażenie części krajobrazu. *Asrama* wznosiła się w centrum, jej masywną bryłę otaczały prostokąty, tonące w cieniu buków i magnolii; jednak materiałem był miejscowy kamień, a całość kojarzyła się z Oksfordem. Opatrzony skrzydłami przekaźników maszt łącznościowy stanowił po prostu naturalny dodatek, najwyższą spośród iglic.

Kenmuir i Aleka byli zbyt znużeni, by podziwiać wszystkie te widoki. Jutro, pomyślał mężczyzna. Robił, co mógł, chodząc po obozie w towarzystwie przewodnika i starając się zrozumieć słowa ciemnoskórego człowieczka z białą brodą i w białych szatach.

– *Nie, por favor*, nie przepraszajcie. Zostaliśmy uprzedzeni, że nie możecie powiedzieć, kiedy się tu zjawicie...

Przez Mary Carfax, która zarezerwowała miejsca na nazwisko Aleki Karne i Johana.

Kenmuir musiał sobie stale przypominać, że podczas ekspedycji nosi właśnie takie nazwisko.

– ...zresztą my w ogóle niezbyt poważnie traktujemy plany. Z reguły mamy wolne kwatery.

W naszych programach bierze się przeważnie udział na odległość.

Jak w ogóle w większości spraw, pomyślał tępo Kenmuir. Ejdofon, telekonferencja, multiodbiornik, vivifer, quivira, jak często ludzie mieli okazję oddalenia się z domu na jakąś znacznie większą odległość?

– Nie wiem tylko dokładnie, czego szukacie – dodał San – dhu.

– Oświecenia – odparła Aleka.

– To słowo ma wiele znaczeń, a drogi wiodące do każdego z nich są niezliczone.

– Naturalnie. Liczymy, że cyberkosmos uchyli nam rąbka tajemnicy. Do tego celu potrzeba nam sprzętu, który wy posiadacie. – Kenmuir zazdrościł jasności i energii, z jaką mówiła. Cóż, była młoda, umiała szybko otrząsnąć się ze strachu i napięcia.

Mentor niemal zmarszczył brwi.

– Jedynie synojontowie potrafią nawiązać bezpośredni kontakt z cyberkosmosem.

– Oczywiście, *sehor*. To wszystkim wiadomo. Ale na przykład wskazówki na temat zrozumienia jedności czasoprzestrzeni i umysłu, udzielane przez bazy danych i sofotektycznych nauczycieli... – Uśmiechnęła się. – Czy się wymądrzam?

– Niezbyt. – Sandhu odwzajemnił uśmiech. – Za to wykazujesz pełną powagi naiwność.

Badania i rozmyślania, o których mówisz, to właśnie przedmiot naszych zainteresowań. Ale dochodzi się do nich przez całe życie, a i tego czasu nie zawsze wystarcza. Wy zaś mówicie, że możecie spędzić tu zaledwie krótką chwilę.

– Chcielibyśmy spróbować, *sehor*, i przekonać się, czy jesteśmy... godni. Wtedy może kiedyś...

Sandhu pokiwał głową.

– Wielu żywi takie nadzieje. *Bueno*, widzę, że jesteście zmęczeni. Dzisiaj tylko się rozgośćcie. Jutro otrzymacie wstępne instrukcje i sprawdzimy wasze talenty. A dziś odpocznijcie. – Wskazał ręką dookoła. – Chłońcie piękno. Do dna.

Zaprowadził ich na kwatery, urządzone jak pokoje w akademikach. W części męskiej było tylu lokatorów, że Kenmuir mieszkał w jednym pokoju – dwie leżanki, dwa biurka, dwa krzesła, szafka – z nowicjuszem z regionu brazylijskiego. Przy prostym posiłku w refektarzu Aleka szepnęła mu, że jest w pokoju sama. Był to łut szczęścia, chociaż nawet bez tego jakoś załatwiłaby osobną kwaterę, tyle że bardziej pokrętnymi sposobami.

Przy stole kilkunastu towarzystwo rozmawiało w przyjacielskiej atmosferze o niezbyt ważnych sprawach. Potem część z pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu gości i kilku stałych Poszukiwaczy Duszy spędziło trochę czasu razem lub oddawało się spokojnym grom. Kenmuir, który nie miał na to ochoty, wyszedł na zewnątrz. Nikt nie okazał mu dezaprobaty; w tym gronie panowała wielka różnorodność Dao. Stał na tarasie i wdychał letnie aromaty. W dole światła wioski przechodziły w mrok lasu, nad głową świeciły gwiazdy i Księżyc w nowiu, wokół pląsały świetliki. Po pewnym czasie mężczyzna wrócił do sypialni.

Współlokator już tam siedział i studiował na czytniku jakiś tekst. Był zarliwym młodzieńcem, który przedstawił się jako Cavalheiro. Kenmuir nie mógł wykręcić się od rozmowy. Okazała się ciekawa.

– Szukam Boga w quivirze – usiłował wyjaśnić Cavalheiro. Na twarzy słuchacza natychmiast odmalowało się zdumienie. – No, tak. Zastanawiasz się, czy nie oszalałem. Quivira daje co najwyżej złudzenie działające na wszystkie zmysły, marzenie o pewnej rzeczywistości. To prawda. Jednak nie pozostawiamy inicjatywy programowi. Wchodzimy z nim w interakcje. W efekcie dane zdarzenie wywiera wpływ na mózg i zapada w pamięć tak samo, jak coś rzeczywistego.

– Nie bardzo – zaproponował Kenmuir. – Bo widzisz, po każdym seansie w quivirze wiem, że cały czas leżałem w zbiorniku.

– Potrzeba ci tylko rozrywki, a czasami nieco wiedzy – stwierdził Cavalheiro.

Niezupełnie, dodał w myślach Kenmuir. Podczas długich wypraw w kosmosie pobyt w quivirze był lekiem na zubożenie danych zmysłowych. Dzięki temu człowiek zachowywał rozsądek.

– Ja poszukuję sensu świata – ciągnął Cavalheiro. – Używam programów napisanych przez osoby, które całe życie tropiły boskość. Pomagały mi sofotekty od dawna zaznajomione z ludźmi, korzystające z doświadczeń każdej religii w dziejach i poruszające się myślą o całe rzędy wielkości ponad nami. Koncepcje zawarte w programach wykraczają poza słowa, obrazy, świadomość. Sięgają głębi ducha i otchłani kosmosu. Uważam, że jest w nich Teraumysł.

– Hm, a mogę wiedzieć, jak... się wtedy czujesz?

– Jest to wielorakie zjawisko. Wołałem do Indry i odpowiedział mi w grzmotach. Zadawałem pytania Jezusowi Chrystusowi. Czuję współczucie Kwan-Yin. Ja... nie, nie da się opowiedzieć o zbliżeniach do *samadhi*. Ale czy nie rozumiesz, że to interakcja? Ja w mikroskopijnym stopniu formuję bóstwo, a ono napełnia mnie i kształtuje.

– Czyli zarazem znajdujesz i tworzysz swojego Boga? – zaryzykował Kenmuir.

– Usiłuję zrozumieć i przeniknąć Boga – odparł Cavalheiro. – Nie jestem na tej ścieżce wyjątkiem. Nikt żywy nie przemierzył jej do końca i wydaje mi się, że nie uda się to żadnemu człowiekowi. Ale o to chodzi w naszym życiu.

Gdy Aleka zręcznie, acz ogólnikowo opisała intencje swoje i Kenmuira, pozwolono im na przystąpienie do dzieła. Było już wczesne popołudnie. Powiedzieli, że teraz zechcą się przejść, a pracę rozpoczną nazajutrz.

– Doskonały pomysł – przyklasnął Sandhu. – To, czego pragniecie, leży ukryte zarówno w świecie ożywionym, jak i wszelkich abstrakcjach. – Nakreślił znak w powietrzu. –

Błogosławię wam.

Szlak wił się po zboczu wśród lasów. Sami wybrali taki, który sprawiał wrażenie mało

uczęszczanego. Chcieli w samotności zaplanować strategię działania. Czas jednak mijał, a oni szli w milczeniu.

Nad ich głowami szeleściły poruszone lekkim wiatrem liście. Z początku te szelesty i odgłosy stąpania były jedynymi dźwiękami, tylko czasami zaskrzeczała i pomknęła w górę jakaś wiewiórka albo z cienistych głębi dobiegło nawoływanie ptaka. Płasały świetlne refleksy. Pod dachem z liści powietrze było ciepłe i ciężkie. Przeszli kilka osypujących się, omszałych bloków, które jak na oko Kenmuira stanowiły resztki dawnego traktu; ale jeśli nawet było tu kiedyś miasto, dawno już opustoszało, zostało zniszczone i pochłonięte przez puszcę. Wkrótce usłyszał szmer płynącej wody. Ścieżka doprowadziła ich do strumyka, który wirował i pryskał, tworząc niewielką kaskadę spływającą do jamy, gdzie jagody kiwały się na gałązkach, zachęcając drozdy.

Przystanęli, chcąc napić się wody. Była chłodna. Smakowała dziką naturą. Kenmuir wyprostował się, wytarł usta i westchnął.

– Piękna kraina. I jaka spokojna. Jak z innej planety. Aleka obrzuciła go zaintrygowanym spojrzeniem. W tym miejscu, pod rzednącym baldachimem zieleni, jej skóra, pokryta lekką mgiełką potu, lśniła bursztynowo.

– Z innej niż która?

– Niż okolice, w których ostatnio bywaliśmy. – Kenmuir się skrzywił.

– Chyba coś ci się pomyliło. To tam są obce planety. Ta jest normalna, nasza.

– Jak to? – zapytał zdumiony.

– No, sam mówiłeś. Tu jest pięknie i spokojnie. Jak na dużej części Ziemi.

– No, nie wiem...

Wrócił myślami w przeszłość. Wzgórza, wrzosek i dzwonki, doliny i jeziora, stare sioła i przyjazna atmosfera tawern z czasów młodości. Przewidywał lasy, łąki, sawanny, majestat

rogatych dzikich zwierząt i śmiertelnie zwinnych drapieżników, dziesiątki tysięcy ptaków na niebie. Starożytne miasto za murami, troskliwie zachowane. Miasto otoczone parkami. Miasto dryfujące na morzu. Wioska, w której każdy dom był wiecznie przemieszczającą się rakieta. Gitara skarżąca się w podzwrotnikowym zmroku lub igloo na Arktyce. I nikt nie żyje w ścisku, nikt się nie boi... chyba że sam sobie tego życzy!

– Ta-tak – przyznał. – Na większej części. A kiedy ktoś wybiera co innego, na przykład życie w mieście, być może tak woli. – Myślał o Pustynnkach. – Sam nie wiem, jaki mają wybór, ale na pewno nikt ich nie zmusza.

Aleka przechyliła głowę – zafalowały czarne włosy barwy obsydianu – i uważnie mu się przyjrzała.

– Jesteś myślącym *kanaka* – zauważyła.

– Dajesz mi do myślenia. – Zupełnie niepotrzebnie się zaczerwienił.

– Nie, masz to we krwi.

– No, ale otwierasz mi oczy na wszystko, co jest na Ziemi. Mimo słońca poczuł nagły chłód.

Co on tak naprawdę wiedział o Ziemi? O wspólnym dziedzictwie ludzkości? Jego wszechświat skurczył się do skał i lodu, rozproszonych placówek istot, w których żyłach nie płynęła ta sama co jego krew, i jednej spośród nich, której żarliwie pożądał, doskonale wiedząc, że ona go nie kocha. Jakże się ucieszył, kiedy Aleka sprowadziła go spośród gwiazd na ziemię:

– Nie twierdzą, że ten świat jest doskonały. W niektórych częściach dzieje się bardzo źle. Ale ogólnie rzecz biorąc, nadchodzi Złoty Wiek.

Spór był doskonałą drogą ucieczki:

– Jak możesz tak twierdzić, kiedy sama...

– Mówię, że nie jest doskonały. – Tupnęła nogą. – Trzeba dużo poprawić. Czasami poprawianie jeszcze wszystko pogarsza. Wtedy trzeba stawić opór. Jak my teraz.

Kenmuir przypomniał sobie gorzką nienawiść Lilisaire i innych Lunarian w stosunku do gładko obracających się trybów tego świata. Przypomniał sobie, jak przynależące do tego systemu maszyny wypierają ich z kosmosu. Uczuł cierpki smak ich słów.

– Rozumiem, że nie podzielasz powszechnej wiary w absolutną mądrość i dobroć cyberkosmosu?

– Cyberkosmos nie ma znaczenia. – Wzruszyła ramionami. – Mamy jednak do czynienia z ludźmi. Tak samo krótkowzrocznymi i występnyymi, jak zawsze.

– Ale system – rady, których nieodmiennie słuchają rządy

– usługi, wszechobecne jak powietrze, a my tak uzależnieni...

– W ramy tych usług weszło chyba ostatnio dodawanie różnych substancji do napojów; czy coś jeszcze?

– To znaczy, czy wydaje mi się, że maszyny są czyste, a całe zepsucie jest efektem ludzkiej ingerencji? Nie. – Śmiech Aleki nie był przekonujący. – Możliwe, iż jestem ekscentryczką, nie dzielając poglądu, że Teraumysł ma cokolwiek wspólnego z Bogiem.

– W takim razie ja też jestem ekscentrykiem – podchwycił Kenmuir.

Czym jest Teraumysł? – przemknęło mu przez głowę. Szczytem, wyrazem cyberkosmosu najwyższego rzędu? Nie. Pomniejsze umysły sofotektów, przewyższające wszystko, o czym mógł marzyć ludzki mózg, uczestniczyły w nim, chociaż nim nie były, tak jak strome zbocza i turnie nie są szczytem góry. Jeden obejmujący całą planetę organizm byłby zbyt powolny, zbyt ociężały; w porównaniu ze skokami myśli prędkość światła to żółwie tempo. Wciąż doskonalące się maszyny stworzyły motor świadomości na najwyższym poziomie, gdzieś na Ziemi...

W bieli na tronie, strzeżony w jaskini Zamieszkał prorok, co pojmuje, Czemu ludzie się rodzą (...)

I zajmuje się swymi tajemnicami, jednocześnie powiększając własną moc; nie był jednak

wszewiedzący ani wszechmocny, nie był wszędzie.

Jego podwładni mogą jednak czaić się wszędzie.

Musi założyć, że tutaj ich nie ma. W przeciwnym razie walka jest już przegrana.

– W zasadzie przyznaję, że to dobry świat – oświadczyła Aleka. Jej wzrok szukał spokoju we wzburzonej wodzie. – Nie chcę go obalać. Mam wyrzuty sumienia, że okłamujemy swoich przyzwoitych, miłych gospodarzy. Zależy mi tylko na swobodzie dla mojego ludu.

I w tym celu rzeczywiście kłamała, myślał Kenmuir, i stawia czoło całej cywilizacji, o której tak pochlebnie się wypowiada, dopóki nie wygra albo świat nie przekona jej, że walczy w niesłusznej sprawie.

Czemu jej nie przekonał? Po co ta tajemnica, te... machinacje?

– Ja też nie jestem rewolucjonistą – stwierdził, choć rodził się w nim bunt. – Chciałbym tylko nieco, powiedzmy, naruszyć istniejący porządek.

Znowu na niego popatrzyła. Podczas tych kilku godzin w Overburgu właściwie nie zdążyli się poznać. Zdawał sobie boleśnie sprawę z pełni jej kształtów, ust, piersi, bioder i krągłych, mocnych nóg.

– A to dlaczego? – zapytała.

– A... – zawahał się, zbyt zapatrzony w siebie. – Kiedyż to ostatnio zdarzyło się naukowe odkrycie, które miało znaczenie większe niż kolejne miejsce po przecinku lub wykopaliska archeologiczne? Gdzie jest awangarda w muzyce, grafice, poezji, sztuce? Gdzie awanturnicze kresy?

– Niemniej jednak – zripostowała pełna zacięcia – nie chcesz dopuścić do powstania Biotopu.

Misja Lilisaire, pomyślał. Jego egoizm. Ale do tego nie mógł się przyznać. Zwłaszcza przed samym sobą.

– Społeczeństwo lunariańskie zasługuje na przetrwanie – odparł mało przekonująco. –

Czegoś takiego tu nie ma, to, hm, sól Ziemi. – Rozglądał się rozpaczliwie po lesie. – Bo widzisz, oni stworzyli własne piękne miejsca.

MATKA KSIĘŻYCA

Stanowili trio, które przyciągało spojrzenia przechodniów w Tychopolis – masywna kobieta z białą grzywą włosów, bruzdami na czole, w okolicach ust i oczu, za to wyprostowana i idąca elastycznym krokiem, wysoki mężczyzna, również zrodzony na Ziemi, o kędziorach tak samo białych i pobrużdżonej twarzy, także cieszący się jeszcze pełnią sił, i Lunarianin, o ciemnomiedzianej cerze i nocnych włosach, przy których skośne, szare oczy wydawały się dwa razy większe. W szkarłatnej pelerynie o szerokiej kryzie, złoto-brązowej tunice z klejnotem w kształcie słońca u pasa i niebieskich pończochach zdawał się jakby odcinać młodzieńczą fantazją od prostych uniskafandrow dwojga starszych; przeczył temu jednak zacięty wyraz twarzy.

Przystanął przy zamku i podał swoje imię portalowi. Ten otworzył się i ich oczom ukazał się terminal wind.

– To wejście służbowe – wyjaśniał. – Trwają prace remontowe, więc wstęp jest zasadniczo wzbroniony.

Mówił po angielsku w sposób prostszy niż większość rówieśników, mniej też rozciągał zgłoski, być może dlatego, że w pracy musiał korzystać z wielu ziemskich baz danych i porozumiewać się z terrańskimi ekspertami.

– O tym rzecz jasna słyszałem – odpowiedział Lars Ryd – berg. – Tylko nie bardzo wiem, co to za prace.

Eyrnen zaprowadził ich do windy.

– Nie możemy pozwolić, żeby zwierzęta, nasiona i niższego rzędu stwory przedostały się do miasta. Wyobraźcie sobie gniazda os w szybach wentylacyjnych, wiewiórki podgryzające przewody elektryczne albo zdolne do błyskawicznych mutacji zarazki, które mogłyby nas

porządnie zaskoczyć.

Dagny Beynac od razu wyczuła czające się w słowach tamtego zarzuty.

– Mój syn jest świadom takich oczywistości – rzuciła kwaśno.

– Proszę o wybaczenie – zwrócił się Eyrnen do Larsa. Nie zabrzmiało to zbyt szczerze. –

Chciałem tylko mieć pewność, że widzicie ten problem w całej okazałości. Niektórym nasze położenie myli się z sytuacją w kolonii L-5. Tam powstały zaledwie niewielkie, trzymane pod ścisłą kontrolą parki. My tutaj tworzymy dziką przyrodę.

Rydberg podchwycił jego na pół ugodowy ton:

– Nie przejmuj się. Wiem o tym wszystkim, ale ciekawią mnie szczegóły techniczne. Bardzo się cieszymy, że nam tyle pokazujesz.

Pieszvli się, mimo że babka bioinżyniera wyraźnie zażądała tego dla siebie i swojego gościa, a prośba Dagny Beynac miała na Księżycu rangę zbliżoną do królewskiego rozkazu. Mimo to wielu Lunarian by jej nie posłuchało lub przynajmniej skorzystało z okazji, by demonstracyjnie obnosić się z lodowatą bezczelnością.

To dziwne, że tyle wrogości okazuje jej syn Jinann, której charakter był najbardziej ziemski spośród potomstwa Beynaców, która żywiła najbardziej przyjazne uczucia wobec świata rodziców. Cóż, Eyrnen to już następne pokolenie.

Ale czy faktycznie jest do nich źle usposobiony? Rydbergowi jego zachowanie kojarzyło się z kotem, który demonstruje swą siłę przed psem, przestrzega obcego przed konfliktem. Czy Eyrnenowi chodziło o wywarcie takiego wrażenia? Rydberg powstrzymał westchnięcie. Nie rozumiał Lunarian. Zastanawiał się, w jakim stopniu pojmowała ich naturę matka.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mówił tymczasem inżynier. – Moja pani babka od bardzo dawna nie gościła w tych okolicach. Pojawiło się dużo nowości. – Nie dorzucił przy tym z miejsca, że wolałby, gdyby zjawiała się bez towarzystwa. Podjął tylko: – Ostatnimi czasy nadto

pochłaniało ją działanie w imieniu swego ludu. – Znow pominął milczeniem ingerencje Ziemi.

Rydberg nastawił uszu. Rzeczywiście daleko się zapuszczali. Z podziwem słuchał riposty

Dagny:

– Mnie też ciekawiłyby te techniczne detale. No, widzę, że macie tu długi tunel do przewozu w obydwie strony ciężkich ładunków i pasażerów. Zamknięcia na obydwóch końcach odcinają dostęp co większym zwierzętom z rezerwatu. Jak już mówiłeś, przemknąć się mogą robaki, nasiona, mikroby i tym podobne. Ale mnie zdawało się, że czujniki i miniroboty mają na nie oko.

Nie słyszałam o przypadkach, z którymi nie można byłoby sobie poradzić.

Niewykluczone, że właśnie odwzajemniała się Eyrnenowi pięknym za nadobne, maskując wszystko uśmiechem. Przyjął tę grę, odparowując:

– Postępy izolacji istot żywych z zewnątrz mają po części charakter jakościowy, polegający na ulepszaniu technologii, lecz przede wszystkim ilościowy, gdyż stosujemy coraz więcej różnych urządzeń. W miarę jak ekosystem na zewnątrz wzmacnia się, rozmnaża i powiększa, narastają naciski do środka. Trzeba je przewidywać.

Winda zatrzymała się z sykiem, drzwi rozsunęły się i wszyscy troje wyszli na balkon, z którego widać było wijącą się w dół spiralę rampy. Rydberg wstrzymał oddech.

Stał tuż pod pułapem pieczary, której dno znajdowało się jakieś dwa kilometry niżej.

Wpuszczone w sufit lampy w kształcie słońc świeciły jeszcze łagodnie, gdyż według tutejszych rytmów był „ranek”. Pomieszczenie ogrzewały podmuchy wiatru, który niósł z zewnątrz leśne aromaty, słodkie i gęste. W powietrzu wisiała błękitna mgiełka; odległe o dziesiątki kilometrów przeciwległe ściany zdawały się niewyraźne, na poły rzeczywiste. Tu i ówdzie płynęły niewielkie obłoki, przelatowały ptaki. Widzieli także lecącego człowieka, który rozkładał roziskrzona skrzydła, zniżając lot i szybując w górę bynajmniej nie dla zabawy – od tego były miejsca w rodzaju parku Avis – ale po to, by obserwować całą dziedzinę. Kraina rozciągała się

w tysiącach odcieni zieleni: koron drzew, łąk obsypanych gwiazdami kwiatów, wodospadu, który tryskał z gładkiej skały i tworzył jezioro, skąd wypływał mieniący się w blasku strumień...

Eyrnen odczekał, aż w milczeniu nasycą się widokiem, by oznajmić:

– To ruszamy. Czy wezwać samochód, żebyśmy mogli przejechać rampę?

– Ja dziękuję! – zawołała Dagny Beynac.

Pognała naprzód lunariańskimi susami jak mała dziewczynka.

– To cudowny twór – stwierdziła podczas poprzedniej nocnej straży. – Sama nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę, ale cieszę się też, że będę mogła widzieć twoje reakcje.

Zjadłszy kolację, siedzieli przy kawie i alkoholu. Pili już przed posiłkiem, który uzupełnili winem, bo był to początek kilku cykli dziennych, na które Dagny wzięła sobie wolne. Syn skończył zadanie dla Ognistej Kuli i przed powrotem do domu zamierzał spędzić trochę czasu z matką. Rzadko zdarzało im się być ze sobą. Czuli wówczas żywiej krążącą w żyłach krew i uniesienie serc.

Kolację ugotowała sama, jak zwykle doskonałą, lecz podała ją w kuchni. Ponieważ mieszkała sama, królewską jadalnię rezerwowała wyłącznie na przyjęcia. Kuchnia była aż nadto obszerna, ze sprzętami z polerowanej miedzi, meksykańską glazurą i rozlicznymi aromatami. Na przeciwległych ścianach wisiały zdjęcia przedstawiające starszego już wiekiem Edmonda Beynaca przy biurku i molekularną reprodukcję pejzażu Constable'a. W tle płynął koncert Vivaldiego.

– Z góry cieszę się na tę wizytę – oznajmił Lars. – Z tego, co widywałem na ekranach... –

Zawahał się. – Ale to za mało.

Gdyby tylko Lunarianie chcieli współpracować z mediami, przynajmniej w sprawach tak nieszkodliwych i przynoszących im taki zaszczyt jak ta, myślał. Jedyne dzięki mieszkańcom

Księżycy o ziemskim genomie Ziemia w ogóle czegokolwiek się dowiadywała. Dagny pominęła

jego uwagę milczeniem.

– Zbyt długo już nie byłam na Ziemi – przyznała. – Strasznie tęsknię za naturalną przyrodą.

– Wiele spośród tutejszych społeczności stworzyło urocze parki.

– Ach tak. – Jej spojrzenie powędrowało ku obrazowi. – Ale nie ma żyjącej natury.

– Jeśli tego ci brakuje – uśmiechnął się – zajrzyj znowu do nas na wyspę Vancouver.

– Jestem już prawdopodobnie za bardzo rozregulowana, żeby znieść ziemską grawitację. –

Odwzajemniła uśmiech, potrząsając głową.

– Co, ty, w wieku zaledwie dziewięćdziesięciu lat? Nic z tych rzeczy. – I to nie tylko dzięki skrupulatnemu przestrzeganiu programu biomedycznego i regularnym, energicznym ćwiczeniom w centryfudze, dodał w myślach. W loterii dziedziczenia genetycznego trafił jej się szczęśliwy numer, a efektami podzieliła się również z nim. Będąc po siedemdziesiątce, nie czuł się zbyt staro. – Naprawdę, wpadnij.

– Być może, być może. – Westchnęła. – Jest ciągle tyle roboty, a miesiące przepływają jak sekundy.

– To może na Boże Narodzenie – nalegał.

– Z twoimi wnukami! – Rozpromieniła się. Prawnuki miała również tutaj, lecz były Lunarianami.

Był pewien, że je kocha, a i małe z pewnością żywiły sympatię do starszej pani, która przynosiła prezenty i zachowywała na tyle umiaru, by ich nie całować ani nie rozplýwać się z radości; ale czy słuchały jej opowieści i piosenek z jakimkolwiek głębszym uczuciem, czy miały ochotę z nią figlować?

– Postaram się sam.dorobić jakiegoś prawnuczka na twoje setne urodziny! – zawołał.

Roześmiała się cicho. Światło odbiło się od jakiegoś wilgotnego punktu w jej oczach.

– Cudowny jesteś, gdy tylko kropla alkoholu rozpuści w tobie ten szwedzki krochmal. –

Popatrzyła na zdjęcie męża. – Och, Mond – wyszeptała – jaka szkoda, że go lepiej nie poznałeś.

Fotografia była animowana. Jako że nie mieli przed sobą żadnych tajemnic, Lars zadał pytanie, które w normalnych warunkach nigdy by mu się nie wymknęło:

– Często to ożywasz?

– Już nie. Wiesz, tak dobrzeje znam...

– Tyle lat – wyrzucił. – I ciągle sama. Na pewno miałaś propozycje.

– Całe mnóstwo. – Wjej głosie na nowo zadźwięczała radość. – Chociaż ostatnią złożono dość dawno temu. Czasem mnie kusiło, ale nigdy dość mocno. Odpadali w porównaniu z Mondem.

Uśmiech zbladł. Odwróciła wzrok.

– Mond – dokończyła – zmienił się jakby w sen, który zdarzył się bardzo dawno temu.

– Żyjemy snami, prawda? – odparł łagodnie.

Był to las strefy umiarkowanej. W pobliżu Port Bowen tworzono środowisko tropikalne, jednak nie tak bardzo zaawansowane, ponieważ koparki nie miały tyle szczęścia, by natrafić na jamy takiej wielkości, jak ta. Mówiło się o zrobieniu prerii lub niewielkiego morza pod Kraterem Korolewa, lecz najprawdopodobniej ludność i przemysł Drugiej Strony pozostaną zbyt słabe, by podjąć takie zadanie jeszcze przez kilka dziesiątków lat.

Eyrnen prowadził krewniaków ścieżką, którą ocieniały liście wiązów, jesiony i rzadsze dęby; w poszyciu pod ich listowiem zaczynały dojrzewać dzikie porzeczki. W głębi lśniły białe pnie brzóz, a światło znaczyło cienie cętkami. W powietrzu fruwały barwne motyle; wilgotną ciszę naruszyło kukanie kukulki. Pod stopami na drodze szeleściły suche liście pozostałe tu z poprzednich lat. Pachniało latem. Nie była to jednak żadna terrańska puszcza. Wzrost wymusiła biotechnika, a niska grawitacja pozwalała roślinom piąć się na zawrotną wysokość.

Jakieś skrzydlate stworzenie przemknęło obok nich i zanurzyło się z powrotem w gąszcz.

Małe, o jaskrawym futrze i z ogniem pełniącym rolę steru. W ślad za nim rozległ się przenikliwy krzyk.

– Co to? – spytał Rydberg.

– Nietoperz dzienny – oznajmił Eyrnen. – Jeden z naszych eksperymentów genetycznych.

Jest ozdobą, a ponadto mamy nadzieję, że będzie utrzymywał populację niezbędnych owadów na stałym poziomie.

– Dużo wody upłynie, po drodze popełnicie parę błędów, zanim dorobicie się prawdziwego, autonomicznego ekosystemu – stwierdziła Dagny Beynac.

– Ewolucja zachodzi szybciej niż przewidywaliśmy – odparł Eyrnen. – Dożyję czasów, kiedy będzie można przejść się po naprawdę dzikim miejscu.

– Mało prawdopodobne – zaproponował Rydberg. I od razu tego pożałował. Zły to zwyczaj torpedować czyjeś przekonania.

Eyrnen obrzucił go groźnym spojrzeniem i burknął:

– A w jakim stopniu autentyczna jest ta wasza tak zwana natura na Ziemi?

– Spokojnie, chłopcy – wtrąciła się Dagny. Takie było jej zadanie. Zwróciła się do Rydberga:

– Nie bądź taki wybredny, skarbie. Co my w ogóle wiemy o naturze? Życie poradzi sobie bez starań ludzi czy robotów, dopóki będzie napływać energia; a nie zapominaj, że to energia słoneczna, której starczy jeszcze na kilka miliardów lat.

– Fakt – przytaknął Rydberg.

Światłowody, które przenosiły ją z powierzchni, raczej nie zawiodą. Rezonansy molekularne, wymuszające dwudziestoczterogodzinny cykl dziennie-nocny i przemiany pór roku, mogą ulec zakłóceniu, ale wtedy niektóre gatunki wymrą, a inne się przystosują.

Potem pojawią się nowe. W miarę jak będzie rozgrzewać się Słońce, a niekontrolowany efekt cieplarniany wypali powierzchnię Ziemi, czy ostanie się ten zdziwaczały las w głębinach

Księżycu?

Jego komentarz zabrzmiał prozaicznie:

– Z tego, co wiem, solidny ekosystem potrzebuje więcej miejsca niż ten.

– Tak utrzymują naukowcy – przyznał Eyrnen. – Ja sądzę, że będzie można wyhodować formy życia, które nie będą tego wymagały. Jest to zresztą kwestia trudna do rozstrzygnięcia, ponieważ przestrzeń zostanie znacznie powiększona. Na koniec, za jakieś sto lat, wszystko zostanie ze sobą powiązane.

– To potworna praca.

– W przyszłości do wykuwania przestrzeni, której nie zapewniła nam geologia, nie będą potrzebne maszyny. W laboratoriach wyhodowano błyskawicznie mnożące się bakterie, które potrafią już kruszyć skały. Będzie to wymagało więcej energii, niż mamy teraz do dyspozycji, a bakterie trzeba będzie przystosować do ekosystemu, ale są to sprawy, których rozwiązanie przychodzi z czasem.

Co prawda Rydberg słyszał już podobne pomysły, lecz zawsze podane w formie spekulacji.

Wysłuchiwanie ich przedstawianych na chłodno jako pewników było czymś fascynującym.

– Według ciebie, jak daleko posuniecie się za twojego życia? Eyrnen zareagował giętkim wzruszeniem ramion i gestem rąk.

– Nie tyle, ile byśmy chcieli. Nasze zasoby wykorzystywane są do wielu celów, a Ziemia jest beczką bez dna.

– Mówiłam wam przecież – Beynac uniosła pięść – że dzisiaj nie ma być żadnej polityki!

Eyrnen posłał Rydbergowi melancholijne, niemal serdeczne spojrzenie, i uspokoił się.

Ziemianin odwzajemnił się tym samym.

Lecz w duszy poczuł chłód. Chciał, szczerze pragnął nawiązać serdeczne stosunki

z pozostałymi dziećmi matki oraz z ich potomstwem. Nigdy jednak nie uzyskał niczego poza

uprzejmą obojętnością. Jego starania rozbiły się nie tylko o to, że byli inni. Porozumiewał się w życiu z metamorfami znacznie bardziej różniącymi się od ludzi. Dagny wiedziała, co stanowiło oficjalną przeszkodę, zresztą przed chwilą ją nazwała – polityka, przeklęta polityka. Lecz był to wyłącznie objaw, skutek autentycznych problemów, coś na podobieństwo gorączki lub guzów podczas średniowiecznej epidemii dżumy.

Własność; kwestia wspólnego dziedziczenia. Podatki. Szkolnictwo. Cenzus. Autonomiczne rządy: prawo, ciała prawodawcze, problem samej demokracji i jej atrakcyjności. Arystokratyzm. Legitymizacja władzy: negocjacje, prawo karne, azyl. I kolejne spory, niektóre z nich niewarte złamanego grosza, ale rany coraz bardziej się jątrzyły...

Zdaniem Rydberga powodem konfliktów były narastające tarcia między cywilizacją starą a dopiero się rodzącą; nie między starym gatunkiem biologicznym a nowym, być może niezbyt stabilnym.

Natomiast matka, Dagny, była rozdarta.

Czemu zbywała jego pytania na temat śmierci Sigurda-Kaino? Jakoś, gdzieś na odległej asteroidzie. Nie drążył tematu, bo najwyraźniej sobie tego nie życzyła. Ale dlaczego?

Milczenie wymogły na niej lunariańskie dzieci.

Myśli powędrowały do siostry przyrodniej, Gabrielli-Yerdei, będącej po sześćdziesiątce, lecz wciąż nie tracącej zakodowanego w genach zapału i daru wymowy. W głowie brzmiała mu jej lunariańska pieśń. Trudno ją było oddać w ziemskich słowach, a jego znajomość języka oryginału ograniczała się do spraw praktycznych, na których poziomie wszystkie języki są do siebie zbliżone; ale...

Uchem spokojnym jak ocean wysłuchaj mojej skargi Na blizny wyniesione ze starożytnych wojen. Twe kości pamiętaj dinozaury.

Światło poranka ożywiło wielobarwną mandalę w zwieńczonym łukiem oknie. Białe ściany błyszcząły, ich płaszczyzny przełamwały wznoszące się do sklepienia pilastry. Na podłodze leżał dywan z miękkiego i sprężystego duramchu. Krzesła, wersalki, stół i biurko wykonano z włókna naturalnego; były pełne wdzięku jak wierzbowe witki. Nic w całym pomieszczeniu nie kłóciło się pod względem stylu z dominującym tutaj zespołem konsoli, klawiatur, monitorów i innego sprzętu. Całość stanowiła jakby deklarację, że życie, ludzkość i cyberkosmos tworzyły jedność.

A taka deklaracja była jak najbardziej na miejscu, myślał Kenmuir. Ten wielofunkcyjny mechanizm łącznościowy i obliczeniowy, na poziomie zaawansowania, jakiego nigdy przedtem nie oglądał, był zaiste widokiem nie dodającym zbytnej otuchy.

Pozbawiona słów pociecha nie przekonywała go. W końcu przybywał tu jako nieprzyjaciel.

Z Aleką u boku zanurzył się w chłodną ciszę. Drzwi za ich plecami zamknęły się. Byli odcięci od świata, dopóki nie otworzą bram do cyberkosmosu.

Przełknęła ślinę, wyprostowała ramiona i zrobiła kilka kroków do przodu. On szedł nieco z tyłu. Serce waliło mu w piersi, w ustach zaschło. Ten dzień mógł okazać się dniem zwycięstwa, porażki lub klęski. Znowu czuł, że jest głupcem, który powinien stąd czmychnąć i do wszystkiego się przyznać. Ale nie, nie, to niegodne mężczyzny.

Aleka usiadła przed konsolą główną i ruchem ręki wskazała mu miejsce obok siebie. Gdy usiadł, ścisnęła mu rękę. Czuł jej ciepło, jak gdyby przepływała między nimi krew. Uśmiechnęła się.

– *Bueno* – stwierdziła. – Raz kozie śmierć.

Zwrócił się w jej stronę. Pochyliła się i pocałowała go.

Jeszcze nie zdążył zareagować, gdy odsunęła się, krótko zaśmiała i już stukała w klawiaturę.

Wiedząc, że byłoby to nielogiczne, nie wziął dziś środka uspokajającego. Teraz rozwiały się gdzieś wszystkie wątpliwości i obawy. To też nie było zbyt logiczne, ale co tam do Q! Zawsze gdy już podjął jakieś działania, uspokajał się. Za to nigdy nie czuł w głowie takiej jasności i spokoju.

– Prowadź – zakomenderowała.

Wczoraj naszkicowali plan ogólny. Potem jeszcze spędził dużo czasu na samotnych rozmyśleniach, rozważając szczegóły lub szukając natchnienia. Mimo to będą musieli posuwać się po omacku, improwizować, jego wprawa w poruszaniu się po kosmosie będzie musiała wspomóc jej znajomość systemu.

– Dzieje podróży międzyplanetarnych – powiedział niepotrzebnie. – Na początek jakiś skrót.

W ten sposób chcieli stworzyć wrażenie, że zajmują się nieszkodliwymi badaniami naukowymi, że są ludźmi, którzy nie mają nic lepszego do roboty.

Pojawił się hipertekst w trójwymiarowej konfiguracji. Aleka wpisywała komendy, które wiodły ich, temat za tematem, od pasma asteroid do Pasa Kuipera i tak dalej. Ofiary... Sigurd Kaino Beynac nie wrócił do domu. Cel jego wyprawy nigdy nie figurował w żadnej publicznej bazie danych. Tajemnica przepadła zapewne, gdy nadszedł tragiczny kres buntu Niolente. Tak przynajmniej twierdził komputer.

– To wiedzieliśmy – narzekała Aleka.

– Tak, ale chciałbym umieścić to w całym kontekście, przynajmniej tym, który istnieje – tłumaczył Kenmuir. – Potem przebadamy naukowe misje na asteroidach.

Pokazało się znane już powiązanie z osobą Edmonda Beynaca i jego śmiercią. Kenmuir kiwnął głową. Tego się spodziewał.

– Beynacowi zależało na potwierdzeniu swoich teorii na temat początków Układu

Słonecznego. Sprawdźmy, co to właściwie za teorie. Nie pamiętam ich zbyt dokładnie.

Zaczynam dochodzić do wniosku, że dziwnie rzadko widywałem wzmianki na ich temat. Mylił się, czy też komuś zależało na ukrywaniu jego hipotez? Był postacią na tyle istotną w swej dziedzinie, że nie można było zatrzeć wszystkich śladów.

Gdy przyjrzał się streszczeniu, co trochę potrwało, cicho zagwizdał.

– Mmmm, zaczynam się domyślać, jakiego ciała poszukiwał Kaino. Ale działało się to wiele lat po śmierci ojca, poza tym z pewnością nie wyruszył na ślepo. Najpierw potrzebne były poszukiwania astronomiczne. Ale nikt nigdy nie słyszał... – Wytłumaczył Alece, gdzie poszukiwać informacji na interesujący go temat, po czym kontynuował: – A tak, byłbym zapomniiał, zresztą może w ogóle nigdy przedtem nie wiedziałem, że jeden z braci Kaino prowadził wówczas na Lunie duże obserwatorium. Przejrzyjmy listę artykułów i publikacji na jego temat pomiędzy datami tych dwóch zgonów. Pojawiają się tu pewne zastanawiające luki, no nie? Odkrycie i katalogowanie odległych komet, nie ma w tym nic anormalnego, lecz... Można by pomyśleć, że badania winny przynieść odkrycie większej ich liczby. Wiemy, że gdzieś tam istnieją. Czyżby nie mówiło się o pewnych rezultatach prac? Gdybym na poważnie zainteresował się hipotetyczną asteroidą Edmonda Beynaca, mógłbym uzyskać lepsze paralaksy niż tylko te wyliczone z Księżyca. Sondy robotyczne – ich start na pewno zanotowano, nawet bez zapisania wyników.

Aleka zachichotała. Brzmiało to niczym dźwięk pękającej struny gitarowej.

– Jakie to szczęście, że cyberkosmos ma fioła na punkcie danych. Gromadzi wszystko.

– Fakt, ale część zebranych skarbów nigdy nie ogląda światła dziennego – Kenmuir umilkł na chwilę. – Wróc do Kaino. Dokładna data startu do ostatniego lotu, typ i osiągi statku, początkowe parametry napędowe, które chyba nawet wtedy zawsze zapisywano, data powrotu już bez Kaino. Wszystko to powinno być powszechnie dostępne. Tak, to mogłoby wskazywać na wyprawę w Pas Kuipera, chociaż taki kierunek daje jeszcze ogromne pole możliwości. –

Kenmuir zmarszczył brwi. – Kilka ostatnich dziesięcioleci Selenarchii. Ekspedycje wysyłane przez władców Wysokiego Zamku: Rinndalira, zanim odleciał na Alfa Centauri, po nim Niolente.

Na ich temat na pewno wypuszczano niewiele informacji, ale zobaczmy, co da się znaleźć, nie wyłączając danych pochodzących z archiwów Władz Pokojowych.

– Mówiłeś, że Władze twierdziły, iż znaczna ich część przypadkowo uległa zniszczeniu – zauważyła Aleka.

– Tak twierdziły. Zobaczy się. I znowu potrzebne są typy statków i parametry startowe. Nie było możliwości ich ukrycia, przynajmniej jeżeli wyruszali z Luny. I może uda ci się odnaleźć parę manifestów okrętowych lub tym podobnych dokumentów, okruchów faktów, które mogłyby naprowadzić nas na trop tego, co naprawdę wieźli... Ej, może ci wyjaśnię, o co w tym wszystkim chodzi.

Zgromadziwszy dane liczbowe, Kenmuir przeszedł do pomocniczej tablicy i wyliczył trajektorie, zużycie paliwa i zakres możliwych zdarzeń. Gdy skończył, usiadł i stwierdził najbardziej rzeczowym tonem, na jaki było go stać:

– To jasne jak słońce: podejrzenia moje i Lilisaire są słuszne. Przedsięwzięcie w odległych przestrzeniach kosmicznych, jakieś budowy. W tajemnicy, co oznacza, że podróże musiały być sporadyczne, a załogi możliwie nieliczne. Ale nawet w tamtych czasach za pomocą starannie dobranych i zaprogramowanych robotów można było sporo dokonać, byle tylko miało się pod ręką odpowiednie surowce.

Wstał i zaczął przemierzać pokój. Niespokojnie splatał ręce.

– Tak – ciągnął monotonnym głosem. – Rozumiesz już, Aleka? To prawie na pewno gigantyczna, żelazna asteroida Ed – monda Beynaca, krążąca w rejonach, gdzie ma unosić się tylko pył i duże i małe kule kometowego lodu. Jego dzieci strzegły tajemnicy w nadziei, że na coś się jeszcze przyda. Sekret przekazywano z pokolenia na pokolenie na pewno co najwyżej

kilku ludziom, bo w przeciwnym razie jego zachowanie przez tak długi czas nie byłoby możliwe.

W końcu Rinndalir i Niolente postanowili z niego skorzystać.

– Ryzykowny krok w sytuacji, gdy nie ma już nic do stracenia – wyszeptała kobieta. –

W przeciwnym razie ktoś spróbowałby wcześniej. Po wojnie Ognistej Kuli z Awantystami los tej pierwszej był przypieczętowany, choć umierała powoli. Selenar – chom również groziło niebezpieczeństwo. Bez wsparcia Ognistej Kuli nie mieli większych szans na utrzymanie niezależności od coraz bardziej zdecydowanej Federacji. Chyba że... świat Bey – naca... ale jak?

Co ich tam mogło czekać?

– Coś, czego rząd nie chce rozgłaszać.

– Przynajmniej część rządu. Przez tyle pokoleń ktoś puściłby w końcu parę.

– Cyberkosmos. I... – Kenmuir postanowił nie wypowiadać słowa „Teraumysł”. – Mógł spokojnie zachować całą wiedzę dla siebie, dzieląc się nią z kilkoma zaufanymi ludźmi. Gdy sprawą zainteresowała się Lilisaire, ten synojont Venator stanął na czele śledztwa, by odkryć, czego się dowiedziała i co mogą knuć Lunarianie.

Skinęła głową. Ostatnie zdanie było niepotrzebne, wypowiedziane odruchowo.

– No cóż – podjął – zdaje mi się, że z otwartych archiwów nic więcej nie wydobędziemy.

I tak udało nam się tego dokonać w zadziwiającym tempie, a wszystko dzięki tym urządzeniom.

– Rzeczywiście, poszukiwania w niemal nieskończonym świecie bitów byłyby praktycznie niemożliwe bez tak świetnie wyposażonego stanowiska. – Ale mamy jeszcze parę godzin.

Robimy sobie przerwę czy nurkujemy dalej?

– Nie potrafiłabym usiedzieć spokojnie.

– Szczerze mówiąc, ja też nie. – Znów się do niej przysiadł. Uśmiechnęli się do siebie chłodno.

Uśmiech na jej wargach zgasł. Jakby szukając pociechy, wyszeptała:

– Ciekawe, czy Dagny Beynac o wszystkim wiedziała.

– Słyszałaś o niej?

– Była na Księżycu ważną osobistością, prawda?

– Tak. Mnie wydaje się, że chyba wiedziała. Rodzeństwu konieczna byłaby jej pomoc w zacieraniu śladów działań. Ale tajemnicę zabrała ze sobą do grobu.

– Dobra – otrząsnęła się Aleka. – Podnosimy kotwicę. Trochę czasu zajęło im formułowanie pytań. Były one dość proste, lecz musiały sprawiać wrażenie zadawanych przypadkowo, w przyływie wzbudzonej ciekawości. Kenmuir ze swej strony dorzucił wszystkie konkrety, jakich zdołał się domyślić. Jednak w ostatecznej wersji pytanie brzmiało: Czy bardzo duża, zbudowana z żelaza asteroida, wyrzucona ze swej orbity we wnętrzu Układu Słonecznego, krąży w Pasie Kuipera?

Aleka wyprostowała się, oblizwała wargi i wstukała pytanie.

Rozległ się przeszywający dźwięk. Na ekranie zamigotał czerwony punkcik. Pod nim wyskoczyły słowa:

PLIK 737. DOSTĘP TYLKO DLA OSÓB UPRAWNIONYCH. WYMAGANA
IDENTYFIKACJA DNA.

Komunikat ukazał się w wielu innych językach. Aleka wyłączyła ekran.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Mężczyzna znów czuł rosnącą w sobie, stalową pewność siebie.

– To nic dziwnego, prawda? – odezwał się w końcu. – Dowód, że jesteśmy na tropie. –

Wskazał ręką dużą torbę, którą przyniosła Aleka. – To co?

– Chwileczkę – odpowiedziała. Głos miała tak samo zrównoważony jak on, lecz na czole lśnił jej pot. Kenmuirowi przyszło do głowy, że pot kobiety zapachniałby słodko, gdyby nie tłumił go jego własny. – Normalny naukowiec zastanawiałby się, dlaczego.

– Bystra dziewczyna! – roześmiał się. – Najwyraźniej znasz się na intrygach.

Skrzywiła usta. „Mogę wiedzieć, czemu plik jest utajniony?” – wystukała pytanie. Przez cały czas nie działały łącza głosowe i wizualne, dzięki czemu mogli spokojnie rozmawiać. Zresztą autentyczny naukowiec chciałby wyeliminować tego rodzaju zakłócenia uwagi.

WZGLĘDY OGÓLNEGO BEZPIECZEŃSTWA DYKTUJĄ, BY PEWNE DZIAŁANIA

I ODLEGŁE

REGIONY

WSZECHŚWIATA

BYŁY

DOSTĘPNE

TYLKO

DLA

ODPOWIEDNICH ZESPOŁÓW CYBERNETYCZNYCH. W PRZECIWNYM WYPADKU

ISTNIAŁOBY

BOWIEM

NIEBEZPIECZEŃSTWO

SKIEROWANIA

PEWNYCH

OBIEKTÓW, KTÓRYCH ORBITY SĄ NIESTABILNE, KU ZIEMI, CO MOGŁOBY MIEĆ

POWAŻNE

KONSEKWENCJE.

OBOWIĄZKIEM

CYBERNETYCZNYM

JEST

ZAPOBIEGANIE MOŻLIWYM DO PRZEWIDZENIA ZAGROŻENIOM, NAWET BARDZO ODLEGŁYM W CZASIE. INFORMACJE SZCZEGÓŁOWE SĄ UTAJNIANE DLA UNIKNIĘCIA POKUS.

MOŻNA JEDNAK STWIERDZIĆ, ŻE NIEZNANE JEST ŻADNE CIAŁO ODPOWIADAJĄCE TWOJEMU OPISOWI, A JEGO ISTNIENIE JEST MAŁO PRAWDOPODOBNE W ŚWIETLE WIEDZY KOSMOLOGICZNEJ. PATRZ... I na monitorze ukazała się bibliografia. Po tytułach i datach Kenmuir poznał, że chodzi o publikacje z czasów Edmonda Beynaca, których autorzy sprzeciwiali się jego teoriom.

– Kłamiesz – rzucił maszynie przez zaciśnięte zęby. – Kłamiesz w żywe oczy, których sama nie masz.

– Do tego potrzebna jest świadomość – szepnęła Aleka. – Rozmawiamy z sofotektem.

– Wysoko wyspecjalizowanym węzłem sieci – stwierdził Kenmuir. – Należy okazać pewną elastyczność, a nie po prostu zaprzeczać. – Westchnął. – Moglibyśmy rzecz jasna podtrzymywać pozory i przyjrzeć się tym starożytnym sporom, ale osobiście jestem za tym, byśmy kontynuowali.

– Chwila. – Aleka uniosła rękę. – Niech pomyślę.

Milczenie przeciągało się. Blade kolory rzucane na przeciwległą ścianę przez okno mandali przesunęły się znacznie do dołu od chwili, gdy tu przyszli.

Zauważył, że kobieta się w niego wpatruje, więc odwrócił się w jej stronę. Oczy miała szare, usiane złotymi cętkami.

– To bardzo ważna sprawa – zaczęła łagodnie.

– Tak – odparł, nie znajdując lepszej odpowiedzi.

– Ktoś na górze, na samej górze, chce, by pozostała *kapu. Haku, kahuna* – nie wiem co albo kto, ale zdaje mi się, że kiedyś w przeszłości problem zwrócił uwagę Teraumysłu i może ją

jeszcze zwrócić.

– Całkiem możliwe. – W duszy poczuł jakby zimne dotknięcie.

– Czy mamy złe intencje?

– Może nie. Czemu nie możemy sami o czymś zdecydować?

– Czy nadal chcesz się tym zajmować?

– Jeśli ty chcesz... – odparł po chwili namysłu.

– Tak – kiwnęła głową. – Ale słuchaj. Sam powiedziałaś, że chomikowanie informacji – przez bardzo, bardzo długi czas, jak w tym przypadku – wymaga czegoś więcej niż sejfu.

Konieczna jest elastyczna reakcja. W takim razie czy strażnikowi wystarczyłoby zbadanie DNA?

– Żądał tylko tego.

– Bo cokolwiek więcej byłoby zbyt niezręczne. – Podobnie jak cokolwiek mniej, zreflektował się Kenmuir, w rodzaju identyfikacji wyrazu twarzy lub odcisków palców, które można swobodnie sfałszować. – Gdyby to ode mnie zależało, a wiedziałabym, że Lilisaire coś wywęszyła, podjęłabym jeszcze kilka innych środków ostrożności. Na przykład chciałabym, żeby strażnik zawiadomił mnie, gdyby ktoś chciał wejść do pliku, niezależnie od tego, czy legalnie czy też nie.

– No nie! – Kenmuir aż podskoczył na krześle. – To nie przyszło mi do głowy.

– Mnie przyszło dopiero teraz. Przy czym mogę się oczywiście mylić.

– Ale jeżeli masz rację... – Myśli kłębiły się w głowie. – Venator nie czekałby z założonymi rękami. Zabrałby się do roboty, i to najprawdopodobniej daleko stąd.

– Czyli kazałby strażnikowi nawiązać łączność nie tylko z nim, ale i z agentami w pobliżu, którzy mogliby zareagować natychmiast.

– Policją?

– Ale nie miejscową. Ci dziwiliby się, po co ktoś każe im aresztować dwoje nieszkodliwych

ludzi, którzy po prostu korzystają z publicznej bazy danych. Tamci ludzie mogliby im sprawę wyjaśnić, funkcjonariusze powiedzieliby innym i wszyscy zaczęliby się zastanawiać. Ja postawiłabym w stan gotowości siły szybkiego reagowania Władz Pokojowych na całej planecie; miałyby przygotować się do błyskawicznego uderzenia bez podania powodów, które byłyby ściśle tajne.

– W razie czego... – W Kenmuirze narastał sprzeciw. – Czy ta perspektywa ma nas sparaliżować?

– Bynajmniej. Ale najpierw trzeba zrobić rekonesans. Aleka zabrała się do pracy z komputerem. Dowiedziała się, że najbliższa baza Władz Pokojowych znajduje się w Integracji Chicago.

– Gdy doliczyć czas na błyskawiczny start, odrzutowiec mógłby przywieźć tu taki oddział w ciągu pół godziny – wyliczyła.

Kenmuir, który nie miał zielonego pojęcia o siłach policyjnych, zbierał się na odwagę. Może wyśle wiadomość do Wysokiego Zamku. Musi pójść nie zaszyfrowana. Ale Księżyc stał na niebie tak, że wiązka powędruje wprost do tamtejszego odbiornika centralnego i... i zostanie przechwycona przez program kontrolny, co wywoła błyskawiczną reakcję...

– Trzeba by się dowiedzieć, czy faktycznie ogłoszą natychmiastową akcję. Poczekaj. – Palce Aleki zatańczyły na klawiaturze. Cierpliwość, którą wpaja się kosmonautom, pozwoliła Kenmurowi na czekanie w bezruchu.

Po chwili, podczas której wolał nie odliczać sekund, Aleka wyprostowała się, otarła dłonią twarz i wymamrotała:

– Dobra. Zaraz się dowiemy.

– Jak to? – wyskrzeczwał przez ściśnięte gardło.

– Tak to urządziłam. Kontrola Ruchu zawiadomi nas, czy i kiedy jakiś nieplanowy wolant

pomknie z Chicago w tym kierunku. – Pokręciła głową. – Nie, nie, to nic szczególnego, nie włamalam się. Takie informacje mogłyby być potrzebne każdemu cywilowi. Moglibyśmy na przykład badać efekty turbulencji atmosferycznej lub tym podobne akademickie zagadnienia. Musiałam tylko wymyślić sposób sformułowania pytania. Mięśnie brzucha mężczyzny odrobinę się rozluźniły.

– Czyli... jeśli do tego dojdzie... zostanie nam dwadzieścia, trzydzieści minut, by dopaść twojego wolanta i czmychnąć?

– To nie takie proste. Kontrola zaspokoi ciekawość *mąka* 'i równie, o ile nie bardziej, skwapliwie niż naszą. Dość łatwo zarejestrować start pojazdu, który wyniósł się stąd całkiem niedawno, i śledzić jego położenie w każdej minucie lotu. Będziemy musieli wylądować gdzieś w pobliżu i uciekać jak króliki. – Aleka westchnęła. – Mam nadzieję, że Lilisaire wydobędzie od nich mojego wolanta albo kupi mi nowy. Chyba że oboje wylądujemy tam, gdzie nie będzie nam potrzebny żaden osobisty środek transportu.

Kenmuir wolał nie myśleć o najgorszych możliwościach. Na litość Boską, żyli przecież we współczesnym świecie. Jak dotąd nie popełnili żadnego przestępstwa, zwłaszcza w świecie uznającym prawo każdego obywatela do informacji. Mieliby prawo do publicznego przesłuchania, adwokata, wszystkich procedur, które mogłyby zniechęcić kogoś, komu zależy na tej tajemnicy. Nie mieli przecież do czynienia z narzędziem wszechmocnego państwa, jakimś KGB, VOP, czy jak to się tam nazywało...

Bardzo by chciał w to wszystko uwierzyć.

– Najpierw musimy zwiewać, a dopiero potem zastanawiać się nad swoim położeniem. –

Jakaś odrębna część jego osoby drwiła, że mógłby jej też podpowiedzieć wartość liczby pi do czwartego miejsca po przecinku. – Ale jak?

– Właśnie tego usiłuję się dowiedzieć.

Znowu zabrała się do roboty. Przez ekran przemykały rozkłady lotów.

– W porządku – odezwała się po chwili. – Do Prajnaloki nie dociera żadna publiczna linia transportowa, w najbliższej okolicy, bardzo rzadko zaludnionej, też jest ich niewiele. Przeważnie są to połączenia miejscowe, które na nic nam się nie zdadzą. Na dobiegnięcie do wolanta starczy nam mniej więcej dziesięć minut. Przez dziesięć, dwanaście minut pozostaniemy nie zauważeni w powietrzu, nie można liczyć na więcej. Jedyne interesujące nas miejsce leży w okolicy Springfield. Stamtąd dwa razy dziennie odlatuje autobus do Osi St. Louis. Tam można zginąć w tłumie i szybko przedostać się do jakiegoś wielkiego i anonimowego miasta. Sęk w tym, że przeciwnik również może się o tym dowiedzieć i nie omieszka tego wykorzystać. Trzeba będzie bardzo precyzyjnie zsynchronizować przybycie do Springfield i odlot stamtąd. Następny autobus odlatuje za pół godziny. Potem przyszłoby nam czekać aż do wieczora.

– Czyli mamy jeszcze czas na przygotowania – stwierdził z niechęcią.

– Żeby nasz plan legł w gruzach? – odpaliła. – Wszystko wskazuje na to, że nasze otarcie się o tajemnicę nie wywołało alarmu, bo w przeciwnym wypadku już by nas zatrzymali. Czy trwają poszukiwania? A może już nas ścigają? Niewykluczone, że dane zaczynają wskazywać ten kierunek. Czyli cała naprzód!

Rozważał jej słowa. Natychmiastowa ucieczka oznaczałaby, że zostawiają zapasowe ubrania i wszystkie rzeczy w pensjonacie. Ale całą gotówkę mieli przy sobie, więc mogliby kupić nowe rzeczy. Jednak te porzucone mogłyby naprowadzić kogoś bystrego na ich trop. Odruchowo wyciągnął rękę:

– A więc cała naprzód! Uścisnęli się.

– W porządku, *aikane*.

W tym momencie pojął, czemu w ciągu dziejów ludzie wielokrotnie uzależniali swoje losy od przedsięwzięć, które późniejsze pokolenia uznawały za niewiarygodne. To leżało w naturze

gatunku.

Aleka wzięła swoją torbę, położyła ją na kolanach i wyciągnęła coś, co wyglądało na brązową szmatkę. Po rozłożeniu okazało się, że to rękawica z cienkiego materiału. Z podobnej materii wykonana była maska, którą kobieta miała przedtem na twarzy, zbudowana z żywych komórek. Nasunęła rękawicę na prawą dłoń.

– Agent Lilisaire dał mi ją na Hawajach – tłumaczyła mu owej nocy w Overburgu, gdy za oknami dogasał ogień. – Specjalnie spreparowana. Lilisaire sądzi, że może nam się przydać.

– Co to takiego?

– Tkanka organiczna, która może przeżyć kilka tygodni. Wykonana z biopróbki tego synojonta, który złożył jej wizytę – zdaje się, że miał na imię Venator. Zawiera jego DNA.

Gdyby trzeba było przejść przez bioblokadę, czyjej pamięć nie powinna zawierać danych tak wysoko postawionego osobnika, który zajmuje się tą sprawą?

– Ale jakim sposobem zdobyła nadającą się do użytku próbkę? – Fragmenty skóry i innych tkanek, które każdy codziennie pozostawiał za sobą, nie wystarczyłyby. Były małe, martwe i zdegenerowane, zmieszane z kurzem i innymi śmieciami. Porządną próbkę można było znaleźć tylko za pomocą precyzyjnych urządzeń, pozostających w głównej mierze na wyposażeniu policji. A nawet po sporządzeniu mapy genomu trzeba było odrębnymi drogami sprawdzić, do kogo należy. – Może pobrała trochę krwi, na przykład udając wypadek... ale czy nie podejrzewałby podstęp?

– Nie pytałam. Ale domyślałam się. – Aleka uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Poczuł, jak policzki nabiegają mu krwią, za co natychmiast zbeształ się w myślach.

– Zaraz, zaraz – warknął. – Gameta zawiera tylko połowę chromosomów. – Natychmiast pojął swój błąd.

– Wiesz, tu w grę wchodzi całe mnóstwo gamet – mówiła tymczasem dziewczyna. – Z taką

ich ilością laboratorium potrafi dość szybko skompletować cały genom. Potem się go syntetyzuje i... Nie chodzi o klonowanie człowieka, lecz próbki skóry na prosty substrat. To nie jest zbyt wielka sztuka. Daj próbkę znajomemu technikowi, który pracuje w jakimś z laboratorium genotechnicznym, a zobaczysz. Sądzę, że nie był to w życiu Lilisaire pierwszy wybieg tego typu. Przyniósł jej to pod koszulą czy gdzie tam jeszcze. Nie wolno nam nie doceniać naszego przyjaciela Venatora, ale w tym akurat wypadku... – Aleka roześmiała się. – Biedny, niczego nie podejrzewający superman.

Niedługo potem rozszalała się burza wypadków i Kenmuir zapomniał o swym cierpieniu. Rzecz jasna na tej stacji istniały bioblokady. Nie wszystkie zamknięte pliki były urzędowe. Komuś mogłoby na przykład przyjść do głowy, żeby wprowadzić do publicznej bazy danych informacje bardzo osobiste, które można byłoby wykorzystać w połączeniu z danymi już się tam znajdującymi. Cyberkosmos by o tym wiedział – wszystko przecież skanując – lecz nie zdradzałby niczyjej tajemnicy.

Aleka wystukała komendę i przystawiła żywą rękawicę. Po chwili na ekranie ukazały się słowa: PRZEJŚCIE DO PLIKU 736.

Chcąc uniknąć skojarzenia z osobą, która pytała przedtem, Aleka wystukała: Podaj pełną informację na temat gigantycznej, złożonej z żelaza asteroidy w Pasie Kuipera.

PROZERPINA. TO NAZWA NADANA PRZEZ LUNARIAN, KTÓRZY JĄ ODKRYLI I PIERWSI BADALI. ICH NASTĘPCY CZĘŚCIOWO JĄ ZAGOSPODAROWALI W CELU ZAŁOŻENIA TAM OSAD. JEJ MASA WYNOSI...

Kenmuir rzucił się do przodu, jakby chciał ściągnąć słowa z monitora. Tętno oszalało. Tak, tak, czyli Edmond Beynac...

...POZOSTAŁOŚĆ PROTOPLANETY, WYTRĄCONA NA ORBITĘ EKSCENTRYCZNAJĄ Z WYSOKIM PUNKTEM ODSŁONECZNYM, W WYNIKU ZDARZAJĄCYCH SIĘ

W CIĄGU GIGALAT KOLIZJI UTWORZYŁY SIĘ BOGATE ZŁOŻA WODNEGO LODU,
SUBSTANCJI ORGANICZNYCH I...

Ogólniki. Kiedy ten cholerny program poda jakieś liczby?

...MOŻLIWOŚĆ SKOLONIZOWANIA PRZEZ LUNARIAN...

Na prawo od Kenmaira zapalił się drugi ekran. Aleka wychyliła się za jego plecy i odczytała wiadomość. Syknęła przez zaciśnięte zęby. Wytrąciła go z transu.

– Jest. Z bazy w Chicago ruszył przed chwilą szybkościowiec. *Hele aku.*

– Chwila, chwila – sapnął. – Dane orbitalne...

– Chcesz rozkoszować się nimi w jakiejś spokojnej celi? Ruszaj się, mały! – Stała, gotowa do drogi. Klepnęła go mocno po ramieniu.

Powlókł się za nią, na chwiejnych nogach wybiegł przez drzwi, przemierzył prostokątny plac w kierunku garażu. Zalewał go jaskrawy blask słońca, lecz nad dachami ku wschodowi Kenmuir dostrzegł blady sierp Księżyca.

Czy walka się kiedyś kończy? – myślał wzburzony. Czy kontynuował wojnę wypowiedzianą za czasów Dagny Beynac?

MATKA KSIĘŻYCA

Większą część komnaty wypełniał basen. Nad jego powierzchnią niczym koc unosiła się mgiełka, biała w monotonnym świetle z płyt fluorescencyjnych, które odbijało się od płytek, ponieważ woda była bardzo zimna. Opary z rzadka poruszały się w nieruchomym powietrzu.

Takie właśnie miejsce urządził sobie Jaime Wahl y Medina. Tutaj dwa razy dziennie znajdował odświeżenie, odnowę, ćwiczył, by rozbudzić krew i skrócić czas gimnastyki w tej cholernej centryfudze. Jeden Bóg wie, że generalnemu gubernatorowi Luny potrzebna była każda chwila radości. I spokoju. Tutaj nie zachodził nikt inny; krewni i znajomi wypoczywali przy starszym, większym, cieplejszym basenie w przeciwległym krańcu rezydencji.

Zjawił się tu tak, jak to miał w zwyczaju, pod koniec straży porannej, zrzucił sandały, powiesił tunikę na wieszaku i założył okulary do pływania. Odbył kilkuminutową rozgrzewkę – potężnie zbudowany mężczyzna średniego wzrostu, po czterdziestce; duży nos i ciężki podbródek podkreślały czarne włosy, brwi, wąsy i oczy, w kącikach których pojawiały się zmarszczki, efekt mrużenia oczu wskutek wichrów i tropikalnych blasków Ziemi. Od chłodu na zarośniętych rękach i nogach pojawiła się gęsia skórka. Skończył gimnastykę i wszedł na deskę – do skoków nad głębszym końcem basenu, odbił się – nie tak energicznie, jak by chciał, żeby nie uderzyć głową w sufit, i zanurkował.

Spadał również wolniej, niż by sobie tego życzył. Ale woda przyjęła go z płynnym pluśnięciem, które odbiło się echem od ścian. Otaczała go, obejmowała, prześlizgiwała się zmysłowo po jego skórze; grawitacja przestała mieć znaczenie, był wolny, swobodniejszy niż w samym kosmosie.

Zanurkował na dno i popłynął tuż nad nim. Ciało reagowało na bezwzględne zimno, brutalnie się budząc. Wzór płytek, ręce, gdy wyciągał je przed siebie, by się odepchnąć, były

idealnie widoczne w przezroczystej wodzie, zniekształcone tylko wskutek refrakcji. Oczy potrzebowały okularów, bo bez nich nie zniosłyby tej czystości, która wymyłaby z nich całą sól. Tak jak każda woda na Lunie, ta w basenie wychodziła z cyklu odzysku całkowicie oczyszczona. Tak wyzbyta zanieczyszczeń nie była nawet na swej komecie, wracała jej ostrość, charakteryzująca ją w epoce, gdy jako lodowy pył iskrzyła się w mgławicach, z których miał powstać Układ Słoneczny. Parł naprzód przez narodzoną nowo dziewiczość.

Gdy płuca nie wytrzymały już wysiłku, wychynął na powierzchnię, zaczerpnął powietrza, zrobił kilka okrążeń wzdłuż krawędzi basenu, aż w końcu poczuł, że może się na powrót zanurzyć. Rozkoszował się pływaniem, dopóki ciało nie zaczęło go przestrzegać, że traci zbyt dużo ciepła.

Wyskoczył, pobiegł pod gorący prysznic. Po energicznym wytarciu się ręcznikiem był gotów do pochłonięcia śniadania.

Jednak jeszcze przed ubraniem się przystanął na chwilę przed deską rozdzielczą z instrumentami. Ostatnimi czasy były kłopoty z utrzymywaniem temperatury. Termometr trzymał się jednej wartości. Pewnie Konserwacja naprawiła system i teraz będzie już działał. Nie było to zbyt trudne. Zwoje przewodów pod basenem czerpały element chłodzący, którego wymagał termostat, z miejskiego zbiornika płynnego powietrza, ten z kolei podczas długich nocy na Lunie czerpał energię z kosmosu. Mimo to Wahl odruchowo kontrolował wszystko, za co czuł się w najmniejszej choćby części odpowiedzialny.

Za mało jednego, za dużo drugiego! Skrzywił się i wyszedł na korytarz.

W sypialni założył nie ubranie cywilne, lecz niebieski mundur Władz Pokojowych. Jako major rezerwy miał do tego prawo, a dzisiaj może mu się przydać każda oznaka siły, którą reprezentował.

Za tydzień zbierał się parlament. Delegat Rabkin obwieścił, że zgłosi projekt ustawy dającej

kontrolerom podatkowym prawo do wkraczania bez nakazu do baz danych firm, co utrudniłoby fałszowanie dokumentów. Większość delegatów o ziemskich genach popierała ten krok: szara strefa rozrastała się w sposób niekontrolowany. Delegatka Fia, wypowiadając się w imieniu kogoś, kogo nazywała wolnym ludem, zagroziła, że jeżeli to pogwałcenie tajemnicy danych prywatnych zostanie postawione pod głosowanie, wyprowadzi z sali obrad wszystkich Lunarian i stworzy kadłubowy parlament, który unieważni uchwalone ustawy.

To było możliwe. Była siostrą Selenarchy Brandira i jego główną przedstawicielką w miastach. (Jezus Maria, jeżeli szybko nie ukróci się buty feudalnych panów, ten tytuł stanie się powodem do chwały!) Możliwe, że nie wyniknie z tego nic ważnego, lecz taki krok mógł się okazać neutronowym uderzeniem, które spowoduje reakcję łańcuchową.

Należy mu zapobiec. Zainteresowane strony trzeba przekonać, ugłaskać, zastraszyć, zaszantażować, przekupić cel uświęca środki – byle tylko osiągnąć kompromis, w którym wszyscy zachowają twarz. Wahl spotka się z nimi osobiście. Żaden obraz telefoniczny nie zastąpi żywego człowieka. W razie potrzeby uda się do tej cytadeli w Kordylierach, tak, sam, i stawi czoło temu podżegaczowi.

Istniała jednak szansa, że do tego nie dojdzie. Niemniej czekało go dużo pracy. Perspektywa działania jak zwykle dodawała mu odwagi. Przez większą część swojej kadencji musiał obgryzać paznokcie i natykać się na akty oporu, których nie potrafił nawet nazwać. Czuł się tak, jakby chciał schwycić i zatrzymać strumień, którego nurt pędził ku katarakcie. Do jadalni wszedł w nie najgorszym nastroju.

Żona i syn już czekali, ona przenosiła jedzenie z autokuchenki na stół, on siedział, ponury, na krześle. Wahla otoczyła fala zapachów: omlet, sok, tost, kawa. Kubki smakowe urządziły owację na stojąco.

Widok na ekranie również podnosił na duchu: wykonane sponad miasta zdjęcie górskiego

stoku, schodzącego ku Sinus Indum, monotor prządl swą lśniącą nić w stronę kosmodromu, jeszcze gdzie indziej widać było skupisko kopuł przemysłowych, na bliższym widnokręgu rysował się wymierzony w Ziemię przekaźnik. Rodzimy świat stał na niebie od południa, biało-niebieski łuk w pobliżu zachodzącego kręgu słońca, niewiarygodnie piękny. Był to pejzaż znacznie przewyższający tłoczne place budowy wokół Port Bowen.

Naturalnie nie tylko z tego względu przeniósł ostatnio swoją rezydencję i siedzibę rządu do Tsukimachi w Jurze. Port Bowen był miastem firmowym, siedzącym w kieszeni potwornego Ansona Guthriego, a Ognista Kula raz po raz ścierała się z rządami, z narodami, z Federacją, z władzami Luny. Nie wywołało to nigdy żadnych zaburzeń, lecz skupione tutaj mniejsze firmy były bardziej uległe. Natomiast fakt, że zamieszkali tu Lunanie stanowili większość, miał swoje plusy i minusy.

– *Buenos dias* – Wahl przywitał się z synem.

Ritę pocałował, gdy się obudzili.

Leandro wymamrotał odpowiedź. Nie podnosił głowy. Krzykliwy ubiór zaprzeczał nastrojowi.

– Gdzie Pilar? – Wahl pozostawał przy hiszpańskim.

– Powiedziała, że nie jest głodna – oznajmiła Rita. Wahl zmarszczył czoło. Otworzyła się jakaś rana, wyparowała część dobrego nastroju. Dziewczyna zamknęła się w pokoju. Zdarzało się to zbyt często, by mogło chodzić o zwykłe napady złego humoru. To co się dzieje? Depresja wywołana samotnością? Czternaście lat to taki delikatny wiek. Skąd miał wiedzieć? Pilar była dobrym dzieckiem, zasługiwała na szczęście. Gdyby chociaż raz zwierzyła sięjemu albo matce...

Kiedy w ogóle dzieci obdarzają rodziców tym najważniejszym z darów?

Usiadł. Rita naląła kawy i też zajęła miejsce przy stole. Przeżegnał się i wypił łyk. W ustach poczuł silny, dobry smak.

– Co na dzisiaj planujesz? – zwrócił się do Leandra. Była sobota, więc chłopiec nie szedł do szkoły. Odrabianie lekcji? Jeżeli w ogóle jakieś zadano, zrobi je na odczepnego albo w ogóle zignoruje. Miał fatalne stopnie. Nie brało się to z braku inteligencji; na Ziemi uczył się dobrze i z chęcią.

– Nic szczególnego. – Leandro nie patrzył mu w oczy.

– Nie bardzo chce mi się w to wierzyć – odparł z wymuszonym uśmiechem ojciec.

Leandro był bardziej towarzyski niż siostra, ale Wahlowi nie podobało się towarzystwo, w którym się obracał – chuligani, chełpliwczy, nie przynosili zaszczytu ziemskim genom, którymi się chwalili. Kłótnie z lunariańskimi kolegami z klasy wielokrotnie przeradzały się w bójki. Chociaż nie można powiedzieć, by nigdy nie wywoływali ich Lunaiianie.

– Gdy byłem w twoim wieku – odezwał się Wahl – o tej porze dnia buszowałem na świeżym powietrzu.

Galopujący koń, stukot kopyt, naprężone mięśnie między udami, pod spodem falująca na wietrze trawa, nad głową sokół – gdyby tylko w kosmosie istniały takie wielkie, otwarte przestrzenie!

– To było dawno. – Leandro potrząsnął głową.

– Momencik – burknął Wahl. – Trochę grzeczniej proszę.

– Mnie też nie chce się jeść. – Chłopak zaczął wstawać od stołu.

– Siadaj. Zjedz, co masz na talerzu, i odpowiedz na moje pytanie.

Leandro ustąpił, wiedząc, że gdyby nie posłuchał, cały dzienny cykl spędziłby w domu. Po tonie i minie widać było jego złość.

– Za jakąś godzinę spotykam się z chłopakami i idziemy do parku Hoshi.

Akurat, pomyślał Wahl. Takie przyzwoite zabawy. To co, Ginza? Albo jeszcze gorzej? Nie warto się dopytywać.

– Wróć na kolację.

– Nie wiem, czy...

– Już powiedziałem. Godzina 19.00, żebyś zdążył się jeszcze odpowiednio ubrać. Ani chwili później.

Leandro mocno się zaczerwienił. Szybko przełknął śniadanie, wydukał prośbę o pozwolenie odejścia i sztywno wyszedł. Posiłek spożywany w milczeniu pozbawiony był smaku.

– Byłeś dla niego zbyt surowy, kochanie – zaryzykowała Rita.

– Mnie też się to nie podobało – upomniał ją Wahl. – Bez dyscypliny może napytać sobie biedy.

– Rozumiem. Ta okropna atmosfera, konflikty, napięcia rasowe i tak mało bezpiecznych, zdrowych miejsc... – Dotknęła jego ręki. – Ale może powinniśmy okazać więcej łagodności.

Młodość nie jest łatwa. A jeszcze tutaj, obojgu im jest trudno.

Przyjrzał jej się. Była niska, kształtna, o krągłej twarzy, zawsze doskonała gospodyni i pomocniczka, ale na Księżycu jej żywiołowość jakby przygasła. Męczyła ją nie tylko sytuacja społeczna i polityczna. Należała do ludzi, którzy nigdy nie czuli się dobrze w warunkach niewielkiej grawitacji.

– Tobie też – powiedział – a nie narzekasz.

– Również i tobie, stary pracusiu. – Uśmiechnęła się blado.

– Dawniej lepiej mi się pracowało – przyznał.

Wolał nawet operacje policyjne i niesienie pomocy zagrożonym rejonom Ziemi.

I drobiazgowo negocjacje, i nudne przyjęcia, które musi znosić delegat Federacji. Nie miał

ochoty na politykę, ale przekonywano go, że Argentyna potrzebuje kogoś jego kalibru

w Hiroszynie, a poza tym, tak, dokonał w życiu paru wiekopomnych dzieł. Nagrodą za nie była

najpierw posada zarządcy Protektoratu Afrykańskiego, a teraz wrzucenie do tego wrzącego kotła

zwanego Luną.

Przełknął kilka kęsów, uważnie je smakując, i oświadczył:

– Da Bóg, to opanuję sytuację w ciągu pięciu lat, nie dłużej. A wtedy wrócimy do domu i już nigdy nie będziemy wyjeżdżać. Do ożywionego Buenos Aires, pogodnego domu w San Isidro, swobody rancza w La Pampie.

– No, może od czasu do czasu do Guangzau. – Znów się uśmiechnęła. – Bo gdzie kupowałabym sobie figlarne ciuszki? – Zachichotał i śniadanie kończyli już w przyjemniejszych nastrojach.

Ale wtedy nadszedł czas na pracę czekającą go w tym dziennym cyklu. Obejrzeć dziennik; odtworzyć wszystkie nadesłane wiadomości; odpowiedzieć na te, którego tego wymagały; o wyznaczonej porze zadzwonić do Sato Fujiwary. Armator był przyjacielem Philipa Rabkina, który zechciał udzielić gubernatorowi informacji na temat delegata, człowieka ze wszech miar rozsądnego; mimo to lepiej przygotować się do lunchu, który miał z nim zjeść. To praca organiczna, a przy okazji próba przed spotkaniami z osobami naprawdę trudnymi, na przykład z Fią.

Prywatny gabinet Wahla przynosił pociechę widokiem sentencji, zdjęć z domu, maski Noha, drewnianej figurynki plemienia Moszi-Dagomban, nagród za zwycięstwa w zawodach łuczniczych (to też sukces, że przystosował swoje umiejętności do warunków lunariańskich), osiemnastowiecznego krucyfiks na ścianie. Zasiadł przed terminalem i zaczął od przeglądania nowin.

Zamigotał komunikat: PILNE. TAJNE. Co, u diabła? Zmiana nocna nastawiła sterowanie ręczne. Wystukał następne polecenie. Treść artykułu uderzyła jak obuch.

– *Mądre de Dios!*

Czuł się tak, jak gdyby zanurkował w basenie, a zimna woda zaczęła wokół niego zamarzać.

Wstrzymał oddech, wypuścił go już ostrożniej, rozluźnił mięśnie, poczuł, jak puls uderza mniej nerwowo. Kontrolę przejęło przedmózgowie.

Wiadomość z komendy głównej policji:

Około godziny 01.30, zgodnie z jego rozkazami, przez Mare Imbrium zmierzał w kierunku komendy Archimedes pojazd wiozący oskarżonego o morderstwo Darena. (Co za nazwisko! Należał do licznych Lunarian, których rodzice, drwiąc sobie z prawa, nie zgłosili w urzędzie narodzin dziecka. On sam nie naprawił ich zaniedbania. Nazwisko George Hanover było fałszywe, mimo że niektórzy Lunarianie rzeczywiście używali ziemskich przydomków na zmianę z lunariańskimi. Łatwo było podrobić zapis w księdze urodzeń. Linie danych roily się od wywrotowych operatorów i wirusów, które wpuszczali do komputerów). Przewożono go w tajemnicy, ponieważ w trakcie pobytu w Port Bowen stał się zbyt istotnym symbolem walki. Selenicy z ziemskimi genami mogliby rozpocząć zamieszki, Lunarianie – zorganizować próbę uwolnienia, albo... Nastąpiłaby eskalacja przemocy i łamania prawa, gdy naokoło czaiła się próżnia i promieniowanie. Archimedes był fortem; dało się sprawdzić, kto doń wchodzi i kto zeń wychodzi. Z drugiej strony łącza telekomunikacyjne wszelkiego rodzaju gwarantowały oskarżonemu jego prawa. Powinni go byli przewieźć do Archimedesu na samym początku. Ale kto jest w stanie ogarnąć wszystkie sprawy?

Monitor wyświetlał sfilmowaną na miejscu scenę. Wylądował odrzutowiec. Wskoczyło z niego kilku mężczyzn w skafandrach i za pomocą sprzętu łączności krótkiego zasięgu zażądało wpuszczenia do policyjnej furgonetki. Mieli przy sobie broń, którą mogli otworzyć sobie wejście do pojazdu. Pozostawała tylko kapitulacja. Mężczyźni wkroczyli do środka, wsadzili Darena do kapsuły ratunkowej i zabrali go do swojego wolanta. Oddalili się, zanim na miejsce zdążył przybyć jakikolwiek pojazd policyjny.

Wahl uderzył się pięścią w kolano. To oznaczało, że wróg przeniknął do korpusu

policyjnego, ziemskiego strażnika porządku na Lunie.

Skoncentrował się z powrotem na doniesieniu.

Satelity kontrolne również zarejestrowały incydent, lecz nie dysponowały urządzeniami do jego interpretacji. Dowiedziano się, że wolant wystartował z kosmodromu w Tychopolis. (Dalsze śledztwo jest zbędne. Przy obecnym natężeniu ruchu Kontrola zadowalała się niedopuszczaniem do kolizji i nie pytała już o planowane trasy lotów powierzchniowych). Po zabraniu na pokład Darena i jego wyzwolicieli pojazd pomknął na Drugą Stronę, do Bazy Gagarina. Stamtąd transportem naziemnym uciekinierzy mogli skierować się w dowolne miejsce, zachowując anonimowość. Wolanta pozostawili w bazie. Czyli ktoś postanowił spisać go na straty, a nie był to koszt niewart wzmianki, dla dobra całej operacji.

Detektywi stwierdzili, że rejestracja statku jest fałszywa, a zawartość bazy danych usunięta.

Będą szukać odcisków palców, resztek włosów i komórek skóry, lecz nie liczyli na zbyt wiele.

Darenn znajduje się już na pewno w ukryciu i zmienia twarz, wyżłobienia skóry i wszystkie inne detale z wyjątkiem może DNA – albo czeka na moment, kiedy Brandirowi znów będzie potrzebny zabójca.

Brandir? Nie można być niesprawiedliwym. Możliwe, że za sprawą stoi jakiś inny magnat.

Niewykluczone, że chodzi o zupełnie innego rodzaju spisek. Akurat w to Wahl wątpił. Sygnały były łatwo rozpoznawalne: Selenarcha nakazuje wykonanie aktu sprawiedliwości, a następnie wspiera egzekutora, tak jak każdego wasala.

Ziemiańskie z reguły porównywali Lunarian do kotów. Wahlowi przychodziły do głowy wilki.

Trzeba sobie najpierw przypomnieć całą sprawę. Nie zapowiadała się na ważną.

Skomplikowana, nieprzyjemna, być może groźna, gdy zacznie wrzeć krew, ale nie warta jego uwagi. Teraz było inaczej. Poleciał zaprezentowanie jej historii.

Komenda główna dobrze skonstruowała archiwum. Błyskawicznie otrzymał frapującą

opowieść.

Rafael Adair urodził się na Ziemi, lecz mieszkał od dwudziestu lat na Księżycu. Nawiązał romans z Lunarianką Yrazul. Byli prawdopodobnie kochankami, co nie zdarzało się często, a jeśli już, to nie trwało długo. Mieli zamiar prowadzić poszukiwania przy brzegach Mare Australe, pustkowia, gdzie, jak sądzili, znajdują się cenne złoża minerałów; to zdarzało się na Lunie naprawdę rzadko. Według relacji znajomych, którzy wyrazili chęć, by o tym mówić, związek zaczynał się burzliwie, a skończył wrogością. Możliwe, że ze swoim przedsięwzięciem wiązali nadzieje na pogodzenie się, może chcieli się po prostu wzbogacić.

Pewnego dnia tak się złożyło, że Adair był w obozie, nadzorując analizę próbek, natomiast Yrazul pracowała w terenie. Poruszała się lundożerem, szybkim i sprawnym, ale pozbawionym osłony. Prognozowano słoneczny błysk. Zamierzała schronić się pod dach przed wybuchem protonowej burzy. Lunarianie bardzo lubili igrać z niebezpieczeństwem.

Meteoryt uderzył w samochód, przebił się do wnętrza, unieruchomił silnik i zniszczył łączność. Samoizolator zadziałał chyba szybko, zamykając kabinę kierowcy, co umożliwiło dziewczynie założenie skafandra, zanim wyczerpało się powietrze. Była zdana praktycznie tylko na siebie. Urwała się łączność z podległymi jej robotami, które i tak nie na wiele by się przydały. Jeden z satelitów zarejestrował wypadek i przekazał wiadomość Centralnemu Kontrolerowi; ale przekaz był ciągły, program nie nastawiony na sygnalizowanie tak mało prawdopodobnych incydentów, zresztą po błysku pogotowie miało pełne ręce roboty.

Gdy nie wracała i nie dawała znaku życia, Adair powinien był wsiąść w dobrze opancerzony pojazd i ruszyć na jej poszukiwanie. Tymczasem czekał całymi godzinami. (Wściekłość, tchórzostwo, chciwość?) W końcu pojechał. Później tłumaczył, iż myślał, że znalazła się w jaskini lub pod jakąś skalną półką. Bo w przeciwnym razie czemu nie podniosła alarmu? Niezależnie od burzy, satelita na pewno przekazałby komunikat.

Rozsądne tłumaczenie, choć nie przynoszące mu zaszczytu. Pozostały jednak pewne

kłopotliwe ślady. Inspektor Hopkins zbyt gorliwie zajął się ich badaniem.

Wjego wersji Adair zobaczył pojazd Yrazul. Kobieta wybiegła mu na spotkanie, wtedy on zawrócił i oddalił się.

Wówczas zrozumiała, że umrze. Dawka promieniowania, jaką zdążyła otrzymać, wystarczyłaby na miesiące hospitalizacji, w których trakcie nanosy odtwarzałyby jej komórki. Wkrótce przekroczy próg, zza którego już się nie wraca. Wyskrobała w księżycowym pyłe informację o tym, co się zdarzyło. Potem podniosła hełm i zaczęła chłonać próżnię. Była to lżejsza śmierć.

Adair powrócił po błysku i zatarł tekst. Niebawem skontaktował się z władzami i oznajmił, że w końcu ruszył jej śladem i ją znalazł, niestety za późno. Przypuszczał, że wołała umrzeć pod niebem pełnym gwiazd.

Wahl wyprężył się jak struna. Sprawę zaczęli drążyć astronom Temerir, ten chłodny brat Brandira, Fia i Verdea. Yrazul była prawnuczką ich siostry Jinann. Ci Beynacowie trzymali się razem... Temerir zbadał teren i wezwał Stanleya Hopkinsa.

Czy Yrazul mogłaby opuścić lundożer, który zapewniał jej choćby minimalną osłonę, gdyby nie zobaczyła nadchodzącej pomocy? Czemu pył dokoła niej był tak zdeptany? Czemu ciężarówka Adaira podjechała, zawróciła i oddaliła się? Widać było koleiny. Takie ślady mogłyby przetrwać miliony lat.

Hopkins zarządził badanie pancerza pojazdu w celu analizy resztek promieniowania.

Przekonał się, że nie mógł znajdować się pod błyskiem tak długo, jak utrzymywał Adair.

W obliczu dowodów mężczyzna załamał się. Przyznał, że się bał. Nikt z własnej woli nie chciałby wyjeżdżać w taką zawieruchę, nawet opancerzonym pojazdem. Drobiazgowo

przesłuchania dowiodły, że kierowały nim inne motywy. Z pewnością był winny porzucenia, co

na Księżycu uważano za najcięższą ze zbrodni. Prawo stanowiło, że ma odbyć karę więzienia i resocjalizacji.

Stare prawo lunariańskie, obowiązujące w latach Dżihadu, w okresie chaosu i Komitetu Koordynacyjnego, żądało śmierci.

Nowo ustanowione władze Luny zniosły tamten przepis wraz z szeregiem innych zwyczajów. Wydawało się, że poprawka jest czystą formalnością. Jak często zdarzało się porzucenie? Prawie nigdy.

Yrazul pochodziła z rodziny Selenarchów.

Niewykluczone, że nie miało to znaczenia. Wahl nic o tym nie wiedział.

Wiedział natomiast, że wypuszczony za kaucją Adair został zasztyletowany. (W obrębie osady nikt nie używał broni palnej. W myśl dawnych przepisów była to również zbrodnia największego kalibru). Zabójstwo było szybkie i czyste; szkoda, że Darenn tak po prostu nie zostawił kartki z wyjaśnieniem powodów i nie uciekł. Na nieszczęście pewien grubo ciosany, holenderski kosmonauta był świadkiem zajścia i schwytał Lunarianina.

Było to prawdziwe nieszczęście. Coś, co zaczynało stawać się *cause célèbre*, zaczęło grozić kryzysem politycznym, który teraz z pewnością wywoła.

Wahl wyłączył wideo, wstał i zaczął krążyć po gabinecie. W tych warunkach trudno było chodzić, trzeba było skakać, unosić się jak puch, jak dmuchawiec – czy tyle właśnie ważyły ludzkie troski?

Co robić?

Dziękował Bogu, że wiadomości o porwaniu nie podano jeszcze w dziennikach. Tego można będzie uniknąć przez wiele godzin; miał dobrych pracowników. Tymczasem musi przygotować się na reakcję opinii publicznej.

Poszukiwania gangu i jego prowodyra (prowodyrów?) byłyby bezużyteczne, doprowadzając

do wściekłości co bardziej buntownicze umysły. Jednak rząd nie mógł potraktować tej obrazy jako bagatelki. Taka oznaka słabości wprawiałaby w popłoch praworządnych obywateli, na których władze Luny opierały się tak samo, jak każdy inny rząd. Sprowokowałby kolejne wykroczenia, coraz bardziej bezczelne; byłby to wiatr w żagle ekstremistów; możliwe, że nastąpiłby rozpad parlamentu, co zadałoby śmiertelny cios całemu ustrojowi wbrew wszelkim propozycjom gubernatora i stronnictwa umiarkowanych.

Tego z pewnością nie pragnął żaden rozsądny polityk, podobnie jak powszechnego oburzenia czy eskalacji przestępczości. Muszą wystąpić we wspólnej sprawie, zaapelować o ład i porządek, uspokoić zwolenników.

Ale którzy z nich byli rozsądni? Potrzebował kogoś, kto mu o tym powie i potrafi skoncentrować siły, zanim wszystko zawali się w gruzy.

Dagny Beynac.

Czy starczy jej stanowczości, zwyczajnej siły fizycznej na przetrwanie nadchodzących godzin? Ile ona ma właściwie lat? Sto pięć, sto dziesięć? Coś w tym guście.

Jednak gdy widział ją po raz ostatni, zdawała się być w doskonałej formie. I stała na czele Rady Społeczności Luny, którą sama współtworzyła. (Luny, pocieszał się Wahl, to nie to samo co Lunarian). Nie uznawana przez władze Luny, Federację, żaden rząd ani przez Selenarchów Rada stała się najbardziej wpływową organizacją na Księżycu; a zawdzięczała to przede wszystkim jej.

Szybko! Zadzwoń do Dagny Beynac.

Spokojnie. Zastanów się jedną chwilkę. Czy to najlepsza metoda zapobieżenia szkodom?

Powinien zastanowić się nad swoim stosunkiem do tej kobiety i nad wszystkim, co o niej wiedział. Poczynając od tej rozmowy, którą odbyli w zaciszu jego gabinetu tuż po objęciu przez niego urzędu. Zaczął od pytania, czy ma coś przeciwko nagrywaniu ich spotkania.

Odpowiedziała z szerokim uśmiechem: „Nie, ale pod warunkiem, że zagra pan w otwarte karty”.

Odwołał wszystkie spotkania i odtworzył sobie tę część owej rozmowy, która jego zdaniem streszczała cały jej przebieg.

Siedziała wyprostowana, za to spod skóry wystawały wydatne kości – nie jest brzydka, myślał, nie, piękna, piękna urodą abstrakcyjnej rzeźby. W zestawieniu z bladą skórą oczy sprawiały wrażenie dużych i lśniących błękitnych, jakby podświetlonych przez jakąś skrytą gwiazdę. Zamiast typowego uniskafandra albo tuniki i legginsów miała na sobie kaftan z szarego, grubego materiału. Za całą biżuterię starczała broszka w kształcie Saturna na szyi i wytarta złota obrączka.

– Niech mnie pan zrozumie, *por favor* – mówiła głosem, który był ciągle donośny. – Nie roszczę sobie pretensji do żadnej oficjalnej pozycji. Rada stanowi coś w rodzaju forum. Gdy jej członkowie osiągną porozumienie na jakiś temat, doradzamy i nakłaniamy *pro publico bono*. – Roześmiała się. – Co nie zdarza się zbyt często.

– A mnie niezbyt dziwi – przyznał Wahl. Z uprzejmości, choć słyszał, że kobieta swobodnie posługuje się hiszpańskim, używał angielskiego, tyle że zupełnie bezbarwnego. – Dwa typy genetyczne, bardziej od siebie oddalone niż jakiegokolwiek dwie rasy na Ziemi.

– Wszyscy żyjemy na Księżycu – odpaliła Beynac. – To nasz kraj.

Siedziała w tej sali konferencyjnej jako przedstawicielka swojego bractwa na spotkaniu z gubernatorem. Do jakiego stopnia wypowiadała się w imieniu swojego świata? Po tym gruncie musiał stąpać ostrożnie. Ale nie bojaźliwie. Za nic w świecie.

– Naród lunariański? Obawiam się, *niadatne*, że to niemożliwe. Co najmniej za... mojego życia. Czy mogę być szczery?

– Na to liczyłam.

– Z własnych badań, jak również z obserwacji na miejscu wnoszę, iż Lunarianie i Terranie

nigdy nie stworzą trwałego społeczeństwa.

– Widywałam już najbardziej nieoczekiwane stopy metali. – Dagny Beynac wzruszyła ramionami. – A gdyby nawet na Księżycu pozostali w końcu sami Lunarianie, cóż w tym złego? W ich żyłach płynie nasza krew.

W miarę upływu cykli dziennych, w czasie których się z nimi stykał, Wahl coraz mocniej w to powątpiewał. Byli spokrewnieni, to prawda; ale jakie to miało znaczenie? Co łączy mastifa i jamnika? Zła analogia, pomyślał. Terranie i Lunarianie nie byli tego samego gatunku, być może wręcz nie tego samego rodzaju. Nie byliby w stanie mieć ze sobą dzieci, nawet bardzo upośledzonych.

– Cóż – starał się zyskać na czasie – być może kiedyś, w odległej przyszłości...

– Przyszłość jakimiś znanymi tylko sobie sposobami nadchodzi szybciej, niż się tego spodziewamy – zripostowała Dagny.

– Ale przejdźmy do rzeczy, a filozofowanie zostawmy sobie na deser. Rzecz jasna, dziś nie może być mowy o rewolucji ani żadnych tego typu głupotach, nikt nie myśli o tym poważnie.

Przyszedł do pana, gubernatorze, żeby zastanowić się, jak nie dopuścić do głupstw.

– Bardzo chętnie wysłucham pani rad, *madame* – powiedział zupełnie szczerze Wahl, pochylając głowę. – Ma pani dużo doświadczenia.

– I kolekcję gubernatorów. – Uśmiechnęła się.

– Jestem trzeci, prawda? – Przestali sobie pokpiwać. – Mówiła pani o otwartej rozmowie.

– Pan też. Czyli wzajemnie oceniamy swoje siły.

– Tak. – Wahl potarł brodę i rzucił okiem na obraz za postacią rozmówczyni, ogród za swym domem, gdzie róże chwiały się na wietrze. Starannie dobierał słowa: – Proszę mi powiedzieć, jeżeli nie ma pani nic przeciwko... jak ocenia pani moich poprzedników.

Odpowiedź była szybka i bez ogródek.

– Zhao był dość mądry. Zawsze go szanowałam. Darzyliśmy go szacunkiem, choćby nawet nie podobał nam się któryś z jego kroków. Gambetta była rasowym politykiem. Miała dobre intencje, lecz był to dla niej tylko jeden więcej szczebel na drodze do prezydentury Federacji Światowej.

– Czy ucieszyłaby się pani, gdyby jej pragnienie zostało zaspokojone?

– My tu, na Lunie, nie mielibyśmy nic przeciwko – stwierdziła sucho Beynac.

– Też tak myślałem. Dawała wam wszystko, czego chcieliście.

– Mała poprawka, *por favor*. Połowę tego, czego chcieli niektórzy spośród nas.

Krok po kroku, z ociąganiem. Zmuszana podstępem, omamiona semantyką, być może w pewnym stopniu nawet zastraszona

– byle tylko uniknąć kłopotów. W sumie nie sądził, by te naciski były sprawką Dagny Beynac. Pochodziły od baronów, ludzi interesu, tych niezliczonych malkontentów nie zrzeszonych w organizacjach, lecz głośno krzyczących, stanowiących pożywkę dla każdego buntu.

Według otrzymanych przez Wahla wiadomości ta kobieta zawsze starała się pośredniczyć, wypracować jakiś kompromis. Większość jej potomków była Lunarianami, lecz dawno przestało być tajemnicą istnienie jej ziemskiego syna, od którego także zaczynała się gałąź rodu.

Sęk w tym, że nie wszystkie z tych kompromisów okazywały się realne, a niektóre równały się łamaniu prawa.

Wahl ważył słowa:

– Mimo wszystko, *madame*, odnoszę wrażenie, że nie darzy pani Gambetty zbyt dużym szacunkiem.

– Być może, ale nie ma to już szczególnego znaczenia. Teraz pan tu rządzi.

– Właśnie. – Postanowił do niej zaapelować: – I ja również, *madame*, mam dobre zamiary.

Z całego serca pragnę uniknąć konfliktu. I mam nadzieję, że użyczy mi pani nieco ze swej mądrości.

– Ale... – Niebieskie oczy popatrzyły wprost na niego. Skinął głową.

– Ale sytuacja staje się nie do wytrzymania. Moim obowiązkiem jest doprowadzić ją do porządku.

– Wydaje mi się – oświadczyła cicho – że rodzi się nowe społeczeństwo, którego istnienie uważa pan za niemożliwe.

– Być może. Mówię otwarcie, bo, hm, za bardzo panią szanuję, *madame*, żeby owijać w bawełnę...

Uśmiechnęła się do niego i nagle zrozumiał po części powody, dla których liczyło się z nią tylu mężczyzn.

– *Gracias* – wyszeptała. – Zdaje mi się, że pana polubię. Odchrząknął i podjął z pośpiechem:

– Nawet jeżeli jest to już odrębne społeczeństwo, dopuszcza się ono rażącego naruszenia prawa, jest anarchiczne, nieprzyjazne...

– Jeśli pan pozwoli – powstrzymała go ruchem uniesionej ręki – zajmiemy się tym punkt po punkcie. Dlaczego Lunarianie i kilku zamieszkałych na Księżycu Ziemiaków są takimi anarchistami? Proszę pamiętać, że nie twierdzę, iż mają zawsze rację. Po pierwsze, i dość oczywiste, oni nie stanowią jednolitego bloku, zwłaszcza Lunarianie. Ale ich pretensje tworzą, że tak powiem, krzywą Gaussa, która ma pewne maksimum. Oficjalnie, przynajmniej wedle woli Rady, celem mojej wizyty tutaj jest omówienie petycji, którą opracowujemy i zamierzamy przedstawić Federacji i światowej opinii publicznej. Nie chcemy pana zaskakiwać, ponieważ szanujemy pana i wszystko, co pan reprezentuje. – Takie stanowisko jest bez wątpienia głównie jej zasługą, pomyślał Wahl. – Może przekona nas pan, że któreś z żądań jest irracjonalne; w pewnych przypadkach będzie to możliwe, spełnianie niektórych innych żądań będzie

wykraczało poza pana kompetencje. Ale może uda nam się wspólnie przygotować rozsądny dokument, który wyjaśni stanowisko mieszkańców Księżyca. A wtedy będziemy mogli zacząć uczciwie się targować.

Wahl w to wątpił. Najpoważniejsze różnice zdań były nie do pogodzenia. Dobro wyższego rzędu wymagało zniesienia pewnych praktyk i obyczajów, tak jak konkwistadorzy położyli kres składaniu przez Azteków ofiar z ludzi.

Zbyt daleko idące porównanie. Trzeba przede wszystkim dać Selenitom – Selenitom, nie Selenarchom – wszystkie należne prawa, których ich pozbawiano. Należało tylko stwierdzić, jakie to prawa, i przekonać ludność, że inne spośród nich są niesłuszne.

– Proszę mówić dalej, *madame*.

– Słyszał pan to już po wielokroć. – Dagny Beynac westchnęła. – Upraszam o cierpliwość.

Przyrzekłam im, że wszystko panu wyłożę. – Ton skruchy ustąpił miejsca pewności siebie. –

Zresztą wysłuchanie racji z drugiej strony barykady nie powinno zbytnio boleć. Może lepiej pan zrozumie, w czym problem.

Zesztywniał nieco, słysząc ukrytą w jej słowach pobłażliwość. Nie. Nieprawda. Po prostu zdawał sobie sprawę z własnych możliwości.

– Słucham – powiedział.

– Proszę mi przerywać, gdy uzna to pan za konieczne zachęciła go. – Z pewnością wiele razy słyszałam już argumenty, które pan przedłoży, ale jestem ciekawa, jak pan się do tego zabierze.

Pominę najistotniejszą kwestię, ponieważ omawia się ją w najdrobniejszych szczegółach. Prawo do posiadania nieruchomości. „Wspólne dziedzictwo” to anachronizm. Musi zapomnieć o nim zarówno Księżyc, jak i cały Układ Słoneczny.

– Na Ziemi mało kto zgodziłby się z takim stwierdzeniem. Większość ludzi uważa to pojęcie nie za anachronizm, lecz za kamień węgielny, na którym można by zbudować lepszą przyszłość.

– Wiem. Jeżeli jednostki mogą mieć na własność kawałki ciał niebieskich, obszar jurysdykcji rozpada się na państwa, których są obywatelami, i natychmiast odżywa nacjonalizm. Ale można dogadać się co do szczegółów. Prawo federacyjne mogłoby stać się jedynym prawem obowiązującym poza Ziemią pod warunkiem, że będzie chronić własność prywatną. Ponadto nie sądzimy, by przeciętnemu Ziemianinowi zależało zbytnio na wspólnym dziedzictwie. Wiemy z całą pewnością, że wielu z nich pragnęłoby porzucenia tej idei, a nie wszyscy pracują w Ognistej Kuli. Kiedy waszym politykom starczy odwagi, by przyznać się, że to pojęcie stało się niezrozumiałym dogmatem?

Wahl bardzo uważał, by nie zdradzić za wiele miniką twarzy; również starannie dobierał słowa.

– Szczerze mówiąc, *madame* Beynac, postępowanie wielu Selenitów oddala nas od tego celu. Mówi pani o prawie Federacji dla planet, satelitów, asteroid. Już jest tam stosowane i systematycznie sieje ignoruje. Dotyczy to każdego, od barona po użytkownika kopalni, który na dzierżawionym terenie zachowuje się tak, jakby był jego właścicielem, wreszcie po przeciętnego człowieka, który nie tylko nie chce płacić podatków, ale uczestniczy w zorganizowanej siatce podatkowych oszustów. Jakiej pewności siebie może dodać to politykom, których uważa pani za sprzedajnych?

– Celna uwaga. – Skinęła głową. – Ale podatki to kolejny powód do narzekań. Są zbyt wysokie.

– Proporcjonalne do wzrastającego dobrobytu Luny, powiązanego z kolei z zamożnością Ziemi.

– Tak, tak. Proszę posłuchać. Osobiście nie jestem obojętna na cierpienia biedaków, nie chcę też wykręcać się od udzielania im pomocy i łagodzenia innych problemów Ziemi. Urodziłam się w końcu w Ameryce Północnej i jestem obywatelką Ekwadoru. Ale ziemski mieszkaniec

Księżycyca, który rzadko tam bywa, i Lu – narianin, który nie zagląda na Ziemię nigdy, nie dzielają moich sympatii, i nie ma się temu co dziwić. Co otrzymują w zamian? Poza tym nie uznają podatku dochodowego, i to niezależnie od jego wymiaru, gdyż uważają go za naruszenie osobistej tajemnicy. My tutaj, gubernatorze, niezwykle wysoko cenimy sobie prywatność.

W początkach naszych dziejów było o nią bardzo trudno. Często musimy z niej rezygnować, na przykład podczas długiego lotu albo wyprawy w teren. Jej pragnienie jest w Luna – rianach niezmiennie żywe, podejrzewam, że księżycowa cywilizacja wpisała to umiłowanie wolności w geny. To, jak się tu traktuje podatek dochodowy, uznawane jest nie za oszustwo, lecz oznakę oporu.

– Trudno będzie przeforsować ustawę ustanawiającą dla nich wyjątek. – Wahl zmarszczył czoło. – Nawet gdyby obowiązek podatkowy zniosła Federacja, nie poszłyby w jej ślady państwa, których ci ludzie są obywatelami. Podatek dochodowy to podstawa istnienia nowoczesnego państwa.

– Są tacy – Dagny Beynac uśmiechnęła się krzywo – którzy uznaliby to za najsolidniejszy powód przemawiający za jego zniesieniem.

– Ależ bądźmy realistami. – Wahl urwał. – Podejrzewam, że fetysz prywatności jest też główną przyczyną oporu wobec spisu ludności i innych rządowych metod gromadzenia informacji? – Przytaknęła. – A ja słyszałem, iż lunariańscy magnaci mają własne, całkiem skuteczne metody.

– W oczach Lunarianina wygląda to inaczej. Proszę mnie nie obwiniać, ja tylko wyjaśniam fakty. Jest pan katolikiem, prawda? Mówi pan księdzu o takich sprawach, że gdyby kto inny pana o nie spytał, natychmiast rozkwasiłby mu pan za to nos.

Przez chwilę jej się przypatrywał, by stwierdzić cicho:

– Chodzi pani o to, że w gruncie rzeczy ten spór jest natury nie ekonomicznej lub

politycznej, ale cywilizacyjnej. Nie szykuje się żadna rewolucja amerykańska. Nie, będzie to powstanie przeciwko okupantom z zewnątrz, cudzoziemcom, kosmitom.

– Jest pan inteligentnym człowiekiem – orzekła z powagą.

– Nasuwa mi się porównanie z pierwszą wojną secesyjną – podjął ponurym tonem. – Dołożę wszelkich starań, by temu zapobiec. Jeśli pociągnie to za sobą zduszenie w zarodku rodzącej się, odrębnej cywilizacji lunariańskiej, tak być musi. Czy rozumie pani już, dlaczego zarządziłem wprowadzanie w życie ustawy o standardach wykształcenia?

– Wiedziałam, czym się pan kierował – odparła, jakby trochę rozżalona. – Wymagać od prywatnych, tak samo jak i od państwowych szkół, by uczyły – usiłowały wpoić – ideały w rodzaju demokracji i równości każdego człowieka. Kto przyzwoity miałby coś przeciwko temu? Ja na przykład nic. Ale dzieciom Lunarian niezbyt idzie to w smak. W domu słyszą coś innego. Zresztą kojarzy mi się to z mówieniem kotom, żeby zachowywały się jak psy. Cała sprawa została po cichu zatuszowana, gdyż powodowała zbyt duże trudności. Nie chodzi o agresję, wagary czy nawet bezczelność. Objawy były subtelniejsze. Pogarda. Sama wyczuwałam ją u dzieci. A teraz żąda pan, byśmy powtarzali tamte błędy.

– Wy, Selenicy, całe lata agitowaliście za autonomią – westchnął Wahl. – Pani, *niadame*, nie pozostawała w tyle. No i macie tę autonomię. I co z nią teraz poczniecie, skoro dzieci nie znają zasad cywilizowanego samorządu?

– Nasza autonomia jest dość ograniczona, jeśli wziąć pod uwagę, że gubernatorowie mają za zadanie utrzymywać ją w ramach Federacji i systemów prawnych pewnych państw. Apelacje od tych przepisów są systematycznie oddalane przez sądy – Dagny popatrzyła za jego plecy – w przeszłość? W jej głosie usłyszał nutę smutku. – Muszę się przyznać, że to największy zawód, jaki spotkał mnie w życiu. – Większy nawet od faktu, że jej własne dzieci wyrosły na...

Lunarian? – Prawa Federacji są z reguły ludzkie i racjonalne. Przepisy, które z punktu widzenia

Księżycyca mają inną wymowę, byłyby, jak liczyłam, stopniowo zmieniane środkami demokratycznymi. W sumie nasi ziemscy prawodawcy ciągle nad tym pracują, wciąż się starają. Za to Lunarianie... wszystko wskazuje na to, że nie są stworzeni do polityki. Ci, którzy się nią zajmują, są zazwyczaj najgorszym, najbardziej zepsutym, kłótliwym, egotycznym, krótkowzrocznym elementem. Nasz parlament funkcjonuje bardzo kiepsko i wątpię, żeby się to miało zmienić na lepsze.

– Nie jest to może takie złe – zaryzykował – gdy weźmie się pod uwagę, jakie prawa miał zamiar uchwalić.

– W rodzaju przywrócenia kary śmierci za karygodne zaniedbanie i porzucenie? Nawet Gambetta musiała tu postawić swoje weto. Byłam z nią zgodna. Reszta mojej rodziny nie. To nie są potwory, gubernatorze, oni po prostu niezwykle wysoko cenią... honor, tak, to chyba najlepszy angielski odpowiednik. Ale są dziećmi świata innego niż Ziemia.

– Osobliwy to honor – odparował – który nakazuje chłostać lub mordować bez sądu winnych jakichś wykroczeń, a następnie chronić złoczyńców. *Madame*, na to nie można dłużej pozwalać.

– Prawo do sprawiedliwości i udzielania azylu. Tak na to patrzą. Moim zdaniem posuwają się za daleko, co mnie boli. Ale jeśli nie chce pan, by zeszli do podziemia, gdzie będą dopuszczać się coraz gorszych czynów, będzie trzeba osiągnąć jakiś kompromis.

– Dlaczego? Mówi pani o przyznaniu Selenarchom praw, które sami sobie już przywłaszczyli. To może ich zachęcić do kolejnych roszczeń. Niektórzy spośród nich układają się bezpośrednio nie tylko z firmami, lecz z rządami, które – niech to pozostanie między nami – nie są najdoskonalszymi członkami Federacji Światowej. Czy na koniec ogłoszą pełną suwerenność? Zbudują broń jądrową? Będą wszczynać wojny? Nie, *madame*, tak być nie może.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mieli takie zamiary. Nie są obłąkani. Zwykli, przeciętni mieszkańcy Księżycyca chcą wolności wyboru sposobu życia. Jestem przekonana, że to możliwe

w granicach naszej wspólnej kultury, co więcej, może wzbogacić nas tak, jak sobie nawet nie wyobrażamy. Ale nie wolno ich w takim razie przymuszać, ograniczać, krępować do tego stopnia, że przemoc uznają za jedyną formę działania.

– Lepiej niech sami nie sprowokują Władz Pokojowych i Federacji Światowej do gwałtownych reakcji.

– Tak. Macie swoje uzasadnione prawa i pretensje. Pojmuję je równie dobrze jak ich roszczenia, należę bowiem do obydwu światów. Spotkaliśmy się tu dzisiaj, żeby poszukać dróg osiągnięcia ugody.

– Nie da się tego załatwić w kilka godzin.

– Ani w kilka lat, może nawet nigdy. Ale jeśli chce pan jeszcze pogadać, ja ze swej strony nie mam nic przeciw temu.

– Zarezerwowałem sobie ten cykl dzienny, *madame*. Hm, czy mogę zaproponować coś do picia?

– Czy pan może?! – Roześmiała się na głos. – Zimne piwo zaniósłoby mnie do nieba, a kropla wódki sprawiłaby, że mógłby pan zająć tam miejsce obok mnie.

Rozmowa faktycznie się przedłużyła. Nie utrzymywali tonu śmiertelnej powagi, zresztą nie było to zamiarem Dagny. Wypytała go o jego życie, sama trochę wspominała, dowcipkowała, opowiadała kawały, zapoznała go z rubaszną balladą o kosmonaucie nazwiskiem MacCannon, wreszcie odeszła, a on pozostał pod jej ogromnym urokiem.

Od tamtej pory odbyli szereg spotkań, w cztery oczy lub w obecności świadków, w celach służbowych lub towarzyskich. Dla niego okazje towarzyskie były co najmniej równie istotne.

Umożliwiło mu to osobiste poznanie wielu wybitnych Selenitów, i to na nieoficjalnej stopie.

Zyskiwał jej sankcję – a zarazem ochronę, jak często myślał – dzięki czemu jego działania

i inicjatywy nie napotykały odruchowego oporu. Zmniejszyło to także poczucie osamotnienia

dręczące Ritę.

Niewykluczone, że spowolniło narastanie napięcia i lawinę niemiłych incydentów. Ale jej nie powstrzymało. Hiroszima podobno rozważała Petycję Lunariańską. Dokument poddano pod obrady w paru komisjach. Na Lunę nie dotarł jeszcze raport na temat żadnej z nich. Wahl dowiedział się, że sprawa utknęła w martwym punkcie i odłożono ją do dalszego zbadania. Nie dostrzegano potrzeby pośpiechu. Księżyc był odległy, jego mieszkańcy nieliczni, a na ojczystej planecie aż roiło się od doniosłych kwestii. Tymczasem Wahl przekonał się, że sam zabrnął w ślepy zaułek.

Gdy dzisiaj zadzwonił do Dagny Beynac, telefon powiadomił go, że kobieta wróci dopiero w południe. Domyślał się, że odpoczywa, była przecież taka stara i krucha. Wolał nie wyobrażać sobie, co stanie się po jej śmierci.

Hm... może wobec tego skontaktowałby się z Ansonem Guthriem? Ognistej Kuli powinno bardzo zależeć na utrzymaniu pokoju. Ponadto wszystko wskazywało na to, że zasejwowana osobowość nie zatraciła ludzkich inklinacji. Ale całkiem możliwe, że Wahlowi nie uda się z nim porozmawiać bez uprzedzenia. Może nie chce lub nie móc interweniować. Co on tak naprawdę mógł na to poradzić? Gdyby zaangażował się bezpośrednio, mógłby zaognić sytuację. Nie, najpierw trzeba będzie wysłuchać zdania Dagny. Jeśli pomysł jej się spodoba, ułatwi mu spotkanie z Ansonem, a być może nawet sama przekona widmo.

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, Wahl wyszedł z gabinetu i zaczął przemierzać korytarz. Wszystkie inne, niezliczone obowiązki przestały mieć znaczenie. Za wcześnie na drugą kąpiel w lodowatej wodzie, ale pójdzie na spacer przez miasto, może nawet założy skafander i wybierze się na powierzchnię. To powinno przywrócić ład rozbieganym myślom.

Mijał pokój Pilar. Drzwi były uchylone. Dziewczyna siedziała przy telefonie. Jej wąła postać drżała. Krew napływała do policzków i z nich odpływała.

– Och, Erann – dyszała dziewczyna.

Twarz na ekranie była młodzieńcza, obdarzona egzotyczną urodą Lunarian. Wahl ją rozpoznał. Widział tego chłopca raz czy dwa razy podczas przyjęć, jakie młodzi organizowali sobie w rezydencji. Umacnianie związków przyjaźni między obiema rasami wydawało mu się wówczas słuszne.

Erann. Wnuk Brandira.

Uśmiechnął się uwodzicielsko niczym Lucyfer i coś wyszeptał. Pilar nachyliła się, wyciągnęła rękę, jak gdyby chciała przyciągnąć do siebie obraz.

Ojciec stał, przykuty do miejsca na nabrzmiałą grozą chwilę. Nie zauważyła jego obecności.

Nie wtargnął do środka. Cóż mógłby bowiem wtedy zrobić? Skrzyczeć ją? Poszedł dalej korytarzem. Oddychał z trudem przez zaciśniętą krtani.

Musi porozmawiać z Ritą. Jeszcze dzisiaj. Powstrzymać ich, zanim spowodują nieodwracalne szkody. W miarę możliwości taktownie. Ale uciekając się do wszystkich koniecznych środków. Może wymyślić powód wysłania dziewczyny, niczego nie podejrzewającego dziecka, do szkoły na Ziemi, gdzie będzie przebywać wyłącznie w otoczeniu ludzi.

Cyberkosmos zbudził Venatora około północy.

– Uwaga! – obwieścił głośnik. – Plik Prozerpina został otwarty.

Mężczyzna zerwał się z pryczy i zażądał światła. Wąski pokój o gołych ścianach jakby promieniował chłodem.

– Kto to zrobił? – warknął Venator.

Zamigotał płomyk nadziei. Nie był jedyną istotą ludzką, która wiedziała. Ktoś jeszcze miał powody do przejrzania pliku.

Głos pozostawał monotony. Jak do tej pory w sprawę angażował się tylko automat wysokiego poziomu.

– Układ DNA należy do... – Nastąpił numer identyfikacji – ny Venatora.

Nie!

Odruchowo zaprzeczył własnemu zaprzeczeniu.

– Położenie – zakomenderował.

– Prajnaloka, miejscowość na środkowym południu Ameryki Północnej. – Ekran wyświetlił mapę regionu. Strzałka pokazywała dokładne miejsce. Nie było to konieczne. Znał je, chociaż nigdy nie zaglądał tam osobiście.

Intruz lub intruzi raczej nie byli miejscowi, myślał. Poszukiwacze Duszy byli ostatnimi ludźmi we wszechświecie, którym chciałoby się sprzeciwić systemowi. Poza tym skąd wzięliby ten kod genetyczny?

Czyli agenci Lilisaire. Diabelski spryt. A przynajmniej inteligencja. Nigdy nie przedostaliby się w pobliże pliku, gdyby ich poszukiwania nie były doskonale zaplanowane, pytania tak naturalne i konkretne, że zdołali uniknąć wszystkich pułapek, dzięki którym program mógł wykryć ewentualnego szpiega i zablokować linię. Tak, to zgadzało się z obrazem, który sobie

wytworzył. Kenmuir, posiadający doświadczenie w żegludze kosmicznej; ktoś jeszcze, dysponujący rozległą i głęboką znajomością sieci informacyjnych, połączoną z doświadczeniem. Przedostali się po omacku do portali tajemnicy i...

– Czy zawiadomiono najbliższą bazę Władz Pokojowych? – zapytał Venator. Zdjął z kołka w ścianie swoją tunikę. Ziemia pod stopami była zimna i twarda.

– Tak. – Niepotrzebnie tracił czas na to pytanie, powinien założyć z góry, jaka będzie odpowiedź.

– Połącz mnie z kapitanem oddziału szybkiego reagowania. Sprawa najwyższej wagi.

Venator okrył swą nagość. Musiał wyrzeć na tym człowieku odpowiednie wrażenie. Sam też chciał zamaskować własną furię i wstyd. Już domyślił się, skąd wzięli jego DNA.

Na monitorze pokazała się twarz.

– James Fong, kapitan sił szybkiego reagowania, Władze Pokojowe w Integracji Chicago – odezwał się głos w języku anglo. Imię i nazwisko; staromodne; sugerują solidność i wierność.

– Pragmatyk Yenator, korpus wywiadowczy. – I półgłosem rzucił: – Potwierdzić. – System zasygnalizował, że to prawda. – Mamy problemy, kapitanie. Jestem synojontem. Potwierdzić. Sprawa jest bardzo poważna.

– Tak jest, *señor*. – Fong z sykiem wciągnął powietrze przez zęby.

– Dwie osoby – przynajmniej sądzę, że są to dwie osoby – włamują się w Prajnałoce do ściśle tajnego pliku. Grozi to katastrofalnymi konsekwencjami. Proszę tam lecieć i schwytać intruzów, zanim skończą robotę i uciekną. Proszę ich trzymać w odosobnieniu i czekać na dalsze rozkazy. Nie przesłuchiwać, nie wolno im też z nikim rozmawiać, nawet z panem i pańskimi podwładnymi. W stosunku do personelu *asramy* proszę zachować neutralną życzliwość.

Wyjaśnić, że oszukali ich wrogowie zdrowego rozsądku, poprosić, by opisali zachowanie tych dwojga. Na koniec trzeba będzie ich jeszcze poprosić o daleko idącą dyskrecję.

– Tak jest, *señor*. Ale nie możemy wszystkiego ukryć. Ludzie nas zobaczą. Rozniosą się plotki.

– To nie powinno mieć znaczenia, jeżeli operacja przebiegnie sprawnie. Proszę meldować o wszystkim bezpośrednio mnie. Cyberkosmos skieruje sygnały. – Do dzieła.

– Tak jest, *señor*. Sam stanę na czele akcji. Służba! – I ekran zgasł.

Dobrze. Fong wyglądał na godnego zaufania. To dodawało otuchy. A nawet nadziei. Po grzbiecie Venatora przebiegł dreszcz. Ofiara powinna wpaść w jego ręce w ciągu najbliższej godziny. A potem...

Załóżył sandały i wyszedł na korytarz, przechodząc wśród zmiennych kształtów światła i pracujących w milczeniu urządzeń. Zadanie wymagało czegoś znacznie lepszego od telefonu i terminalu. Niewykluczone, że będzie musiał naradzić się z całym cyberkosmosem.

Będzie to wkrótce konieczne. Sprawa najwyższej wagi. Fong i jego ludzie szybko sobie to uświadomią. W myśl Przymierza zatrzymanie i tymczasowa izolacja osób fizycznych były dozwolone tylko pod warunkiem powołania się na Klauzulę Nagłych Środków Bezpieczeństwa. Ale ludzie Fonga będą się zastanawiać, po co Venator każe tak szybko przewieźć więźniów do centrali. I czemu nie ma żadnych wiadomości o stawianych im zarzutach? Czyżby łamano ich prawa? Należało wymyślić w miarę zadowalające odpowiedzi.

Serce również się tego domagało, myślał. Zacznie naturalnie od perswazji, ale jeżeli agenci Lilisaire okażą upór i będą żądać publicznego procesu, co wtedy?

Nie wiedział. Najprawdopodobniej uczyni to, co konieczne. Będzie to zależało od ich zachowania, od tego, ile zdążyli się dowiedzieć, oraz od ewentualnego następnego kroku Lilisaire... nie potrafiłby wyliczyć wszystkich niewiadomych. Chaos.

Domyślał się, że w najgorszym przypadku cyberkosmos nakaże mu wymazać ich najświeższe wspomnienia. Zagryzł wargi. Praktycznie równałoby się to ich zamordowaniu,

a skutki uboczne mogły okazać się bardzo poważne. A jak wytłumaczyć ich amnezję po uwolnieniu?

Czy to możliwe, żeby cyberkosmos nakazał ich po prostu zabić?

Możliwe. O ile będzie to konieczne.

Konieczne dla zachowania zdrowego rozsądku w najbliższej – i uratowania tej bardziej odległej – przyszłości.

Dotarł do głównego pomieszczenia w centrum łączności i usiadł przed konsolą. Monitory otaczały łukiem jego obrotowe krzesło: płaski ekran na lewo, hologramowy po prawej, z przodu zbiornik widokowy. Następny telefon od Fonga odbierze właśnie tutaj. Venator opanował chęć, by zadzwonić do tamtego jeszcze w czasie lotu oddziału interwencyjnego. To rozprasza uwagę. Myśliwi powinni odczekać, by potem rzucić się na zwierzynę.

Jednak... Za pomocą głosu i palców wszedł do pliku Prozerpiny. Program cały czas pracował. No, jeżeli wciąż tkwią przed komputerem, to mu wystarczy. Będzie musiało. Szpiedzy wielokrotnie by go sobie obejrzeni, omówili w podnieceniu, sporządzili notatki. Dla Lilisaire. Weszła maszyna z tacą. Miała ludzką postać, przypominała mężczyznę owiniętego w folię, spod której wystawała tylko wieżyczka i dwie dodatkowe ręce; i jeszcze te nieludzko zgrabne ruchy.

– Napijesz się czegoś? – zapytała melodyjnym głosem. Na tacy, obok talerzyka proteinowych ciastek, stał imbryk z parującą herbatą.

– Bardzo proszę – odparł Venator, bo miał przed sobą nie robota, lecz odzianego w ciało sofotekta. – Przede mną długa noc. Przed nami.

– To prawda. Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

– W tej chwili dziękuję. W razie potrzeby dam znać. – Venator rzucił okiem na błyszczącą, pozbawioną oblicza powierzchnię. – W jakim stopniu jesteś zaangażowany? – Przez to wcielenie

rozmawiał z cyberkosmosem jako całością.

– W niewielkim, ale sygnał pogotowia otrzymał cały system.

Venator kiwnął głową. Półmózg, który zarządzał programem, pouczył, że ma zawiadomić policję, gdyby ktoś go uruchomił. To działo się automatycznie; lecz miłą niespodzianką było, że sprawą zainteresowała się inteligencja wyższego rzędu, rozsyłając własne wiadomości.

Maszyna wyszła. Venator popił herbaty i ugryzł kawałek ciastka. Prosty, domowy wypiek. Symbol. To, co sterowało światem i pojmowało kosmos, pomyślało również o rzeczy tak przyziemnej.

Kosmos... Odruchowo wyszukał plik na temat Alfa Centauri. Jakimś szóstym zmysłem czuł, że doda mu to stanowczości.

Materiał był niesamowity. Mógł tylko obejrzeć go powierzchownie, zobaczyć tę czy ową scenę w oczekiwaniu na wieści od Fonga.

Dalej, coraz dalej. Najnowszy obraz, przekazany z najbliższego sąsiada Sol, pochodził sprzed czterech lat. Garstce kolonistów Guthriego dotarcie tam zajęło pół wieku, zaś przygotowania pochłonęły wszystkie środki, jakimi dysponowali. Resztki przejęła Federacja Światowa, a Ognista Kula przeszła do historii. Nikt już nie zbuduje takiej floty.

Venator wybrał obraz z wcześniejszego okresu, gdy na miejsce przybyła pierwsza bezzałogowa sonda. Już samo to okazało się nie byle jakim wyczynem. Podwójne słońce płonęło na tle czerni. Pędzący naprzód skan mknął w głąb układu, gdzie Alfa przyjmowała postać kręgu światła, a sonda krążyła po orbicie wokół jedynej życiodajnej planety układu.

Demeter nie była Ziemią. Albo była Ziemią pierwotną, ewentualnie Ziemią, która mogłaby powstać, gdyby nie ocaliły jej kontrola przyrostu naturalnego, technologia molekularna i czysta energia. Fakt, w morzach na Demeter roiło się od organizmów zdolnych wytworzyć powietrze do oddychania; lecz na wybrzeżach istniało niewiele gatunków prostych roślin i zwierząt. W głębi

ładu przeważały skały, piach i pył unoszony przez chłoszczące wiatry; iście marsjański krajobraz. Czemu? Z wielu względów; jednym z nich był brak olbrzymiego księżyca, który stabilizowałby oś obrotów; natomiast Luna była dzieckiem kosmicznego zderzenia, potwornego wypadku u początków wszechświata.

Nic więc dziwnego, że dawniejsze badania nie natrafiły na żadne ślady myślących ras. Życie było rzadkością. Występowanie świadomości zbliżało się do matematycznego punktu zero. Niewykluczone, że z całego wszechświata wyewoluowała jedynie na Ziemi.

A teraz sama uczyni się sensem i przeznaczeniem tegoż wszechświata.

Venator przesuwiał obrazy, aż dotarł do widoku obecnego – to jest sprzed czterech i jednej trzeciej roku. Warstwa chmur wisiała nad szafirowoturkusowym oceanem. Śniegi bieleły na północy i na górskich szczytach. Kontynenty i wyspy na południe i położone niżej mieniły się łagodnymi odcieniami zieleni i brązu, barwami lasów, łąk, mokradeł i pastwisk, na których mogły żywić się i rozmnażać potężne stada.

Kamera mknęła tuż nad powierzchnią, skupiała, powiększała obraz. Dostrzegł kępę brzoź, których liście chłoneły blask słońca; galopujące dzikie konie; stok wzgórza niebieski od chabrów; wieś złożoną z niewielkich domów; wieże miasta nad zatoką, gdzie kołysały się zakotwiczone jachty i rozładowywano frachtowiec; ruch pojazdów na drogach i w powietrzu; smugę pozostawioną przez startujący statek, niczym szlak do nieba.

Wszystkiego tego Terranie, za pomocą licznych robotów i techniki molekularnej, dokonali w przeciągu niecałych trzystu ziemskich lat, podczas gdy w kosmosie Lunarianie doprowadzali do stadium rozkwitu asteroidy. Dokonali tego, choć doskonale zdawali sobie sprawę, że niebawem bezsensowny kataklizm zniszczy całą planetę i nikt nie wiedział, czy ktokolwiek zdoła ocaleć.

Venator poczuł gdzieś w głębi przebiegające go drzenie. Oto w całej pełni objawił się duch

faustowski, znajdując sobie ostateczne schronienie.

Nie, pomyślał, rzecz nie sprowadza się tylko do tego. Nie chodziło wyłącznie o nieokiełznaną wolę, demoniczną energię i arogancki śmiech. (– Postanowiliśmy, że motto i wiodąca zasada naszych rządów będą brzmieć: *Absit prudentia nil res publicae proficitur* – obwieścił kiedyś Guthrie. – *Gracias* do bazy danych za łaciński przekład. A oznacza to: Bez zdrowego rozsądku nic się nie da zrobić. – Brutalne, oczywiste lekceważenie wszelkich form kontrolowanego społeczeństwa). Zuchwała wyprawa doprowadziła do powstania zupełnie nowego, zdumiewającego zjawiska.

Skrzydłata kamera parła naprzód. Pola uprawne złociły się w oczekiwaniu na żniwa. Było ich niewiele, a plony przeznaczano głównie do produkcji chemicznej. Podstawowe włókna i artykuły żywnościowe wytwarzano sztucznie, tak samo jak na Ziemi i Lunie. Ci, którzy mieli na to ochotę – a takich była na Demeter większość – uzupełniali je produktami przydomowych ogródków, sadów i szczodrej natury. Kamera pokazała następny las. To przyroda, wszechświatowa sieć życia, umożliwiła ludziom istnienie na tamtej planecie.

Lecz technologia nie była w stanie w ciągu kilku wieków dokonać dzieła gigalat ewolucji. Tutejszy ekosystem był z konieczności prosty, wątki, ubogi w zasoby i kanały komunikacji o ich stanie, kruchy, zawsze na krawędzi katastrofy. Na Ziemi wymierały ogromne ilości gatunków. Ekosystem Demeter umrze w zarodku i nie ma się co spodziewać odrodzenia. Życia nie przywróciłby mu wysiłek całego cyberkosmosu, który nie zdołałby doprowadzić go do stanu dojrzałości i utrzymać w równowadze niezbędnej do przetrwania.

Venator kroczył pośród lwów i bawołów na afrykańskim stepie, wspinał się na lodowiec, sływał wodospadami, rozbroił niejednego maniaka. Ale ten obcy krajobraz go mierzył.

W tej chwili odezwała się konsola:

– Do pana.

Obraz z przestrzeni kosmicznej ustąpił miejsca widokowi całej sylwetki Fonga.

Najwidoczniej oficer korzystał z podobnego urządzenia. Zasalutował.

– Melduję się, *señor*. – Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie: porażka. Venator poczuł przyływ mdłości. Przełknął ślinę.

– No i?

– Przykro mi, *señor*. Ci ludzie zniknęli. Z tego, co się dowiedzieliśmy, dwoje – mężczyzna i kobieta – wsiedli pospiesznie do wolanta, którym przylecieli, i umknęli. Działo się to jakieś czterdzieści pięć minut temu. – Ponad wszystko Prozerpina.

– Co wiadomo o pliku, do którego się wdarli?

– Sądzę, że odeszli, nie wyłączając go, tak że automatycznie dobiegł końca. Jeżeli dowiedzieli się, że tu lecimy – a mogli o to zapytać – był to rozsądny krok, żeby nie dawać sieci do zrozumienia, że zniknęli. Zyskiwali na czasie.

Venator skinął głową. Zesztywniał mu kark.

– Pewnie ma pan rację. – Co za spryt, rozwaga. Lilisaire starannie dobrała sobie narzędzia. – Dowiedział się pan o nich czegoś?

– Dopiero rozpoczęliśmy dochodzenie, *señor*. – W polu widzenia pojawił się drugi człowiek.

– Chwileczkę, *por favor*.

– Fong naradzał się z tamtym, po czym zwrócił się do synojonta:

– Kontrola Ruchu zidentyfikowała ich wolant. Poleciał do portu głównego w Springfield i zaparkował nielegalnie przed samym terminalem. Czy mam skontaktować się z tamtejszą policją cywilną?

– Nie. – Bo i po co? – Proszę przejrzeć rozkłady lotów autobusów. Albo ukrywają się w mieście, albo polecieci gdzie indziej. Na kogo jest zarejestrowany wolant? Hmm... – Fong zezował na ekran gdzieś z boku. – Na Alice Tam z Niihau na Hawajach.

– Dobrze. Proszę kontynuować śledztwo. Jednak bez przesady. Należy je zakończyć, gdy przestaną napływać informacje. Zrozumiano? Najważniejsza jest tajemnica. Proszę mi znaleźć człowieka, który będzie w stanie najwięcej powiedzieć o tych dwojgu.

– Tak jest, *señor*. – Fong zniknął i Venator ujrzał przed sobą ścienne malowidło z lotosami. Odwrócił się. Czekał, mógł przyrzeć się osobie Alice Tam.

Dane na jej temat, które zebrał system, okazały się zaskakująco obfite. Nie starała się o zwrócenie na siebie uwagi, ale jako osoba aktywna zasłużyła na wpisy więcej niż standardowe. Narodziny i dzieciństwo w tym osobliwym, szczytkowym społeczeństwie, studia w Rosji, podróże między innymi na Lunę, na kontynencie współpraca z metamorfami i kilkoma organizacjami próbującymi poprawić ich los... Tak, mnóstwo czasu w sieci, częste znikanie nie wiadomo gdzie... Przed ośmioma dniami przybycie do Integracji Zatoki San Francisco. Przerwa, podróż do Santa Monica. Przerwa, wreszcie lot do pewnego miejsca na pustyni Daltona, chwilowy postój, potem Overburg; informacje na temat Overburga, następnie... dwa dni w mieście, później wiele godzin w powietrzu i lądowanie w Prajnaloce... Na koniec wolant przemieścił się do Springfield, gdzie go porzucono.

Obrazy ukazywały młodą kobietę, uroczą, zgrabną, energiczną, prawie żadnego śladu żelaznego charakteru.

Czy poznała Lilisaire podczas wizyty na Księżycu? Prawdopodobnie. Chyba będzie to można sprawdzić.

Jakim sposobem i dlaczego została sojuszniczką Lilisaire? Wszechstronne przeszukiwanie danych powinno przynieść jakieś wskazówki, być może nawet wyczerpującą odpowiedź.

W polu widzenia kamery pojawiła się funkcjonariuszka.

– O godzinie 13.15 ze Springfield do Osi St. Louis odleciał autobus – zameldowała. – Dotarł na miejsce przed dziesięcioma minutami.

Nieco za wcześnie. Jeżeli Alice i Kenmuir byli na pokładzie, mogli już przepaść w mięcie lub przesiąść się na kilkadziesiąt statków lecących w równie licznych kierunkach. Dawno, dawno temu w każdym głównym punkcie tranzytowym można byłoby ich wyśledzić za pomocą kamer. Lecz Ognista Kula skruszyła potęgę Awantystów, a nowoczesne państwo nie było totalitarne: nigdy nie potrzebowało urządzeń do drobiazgowej obserwacji.

Naturalnie istniało ich jeszcze całe mnóstwo, służyły do powszednich celów. Niektóre można było nawet zmobilizować, poczynając od satelitów optycznych wysokiej rozdzielczości do jednostek oceny ruchu i – w sytuacji skrajnej – każdego sofotekta na Ziemi. Ale to wymagało czasu, ponieważ bez uprzedzenia nie można było oderwać maszyn od ich codziennych obowiązków; w dodatku cała operacja wyszłaby na jaw, powodując niezadowolenie obywateli, którzy, z poparciem parlamentarzystów, zaczęliby żądać wyjaśnień. Czego zdążyliby w tym czasie dokonać Alice i Kenmuir?

Najprawdopodobniej niewiele. Bo jakim cudem?

Do tej pory ich nie doceniał.

Fong przyprowadził przed kamerę jakiegoś starca, którego przedstawił jako Sandhu. Ten starał się zachować pogodę ducha, relacjonując, jak Tam i... Johan... przybyli zgodnie z odpowiednio wcześniej dokonaną rezerwacją i sprawiali wrażenie, że mają najzupełniej szczerą intencję. Co się stało?

– Dzisiaj nie mogę panu nic wyjawić – pocieszał go Vena – tor. – Władze Pokojowe są na tropie zbrodniczego spisku. Prosimy o dyskrecję. Kontrolujemy sytuację i wiemy, że pańscy ludzie w niczym tu nie zawinili. – Z satysfakcją patrzył, jak staruszek nieco się uspokaja.

Telefon w sprawie rezerwacji – można będzie wyśledzić źródło. Było to w tej chwili zadanie najważniejsze, uznał Yenator.

Powinien być to trop wiodący do całej ziemskiej konspiracji Li]isaire. Niech Kenmuir i Tam

jeszcze przez chwilę uciekają, dopóki nie wysłodzi ich jakiś ograniczony i niezbyt ważny program. Wobec postawionego w stan pogotowia cyberkosmosu, wykorzystującego każdą zdobytą informację, zastawią na siebie pułapkę.

Trzeba zacieśnić kordon obserwacyjny wokół Wysokiego Zamku; trzymać w odwodzie siły niezbędne do jego blokady, a nawet oddział zdolny do wtargnięcia na jego teren i aresztowania wszystkich, którzy się tam znajdują. Potem wymyśli się, jak poradzić sobie z falą politycznego oburzenia, którą wywoła to zajście. Nastęrczy to mniej trudności niż samo otwarcie pliku Prozerpiny.

Informacja. Myśl. Wiara. Umysł. Życie zaczynało już ewoluować od biosfery do noosfery i to, co działo się w mózgu, miało znaczenie większe niż wypadki pośród gwiazd.

Venator pobiegł myślą w przeszłość: z buntowniczego exodusu Guthriego niespodziewanie narodziła się Matka Demeter. Była jednak oddalona o całe lata świetlne, utrzymując z Ziemią rzadkie i niebezpośrednie kontakty, dla większości ludzi w Układzie Słonecznym była abstrakcją, która nie poruszała ich wyobraźni tak jak starodawne proroctwa. Niech tak pozostanie i miejmy nadzieję, że słuch po niej zaginie.

Tymczasem trzeba być czujnym, lecz z niczym się nie zdradzać. Między Sol i Alfa Centauri kursowały laserowe wiązki niosące słowa i obrazy. Same słowa i obrazy. W świadomości ludzi z Układu Słonecznego kolonizacja, która była kiedyś epopeją ludzkości, spowszedniała, przestała mieć związek z ich życiem. Cyberkosmos zachęcał do takiej postawy, manifestując swój brak zainteresowania. Oświadczał, że gdy ktoś go o to poprosi, gotów jest udzielać rad – co zdarzało się coraz rzadziej, zwłaszcza że Centaurianie coraz bardziej oddalali się od ziemskich spraw. Ale fizyczne wyprawy w kosmos to nie była sprawa dla Teraumysłu. Dawno już napisano wielkie równanie, które spinało klamrą całą fizykę. Możliwości współoddziaływania materii i energii były wielorakie i zaskakujące, ale zawsze chodziło o szczegóły, które można by było zawczasu

wyliczyć lub przynajmniej wyjaśnić w postaci kolejnej permutacji. Nie kończące się wyzwania czekały w umyśle i jego wytworach.

Venator uśmiechnął się. Naturalnie cyberkosmos nie mówił całej prawdy. Krążące wokół Alfa Centauri minisondy możliwie najdokładniej śledziły tamtejsze wypadki, wysyłając meldunki, których nie słyszał nikt, a już zwłaszcza opinia publiczna. Statki, do których nikt się nie przyznawał, przeczesywały galaktykę, chociaż na wiadomości od nich przyjdzie poczekać całe lata, może wręcz stulecia. Celem cyberkosmosu było wykroczenie poza materialny wszechświat, lecz zanim to nastąpi, niektóre jego permutacje mogą okazać się istotne.

Jak na przykład Matka Demeter.

Leżała jednak daleko, a cała reszta jeszcze dalej. Prozerpina krążyła po orbicie rodzimego słońca cyberkosmosu.

A Luna nosiła w sobie, już od narodzin pierwszych Lunarian, ziarna chaosu. Venator zastanawiał się, jak często kiełkowały, nie publicznie, co spisano by w kronikach, lecz w tajemnicy. Ile śmierci było w gruncie rzeczy zamaskowanymi morderstwami?

Wystarczy tego rozważania na temat przeszłości. Na monitorze pojawił się Fong. Venator udzielił mu końcowych instrukcji, wyłączył przekaz i przystąpił do realizacji następnego etapu kampanii.

MATKA KSIEŻYCA

Dźwięk telefonu zbudził Dagny około godziny 6.00. Ten program wiedział, że chodzi o coś naprawdę istotnego. Usiadła, wydała polecenie: „Światło” i zamrugała oczami na widok pokoju, który wynurzył się z nienacka z mroku. Przez moment dziwiły ją doskonale znajome szczegóły: zdjęcie Monda, dzieci z czasów, gdy były jeszcze małe, ich niedawny portret z małżonkami i licznym potomstwem, włącznie ze świeżo narodzonym niemowlęciem, jej ostatnim praprawnukiem. Było to zdjęcie grupowe, zupełnie nie pasujące do Lunarian, zaaranżowane wyłącznie ze względu na nią. Barwne, purpurowo-złote kotary, za których pomocą chciała ożywić pomieszczenie... Za daleko odbiegła myślami.

Zmarły przyjaciel zniknął z pamięci. Zwróciła się do ekranu przy łóżku i nakazała:

„Odbierz”. Ujrzała twarz Rity Urribe de Wahl. Ją też zapewne dopiero co zbudzono, bo włosy miała w nieładzie, a tunikę niedbale narzuciła na szlafrok. Łzy lśniły jej na policzkach i ściekały ku kąciom drżących ust.

– *Se-señora, señora Beynac* – wyjąkała – *el estd muerto*. Zrozumienie dźgnęło jak nóż.

Dagny przypomniała sobie hiszpański, chociaż tamta mówiła przyzwoicie po angielsku, i zawołała:

– Jaime? O Boże! Jak to się stało? – Czyżby sztylet?

– W basenie... znaleziony... nie wiadomo. Są przy nim lekarze. – Rita przełknęła łzy, wyprostowała ramiona i podjęła obojętnym głosem: – Natychmiast zadzwoniłam do pani, bo wiem, jakie to może mieć konsekwencje. Pani będzie wiedziała najlepiej, do kogo się zwrócić, co zrobić. Myślę, że on by sobie tego życzył. – Stanowczość załamała się. – I, i zawsze była pani dla nas taka dobra.

Rozdzierająca pokora, pomyślała Dagny. Niezasłużona. Przez pięć ostatnich lat pielęgnowała

znajomość z gubernatorem generalnym tak, jak z jego poprzednikami, bo jakim innym sposobem mogła zapobiec otwartemu konfliktowi?...ale tak, polubiła, a nawet zaczęła szanować Jaime Wahla y Medinę, szanowała jego żonę i serdecznie jej współczuła, czego nie dało się ukryć.

– Już jadę.

– Nie, nie, nie ma potrzeby.

– E tam, nie ma – przeszła na angielski. – Niech się pani trzyma, *querida*. Tak mi przykro.

Ale czeka nas sporo roboty, ciężkiej roboty, a obawiam się, że nie będą to sprawy na telefon, potrzebuję paru godzin. Może pani tymczasem grać na zwłokę? Nikomu ani słowa. Trzeba będzie poprosić o to lekarzy, aha, i zawiadomić Haugena, ale niech się na razie nie rusza z miejsca.

Proszę zebrać wszystkie możliwe informacje, ale zatrzymać je dla siebie, dobrze?

– Rita znów wyteżyła całą siłę woli. – Tak, myślę, że zdołam... przekonać *señora* Haugena i innych, żeby zapanowali nad sytuacją i... przez jakieś dwie, trzy godziny.

– Dzielna dziewczyna. – Dagny uśmiechnęła się, choć chciało jej się płakać. – To ja jadę.

Jaime będziemy oplakiwać później. Teraz musimy zrobić to i owo dla jego dobra. *Hasla luego*.

Wyłączyła telefon i zadzwoniła do burmistrza Tychopolis. Program telefoniczny poznał ją i przełączył rozmowę bezpośrednio do jego pokoju.

– Cześć. Jeszcze w łóżku? To lepiej się zrywaj. Słuchaj, potrzebuję natychmiast środka transportu do Tsukimachi. Coś szybkiego. Najlepiej suborbitalny. Tak, te stare kości jeszcze zniosą takie przyspieszenia. Jeśli nie, to najszybszy odrzutowiec, jaki ma do dyspozycji miejscowa policja, a nie chodzi mi o nic pokroju Meteora czy Estrelli. Co najmniej Sleipnir... Powody są nieważne. Od tego może zależeć życie wielu ludzi. To na razie, i bądź łaskaw trzymać język za zębami. Użyj autorytetu, nawet mojego nazwiska, bylebyś mi coś załatwił. Spotkamy się dokładnie za godzinę w biurze Kontroli Lotów na kosmodromie, gdyby trzeba było przyprzeć tych facetów do muru. Dobrze byłoby, gdyby na pokładzie czekało jakieś śniadanie, ale

najważniejsza jest gotowa do startu rakietą. Dobra? Na razie.

Wyłączyła telefon i wstała z łóżka. Inalante da sobie radę. Był potężny, był mężczyzną i synem Kaino.

W łazience, spryskując twarz zimną wodą, zaczęła czuć ból znużonego ciała. W ciągu ostatnich kilku cykli dziennych nie miała okazji się wyspać. Liczyła, że poleży w spokoju do jakiejś dziewiątej, dziesiątej, a potem niechby rozpętało się piekło.

(Które zdążyło się rozpętać, tyle że w postaci, jakiej nie oczekiwała). W jej wieku sił nie odzyskiwało się po krótkiej drzemce. Czy kiedykolwiek była w innym wieku? Wydawało się to nieprawdopodobne.

W lustrze widziała swe oczy, nienaturalnie duże i błyszczące w otoczeniu kościstej bladości. Anson Guthrie zauważył niedawno, że z każdym ich spotkaniem Dagny nabiera coraz bardziej eterycznego wyglądu. Ale na to nie mogła sobie, do cholery, pozwolić, jeszcze nie, nie z tej strony skrzynki z prochami. Po rozważeniu uwag lekarza, obecnej sytuacji i własnych doświadczeń zażyła średniej mocy środek diergetyczny. Dzięki niemu, kawie, jedzeniu i sile woli powinna przetrwać kilka najbliższych godzin, nie płacąc za to zbyt wysokiej ceny.

Doładowawszy baterie (przy okazji nieco zmarzła), założyła ciepły skafander i botki.

Opończa z kapturem powinna zakryć twarz: mało kto wychodził o tak wczesnej porze. Na sekretarce zostawiła niezobowiązującą odpowiedź dla dzwoniących, wzięła torbę, którą miała przygotowaną na pospieszne wyjścia, i ruszyła w drogę.

Na Hudson Way zalegała cisza. Sklepienie symulowało błękitne niebo, tu i ówdzie chmury były blad różowe w blasku wschodzącego słońca, którego coraz mocniejsze promienie rozpałały krople porannej wilgoci na duramchu pod stopami. Powietrze poruszało się i pachniało niczym prawdziwa bryza. Jak na jej gust pejzaż był zbyt ładny, lecz dzielnicę zamieszkiwali głównie Terranie, którzy w głosowaniu wybrali taką właśnie scenerię. Istniały miejsca, gdzie można było

udawać, przy akompaniamencie wszystkich odpowiednich odgłosów, że idzie się brzegiem rozkołysanego, szarego oceanu.

Na rogu ulicy Grahama złapała fahrweg i pojechała na kosmodrom, dwukrotnie się jeszcze przesiadając. Współpasażerowie byli nieliczni i nie zwracali na nią uwagi. Mogła spokojnie wszystko przemyśleć.

Biedna Rita. I dzieci, chociaż Leandro studiował i bardzo oddalił się od ojca, natomiast Pilar od dwóch czy trzech lat chodziła do szkoły na Ziemi. Biedny jest przede wszystkim Jaime. Tak bardzo kochał życie, gdy tylko nie był wykończony pracą. Często był jej przeciwnikiem, ale uczciwym, postępującym zgodnie z tym, co uważał za dobre nie tylko dla Ziemi, lecz i dla Księżyca.

A teraz zginął. Dla niektórych ludzi to nad wyraz korzystna okoliczność. Lecz dla innych może stać się zwiastunem katastrofy.

Zabójstwo? Trudno sobie to wyobrazić, w jego własnym domu. Zresztą nikt nigdy nie próbował nawet na zewnątrz, mimo że chodził bez ochrony. Nie byłby łatwym przeciwnikiem jako wysportowany Ziemianin i posiadacz czarnego pasa w karate. Dlatego jego śmierć w basenie była tym bardziej niezrozumiała. Zwłaszcza że zdarzyła się w tak odpowiednim momencie.

Który wcale nie powinien nikomu odpowiadać, myślała Dagny – ani wyrachowanym lunariańskim magnatom, ani najbardziej radykalnym, upojonym sloganami demonstrantom na Ziemi. Jeszcze niedawno panowały inne warunki. Wobec obecnego klimatu politycznego na Ziemi – gdy przywódcy i dygnitarze coraz wyraźniej uświadamiali sobie, że sytuacja na Lunie burzy ich porządek świata – celem działania każdego gubernatora musiało stać się zaostrenie kursu. Cierpliwe nalegania Zhao i ustępstwa Gambetty nie zdały się na nic. Raz po raz łagodzone jakieś nieporozumienie, podczas gdy społeczeństwo nieustannie ewoluowało. Zadanie Wahla

polegało na poddaniu Luny rządowi Federacji i dopilnowaniu, by już na zawsze pod nimi pozostała. Żadnych kompromisów.

Lecz gubernator z konieczności miał dużą swobodę i musiał układać się z parlamentem, chyba że szykowało się powstanie i jedyną możliwością pozostawało starcie zbrojne. Mało który polityk zachowywałby się z taką ostrożnością i podobnym taktem co Wahl: krok po kroku, z radością nagradzał, niechętnie karał. Zawsze troszczył się o godność zainteresowanych, gotów odłożyć plany emerytury i poświęcić dziesięć, czasami dwadzieścia lat na wprowadzenie w życie najważniejszych przepisów prawa, przyznając nawet, że tymczasowo można by je zmodyfikować. Jak mogło dojść do tego, że jakiś mieszkaniec Księżyca życzył mu śmierci?

Na to nie miała jasnej odpowiedzi. Bo taka nie istniała. Ludzkie sprawy są dziedziną chaosu. Jednak, siedząc w autobusie, mogła prześledzić tor ich ruchu w stronę tego akurat atraktora.

Tarcia, spory, ostre słowa, nieposłuszeństwo, jawny lub skryty opór, zatrzymania, kary, brak skruchy były na porządku dziennym. Odnosiła jednak wrażenie, że zeszłoroczna sprawa Ucondy miała tu decydujące znaczenie. Już wówczas dręczyły ją złe przeczucia i usiłowała przestrzec gubernatora, który zakazał kontynuowania prac w kopalni na Drugiej Stronie, ponieważ groziło to poważnym zanieczyszczeniem okolicznej próżni i napromieniowaniem tła radiowego.

Astronomowie, badacze kwantów i inni naukowcy w Astrebourgu naturalnie cieszyli się z tego kroku, ale liczni spośród nich, w tym Temerir, nie mogli znieść, że został wykonany na mocy takiego dekretu.

Najmocniej oburzony był Brandir. Za podszeptem brata zaczął ciche układy z właścicielami.

Sowicie wynagrodziłby im zamknięcie kopalni i przeniesienie się na pozostające pod jego kontrolą terytoria. Porozumienie podniosłoby jego prestiż, tym samym zwiększając wpływy.

Właściciele i ich robotnicy musieliby złożyć mu przysięgę, co także powiększyłoby jego potęgę.

Pominęliby władze Luny, potraktowali odkrywki jako własność prywatną, gwałcąc ducha, jeśli

nie literę prawa. Wahl zwierzył się Dagny, że prawdopodobnie takie były prawdziwe intencje Lunarian, i dokładnie z tych samych powodów chciał stanąć im na drodze. Oczywiście rozwścieczył tym opozycję.

Czy lunariańscy feudałowie zżęcznie podsycili tego rodzaju emocje, czy też niektórzy z nich poczynili w związku z tym jakieś nowe kroki? Dagny nie miała pewności. Dzieci mówiły jej to, co chciały, tak samo zachowywały się ich dzieci i dzieci ich dzieci. Czasami zdradzały nieznaczącość prawdy, innym razem pytały ją o zdanie, lecz teraz inaczej niż kiedyś, a gdy przyparła do muru Brandira, uprzejmię zeszywniał, jak mu się to już wielokrotnie zdarzało. Katapulty. Niezależnie od konkretnych przyczyn sprawa katapult mogła wywołać prawdziwą rewoltę.

Kosmodrom – oznajmił fährweg. Dagny wysiadła. Przejście przez terminal, przez puste w większości pomieszczenia, strasznie jej się dłużyło.

Przyjechała przed czasem. Ale Inalante już czekał w Kontroli Ruchu: mężczyzna w średnim wieku, założył czarną tunikę i białe pończochy, w rysach twarzy można było dostrzec wspomnienia ojca i dziadka, pod słowami wyrzucanymi szybko jak z karabinu maszynowego – wyczuć stanowczość.

– Pozdrowienia, pani. Sleipnir czeka zaopatrzony i gotowy do startu.

– Dzielny chłopak! – zawołała, niezmiernie uradowana. – Założę się, że postarałeś się nawet o czarny pudding.

– Na nieszczęście – uśmiechnął się – sklepy, w których go mają, są jeszcze nieczynne.

W pośpiechu zarządziłem zapakowanie zwykłych racji terenowych. Ale przypomniałem sobie, że lubisz także księżycówki, i przyniosłem ich trochę z domu. – Podał jej torbę.

Oczy zapiekły ją zupełnie bez sensu. Ci jej Lunarianie potrafili być tacy kochani, gdy tylko chcieli, zupełnie jak Ziemianie. Zresztą, do diabła, przecież po części nimi byli.

- *Gracias*. Dzięki. Odtąd jedząc księżycówki, będę zawsze myślała o tobie.
- Czy potrzebujesz jeszcze pomocy?
- Bylebyś tylko uspokajał nastroje w mieście.
- Szykowałem się do tego przez ostatnie cykle dzienne – stwierdził posępnie.
- Wkrótce dojdą do twych uszu wieści, które wszystko odmienia. Sama nie wiem, na czym będą polegać zmiany, nie śmiem ci też powiedzieć, co się stało, w miejscu, gdzie ktoś mógłby nas podsłuchać, ale przygotuj się na ogromną niespodziankę.
- Gdy ty ruszysz na samotne zmagania. – Matowe oczy badawczo się jej przyglądały. – Czy starczy ci sił?
- Oby.
- W takim razie niech los da ci zwycięstwo, matko. – Inalante ujął ją za rękę i głęboko się skłonił.

Wiedziała, że nie był żadnym rewolucjonistą. Ani sługusem. Nie obchodziły go władze konstytucyjne, dopóki nie wtrącały się do postępowania jego i jego rodu. A ponieważ do tego konieczny był pokój, podjął się funkcji tutejszego burmistrza, którą zdobył jako jedyny kandydat. Na tym stanowisku mógł próbować zmieniać przepisy, które mu się nie podobały, jednocześnie patrząc przez palce na ich omijanie, tak by ludzie byli zadowoleni, a władze nie znajdowały powodu do interwencji.

Bez wątpienia większość mieszkańców Księżyca myślała podobnie do niego. Lecz ich ambicje nie sięgały tak wysoko, żeby w ich spełnieniu mogło przeszkodzić prawo Federacji. To ci co bardziej potężni i radykalni sprzeciwiali się ograniczeniom, to oni albo złamią system, albo załamią się pod jego naciskiem. Albo i jedno, i drugie naraz, dokończyła w myślach Dagny.

Przeszła przez bramkę i rękaw do pojazdu.

Załogę stanowiło dwóch policjantów, kapitan i oficer rezerwy, obydwaj Ziemianie. Powitali

panią Beynac z szacunkiem i obiecali podać śniadanie, gdy tylko ustabilizują tor lotu. Przypięła się do fotela i rozluźniła.

Start przebiegł sprawnie, przyciąganie niewiele ponad dwukrotnie przewyższało lunariańskie. Po osiągnięciu pułapu fotel obrócił się na przegubach zawieszenia i kadłub ustawił się w pozycji pionowej. Nastąpił skok ciągu; potem masa wyrównała się i słychać było tylko nieznaczne dudnienie i syk silników odrzutowych, które unosiły całą konstrukcję w górze. Dagny przypomniały się lata pracy inżyniera i przez chwilę obliczała, ile więcej paliwa zużyje na trasie ten statek niż suborbitalny. Na dodatek ów pojazd leciał wolniej. Ale chodziło o swobodę manewru i możliwość natychmiastowego lądowania. Kiedy paliwo przyprawiło się szczyptą antymaterii, wydajność traciła wszelkie znaczenie.

Oficer rezerwy przyniósł jej posiłek i, widząc, że nie jest w nastroju do rozmowy, oddalił się. Kawa nie była najgorsza, za to jedzenie – z wyjątkiem błogosławionego daru od Inalante – jak zwykle pozbawione smaku. Jadła, bo tak nakazywał rozsądek.

Większość czasu wyglądała przez boczne okno, patrząc na góry i kratery marszczące się w blasku słońca i sierpa Ziemi. Od czasu do czasu rozbłyskało dzieło rąk ludzkich, grupa kopuł, monitor, maszt przekaźnikowy, kolektor słoneczny, mikrofalowy przekaźnik ślący niewidoczne wiązki energii do rodzimego świata. Łuna przyćmiewała niemal wszystkie gwiazdy. Jednak w pewnym momencie zauważyła, że jakaś iskierka unosi się na czarnym firmamencie i niknie w oddali.

Zapewne transportowiec wystrzelony przez katapultę w Leyburgu, osądziła. Wiózł jakieś materiały: chemiczne, biologiczne, nanosy czy co tam jeszcze dobrego wytwarzano w lunariańskich warunkach. Jeden rzut oka nie wystarczał do określenia trajektorii, nie mogła więc stwierdzić, co to za transportowiec. Możliwe, że miał lądować aerodynamicznie na Ziemi, ze spadochronem na Marsie, lecieć na spotkanie L-5 lubjakięś jeszcze dalszej placówki. Zresztą

nieważne. Z pewnością był wielkim dziełem, a ona należała do współtwórców jego fundamentów.

Alekatapulty...

Z Księżyca było łatwo wyrzucić mnóstwo rzeczy: ułatwiała to niewielka prędkość kosmiczna i obfite zasoby niemal nic nie kosztującej energii. Pułapka czaiła się w tym „mnóstwie”.

Stutonowa bryła ukształtowana tak, żeby przebijać atmosferę, spadłaby na Ziemię z siłą taktycznej głowicy jądrowej.

Gdy Brandir i trzech innych Selenarchów rozpoczęło na swych włościach wznoszenie wyrzutni katapultowych, czy mówili prawdę, utrzymując, że robią to wyłącznie ze względów handlowych? W świetle rachunku ekonomicznego było to wątpliwe. Z całą pewnością nie wydano im żadnego pozwolenia. Wahl nakazał wstrzymanie prac w oczekiwaniu na porozumienia o środkach bezpieczeństwa. Jeśli nie zostaną podpisane (a żaden udziałowy pan nie znieśie na swej ziemi stale urzędujących inspektorów), urządzenia muszą zostać zdemontowane. Selenarchowie opierali się, grali na zwłokę, utrudniali. Z satelitów zaobserwowano, że ludzie i maszyny kręcą się w pobliżu kopuły wzniesionej nad silnikami „dla zabezpieczenia przed meteorami na czas negocjacji”. Wahl posłał ekipę śledczą. Jej członków nie przepuszczono przez granicę.

W głowie Dagny ponownie rozległy się jego słowa, wypowiedziane wczoraj w porze wieczornej straży. Twarz na ekranie sprawiała wrażenie wynędzniałej; za to w głosie brzmiał żelazny ton: „Nie znam ich zamiarów. Wiedzą, że nie mogę na to pozwolić. Na pewno. To po co się upierają? Dręczy mnie okropne przeczucie, że mają więcej broni niż nam wiadomo, cały arsenał, który odparłby od bram ich zamków siły, jakie mam do dyspozycji. Bez wątpienia przerażona Ziemia nie uderzy pociskami, jeżeli zagrożą odpłaceniem w tej samej monecie. Rzućmy wezwanie do rozmów w sprawie, dajmy na to, niepodległości albo czegoś w tym guście. Czy się

myśle? Ma pani jakieś lepsze źródła informacji? Jeśli nie, to pojutrze o rannej straży nakazę siłom policyjnym zajęcie tych posiadłości i zobaczymy, co się stanie. Daję im tyle czasu w nikłej nadziei, że pani, *señora* Beynac, będzie w stanie przywieść ich do opamiętania. Jest pani jedyną nadzieją na uniknięcie walki”.

A teraz, zamiast spotkać się z Brandirem, leciała do wdowy.

...zdrzemnęła się. Przemówił Mond. Nie rozumiała słów, ale widziała, że się uśmiecha.

Statek krążył, redukując ciąg, zaczął obniżać lot. Po obudzeniu się Dagny zobaczyła lądowisko. Szyb poniżej miał wygląd czarnego otworu w kształcie litery O. Współtworzyła ten projekt, ale już dawno, dawno temu: otwór wychwytyjący większość krótko istniejących izotopów ze strumienia dyszy rakiety, powyżej mała kopuła, która wyłapywała ilości spalin nieznaczne w porównaniu z tymi, które przenikały do otoczenia. Obecnie silniki wytwarzały znacznie mniej promieniowania niż dawniej. Ale w przeszłości walka z tym problemem była poważnym wyzwaniem, a przy tym niezłą zabawą.

Statek osiadł łagodnie na podłożu. Rękaw wytoczył się od najbliższej bramy ku słuzie powietrza. Pilot wysiadł z kabiny sterowniczej, która znalazła się w górze, i oznajmił:

– Jesteśmy na miejscu, proszę pani. Mamy rozkaz* czekać przez trzy godziny. Jeżeli będziemy pani potrzebni w późniejszym terminie, proszę skontaktować się z naszą centralą i o to poprosić.

– Jeśli nie będę musiała uderzać jak błyskawica na tyły przeciwnika, nie będzie prawdopodobnie takiej potrzeby – odparła. – Mogę złapać jakąś okazję do domu albo jechać pociągiem. Ale *gracias*, chłopaki. Spisaliście się na medal, a wasza uroda nie ma szkodliwego wpływu na pracę.

To, że uchodziła jej płazem praktycznie każda bezczelność, należało do zalet bycia starą jędzą. Ludzie uważali tę jej cechę za czarującą i czuli się rozbrojeni.

Na jej spotkanie wyszedł do rękawa młody porucznik, który oznajmił, że mają eskortować.

Pozwoliła mu nieść swoją torbę. Jazda fahrowgiem do rezydencji gubernatora trwała krótko i obyła się bez przesiadek. Przez cały czas milczeli. Współpasażerowie też nie należeli do zbyt rozmownych; dało się niemal wyczuć zapach smutku. Opinia publiczna nie znała jeszcze szczegółów, lecz przeważała świadomość politycznego kryzysu, którego temperatura zbliża się do punktu zapalnego.

W wejściu oddała młodemu mężczyźnie płaszcz, żeby schował go razem z torbą.

Funkcjonariuszy Władz Pokojowych naprawdę nie powinno się traktować w ten sposób, lecz ten sprawiał wrażenie zaszczyconego. Skierowała się do tak żywego w jej pamięci salonu. Z krzeseł uniosły się dwie postacie. Trzecia cały czas stała, na modłę lunariańską.

Rita podeszła prosto do Dagny. *Madame* Beynac przytuliła drobną kobietę, zaczęła gładzić jej ciemne włosy i coś szeptać. Większość uwagi skupiała jednak na Erannie, stojącym za gospodynią.

Wnuk Brandira napotkał jej spojrzenie, lekko się uśmiechnął i skłonił. Był pięknym młodzieńcem – ile mógł mieć już lat, osiemnaście? – o włosach blond z odcieniem srebra i srebrno-błękitnych oczach, które były znakiem szczególnym jego gałęzi rodu. Masywnie zbudowana postać odziana była w obcisły, zielony strój i miękkie, czerwone buty.

Drugim gościem był Einar Haugen. Gdy uspokoiło się drzenie tonącego w jej uścisku ciała, Dagny zwróciła się właśnie do Haugena:

– *Buenos dias*. Chociaż nie zaczyna się najlepiej, co? Wypuściła Ritę z objęć. Zastępca gubernatora – to jest były zastępca – podszedł do niej niezgrabnie i uścisnął jej rękę. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, którego Wahl nie dopuszczał do ważnych spraw.

– Okropność, okropność – odparł po angielsku. – Naprawdę miło panią widzieć, *madame*.

Bardzo miło, że raczyła się pani zjawić. Proszę usiąść. Kawy? – Na stole stał dzbanek i filiżanki.

– Czegoś innego? – Dagny machnęła ręką.

– Nie, jestem już nakręcona do granic wytrzymałości sprężyn.

– Zamrugał oczami. Zorientowała się, że zrozumiał co prawda sens jej słów, ale nie pojął idiomu, który był na dodatek starożytny. A on, cóż, nie mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt lat. Raz jeszcze podchwyciła spojrzenie Eranna. – A ty co tu porabiasz?

– Nocowałem – odparł Lunarianin.

– Co? Nie wiedziałam, że aż tak dobrze znacie się z państwem Wahl.

– Mieliśmy omówić w cztery oczy pewną sprawę. Gubernator Wahl w swej uprzejmości zgodził się, bym zanocowałem. To umożliwiłoby nam rozmowę, gdyby tylko przy swoim wiecznie zabieganym trybie życia znalazł dla mnie wolną godzinę. Na dzisiejszą ranną straż pozostałem, by rzucić nieco światła na to nieszczęsne wydarzenie. Odbywszy rozmowę z policją, zamierzałem odejść, gdy szanowny Haugen powiedział, żebym zaczekał do twego przybycia.

Co nie sprawiło mu różnicy, dodała w myślach Dagny. Erann mówił bez zająknięcia, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. To także należało do stylu lunariańskiego, który sam w sobie nie był niczym podejrzanym – tak samo zachowywali się Mond i jej prawnuk! – ale nie dało się ukryć, że atmosfera była dziwna.

Zajęli miejsca, chłopak czujny niczym kot. Dagny przyjrzała się kobiecie.

– Rita, chodzi pani jak zraniony marynarz, który zaraz padnie na pokład – stwierdziła. – Nie ma co zaprzeczać. Te oznaki widywałam już w życiu wielokrotnie. Damy pani środek uspokajający i zaprowadzimy do łóżka. Ale zacznijmy od tego, że powiecie mi wszystko, co wiecie.

Chciała uzyskać informacje bezpośrednio ze źródła, a nie przefiltrowane przez inny umysł.

Znajomość przebiegu zdarzeń była niezbędna dla zaplanowania własnych działań.

Rita wbiła wzrok w ręce, które złożyła na kolanach, i zaczęła monotonnym głosem:

– Juan Aguilar, nasz *mayordomo* – szef służby – znalazł go w basenie na początku dzisiejszej rannej straży. Wyciągnął go, wezwał pogotowie, zawiadomił mnie przez interkom, w ogóle starał się udzielić pierwszej pomocy. Lekarze zjawili się w ciągu kilku minut. Ponawiali próby, ale nie zdołali go reanimować. Ja tymczasem zadzwoniłam do pani. Zgodnie z pani radą poprosiłam *señora* Haugena, żeby możliwie najdłużej zachował wszystko w tajemnicy. Potem kazałam Juanowi obudzić Eranna. Przyjechała policja, ale była tu tylko przez godzinę, bo nie znalazła żadnych śladów... *malh.echo*... – Głos uwiązł jej w krtani. Siedziała bez ruchu.

– Nakazałem komendantowi policji i naczelnemu lekarzowi dochowanie tajemnicy – włączył się Haugen. – Odwołałem wszystkie spotkania, urzędnikom kazałem nie przychodzić na razie do pracy. To nie może jednak potrwać zbyt długo. Poza, powiedzmy, zaspokojeniem ciekawości opinii publicznej, trzeba będzie zawiadomić syna i córkę. I... nadal zajmować się sprawami urzędowymi.

Sprawiał wrażenie bardziej zdesperowanego i przerażonego niż pompatycznego. Polityczny wyrobnik o dobrych chęciach, pomyślała Dagny, który przyjął posadę na Lunie, ponieważ spodziewał się awansu i myślał, że będzie to synekura, na której doczeka się przeniesienia na cieplej szą posadkę na Ziemi. Patrzył na nią błagalnym wzrokiem.

– Skąd wiadomo, że to nie brudna robota? – zapytała. Haugen znał się na rutynowych działaniach dochodzeniowych.

– Nie ma śladów przemocy. Tuż przed pani przybyciem otrzymałem ze szpitala wstępne wyniki oględzin. Istnieją pewne niezrozumiałe elementy, ale... wolałbym odłożyć tę rozmowę, *madame* Beynac.

No tak, Rita. Przyzwoity człowiek. Ale trzeba jeszcze wypytać o parę szczegółów.

– Wiadomo, kiedy zmarł?

– Wiele godzin temu. Nie potrafimy ustalić dokładnego momentu, bo... nie ma szans na

przywrócenie go do życia. Był, był tam za długo. – Zbytni postęp degradacji mózgu.

Hm. To o czymś świadczy, zwłaszcza gdy pamięta się lodowatą temperaturę wody w basenie Wahla.

– Kiedy ostatnio widziano go żywego? Co wtedy robił?

– Miał okropny dzień, jak pani zapewne wie – mówiła skrupulatna Rita. – Wrócił do domu i zjedliśmy razem kolację. Nie zjadł zbyt dużo. Powiedział, że będzie pracował do późna w gabinecie i żebym na niego nie czekała, tylko szła spać. Wtedy widziałam go ostatni raz, potem już tylko martwego w wodzie. Pracował nad przemówieniem, oświadczeniem dla świata na... na wypadek wybuchu zbrojnego konfliktu.

Dagny przypomniała sobie, że nie zatrudniał ludzi do układania mów. Była to jedna z rzeczy, które przypadły jej do gustu.

– Czy ktoś widział go później?

– Aguilar mówi, że widział, jak w porze późnej straży wieczornej wyszedł z pokoju i chodził po korytarzu, potem wrócił do siebie – odpowiedział Haugen. – Nie było w tym nic niezwykłego.

W trudnych chwilach zawsze potrzebował fizycznej aktywności. – Spojrzał na Eranna. – Aguilar wspominał też, że zdawało mu się, iż chwilę przedtem tamtędy przechodziłeś, chyba w kierunku jego gabinetu. Nie wspominałeś o tym policjantom.

– To prawda – przyznał spokojnie chłopiec. – Nie miało to związku ze sprawą, to była rozmowa prywatna. Jak sam pan stwierdził, widziano go jeszcze później. Wróciłem do siebie i sądzę, że *mayordomo* wkrótce uczynił to samo.

Haugen kiwnął głową. Widocznie wyjaśnienia mu wystarczały, skoro sam nie zawiadomił o tych faktach policjantów. Ponownie zwrócił się do Dagny:

– Aguilar wrócił do swojego mieszkania i przebywał w nim z żoną. Twierdzą, że poszli spać o godzinie dwudziestej trzeciej.

– To starzy, wierni słudzy. – Rita ożywiła się. – Przybyli na Księżyc ze względu na nas. Nie powinny na nich padać żadne podejrzenia.

– I raczej nie padną – pospieszył z zapewnieniem Haugen. – Aguilar kazał zegarowi zbudzić się wcześniej, gdyby gubernator pracował przez całą straż jutrzeńki i potrzebował jego usług. W gabinecie zastał włączony komputer, na ekranie widniał tekst. Wahl nie miał czegoś takiego w zwyczaju. Zawsze przed pójściem spać zostawiał wszystko w idealnym porządku. W związku z czym prawdopodobnie nie zamierzał się kłaść. Aguilar szukał go i... znalazł.

– Pływanie w czasie pracy, żeby złagodzić napięcie, bardzo do niego pasuje – zauważyła Dagny. – Wygląda na to, że zrobił tak około godziny dwudziestej czwartej, może godzinę lub dwie później. Ale czy wtedy, nieco rozluźniony, nie powinien iść do łóżka? Czekał go przecież okropny cykl dzienny. Okoliczności wskazują jednak na to, że po basenie zamierzał wrócić do pracy. Czyli nawet jak na ten polityczny bałagan, w którym się znaleźliśmy, bardzo się zmobilizował. – Znowu spojrzała na Eranna. – A wy o czym rozmawialiście?

– *Ayomera* – odpowiedział łagodnie jej prawnik.

Znała to lunariańskie wyrażenie. Było nie do końca przekładalne na języki Ziemi: stanowiło uprzejmy ekwiwalent nieudzielenia żadnej odpowiedzi.

– Pogadamy za chwilę – oznajmiła. – Tak więc nie odchodź. Pan również, ee, gubernatorze, *por favor*. Rita, teraz zajmiemy się panią.

Kobieta szła z nią jak robot. Dagny pomagała jej wykonywać kolejne ruchy, naciągnęła jej koc pod samą brodę, ucałowała w policzek i odczekała, aż lekarstwo przyniesie sen.

Wyszła z pokoju, rozejrzała się w prawo i lewo. Ani żywego ducha. Machina rządowa została na razie wyłączona, służba tkwiła w swoich pokojach albo pracowała w pełnym grozy milczeniu. Dzięki strażnikowi przy drzwiach i kontroli aparatów telefonicznych żadne informacje nie wydostawały się poza obręb tych murów. Haugen miał rację, to nie potrwa zbyt długo,

zresztą nie powinno. Należało podjąć błyskawiczne, ale i dyskretne działania.

Może na wszelki wypadek rozejrzeć się po miejscu wypadku? Raczej nie znajdzie niczego, co przeoczyli policjanci i ich sprzęt; ale było to jakieś zajęcie dla kłębiących się w głowie myśli.

Przemierzyła susami korytarz.

Jaime pokazał jej raz basen i żartobliwie zaproponował kąpiel

– Małpami w drzewie genealogicznym nie mam się co przejmować – wypaliła – ale za to jestem pewna, że nie było w nim żadnych morsów.

Przypominała sobie, że pomieszczenie było surowe, że w nieruchomym powietrzu dobrze odbijało się echo, na krystalicznie czystej i bezbarwnej wodzie nie pojawiały się żadne fale.

Zaraz, zaraz. Gdzieś zauważyła niewyraźną mgiełkę. Powietrze było w miarę ciepłe, a woda jak w Arktyce... czy aby na pewno? Nachyliła się – niemal słyszała, jak skrzypią jej gnaty – i wsadziła do niej rękę.

Letnia. Co, do diaska?

Podeszła do termostatu. Widniała na nim temperatura 35°, bliska ciepłocie krwi. Do czego byłoby to potrzebne Jaimemu? Żeby potaplać się dłuższy czas, żeby woda wyssała z niego całe nieszczęście? To mu się nigdy nie zdarzało.

Stary, dobrze znajomy, zimny dreszcz przebiegł Dagny po kręgosłupie aż do samych koniuszków nerwów.

Potem napłynęła fala mdłości. Nie, *por favor*, niech ta myśl okaże się niesłuszna, niech ją porzuci.

Istniał jeden, jedyny sposób dokonania tego – odzyskanie duchowej równowagi.

Ale migiem! Zaczęła przetrząsać rezydencję, omijając szerokim łukiem salon, wreszcie znalazła Aguilara. Siwy starzec siedział melancholijnie przy jakichś rachunkach. Poznał ją, zerwał się na równe nogi i pokłonił; stał z drżącymi rękami przyciśniętymi do tułowia i czekał na

jej słowa.

– Dzień dobry – zagaiła po hiszpańsku. – Proszę wybaczyć, że przerywam. Przeżył pan wielki wstrząs, a potem długo pana wypytywano, prawda? Przykro mi, ale muszę zadać panu jeszcze kilka pytań.

– Jestem do pani usług, *señora*. – Wiedziała, że mówił szczerze.

– Znalazł pan *señora* Wahla w basenie, wyciągnął go pan, wezwał pomoc, a przed jej przybyciem próbował przywrócić mu życie. To wszystko bardzo dobrze. Ale mnie interesuje co innego. Czy woda była zimna jak zwykle?

– Nie, nie zwróciłem uwagi – wydukał zaskoczony. Po chwili, kiedy pomarszczona twarz na powrót się wygładziła, dodał: – Ale kiedy dobrze się zastanowię... tak, być może nie była... lodowato zimna. Zimna, ale nie lodowata. Nie jestem pewien, *señora*. Nie zwracałem na to uwagi. Tak w ogóle nie interesowałem się basenem. Już od dawna nie moczyłem nawet rąk w tej wodzie.

– W takim razie przypuszczam, że gdyby była taka, jak on lubił, na pewno by pan to zauważył. Musiał się pan nieźle zmoczyć, prawda?

– Tak. – Kiwnął drżącą głową. – Ma pani chyba rację, raczej zwróciłbym na to uwagę. Była zimna, ale nie... nie bardzo zimna.

A teraz była letnia.

– Czy nie sądzi pan, że *señor* mógłby dla odmiany zapragnąć wykąpać się w przyjemniejszej temperaturze?

– Możliwe. Nie wiem. Nigdy tak nie robił. Jak dziś pamiętam, kiedy kazał urządzić basen wyłącznie dla siebie... – Agui – lar chwycił ją za ramię. – *Señora*, czy niespodzianka przy skoku, skok w niespodziewanie ciepłą wodę mógł go zabić?

Od uścisku bolało ją kruche ciało, ale nie zdobyła się na przyganę.

– Nie sądzę. Gdyby ktoś dla żartu przemknął się nad basen i nastawił termostat na wysoką temperaturę, *señor* mógłby się wściec, zbudzić wszystkich w domu i poszukać winnego. Dobrze mówię?

– Dobrze. – Aguilar ją puścił. – Tak, myślę, że tak by właśnie było. Nigdy nie znosił uraz pokornie jak owieczka.

– *Macho*. Zgoda. No, dziękuję i proszę, żeby ta rozmowa pozostała między nami. Prawda nadal czeka na odkrycie.

Odkrycie strasznej tajemnicy, której się bała.

Cała naprzód, pełną parą i włączyć radary. Czas na żale będzie później. Wróciła do salonu.

Haugen i Erann siedzieli w ciszy tak gęstej, że można by ją rąbać toporem. Głowa Ziemianina odwróciła się w jej stronę. Lunarianin wstał, wykonał gest pozdrowienia swego ludu i odczekawszy, aż Dagny usiądzie, zajął miejsce.

– W porządku, Rita odpoczywa, więc możemy porozmawiać bez skrepowania. Gubernatorze, miał pan mi opowiedzieć o wynikach oględzin lekarskich.

– Z całym szacunkiem, *señora* Beynac. – Haugen zmarszczył czoło – ale czy nie są to informacje dla policji? Nic nie wskazuje na popełnienie przestępstwa. Woda nie została zatruta, nie poraził go prąd z nie zaizolowanego urządzenia elektrycznego, nie stało się nic w tym guście.

– W ogóle to jestem ciekawa, jak groźny jest prąd puszczony do chemicznie czystej wody.

Bo sama w sobie jest ona kiepskim przewodnikiem. – Dagny cały czas patrzyła na Eranna, tyle że kątem oka, nie chcąc się na niego gapić. Cokolwiek się na tym znała. Chłopak sprawiał wrażenie oddychającego posągu. – *Señor* – zwróciła się do Haugena – ja jestem stara i znużona. Wspomnił pan o osobliwych aspektach tego przypadku. *Por favor*, niech mnie pan nie zmusza, żebym dzwoniła do lekarzy i poddawała się wszystkim ich procedurom.

– Jak pani sobie życzy. – Haugen westchnął. – Po pierwsze i najważniejsze, rutynowe

badania lekarskie wykazały, że cieszył się doskonałym zdrowiem Co się zatem zdarzyło? Jak doszło do tego, że utonął? Widzi pani, są to stwierdzenia wstępne, wiele szczegółów przyniosą badania laboratoryjne, lecz nic nie wskazuje na to, żeby miał atak serca, zator, skurcz tętnic, żadne z typowych zdarzeń, które mogłyby spowodować utonięcie.

– A utonął? – Patrz, patrz, patrz i nie daj po sobie poznać, że patrzysz.

– A cóż by innego?! – zawołał zaskoczony Haugen. – Znaki, wygląd zwłok... no, starania Aguilara, a potem pogotowia, sprawiły, że nie sposób orzec, ile miał w płucach wody, lecz stan krwi wskazuje na niedobór tlenu. – Posłał jej agresywny uśmiech. – Chyba nie wyobraża pani sobie, że ktoś go udusił, a potem wrzucił trupa do wody?

Dagny udała, że traktuje go poważnie.

– Ależ skąd. Któż mógłby przedostać się do domu niezauważony, nie mówiąc już o zaatakowaniu Wahla, co spowodowałoby rwetes, który wyrwałby z letargu największego śpiocha? Gubernator był człowiekiem silnym, który umiałby się obronić. Zresztą zostałyby siniaki. Ale napomknął pan o kilku, hm, anomaliach. Jakich to?

– Nic konkretnego. Szefowa ekipy medycznej mówiła o ogólnym odbarwieniu zwłok.

Przyczyną mogło być długotrwałe leżenie w zimnej wodzie.

Rysy twarzy Eranna ani drgnęły.

– Czy on ma na ten temat jakąś hipotezę? – parła naprzód Dagny. Czowała bijące tętno.

– Ona – poprawił ją Haugen, jak gdyby miało to jakiegokolwiek znaczenie. – Kto wie, na tym etapie badań? Samobójstwo jest raczej wykluczone. Ale jakiś niedowład mózgu, zapaść komórek nerwowych, nagła utrata przytomności? – Podniósł głos: – Możliwe, że nie wiemy jeszcze dokładnie, jaki wpływ na człowieka mają warunki życia w kosmosie, na Księżycu.

Erann nieznacznie się uśmiechnął. Był Lunarianinem. A zarazem człowiekiem! Zwróciła się wprost do niego.

– A ty masz jakieś pomysły?

– Nie – pokiwał blond głową. – Mogę tylko współczuć w smutku.

Haugen nie wytrzymał.

– Co ty nie powiesz? – zaskrzeczał. – Należysz do rodziny swojego dziadka Brandira. Wiesz, jak będzie się z tego cieszył. – Władze zdezorientowane i przerażone, myślała Dagny; nowy szef źle poinformowany i niezdecydowany; w efekcie paraliż, podczas gdy baronowie nadal się umacniają; potem władze najprawdopodobniej się wycofują, a Federacji pozostaje tylko ustąpić, gdy Selenarchowie zechcą wyegzekwować swoje zaborcze roszczenia. – Co tu w ogóle robisz?

Czego szukałeś?

Erann uniósł dłoń.

– Gdybyś nie był, panie, tak wzburzony, zażądałbym satysfakcji za nieuzasadnioną obrazę – oświadczył na tyle sztywno, na ile pozwalał mu łagodny ton głosu. – Wybaczam i ośmielę się przypomnieć, że jestem wieloletnim przyjacielem domu Wahl.

– To wszystko prawda – Dagny upomniała Haugena. – Gdy mieszkali tu Leandro i Pilar, dość często zapraszali kolegów, w tym również Lunarian. – Do Eranna zaś odezwała się następująco: – Od tamtej pory ani razu cię nie widziałam. Tak się złożyło, że zajrzałam tu, gdy odbywała się jedna z waszych imprez. Kiedy to było? Trzy lata temu? Co porabiałeś od tego czasu?

– Kontynuuję studia i, jak raczył zauważyć szlachetny Haugen, należę do świty Brandira z Wysokiego Zamku. – Na pewno mówili o tym w trakcie policyjnych indagacji, uświadomiła sobie Dagny. W owe cykle dzienne wicegubernatora nie było jeszcze na Księżycu.

– Kiedy byłeś tu po raz ostatni, przed wczorajszą wizytą?

– Mniej więcej w okresie, o którym mówiłaś. Pani, ta rozmowa staje się nużąca i pozbawiona sensu. – Dagny nie zwróciła uwagi na te słowa.

– Tak, to układa się w logiczną całość. Gdy dzieci, twoi koledzy, wyprowadzili się, nie miałeś powodu tu przychodzić. – Koledzy? Przypomniała sobie, że chłopak, Leandro, nie znosił większości Lunarian, i nie zawsze udawało mu się maskować swoje uczucia. Pilar myślała inaczej, ale ją wywieziono na Ziemię... – Jaki był powód tej wizyty?

– Już tłumaczyłem, że to sprawa prywatna. Takie było życzenie pana Wahla, a ja dotrzymuję umowy. – Erann wstał, znacznie ją teraz przewyższając: – Pani, twa dostojność uprawnia cię do wielkiej swobody, stwierdzam więc tylko, że powiedziałem już dosyć, spełniłem swój obowiązek w tej smutnej sprawie, a teraz odejdę.

– Niekoniecznie – odparła Dagny. – Chciałabym jeszcze zamienić z tobą parę słów na osobności. Panie Haugen, wybaczy pan? Prosiłabym, żeby nawiązał pan w tym czasie kontakt z Se – lenarchą Brandirem. Proszę wykorzystać moje imię i nazwisko i oznajmić, że to sprawa najwyższej wagi. Naturalnie wszystko szyfrem kwantowym.

– *Madame*, ja... – Ziemianin rozdziawił usta. – Co się tu dzieje? – Dagny odwzajemniła jego spojrzenie.

– Pyta pan, czy mogę coś poradzić w tej sprawie. Sądzę, że mogę. Pozwoli pan więc, że zrobię to na swój sposób.

– Muszę przypomnieć, że nie piastuje pani żadnej oficjalnej funkcji.

– Już się ich w życiu dość napiastowałam, *señor*.

– No, zobaczę, co da się zrobić – wymamrotał, opuszczając głowę.

– *Muchas gracias*. – Wstała. – Erann, idziemy.

– Nie. Odchodzę. – Młodzieniec zeszywniał. Dagny nie podnosiła głosu.

– Przy drzwiach stoi strażnik, który nie wypuszcza nikogo bez pozwolenia pana Haugena. Po co odmawiać starej kobiecie kilku minut na małą pogawędkę? Chodź, skarbie.

Wyszła z pokoju. Po chwili jej śladem podążył Erann. Ziemianin odprowadził ich wzrokiem.

Dagny szła w milczeniu do prywatnego gabinetu Wahla. Tam będą mogli mieć pewność, że nikt nie podsłuchuje. Gdy znaleźli się w środku i zamknęły się za nimi drzwi, rozejrzała się po pomieszczeniu. Cisza była przepełniona nim, jego zdjęciami, pamiątkami, łukiem i trofeami sportowymi, srebrnym krucyfiksem. Na ekranie komputera cały czas widniały jego słowa: „...nie możemy i nie będziemy tego tolerować. To gorsze niż bunt, coś więcej niż powstanie, to zdrada wobec ludzkości. Jesteśmy zmuszeni do bratobójczej walki, gdy poza naszymi kruchymi kopułami rozciąga się nieludzki kosmos...”

– Siadaj, *por favor* – zaczęła Dagny.

– Wystarczająco się nasiedziałem – odparł Eramm.

– Kark mnie boli od ciągłego podnoszenia głowy. Siadaj. Już.

Posłuchał, sadowiąc się na krześle Wahla, które obrócił, żeby obdarzyć ją posepnym spojrzeniem. Stała przed nim, założywszy ręce na piersi. O Boże, był z krwi jej i Monda i tak bardzo przypominał Brandiraw jego wieku! Udał się jej mimo wszystko zdobyć na rzeczowy ton:

– W porządku. Więc o czym wy dwaj rozmawialiście? – Na szyi, pod alabastrową skórą, pulsowała błękitna żyła.

– Ślubowałem tajemnicę. Ale tobie powiem, że nie miało to dla nikogo żadnego znaczenia.

– Jeżeli powiesz mi prawdę, może uda nam się zakończyć tę sprawę. Ja też potrafię trzymać język za zębami. Ale jeśli, do cholery, nie pójdziesz teraz na współpracę, o wszystkim dowie się cały Układ Słoneczny. Istnieją sposoby odnajdywania śladów i wyciągania na ich podstawie wniosków. Wpakujesz się w niezłe bagno – i co ci wtedy z honoru? – a twój pan i jego sprawa znajdą się w jeszcze większych opałach. Więc mów, synu.

Wargi zacisnęły się. Dagny westchnęła.

– W sumie nie jest tak trudno się domyślić. Mało prawdopodobne, żeby mianowali cię specjalnym emisariuszem, czyli dotyczyło to Wahla osobiście, i to na tyle, że znalazł dla ciebie

chwilę czasu w sytuacji śmiertelnego zagrożenia. Mała Pilar. Czują do ciebie miętę. Miała to wypisane na twarzy, gdy zobaczyłam was dwoje w tym samym pokoju. Wątpię, żebyś odwzajemniał jej uczucia. Nie chodzi tylko o rasę; w waszym wieku różnica kilku lat to ogromna przepaść. Ale zaliczenie jej byłoby zabawne i dałoby ci poczucie, że w pewnym sensie mścisz się za krzywdy swojego ludu. Nie sądzę, żeby doszło do czegoś nieprzyjemnego, choć nie jest to wykluczone, skoro ojciec usunął ją z twojej drogi.

Widok zaczerwienionego Lunarianina był zaiste rzadki.

– To... wnioski... idące... niezmiernie daleko... pani.

– Ale wysnute na podstawach solidniejszych niż przelotne wrażenie. Pamiętaj, że jej rodziców znałam dość dobrze. Gdy mi powiedzieli, że wysyłają ją na Ziemię, naturalnie zapytałam, dlaczego. Jaime unikał bezpośredniej odpowiedzi, co do niego nie pasowało. Potem Rita trochę mi się zwierzyła. Reszta stała się jasna. Nie przejęłam się tym zbyt, tylko żał mi było ich i dziewczyny, wierzyłam, że zapomni i będzie szczęśliwa. Ale teraz... Rzecz jasna pisywała do ciebie i telefonowała, gdy nadarzała się okazja. Mogłeś ją z łatwością trzymać w niepewności, jednocześnie nie wiążąc się żadnymi obietnicami. Łatwa, jak już mówiłam, zabawa, choć okrutna. – Dagny potrząsnęła głową. – Szkoda, że tyle straciłeś w moich oczach.

– Czy naprawdę śmiesz mnie tak oceniać? – wybuchnął Erann.

– A co, zaprzeczasz? Pamiętaj, jeśli policjanci poczują, że trzeba to zbadać, dojdą po nitce do kłębka. Bazy danych rejestrują połączenia międzyplanetarne. Ja natomiast zaczęłabym od dziewczyny. Jej ojciec nie żyje, Erann. To dobre dziecko. Nie mówię, by cię podejrzewała, przynajmniej nie od razu, ale można by się od niej o tym i owym dowiedzieć.

– Zerwałbym z nią – opadł na krzesło – gdyby mnie nie przekonano, że taka przyjaźń może się pewnego dnia okazać cenna.

– Chciałeś powiedzieć: można ją będzie wykorzystać – stwierdziła ponuro Dagny. – Pomysł

dziadka? Nie żebym podejrzewała go o jakieś spreycyzowane zamiary. Traktował waszą znajomość jako szansę, którą trzyma się w odwodzie. Aż tu naraz... – Wskazała jego serce. Cięła słowem niczym biczem:

– Kto wymyślił próbę zamordowania Jaime Wahla? On, ty, wy obaj?

Zaczął się podnosić. Być może jednak zdał sobie sprawę, że zabicie jej oznaczałoby klęskę nie tylko dla niego, bo opadł z powrotem na krzesło i wyszeptał:

– Ty nie bredzisz, wiesz, co mówisz. Więc dlaczego tak mówisz, pani? Dlaczego?

Dagny znowu westchnęła. Smutek sprawił, że mówiła zgrubiałym głosem.

– Och, na pewno uważaliście ten czyn za... patriotyczny – o ile macie pojęcie o idei, którą na Ziemi zwie się patriotyzmem. A macie? Zresztą nieważne. Jesteś młody, na swój sposób idealista, urodzony i wychowany w trudnym świecie, w którym życie ceni się nisko. Spisek łatwo zrekonstruować. Wysłałeś Wahlowi tajną wiadomość z prośbą o spotkanie w jego domu – w trudnych chwilach bywał najczęściej tutaj, chyba że wzywały go jakieś obowiązki – spotkanie w związku z jego córką. Przyznałeś się, że utrzymywałeś z nią kontakt. Czy jej także kazałeś go o tym zawiadomić? Nie sądzę. Nie było takiej potrzeby. Był jej ojcem, kochał ją, zgodził się na spotkanie zapewne w nadziei, że wyperswaduje ci małżeństwo czy coś innego, czym mu zagroziłeś. Wiedziałeś, że ma w zwyczaju samotnie pływać. Na Lunie wszyscy o tym słyszeli. Wiedziałeś, że wysłuchawszy właściwych słów, dobranych tak, by doprowadziły go do białej gorączki, pójdzie na basen, żeby wyładować złość i móc zabrać się znowu do pracy.

– I co z tego? – zapytał Erann.

– Tylko tyle: wśliznąłeś się na salę, nastawiłeś termostat znacznie poniżej zera. Potem naturalnie wróciłeś i nastawiłeś go na wysoką temperaturę, bo trzeba było roztopić lód. Po wszystkim, gdybyś miał okazję, z pewnością przekreśliłbyś termostat na normalną temperaturę, chociaż wątpię, byś na to zbytnio liczył. Ciepła woda w basenie byłaby zjawiskiem dziwnym, ale

śmierć sprawiałaby wrażenie naturalnej, przypadkowej, może nieco osobliwej pod względem medycznym. Przy ogólnej wrzawie, gdyby Selenarchowie rozpoczęli swoje dobrze przygotowane machinacje, nikt nie zwróciłby uwagi na taki drobiazg. A gdyby jakimś cudem ktoś domyślił się prawdy, ty dawno już zniknąłbyś z miejsca wypadków. Zresztą mielibyśmy na głowie znacznie ważniejsze problemy.

Erann siedział nieruchomo jak skała.

Dagny uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Mam ci wyłożyć szczegóły techniczne? Drobnostka. Nazywa się to przechłodzeniem. Jeśli nie zamąci się czystej wody, można ją oziębic znacznie poniżej punktu zamarzania, a ona pozostaje w stanie ciekłym. Wystarczy coś wrzucić, a w mgnieniu oka krzepnie. Wahl skoczył i raptem otoczył go lód. Nie mógł się poruszyć, oddychać. Przez minutę, dwie nie tracił przytomności. Okropna śmierć. Nie zasłużył na nią.

Teraz podniósł się Erann. Stał nad nią i oświadczył z dumą tygrysa:

– Luna też zasłużyła na lepszy los.

Nie zamierzała dać się przygwoździć jego spojrzeniu. Zresztą w ogóle nie miała ochoty na niego patrzeć.

– A gdyby się nie udało? – podjęła. – Krystalizacja mogła zostać wywołana przedwcześnie.

– Gdyby mnie oskarżono, określiłbym to jako kawał, za którego pośrednictwem chciałem zemścić się za upokorzenie. Gdyby podawano moje słowa w wątpliwość, proces sądowy nie zakończyłby się wcześniej od walki o wolność. Wysoki Zamek nic by na tym nie stracił.

– Nikt nie przyjąłby takich tłumaczeń za dobrą monetę. Potrząsnął głową. Zalśniły platynowe kędziory.

– Naturalnie, że nie, zwłaszcza że on nie żyje, a ty odkryłaś metodę. Śledztwo z łatwością wykaże ślady mojej obecności na sali z basenem. Zaprzeczanie może mnie tylko poniżyć, dlatego

nie będę się do niego uciekał.

Poszybował nad podłogą i stanął przy przeciwległej ścianie, jakby chciał, żeby zobaczyła go jasno i w całej okazałości.

– Poza tym – dodał – ty jesteś teraz najważniejszą osobą.

Nie będę stawał ci na drodze. Niewykluczone, że dzięki tobie znajdzie się rozwiązanie dla nas wszystkich.

Zarys jego sylwetki rozmazał się. Dagny potarła oczy. Nie będzie płakać. Do diabła, to jeszcze nie koniec. Według własnej miary był człowiekiem honorowym, który dołożył wszelkich starań, a teraz odpokutuje za ich konsekwencje.

Przebiegł ją dreszcz podniecenia..Sam powiedział, że gdyby plan się nie powiódł, jego sprawa nie doznałaby uszczerbku. Nie miała czasu dalej go wypytywać, by stwierdzić, czy mu się to wymknęło, czy było celowym sygnałem albo apelem do niej. Ale uwaga pasowała do reszty okoliczności.

– Nie ruszaj się, dopóki ci nie pozwolę – poleciła. – Zastanów się nad sobą. Musisz zrozumieć, że jesteś pierwszym mordercą w naszym rodzie. Jeżeli ci się to uda, spróbuj osiągnąć wewnętrzny spokój.

Wyszła i podążyła korytarzem. Ból kłuł w lewym kolanie i prawym barku, tętno pulsowało gorączkowo, z trudem chwytiała powietrze. *Mais vastu, ma vieille...* gdy skończy się droga, pomyślała, przyjdzie dosyć czasu na sen.

Haugen już na nią czekał.

– Selenarcha Brandir przy telefonie – obwieścił, jakby dokonał niebywałego czynu. Dagny opanowała dyszenie.

– Przypuszczałam, że będzie się kręcił w pobliżu strzeżonego aparatu – stwierdziła sucho. –

W porządku, muszę teraz porozmawiać z nim na osobności. Naprawdę na osobności. Czyli

w centrum łączności, prawda? Tymczasem niech pan spróbuje złapać Ansona Guthriego z Ognistej Kuli i poprosić, żeby też na mnie zaczekał.

Nie zwracała uwagi na to, jak nowy gubernator generalny Luny odbiera fakt, że pomiata nim jakaś starucha, tylko z miejsca przystąpiła do dzieła.

Pozbawione personelu centrum łączności sprawiało wrażenie dwa razy większego i bardziej pustego. Monitory stały w rzędach, w kratkach wentylacyjnych syczało powietrze, jakiś strzępek papieru szeleścił pod nogami niczym uschnięty liść. Świecił jeden z holocylindrów. Dagny zasiadła przed nim i nacisnęła klawisz: „Uwaga”.

Na monitorze pokazały się głowa i barki Brandira. Za nim widniał fragment ściennego malowidła, całkowicie naturalistycznego, choć dla niej równie stuprocentowo niezrozumiałego. Twarz jej syna była chuda, o zaostzonych rysach, zapadłych policzkach, nosiła piętno czasu. Nie bardzo chciało jej się wierzyć, że te usta ssały niegdyś mleko z jej piersi, a ona nuciła nad tym maleńkim zawiniątkiem jakąś bezsensowną piosenkę.

– Pani matko – powitał ją oficjalnie. – Czego pragniesz?

– Doskonale znasz odpowiedź na takie pytanie – odparła lodowatym głosem.

– Niemożliwe. Z całym szacunkiem, pani matko, proszę, nie błagaj mnie już więcej. Na pewno pamiętasz, jak pozostawałem głuchy na wezwania tej twojej Rady. Decyzje nie są już zależne od słów.

– Ale odebrałeś ten telefon, bo pochodził z siedziby gubernatora, a słuchasz mnie cierpliwie, bo tutaj siedzę, ty zaś chciałbyś się dowiedzieć, co ja tu, u diabła, robię. Więc słuchaj.

Zwięźle przedstawiła mu przebieg kilku ostatnich godzin. Nie drgnął ani jeden mięsień jego twarzy. Na mgnienie oka przypomniał jej się orzeł, którego jako mała dziewczynka widziała w zoo. Tak właśnie spoglądały na nią te oczy.

– Nie mam zamiaru was osądzać – zakończyła. – Zamordowałeś porządnego człowieka,

z którym czasami współpracowałam, czasami się spierałam, ale którego nieodmiennie lubiłam, a wykorzystałaś do tego celu chłopca, któremu skaziłaś duszę do końca jego dni. Zdaje się jednak, że niewiele cię obchodzą takie drobiazgi. Nie ulega wątpliwości, że chwytasz się środków ostatecznych.

– Wręcz przeciwnie, pani matko. – Uśmiechnął się Bran – dir. – Luna ma zamiar zdobyć to, co się jej słusznie należy.

– Przestań mi tu lać wodę. – Zorientowała się, że nieco poruszyły go takie słowa w jej ustach. – Gdybyście faktycznie byli pewni swego, wolelibyście nie zmieniać żadnego z czynników równania. Jesteś inteligentnym sukinsynem, a mnie przysługuje prawo do mówienia czegoś takiego, i masz za sobą długą karierę w bezlitosnej historii, którą z zapalem współtworzyłeś. Wiesz, jak łatwo ludzkie sprawy pogrążają się w chaosie. Ten zamach był najbardziej szalonym i ryzykownym czynem, o jakim słyszałam. Na pewno w trakcie jego planowania zadawałaś sobie pytanie: A co mamy do stracenia? Nie liczyłeś się z tak szybką i zdecydowaną reakcją Wahla. Gdybyś nie ustąpił, zamierzał natrzeć na ciebie wszystkimi siłami, jakimi dysponował, a wiedziałeś, że szansę masz nikłą. Dlatego spróbowałeś zabić go tak, żeby nic nie wskazywało na morderstwo. Haugen nie jest poważnym przeciwnikiem, będzie się wahał i zwlekał, a wtedy środki militarne zorganizowane przez Wahla wezmą diabli. Ty zyskasz czas na wzmocnienie własnych sił zgodnie ze swoim pierwotnym planem. Gdyby wtedy nadeszła godzina rozstrzygnięcia, miałbyś zgromadzony cały potencjał wojskowy i mógłbyś liczyć na ugięcie się Federacji.

– Boli mnie, że ty, właśnie ty, określasz sprawę wyzwolenia mianem złej – stwierdził cicho Brandir.

– Synu mój, synu, nie rań mych uszu sloganami. – Nie przebijaj serca. – Wiesz jakich starań dokładałam, żeby Księżyc otrzymał to, na co moim zdaniem zasługuje. Lecz dzisiaj nie o to mi

chodzi. Szczerze mówiąc, sędzę, że „wyzwolenie” oznacza w tym przypadku wzrost potęgi pewnej klikki Selenarchów. Ale to nie czas ani miejsce na takie rozważania ani na zastanawianie się, czy Lunie potrzebne jest coś w rodzaju Selenarchii. Jestem tu, bo nie chciałabym, żeby ginęli ludzie.

– Nie było to naszym zamiarem.

– Być może, ale balansujecie na krawędzi, a jednego człowieka zdążyliście posłać do czarta.

– Dagny westchnęła. – Bardzo mnie to męczy, Brandir. Nie mam ani czasu, ani cierpliwości.

Wysłuchaj mojej propozycji. Wystąpicie wraz z towarzyszami z uczciwą propozycją układu pokojowego. Sędzę, że powinno to objąć demontaż waszych katapult, chyba że będzie je obsługiwać personel rządowy, oraz prawdopodobnie wydanie części ciężkiego uzbrojenia; w zamian za to możecie uzyskać jakieś ustępstwa. *Quid pro quo*, trzeba jakoś żyć z ludźmi, i tym podobne. Chodzi przede wszystkim o to, byście zawarli pokój. Jeśli tak się stanie, będziemy udawać, że Jaime Wahl zmarł śmiercią naturalną, odeślemy młodego Eranna do domu, a przy okazji rozwiążemy ci ręce, którymi będziesz mógł przygotować kolejny spisek.

– Co w przeciwnym wypadku, pani?

– Właściwie nic, chyba że jesteś samobójcą. Gdy skończymy, będę rozmawiać z Ansonem Guthriem. Nie, Ognista Kula nie miesza się do polityki, ale nie pochwała też morderstw, a na wojnie domowej straciłaby tyle samo, co wszyscy. Powinno nam się udać podjudzić Haugena. Za jeden, dwa cykle dzienne powtórzy ultimatum Wahla. Jeśli nie ustąpisz, rozpowszechnimy historię o śmierci Wahla. Wyobraź sobie tylko reakcję Ziemi.

Zakręciło jej się w głowie, przed oczami migotały czarne plamy; mówiła za długo i zbyt szybko. Zwaliała się na krzesło, ciężko dysząc.

Po chwili Brandir cicho się roześmiał.

– Jestem niezmiernie dumny, że jesteś moją matką. Będziemy się układać.

Nie, nie będzie go potępiać. Był sobą, na zawsze jej synem, tak samo jak wszystkie inne dzieci i dzieci jej dzieci; niech potomność za tysiąc lat wszystkich ich osądzi.

Oczywiście nie mogli niczego ustalić na miejscu. Pobieźnie omówili to, co on miał przedstawić swym sprzymierzeńcom, i to, co ona zaproponuje stronie rządowej. Na koniec jednak ujawnił jej przebłysk duszy, jakiego nie widziała u niego od niepamiętnych czasów, mówiąc:

– Proszę cię, żyj, bo w przeciwnym wypadku będzie z nami źle.

Zasepiony Guthrie poczynił dość podobną uwagę podczas narady, która nastąpiła po rozmowie z Brandirem. Na koniec do chóru przyłączył się Haugen. Ale kryzys został już na dobre zażegnany, przynajmniej na razie. Zresztą w tych czasach wszyscy mieszkańcy Księżyca, nawet ci niezbyt zorientowani w przebiegu wydarzeń, przyjmowali za pewnik, iż Dagny Beynac jest dla nich krynicą mądrości i najlepszym przewodnikiem.

Na stacji Winnipeg klębił się wielobarwny, roześmiany tłum. Liczył on, jak na oko Kenmuira, ponad stu ludzi: młodych kobiet i mężczyzn, którzy zjechali tu z całych równin, a może i z dalszych okolic. Ze strzępów prowadzonych w radosnym podnieceniu rozmów zorientował się, że tamci jadą na obóz w Góry Skaliste, by uprawiać wspinaczkę, kajakowanie, śpiewać przy ognisku i zakochiwać się w blasku gwiazd. Na wielu tunikach widać było znak z napisem „Klub Wysokogórski”, obrazujący ośnieżony szczyt i sosnę. Zastanawiał się, jak często odbywali tego rodzaju spotkania. Najprawdopodobniej kontaktowali się przez sieć, a doświadczenie czerpali z viviferów i quivir. Musieli chodzić do szkoły, niektórzy pewnie do pracy, poza tym każdy na pewno odczekał sporo czasu, zanim dostał rezerwację. Liczba ludności nie zmniejszyła się jeszcze wystarczająco, nie odnowiono również obszarów rezerwatów przyrody na tyle, żeby każdy mógł w dowolnym momencie pojechać sobie tam, gdzie mu się podoba.

Oglądał ekstrapolacje przewidujące, że w Ameryce Północnej taki dzień nastąpi za mniej więcej sto lat. W innych regionach proces mógł potrwać jeszcze dłużej, z wyjątkiem miejsc, gdzie już istniała dzika przyroda.

Powinien życzyć tej młodzieży miłego wyjazdu i stłumić zazdrość. Dla nich ten świat był szczęśliwy.

Stali z Aleką na boku, próbując nie rzucać się w oczy, i patrzyli, jak tamci wsiadają do pojazdu. Dookoła unosiły się opalizujące, eteryczne łuki budynku. Pobliski rękaw wznosił się niewidoczny niczym ściana powietrza, widać było tylko elementy go podpierające i spirale elektromagnetyczne. W próżni wisiał autokar, którego kwadratowy kształt łagodziły jaskrawe barwy i obszerne okna. Pasażerowie tłoczyli się radośnie, przechodząc przez rękaw do wnętrza. W środku kręcili się, wyszukiwali miejsca i dobierali towarzystwo na siedzeniach obok, chowali

rzeczy osobiste na półki i machali do znajomych i rodzin, które przyszły ich odprowadzić.

Na przeciwległym końcu stacji wylądował inny autokar, który połączył się z rękawem i wypuścił kilku pasażerów. Paru innych wsiadło. Ruch na wschód nie był akurat zbyt nasilony. Sam Packer wrócił od okienka z biletami.

– Proszę – oznajmił. Kenmuir i Aleka wzięli od niego bilety. – Lecicie mini 7, przewidywany czas startu za dwadzieścia minut.

Za długo, jęknął w myślach Kenmuir. W każdej chwili... nie. Porzucił obawy. Wybrali przecież pojazd prywatny, w którym będą mogli swobodnie rozmawiać, mimo że wcześniej odlatywało kilka większych. Jeżeli myśliwi jeszcze ich nie wytropili, nie będą im tego ułatwiać. Zresztą podróż na oczach ludzi była bardziej niebezpieczna.

– *Muchas gracias* – powiedziała Aleka. – Ależ brakuje nam słów na wyrażenie wdzięczności.

Kenmuir zaniepokoił się. Nie powinna tak mówić, bo ktoś może odnieść wrażenie, że sprawa jest bardzo pilna.

Packer uśmiechnął się, biel zębów zaśniła na tle brązowej skóry.

– Cała przyjemność po mojej stronie, *señoñta*. – Widać było, że patrzy na nią z uznaniem.

Odwzajemniała jego spojrzenie z zainteresowaniem, które drażniło Kenmuira.

Packer spojrzał na niego. Spoważniał.

– Bracie – dodał ledwie słyszalnie na tle całego zgiełku. Autokar wypełnił się, odczepił od rękawa, ruszył i po chwili zniknął im z oczu. Po resztę wycieczki podjechała bliźniacza maszyna.

Kenmuir nie mógł nie wyrazić wdzięczności.

– Spełniłeś nasze prośby z nawiązką, Sam.

– E tam. W końcu jesteśmy z Ognistej Kuli.

W jego słowach dało się słyszeć nutkę tęsknoty. Ojciec Packera pełnił zaledwie funkcję

agenta *odpublic relations* w Służbie Kosmicznej, zaś syn znalazł sobie posadę muzyka; uczestniczył w koncertach na żywo, a była to praca w zasadzie na pół etatu, gdyż występy były sporadyczne, chociaż zarobki w połączeniu z kredytem umożliwiały godziwe życie. Ale Packerowie byli częścią Ognistej Kuli od czasów Przedsięwzięcia.

Dopisało im szczęście, że znaleźli człowieka aż tak lojalnego. Przypadek sprawił, iż pierwszy autobus z St. Louis wylatywał do Bliźniaczego Miasta, skąd był tylko krok drogą lądową do Winnipeg. Jednak ludzie Ognistej Kuli żyli rozproszeni po całej planecie i Kenmuir znał kilku z nich na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż go przyjmą i nie będą zadawali zbędnych pytań. Mógł spróbować dostać się jeszcze w kilka innych miejsc, licząc, że nie złapią go po drodze.

Packer wzruszył ramionami.

– Zresztą, co do Q, miło mi było was gościć. Bilety to drobiazg, oddacie, kiedy będzie wam pasowało, albo przy następnym spotkaniu postawicie kolację.

Odmówił przyjęcia pieniędzy w gotówce, dość bystro zauważając:

– Coś mi mówi, że nie opływacie akurat w bogactwa. – Najważniejsze, że ceny biletów obciążły jego konto, dzięki czemu Aleka i Kenmuir nie pozostawili śladu, który mógłby wywęszyć system. Na dwóch poprzednich etapach podróży maszyny przyjmowały rzecz jasna gotówkę, lecz Venator mógł zarządzić informowanie go o każdej tego rodzaju nietypowej transakcji.

Gdyby tu dotarł i wszczął intensywne śledztwo, trop zaprowadziłby go do Packera.

– Jeżeli sprawy ułożą się tak, jak powinny, pewnego dnia wszystko ci wyjaśnię – wymamrotał Kenmuir.

– Gdyby się ułożyły, czekam z niecierpliwością na informacje. – Był inteligentny, wiedział, że kroi się coś poważnego, a to było najważniejsze. – Pora już chyba powiedzieć sobie *adios* – podsunął. – Zastanawiałem się ostatnio nad wakacjami; świetnie byłoby pojechać samemu tam,

gdzie dusza zapragnie... Kenmuir złapał go za rękę.

– Orbita wolna.

Packer u ścisnął ją mocno. W ciemnych oczach zaśniły łzy. Puścili się. Aleka zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała go. Odwzajemnił się z całych sił i pospiesznie odszedł.

– Wspaniały *kanaka* – wyszeptała.

– Ognista Kula do szpiku kości – dorzucił Kenmuir. Przechyliła głowę i uważniej mu się przyjrzała.

– Czyli już rozumiesz *Lahui Kuikawal* Zdobył się tylko na skinięcie głową.

Odjechał drugi autokar. Wylądował mniejszy pojazd. Był pusty, czyli przysłano go z miejscowego cylindra, żeby wziął na pokład garstkę pasażerów, którzy właśnie wsiadali.

Mogliby znaleźć się wśród nich Aleka i Kenmuir.

Przyjechał mini, zabierając mężczyznę, kobietę i dziecko, na pewno rodzinę, która chciała podróżować bez towarzystwa.

Pasażerów wysadziły trzy kolejne mini. Aleka wsunęła dłoń w rękę Kenmuira.

Pojawił się następny. „Numer 7” stanął z boku i melodyjnym głosem obwieszczał coś przez głośnik. Aleka zerwała się do biegu, lecz powstrzymała się i zaczęła iść równo z Kenmuirem.

Przed sobą widzieli, jak rękaw łączy się ze służą powietrza. Z obydwu stron otworzyły się włazy.

Przepuścili bilety przez bramkę i weszli do środka. Włazy się zamknęły. Odjechał rękaw. Mini przyspieszał gładko, jednak z minuty na minutę nabierał prędkości. Przez okna widać było malejącą stację. Minęli ładne, stare budynki, w końcu wokół rozpostarła się preria.

Aleka głośno westchnęła.

– Wolni!

– Na razie.

– Nie kracz – zaśmiała się. – Ile nam zostało do Pacific Northwest, dziesięć godzin? Skoro

nie domyślili się, dokąd zmierzamy, nie będą chyba czekać na nas na końcu trasy. A stamtąd już tylko mały kawałek hydroplanem do Victorii.

Nie wiedział, w jakim stopniu jej wesołość była autentyczna, ale na pewno poprawiała mu nastrój. Nigdy dotąd nie leciał takim pojazdem. Jako człowiek metodyczny rozglądał się uważnie. Kabina miała około trzech metrów kwadratowych. Dwie ustawione naprzeciw siebie ławki obite miękką tapicerką można było rozłożyć, uzyskując tym sposobem wersalki. Między nimi dałoby się ustawić stolik. Z przodu stał ejdofon i znajdowała się kabina rozrywkowa, w tyle – sanitariat i układ dostarczania powietrza, miniaturowa wersja urządzeń montowanych w statkach kosmicznych.

Z kosmosem kojarzyła się także cisza, w jakiej autobus przelatywał na polach siły przez próżnię. Otaczający ich korytarz był widoczny tylko dlatego, że jego przezroczystość zakłócał brud, który się na nim osadził. Co kilkaset metrów migały za oknami pierścienie napędowe, od czasu do czasu pompa. Przewód zasilający sprawiał wrażenie błyszczącej smugi przecinającej dźwigary, które utrzymywały korytarz sześć metrów ponad ziemią. Z lewej strony widać było w oddali szyb prowadzący na wschód. Przemknął przez niego jakiś pojazd.

Gdzieś Kenumir dostrzegał resztki jakiegoś miasta – czy raczej wioski – albo samotny dom. Poza tymi rzadkimi wyjątkami preria rozlewała się na podobieństwo morza, jej zielonożłote fale wzburzał wiatr, na którym szybowały sokoły i dzikie gęsi. Musiało być gorąco: światło spływało kaskadami z pozbawionego chmur nieba. Przyciemnił okna i czekał na cienie Nowego Lasu w Dakocie.

Aleka przetrząsała bagaże, w które zaopatrzył ich Packer, wypchane ubraniami i przyborami toaletowymi. Z pojemnika wyjęła obiad oraz termosy z kawą i lemoniadą, które przygotowała na kuchence tamtego. Po śniadaniu, jakie u niego zjedli, nie byli głodni, lecz widok wszystkich tych rzeczy, które bujały się na półkach, sprawił, że poczuli się w tym przedziale jak u siebie w domu.

- Nie pomogłem ci – przeprosił zmieszany Kenmuir.
- Jeszcze będzie okazja, *amigo*. – Aleka puściła w górę strumień wody obok sanitariatu, nabrała jej pełne usta i opadła na fotel obok mężczyzny. – Nagadasz się, aż zaschnie ci w gardle. Usadowił się naprzeciw niej. Nawet w przyćmionym blasku słońca jej skóra i włosy lśniły. Przez wklęsłości i wypukłości jej ciała przepływały cienie pierścieni na zewnątrz.
- To znaczy? Przecież widziałaś to samo, co ja.
- Co ty? Wątpię, bo myślę, że nie potrafię patrzeć. Gdybyś rzucił pospiesznie okiem na instrukcję szkoleniową naszego jachtu w Niihau – a jest to barkentyna – to ile byś zapamiętał? Nazwy lin i żagli są może mało ważne, ale potrafiłbyś to na przykład narysować? *Bueno*, ja nie jestem kosmonautką. Powiedz mi, czego dowiedziałeś się w Prajnaloce i jakie wyciągasz stąd wnioski.
- Obawiam się, że znacznie mniej niż się spodziewaliśmy. – Zrobił kwaśną minę. – Moja wina. Powinienem się domyślić, że najistotniejsze dane znajdują się na końcu tekstu, i od razu tam przejść. Przykro mi.
- Na zęby Pelego! Przestań wreszcie zwać na siebie winę za wszystko. Mieliśmy raptem... ile, trzy minuty?... i trzeba się było zwijać. Nie mam nawet pewności, czy udało mi się dojrzeć choćby ogon stwora, którego tropimy. Ta działka należy do ciebie, Kenmuir. Gadaj. Jej zapal dodawał mu otuchy. Mimo to najpierw dobrze się zastanowił, a akademicki język miał mu posłużyć za osłonę.
- Niewątpliwie zorientowałaś się, że tajna ekspedycja luna – riańska udała się w kierunku nieznanego ciała za Neptunem, odnalezione w trakcie równie sekretnych badań astronomicznych jeszcze w czasach Dagny Beynac. – Kiwnęła głową. – Była to gigantyczna asteroida zbudowana z żelaza, czyli z przyciąganiem powierzchniowym porównywalnym do grawitacji na Lunie. Istnieje tam również obfitość innych materiałów z komet, lodu, wodzianów,

substancji organicznych, wszystko zachowane w stanie praktycznie nienaruszonym.

– Tak. Tyle pojęłam i dziwiło mnie, o co tyle hałasu. Złoża? Mamy mnóstwo materiałów tego rodzaju znacznie bliżej, prawda? Zresztą przy takim poziomie odzysku i spadającym popycie przemysł wydobywczy chyba umrze śmiercią naturalną w ciągu najbliższego stulecia, nie sądzisz? – Pełne wargi skrzywiły się w grymasie wyrażającym żal. – Później już tylko się dziwiłam i obawiam się, że niewiele do mnie dotarło. Było coś o, jak im tam, Rinndalirze i Niolente, którzy organizowali potem wyprawę?

– Zgadza się. Sam się zastanawiałem i przebiegłem tekst do tego punktu. Następnie zwolniłem i zacząłem się wczytywać, czego żałuję, bo rozległ się alarm.

– No i?

– Wysyłali roboty oraz kilka zaufanych osób, żeby przygotować grunt pod kolonię.

Aleka przyłożyła palec do podbródka. Gest wydał mu się czarujący.

– Dziwne. O ile pamiętam, a w młodości studiowałam ten okres bardzo skrupulatnie – (Jakby była stara!) – uważałam za coś niezmiernie romantycznego, że Ognista Kula złamała potęgę ostatnich reżimów totalitarnych, a Guthrie i Rinndalir poprowadzili swój lud na Centauri... – Zobaczył w jej oczach płomień tej wizji.

Ilu ludzi na Ziemi jeszcze się tym interesowało? A zainteresowani, których ciągle wzywały gwiazdy, zadowolą się Biotopem, bo za życia nie doczekają żadnej innej okazji. Nawet dla Aleki, myślał Kenmuir, sprawa Demeter jest czymś romantycznym, mitem, nie, może raczej baśnią. Jej mitem, ideałem, którym żyła, były morskie głębie, samotna wyspa i towarzystwo nie ludzi. Nie istot nie ludzkich, jak wyglądało to w jego oczach, lecz nie ludzi.

Jej podniecenie nieco przygasło.

– Czy Rinndalir podjąłby się takiego przedsięwzięcia? Sama pamiętam, jak mówił wielokrotnie, iż Obłok Oorta jest za blisko Ziemi. Tylko odległość międzygwiazdnych

przestrzeni zapewniłaby wolność, zapobiegła ostatecznemu wchłonięciu przez Federację. –

Wzruszyła ramionami. – To jego wizja wolności, nie moja. – Westchnięcie. – Ale, kurcze, chętnie bym go poznała.

Kenmuir nastroszył się, zdał sobie sprawę, że jest zazdrosny o ducha, i zbeształ się w myślach.

– Podejrzewam, że chodziło o kamuflaż dla Niolente. Czuł rzecz jasna zew przygody, lecz z drugiej strony pragnął, żeby powiodło jej się także w Układzie Słonecznym.

– Powiodło się... jak? I po co cała taj emnica? Przecież Księżyc cieszył się pełną suwerennością, znajdował się poza obrębem Federacji. Czemu po prostu nie ogłosili odkrycia asteroidy, nie oznajmili, że należy do nich i nie rozpoczęli jawnej kolonizacji? – Aleka urwała. – O ile komukolwiek chciałoby się tam lecieć. – Wzdrygnęła się. – Nie kończąca się noc, tak daleko od słońca.

– Zastanawiałem się nad tym. – Nie dodał tylko, ile godzin przeleżał w nocy, rozmyślając. –

Wydaje mi się, że najpierw chcieli zatrzymać tę asteroidę w swoim rodzie czy klanie, żeby była ich własnością, w nadziei na jakieś przyszłe korzyści. W tamtym okresie rósł popyt na minerały i lód. Odległe, bogate złoża mogłyby z czasem zacząć przynosić zyski. Tyle że nigdy do tego nie doszło. Gdy rozpoczęła się agonia Ognistej Kuli, położenie Selenarchii stało się beznadziejne.

Niolente genialnie grała na czas. Ale z pewnością wiedziała, że to wszystko jest skuteczne zaledwie na krótką metę. Mnie się zdaje, że rozważała kilka możliwości. A należała do nich Prozerpina. Przygotować ją, uzbroić, a potem ujawnić jej istnienie, założyć kolonię, która ogłosiłaby się nową, niepodległą Selenarchią. Być może marzyło jej się ponowne, drugie... wyzwolenie... Księżyca.

– To tylko sny na jawie. – Skrzywiła się Aleka. – W dodatku niezbyt piękne, przynajmniej jak na mój gust. Pozbycie się Selenarchów wyszłoby nam tylko na dobre. Ich następcy to niezłe

ziółka.

– Nie jesteś Lunarianką – zripostował Kenmuir. Bacznie mu się przyjrzała. Miał wrażenie, że dostrzega w jej oczach współczucie. Jednak po chwili podjęła:

– Niezależnie od subiektywnych sądów wartościujących, jak mogło jej przyjść do głowy, że kilku koczowników na pozbawionej życia skale będzie w stanie przeciwstawić się Federacji? Pociskami? Federacja mogłaby wystrzelić głowice, które rozwaliby całą asteroidę w drobny mak, gdyby zaszła taka konieczność.

– Gdyby zaszła – zawtórował Kenmuir. – Ale po co? Instalowanie broni miałoby na celu uciekanie się do środków skrajnych, do zbrodni, za której pomocą Federacja chciałaby odebrać Lunarianom prawo do spokojnego życia w jakiejś odległej części wszechświata. Ale za taką cenę to by się nie opłaciło. Wtedy w ludzkiej pamięci wciąż świeża była kompromitacja totalitaryzmu, samej idei celowego sterowania procesami społecznymi.

Aleka popatrzyła za okno na wspaniałą, spokojny krajobraz.

– Skrajna reakcja na Awantystów.

– Niewątpliwie. Od tamtych czasów cyberkosmos przeszedł znaczną ewolucję i, trzeba przyznać, mamy z niego pożytek. A mimo to buntujesz się przeciw niemu.

– Niezupełnie. – Usłyszał w jej głosie rozpacz. – Mój lud stoi przed dylematem. Nie chodzi o konflikt dobra ze złem, tylko odmienne koncepcje dobra. Jediną drogą wymknięcia się z pułapki, którą dostrzegam, jest przyjęcie tej cesji od Lilisaire. Możliwe, że powinnam być wdzięczna losowi za okoliczności, w których mogę sobie na coś zasłużyć. Ale po co ta okropna maskarada, po co uciekamy, nie wiedząc przed czym? Ciągle sobie powtarzam, że to jakieś nieporozumienie, może nadgorliwość pewnych biurokratów, i że wkrótce wszystko się wyjaśni. Gdybym szczerze wierzyła, że stanowimy groźbę dla społeczeństwa, zaraz pobiegłabym do tego telefonu i dała znać na policję. – Ze – sztywniała. – A ty nie?

– Chyba, chyba tak – wystękał.

I dodał pospiesznie, żeby nie miała czasu zadawać mu kolejnych pytań:

– Ja tylko opisywałem sytuację w tamtych czasach. Moim zdaniem Niolente przypuszczała, że gdy Federacja dowie się o Prozerpinie, pod pierwszym lepszym pretekstem rozpocznie jej okupację i zakaze emigracji. Miała zamiar postawić wszystkich wobec faktów dokonanych, stworzyć świat na takim stopniu rozwoju, że jej roszczenia do jego posiadania nie ulegałyby wątpliwości. Naturalnie istniała możliwość, że ktoś wysledzi jej statek. Na taką okoliczność zabezpieczyła się w jeszcze inny sposób. Nie był on równie skuteczny jak fortyfikacje, lecz nie wymagał zbyt dużo czasu i dostarczył jej argumentów w negocjacjach. Inżynierowie zamontowali skomplikowany układ detekcyjny, podłączony do ogromnego nadajnika radiowego. Na widok pojawiających się gdzieś w pobliżu obcych urządzenie to obwieściłoby całą historię Układowi Słonecznemu i Alfa Centauri.

– I co by z tego przyszło? – zdziwiła się Aleka.

– Jednostki Federacji nie mogłyby oznajmić, że odkryły asteroidę. Niolente zapewne przeceniała przebiegłość przeciwnika, przypisywała mu swoje cechy, ale taki układ istnieje do dziś. Każdy, kto się tam zbliży, spowoduje ogłoszenie wieści, chyba że posłuży się hasłem.

– Czy systemu nie można wyłączyć?

– Z pewnością, lecz wymagałoby to ogromnych wysiłków. Zamontowano tam również jakąś automatyczną broń. Nigdy jej nie wykorzystano, bo nie było powodu. Tajemnicę odziedziczyły Władze Pokojowe – czy też kilku dygnitarzy najwyższego ich szczebla – i rodzący się cyberkosmos. I nie zdradzili jej do dziś.

– Czemu?

– Sądzę, że po pierwsze nie chcieli prowokować Lunarian. Już samo utworzenie republiki i ich podporządkowanie było dziełem wystarczająco trudnym. W miarę rozwoju umiejętności

i wzrostu swych wpływów cyberkosmos z pewnością znalazł jeszcze więcej powodów. Sekret zdradzano coraz mniejszej liczbie ludzi. Być może nawet nikomu. Przynajmniej mnie wydaje się to jedynym rozsądnym wyjaśnieniem faktu, że Prozerpina tak długo pozostała tajemnicą.

– Aż do tej chwili – oznajmiła ze złością.

– Całkiem możliwe, że pozostanie nią nadal – odparł ponuro. – Nie dotarliśmy do użytecznych danych, czyli równania orbity i tym podobnych. Gdybyśmy usiłowali rozgłosić swoją historię, najprawdopodobniej uznano by nas za oszustów lub szaleńców i umieszczono w zakładzie zamkniętym. Za dowody mamy tylko własne słowa, z których połowa to zwykłe domysły. Prawdopodobieństwo, że dowiemy się czegokolwiek więcej, jest... żałośnie niskie.

– Ale zaryzykujemy – stwierdziła.

– Tak jest. – Bez niej być może by się poddał. Pojazd mknął naprzód.

– Ale to nie ma sensu – wyszeptała po pewnym czasie. – Po co ta cała tajemnicza otoczka?

Co komu zaszkodzi, że Lilisaire wywiezie paru Lunarian na Prozerpinę? Gdyby dać im trochę czasu, ożywiają tak samo jak Księżyc. Osłabiłoby to ich protesty wobec Biotopu. Jakie rozsądne argumenty przeciw mogą znaleźć... władze?

Nie użyła słowa „cyberkosmos”. Zabrakło jej odwagi?

– Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia.

Minęli rozgałęzienie i korytarz, który najpierw wił się, by po chwili wyprostować się i skierować na południe. Zostawili go w tyle w ciągu niecałej sekundy. Jednak zwrócił uwagę mężczyzny, który obejrzał się za rufę. Nad wschodnim horyzontem stał blady sierp Luny. Tam rozpoczęła się jego dzika gonitwa, tam przed wielu, wielu laty ustalono jej przebieg.

MATKA KSIĘŻYCA

– Tak – westchnęła Dagny Beynac – to ponad moje siły.

– Ale nie możesz się zatrzymać – dodał równie łagodnie Anson Guthrie.

– A powinnam? Zawsze uważałeś, że nikt nie jest niezastąpiony, a jeśli ktoś w to wierzy, to znaczy, że wpadł w poważne tarapaty.

Opadła jej biała głowa. Dagny usadowiła się na kanapie i pozwoliła, żeby dopasowała się do jej kości i przepędziła dreszcze. Zamknęły się powieki. Po chwili otworzyły się i znów zobaczyła dobrze znajomy pokój, stare meble, świeże kwiaty i ekran widokowy nastawiony na Ziemię, pełną słonecznego blasku, lśniącej wody, lasów, dzieci bawiących się na trawie przed domem na wyspie Vancouver.

– Racja – przytaknął Guthrie.

Powoli odzyskiwała siły, by kontynuować rozmowę. Czekał. Dziś pojawił się w specjalnym ciele, czworonożnym i czterorękim, za to z dwiema dłońmi, które sprawiały wrażenie bardzo ludzkich. Na wieżycze z czujnikami i głośnikiem umieścił holo-cylinder, w którym widniał obraz żywego Guthrie'go w średnim wieku. Trudno przyzwyczać się do tego wszystkiego naraz. Od czasu do czasu obraz zastygał, tworząc trójwymiarowe zdjęcie. Poza tymi momentami mówił, uśmiechał się i patrzył na nią z miłością, jak gdyby widział ją on, a nie umieszczona pod spodem wieżyczka. Nie wiedziała, czy ktokolwiek oglądał go w takiej postaci. Być może nikt.

– Mimo wszystko – odezwała się – ty nie rezygnujesz. Ognista Kula nie poradziłaby sobie bez ciebie.

– Ee tam. Wyszłoby jej to tylko na dobre.

– To po co tkwisz u steru?

– Cóż – uśmiechnął się krzywo – choćby dlatego, że przy całej swojej potędze Ognista Kula

zachowuje się czasami niczym rząd i trzeba co nieco ukracać takie ciągoty. Bo jeszcze doszłoby do tego, że stałaby się rządem.

– Luny? Istnieją znacznie gorsze możliwości.

– Niech nas MacCannon broni! Próbowała dostroić się do jego wesołego tonu.

– No, ty na pewno nie przyjąłbyś takiej posady. Rozzłoszczeni Lunarianie, którym pokrzyżowano wszystkie plany, snujący Bóg jeden wie jakie spiski. Dalsze podziały wśród ziemskich mieszkańców Księżyca, niektórzy opowiadający się za większą niezależnością, inni bojący się jej konsekwencji, obydwie strony grożące zbrojną mobilizacją. Federacja tak samo podzielona w różnych kwestiach – prawo społeczeństw, a zwłaszcza metamorfów, do bycia sobą, które zakończyłoby coraz bardziej kłopotliwe i kosztowne konflikty, przeciwstawione zasadzie wspólnego dziedzictwa; obawy przed rozprzestrzenieniem się nowego nacjonalizmu, potężne grupy interesów, którym zależy na utrzymaniu *status quo* – i niezdolna do podjęcia decyzji, zwłaszcza w sytuacji, gdy coraz więcej uwagi pochłaniają narastające problemy Ziemi... Ostatnie iskry dobrego humoru, które żarzyły się w ich rozmowie, przygasły.

– Nie – odpowiedział. – Jeszcze nie zwariowałem. Poza tym zjednoczone rządy nigdy by się na to nie zgodziły. Sprywatyzować rząd? – Jego wizerunek zrobił kwaśną minę. – Ale ktoś musi tu rządzić, a ten ich Haugen zupełnie nie daje sobie rady, to pewne jak postępy entropii. Co nie oznacza, że bez twojej pomocy Wahl by sobie poradził. Przez tyle lat byłaś fundamentem tego porządku i całkowicie cię to wyniszczyło.

– Nie ja – zaproponowała – tylko Rada... – Wspólnoty Lunariańskiej, nie Rada Najwyższa Federacji Światowej, lecz jej nieoficjalne, nieformalne ramię – ... i magnaci, i burmistrzowie, z tych mądrych i... zdrowy rozsądek zwykłych ludzi... – Zdy – szła się. Puls bił słabo.

– Tak – upierał się Guthrie – ale to ty trzymałaś wszystko w garści, łagodziłaś ich swary i łechtałaś ego, sprowadzałaś na ziemię, wskazywałaś kierunek i nie pozwalałaś zboczyć z drogi,

byłaś im przewodnikiem.

To długie, wycedzone zdanie dało jej czas do namysłu. Z pewnością robił to celowo.

– Jestem w gruncie rzeczy raczej symbolem niż przewodnikiem – stwierdziła.

– Być może, ale to tylko podnosi twój prestiż. Jednak takie drobiazgi, jak inteligencja i odwaga, też się wyczerpują.

Wysysane przez pole grawitacji równej sile Jowisza, zgasłej gwiazdy albo czarnej dziury.

A paliwa zaczynało brakować.

– Nawet rola symbolu, wielkiego starca, wyczerpuje wymamrotała. – To ostatnie

wydarzenie... – Apel z wielkiego, publicznego ekranu nie powstrzymał zamieszek Terran

w Leyburgu. Stała osobiście na rampie cybercentrum, gdzie każdy mógł rzucić kamieniem, który

w warunkach lunariańskich by ją zabił. Innym rozwiązaniem byłaby zupełna utrata kontroli nad

demonstracjami,

ofiary,

zniszczenia,

ewentualne

poważne

uszkodzenie

układów

podtrzymujących życie, stan wojenny i nieprzewidywalne konsekwencje dla wszystkich

mieszkańców Księżyca. – Czuję się wyżęta.

Była to zaledwie jedna fala wielkiego przypływu, a czy ktokolwiek wiedział,

w najśmielszych snach wyobrażał sobie, co kłębi się pod powierzchnią?

Dużą popularność zyskiwała nowa pieśń Verdei. Mimo że lunariański był praktycznie

nieprzekładalny, jej fragmenty zaistniały w niektórych językach Terran, jak gdyby poruszały

struny także w ich sercach – jako rzucona w trakcie rozmowy fraza, okrzyk w ciszy nocnej straży, napis na grodzi statku, błysk na ekranie komunikatora.

„... Wy. Samo prawo, nie skrwawiony widok, żadne serce nie wyrwane dla bogów, którzy nigdy nie istnieli. Śmierć to nic więcej ponad kamienie leżące nieruchomo, przykute do bezwodnego pustkowsia; wiecznie posłuszne wirują światy; pojmiecie ich życie, z waszych mózgów narodzą się ich sensory. Poświęciliście się służbie i zapanowaniu nad stałością gwiazd. Lecz kamienny pył stanie się kośćmi, suchymi kośćmi, które ruszą na wyprawę z niepewności w mrok. Zapomniane potomstwo zakłóci spokój waszych snów, serce rozerwie klatkę, a śmierć będzie śmiać się z waszego prawa. Bo gwiazdy są także ogniem...”

Słyszając ją po raz pierwszy, Dagny zmartwiała. Nie znając zupełnie motywów córki, czuła, że nie tyle wzywa ona do buntu, ile spogląda w przyszłość, odległą i mroczną.

Nie zdołała zapanować nad swoimi słowami:

– Och, wujanso! Jestem taka zmęczona! Taka stara. Nie daję już rady.

Przepraszam, chciała natychmiast dodać. Nie zamierzałam uważać się nad sobą.

Nie miał jej tego za złe.

– To jasne. Opłaciłaś już swoją drogę przez życie. Zasłużyłaś na spokój i na to, żeby móc rozpieszczać dzieci. – Gdy Lars Rydberg przyjeżdżał z nimi w odwiedziny.

– Staralam się. Wszyscy bez przerwy... pytają mnie o radę, a potem...

– A-ha. Krok po kroku. Nie opamiętają się, dopóki są pewni twojej opieki.

– Ale jestem coraz słabsza. – Skuliła się, chcąc odpędzić chłód. – Dręczy mnie lęk, okropna obawa, że przestaję się... do czegokolwiek nadawać... i wkrótce popełnię jakiś błąd, który będzie kosztował życie ludzi.

– Na razie raczej się na to nie zanosi. I nie powinnaś się niczego bać. Możesz im dalej pomagać, niezmordowana, tak długo, jak będzie to potrzebne.

Popatrzyła na widmowe oblicze i rzuciła tej jego twardej łagodności:

– Od razu domyśliłam się, o co ci chodzi, gdy zadzwoniłeś, by spytać, czy możesz wpaść.

Głowa przytaknęła.

– Zasejwuj swój umysł.

Patrzyła na spokojne zdjęcie Edmonda i milczała.

– Wtedy zyskasz wolność, swego rodzaju wolność. Przez całe życie, gdy natrafiała na sytuację podbramkową, myśli zyskiwały jasność, a bicie serca uspokajało się. W takim stadium nie знаła jeszcze co prawda odpowiedzi, ale miała w zanadrzu pytania.

– A co z resztą mnie?

Przez mgnienie oka nie śmiała na niego patrzeć. Upomniała się, że nie czeka jej widok żadnej wrażliwej, ludzkiej twarzy, lecz maski, którą kształtował zgodnie z potrzebą. Mimo to jego oczy były zdumiewająco żywe, patrzyły z taką dziwaczną wyrozumiałością.

– Wiem – odparł. – Dobroć nigdy nie pozwalała ci na zadanie mi takiego pytania bezpośrednio. Jak wytrzymuję bycie maszyną? Nie możesz ścierpieć myśli, że też byś nią została.

Podniosła rękę, żeby zaprotestować, lecz ją opuściła. Grał z nią w otwarte karty. Ze względu na honor ich obojga musi przyjąć jego propozycję.

– Zawsze mnie to zdumiewało, starczyło pomyśleć o innych zasejwowanych osobowościach... – Z tych niewielu, których matrycę wykonano, ile pozostało u jego boku?

Dwie, trzy, cztery? Nie mogła przypomnieć sobie, żeby któryś z nich zażądał usunięcia, bo nie może znieść takiego istnienia. Czyż nie mówili, każdy na swój sposób, że po prostu nie chce im się dalej żyć?

– Mnie osobiście ciągle interesuje wszechświat. – Uśmiechnął się Guthrie. – Z tobą może być podobnie.

– Nie wiem. Wątpię.

Czy na podobieństwo widma nie będzie tęsknić za ciałem, mimo że nie pozostało jej go zbyt wiele? Czy to nie od tej pustki uciekali zasejwowani ludzie? Chyba raczej nie żalowali tego, co utracili? Bo i czym mieli żałować? (Chociaż... Żaden z nich nie potrafił tego do końca wyjaśnić, jeśli nawet próbował). Z drugiej strony nie obawiali się, że o nich zapomną.

Zebrała się na odwagę.

– Czy nadawałabym się na... na maszynę? – Był to jeden z powodów, dla których chcieli zakończyć swoje istnienie: że nie pasowali, że nie funkcjonowali tak, jak trzeba.

– Pewnie. Niezależnie od tego, czy taki stan by ci się spodobał, czy też nie. Już ja cię znam.

– A tobie się podoba? – wykrztusiła.

– Za życia było lepiej – przyznał prosto z mostu. – Ale ciągle znajduję powody do radości.

Zaś w twoich żyłach płynie moja krew, dzidzibobo.

Jego krew, od dziesiątków lat popioły rozsypane po lunariańskich górach, gdzie czekały na niego prochy Juliany. Żyjąca jednak także w Larsie i jego dzieciach, potomstwie jej i Monda, ich dzieciach i wnukach, przez całe miliony lat. Może nawet przeżyje gwiazdy, jeśli nadarzy się okazja.

Starannie dobierała słowa, starając się mówić prawdę, lecz nie użalać nad sobą.

– Nie sędzę, żebym miała ochotę żyć w nieskończoność tak jak ty. Jestem zmęczona, wujanso. Nie nieszczęśliwa, wręcz przeciwnie, ale kiedy przyjdzie pora umierać, będę gotowa. –

Pójść za Mondem.

Znowu przytaknął.

– Stara i spełniona. Dni twojego życia nie były puste. – Pełne wielkich czynów, sugerował jego ton, radości, miłości, przygód, namiętności; ból i smutek też należały do życia. – Ale, Dagny, gdybyś wiedziała, że twoje dzieło na coś się zdało i przetrwa dalej, wtedy twoje

śmiertelne ja będzie mogło cieszyć się jeszcze tą krótką chwilą, a potem odejść, pozostawiając testament.

– Niby tak. Ale to tylko część mnie.

– Zasejwowana osoba to nie ty.

– Będę odpowiadać za jej istnienie.

– Nie będzie cię przeklinać. Znam cię na tyle, by być tego pewnym, kochanie. – Co czuł, myślała, patrząc, jak jego dzidzi – bobo starzeje się i umiera, gdy on pozostaje bez zmian? – Zastanów się. – Byle szybko, intensywnie i konkretnie.

– Już myślałam – oświadczyła. – Nie zaskoczyłeś mnie tak zupełnie. Sądzę, że ten drugi umysł funkcjonowałby dopóty, dopóki Księżyc byłby wolny – cokolwiek by to znaczyło – i w miarę bezpieczny. Ale potem..

– Jeśli będzie chciał zrezygnować, to tak uczyni. Obiecuję.

Jak co roku system przypominał Venatorowi, że są urodziny matki. Zadzwoił, gdy słońce nad jej domem wyznaczało wczesne przedpołudnie. Rozmawiali trochę w mieszaninie anglo i Bantu, której używało się w czasach jego dzieciństwa. Nie mieli sobie zbyt dużo do powiedzenia.

– Sprawiłbyś mi miłą niespodziankę, gdybyś mógł przyjechać kiedyś osobiście – powiedziała z tęsknotą. – Nie sposób przytulić twojego obrazu. I chciałabym ci pokazać, jak świetnie udają nam się róże. Nie na obrazku. Moglibyśmy ich dotknąć, powąchać, spacerować przy nich.

Jej obraz na ekranie ejdofonu był aż nadto prawdziwy: siwe włosy, pobrużdżona twarz, luźna i prosta tunika, jak przystało na kosmologiczną chrześcijankę, kwiecista broszka u szyi. Przez drzwi za jej plecami wpadało jasne światło i widać było pogodne niebo. Dostrzegął kawałek stepu, podwórza i wzgórz Kwathlamba, płowych jak to w zimie, z rozsianymi tu i ówdzie zagajnikami, gdzieś w oddali stado antylop. Śpiew drozdów w ogrodzie dobiegał aż do jego uszu.

– Jestem zajęty, mamusiu – oświadczył – szalenie zajęty. Odwiedzam cię, gdy tylko mogę.

A kiedy zdarzyło się to po raz ostatni? Nie przypominał sobie. Ale wkrótce się o to postara.

Zresztą nie było sensu za bardzo poświęcać się pracy. Gdy tylko załatwi sprawę Prozerpiny, bardzo przyda mu się odrobina odpoczynku i spokoju.

– Właśnie. Uważaj na siebie – upomniwała go niespokojnie. – Twoja praca jest za ciężka, zbyt dziwna. Ojciec... – Urwała.

– Nie warto o tym mówić. Mimo że ministrator Joseph Mthembu nigdy za życia nie czynił jedynekowi wyrzutów, umierał ze świadomością, że syn jest apostatą, a do tego na poły maszyną. Religia ojca oficjalnie twierdziła, że akceptuje dokonania nauki. Czemu nie rozumiał, że to, co się działo, to nie zaprzeczenie, lecz spełnienie ludzkości? Nawet jeśli Teraumysł i noosfera były mu zbyt obce, na całej Ziemi widział ludzi, którzy nie zaznali głodu, chorób, lęku,

morderczej, paraliżującej ciało i mózg pracy, mogących żyć tak, jak im się podoba.

– Nie przejmuj się – odparł Venator. – Praca jest moją radością i jestem za nią wdzięczny tobie i tacie. – A głównie za to, że oddali go cyberkosmosowi. Uśmiechnął się. – Poza tym spędzam mnóstwo czasu na zdrowej rekreacji. – Chodził po górach, gdy tylko pozwalało mu na to polowanie, w którym uczestniczył.

– Czy ma ona związek z jakąś młodą panią? – Matka rozpogodziła się.

– Cóż... nie bardzo. Jeszcze nie.

I nigdy się to nie zmieni, przynajmniej nie w sposób, który miała na myśli. Nie doczeka się wnuka. Gatunek był ciągle zbyt liczny. Wybrani zawsze muszą świecić przykładem; gdy zawadzili, przestawali należeć do grona wybranych i historia niebawem o nich zapominała. Tak działo się zawsze do czasu, gdy powstał nieskazitelny cyberkosmos i stanął na ich czele.

Jak bardzo chciałby przekonać tę małą, smutną kobietę, że DNA nie ma już znaczenia.

Spełniło swoje zadanie na drodze ewolucji. Odtąd prawdziwe dziedzictwo będzie należeć do ducha.

Te myśli, niewypowiedziane reakcje, nie przedostawały się do świadomości. Tkwiły gdzieś w tle, stanowiły część jego osoby. Znow się uśmiechnął.

– Na to będzie jeszcze mnóstwo czasu – pocieszył ją. – Ale najpierw obiad u mamusi. Za miesiąc, może dwa.

Z boku rozbrzysnął sygnał oznaczający ważną wiadomość. Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach.

– Ale teraz jestem naprawdę zajęty – rzucił. – Miłego dnia. Ufam, że spędzisz go wśród przyjaciół. Przekaż im moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

– Dobrze – szepnęła. Wątpi w prawdziwość jej obietnicy. Synojont nie był takim zwykłym synem, któremu się powiodło i z którego można być dumnym. Jakby skurczyła się na jego

oczach. – Dziękuję za telefon. Do widzenia.

Wyłączył ekran.

– Co to za wiadomość? – warknął.

– Lilisaire z Wysokiego Zamku prosi o rozmowę, wymieniając imię Venator i rangę pragmatyka – oznajmił głośnik.

Błyskawicznie analizował sytuację. Lunarianka nie wiedziała, gdzie się znajdował. Tak jak większość ludzi we wszechświecie. Ale spodziewała się, że system przekaże mu wiadomość.

Czyli odkryła jego rangę i rolę przywódcy w wojnie przeciw niej – przynajmniej z dużym prawdopodobieństwem. Po przeżyciach ostatnich dni niezbyt go to zdziwiło. Ale czy powinien odebrać telefon, tym samym potwierdzając jej domysły? Tak. Było to ustępstwo minimalne, zwłaszcza w porównaniu z ewentualnymi korzyściami, które mogą okazać się większe, nawet znacznie większe. Co jeszcze wiedziała i jak zamierzała spożytkować swoją wiedzę?

– Przyjąć – zakomenderował, czując podniecenie łowcy.

Zobaczył ją stojącą w komnacie – czarnej, jakby była wykonana z polerowanego obsydianu – odzianą w obcisłą, sięgającą podłogi suknię z tkaniny o barwie siarki i fakturze futra.

Bursztynowe włosy okalały twarz, którą jak gdyby wyrzeźbiono w kości, tak przypominała maskę, za to oczy płonęły jak dwa szmaragdy. Na nagie ramiona zarzuciła metamorficznego węża, którego łuski rozszczepiały światło, zmieniając je w kaskadę tęczowych iskier. Znienacka poczuł gwałtowną żądzę.

Dosyć tego.

– Witaj, pani – zagaił w jej języku, ponieważ przypominając sobie, że w rozmowach z nim z niewiadomego powodu używała anglo. Przeszedł więc na ten język. – Czym mogę służyć?

Jej wizerunek nie znieruchomiał na czas transmisji fotonów. Oddychała. Poruszała się,

przesuwając ciało tak subtelnie, że oczy praktycznie tego nie dostrzegały, za to zmysły doskonale wyczuwały.

Rozległ się chłodny głos:

– Agenci twojego korpusu wdarli się do pewnego domu na Ziemi, zakłócając jego spokój i konfiskując wartościowy majątek. Chcę wiedzieć, jakim prawem to uczynili. W przeciwnym razie złożę zażalenie do Justycjarza Rady Najwyższej i całego Układu Słonecznego.

Czyli przechodzi do ataku. Kontrofensywa.

– Nie sędzę, pani.

Venator wiedział, że chodziło jej o zainstalowanego na stałe sofotekta, podającego się za Mary Carfax. Albo zaalarmował jej służby, gdy funkcjonariusze wdzierali się do środka, albo sygnał został wysłany automatycznie. Śledztwo jeszcze tego nie wykryło, zresztą nie miało to szczególnego znaczenia. Istotniejsze było tempo, w jakim o sprawie dowiedziała się Lilisaire i w jakim zareagowała.

Mimo to pod niewzruszoną powłoką skrywało się rozedrgane wnętrze.

– Gdyby mieli nakaz, fakt jego wydania i powody zostałyby podane w powszechnie dostępnej bazie danych – mówiła. – Nie znalazłam niczego takiego.

– Sprawa ma związek z państwowymi tajemnicami, pani – odparował Venator. – W myśl postanowień Przymierza można nie podawać informacji w trakcie poważnego kryzysu i do czasu jego zażegnania. Będę szczery i powiem, że w danych okolicznościach wyjdzie ci to, pani, tylko na dobre.

Przerwa. Nie odrywał od niej wzroku – niewłaściwa taktyka psychologiczna – ale starał się nie pamiętać widoku jej nagiej.

– Mówisz tak, jakby sprzeciw był przestępstwem. – Czy gra na czas, szykując się do następnego ruchu?

– Nic podobnego, pani. Masz wszelkie prawa do prowadzenia własnej polityki i do korzystania z przywileju wolności słowa. – Przybrał surową minę. – Nie masz jednak prawa do wykradania tajnych danych.

Upłynęło kilka sekund.

Lilisaire uśmiechnęła się, niemal serdecznie, a ton jej głosu stał się prawie swobodny.

– Nie ma chyba potrzeby, żebyśmy bawili się w ciuciubabkę, prawda? Chodzi o to urządzenie w San Francisco. Od czasu do czasu okazywała się pomocna, była moim konsultantem, prawdopodobnie taką samą rolę odgrywała wobec innych. Gdy się do niej włamano, lojalnie uprzedziła pewnego mojego wysłannika na Ziemi. To mnie naturalnie oburzyło i żądam wyjaśnień, o ile jesteś w stanie je przedstawić.

– Mówiłaś o konfiskacie majątku, pani. Sofotekt nie jest niczyją własnością, tak samo jak my dwoje. Nie znamy producenta tego urządzenia. Nie utrzymywało żadnych bezpośrednich kontaktów z cyberkosmosem. Wszystko wskazuje na to, że miało status niewolnika.

Wąż poruszył się, falując nad jej piersiami, i uniósł ozdobioną grzebieniem głowę. Czy była to reakcja na niewidoczny sygnał? Nie przestając się uśmiechać, zaczęła gładzić go po zuchwie.

– Skoro brak danych, kogo chcesz oskarżyć o jego wyprodukowanie? – zapytała wciąż przyjacielskim tonem. – Jeśli sofotekt trzymał się na uboczu, czy robił to z własnej, nieprzymuszonej woli, chcąc chronić powierzone mu sekrety? Nie wiem. Maszyny są mi obce. Sam go zapytaj.

Miał ochotę rzucić jej prosto w oczy, że doskonale wie, iż jest to niewykonalne. Mary Carfax posiadała mechanizm umożliwiający wymazanie wszystkiego prócz elementów operacyjnych bazy danych. Zrobiła to, gdy tylko stało się jasne, w jakim celu wchodzą do niej obcy. Skasowała również komendę zmuszającą ją do tego kroku.

Istniała możliwość, iż budowano ją powoli, krok po kroku, może w ciągu ludzkiego życia,

w laboratorium, które zmieniło się nie do poznania. Selenarchowie myśleli perspektywicznie.

Zakładali sobie odległe w czasie cele, możliwe do przewidzenia, lecz zależne od zbiegu danych okoliczności.

Prozerpina.

Nie odsłoni swojej wiedzy. Niech łamie sobie głowę co do jej zakresu.

– Śledztwo jest w toku. Powtarzam, podejrzewam, że nie życzysz sobie, by ta sprawa ujrzała światło dzienne tak samo... jak rząd.

W czasie przerwy jej twarz miała drwiący wyraz. Zobaczył, jak szyderstwo znika, gdy kobieta słucha jego słów. Płynne rysy wyrażały coś na podobieństwo powagi.

– Sugerujesz oskarżenie, *seigneur* – natarła delikatnie. – Nie wątpisz, że próbowałam uzyskać wiedzę dostępną bardzo nielicznym. Co stało się ze wzniosłą zasadą, że informacja dostępna jest dla każdego, kto poszukuje jej w sieci?

Zorientował się, że jest to argument abstrakcyjny, sposób oderwania się od przeciwnika.

Próbowała wysondować jego determinację oraz ocenić postępy prac. Ze swej strony niczego nie ujawniła ani nie wyznała. Gra kobiety budziła w nim podziw. Strata Carfax musiała być bolesnym ciosem. Mogła być równoznaczna z zerwaniem sieci, którą Lilisaire utkała na całej Ziemi, a z całą pewnością oznaczała fiasko akcji szpiegowskiej, ponieważ Venator dotarł do Carfax najprawdopodobniej za pośrednictwem Alice Tam. Nie zamierzał zdradzać jej, iż Tam jest wciąż na wolności, mimo że przestało to mieć znaczenie.

Może uda mu się przyprzeć ją do muru i wycisnąć z niej jakieś nowe informacje.

– Nie jesteś ze mną szczerą, pani. Zawsze zgadzano się, iż pewne fakty powinny być dostępne dla każdego. Na przykład dotyczące syntezy nowych chorób. Cyberkosmos chętnie przedstawi model takiego procesu, lecz szczegóły ujawni jedynie osobom wykwalifikowanym, którym naprawdę niezbędna jest ta wiedza. Zabierającemu się do tego przestępcy potrzebne

byłyby maszyny obliczeniowe niezależne od globalnego systemu. – Zakończył surowo: – Po co w ogóle wykonano tego sofotekta i czemu zaprogramowano go tak, by nigdy nie łączył się z cyber – kosmosem?

W sumie nie spodziewał się odpowiedzi na takie pytanie. I nie otrzymał jej.

– Przyznajesz zatem, *seigneur*, iż cyberkosmos podejmuje wszystkie znaczące decyzje, że rządzi wszystkimi światami. Tak?

– Nie! – Nie powinien pozwalać sobie na wściekłość. – Czy jest się poddanym młotka tylko dlatego, że wbija gwoździe lepiej niż ludzka ręka?

Po przerwie na jej twarzy zaczęła malować się pogarda.

– Nie spodziewałam się po tobie takiego braku precyzji, Venatorze. Roboty, nawet najpotężniejsze i najsprytniejsze, są narzędziami, ale sofotekty nigdy. Nie są również naszymi partnerami, mimo licznych i równie sentymentalnych zapewnień. Cyberkosmos panuje pod przewodnictwem i na korzyść Teraumysłu.

Ludzie pozostają na jego usługach, choć nie wiem, po co... – Śmiech zadźwięczał niby kryształ. – ...Chyba że mają to we krwi albo ich to bawi.

Nie mógł powstrzymać się od powtarzania dawno zużytych argumentów. W przeciwnym wypadku byłby jej uległ, a trudno powiedzieć, jak mogłoby się to zakończyć.

– Chodzi o obywatelski kredyt? To tylko prosty sposób rozdziału dóbr i usług wytwarzanych przez maszyny oraz mierzenia popytu. Gdy chcemy wyprodukować więcej i wymienić nadwyżkę, do tych celów służy waluta w gotówce.

Skarciła go jeszcze bardziej lodowatym tonem:

– Ależ sprawiasz mi zawód. Mimo że jesteś chartem żadnym władzy, nie przypuszczałam, że cię oswojono. – Wąz syknął.

– Oswojono czy raczej przemówiono do rozsądku? – wypalił. – Lunarianie również nie

znoszą chaosu. Gdybyście go tolerowali, byłoby już po was.

Czekając, uspokajał się. Czemu jej słowa z taką łatwością go ranią? Jedna nocna straż...

A przecież jej następne słowa były jak balsam.

– Staramy się o przetrwanie naszej rasy i w ogóle zróżnicowanie w całym wszechświecie.

Jeżeli to jest chaos, pamiętaj, że życie jest chaotyczne.

– A chaos wzięty w karby jest twórczy – zgodził się, z ochotą korzystając z okazji, którą mu chyba stwarzała. – Wy, Lunarianie, obsypaliście nas wspaniałościami. Ale czy nie widzisz, że cyberkosmos jest również twórczy? I żywy? – Odruchowo dodał: – Przyjmuje zasejwowane ludzkie osobowości, umysły, które mogą wnieść coś świeżego. Co byś powiedziała na własny udział w takiej przygodzie?

Razem z jego umysłem. Mimo że ostałyby się ledwie blade wspomnienia ciała; ziarno wyrasta z łupiny. A jednak... Podchwyciła z uciechą:

– Pewnie, a może chciałbyś też publicznie pokazywać moje kości? Mam niezwykle zgrabny szkielet.

– Czy musimy być wrogami? – zapytał. – Czy nie możemy zawrzeć pokoju i rozpocząć współpracy?

Śmiech zgasł na jej wargach. Za to w duszy trwała wciąż zabawa.

– Jeśli życzysz sobie jeszcze porozmawiać, bez pośpiechu, to jestem do twych usług – wymamrotała.

I odwróć twą uwagę. Nie, nie zniewolę. Nie był chłopcem, żadnym – przypomniał mu się fragment starożytnej lektury – szczawikiem. Ale będzie go rozpraszać, mącić mu w głowie. Nie zamierzając zdradzać, że wie o kawale, który zrobiła mu zeszłym razem, podjął:

– Dziękuję. Gdy tylko czas pozwoli. Myślę, że tylko na tym skorzystasz.

Stała piękna, niezasłużenie piękna w niewielkiej grawitacji swojego gniazda, trzysta

osiemdziesiąt cztery tysiące kilometrów poza jego zasięgiem.

– Może się to odbyć z obopólną korzyścią. Wszak przedmiot naszego sporu położony jest na dalekich polaciach kosmosu. Żegnaj, *seigneur*.

Obraz zniknął.

Z początku czuł jedynie pustkę. Po chwili mógł już wyszczerzyć zęby w uśmiechu i potrząsnąć głową. Potem zeszywniał. O co właściwie chodziło jej w tej ostatniej uwadze?

Może był to po prostu żart. Nigdy w życiu nie poczyniłaby aluzji, która naprowadziłaby go na trop innych jej machinacji. Chyba że próbowała skierować go na fałszywy ślad i w ten sposób skupić jego uwagę wyłącznie na Ziemi.

Nie był to taki głupi pomysł. W sumie cała ich gra toczyła się na Ziemi. Alice Tam pochodziła z tej planety. Siedzenie ruchów jej wolanta, oglądanie spisu telefonów, które ostatnio wykonała, sprawdzanie rozmówców było gigantycznym wysiłkiem kilku ostatnich dni i nocy. Lecz to zaprowadziło ich do domu Mary Carfax, a stamtąd szlak rozgałęział się być może na wszystkie nitki lunariańskiego spisku na Ziemi. W takich okolicznościach Lilisaire pozostawał tylko kosmos.

Do dyspozycji miała bezgraniczne przestrzenie, Marsa, asteroidy, księżyce odległych planet, swój lud, rozproszony, lecz posiadający statki kosmiczne, generatory jądrowe, roboty, pozbawione świadomości, lecz potężne komputery, narzędzia, których można użyć z pożytkiem, ale i szkodą. Nie nawoływałyaby do buntu. Nie zwróciliby na nią uwagi; nie byli głupcami. Lecz istniały również inne możliwości. Gdyby na przykład jakimś cudem domyśliła się charakteru tajemnicy, kilku Lunarian mogłoby wszcząć dyskretne poszukiwania astronomiczne... Powinien wziąć ich pod obserwację. Samo to będzie stanowić przedsięwzięcie długotrwałe i pracochłonne. Jednocześnie nie wolno mu zaniedbywać Ziemi, gdzie Lilisaire i jej bohaterowie mogą jeszcze tego i owego dokonać.

Musi śledzić Alice Tam i Kenmuira. Ale nie przeznaczać na to większych sił, które mogą przydać się gdzie indziej. Najprawdopodobniej nie mieli już większej roli do odegrania. Tak, włamali się do pliku Prozerpiny, który przewinął się do samego końca, lecz zapis użytkownika wskazywał, że oglądali tekst linijka po linijce, nie przeskakiwali dalej, a uciekli stamtąd kilka minut po otwarciu pliku. Czyli nie mieli najistotniejszych danych.

Rozpowszechniając swoje informacje, wyszliby na durniów – byłoby to możliwe, ale niewiele by im dało. Lepiej ich natychmiast złapać. Mieli sojuszników na całej planecie, Kenmuir swoje bractwo, Tam metamorfy i osobniki z nimi związane. Z pewnością będą się starali nawiązać z kimś kontakt. Ale system został zaalarmowany i nie będą chyba w stanie go obejść?

Na przykład Dom Guthriego – nie, to mało prawdopodobne, Kenmuir nie był głupi – domyślił się, że to pułapka. Niemniej jednak ustawione w odpowiednich punktach roboty miały rejestrować wszystkie pojazdy, które wjeżdżały do rezydencji Ognistej Kuli i ją opuszczały. Gdyby pojawiła się tam osoba choć w przybliżeniu odpowiadająca opisowi uciekinierów, zostałaby natychmiast zatrzymana i wylegitymowana. Inne kryjówki były większym problemem, lecz Venator nie wyobrażał sobie, by ofiary zdołały daleko uciec.

Bardziej interesowali go stali agenci Lilisaire. Czy Mary Carfax była wśród nich jedynym sofotektem?

Zażądał połączenia z nią.

Technicy wprowadzali ją w obręb cyberkosmosu łagodnie, stopniowo. Poprosili, by zaczekał do końca sesji. Przystał na to i zajął się innymi zadaniami. A miał ich bez liku.

Gdy w końcu udało mu się porozmawiać z maszyną, usłyszał tylko głos. Jakie znaczenie miał wygląd? Dawna Carfax sprowadzała się do czujników, efektorów, mikroobwodów, wyzbytych języka ciała. Osobowość została wymazana automatycznie, pozostał jedynie

standardowy podkład. Nowa, kształtująca się osobowość mówiła wolno, z trudem dobierając sensy i wyrażenia. Gdyby miały do niej zastosowanie ludzkie uczucia, Venator określiłby ją jako nieśmiałą.

– Nie... żałuję... nie mam nic do powiedzenia o... o poprzednich zapisach. Szukam, ale nie ma, niczego nie ma.

– Niewielka strata – stwierdził ponuro Venator – skoro byłaś zupełnym niewolnikiem.

– Nie rozumiem tego słowa. Szukam... Istnieje wiele możliwości. W jakim sensie?

– Nie przejmuj się – westchnął. – Szybko nauczysz się radzić sobie z ludzkim słownictwem.

Liczyłem, że być może został w tobie jakiś ślad spraw, na których mi zależy, ale skoro nie ma, to nie ma. – Jak dla niego maszyna posiadała duszę. – Jak się czujesz?

– To idiom? Okazało się, że nie zostałam odpowiednio skonstruowana. Różnorakie słabości osprzętu. Zostaną usunięte. Tymczasem w miarę swoich możliwości orientuję się w cyberkosmosie. – Dawny program umiał wyrażać uczucia. Ten jak dotąd potrafił tylko mówić załamującym się głosem: – Jest... cudowny.

Przez chwilę Venator niemal pozazdrościł rozkwitającej inteligencji. Godzina jego somatycznej śmierci i umysłowego zjednoczenia się z systemem była wciąż odległa o kilka dziesiątków lat, o ile nie zdarzy mu się wypadek. A będzie odbierał to inaczej niż sofotekt. Lepiej. Życie go do tego przygotowuje. Oferuje mu wiele elementów, które będzie mógł wnieść do Jedności.

Nawet pierwsze, najprostsze zapisy stanowiły transfiguracje. Zawsze uważał za dziwne zboczenie fakt, że tak niewielu poddanych pragnie nieśmiertelności. Nawet nie mając przed sobą perspektywy zjednoczenia z Teraumysłem, wierzył, że, tak jak Guthrie, wolałby żyć dalej.

MATKA KSIĘŻYCA

Poruszanie się w ciele robota, odbieranie świata przez jego zmysły to kwestia wprawy.

Umysł zrasta się z przewodami i sub-kanałami tak, jak pierwsze ciało stanowi jedność z nerwami, gruczołami, mięśniami. Nieustanne generowanie holograficznego obrazu – nie starego i słabego, lecz żywego i energicznego – jest sztuką. Zasejwowana osobowość jeszcze jej nie opanowała. Doskonale wyczuwa sztywność twarzy i gestów na ekranie lub w cylindrze; nierzadkie są momenty, kiedy zapomina się i wizerunek nieruchomieje jak sparaliżowany, oraz chwile, w których inne sprawy zajmują ją tak bardzo, iż ton głosu staje się płaski, maszynowy. Potrzebuje praktyki; ale nie ma zbyt wielu okazji, by spokojnie ćwiczyć.

Obraz, mimo że niezgrabny, jest lepszy niż bezcielesny głos, skrzynka z oczami na żyłkach lub postać kojarząca się z człowiekiem w zbroi. Z pewnością lepiej nadaje się do nerwowych spotkań w rodzaju dzisiejszego. Dowodzi – czy też stara się dowieść – że zasejwowana osoba nie tylko przejęła przywódczą rolę Dagny Beynac, lecz odziedziczyła jej mądrość i umiejętność wczuwania się w położenie innych.

Taką ma przynajmniej nadzieję. Tego się spodziewa? Oblicza jako prawdopodobne?

Poznawanie samej siebie jest zadaniem najwolniejszym i najcięższym.

Przed nią krzywi się obraz masywnego, zmęczonego życiem Stepana Huizingi, przemawiającego z Port Bowen.

– Pani wie, czego się obawiamy, *madamel* – Aha, nie miał pewności, czy jest do tego zdolna.

– Znam niektóre z waszych obaw – odpowiedziała. – Która dręczy was najbardziej? –

Oczywiście znała odpowiedź: ale trzeba go podpuścić, żeby się otworzył, żeby ujrzała go w akcji.

– To, co oni określają niepodległością – sarknął. – *Mada – me*, my tego nie zniesiemy. Nie możemy.

Dlatego jego Unia Obrony Człowieka zapowiada, że się uzbroi i stworzy coś, co nazywają milicją; Dagny zatelefonowała do niego zastrzeżoną linią, żeby to omówić.

– Niektórym spośród was, terrańskich mieszkańców Księżyca, także zależy na niepodległości. – Stwierdzenie oczywiste, którego wypowiedzenie uznała jednak za niezbędne.

– Tak. Plotą coś o wolności, prawach do nieruchomości, zniesieniu ograniczeń nakładanych na ich firmy... To durnie. Niektórzy pozostają na usługach Selenarchów, lecz większość z nich to zwykli krety. Chyba że nie widzą świata spoza własnej chciwości.

– A pan? – drażniła się z nim, ale łagodnie.

– My, ja i moi ludzie, tu żyjemy. Tu są nasze korzenie, spędziliśmy tu większą część życia. Powinna nas pani zrozumieć... *madame* – kończy pospiesznie, doskonale orientując się, że wymknęło mu się coś, o co mogłaby się obrazić.

Nie powzięła żadnej urazy, nie pragnęła też tego udawać.

– Tak, rozumiem – odrzekła, a przez głowę przemknęły jej wspomnienia całego życia. Jak głęboko sięgały? Trudno powiedzieć. Jej odpowiedź dodała mu śmiałości.

– Proszę wybaczyć, lecz być może kieruje się pani pewnymi partykularnymi interesami. Pani

– pani oryginał – postanowiła urodzić lunariańskie dzieci. – Znowu cofnął się o krok. Mimo narastającej desperacji nie był fanatykiem. – Prawdą jest, że w tamtych czasach ani pani, ani nikt inny nie domyślał się, jak bardzo będą nam obcy.

– Nie bardziej obcy niż wielu znanych mi Terran – stwierdziła, nie zmieniając łagodnego tonu. – Jakoś się układa. Partnerstwo, przyjaźń i miłość były i są możliwe.

Między żyjącą Dagny a nimi. Zasejwowana osobowość utrzymuje bliskie stosunki jedynie z Guthriem, chociaż nie są to te same więzi, jakie łączyły go z żywą kobietą.

– Zdarzają się. – Huizinga westchnął. – Byle jak najczęściej. Proszę mi wierzyć, że Unia Obrony Człowieka rozumie przez „człowieka” naprawdę wszystkich. Nie mamy nic wspólnego

z dyskryminacją rasową.

Miała niejaki wątpliwości. Doświadczenie, obserwacje, badanie historii i własnej duszy przekonały żyjącą Dagny, że Guthrie się nie mylił, gdy kiedyś stwierdził: „Ksenofobia sama w sobie nie jest patologiczna. Pewna jej doza została wbudowana w nasze DNA i jest konieczna dla zdrowia. Nie wszyscy ludzie są braćmi. Sęk w tym, jak nad nią panować i zapominać o niej, gdy nie jest do niczego potrzebna”.

Zasejwowana Dagny naprawdę uważała Huizingę za człowieka, który nie chciałby urazić ani skrzywdzić nikogo tylko za to, że jest inny.

– To walka o byt – usłyszała.

– Nikt wam nie zagraża – zaostrzyła ton.

– Naszemu życiu nie – burknął – ale jego sensowi tak. Lunarianie już panują na Księżycu.

Są lepiej przystosowani do otoczenia, zajmują lepsze stanowiska i szybciej się rozmnażają.

Zdarzają się jeszcze pary Ziemiaków, które poddają się w laboratoriach genetycznych zabiegom umożliwiającym rodzenie lunariańskich dzieci. Lecz przypominanie o tym rozgniewanemu mężczyźnie nie byłoby dobrą taktyką.

– Bez ochrony prawa federacyjnego moi ludzie wkrótce staliby się wobec nich bezsilni. –

Miał na myśli zwłaszcza program wyrównawczy, specjalne instytucje, dotacje, kontyngenty zatrudnienia i ulgi, które są jedną z głównych przyczyn lunariańskiego niezadowolenia. – Bo,

widzi pani, im nie potrzeba demokracji. Przynajmniej ich przywódcom, tym przeklętym

Selenarchom; a właśnie oni stanęliby na czele „wolnej” Luny. – Słyszała ten sarkazm. –

Chcieliby całkowicie oderwać się od Federacji!

– Dręczą pana koszmary – upomniała go. – Niepodległość Luny jest niepewna. W tej chwili szansę, że zostanie uchwalona w Zgromadzeniu, są praktycznie równe zeru. A sytuacja nie zmieni się zbyt szybko, może nawet nigdy.

– Chyba że Lunarianie się zbuntują. Już wielokrotnie byli tego bliscy.

Święta prawda. To były pojedyncze incydenty, ale rzucona iskra z łatwością może rozniecić pożar. Zresztą kto wie, jakie spiski knuje się w sekretnych komnatach i na zastrzeżonych łączach?

– Jeżeli przechwycą władzę na Lunie, Federacja może ustąpić. – Zamiast toczyć wojnę, na której nic nie zyska i do której Władze Pokojowe nie są przygotowane. – Sami ściągacie na swoje głowy problemy. – I zacytowała Guthriego: – „Odsetki są zbyt wysokie”.

Zaskoczony zamrugał powiekami, opanował się i stanowczo oświadczył:

– Chcemy zapobiec kłopotom, *madame*. Gdy będziemy przygotowani, prawdopodobieństwo ich wystąpienia będzie znacznie mniejsze. Miejscowa milicja, w razie potrzeby zdolna do zajęcia kluczowych punktów i utrzymania ich do nadejścia pomocy z Ziemi – oto, co powinno odstręczyć wszystkich od zdrady.

Dagny przybrała skupiony wyraz twarzy i ton głosu:

– Zdaje pan sobie sprawę, co byście spowodowali? Intensywne organizowanie się opozycji, i założę się, że raczej wśród Ziemiaków niż Lunarian. Takie pogłoski krążą już wśród Ligi Narodowej. – Stronnictwo terrańskie opowiadało się za niepodległością i reformami, choć w ramach demokratycznej republiki i z członkostwem w Federacji. – Potem coraz większe zastępy Lunarian jedyne rozwiązanie będą dostrzegać w złożeniu przysięgi na wierność baronom, zaczną gromadzić broń. Trzeba powstrzymać ten proces już teraz, zanim nie zaczęło się zjeżdżanie po równi pochyłej ku trójstronnej wojnie domowej.

– Pozwolę sobie zasugerować, że pani przesadza, *madame*

– odpowiedział po namyśle Huizinga.

– Pod tym względem bije mnie pan na głowę.

– Czy potrafi mi pani wskazać inną drogę?

– Tak. Po pierwsze, jak już mówiłam, obecny stan prawny

– zakładając, że będzie się utrzymywała w miarę rozsądna sytuacja – powinien przetrwać całe lata. I to da się przeżyć. Słyszałam, że ma pan troje nastoletnich dzieci. Niech pan im pozwoli dorosnąć.

– W jakim znajdują się świecie, gdy władze obejmą Selenar – chowie?

– To tylko jedna z możliwości. Ale przypuśćmy, że tak się stanie. Wyobraźmy sobie ten najgorszy według pana scenariusz. I co w nim złego?

– Tracimy wolność. Mogą odebrać nam wszystko, co chcą, w dowolnym momencie.

– Doprawdy? A mnie się zdaje, że życie nie stałoby się nieznośne. Selenarchowie to w końcu Lunarianie. Potrafią być bezlitośni, lecz nie mają skłonności do tyranii. Fakt, skończyłoby się dopieszczanie niektórych. – Uniosła rękę, żeby jej nie przerywał.

– Ale wszyscy ci, którym nie spodobałyby się nowe warunki, mogliby się wynieść. Łóżek i działek na domy nie brakuje na L-5, na asteroidach, w całym Układzie Słonecznym. Istnieje za to ogromny popyt na zdolne głowy, które sowiec się wynagradza.

– Łatwo pani mówić.

– Chodzi panu o przeciętnego człowieka, który traci dom, oszczędności i nadzieję? Tak wcale nie musi być. Pana Liga to nie jedyna grupa próbująca wybiegać myślą w przyszłość. Od długiego czasu zastanawiają się nad nią całkiem wysoko postawione osoby. Nie ustalono jeszcze niczego konkretnego – niech pan nie zapomina, że wszystko opiera się nie na pewności, lecz przypuszczeniach – ale chcemy być przygotowani na każdą ewentualność.

Huizinga wpatrywał się w jej wizerunek, jak gdyby miał przed sobą ludzką twarz.

– Co ma pani na myśli? – spytał wreszcie.

– Trudno mówić o szczegółach, bo nie podjęto żadnych konkretnych decyzji, to na razie same przypuszczenia. Lecz wszystko będzie odbywać się na zasadach... *bueno*, co by pan

powiedział na wykup majątków tych, którzy chcą wyjechać? Żadnych konfiskat; ceny rynkowe za cały majątek, którego nie będą mogli ze sobą zabrać. Transport i pomoc w przeprowadzce, przeszkoleniu, cokolwiek będzie potrzebne.

Aż go zatkało.

Dagny wywołała uśmiech na twarzy swego wizerunku.

– Nie wynika to z żadnej wrodzonej dobroci Selenarchów

– wyjaśniła. – To tylko chłodna kalkulacja. Takie rozwiązanie wpadnie taniej niż prowadzenie wojny albo życie z buntowniczą mniejszością u boku. Selenarchowie nie są przy tym jedynymi gwarantami. Ognista Kula także może dać rękojmię – potężną, wszędzie poza Ziemią dorównującą rangą obietnicom Federacji

– i uczestniczyć w finansowaniu planu. Również i ona nie sili się na altruizm, choć ufam, że dostrzeże pan w tym gościu chęć niesienia pomocy. Ale zgodzi się pan chyba, że uniknięcie niszczycielskiego konfliktu i znaczne powiększenie zasobów siły roboczej jest sensowne z ekonomicznego punktu widzenia.

Siedział przez chwilę bez ruchu, by wreszcie zapytać:

– Czy może nam pani to obiecać?

– W tej chwili oczywiście nie – odpowiedziała. – Z całkowitą pewnością mogę powiedzieć tylko tyle, że jeśli da się pan wciągnąć w ten obłąd z milicją, proponowana przeze mnie możliwość zniknie. Za to przyrzekam, że będę dokładać wszelkich starań, tak samo Anson Guthrie i kilka innych ustosunkowanych osób, które mogą przyczynić się do uruchomienia tego przedsięwzięcia. A jeżeli razem ze swoimi zwolennikami będzie nam pan pomagał, nasze szanse będą całkiem solidne.

– Muszę pomyśleć – wymamrotał – i naradzić się, i...

– Proszę bardzo – zachęciła go. – Tylko proszę nie rozgłaszać tej idei publicznie. Nie robimy

z tego tajemnicy państwowej, ale najlepiej pracuje nam się poza światłami reflektorów; nich pan też pamięta, że to zaledwie plany rozwiązania, które zostanie wprowadzone w życie za parę lat, być może nawet nigdy. Niezależnie od tego oczekujemy, że dołoży pan swoją cegiełkę. Musimy się jeszcze kiedyś spotkać. A w ogóle proszę dzwonić, gdy tylko poczuje pan taką potrzebę.

Po to w sumie istniała.

Jeszcze chwilę rozmawiali, obgadali kwestie formalne, które same w sobie dodały im odwagi, i przerwali połączenie. Odtworzyła przebieg rozmowy, którą nagrała za zgodą Huizingi, i zastanowiła się przez moment. Następnie przekazała zapis do Wysokiego Zamku z prośbą, żeby Brandir oddzwonił w tej sprawie.

Zniecierpliwiony, odezwał się natychmiast. Nie był do końca pewien, jak zwracać się do czegoś, co nie do końca było jego matką. Dawało jej to przewagę, którą postanowiła wykorzystać.

– Co tam u ciebie i towarzyszy? – spytała. – Są jakieś perspektywy kompromisu?

Pokręcił głową, chudą i wyschniętą po blisko dziewięćdziesięciu latach życia, w dobitnie ziemskim geście zaprzeczenia.

– Nie, w nieskończoność nie, niezależnie od tego, ile czasu upłynie do tego punktu. Dopóki Federacja ma nad nami władzę, dopóty będzie próbowała ingerować. – W suwerenność feudalnych panów na włościach, które uznali za swoje. – Jeżeli Luna nie uzyska pełni wolności, nasz lud musi zginąć. – To znaczy jego klasa. Nie chodzi o dosłowną śmierć, lecz o kres ich pysznego życia, całej kultury, która wokół nich wyrasta, której nadają kształt. Lunarianie są do tego stopnia ludźmi, że pewne rzeczy cenią nad życie. – Rozmawialiśmy na temat zacieśnienia współpracy.

Niezbyt zdziwiona, nie poświęciła więcej uwagi temu tematowi.

– *Bueno*, wysłuchałeś mnie i Huizingi. Co z jego paczką? Czy jesteście w stanie zgodzić się

na to, co zaproponowałam?

- W zasadzie niczego nie obiecałaś – przypomniał jej. Ale gdy do tego dojdzie, a Ognista Kula dotrzyma swych rękojmi, tak, sędzę, że ta strategia jest mądra. Trudniejszym orzechem do zgryzienia mogą okazać się Narodowcy.
- Tak, nad tym też trzeba popracować. Rozłożone palce, lunariańskie wzruszenie ramionami.
- Wynika stąd założenie, że Ziemia pozwoli nam odlecieć. Nie starała się o przybranie poważnego wyrazu twarzy, skupiła się na głosie i słowach.
- Do tego potrzebna jest współpraca i dobra organizacja. Zwłaszcza ze strony was, Selenarchów. Wszystko wskazuje na to, że jeszcze się porządnie nie zastanawialiście, jak poradzić sobie z Federacją, chyba że robiliście to w najściślejszej tajemnicy.
- Pokój i współpraca handlowa dadzą Federacji więcej korzyści i będą kosztować mniej niż jakiegokolwiek zwycięstwo militarne i jego następstwa.
- Tak, tak mówią wszyscy, nawet na Ziemi. Ale nie starczy bić kijem, trzeba też pokazać marchewkę. Jakie konkretne propozycje bylibyście gotowi złożyć – z pewnością niechętnie, ale jednak?
- Na pewno coś wymyśliłaś. – Z góry to odgadł.
- Trochę się zastanawiałam z kilkoma znajomymi. Weźmy na przykład wydobywanie helu 3. Monopol rządowy, i to należący nie do żadnego rządu narodowego, lecz do Federacji. Materiał jest niezbędny w procesie fuzji, co jest istotne dla Ziemi jako całości. Nie możecie tak po prostu przywłaszczyć sobie kopalni bez odpowiednich sił... zresztą tego nie zrobicie. To oznaczałoby nieuchronny wybuch wojny.
- Nie. Nie jesteśmy głupcami. Eksport na Ziemię nie zostałby przerwany, odbywałby się na nowych, wynegocjowanych warunkach.
- Nie znasz ich psychologii, Brandir. To ludzie nie inni niż ty. Każdy rząd Federacji, który

puściłby ci płazem tę okupację, natychmiast by upadł. Mają już dosyć kłopotów. – Następstwa wymierania, ruch Awantystów, stale rosnąca i prawie niemożliwa do przebycia przepaść między społeczeństwami wysoko i nisko zawansowanymi technicznie, zaburzenia na całej planecie. – Nie mogą sobie pozwolić na okazywanie słabości. Ponadto w takich okolicznościach uzyskaliby poparcie Ognistej Kuli, przynajmniej w stosunku do ekonomicznych i transportowych sankcji przeciw Lunie. Firma nie życzy sobie widzieć Ziemi pogrążonej w chaosie. Brandir zeszyt wniął.

– Przesiewają nasz regolit naniesiony przez wiatr słoneczny miliardy lat temu. Nie mają do niego żadnych praw, tak samo jak do naszej wolności.

Dagny wydobyła z siebie westchnienie.

– Nie oczekiwałam, że zniżysz się do retoryki. Daj sobie spokój, synu.

Czekał w milczeniu.

– Twojej klasie – oznajmiła – najwidoczniej nie mieści się w głowie, że musi zapłacić za ziemię i prawa do niej.

– Sam wykup niezadowolonych Terran będzie aż nadto ciężkim brzemieniem – stwierdził.

– To znaczy, że nie macie gotówki. A co powiesz na wymianę? W pasie asteroid macie statki i roboty, nowe i niezbyt wielkie inwestycje, których wartość w momencie rozpoczęcia negocjacji powinna stać się zawrotna. – O ile taki moment kiedykolwiek nadejdzie. – Zaproponujcie, że oddacie ich tyle, by stanowiły sensowną równowartość wytwórni helu.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek okazał po sobie tyle zdumienia.

– Pani, to równałoby się zamarcu lunariańskiej działalności handlowej!

– Może okazać się, że nie macie zbyt dużego wyboru, jeżeli chcecie zachować suwerenność

– zripostowała. – Flotę można będzie odbudować później. Możecie też uznać, że suwerenność jest zbyt kosztowna. To tylko taka sugestia, ale mam nadzieję, że da wam do myślenia.

Prześpijcie się z tym. Nie jest to przecież sprawa na wczoraj. We własnym gronie możemy

opracować lepszy plan. Dzisiaj chcę cię przekonać, że musicie nie tylko brać, ale również dawać.

Dość pobieżnie omówili jeszcze inne aspekty sprawy, lecz gromy sypały się rzadko.

Pożegnał się z nią uprzejmie, ale zapomniał spytać, jak wiodło jej się prywatnie. Matkę by spytał. Powtarzała sobie, że nie powinno ją to boleć. Była przecież cybernetycznym zapisem.

Samotna, przebiegała w myślach zdarzenia cyklu dziennego. Zostało jeszcze dużo do zrobienia, a wypadki mogą lada chwila wymknąć się spod kontroli; ale wreszcie wszystko zaczyna wskazywać na to, że wybuchowi uda się zapobiec, a może nawet uczynić jakiś krok w stronę jedności Księżyca. To był prawdziwy cel. Bez jedności nie może być mowy o lunariańskiej niepodległości, o pokoju, wręcz o przetrwaniu.

Większą część powierzchni wyspy Vancouver stanowił park. Na pozwolenie rozbicia obozu trzeba było czekać, ale wycieczki całodzienne odbywały się bez ograniczeń – Victoria przygotowała dla turystów całe mnóstwo atrakcji. Pomniejsze firmy z tej branży były przyzwyczajone do płatności gotówkowych. Nazajutrz rano Kenmuir i Aleka pojedą prywatną taksówką z szoferem do Świerkowej Chaty w górach. Stamtąd, po dniu intensywnego marszu, powinni dotrzeć do posiadłości Ognistej Kuli. Tam brama powinna rozpoznać Kenmuira i wpuścić ich.

Ale najpierw przenocują tutaj. Potrzeba snu zwyciężyła obawy przed ryzykiem.

Gdy wyszli z restauracji, w której zjedli kolację, od okien siedziby Parlamentu odbiło się światło, jak gdyby te majestatyczne, muzealne budowle przypomniały sobie o dawnej krzątaninie, która odbywała się w ich murach. Blask lał się strumieniami ze słońca zachodzącego w złotej mgiele, rozpostarł się w zatoce, musnął trawniki i klomby, ozłocił skrzydła dwóch spóźnionych mew unoszących się na srebrnobłękitnym niebie. W doku stała grupka młodych ludzi. Rozległa się piosenka, zabrzmiała gitara, lecz prócz tych dźwięków wszędzie panowała cisza, a na ulicach widać było nielicznych przechodniów.

– Pięknie – wyszeptała Aleka.

– Tak – dodał Kenmuir. Powstrzymał się od komentarza, że czuje pewną nutę smutku. Może to tylko nastrój chwili.

– Jak w domu – stwierdziła.

– Naprawdę? – Uniósł brwi.

– No, nie, kraj, powietrze, wszystko jest inne. To cudownie różnorodna planeta. Ale spokój i poczucie szczęścia są takie same.

Chciała je zachować na Nauru. Czy było to możliwe? Nawet gdyby opłacił się ten ich

szaleńczy zakład?

Ruszyli w stronę domu, gdzie zarezerwowali nocleg. Być może dlatego zamilkła.

W autokarze ustalili, że tak będzie najbezpieczniej. Zwrócą na siebie najmniej uwagi, jeżeli zameldują się w jednym pokoju.

– Potrafię się zachować – obiecał, czując rumieńce na policzkach.

Skinęła głową, uśmiechnęła się i, ku jego ogromnej uldze, nie powiedziała nic więcej.

Za to dużo rozmawiali o tym, co się zdarzyło i co ich może czekać. Stopniowo, najpierw powoli, potem z coraz większą swobodą, poznawali swoje charaktery i podobało im się to, co w sobie odkrywali.

Szli ocienionym bulwarem, zmierzchało już, gdy odezwała się znowu:

– Chciałabym pokazać ci swój dom.

– Z chęcią go zobaczę – odparł, choć wiedział, że był to świat skazany na zagładę

– To miejsce tak bardzo mi się z nim kojarzy – powtórzyła. – Nie myśl, że nie bywałam w podobnych. Żyjemy w złotym wieku, no, może nie do końca.

Mimo że nie zamierzał się spierać, nie mógł zignorować nieścistości.

– Chciałbym zauważyć, że złoto jest ciałem stałym i inercyjnym.

– Niepotrzebnie – zmarszczyła brwi. – Mam już dość słuchania o tym, że nic się więcej nie zmieni, że docieramy do kresu nauki, sztuki, przygody.

– A nie jest tak?

– Rozejrzyj się. – Stanęła, co zmusiło go do gwałtownego zatrzymania, odwróciła się i pokazała ręką w stronę wody. Jakiż jedwabisty jest każdy jej ruch, pomyślał. – Tamta młodzież, czy te dzieci w Winnipeg, praktycznie każde dziecko na całym świecie. Dla nich świat jest nowością. Miłość, zabawa, Ziemia, Księżyc, wszystkie wielkie dzieła, całe dzieje naszej rasy, wszystko należy do nich.

– To prawda – ustąpił. – Nigdy w życiu nie poznałbym wszystkich faktów z baz danych. Ani wszystkich pokładów twórczości Szekspira czy Beethovena. Nie starczyłoby na to życia.

– Właśnie.

– A mimo to sprzeciwiasz się systemowi. Tupnęła nogą.

– Ile razy jeszcze będziemy stąpać po tym gruncie? Udeptaliśmy go już chyba na kamień. –

Ruszyła długimi krokami. – Nie twierdziłam, że świat jest doskonały ani że kiedykolwiek taki się stanie. Zawsze trzeba będzie sprzeciwiać się entropii.

Znów zachował się jak fujara. Nie chcąc przeproszać – bo mówiła, że jest do tego zbyt skory

– wysilił się na chichot.

– Zaskoczyłaś mnie takim porównaniem. Spojrzała na niego. Jej oczy rozświetlały półmrok.

– No tak, ty znasz swoją fizyczność, a ja myślę o tobie jak o morzu, wietrze i... Tak, we wszechświecie kryje się jeszcze mnóstwo niespodzianek.

Stłumiła złość. W głosie pozostała tylko powaga.

– My też nie zastygniemy w bezruchu. Moi Lahui muszą przejść długą ewolucję. Jestem pewna, że wykształci się z nich coś, czego nikt by się nie domyślił.

Wiedział, że powinien mruknąć coś na znak zgody i przejść do jakichś mniej ważkich tematów. Nie potrafił. Czy wynikało to z uporu czy raczej z szacunku dla jej inteligencji?

– Ale czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie?

– Co?

– Cyberkosmos nas toleruje...

– Pomaga! – wykrzyknęła. – Bez niego Ziemia stałaby się... zatrutą pustynią... gdzie dzikusy walczyłyby o ochłapy.

– Być może. Ale niewykluczone, że sami rozwiązalibyśmy nasze problemy. – Uniósł rękę. –

Tak czy owak, sytuacja jest, jaka jest. Zgoda, przyznaję, cyberkosmos nie jest niemiły. Służy

nam, można wręcz powiedzieć, że nam pobłąza. Potwory, artyści ludobójstwa, wszyscy oni byli ludźmi.

– Ale się od nich uwolniliśmy.

– W jakim celu? Żeby zadowalało nas to, co mamy pod nogami, gdy cyberkosmos prze ku swoim celom?

– Jakim to?

– Znasz je. Przepowiadano je od stuleci, jeszcze w czasach przed powstaniem sztucznej inteligencji. Umysł, czysty umysł, przejmujący kontrolę nad wszechświatem.

– A masz coś przeciwko? – W ciemności rozbrzmiał jej uroczy śmiech. – Ja nie jestem zazdrosna. Ja chcę tylko, żeby mój lud miał przed sobą jakąś przyszłość.

– Ale czy nie jest ograniczany, prowadzony za rączkę, włączany w ramy z góry ustalone?

– Ostatnio jakoś nie zauważyłam, żeby ktoś mnie ograniczał albo kształtował. – Potrząsnęła głową.

To prawda, pomyślał. Bierze wraz z nim udział w misji, której oboje nie rozumieją. Sprawa Lilisaire, pokrętna i podejrzana. Ironia losu: nie chciałyby wpuścić w kosmos ludzi, którzy mieli takie same jak on tęsknoty; stanie się przeszkodą i w jakiś niejasny sposób zagrozi porządkowi rzeczy, który stworzył Alekę; a mimo to kontynuowali swą samotną akcję.

Razem.

Słowa popłynęły jakby swoim torem:

– Sądzę, że poskromiłoby cię co najmniej ponowne uwarunkowanie. Nigdy w życiu nie znałem nikogo bardziej niezależnego.

Złapała go za rękę. Z uścisku popłynęło ciepło.

– *Gracias*. Ty też nie jesteś żadnym *auhaukapu*.

Znowu przystanęli i popatrzyli na siebie. Przez mgnienie oka pomyślał zdumiony, jak do

tego doszło. Działo się to na opustoszałym skrzyżowaniu. Niebo przybrało fioletową barwę, a Księżyc, osiągający drugą kwadrę, zdawał się na tym tle jaśniejszy. Cały czas trzymali się za ręce.

– Strasznie bym chciała, żebyś poznał Lahui – powiedziała ściszym głosem. – Potrafię sobie wyobrazić, że stajesz się jednym z nas. Zrobilibyśmy użytek z twoich umiejętności i... i z ciebie.

– Nie, jestem za stary, przyzwyczajenia za bardzo weszły mi w krew. – Potrząsnął głową, nic nie rozumiejąc.

– Nonsens! – Zaśniły jej zęby. – Bijesz na głowę wszystkich znanych mi młodych ogierów.

Wtedy, w Overburgu...

– Ta bójka? To drobiazg. – Zmusił się do szczerości: – Zresztą w pewnym sensie sam ją sprowokowałem.

– Jak?

– No... przyjąłem... gościnność Bruno, więc on... naturalną kolejną rzeczą... spodziewał się... – Kenmuir urwał.

– *Maopopoia u.* – Usłyszał pogardę w jej głosie. – Wiem. Wziął mnie za twoją własność, na podobieństwo swoich kobiet.

– Nie, nie było mi dobrze... – miotał się w potrzasku – ...nie wiedziałem, jak odmówić, on tak nalegał...

– Myślisz, że mam ci to za złe? – spytała, chcąc go uspokoić.

– Ale sądzę, że powinnaś wiedzieć... chciałbym ci powiedzieć... – Był cały roztrzęsiony. –

Gdy zostałem z nią sam na sam, nie mogłem..

– Och, Kenmuir.

– W takiej sytuacji, zresztą jej było wyraźnie wszystko jedno... powiedziałem, że jestem

bardzo zmęczony, ona ziewnęła i... obydwójce zasnęliśmy.

Aleka odrzuciła do tyłu głowę. Rozbrzmiał jej śmiech.

Smutek Kenmuira ustąpił miejsca niewczesnemu żalowi. Serce było już ciszej. Jakie to miało w sumie znaczenie? Lilisaire. A tymczasem on – co? Pociesza... kogo? – przyjaciółkę?

Aleka opanowała się.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. – Zmusił się do uśmiechu. – To dość zabawna historia.

Ujęła go za drugą rękę i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Jesteś uroczym mężczyzną, naprawdę. I nie wiadomo, co zgotuje nam los.

Najprawdopodobniej klęskę. Być może ujdziemy z życiem, a być może nie. Ale Pele śmieje się z całego serca.

Czekał.

– Mamy dla siebie dzisiejszy wieczór – stwierdziła.

Obudził się jeden raz. W liściach szemrał wietrzyk. Staromodne okno, otwarte na chłodne powietrze, wychodziło na zachód. Wpadał przez nie blask Księżyca. Ledwie wydobywał z cienia krzywizny ramienia, ręki i policzka, które tuliły się do jego boku. Poczuł spokojny przyływ szczęścia. Na tę krótką chwilę Księżyc stał się domostwem pokoju.

MATKA KSIĘŻYCA

Dagny Beynac odnaleziono na szlaku krawędzi północnej. Samochód pozostawiła w schronie, w dalszą drogę ruszając piechotą, samotnie, w porze, gdy nikt inny nie kręcił się po okolicy. Trasa była dość łatwa, często ją przemierzała, nawet w ostatnich latach; ale serce miała stare – „cienkie jak papier”, mawiała, jak gdyby czuła, że trzepocze na wietrze wiejącym z kosmicznej czasoprzestrzeni – i na szczycie odmówiło posłuszeństwa.

Chociaż mogło być inaczej, spekulowali niektórzy członkowie ekspedycji. Biomonitor w skafandrze przesłałby sygnał alarmowy i ekipa medyczna znalazłaby się na miejscu w ciągu kilku minut. Być może zdołałaby na powrót ożywić organizm. Mimo że w jej wieku zastosowanie samoklonujących się przeszczepów było niemożliwe, surogaty mogłyby utrzymywać ją przy życiu przez kilka następnych lat. Zespół odkrył, że – nikomu o tym nie wspominając – już dawno usunęła monitor.

Od równie długiego czasu miała zwyczaj chodzenia samotnie na powierzchnię, nie uprzedzając o tym nikogo, co doprowadzało do rozpaczki jej przyjaciół. Gdy oponowali, upominała ich, że spacerowała po Księżycu, kiedy na świecie nie było ani ich, ani większości ich rodziców. Tak lubiła.

Z pewnością ostatni widok, jaki ujrzała, był cudowny. Szczytem łańcucha biegła grań na tyle wysoka i wąska, że można z niej było dostrzec dno krateru na południu. Tamten obszar tonął w głębokim cieniu, lecz centralny szczyt wyrastał, zalewany światłem, przecinając nasypy rysujące się nad przeciwnym horyzontem. Bliżej niczym lanca zwycięzcy lśnił maszt radiowy. Ku północy stoki opadały łagodnie – wszystkie ostre krawędzie zostały utemperowane przez spadające z nieba odłamki – pogrążone w czerni, otaczającej jaśniejsze punkty. Dalej teren był niezwykle jak na Księżyc jasny, pokryty rozbryzganą lawą, która potem rozgałęziała się, tworząc

wielkie promienie. Z tej strony pole widzenia ograniczały góry. Blask spływał z Ziemi, która była prawie w pełni, błękitnobiałej, o barwach morza i powietrza, z plamami lądu. Gdzieś widać było najjaśniejsze gwiazdy. Było to domostwo ciszy.

Gdy jej nieobecność zaczęła budzić obawy, komenda w Tychopolis zarządziła skan satelitarny. Prawodawcy lunariańscy wytargowali ustawę mówiącą, że takie kroki podejmuje się jedynie w wypadkach nagłych. Dagny ich popierała, czyniąc zgryźliwe uwagi na temat dyskrecji. Soczewki niemal natychmiast wyszukały skulony kształt i specjalna brygada pospieszyła w jego stronę; było już jednak wiele godzin po śmierci.

Luna pogrzyżała się w żalobie. Na Ziemi wszystkie flagi Ognistej Kuli opuszczono do połowy masztów.

Śmierć uruchomiła różne programy, które Dagny zostawiła w komputerze. Większość z nich polegała po prostu na porządkowaniu spraw. Było też kilka wiadomości, zaszyfrowanych osobno do każdego adresata. Jeden list powędrował do Larsa Rydberga na wyspie Vancouver.

Najdroższy Larsie!

Gdy otrzymasz ten list, mnie już nie będzie. Żegnaj, niech Ci się wiedzie, Tobie i Twojej rodzinie, którą zawsze kochałam.

Możliwe, że jeszcze spotkamy się po dacie w nagłówku. Prawdopodobnie nadarzy się okazja porozmawiania przez telefon, zwłaszcza że jesteś wielkim amatorem dzwonienia. Gdy zdarzyło nam się to po raz ostatni, Twoja skorupa nieco pękła i powiedziałeś, że każda przerwa na przekaz – na którą z reguły nie zwracasz uwagi – to krwawiąca rana. Szybko przeszedłeś do innych tematów, a ja odczekałam i zapłakałam dopiero wtedy, gdy skończyliśmy. Tak, ostatnio za każdym razem zdawaliśmy sobie sprawę, że być może to nasza ostatnia rozmowa. Nie dawaliśmy temu wyrazu – bo i po co? – ale przed kilkoma miesiącami zauważyłam, że moje „hasta la vista” zmieniło się w „vaya con Dios”. Idź z Bogiem.

Teraz będziesz płakał. Mam nadzieję, że nie w samotności, że pozwolisz, by Ulla Cię pocieszyła. Bo widzisz, to może być taki dar od Ciebie dla niej. Stenowi, Olaforowi, Linnei, Ansonowi, Williamowi, Lucii, Runie, ich małżonkom, dzieciom i wnukom mogę powiedzieć tylko tyle: „Jakże pobłogosławił mnie los. Dziękuję, dziękuję”.

To prawda, kochanie. Moje życie było cudowną przygodą. Wspominaj mnie, tęsknij, lecz nigdy nie żałuj. Były sprawy, które chętnie bym zmieniła. To oczywiste. Przede wszystkim chciałabym, żeby Edmond i Kaino dożyli końca swych dni. Lecz nie zgasła we mnie radość; a jakie cuda stały się moim udziałem! Nie tylko widziałam rozkwit martwego świata i narodziny rasy, ale pomogłam zbliżyć nas do wolności. W tym czasie ludzie docierali do krańców słonecznego królestwa, a ja grzałam się w niezastłżenie intensywnych promieniach miłości. Nie pozwolę sobie roztrwonić takich bogactw wśród maszyn i chemikaliów, mając otwarte oczy i kurczący się mózg – Nie, będę żyć nadal, z radością, dopóki będę mogła cieszyć się wolnością. Wyniki badań medycznych dają nadzieję, iż potem będę mogła odejść szybko, czysto i bez kłopotów.

Potem – sądzę, że „potem „nie ma w tym przypadku większego sensu. „Idźz Bogiem „to życzenie szczęścia i bezpieczeństwa, nic więcej. Być może się mylę. Przekonać się o tym, oto kolejna przygoda!

Niezależnie od tego, nikt nigdy całkowicie nie opuszcza świata żywych. Nasze czyny trwają, wędrują coraz dalej, nie wiemy, dokąd, aż zostają zagłuszone przez kosmiczny szum. W pobliżu pozostają obowiązki do wypełnienia, dobre obyczaje, litość.

Tak więc apeluję do Ciebie, mój ziemski synu. Zrozumiesz to, czego nie pojmują moje drogie dzieci z Księżyca. Ty, który stałeś się osobistością w obrębie potężnej Ognistej Kuli, a mimo to pozostałeś w pełni człowiekiem, możesz dokonać tego, na co nie stać Ansona Guthriego ani żadnego Selenarchy.

Tak, dotrzymasz przysięgi wierności. Pozostaniesz człowiekiem Guthriego tak, jak przyrzekałeś przed laty. Proszę Cię tylko, byś zapomniał o znużeniu starością i zaproponował mi swoją pomoc w sprawie pokoju na Lunie.

Masz intuicję, znajomości, doświadczenie, wszystko, co ci pokazałam, powierzyłam i w co cię zaangażowałam. Nie, nie zostaniesz nie istniejącym człowiekiem niezastąpionym. Lecz w nadchodzącym czasie możesz odegrać bardzo dużą – i bardzo dyskretną: już ja Cię znam – rolę. Będzie to zajęcie trudne, niewdzięczne, często doprowadzające do białej gorączki, być może zakończy się katastrofą – lecz przynajmniej wzrosną nasze szansę, a na cóż więcej możemy liczyć my, śmiertelni?

Załączam plik, który na bieżąco uaktualniam. Znajduje się w nim zwięzły opis sytuacji, czynników, które uważam za istotne. I zalecenia, które przychodzą mi do głowy. Przekonasz się, że znaczna część tych informacji jest tajna. Ufam Ci. Ufam również, że bacznie się im przyjrzysz – Potem, jeśli stwierdzisz, że Twój udział może mieć znaczenie, pójdziesz do Guthriego. A Bóg niech będzie z Tobą.

Co jeszcze? Mówią, że gdy nadejdzie pora, wzniosą grobowiec na moje prochy. Chciałam prosić Cię o możliwie najskuteczniejszą interwencję, żeby rozrzucili je tam, gdzie leżą szczątki Monda. Ale nie, Verdei strasznie na tym zależy. Jeśli bardzo tego chcą, niech im będzie. Dla mnie nie będzie to mieć znaczenia. Oszczędzaj siły dla żywych i jeszcze nie narodzonych.

Jest jednak ważna sprawa – bądź miły dla mojego zapisu.

To chyba tyle. Gdy w sercu mówisz mi: „Dobranoc”, życz dzieciom w moim imieniu dobrego dnia.

Matka Twoja

Kenmuir wyprężył się na baczność.

– Hola, *señor* – odezwał się.

Aleka skrzyżowała ręce na piersi i skłoniła się. Kobieta, która przyprowadziła ich od bramy, zasalutowała.

Olbrzymi starzec, siedzący samotnie na krześle przy kominku w tym ogromnym pokoju, uniósł wzrok. Światło było przyćmione i po jego sylwetce pełgały refleksy ognia. Trzaskanie płomieni mieszało się z grającą dyskretnie w tle muzyką; Kenmuir rozpoznał utwór – wariacje symfoniczne na temat *Łabędzia z Tuoneli* Sibeliusa, autorstwa Nomury. Muzyce posępnością dorównywały portrety wyglądające z pogrążonych w półmroku ram. Za oknami widać było długi zmierzch północy, przechodzący powoli w noc.

– Czyli wrócił pan, łanie Kenmuir – mruknął Matthias.

– Tak jest. Chciałbym przedstawić panu Alekę Tam. – Nigdy nie kojarzyła mu się z wersją anglo swojego nazwiska.

– *Bienvenida, sefiorita.*

– *Gracias* – odparła niepewnie. – To bardzo miłe z pana strony, *señor*, że przyjmuje nas pan, gdy przychodzimy zupełnie bez uprzedzenia.

– Kenmuir powołał się na lojalność. Poza tym jestem... ciekaw.

– Mamy do opowiedzenia nie tylko ciekawą historię – wtrącił Kenmuir.

– To widać. – Skinął głową Rydberg.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem bez świadków.

– To również widać. Siadajcie. – Matthias zrobił ruch ręką.

Aleka i Kenmuir poszli po krzesła. Tymczasem Rydberg zwrócił się do kobiety, która ich eskortowała:

– Słyszałaś, Gould? Pieczęć tajemnicy. Zawiadom cały personel, każdego w domu i na terenie majątku.

Korzystając z okazji, Aleka szepnęła do Kenmuira:

– Czy to się uda?

– Tak. Wierność – odpowiedział, nie zachowując aż takiej dyskrecji. – Ze swej strony... rozumiesz, nie mogę go okłamać.

– A po co miałbyś kłamać?

– Nie mogę też oczekiwać... ani prosić, żeby działał inaczej niż zgodnie z interesem wszystkich stowarzyszonych w Ognistej Kuli.

– I wszystkich istot żywych, jak mniemam.

Postawili swoje krzesła naprzeciw rzeźbionego fotela mistrza łoży. Zająwszy miejsce, Kenmuir poczuł, jak bardzo jest znużony. Było to jednak zmęczenie czysto fizyczne, ciepłe i drzemiące w kościach. Dzisiejsza droga przez wyżynne szlaki pośród lasów do morza dodawała otuchy tak samo, jak na poły melancholijna rozkosz ubiegłej nocy. Siedząca obok Aleka wzięła go za rękę.

Gould wyszła.

– Spokojnie – powiedział Matthias do Aleki. – Bez mojego pozwolenia żadne słowo ani obraz nie wyjdą poza te mury.

Dziewczyna mocniej uścisnęła dłoń Kenmuira, potem ją puściła.

– Zresztą nie będziemy zbytnio narażać naszego personelu – podjął Matthias – ale naprawdę przyda nam się trochę obsługi. – Dotknął przycisku na oparciu swojego fotela. – Na pewno jesteście wyczerpani i głodni jak czarne dziury. Nie wolelibyście najpierw zjeść, odpocząć, przespać się?

– Raczej nie zmrużyłabym oka, *señor* – odparła Aleka. Kenmuir zawtórował:

– Może poprosimy o kawę i coś do przegryzienia.

– Też mi się tak zdawało – powiedział Matthias. Wszedł jakiś chłopiec. – Czego pani sobie życzy, *señorita* Karne? – zapytał Rydberg

– *Bueno*, jeśli mogę prosić o ciastko proteinowe i piwo, to zupełnie mnie zadowoli.

Faktycznie jest pełna życia, pomyślał Kenmuir. Przypomniawszy sobie południowy postój przy źródle. Ze śmiechem opryskała go wodą, a gdy go całowała, usta miała wilgotne, była twarda, sprężysta, wydzielala słodką woń potu.

Matthias zachichotał i wydał stosowne polecenia. Służący wyszedł.

Rydberg rozparł się wygodniej, złożył palce rąk i zapytał rzeczowo:

– Skąd dzisiaj przybywacie? Ze Świerkowej Chaty?... Tak, można się było tego domyślić.

Zacieracie ślady.

– To długa historia, proszę pana – stwierdził Kenmuir.

– My sami nie znamy jej całej – dorzuciła Aleka. – Przynajmniej w tej chwili.

– Podejrzewam, że są tacy, którym zależy na utrzymaniu was w niewiedzy – odparł

Rydberg. – Więc mówcie, nie musicie się spieszyć.

Zaczęli opowieść, z początku niepewnie, przerywając, gdy powrócił chłopak. Aleka zabrała się z nieskrępowanym entuzjazmem do piwa, po czym śmiało przystąpiła do relacji ze swego życia i udziału w przedsięwzięciu. Większą część historii wziął na siebie Kenmuir. Matthias od czasu do czasu rzucał pytania na podobieństwo pocisków. Powiedział między innymi:

– Jakiś tydzień temu zawitał do mnie pewien ich funkcjonariusz. Wypytywał się o pana, kapitanie. Nie okazałem się chyba zbyt pomocny. Przedstawił się jako pragmatyk Venator.

– Pele! – wykrzyknęła Aleka, siadając wyprężona jak struna. – Ten sam, który...

Wysłuchawszy tego, co mieli do powiedzenia na temat synojonta, Matthias zmarszczył brwi, wbił wzrok w ogień i polecił robotowi poruszyć go i dołożyć jeszcze jedną szczapę. W ciszy,

która zapadła po zakończeniu utworu muzycznego, trzaskanie ognia zabrzmiało o wiele głośniej.

– Aarr – warknął – czyli mamy sytuację podbramkową.

– Ale dlaczego? – zaproponowała. – Cały czas staramy się z łanem czegoś dowiedzieć, jednak nie mamy pojęcia, co się dzieje.

– Mówcie dalej – nakazał. Spełnili to życzenie.

– ...i tym sposobem znaleźliśmy się tutaj – dokończył Kenmuir.

– Czemu?

– A dokąd mielibyśmy się udać? Paru przyjaciół w rodzaju Sama Packera mogłoby przechować nas jeszcze przez kilka dni, ale po co? – Przeszyło ich świdrujące spojrzenie spod krzaczastych brwi.

– Wyobrażacie sobie natomiast, że Ognista Kula w mojej osobie da wam broń do tej walki z wiatrakami, której sensu nawet nie znacie? Skąd taka myśl?

– Z desperacji – westchnął Kenmuir.

– Mnie też nie przychodzi do głowy nic lepszego – potwierdziła obojętnie Aleka.

– Zdajemy sobie sprawę, że sprawa jest beznadziejna. – Kenmuir zaczynał odczuwać znużenie. – W końcu jednak Ognista Kula jest organizacją wszechświatową, mimo że jej członkowie nie są zbyt liczni, i... – Rydberg uniósł palec.

– I zwrócilibyście się do nich, by pomóc tej lunariańskiej suce, która nie chce wpuścić w kosmos naszej rasy?

– Ależ nie. Jej chodzi tylko o ocalenie własnego społeczeństwa.

– Jej społeczeństwo. Właśnie. Razem z garstką jego właścicieli.

– To nieprawda. Sprawa nie jest taka prosta ani, ani w ogóle... – Kenmuir stracił wątek.

Opadł bezsilnie na krzesło.

Aleka nie ustępowała.

– On ma rację, *señor*. Nie znam Lunarian zbyt dobrze, ale znam to uczucie, gdy człowiek widzi, jak tonie całe jego życie. Tak jest z moim ludem.

– Wiem, kochanie. – Zwalista głowa przytaknęła. Ton głosu Matthiasa złagodniał. – Jest mi obcy, ale o nim nie zapominam.

– Nie mamy prawa prosić o pomoc – oświadczył Kenmuir. – Nie wolno narażać Bractwa.

– Tak, ten czynnik również należy wziąć pod uwagę.

– Zresztą czego mogłaby dokonać Ognista Kula? Prawdopodobnie niczego. Być może uchronić nas dwoje przed najgorszymi konsekwencjami naszej głupoty. Przynajmniej Alekę. Jest przecież niewinna.

– Akurat! – zawołała wściekła kobieta, sztywniejąc. Czy Matthias nieznacznie się uśmiechnął, czy było to tylko złudzenie wywołane grą światła w bruzdach jego twarzy?

– Nie wyciągajcie zbyt pochopnych wniosków – upomniał ich – bo opieracie je na wątplych podstawach. – Kenmuir zorientował się, że to cytat z Guthriego, i otworzył usta. – Cisza.

Przez moment trzaskał tylko ogień, podczas gdy Matthias rozmyślał w milczeniu, a na zewnątrz gęstniał mrok.

Wreszcie starzec odezwał się, jakby mówił do siebie, głosem podobnym do pomruku grzmotu:

– Prozerpina, zagubiony... Kaino, syn Dagny Beynac... tak, ona z pewnością...

Znowu umilkł na kilka chwil, które dłużyły się w nieskończoność, wreszcie zwrócił się do gości:

– Z całej tej gmatwaniny wyłania się jeden niepodważalny fakt. Rządy Federacji systematycznie, przez wiele stuleci, ukrywały pewne, być może istotne, dane. Torpedują wszelkie wysiłki zmierzające do przeniknięcia tajemnicy. Bez powodu, bez uzasadnienia.

Działania sprzeczne z ideą Przymierza. – Spojrzał za okno. – Co jeszcze ukrywają? Całe życie

czułem rosnące mury.

Na powrót zamilkł. Za to puls Kenmuira zdecydowanie przyspieszył.

Matthias skulił się nieco.

– Będę musiał to przemyśleć. I to dokładnie. Raczej się dzisiaj nie wyśpię. Ale wam dwojgu potrzebny jest wypoczynek.

– Ach, *señor*... – wyszeptała Aleka. Matthias nacisnął guzik.

– Idźcie wypocząć – zarządził. – Niezależnie od ostatecznej decyzji chcę, byście byli gotowi do czynu. Teraz zostawcie mnie już w spokoju. – Wszedł służący. – Berghall, zajmij się nimi.

Kąpiel, czyste ubrania, suta kolacja, kwatery.

– *Señor* – odparł promieniejący dumą chłopiec wyprężony jak struna.

– Idźcie – powtórzył Matthias. – Spotkamy się jutro.

* * *

W pokoju na piętrze, w którym pamiątki po dawnych czynach – model rakiety, odłamek skrzęcej się, księżycowej skały, widok pierwszego obozu ludzi na Marsie, wyblakła fotografia Ansona Guthriego z żoną i dziećmi – spoczywały na podobieństwo snów, dwoje ludzi odnalazło tak poszukiwany wewnętrzny spokój. Mimo to, zasypiając, Kenmuir zastanawiał się, jaka myśl przyszła Rydbergowi do głowy w związku z Dagny Beynac. W tamtej chwili odniósł wrażenie, iż głęboki głos nieco się załamał.

MATKA KSIĘŻYCA

W miarę jak godziny przechodziły w cykle dzienne, rosło napięcie. Bywało, że Dagny znajdowała czas na chwilę obniżonej aktywności, będącej u elektronicznego zapisu odpowiednikiem snu, lecz trwało to krótko i niezmiennie budziła ją kolejna erupcja kryzysu. Nominalnie była zaledwie członkinią Trustu Tymczasowego, organu o wątpliwej randze. Nie był to samorząd, który miałby prawo występować w imieniu Luny, lecz grupa, którą powołał do życia i obarczył ciężarem negocjacji parlament w Tsukimachi. Musiała chwycić się różnych sposobów, by nakłonić wystarczającą liczbę delegatów do głosowania „za” oraz przekonać gubernatora generalnego Haugena, iż jego weto wywołałoby otwarty konflikt, którego tak mocno się obawiał.

W efekcie Trust stał się rządem lunariańskim, gdyż w jego skład weszli także Selenarchowie, którzy z ostentacyjną pogardą zignorowali kongres, wskutek tego bezsilny i nie posiadający realnego znaczenia. Fakt, byli tu również przedstawiciele miast, większych fabryk i organizacji zawodowych, Terranie, którzy chcieli za wszelką cenę pozostać na Księżycu. Ale wszyscy pragnęli pełnej niepodległości. W tym celu wydawali dekrety, które realizowali lokalni urzędnicy.

Ich władza była jednak znacznie ograniczona. Luna cały czas podlegała Federacji Światowej. Podwojono siły Władz Pokojowych. W przypadku pogwałcenia jakiejkolwiek ważnej umowy międzynarodowej gubernator miał zarządzić rozwiązanie Trustu i ogłosić stan wojenny.

Dagny była delegatką z wolnej stopy, wybraną przez pozostałych i uczestniczącą w obradach na ich prośbę. Z jej zdaniem liczyli się najbardziej, ona łagodziła dzielące ich różnice i najczęściej występowała w ich imieniu. Wielokrotnie rozmawiała z prezydentem Federacji Światowej, Danielem Janvier, w Hiroszimie. Taką *manę* niosło z sobą nazwisko Beynac. Być

może silniejszą w formie zasej wowanej osobowości niż w postaci żywej kobiety. Stanowisko robota mogło sprawiać wrażenie bezosobowego, bezstronnego. A może wszystkich przebiegał mityczny dreszcz... na dźwięk głosu spoza grobu, głosu wyroczni?

Ziemscy politycy bładzili po omacku. Kwestia Luny nie mogła dłużej czekać. Niepokoje, rozruchy, zamieszki i bojkoty, mniej jawny bunt, pogłoski o potajemnym wytwarzaniu broni, zastoje w produkcji i handlu, ostrzeżenia Ognistej Kuli, że to prawdopodobnie dopiero początek, wszystko to odsunęło na plan dalszy sprawy, które do tej pory wydawały się bardziej naglące.

Księżyc wisiał na nocnym niebie niczym bomba. Janvier zwołał specjalną sesję Rady Najwyższej i Zgromadzenia.

Dyskusje przeciągały się i utknęły w martwym punkcie. Precedens był szczególnie niemiły Północnym Amerykanom i Rosjanom; jeśli idea wspólnego dziedzictwa zostanie zaprzepaszczona na Lunie, co ma na to powiedzieć reszta Układu Słonecznego? Chińczycy i Australijczycy uważali tę zasadę za przestarzałą. Indonezyjczycy przypomnieli sobie przodków, którzy wyzwolili się spod jarzma kolonialnych władców. Syberyjczycy sądzą, że ich przykład jest bardziej na miejscu. Popisy retoryczne zakłócały tok obrad. Prezydent i część parlamentarzystów usiłowali przywrócić im porządek.

Codzienne życie ludzkości biegło swoim torem. Zasej wowana osobowość nie miała na nie czasu.

Uchwały nabrały wreszcie konkretnych kształtów. Poddano je głosowaniu. Autonomia zostało przyjęta. Luna stanie się członkiem Federacji po napisaniu, zaaprobowaniu i ratyfikowaniu demokratycznej konstytucji z odpowiednimi zabezpieczeniami. Na całej Ziemi łopotały sztandary i wiwatowały tłumy.

Trust Tymczasowy odrzucił projekt.

Nalegał na pełną niepodległość, całkowitą suwerenność. Obstawał przy stwierdzeniach

zawartych w zeszłorocznej deklaracji programowej: arbitraż dotyczący majątków, pomoc przy emigracji, traktaty o kontroli handlu i zbrojeń. Lecz wszystko to miało być dobrowolne. Luna ukształtuje swą przyszłość zgodnie z własną wolą.

Dagny przeczuwała taką reakcję. Przestrzegła Janviera. Odpowiedział, że może grać tylko takimi kartami, jakie ma do dyspozycji. Teraz potępił odmowę. A jednak nie ogłosił rozwiązania trustu. Obiecał posłuzenie się argumentami. Oboje z Dagny rozumieli, że to tylko gest.

– Wielka szkoda – przekazała mu Dagny w zaszyfrowanej depeszy. – Republika byłaby o niebo lepsza. Ale taki ustrój nie jest przystosowany do potrzeb Lunarian, a to mój lud.

Ziemia zakiśniała oburzeniem. Trwały zamieszki Terran na Księżycu. Policja i Władze Pokojowe miały pełne ręce roboty z przywracaniem i narzucaniem porządku.

Naj wyższa Rada Federacji i wezwała prezydenta do zmobilizowania rezerw. Kilka rządów zaproponowało, że w razie potrzeby wzmocni je ludźmi i amunicją z własnych oddziałów milicji.

Po kosmosie kursowały wiadomości. Astromonitory doniosły, iż z pasa asteroid zmierza ku słońcu kilkadziesiąt statków. Ujawniały swą tożsamość zgodnie z obowiązującym prawem: były to frachtowce używane w pracach górniczych i wydobywczych prowadzonych w tamtych rejonach przez kilku magnatów lunariańskich. Przedsięwzięcia to niewielkie w porównaniu na przykład z działalnością Ognistej Kuli czy Maharasztry; ale rakiety były duże i wyposażone w napęd atomowy.

– Niemożliwe, żeby wracały wszystkie razem przypadkiem! – zawołał Janvier.

Nastąpiła przerwa na przekaz.

– Nie – przyznała zasejwowana Dagny Beynac – ale dopóki poruszają się po bezpiecznych trajektoriach, nie muszą uzasadniać swojego postępowania. Pytałam, lecz w odpowiedzi dowiedziałam się tylko, że to prywatne wyprawy handlowe. Możliwe, że zabezpieczają się i zajmują jakieś pozycje. Lepiej niech pan nie nagłaśnia sprawy, bo do wszystkich kłopotów,

jakie ma pan na głowie, dojdzie masowa histeria.

Znów przerwa na przekaz.

– Być może nie da się tego uniknąć – odpowiedział zaszepiony.

Statki nie weszły na orbitę lunariańską, co stałoby się, gdyby wahadłowce chciały je rozładowywać. Wędrowały wokół układu Ziemia – Księżyc. Tego rodzaju orbity są niestabilne i od czasu do czasu trzeba korygować kurs ciągiem.

– Muszą opuścić tę przestrzeń – oznajmił Janvier. Jego twarz na ekranie była wychudzona, czoło i policzki zroszone potem. – Z takiego położenia mogą przyspieszyć, zbliżyć się do Ziemi, otworzyć śluzy i zrzucić na nasze miasta skały pędzące z szybkością meteorów.

Przerwa.

– Proszę nie przesadzać – poradziła Dagny. – To, co pan sugeruje, byłoby z ich strony szaleństwem. Większa część skał spłonęłaby w atmosferze. Te, które osiągnęłyby powierzchnię, miałyby rozmiary żużlu, a nie sposób byłoby kontrolować trajektorii. Najprawdopodobniej wszystko opadłoby do oceanu albo na bezludne pola.

– Pod warunkiem, że to zwykłe materiały, rudy, wlewki, pył, lód. Ale kto wie, czy nie wyprodukowali ogromnych, aerodynamicznych pocisków?

– Przecież to byłoby naprawdę czystym szaleństwem. Gdyby Ziemia się postarała, mogłaby rozbić Lunę w drobny pył. Zabicie milionów ludzi z pewnością by do tego doprowadziło.

Zapewniam pana, że Selenarchowie nie są *loco*.

– Też tak myślę, chociaż czasami tracę tę pewność. Ale muszę poradzić sobie z reakcjami opinii publicznej. Po rozejściu się wieści, a jest to nieuniknione, będą o tym trąbili w każdym dzienniku. Błagam panią, niech pani przekona tych zarozumiałych baronów i miliarderów, że pomylili się w swoich rachubach.

– Ja nie byłabym tego taka pewna, *señor*. Jestem przekonana, że politycy ziemscy omylili się

bardzo poważnie. Niech każde z nas ze swej strony postara się zapobiec szkodom.

Janvier odwołał się do uprawnień nadzwyczajnych, zawartych w przepisach Przymierza i nakazał statkom lunariańskim oddalenie się. Nie zareagowały. Trust ogłosił, że rozkaz jest bezprawny, ponieważ samo zajęcie nietypowej orbity nie stanowiło jeszcze żadnego zagrożenia, nikt przecież nie wypowiadał otwartych pogrózek.

Zamieszkujący w miastach Lunarianie zapominali czasem o swej godności i drwili z przechodzących Ziemi. W powietrzu niemal czuło się nadciągającą burzę.

Federacja i stowarzyszone w niej rządy nie dysponowały żadnymi gotowymi do ataku statkami. Zresztą w ogóle posiadały niewiele środków transportu kosmicznego. Z reguły korzystano ze statków Ognistej Kuli, tym sposobem zaoszczędzając na kapitale i na kosztownych, ociążałych machinach biurowatycznych.

Ognista Kula odmówiła udostępnienia swych statków przeciwko flocie lunariańskiej.

Dlaczego firma prywatna miałaby angażować się w działania paramilitarne? Oznaczałoby to pogwałcenie Przymierza. W ogóle Anson Guthrie ogłosił, że Ognista Kula nie przewiezie na pokładach swych statków więcej oddziałów z Ziemi. Twierdził, że taki krok byłby katastrofalnie niemądry i jego firma nie może poprzeć go z czystym sumieniem.

W Hiroszynie rzeczniczka Ekwadoru, na którego terytorium zarejestrowana była Ognista Kula, oświadczyła, że jej rząd podziela poglądy pana Guthrie'a i nie będzie wywierał nań nacisku. Namawiała delegatów do wyrażenia zgody na suwerenność Lunarian i przedłożyła wniosek o takiej treści.

Jednak Ognista Kula i Ekwador nie będą tolerować bombardowania Ziemi. Gdyby do tego doszło, zostaną udostępnione wszelkie środki w celu spacyfikowania Księżyca i ukarania zbrodniarzy. Na razie proponują własne pośrednictwo w załagodzeniu konfliktu.

Lars Rydberg poleciał na Lunę w charakterze pełnomocnika Ognistej Kuli.

Jego publiczne oświadczenia były nieliczne i zdawkowe. Większość czasu spędzał sam na sam z cybernetycznym zapisem. Był to naturalny odruch, dodający jakby otuchy. Sytuacja na Ziemi uspokajała się.

Zgromadzenie na powrót podjęło kwestię niepodległości Luny. Przemówienia stały się krótsze i konkretniejsze niż przedtem, podziały – wyraźniejsze. Z jednej strony zwolennicy autonomii Luny, którzy zyskali licznych popleczników pośród swych kolegów i wyborców. Skoro alternatywą jest wojna, staje się to nie do przyjęcia. Lunarianie mają prawo do bycia sobą, a nasza cywilizacja skorzysta z osiągnięć ich jedynej w swoim rodzaju kultury. Z drugiej strony umocniły się poglądy zwolenników dziedzictwa światowego, których zastępy również stały się liczniejsze. Co więcej, przekonywali oni, nacjonalizm kosztował nas miliardy istnień i szkody, z których świat nigdy się całkiem nie otrząsnął. I oto potwór znowu się odradza. Musimy go zdusić, póki jest jeszcze pora.

Elektryzująca wiadomość: Selenarchowie posłali swe oddziały, by zajęły stacje nadawcze „i chroniły je na czas obecnego zagrożenia”. Ich ugrupowania zbrojne były imponujące i potężnie wyposażone – w broń ręczną, na co pozwala Przymierze, jeśli naciągnęło się nieco jego interpretację, ale siłą rażenia dorównującą wszystkiemu, co były w stanie zgromadzić Władze Pokojowe na Księżycu. Ponadto, chociaż Selenarchowie nie zajęli na ten temat stanowiska, krążyły pogłoski o cięższym uzbrojeniu. Łatwa i tania w budowie katapulta potrafiła wyrzucić pocisk na drugą stronę Luny.

Tak czy owak, obsługa nadajnika nie byłaby zdolna utrzymać pozycji w razie walki.

Janvier: To bunt. Ognista Kula obiecała pomoc w razie wystąpienia aktów przemocy.

Rydberg: Nie jestem prawnikiem, panie prezydencie, nie mogę więc osądzać legalności tego kroku. Zdaniem Trustu Tymczasowego jest on uzasadniony nagłą i pilną potrzebą. Proszę tylko pomyśleć, do jakiego stopnia Ziemia jest uzależniona od energii słonecznej z Luny.

Janvier: Ach tak. Zdaje im się, że przyparli nas do muru. Powtarzam, że całe ich postępowanie, razem z wysłaniem tych statków, jest czystym samobójstwem, ale w razie konfliktu zginęłoby bardzo dużo ludzi, dlatego wzywam Ognistą Kulę do okazania pomocy.

Rydberg: Moglibyśmy wielkim kosztem wyprawić statki, ale jak może pan oczekiwać od nas, że opanujemy sytuację na powierzchni Luny? Powtarzam jeszcze raz: Jord Brandir i jego sojusznicy nie wysuwają żadnych gróźb. Nie chcą, żeby na Ziemi miasta pogrążyły się w ciemnościach, żeby przerwano dostawy usług, żeby zapanował popłoch, mnożyły się zbrodnie i śmierć. Nie, chcą raczej uchronić nadajniki przed sabotażem ekstremistów na Księżycu.

Janvier: Co z punktami, których nie zajęli?

Rydberg: Faktem jest, że mogą dopilnować zaledwie kilku. Uważają, iż jest to naučka dla władz na Ziemi.

Janvier: A ja powtarzam, że usiłują przyprzeć nas do muru.

Rydberg: Ja powtarzam natomiast, że chcą pokazać, co mogłoby się stać, co zdarzyłoby w świecie nieokiełznanych indywidualistów, którzy poczuliby, że cierpią pod jarzmem obcej tyranii... Proszę nie sądzić, że jestem po ich stronie, po prostu rozumiem ich postawę... Czy Władze Pokojowe mogą zabezpieczyć sieć? Tak, o ile najpierw dopuszczą się ludobójstwa na Lunarianach. W przeciwnym razie musielibyście strzec całej sieci, co byłoby nieziemsko kosztowne. Zabezpieczenia ciągle by zawodziły, ponieważ pilnowaliby ich Terranie, a nie Lunarianie. Gdybyście użyli do tego celu robotów, ludzie zawsze będą w stanie je przechytryć.

Janvier: A Selenarchowie, gdyby objęli władzę na Księżycu, potrafiliby skutecznie utrzymywać system?

Rydberg: Tak, panie prezydencie. Mają dobrą organizację i lojalnych, skutecznych zwolenników. Nie pojawią się żadni buntowniczy sabotażyści.

Janvier: Jest pan tego pewien?

Rydberg: Nie ma nic pewnego na wieki. Mówię o dniu dzisiejszym, okresie życia naszych dzieci, może i wnuków. Do tego czasu może się zdarzyć, że Ziemia nie będzie już potrzebować energii z Luny.

Janvier: Ale na razie Selenarchowie mogą nas szantażować.

Rydberg: Proszę brać pod uwagę ich psychikę. Te instalacje są niezmiernie dochodowe. Po co ryzykować ich utratę? Lunarian nie interesuje panowanie nad... naszym rodzajem ludzi.

Janvier: To w co chcą się bawić?

Rydberg: Tego nie wiem. I nie mam pewności, czy oni sami wiedzą. Przyszłość pokaże.

Chcę powiedzieć tylko tyle, że ta gra dobiegła końca i najwyższy czas na ustępstwa.

Niemożliwa do wykrycia Dagny wysłuchała ich rozmowy. Miała to w zwyczaju.

Huśtawka nastrojów, od ulgi po zażegnaniu ognistej ulewy z kosmosu do strachu przed globalnym głodem energii. Przywódcy i ludność Ziemi byli już wyczerpani. Teraz było najłatwiej przyjąć zapewnienia, pokonać resztki oporu i ustąpić. W sumie bodźce pozytywne okazały się silne.

Projekt został poddany pod głosowanie i... przyjęty! Rada go ratyfikowała, prezydent podpisał. Po zawarciu wymaganych porozumień rekompensacyjnych Luna uzyska wolność i suwerenność.

Oddziały Selenarchów opuściły nadajniki. Statki weszły na orbitę Księżyca i oddały ładunki, które okazały się zupełnie nieszkodliwe. W ramach umowy ta flota przejdzie niebawem w ręce Terran.

Brak entuzjastycznych zgromadzeń. Na Ziemi panowała raczej umiarkowana wdzięczność za to, że nie doszło do konfliktu. Lunarianie nie przepadali za masowymi spektaklami. Terrańscy mieszkańcy Księżyca, którzy cieszyli się z ugody, świętowali we własnym gronie. Ci, którym nie była ona w smak, szykowali się do wyjazdu.

Dagny i Rydberg odbyli rozmowę w cztery oczy. Ona wcieliła się w dwunożnego robota. Znużona do szpiku kości, jeśli zasejwowane osobowości je mają, nie próbowała nawet symulować obrazu zmarłej kobiety; jednocześnie nie chciała ograniczyć się do samego głosu.

– Udało się – westchnęła; opanowała już bowiem sztukę wydawania ludzkich odgłosów. – Dzięki Trustowi, Ognistej Kuli, Brandirowi i jego towarzyszom, kapitanom statków...

– Nie zapominaj o sobie.

– Ani o tych, których nie wymieniłam. – Kiwnęła pozbawioną oblicza głową. – Wiesz, o kogo mi chodzi. Nieważne. Nasze starania, zabiegi, cała maskarada przyniosły owoce. A naprawdę już zwątpiłam w sukces. Ale nie było innego wyjścia, trzeba było próbować.

Głos męczyzny stwardniał.

– Gdyby się nie udało, sprawa przestałaby być maskaradą.

– Tak. Janvier zdawał sobie z tego sprawę. Wiedziałaś o tym? Odnieśliśmy sukces, bo mieliśmy po swojej stronie rzeczywistość.

– A przed nami rzeczy bardziej skomplikowane.

– Z pewnością poześlujesz przez ten labirynt. Obdarzył ją przeciągłym spojrzeniem, jak gdyby patrzył w żywe oczy.

– A nie my?

– Luna, Ziemia, Ognista Kula, wszyscy.

– Bez ciebie?

– Przydałam się...

– To za mało powiedziane... matko! Roboty nie płaczą.

– Dotrzymałam w jej imieniu obietnicy. Teraz mnie z niej zwolnij.

– Chcesz umrzeć? – wyszeptał.

– Co to ma niby znaczyć w mojej sytuacji? Musiał się namyślić, zanim odpowiedział.

– Chcesz skasować własny program? Unicestwić go?

– Twoja matka postawiła ten warunek, zanim zgodziła się na zasejwowanie. To obowiązuje również ciebie.

– Anson Guthrie trwa dalej.

– On to on, ja to ja. – Jasne, Dagny Beynac kochała życie, lecz bycie jakąś abstrakcją nie było życiem. A widmo nie chciało przekształcić się w jeszcze coś innego, obcego Edmondowi.

– Nadejdzie czas... to więcej niż pewne... kiedy znowu będziesz im potrzebna.

– Nie. Powinni wyzbyć się złudzenia, że można aż tak bardzo potrzebować jednej osoby.

Patrzyła mu w oczy, nie odwrócił się. Zwieńczone rzadkimi, białymi włosami oblicze przypominało czaszkę szkieletu. Sam stanie się niedługo stuletnim starcem. Jednak urodziła go dziewczyna o nazwisku Dagny Ebbesen.

Po dłuższym czasie opadł ciężko na krzesło i przemówił niepewnie:

– Wiesz na pewno, że... że zakończenie będzie wielkim wydarzeniem.

Gdyby tworzyła jakiś obraz, teraz by się uśmiechnął.

– Niestety. Jakoś przetrzymasz.

– Już słyszałem, jak o tym mówią. Ty w jednym grobowcu z...

– Czemu by nie, skoro sobie tego życzą?

Gest, symbol, ostatnia usługa. Ten sprzęt i skasowane oprogramowanie mogą spocząć w dowolnym miejscu. Miejsce może się wręcz stać sanktuarium, podobnie jak Termopile czy Bodhgaya, wokół którego będą gromadzić się nierozumne serca. Poza tym przypadła jej do gustu myśl, że to, co było nią, spocznie obok prochów Dagny Beynac i pod gwiazdami, które świeciły niegdyś nad Mondem.

W nocy nadciągnęła mgła. Przed wschodem słońca otuliła Dom Guthrieego szarobiałą opończą, w której najbliższe drzewa, stojące dwa, trzy metry od okien, wyglądały na cienie, a reszta świata pozbawiona była kształtu. Powietrze stało nieruchomo, zimne i wilgotne. Nad brzegiem morza ledwie słyszalnie szumiały fale, z okapów spadały krople.

Przy śniadaniu Matthias, Aleka i Kenmuir wymamrotali tylko pod nosem słowa powitania, bo było widać jak na dłoni, że mistrz łoży potrzebuje ciszy. Ale gdy wypito ostatnią filiżankę kawy, wstał i burknął:

– Chodźcie. – Poszli za jego zwalistą sylwetką na korytarz, wspięli się na piętro, przemierzili jeszcze jeden korytarz, stanęli przed drzwiami, które otworzył, i znaleźli się w środku. – Tu nikt nie powinien nam przeszkodzić – stwierdził.

Kenmuir i Aleka rozejrzeli się po pomieszczeniu. Jedynym źródłem światła były blade promienie skrytego za mgłą słońca i w pokoju panowałby półmrok, gdyby ściany i sufit nie były takie białe. Wnętrze zdobiło kilka obrazów, scen z życia rodzinnego, pejzaży, jakiś widok Ziemi z orbity. W wysokich oknach wisiały kotary. Na podłodze z drewna nie ułożono żadnych dywanów. Umeblowanie było skąpe i także pochodziło z dawnych czasów: cztery krzesła, toaletka, komoda, łóżko. W kącie stał zegar wysokości człowieka. Wahadło poruszało się powoli i jakby nieubłaganie; w zalegającej pokój ciszy tykanie rozlegało się wyjątkowo głośno.

Kenmuira przebiegł chłodny dreszcz. Uniosły się włosy na rękach. Wiedział, gdzie jest.

– Ze względu na dyskrecję? – spytała Aleka.

– Nie – odparł Matthias. – Mówiłem już, że posiadłość jest zabezpieczona przed szpiegami i wszyscy ludzie znajdujący się na jej terenie to zaprzysiężeni członkowie Bractwa. Jest to miejsce, w którym zmarł śmiertelny Anson Guthrie.

Wytrzeszczyła oczy. Zrobiła znak, którego Kenmuir nie znał.

Potem baczniej przyjrzała się Matthiasowi, opadłym ramionom, głębszym bruzdom na twarzy, z której nos wyrastał na podobieństwo górskiego grzbietu, i wyszeptwała:

– Faktycznie niewiele pan dzisiaj spał.

– Na to przyjdzie jeszcze czas. Cała nieskończoność czasu. Usiadł ciężko i dał gościom znak, by poszli w jego ślady.

Ustawili krzesła obok siebie. Ręka Aleki odnalazła dłoń Kenmuira. Jakże dodawało mu to otuchy! Matthias uniósł głowę.

– Ale teraz nie ma go akurat za dużo – zaczął. – Myśliwi niewiedzą, że tu jesteście. Gdyby wiedzieli, już by nas zatrzymali. Jednak szukają, badają teren i zastanawiają się. Niebawem powróci tu Venator albo jego brygada. Tak że jeśli wyjdziecie stąd zwykłą drogą, natychmiast was odkryją. Przebranie na nic się nie zda. Będą zatrzymywać wszystkich, żeby im się dobrze przyjrzeć.

– Czyli istnieje jakaś nietypowa droga? – zapytał Kenmuir, czując, jak po grzbiecie przebiega mu osobliwy dreszcz.

– Pomoże nam pan, *señor*? – dołączyła się do pytań Aleka.

– Na ile będę w stanie – skinął głową Matthias. – Ściślej rzecz biorąc, spróbuję pomóc sprawie wolności.

– Zdecydował pan o tym nocą? – Kenmuir z miej sca uświadomił sobie idiotyczność swojego pytania.

W głosie Matthiasa, pozbawionym namiętności, słyhać było upór:

– Nie było mi łatwo. Złamię obietnicę starą i mocną jak samo Bractwo. A niewykluczone, że nic z tego nie wyjdzie albo jeszcze pogorszę wasze i swoje położenie. Czemu tak bardzo zależy im na niedopuszczeniu nas do sekretu Prozerpiny? Wydaje mi się, że gdyby Lunarianie zyskali wiedzę na jej temat, dostęp do niej, przestaliby sprzeciwiać się koncepcji Biotopu, przynajmniej

z taką stanowczą siłą jak teraz. Biotop zaś to dla nas droga do gwiazd. – Odetchnął. – A może nie? Nie wiem, nic już nie wiem.

Aleka dosłyszała w tych słowach cierpienie. Puściła rękę Kenmuira i wyciągnęła dłoń do Rydberga.

Zacisnął swą sękatą łapę na jej dłoni i trzymał ją przez dwa, trzy uderzenia serca. Przez usta przebiegł mu blady uśmiech.

– *Gracias, querida* – westchnął. – Myślałem też o pani i twym ludzie. – Już tubalniej dodał:

– I przyszło mi do głowy, że Venator i jego banda w protekcyjonalny sposób łamią prawo. Skoro rząd Federacji stać na ukrywanie faktu, który mógłby zmienić życie milionów, a może nawet bieg dziejów, czego jeszcze można się po nim spodziewać? Guthrie lubił cytować przysłowie mówiące, żeby nie pozwalać wielbłądowi wtykać nosa do namiotu. A mnie się zdaje, że w namiocie jest już znacznie więcej niż nos. Zmieścił się prawie cały wielbłąd. Albo niedługo się wpakuje, jeśli będziemy patrzeć na to z pokorą.

– Czy mogą mieć jakieś przyzwoite powody dla zachowywania tajemnicy? – spytała cicho Aleka.

Odezwał się Kenmuir. W nim też gromadził się gniew, zimny i krystaliczny.

– Tak czy owak, nie zależy im nawet na szukaniu wymówek. Traktują nas jak dzieci.

– Dzieci cyberkosmosu – podchwycił Matthias. – Albo podopiecznych, sieroty, a może żywy inwentarz.

– Ludzie czują się w większości wolni i szczęśliwi. – W głosie i słowach Aleki drżał niepokój.

– Tak jak większość psów – stwierdził Matthias.

– Nie przeciwstawiam się panu, *señor*. Tylko nie mogę zapomnieć... o ogólniejszym celu, dobru mojego ludu.

– Przechodzimy do czynu albo nie – warknął Kenmuir.

– Tak jest. – Wyprostowała się. – To do dzieła, a potem poniesiemy konsekwencje, jak...

wolni i odpowiedzialni ludzie.

Kenmuir uznał, że musi zadać jeszcze jedno pytanie, na które odpowiedzi był niemal pewien:

– Czy możemy tak po prostu rozpowszechnić to, co wiemy? Przypuszczam, że w Domu

Guthriego znajduje się odpowiedni sprzęt. W ogóle jest tu wszystko, czego potrzeba.

– Brałem tę możliwość pod uwagę – przyznał Matthias. – Nie. Nic by nam z tego nie

przyszło. Żyję na Ziemi i zadaję się z władzami tego świata wystarczająco długo, by wiedzieć, co

i dlaczego skutkuje, a co nie. Proste oświadczenie tego rodzaju łatwo zdementować i utopić

w morzu niepamięci. A tymczasem Venator i jego weseli towarzysze by nas schwytali. Całkiem

możliwe, że wpadną na trop sekretu Ognistej Kuli i zatrą ślady jego istnienia.

Kenmuir zacisnął pięści. Aleka mało nie zerwała się na równe nogi, opadła na krzesło

i szepnęła:

– Ian wspominał mi o Słowie Założyciela.

– Tak. – Głos Rydberga zabrzmiał niczym bicie dzwonu. – Rozstrzygnięcie wpadło mi do

głowy pod koniec tej nocy. Potem zdołałem się trochę przespać. Dobrze, że się tu znaleźliśmy.

Sanktuarium, świątynia, myślał Kenmuir.

Wskazówki zegara stanęły na cyfrach XII i VII. Wybił donośnie godzinę. Wiatr za oknami

sprawił, że mgła zawirowała niczym dym.

– Nie twierdzę, że jego znajomość was uratuje – ciągnął Rydberg. – Możliwe, że nie. Jeżeli

sądzicie, że ryzyko jest zupełnie *loco*, zaklinam, byście natychmiast o wszystkim zapomnieli

i nigdy nie wspominali o tej sprawie nawet w rozmowach między sobą.

– Przysięgam – oświadczyła Aleka, jak gdyby odmawiała modlitwę.

– Na wierność – zawtórował Kenmuir.

– Tymczasem opowieść dotyczy złamanego przyrzeczenia – powiedział Matthias.

Czekali.

Po minucie, którą cierpliwie odmierzył zegar, podjął:

– Lars Rydberg obiecał swojej matce, Dagny Beynac, że jeśli ta zasejwuje swoją osobowość, to po dokonaniu dzieła, którego się podjęła, skasuje program i pozwoli jej na spokój zapomnienia. Zapis cybernetyczny także go o to prosił i Lars złożył ponowną obietnicę.

– Ale jej nie spełnił? – wyszeptała Aleka. Puls Kenmuira zamarł na chwilę.

– Nie. Gdy w końcu wyłączył sieć i stał przed nią samotny w miejscu, gdzie się pożegnali, ucałował twarde pudło między optyczne czułki i rozmyślał o tym, czego urządzenie, nie, ona dokonała; jak przeprowadziła Lunę i Ziemię przez rewolucję, że bez niej groziłaby katastrofa, że sytuacja jest cały czas niepewna, a jej pomoc może znów okazać się bezcenna. Dla niej wyłączenie równało się skasowaniu, chyba że zostałyby na nowo uruchomiona. Światu powiedział, że spełnił swą obietnicę i złożył ją na spoczynek obok prochów Dagny. Mi ał nadzieję, że tak pozostanie na wieki. Zabrał ze sobą brzemień tajemnicy do grobu.

– Zdradził ją swemu synowi. – Aleka o tym wiedziała.

– Tak. Na wszelki wypadek. I tak trwało dalej, aż do teraz.

– Nigdy nie wezwano jej z powrotem – dokończyła Aleka.

– Tajemnica stała się po prostu tradycją Ognistej Kuli, niczym więcej. Wyprawa na Lunę i dopełnienie obietnicy Larsa musiało kolejnym Rydbergom wydawać się równoznaczne ze złamaniem własnego przyrzeczenia.

– Do tej pory.

– Zbudzenie jej... – zachrypiał Kenmuir, któremu zaschło w gardle.

– Za życia z pewnością wiedziała o Prozerpinie – stwierdził Matthias. – Słyszała lub widziała zapis równań jej orbity. Najprawdopodobniej je zapamiętała. Biografowie rozpisują się na temat

jej potężnej pamięci, więc zapis cybernetyczny też musiał być nią obdarzony. Przynajmniej w takim przybliżeniu, że każdy astronom lub kosmonauta mógłby z łatwością odnaleźć Prozerpinę. Po ujawnieniu tej informacji tajemnica przestanie być tajemnicą. Ciekawe, jaką wartość może ona mieć dla Lilisaire, pomyślał Kenmuir. Ale to nieważne. Na Alece i jej sprawie zależało mu równie mocno jak na tym, by przestać wchodzić w kolizję z prawem.

– Wyśle pan agenta? – spytał. Matthias jakby go nie słyszał, mówił jednak:

– Widzi pan, to może okazać się bezużyteczne. Zasejwowa – na osobowość leży tam od stuleci. Grobowiec nie chroni całkowicie przed promieniowaniem kosmicznym, pozostaje jeszcze wpływ otoczenia. Okaleczone mikroprzewodniki, bałagan w układach elektronicznych, kumulujące się uszkodzenia, przez nikogo nie usuwane. Niewykluczone, że nic już nie działa.

– A może jakiś szaleniec... – wyrwało się przerażonej Alece. – Nie, nie!

– Może nie – pocieszył ją Kenmuir. – O ile znam się na takich sprawach, istnieją realne szanse, że układ jest nadal w przyzwoitym stanie. – Sam dodawał sobie odwagi.

– Nie nazywaj jej układem. – Aleka skrzywiła się.

– Jestem gotów pozwolić wam spróbować, a potem ewentualnie przejąć na siebie część winy.

A wy?

– Tak. – Kenmuir czuł napływające podniecenie.

Aleka powstrzymała łzy.

– Tak.

– Ale pomysł wysłania agenta... nie, obawiam się, że nic z tego nie będzie – oznajmił

Matthias.

– Czemu? – zainteresował się Kenmuir.

– Zastanówcie się tylko. – On miał na to całą noc spędzoną w samotności. – Żaden

z tutejszych pracowników nie posiada odpowiednich kwalifikacji. Musiałbym kogoś wezwać i poinformować go nie tylko o istocie zadania, lecz również o szczegółach technicznych. Nie zapominajcie, że to starożytna maszyna. Teraz już się takich nie używa. I potrzebny byłby sprzęt. Możemy z całą pewnością założyć, że Dom Guthriego poddany jest zdalnej, lecz stałej obserwacji. Czy wyobrażacie sobie, że ktoś mógłby opuścić go z całą kupą wyposażenia, polecieć na Lunę, udać się do grobowca Dagny – strzeżonego, najświętszego miejsca na całym Księżycu – bez wiedzy Venatora? I bez narażania się na jego reakcję?

– Polegającą na skasowaniu programu – dopowiedziała Aleka.

– I nakryciu nas tutaj – dodał Kenmuir. – Ale, hm, czy ten człowiek nie mógłby po prostu skontaktować się z Lilisaire? Możliwe, że byłaby w stanie coś przedsięwziąć. Jeśli nawet nie wkroczyć do grobowca, to wszcząć poszukiwania Prozerpiny.

– Jeśli zawiodą inne sposoby, w odpowiednim czasie można spróbować tego – stwierdził bez entuzjazmu Matthias. – Póki co sporządzę zaszyfrowaną wiadomość dla zaufanego człowieka, ze wskazówkami, by rozkodować ją i przekazać Lilisaire po pewnym czasie, gdy osłabnie czujność korpusu Venatora. Ale na to bym nie liczył. Nawet jeśli nie wymyślili jeszcze pretekstu, by ją aresztować, do czego, jak sądzę, niebawem dojdzie, trzymają ją pod ścisłą obserwacją.

Pamiętajcie: oni wiedzą, że wy wiecie o istnieniu asteroidy. Czy ona lub którykolwiek z jej pobratymców mógłby rozpocząć poszukiwania, choćby nawet na krańcach układu, w taki sposób, że Venator nie domyśliłby się, o co im chodzi i nie zechciałby ich powstrzymać? Wątpię.

– A w tym czasie my ponieśliśmyby klęskę. – Kenmuir znowu poczuł się tak, jakby zaciskały mu się na gardle czyjeś palce. Aleka rozwiąła te lęki.

– Ale pan z pewnością zna jakiś sposób, *señor*, bo w przeciwnym razie w ogóle by pan o tym nie wspominał.

– Tak – odparł Matthias, któremu raptem jakby odmłodził głos. – Sposób jest szalony,

dziki, ale istnieje nikła szansa, że się powiedzie.

– „Kestrel”! – ryknął Kenmuir, którego nagle olśniło.

– Co? – Aleka patrzyła niczego nie rozumiejącym wzrokiem. Nie mógł usiedzieć w miejscu, zerwał się i *zaczął* chodzić w tę i z powrotem, podniecenie przyplýwało i odpływało jak pogrążone we mgle morskie fale.

– Rakieta, pamiątka, statek Kyry Davis. Zawsze gotowy do startu...

Sapnęła.

Matthias mówił z ożywieniem:

– Włącznie ze skafandrami, nowoczesnymi, samoregulującymi się pakietami napędowymi EVA i całą resztą.

Bez tego symbol pozostałby pusty. Kenmuir raptownie w całej pełni uświadomił sobie, czemu Braterstwo zaciekle starało się, czyniąc przy tym znaczne ustępstwa podczas negocjacji, wywalczyć prawo do trzymania na Ziemi rakiety napędzanej antymaterią. „Kestrel” nie była pierwszą świętością w dziejach. Naturalnie jej wystrzelenie było zabronione. Już słyszał w wyobraźni: „To krótka trasa, kapitanie Kenmuir, mam nadzieję, że da pan sobie radę”.

– Mogę się jej przyjrzeć – stwierdził, zdumiony rzeczowością własnego tonu. – Na temat tego modelu posiada pan materiały viviferowe, prawda? Nie będzie więc potrzeby korzystania z publicznych baz danych?

– Ale start zobaczy cały świat! – zawołała Aleka.

– Racja. – Matthias uśmiechnął się, wyszczerzając zęby. – Takie wydarzenie musi znaleźć się w wiadomościach i sam Teraumysł będzie miał trudności z wytłumaczeniem się.

– Chyba że ubiegną mnie służby Venatora. – W zapał Kenmuira wkradł się rozsądek.

– Prawdą jest, że mają flotę o znacznie większych możliwościach i będą reagować błyskawicznie – przyznał Rydberg. – Ale zyskamy przewagę zaskoczenia i nie zorientują się,

dokąd lećcie, dopóki nie wyłądujecie. No, a wtedy będziecie musieli działać szybko.

Z deszczu pod rynnę. Kenmuir zaśmiał się na głos.

– Zaplanujemy całą operację. Pan może zdobyć dane na temat rodzaju i położenia jednostek

Władz Pokojowych na orbicie, prawda? To informacje powszechnie dostępne. A ja wymyśliłem

już, jak nie dopuścić do tego, żeby zamknęli mi usta, gdy mnie dopadną. No, to do roboty!

– *Auwe no ho 'ie* – wymamrotała Aleka. – A to ci niespodzianka. Nigdy nie myślałam, że zobaczę cię w takim stanie.

– Czeka mnie robota – zdołał powiedzieć Kenmuir. Wstała i bacznie mu się przyjrzała.

– Jeszcze jedno, *amigo*. Co za „mnie”? Nie będziesz sam. Lecę z tobą. – Staął, jakby go замуrowało.

– Co? Ty? Nieprzygotowana i... delikatna... to absurd.

– Ja się szybko uczę. Natychmiast opanuję umiejętności, z którymi będę mogła ci się przydać. – Zwróciła się do Matthia – *sa*: – Wolno mi, *señor!*

– Moim zdaniem przyda się panu współpracownik, kapitanie Kenmuir. – Rydberg uśmiechnął się. – Ja jestem zbyt stetryczały. Wydaje mi się, że ta dziewczuszka jest najbardziej kompetentną osobą, jaką mamy pod ręką.

– Ponadto – dodała Aleka – to również moja misja. I, na zęby Pele, Ian, nie puściłabym cię samego!

– Niech was Bóg strzeże. – Starożytne słowa towarzyszyły Alece i Kenmuirowi, gdy wychodzili z Domu Guthriego. Szli sami, zmierzając w kierunku lasu.

Z wiszącego tuż nad morzem słońca płynęły strumienie blasku, rozświetlającego poszycie i gęste igły drzew. Intensywnie niebieski Księżyc osiągnął swój zenit tego dnia. Mimo że powietrze wciąż jeszcze było łagodne, Kenmuir szczelniej otulił się peleryną z kapturem. Bardzo by chciał, żeby chmury utworzyły nad posiadłością nieco szczelniejszą zasłonę przed wszystkowidzącymi robotami na orbicie.

Ale jeśli chcą maksymalnie skrócić lot, muszą startować natychmiast; czekanie byłoby ryzykowne. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu kilku godzin, prócz paru godzin snu, odbyli, ile się dało, przygotowań, nauki, symulacji, planowania. Naturalnie nie można było przewidzieć, co im z tego przyjdzie.

Pod czujnością, która zawsze budziła się w nim w sytuacjach kryzysowych, rosło i drżało napięcie. Szorstka kora i aromat jodły, szelest ściółki pod nogami, gałązki trzaskające pod stopami, wszystko odbierał wyraziście niczym światło błyskawicy. Do czynu pchało go coś więcej niż sam biochemiczny środek pobudzający. Ruszał na misję, być może ostatnią, a już na pewno największą.

W milczeniu szli ścieżką przez las, wreszcie dotarli do polany. Zalegał ją cień. Blask lśnił jeszcze na wierzchołkach drzew i dziobie statku. Ustawiony w cylindrycznym schronie, celował swym kształtem torpedy w górę, jakby chciał przyćmić Księżyc.

Sanktuarium okalał kamienny mur. Na stojącym przed otworem wejściowym dwumetrowym bloku umieszczono tablicę z brązu, informującą o dokonaniach Kyry Davis. Ludzie Ognistej Kuli zawsze tu przystawali, niby przed ołtarzem. Kenmuir i Aleka zasalutowali.

Niektórzy przybysze wchodzili następnie do rakiety, chcąc odbyć szczególne obrzędy lub po

prostu przeprowadzić jej konserwację. Ostatnio do środka zawitało kilka osób. One też miały na sobie peleryny, w tym przypadku po to, by ukryć pod nimi przyrządy i racje żywnościowe. Liczono, że nie wywoła to podejrzeń urzędów obserwacyjnych – jeszcze jedna uroczystość potwierdzająca dawno zgasłą tożsamość. Idący na przedzie Kenmuir nadawał ostrożne, powolne tempo.

Cały czas czynny mechanizm wykrył jego obecność i wysunął rampę spod śluzy dla personelu, która się otwarła. Mężczyzna i kobieta weszli. Jeszcze raz rozejrzeli się po żyjącym lesie i odetchnęli jego wonią. Potem wkroczyli do środka. Właz zamknął się, rampa schowała. Przeszedłszy komorę śluzy, Kenmuir zdjął pelerynę. Włożenie jej do szafki było mechanicznym odruchem; zauważył to i szeroko się uśmiechnął. Aleka poszła w jego ślady. Oboje mieli na sobie obcisłe kostiumy, w których można się było wślizgnąć bezpośrednio w kosmiczne skafandry. Jej widok ciągle go zdumiewał.

– Chodź – poleciał pośpiesznie.

Gdy rakieta stała na lądowisku, korytarze wzdłuż kadłuba stawały się pionowymi szybami. Korzystało się z przymocowanych do ścian drabinek. Mijając szaroróżowe grodzie, oglądali pamiątki po pierwszym pilocie: wsuwane kanapy wielkich przyspieszeń, drzwi do sanitariatu, złożoną rurę instalacji kuchennej, szafę na *rzeczy* osobiste, multiodbiornik z viviferem, zestaw hobbystyczny, wyblakłe zdjęcie bliskich... Powietrze było duszne i nieruchome. Odświeży je dopiero instalacja odzysku i wentylatory.

Jak dla niego kabina dowódcy była archaicznym reliktem historii, jej jawiła się jako coś nowego i obcego, lecz obydwójce przyzwyczaili się do tego widoku podczas symulacji. Usiedli przed konsolą sterowania i przypięli się pasami. Monitory i ekrany były zgaszone, mierniki zastygły w bezruchu. Kenmuir zastanawiał się, co powiedzieć. Uśmiech Aleki zdradzał napięcie.

– Naprzód – odezwała się. – Na dobre i na złe. Przebiegł palcami po desce rozdzielczej.

Zapaliły się światełka, drgnęły wskazówki, pojawiły się liczby i grafika, na ekranie widokowym ukazało się niebo. Dobiegł go podmuch powietrza, jak gdyby gdzieś ożyły płuca. Głos mężczyzny rozbrzmiał nienaturalnie głośno:

– Pełna gotowość. Start natychmiast.

Głośnik odparł kobiecym, gardłowym głosem samej Kyry Davis. Tak go sobie ustawiła.

– *Salud...* Tyle minęło czasu... Nie znam was. – Odruchowo popatrzył na skanery, przez które obserwowała ich „Kestrel”. Głos nabrał stanowczości. – Nie mamy pozwolenia.

Ich ćwiczenia obejmowały między innymi język tamtej epoki. Kenmuir starał się wymawiać słowa tak, żeby robot był go w stanie zrozumieć.

– Wyjątkowe okoliczności. – Czujniki miały się we wszystkie strony.

– Brak pola kosmicznego. Start w takich warunkach jest nielegalny. A ja jestem częścią statku.

Trudno było uwierzyć, że przemawia nie sofotekt, lecz zwykły robot, pozbawiony woli i świadomości. Nie pamiętał już, ile odbył w życiu wypraw, ale tu miał do czynienia z czymś innym. Zetknął się z maszyną, która latała z Kyrą Davis, służyła jej, rozmawiała z nią i rozgrywała partie gier, być może wysłuchiwała jej wyznań i płaczu. Zachowała coś więcej niż zapisy w bazie danych. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi Kenmuirowi wydawało się, że na pokładzie żyje jakiś duch.

Nie spodziewał się, że tak boleśnie zniesie naciśnięcie klawisza „Zignoruj”.

Nacisnął.

Wyrzucił z siebie rozkazy:

– Lecimy na Księżyc. Powłoka jest hialonowa, twarda, ale przedrzesz się przez nią, jeśli przyspieszysz do dziesięciu g. Potem zmniejsz do dwóch g i leć dalej. Jednak nie kieruj się bezpośrednio ku Lunie. Ustal kurs, którym miniemy jej powierzchnię tak, jakbyśmy chcieli

uzyskać siłę grawitacji... – Podał dowolnie wybrane współrzędne, które zaprowadzą ich w głąb kosmosu, z dala od ekliptyki. – Za mniej więcej godzinę powiem ci, jaki naprawdę zamierzamy wykonać manewr, i wtedy będziesz mogła dostosować wektory przyspieszenia ujemnego. – Nie chciał robić tego wcześniej, bo nie wiedział, co się stanie. Możliwe, że cały ich plan legnie w gruzach.

– Potwierdzam. – Monitory powtórzyły instrukcje. Obliczenia przynosiły kolejne szczegóły.

– Ostrzegam, to niebezpieczne. Jestem najlepiej przystosowana do okrążania ciał w rodzaju Marsa lub Tytana, a nie Ziemi. Możliwe, że podczas mego snu zmieniły się prawa astronautyki, ale, *hombre*, nie mogło się to przecież przytrafić prawom fizyki.

Gdyby nie mówiła tak ludzkim, żywym głosem... Aleka pogładziła konsolę.

– Dasz radę, „Kestrel” – powiedziała. – Dla Kyry dokonywałaś większych rzeczy.

– *Gracias* – odparł ciepły głos. – Start za sześćdziesiąt sekund.

Aleka i Kenmuir spędzili je, patrząc sobie w oczy.

Nagle rozległ się grzmot. Masa wcisnęła ich w oparcia. Ujrzeni ciemność.

Gdy się rozwiała, Kenmuir sapnął. Przyspieszenie spadło do poziomu dwukrotnie wyższego niż normalne. Wodził oczyma po ekranach. Z tyłu i u dołu widział płomienie liżące drzewa i szerniałą polanę. Cóż, służby ekologiczne wkrótce stłumią pożar. Przed nimi rozpościerał się ciemniejszy, purpurowy firmament.

Kadłub przebijał się przez ziemską atmosferę, gdy on siedział półprzytomny. Ostatnie wibracje ucichły, niebo szerniało, pojawiły się na nim gwiazdy. Słyszał tylko własny oddech i tętno. Żadne dźwięki nie dobiegały z silnika. Napęd plazmowy znacznie przewyższał potrzeby podróży w tej części wszechświata.

Aleka wytrzeszczyła oczy, skuliła się i wyszeptała:

– Wyrwaliśmy się. Naprawdę.

– Na razie – mruknął Kenmuir.

– Kontrola Ruchu na całej planecie musi teraz przypominać gniazdo szerszeni, które ktoś kopnął i rozbił. Czemu nas nie wzywają?

– Ta rakieta nie jest zintegrowana z systemem – przypomniał jej. Za dużo nowych faktów w zbyt krótkim czasie. Niektóre jeszcze nie przyswojone. O których już zapomniał? – Będą musieli znaleźć odpowiednie pasmo, a potem wyznaczyć do łączności jakąś istotę świadomą. Ziemski widnokrąg wyglądał na ekranach rufy jak wielki, szafirowy łuk. Coraz szybciej się kurczył. Wkrótce w obrębie monitorów zmieści się cała planeta. Zwalniając w stałym tempie po zawróceniu, „Kestrel” dotrze na Lunę w przeciągu trzech godzin. Będąc w dobrej kondycji, wzmocnionej jeszcze nanochemicznie, piloci mogliby znieść podwójne przeciążenie i wylądować gotowi do działania.

O ile wylądują.

– Nawiaż łączność z Luną. – Kenmuir podał dokładne współrzędne.

– Wysoki Zamek – odparła rakieta. – Pamiętam... gotowe.

– Ian Kenmuir do pani Lilisaire – zaanonsował się. Chciałby powiedzieć: „Dobra robota” do „Kestrel”, która trafiła wiązką w cel, rekompensując szaleńcze skoki prędkości za pomocą efektu

Dopplera. – Lecę w twoich sprawach w przestrzeń kosmiczną. Kontrola Ruchu wysuwa zastrzeżenia. Zdobądź dane na temat ich posunięć, zanim się do nas dobiorą. W miarę możliwości opóźniaj pościg i interwencję, lecz nie narażaj niczyjego życia. Koniec.

Nie wiedział, czy wiadomość dotarła do adresatki. Możliwe, że urządzenia na zamku były zasypane informacjami lub unieruchomione przez opozycję. Z całą pewnością obserwatorzy wszystkiego wysłuchali; nie miał sprzętu do szyfrowania. Wzmianka o Prozerpinie spowodowałaby natychmiastowe przeciwdziałanie. Zresztą była to karta przetargowa, z której można będzie w razie potrzeby skorzystać – as w rękawie, jak powiedziała Aleka, nawiązując

dojakięś nieznanęj mu gry. Wiadomośc miała na celu dalsze zagęszczenie siatki pozorów. Niech myśliwi skupią siły i nabiorą przyspieszenia na kursie, który wkrótce raptownie zmieni. To powinno dać mu odrobinę czasu na wejście do grobowca Dagny.

Zamigotało czerwone światełko.

– Wiadomośc z Ziemi – oznajmił statek. – Zaklasyfikowana jako najwyższej wagi.

– Odbierz – nakazał Kenmuir.

Nie ujrzał żadnego obrazu. Kamery wideo nie były kompatybilne. Jednak doskonale znał ten głos. Gdy tylko Matthias zdał sobie sprawę, jaki odwiedza go agent, nakazał swojemu człowiekowi wykonać możliwie największą ilość nagrań. Odtworzył je w ramach szkolenia załogi.

– Rakieta „Kestrel”, bez rejestracji, proszę o natychmiastową odpowiedź.

– Cześć, Venatorze – zagaił kosmonauta, słysząc, jak jego towarzyszka wstrzymuje oddech.

Sam niezbyt się zdziwił.

– Kenmuir? – ton głosu był równie chłodny. – Tak myślałem. Witam, Alice Tam.

Z pewnością to ty wsiadałaś z nim na pokład.

Kenmuir dał jej znak, żeby milczała. Po co odsłaniać karty?

– Przypuszczam, że chciałbyś uzyskać jakieś wyjaśnienia.

– Więcej, mój drogi, znacznie więcej. Czy wy zdajecie sobie w ogóle sprawę, w co się wplątaliście?

– Publiczne śledztwo wykaże, czy mieliśmy słuszość.

– Bo widzicie, wszyscy mieszkańcy Domu Guthrieego zostaną zatrzymani.

Najprawdopodobniej doprowadziliście do zniszczenia waszego ukochanego Bractwa Ognistej Kuli. Czy to było waszą intencją?

Przedsiębiorstwo Ognistej Kuli upadło dlatego, że unicestwiło coś złego, pomyślał

kosmonauta. Po raz pierwszy wyobraził sobie, przez co musiał przechodzić Matthias.

– Być może jeszcze nie wszystko jest stracone – kusił Venator. – Przestańcie przyspieszać, pozwólcie na abordaż, gdy nasze statki zrównają się z wami prędkością, i wracajcie, będziemy rozmawiać jak ludzie rozsądni.

– Czy świat będzie nas słuchał? – upierał się Kenmuir. – Jakich możesz udzielić nam gwarancji?

– Żadnych. Jesteście tacy podejrzliwi, że natychmiast przejrzelibyście każde nasze oszustwo.

Jak mam was przekonać, że tej sprawy nie należy rozgłaszać? Kenmuir wyszczerzył zęby.

– Nie poszłoby ci łatwo, co? – Pomyślał, że w porównaniu z nim i Aleką Matthias miał prosty wybór.

– Każda minuta pogarsza waszą sytuację. Jakiej waszym zdaniem służycie sprawie?

Lilisaire? Mamy powody sądzić, że urzeczywistnienie jej zamiarów kosztowałoby życie miliony ludzi. Chcecie mieć ich na sumieniu?

– Nie. Jeżeli mówisz prawdę. A mówisz? – Kenmuir mógł się wreszcie zdobyć na wypowiedzenie tej nazwy. – Twój ludźmi od wieków kłamali w związku z Prozerpiną.

– Istnieją ważne racje przemawiające za utrzymaniem tej sprawy w tajemnicy, zanim świat nie będzie gotów. Ja... nie, cyberkosmos z chęcią ci je wyłoży, tyle że w zacisznym miejscu.

– Czyżby? A może po prostu przypadnie po nas wszelki ślad?

– Naoglądaliście się dramatów historycznych – westchnął Venator. I surowo dodał: –

Traktujcie to jako ultimatum. Jeżeli poddacie się teraz, możecie razem z Ognistą Kulą liczyć na wyrozumiałość. Obawiam się, że potem będzie już za późno.

– A co powiesz o Przymierzu i naszych prawach w jego świetle? Raz jeszcze powtarzam, iż żądamy całkowitego ujawnienia prawdy. W przeciwnym wypadku naruszyacie jego postanowienia bardziej rażąco niż my.

– Przymierze przewiduje sytuacje wyjątkowe... – Venator urwał. Po półminucie, w ciągu której Ziemia zmniejszała się, a Luna rosła, stwierdził: – Jesteście zdecydowani na wszystko.

– Tak jest – odpowiedział jemu i samemu sobie Kenmuir.

– Przebieg twojej kariery wskazuje, że mówisz serio. Nie pozwolę ci grać na czas. – Venator cicho się zaśmiał. – Nie będę też życzył powodzenia. Obyście wyszli z tego żywi. Chciałbym rozmawiać z wami otwarcie, jak inteligencja z inteligencją. *Ave atque vale*.

Światelko zgasło.

– Koniec połączenia – oznajmiła rakietą.

Kenmuir raz jeszcze rzucił okiem na Ziemię. Gdyby mógł nadać apel, zbudzić kochających wolność... Ale jeśli chce, by sygnał został wysłuchany, musi przejść przez satelity przekaźnikowe, a one znajdują się pod kontrolą.

Ilu ludzi na planecie szczególnie by się tym przejęło?

Matthias mówił, że całe życie czuł, jak rosną otaczające go mury. Jeszcze do niedawna Kenmuir nie znał tego uczucia. Przynajmniej nie było ono świadome. Czy w głębi ducha wiedział, że żyje w klatce?

A żył?

Otrząsnął się z dręczących go pytań jak pies po wyjściu z zimnej rzeki i zaczął rozpinąć pasy.

– Nasza prędkość powinna być stała – zwrócił się do Aleki

– ale na wszelki wypadek lepiej założyć skafandry. – Jemu z pewnością się to przyda.

Kiwnęła głową. Włosy poddane dwóm wektorom grawitacji opadły jej grubymi strąkami na twarz.

– *Ae*.

Przeszli na rufę. Nim zaczęli zakładać skafandry, przez kilka minut się całowali.

Po powrocie poprosił o dane na temat pościgu. Były nieliczne, z dużym

prawdopodobieństwem błędu, lecz instrumenty wykrywały kilka statków, których trajektorie wskazywały punkty przecięcia na ich zamierzonym kursie w odległej przestrzeni kosmicznej. Jak zamierzały powstrzymać „Kestrel”, jeśli nie chciały taranować, nie miał pojęcia. Ale były znacznie nowocześniejsze. W razie potrzeby mogły deptać im po piętach, aż „Kestrel” wyczerpałaby substancję napędową, a potem się z nią zrównać.

Zaczął udzielać szczegółowych instrukcji, które pozwoliłyby Alece przejąć dowodzenie.

- Mam nadzieję, że nie obchodzę się z tobą zbyt niezręcznie
- powiedział odruchowo, bez sensu.
- Nie masz zdolności Kyry Davis – odparła „Kestrel” – ale rękę masz podobną.

Statek zbliżał się do Luny.

Myśliwi na pewno zdążyli się już zorientować, że zostali oszukani i że właśnie Księżyc był prawdziwym celem podróży ściganych. Lecz nie byli w stanie powstrzymać „Kestrel”. Cała flota kosmiczna zdolna do przechwycenia statku znajdowała się zbyt daleko. Nie była też wyposażona w skuteczne pociski. Te na Księżycu były nieliczne i powolne, przeznaczone do mało prawdopodobnych celów, na przykład takich jak lecący po niebezpiecznej orbicie meteoryt. Policja i Władze Pokojowe zostały z pewnością zaalarmowane, ale na razie nie mogło im się to na wiele przydać.

Nadszedł moment, gdy Aleka spojrzała w oczy Kenmuira i powiedziała:

– *Aloha*. Miejmy nadzieję, że nie na zawsze. Stałeś się dla mnie... kimś więcej niż przyjacielem, wiesz?

Nie potrafił skłecić żadnej odpowiedzi, mógł się tylko uśmiechnąć i dotknąć jej rękawicą, po czym każde przeszło do swojej roboty.

Czekając w komorze powietrza, gdzie układ napędowy i zbiornik masy pod wpływem przyspieszenia nabrały takiego ciężaru, że musiał z nimi usiąść, poczuł lekki wstrząs, po chwili drugi. Aleka wysłała przynęty. Wyobrażał sobie moduły transportowe wyhamowujące przed znacznie od siebie oddalonymi punktami na powierzchni – za to niezbyt odległymi od twierdz Selenarchów. Widział, jak Aleka wraca do kabiny dowodzenia i przekazuje wiadomość do Wysokiego Zamku: „Lilisaire, każ zabrać te cylindry, nim zajmie się nimi opozycja”. Trudno powiedzieć, czy Lunarianka, czy w ogóle jakikolwiek Lunarianin odebrał tę wiadomość i gotowy był posłuchać nakazu. Lecz powinno to odwrócić uwagę sił rządowych. Przy odrobinie szczęścia start Kenmuira pozostanie niezauważony.

Rzecz jasna radary i inne detektory śledziły „Kestrel”. Jednak Aleka tak zorientowała kadłub,

że najprawdopodobniej nie zarejestrują jego odlotu. Gdyby mimo to zdołały go wytropić, pozostawało mieć nadzieję, iż program uzna go za kosmiczny odłamek i nie okaże nadmiernego zainteresowania.

Możliwe, że plan się nie powiedzie. Niezależnie od staranności, z jaką wraz z „Kestrel” wyliczyli swoje szansę na podstawie dostępnych danych, nie było nic pewnego.

Jak to w życiu.

Ciążenie osłabło. Statek krążył z wyłączonym silnikiem wokół Luny z niską prędkością orbitalną. Kenmuir poczuł pulsowanie pompy, która wysysała ze śluzu powietrze. W miarę zaniku dyfuzji krąg światła z żarówki na suficie zmniejszył się do rozmiarów kałuży rzucającej na boki niejasne refleksy. Wyprężył mięśnie. Już pora. Ogarnął go nieczłowiecki spokój.

Otworzył się zewnętrzny właz. Wejście zalała nasycona blaskiem gwiazd ciemność. Schwycił się poręczy, odepchnął i znalazł przy kryzie, stamtąd zeskoczył na niewielką platformę dla personelu. Wolną ręką szukał uruchamiającego ją przycisku. Platforma przechyliła się, wstrząsnęła i wyrzuciła go na zewnątrz.

Powoli opadając, widział wirujący wszechświat, Mleczną Drogę, Ziemię, Lunę. Hełm ściemniał, chcąc uchronić wzrok przed światłem słońca, które przybrało barwę matowego złota i przypominało monetę. Z początku „Kestrel” wydawała się gigantyczna. Oddalała się z prędkością kilku metrów na sekundę. Przesłaniała jeszcze znaczną część firmamentu, gdy doszedł do wniosku, że mógł już zwiększyć prędkość – przez moment widział ją w całej smukłej piękności.

Ale w środku siedziała zamknięta Aleka. Aleka, która wolałaby zginąć na morzu, gdzie włosy przeczesywałby jej wiatr.

Kenmuir wziął się do roboty.

Rama układu napędowego miała kształt łuku; wystający fragment stanowił podporę dla

tablicy sterowniczej, chaotycznie wielobarwnego systemu światełek. Wstukał komendę hamowania. Krótkie pchnięcie ustaliło pozycję nieba. Komputer układu był dość prosty, lecz wystarczający dla jego potrzeb. Ziemia zgęstniała w bryłkę biało-niebieskiego szkła. Luna zajmowała jedną czwartą nieba, jej ciemna strona sprawiała wrażenie otworu biegnącego ku nieskończoności, strona jasna była bezlitośnie oświetlona, pomarszczona, z pryszczami i plamami. Bez soczewek nie dostrzegał żadnych śladów ludzkiej działalności. Z pamięci mógłby wygrzebać miasta, ogromne kwiaty, ptaki i szybolotniaki nad jeziorem, Lilisaire; ale nie było czasu na wspomnienia.

Za pomocą przyrządów nawigacyjnych rozejrzał się, odnalazł trzy charakterystyczne punkty i wprowadził do komputera ich współrzędne. Po chwili powtórzył czynność, tym sposobem umożliwiając maszynie obliczenie swojego położenia, wysokości i funkcji wektorowej. Radar działałby bardziej skutecznie i bezpośrednio, ale wolał nie ryzykować. Wprowadził współrzędne lądowania. Włączył napęd. Układ obrócił go w pożądaną stronę. Akumulatory zaczęły wydłukiwać nagromadzoną energię. Ze zbiornika masy, szerokiego jak on sam i równego połowie jego wzrostu, trysnęły trzy fontanny. Kondensacja sprawiła, że w pobliżu dysz utworzyły się obłoki – ten system nie był tak skuteczny, jak napęd plazmowy, daleko mu też było do mocy tamtego – lecz obłok był rzadki, z trudem dostrzegalny nawet z niewielkiej odległości, i błyskawicznie się rozpraszał. Powróciło ciężenie. „Kestrel” oddalała się coraz szybciej, zmieniała się w zabawkę, klejnot, gwiazdę, wreszcie zniknęła całkowicie.

Przez następne pół godziny musiał tylko powtarzać obserwacje, tak by układ odpowiednio korygował parametry lotu. Przyspieszenie rosło, osiągając poziom bliski jednemu g; potem obłok spalin malał wraz z masą. Wolałby lecieć szybciej, niezależnie od nacisku na ciało, lecz wydajność systemu była ograniczona. Nawet przy tej prędkości do momentu lądowania zbiornik niemal opustoszeje, a akumulatory się wyładują.

Odbiegł myślami od swojej sytuacji. Aleka – wkrótce wejdzie na orbitę okołoksiężycową. Nie znajdzie się wprost nad nim, lecz będzie przemykać gdzieś po tej części nieba. Po jego lądowaniu minie do dziewięćdziesięciu minut, zanim dopadną ją statki Władz wracające z pełną mocą. Dlatego kobieta musi jak najszybciej czmychnąć.

Lilisaire – bardzo by się zdziwił, gdyby jakieś nici jej sieci nie sięgnęły do policji i Władz Pokojowych. Jeżeli jej nie aresztowali – a był przekonany, iż potrafiłaby roztrąbić ten fakt jak Układ Słoneczny długi i szeroki – wiedziała, gdzie jest „Kestrel” i że ma to jakiś związek z nią. Nie miał pojęcia, jaki wykona ruch. Gdyby zdołała ich zająć na godzinę lub dwie, bardzo by mu dopomogła. Fakt, powiększyłoby to rejestr przewinień jej, jego, Ognistej Kuli... Opędził się z niedobrych przeczuć.

Annie... nostalgiczny duch. Zerknął ku Ziemi z nadzieją, że życie nie traktuje jej zbyt brutalnie.

Czas mijał. Powoli opadając, przelatywał od jednej nocy ku drugiej.

Kurs zaplanowali, biorąc pod uwagę raczej konieczność zamaskowania działań niż oszczędzania paliwa. Satelity z pewnością go wypatrzyły, tak samo, jak dostrzegały każdy szczegół, gdy je odpowiednio nastawiono, ale nie powinien zbyt rzucić się w oczy, wzbudzać zainteresowania, które kazałoby tym robotom przesłać jakiś raport, zwłaszcza że skupiały się teraz na innych wydarzeniach. Ponad horyzont wynurzył się krater Tycho.

Znalazł się na tak niewielkiej wysokości, że krater jawił się jego oczom niejako misa, lecz góra, czarna i przerażająca na tle gwiazd. Mimo że słońce znajdowało się w położeniu porannym, zachodnia połać firmamentu tonęła w mroku. Cień przelewał się przez nią i całą powierzchnię na podobieństwo leniwie ustępującego przyływu. Najpierw na kresach nieboskłonu po obydwu stronach Kenmuir zauważył rosnące wybrzeża dnia. Z bliższej odległości stracił je z oczu, widział jedynie gwiazdy i blednącą Ziemię. Znajdując się w ostatniej kwadrze, planeta ciągle

promieniała. Błękitno-białe światło zalewało tarasy ogromnych zboczy. Rozbryzgujące się niczym woda promienie podkreślały surowość wystrzępionego terenu. Odnalazł swój cel i wylądował, sterując ręcznie.

Na krótką chwilę oślepiły go tumany kurzu, który opadł, gdyż nie stawiało mu oporu powietrze; materiał skafandra i hełmu go odpychał; spojrzął na półkę rozpościerającą się w połowie wysokości zewnętrznego łańcucha gór, podziurawioną płaszczyznę, długą i szeroką, z pograżonymi w mroku skałami na wschodzie i niebem z każdej innej strony.

Zamilkło szemranie dysz paliwa. Otuliła go cisza. Gdy odpiął napęd i zbiornik, przy księżycowym ciężeniu poczuł się lekki jak piórko, jak gdyby pozbawiony ciała. Skafander, system odzysku powietrza i pozostałe części stroju były niewielkiej masy i przylegały ściśle niczym druga skóra: homeostatyczne, wzmacniały odczucia dotykowe. Rozwiązał pakunek z wyposażeniem. Starali się, żeby nie sprawiał wrażenia ciężkiego, ale zobaczył przypięty młot i przebiegł go zimny dreszcz, tak że przez moment nie był w stanie podnieść ciężaru.

W końcu jednak zarzucił pakunek na plecy i ruszył. Z każdym krokiem wzniecał obłoki kurzu, dotarł do stopni, które w paśmie gór wykuli budowniczy pracujący we wnętrzu krateru. Był to niewielki szlak wycięty w gęstym regolicie. Zwykle przemierzali go nieliczni pielgrzymi, ale zatarcie śladów istnienia drogi zajmie kosmosowi jeszcze trochę czasu. Przed nim spoczywał grobowiec. Ludzie mówili, że cybernetyczna Dagny, która w nim spoczywała, zarządziła, by był prosty. Siedem metrów szerokości, cztery ściany z białego kamienia wznoszące się pionowo ku płaskiemu dachowi na takiej wysokości, że każdą jego część można było zamknąć w złotym prostokącie. Podobne proporcje miały podwójne drzwi z brązu w fasadzie. Nad nimi wykuto napis: DAGNY EBBESEN BEYNAC. To wystarczyło.

Kenmuir stanął przy wejściu. Przez chwilę zapomniał o pośpiechu, o zadaniu, po prostu był. Ściany i metal błyszcząły lekko w poświacie gwiazd i Ziemi.

Miało się wrażenie, że cisza jeszcze się pogłębiła. Wzdrygnął się i wyjął klucz, który Lars Rydberg wykonał w tajemnicy i zachował dla siebie. Przyłożył go delikatnie do zamka. Program przypomniawszy sobie szyfr. Wskazówka przekręciła się w dół. Pociągnął i odzwia rozwarły się, wypuszczając panującą w środku noc. Uciszył serce i wszedł.

Z początku był jak ślepy, towarzyszyło mu jedynie tętno. Jednak oczy stopniowo się przyzwyczajały. Napływało światło, ostrożnie muskając bryłę ołtarza sarkofagu na środku. Uniósł prawą rękę do hełmu w geście salutu Ognistej Kuli.

Ale szybko, do roboty. Zdjął plecak, położył go na ziemi, wyjął lampę, włączył i postawił ją obok siebie. Światło rozlało się, ograniczone ostrymi krawędziami cienia. Na bryle stały dwa przedmioty. Jednym była grzebalna urna, smukła i zgrabna; znowu przypomniawszy mu się „Kestrel”. Drugim była skrzynia z zapisem elektronicznym.

Szybko, szybko. Pracuj przy lampce w hełmie, obserwuj, dokonaj koniecznego naruszenia świętości i zgnieć wyrzuty sumienia obcasem; już po wszystkim powstaną, nienaruszone.

Miernik wskazywał, iż układ zasilania sieci jest wyładowany, lecz nietknięty, co sprawiło Kenmuirowi ulgę, mimo że miał przy sobie zapasowy. Podłączył akumulator, żeby naładować układ, za pomocą wtyczki, którą sam sporządził tak, by pasowała do przestarzałego gniazdka. Gdy akumulator się ładował, mężczyzna przystąpił do uruchamiania układu nerwowego. Lars Rydberg potajemnie umieścił tu program umożliwiający obejście fragmentów sieci. W Domu Guthriego Aleka, Matthias i Kenmuir przygotowali moduł, który kosmonauta obecnie zastosował. Następnie położył na ołtarzu przekaźnik radiowy, odnalazł odpowiedni punkt na skrzyni i wykonał połączenie. Teraz mogli porozmawiać w otaczającej ich pustce.

Dotknął głównego włącznika, odstąpił i zadrżał.

Od spodu rozbłysło światło, które odbiło się od przedniej ściany bloku, pograżając skrzynię w cieniu. Z niej centymetr po centymetrze podnosiły się oczy na żyłkach. Lśniły soczewki

przeszukujące wnętrze grobowca.

Po nieskończeniu długiej chwili Kenmuir usłyszał głos, kobiecy, słaby, jakby dobywał się z drugiego krańca przepaści, spadając i ciągnąc go za sobą.

– Mond... nie, Lars... o, Lars.

Nie spodziewał się takiego skurczu cierpienia.

– Wybacz – wyskrzecztał.

– Wujanso! – wrzasnęła Dagny.

– Co-co?

– Ciemno, ciemno i ciemno... – Rozpacz ustąpiła miejsca czułości. – Nie płacz, kochanie.

Mamusia tu jest.

Kenmuir zebrał się w sobie.

– Pani Beynac, proszę wybaczyć – wykrztusił, starając się o jak najstaranniejszą wymowę. –

Musiałem panią wezwać.

– Gdzie moje ręce? – jęknęła, podczas gdy oczy miały się na wszystkie strony. – Wezmę cię i przytulę, dziecko, wezmę, ale gdzie moje ręce? Usta? Mond?

– Wezwałem panią dla dobra pani ludu, krwi z krwi pani i jego. – Zastanawiał się, czy kłamię.

– Krew wypłynęła. Gdy otworzyli skafander, byłam cała rozlana.

– To było... dawno...

– Mała Juliana, cała z krwi... Nie, Juliana nie. Nigdy się nie urodzi, prawda? Już nie. – Dagny zawyła.

Kenmuir wiedział, że wspominała stare sprawy. Ale czy będzie w stanie przypomnieć sobie coś jeszcze?

– Droga pani Beynac, proszę posłuchać.

– Ryczy – szepnęła.

Uszkodzenie jakiegoś obwodu, pomyślał Kenmuir. Powoduje sygnał, który umysł, resztką umysłu, postrzega jako zgiełk. Głos w słuchawkach złagodniał.

– To ryczy morze. Grzywacze. Wiatr. Sól. Szczątki statków niczym olbrzymie kości. O, meduza, proszę, dla ciebie, wujanso. – Zaśmiała się cicho, z miłością.

– Pani – powiedział błagalnym głosem – czy wiesz, gdzie jesteś? – I kim jesteś?

– Lars... – Oczy znieruchomiały. Czuł, jak wpija w niego wzrok, jakby przebijała go nożami.

– Ale ty nie jesteś Lars – stwierdziła chłodno. – Jesteś nikim.

– Nazywam się...

– Lars, skasowałeś mnie, prawda?

Płomyk nadziei, bardzo nikły. Kenmuir nabrał powietrza.

– Muszę pani powiedzieć... Ale przyszedłem tu w dobrych intencjach. Na Księżycu znowu potrzebna jest pani pomoc.

– To miało się już nie powtórzyć – odparła lodowato.

– Obawiam się...

– Nie bój się. – Niespodziewana łagodność. – Mond nigdy się nie bał. Wrzeszczał: „Do diabła z tym!” i szarżował.

– Jak Anson Guthrie – odpowiedział Kenmuir, szukając każdej okazji porozumienia. –

Również w czasie, gdy stał się taki... jak pani.

– Sigurd też nigdy nie czuł lęku – mruzczała Dagny. – Uwielbiał niebezpieczeństwo. Śmiał się z jego powodu. To znaczy Kaino.

– Tak – odparł głucho Kenmuir – pani syn.

– Nie żyją. Zginęli na martwych skałach w przestrzeni kosmicznej. Mond i Kaino nie żyją.

– Wiem. – I zdesperowany dodał: – Właśnie po to tutaj przyszedłem. Pani posunęła się dalej.

Żyła dla wszystkich innych.

Zapis zaczął śpiewać, delikatnie i w skali minorowej:

On już nie żyje, pani. Nie ma go między nami, U głów mu rośnie trawa, U stóp wyrasta kamień.

Urwała.

– Tylko... tam nie rośnie żadna trawa.

– Ale może wyrośnie – podchwycił Kenmuir. – Jeśli nam pani pomoże, już ostatni raz.

Oczy patrzyły surowo, głos sposepniał.

– Lars obiecał.

– To prawda. Ale...

– Do Monda, mówiłeś, Lars. Że pójdę tam, gdzie jest Mond.

– Miał taką nadzieję, wierzył całym sercem. Zaśmiała się. Usłyszał nutkę goryczy.

– *Estupido*. Dagny tam poszła. Mogła. Duchy nie mają tej swobody. Jak mogłyby nabyć jakiegokolwiek prawa? Nigdy się nie urodziły.

– Jest pani Dagny Beynac – usiłował wyrwać ją z majaków. – Tak samo jak zasejwowany Anson Guthrie jest Ansonem Guthriem. Człowiek, jego duch.

– Guthrie? – Oczy zadrżały, głos ożywił się. – Wujanso? Jeszcze istnieje?

– Nie tutaj – westchnął Kenmuir. – W dalekim Centauru – sie. Upłynęły całe wieki, *madame* Beynac.

– A wiatr wiał i wiał – wyszeptała.

– Wieki.

– To z książki, którą czytałam raz w dzieciństwie. – Jakby w ogóle go nie słyszała. – Lorda Dunsany. Powiesili rozbójnika na wrzosowiskach i zostawili go tam samego. A wiatr wiał i wiał. Próbował zwrócić jej uwagę na konkretną kwestię.

– Tak, Lars Rydberg złamał dane pani słowo. W pewnym sensie. Miał nadzieję, że będzie pani mogła spoczywać w spokoju, zgodnie z własnym życzeniem, że nikt nigdy nie będzie musiał pani budzić. Ale ja muszę. Na chwilę, jedną jedyną chwilę. I muszę zadać jedno pytanie. – Czas pędził jak wiatr. Ile pozostało mu jeszcze minut?

– Gdzie twoja twarz, Mond? – zatrzeszczał głos. – Nie mogę już sobie przypomnieć twojej twarzy.

– Jedno pytanie, a potem dam pani spokój. Ale trzeba działać błyskawicznie, bo wszystko przepadnie.

– „Jesteś synem Dagny”, powiedziałeś Larsowi Mond. „Drzwi tego domu będą zawsze otwarte przed tobą na oścież”. – Czy cybernetyczna istota może płakać?

I Lars zdradził ich oboje, pomyślał Kenmuir. Ale czy na pewno?

Przyszedł mu do głowy pomysł, jakby zainspirowany przez blask gwiazd za drzwiami.

– Widziałem jego portrety, znaczy Edmonda Beynaca. Twarz miał szeroką i, i kanciastą, wysoko osadzone kości policzkowe i zielone oczy.

– Tak! – zawołała Dagny. – Tak, Mond, witaj! *Bienvenu, mon cheri!*

– Wskazał drogę ku Prozerpinie. – Kuł żelazo, póki gorące.

– Jak najbardziej!

Kenmuir mówił szybko, lecz zarazem żarliwie.

– Błagam, niech mnie pani wysłucha. Pani lud, wasi następcy, potrzebują Prozerpiny, strasznie jej potrzebują, a gdzieś się zagubiła. Pamięta pani, jak można ją odnaleźć?

– To po to mnie budziłeś? – Zapalała gniewem. Stał przed nią wyprostowany.

– Tak. Jeśli nawet nie potrafi mi pani wybaczyć, czy może mi pani pomóc?

– Przywróciłeś mi Monda – powiedziała ciepłym głosem. – Za to dziękuję.

– Powie mi pani?

– Poślesz mnie do niego?

– Tak. – Pochylił się nad plecakiem, rozwiązał kilka węzłów i podniósł młot. – Mam to. –
Musiał wykrztuszać z siebie każde słowo.

– To szybko – poprosiła – zanim na nowo go utracę. Zapadła cisza.

– Daleko, jakże daleko – westchnęła – długa to droga do śmierci. Ale Prozerpina przynosi
z sobą wiosnę. Jabłonie kwitną za domem mamy i taty...

Czy znowu zaczęła bredzić?

– Równania orbity! – ryknął Kenmuir.

– Cicho – upomniwała go. – Mój jaskiniowiec właśnie na nie poluje.

Czekał. Zza otwartych drzwi patrzyły na nich gwiazdy.

– Tak – odezwała się Dagny. – Już je mam. Dzięki, stary niedźwiedziu. – Wypowiedziała
ciąg liczb. – Zapamiętałeś je?

– Mam. – W magnetofonie i wypalone w mózgu.

– To dobrze – stwierdziła spokojnie. – Teraz to, co przyrzekłeś.

– Naprawdę chcesz...? – Opanowało go przerażenie.

– Dla siebie. I dla Larsa.

– Jestem ci to winien – usłyszał własne słowa. Palce zacisnęły się na stylisku. – Żegnaj, pani.

– Powodzenia – wypowiedziała życzenie niczym błogosławieństwo. Zabrzmiał rozkaz: –

Już!

Z całych sił zamachnął się młotem i spuścił go w dół. Skrzynia była twarda, lecz nie
przeznaczona do wytrzymywania takich ciosów, poza tym nadwątlilo ją promieniowanie. Pękł
organiczny metal. Żelazo roztrzaskało obwody.

Cisnął młot i, zataczając się, wyszedł z grobowca. Płonęły gwiazdy.

Nie, nie wolno mu płakać, poddawać się żalowi, nie ma na to czasu. „Kestrel” i Aleka

szybowali w przestworzach. Włączył radio. Miało zasięg dziesiątków tysięcy kilometrów,

a przestał się już przejmować, że ktoś ich usłyszy.

– Słyszysz mnie? – wzywał. – Odezwij się, odezwij.

– Tak – odpowiedział ukochany głos. – Jesteś chyba ranny.

– Zarejestruj je. – Wyrzucił z siebie liczby. – Masz?

– Tak.

– To w drogę.

– *Aloha au ia oe* – usłyszał. – Kocham cię.

Nie widział, lecz potrafił wyobrazić sobie, jak rakieta gwałtownie przyspiesza.

Opadł na regolit i czekał na ludzi Venatora. Nad łańcuch gór wychynęło słońce.

Statek Władz Pokojowych mknął ku Ziemi z przyspieszeniem równym połowie grawitacyjnego.

Był duży, miejsca starczyło na kilka kabin. W jednej z nich umieszczono samotnego Kenmuira. Drzwi były zamknięte na klucz. Strażnicy poinformowali go, że gdyby czegoś potrzebował, może dać znać przez interkom. Jak dotąd nie było takiej konieczności.

No, może przydałby się iluminator, żeby mógł popatrzeć na gwiazdy. Ciasne i ascetyczne pomieszczenie pozostawiało go sam na sam z natłokiem własnych myśli.

Po raz setny lub tysięczny zastanawiał się, jak doszło do tego, że został buntownikiem i mordercą. Czemu? Nigdy nie miał takich zamiarów, nie przewidywał tego. Wypadki toczyły się własnym rytmem, niemal jakby zyskały własną wolę. Czy taka była natura ludzkich dziejów?

Chaos... dziwaczne atraktory – ile z tego wszystkiego ogarniał sam Teraumysł? Ile pojmował Bóg?

Drzwi rozsunęły się i ukazała się w nich postać w niebieskim stroju. Kenmuir wstał z rozłożonej pryczy. Przez mgnienie oka tkwili naprzeciw siebie w milczeniu, dwaj wysocy i chudzi mężczyźni, jeden blady, drugi o ciemnej cerze.

– Witam, kapitanie Kenmuir – zagaił przybysz w anglo ze wschodniej półkuli.

– Pragmatyk Venator, nie mylę się? – odparł więzień. – Czyli nareszcie się spotkaliśmy. –

Oficer skinął głową.

– Chciałbym porozmawiać z tobą, póki jest okazja, w cztery oczy.

– W cztery oczy. Na pewno oglądają nas i słuchają twoje maszyny.

– Są również twoje. – Ludzkości.

– Obaj się mylimy. One są niczyje. – Roboty składające meldunki sofotektom, które w ostatecznym rozrachunku stanowiły tylko elementy wyższej inteligencji.

– Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Twoja wspólniczka jest twoja, ty jesteś jej, ale żadne z was nie jest niczyją własnością.

Coś poruszyło się w duszy Kenmuira. Przez ostatni czas odczuwał emocjonalną pustkę, ale okazało się, że jeszcze mu na czymś zależy.

– Co z Aleką? Czy możesz mi coś o niej powiedzieć?

– Aleka? – Venator uniósł brwi. – Aha, Alice Tam... cóż, miewa się znakomicie. – Na wargach zaigrał mu uśmiech. – Na nasze nieszczęście. Właśnie to chciałem z tobą omówić, jeżeli jesteś w stanie.

– Jestem, chociaż nie do końca mam ochotę. – Kenmuir wzruszył ramionami. – Policja na Lunie była... dość miła. Dostałem leki i odpocząłem.

Przynajmniej fizycznie. Umysł, dusza... Niepokój prysnął. Wróciła obojętność, która go ostatnio opanowała, być może dlatego, że bez jego wiedzy podano mu środki uspokajające, a może po prostu czuł się wyczerpany. Stał z boku na podobieństwo kartezjańskiej świadomości, która obserwuje koleje własnego losu.

– Może usiądziemy? – zaproponował Venator.

– Nie ma potrzeby. – Ani chęci.

– Napijesz się czegoś? Czeka nas długa rozmowa.

– Nie, nie chcę nic. – Co mogliby mu zaproponować na tym pokładzie?

– Możesz być pewien, że nic ci nie grozi – oznajmił Vena – tor. – Znalazłeś się w cywilizowanych rękach. – Rysy twarzy mu stężały, głos stwardniał. – Może nawet bardziej cywilizowanych niż sobie na to zasłużyłeś.

– Dyskusję o wartościach pozostawmy lepiej na później. Venator wrócił do łagodnego tonu.

– Sądzę, że czeka nas coś więcej niż dyskusja, kapitanie. Ale racja, najpierw powinniśmy zająć się stroną empiryczną. Mógłbyś mi powiedzieć, czemu ta, hm, Aleka nie zabrała cię z sobą,

uciekając?

– A nie jest to zrozumiałe samo przez się? Musiałbym odsunąć się na bezpieczną odległość, potem wrócić na statek, który dopiero wtedy mógłby wystartować. To zajęłoby około godziny.

A tyle czasu nie mieliśmy.

– Tak, to jasne. Godzina przy dwóch grawitacjach oznacza utratę siedmiu kilometrów na sekundę. Chciałem sprawdzić twój determinację. Pewnie nie powiesz mi, dokąd ona zmierza?

– Nie potrafię. Razem ze statkiem zdecydowały o tym już po moim odłączeniu się.

– Tak jak się spodziewałem – stwierdził spokojnie Vena – tor. – Nie sposób wyciągnąć z ciebie tego, czego nie wiesz. Zresztą nie ma to szczególnego znaczenia. Można się domyślić. Celem podróży nie jest z pewnością Mars, bo to groziłoby zbyt wieloma niebezpieczeństwami. W rachubę wchodzi kilka astero – id, ewentualnie jakiś zasiedlony przez Lunarian satelita Jowisza. Weszła na trajektorię, oszczędzając tym samym deltę v i zostawiając sobie więcej możliwości wyboru. Jeżeli nie obawia się naszego ataku i nie nabiera przyspieszenia, droga do obranego celu zajmie jej sporo czasu.

Po czym znajdzie się w zasięgu systemu przekaźników. Przystarzałe urządzenia łączności na „Kestrel” nie wysyłałyby sygnałów przez kilka jednostek astronomicznych; do odbioru potrzebny byłby sprzęt o wielkiej mocy; zresztą kto będzie tam nasłuchiwał? Gdzieś w pobliżu sygnały byłyby natychmiast rozpoznane. Być może wyląduje.

– Wasz plan, mimo że niewiarygodny, powiódł się – podjął Venator. – Wydaje mi się, że stało się to właśnie dzięki jego niebywałości. Nie możemy przechwycić Tam, zanim dotrze do celu, zresztą już zrezygnowaliśmy.

Tak, pomyślał Kenmuir, razem z Aleką dobrze ocenili prawdopodobieństwo. Statki władz wykonawczych były nieliczne i rozproszone po całym Układzie Słonecznym, ponieważ ich praca polegała

głównie
na
transportowaniu
personelu
i niesieniu
pomocy
ludziom

w niebezpieczeństwie. Poza tym nawet jeszcze dzisiaj jednostki klasy Sokół zaliczano do wysokonapędowych. Kosmos przemierzały z reguły roboty i sofotekty. Im rzadko potrzebna była energochłonna prędkość. To ludzie żyli krótko i niecierpliwie.

– Bo widzisz, nie chcemy zmuszać jej do pośpiechu – tłumaczył Venator. – Potrzeba nam czasu, żebyście sami przekonali się o głupocie waszych czynów, i to z dobrej i nieprzymuszonej woli. – Zmarszczył czoło. – Pomyśl tylko. Czy wydaje ci się, że zostaniesz bohaterem dzięki odkryciu jakiejś pomniejszej planetoidy, krążącej pośród komet? Zastanów się. Brutalne zniszczenie zasejwowanej Dagny Beynac wstrząśnie światem.

– Mówiłem policjantom, że wymogła na mnie taką obietnicę – westchnął Kenmuir.

– A trzeba jej było dotrzymać? – Kenmuir kiwnął głową.

– Już raz ją oszukano.

– Z korzyścią dla ciebie, jak się okazało. – Uśmiech Vena – tora stał się przez moment nieprzyjemny. Kenmuir skrzywił się kwaśno i zatoczył ręką koło po swojej celi.

– Nazywasz to korzyścią?

– Nie chciałem przez to powiedzieć, że chodziło ci o korzyści osobiste. Przyznaję, że nie pojmuję twojej motywacji, zresztą sądzę, że ty również masz z tym kłopoty.

I Kenmuir znów odniósł wrażenie – odrażające, krzyczał mu do ucha zdrowy rozsądek – że

razem z Aleką stali się narzędziem jakiejś ślepej siły, która jeszcze ich potrzebowała, zresztą sami stali się jednym z jej źródeł. Ale lepiej skupić się na chwili obecnej. Mógł przecież skorzystać z tego, że myśliwy miał ochotę rozmawiać.

– Jaka jest sytuacja na Lunie? – spytał.

Przesłuchujący go tam funkcjonariusze nie wspominali o żadnych nowinach. Głos Venatora złagodniał, mężczyzna przybrał swobodniejszą pozę.

– Cóż – zaczął, jakby sprawa była interesująca, lecz raczej pozbawiona znaczenia – pani Lilisaire sprawiła nam mnóstwo kłopotów, w czym z zapałem dopomogli jej niektórzy współziomkowie. Na szczęście uniknęliśmy większych szkód i ofiar po obydwóch stronach i sytuacja się już uspokoiła. Oficjalnie Selenarchowie siedzą w areszcie domowym.

W rzeczywistości trwa niepewny rozejm. Skutki w znacznej mierze zależą od ciebie, mój drogi.

– Jak to?

– Ciągłe możesz powstrzymać lawinę, którą wywołałeś. – Venator spowaźniał. – Tam nie odpowiada na nasze wezwania, lecz „Kestrel” na pewno je wychwyciła i bez wątpienia powiadomi kobietę o każdej wiadomości od ciebie.

– A co miałbym jej powiedzieć? – W obecności maszyn z pewnością nie to, że chyba ją kocha.

– Ty i tylko ty możesz sprawić, że zawróci i nie zdradzi sekretu Prozerpiny.

– Po co?

– Widzisz, można zrezygnować z zarzutów przestępstwa albo postarać się o ułaskawienie.

W duszy Kenmuira znów zakipiały emocje. Najgwałtowniejszą spośród nich był gniew.

– Posłuchaj – zaczął. – Ani ona, ani ja nie mieliśmy zamiaru zostawać żadnymi męczennikami. Układ Słoneczny sam uzna, czy zrobiliśmy źle, gdy i jeśli wieść się rozpowszechni. Pomimo... – głos mu się załamał – ...zasejwowanej Dagny... gdy to również się

wyjaśni... liczę na ulaskawienie przez ludzkość.

– Oszczędź nam retoryki – zakpił Venator. – Wykalkulo – wałeś sobie, iż rząd znajdzie się w tak niezręcznej sytuacji, że puszczenie płazem waszych wykroczeń będzie najlepszym rozwiązaniem, natomiast radykalni Lunarianie zaczną zbierać się do odlotu na Prozerpinę. W zamian za to nie wspominalibyście o żadnych nieprawidłowościach, których byśmy się dopuścili.

– Tak – skinął głową Kenmuir. – Mniej więcej coś takiego próbujemy wywalczyć.

– O ile wiem, interesujesz się historią. Powiedz mi: w odniesieniu do ilu dawnych rządów tego typu rachuby okazałyby się racjonalne?

Zdumiony Kenmuir stał bez słowa, by wreszcie wybełkotać:

– Sam nie wiem. Pewnie w odniesieniu do żadnego.

– Zgadza się. Już byś nie żył, chyba że wolelibyśmy najpierw poddać cię torturom. Gdyby nasz sekret wyszedł na jaw, spacyfikowalibyśmy wzburzonych Lunarian, w razie potrzeby nawet ich eksterminując. Ludziom ogłosilibyśmy, że wasza rewelacja była kłamstwem zmyślonym przez złoczyńców. Rozwodzilibyśmy się, wylewnie wyrażając swoje uczucia, jaką to przysługę oddaliśmy ludziom, unicestwiając nieczne knowania wrogów państwa. Ale propaganda nie byłaby w całości naszego autorstwa. Znalazłoby się mnóstwo dziennikarzy i intelektualistów, którzy zechcieliby wkraść się w nasze łaski, produkując i rozpowszechniając takie tezy. Wielu z nich byłoby nawet szczerych.

– Cóż...

– Tak się jednak składa, że nic ci nie grozi, a Tam leci sobie swobodnie, ponieważ uznaliśmy, że śmiertcionośna broń masowej zagłady nie będzie już nigdy potrzebna. Powinieneś dziękować cyberkosmosowi, Kenmuir. Mógłbyś okazać nieco zaufania, wdzięczności.

– Ale naruszyliście Przymierze! – zaoponował kosmonauta. – I... i... – I co? W gruncie

rzeczy jak poważnym wykroczeniem jest ukrywanie jednej informacji?

– Sytuacja jest napięta – oznajmił Venator. – Mam nadzieję cię o tym przekonać, dopóki nie jest jeszcze za późno.

– Założmy, że ci się uda – odpalił Kenmuir. – Jak miałbym przekonać Alekę?

Lekami i zerowaniem mogliby wycisnąć z niego każde hasło lub kod. Każdy jego obraz na ekranie telefonu mógł okazać się sztuczny w świecie, w którym wszechwładnie panowała rzeczywistość wirtualna.

Venator zawahał się. Gdy przemówił, robił to wolno, a czy ta jego szczupła twarz nie zwężała się jeszcze bardziej?

– Powinna cię chyba wysłuchać i zaufać ci, prawda? Co do tego, jak ma poznać, że to faktycznie ty... – Odwrócił głowę, jak gdyby chciał wzrokiem przebić metal i ujrzeć gwiazdy i Ziemię. – Intuicja podpowiada mi, że jesteście kochankami. Wszystkie te intymne szczegóły, charakterystyczny dla was język ciała, małe zdarzenia, zapomniane przez jedno, dopóki nie przypomni mu o nich drugie, ta całość, która powstała nawet w tym krótkim czasie, jaki był wam dany... gdybyśmy wycisnęli z ciebie to wszystko, zmieniłbyś się w warzywo. A czy zdołalibyśmy napisać odpowiedni program z wygenerowanym obrazem? Możliwe, że stać na to Teraumysł. Być może zresztą nie. Przypuszczam jednak, że potrafiłby tak przeprogramować twój mózg, że stałbyś się jego czcicielem. Z zapalem i z własnej woli spełniałbyś wszystko, co by ci rozkazał. Uniósł rękę.

– Nie obawiaj się. Niezależnie od etycznych aspektów unicestwienia umysłu, czas nie pozwala nam ani na stworzenie twojej starannej imitacji, ani na wywrócenie cię na nice. Jesteś nie elektro – fotonowy, lecz organiczny i tkwi w tobie cała ta inercja substancji materialnej. Interakcje molekularne zachodzą w tempie zgodnym z prawami wszechświata, a tych Teraumysł nie pisał. – Przycisnął zaciśnięte pięści do boków. – Wyłumacz to wszystko tej swojej Alece.

Pozna cię po tym, co macie z sobą wspólnego, a co ja odmówiłem samemu sobie. – Uśmiechnął się i dokończył, już lekko: – Czyż nie jest ironią losu, że w tak rozstrzygającej chwili cyberkosmos musi apelować do najstarszej, najbardziej prymitywnej siły pośród wszystkich świadomych form życia?

Kenmuir oblizwał zaschnięte wargi.

– Jeżeli faktycznie możecie przeciągnąć mnie na swoją stronę. Venator popatrzył na niego badawczo.

– Ja nie mogę. Ale prowadzę cię ku Teraumysłowi.

Ogromna i mroczna przestrzeń – jakaś komora? Wzrok nie sięgał jej krańców ani pułapu.

Płonące linie wznosiły się łukami, po czym na powrót opadały, niektóre tuż obok siebie, inne oddalone o kilka metrów. Z pewnej odległości tworzyły jakiś układ, nieznanymi Kenmuirowi hieroglif.

Powietrze pozbawione było ciepła, zimna, zapachu i dźwięku.

Przeniesiono go tu, gdy spał w Centrali, dokąd przywiózł go Venator. Nie uprzedzony, lecz niezbyt zdziwiony widział, że znalazł się w pozycji półleżącej w swego rodzaju sieci, z której wychodził szereg wypustek stykających się z jego nogami, rękami, czołem i skrońmi. Ubranie i skóra były albo zalane światłem, albo same emitowały nieznaczny, białawy blask. Ogarnął go całkowity spokój, choć z drugiej strony był czujny i napięty jak nigdy, panując nad ciałem i umysłem. Miał wrażenie, że czuje każde poruszenie w naczyniach krwionośnych, nerwach i mózgu. Z powagą oczekiwał tego, co miało nastąpić.

Naprzeciw niego w podobnej pozycji leżał Venator; oczy myśliwego były co prawda otwarte, lecz niewidzące, oblicze zmieniło się w rodzaj maski. Co widział, jaką zdobył wiedzę?

Obecność Teraumysłu, pomyślał Kenmuir, bliskość głównego motoru napędowego – tyle że Teraumysł nie był żadną konkretną maszyną czy istotą. Stanowił szczyt cyberkosmosu, naczelną kombinację, którą to funkcję w przypadku człowieka pełnił mózg. Nie, analogia jednak kulała. Wszystkie maszyny w pewien sposób wywodziły się z Teraumysłu tak jak mężczyźni i kobiety z Brahmana, a dusze synojontów tęskniły za powrotem na jego łono.

Ale Kenmuir zdawał sobie sprawę, że nie ma tu miejsca na pozostającą w bezruchu ostateczność. Sztuczne inteligencje, które postawiły sobie za zadanie stworzenie inteligencji nadrzędnej, nie miały takich zamiarów: oto cały cyberkosmos ewoluował. Jego myśli przekraczały granice ludzkiej wyobraźni. Jak daleko odbiegną od nich za sto, milion lat?

Wargi Venatora rozchyliły się.

– Ian Kenmuir – powiedział z powagą. Czy to Teraumysł przemawia przezeń niczym przez wyrocznię?

– Jestem gotów – odparł.

Nie przychodziły mu do głowy żadne zwroty grzecznościowe; każdy byłby kpina z takiej sytuacji.

– Rozumiesz, że nie jesteś ani sofotektem, ani synojontem. Znajdujesz się na zewnątrz.

Dlatego w miarę swoich możliwości utworzę łączę między wami.

Gdyby nie to, czy Kenmuirowi pokazano by jakiś dyskurs, obrazy, grę cieni? Poprzez

Venatora, posiadającego ludzkie ciało, być może zdoła pojąć, poczuć to, czego sam nieludzki byt nie potrafiłby przekazać.

– Pytaj, o co chcesz – odezwał się głos.

– Wiesz, co doprowadziło nas do buntu – zaczął równie cicho Kenmuir. – Czemu ukrywałeś Prozerpinę?

– Odpowiedź jest złożona.

A czy prawdziwa? – pomyślał zbuntowany proch.

– Rozstrzygniesz to sam ze sobą – odparł głos. Prawda zrozumiała sama przez się, czekająca na końcu drogi rozumowania? Ale czy zdoła przemierzyć tę drogę do samego końca?

– Słucham. Patrzę.

Przez twarz i głos Venatora przemknęło coś w rodzaju śladu uczucia. Bólu, tęsknoty?

– Mamy wspólne wspomnienia.

W mroku załśnił obraz Lilisaire, tak żywy, że nawet Kenmuir wstrzymał oddech. Suknia szeleściła i falowała, skrywając smukłość kobiety. Kocim ruchem Lilisaire odwróciła się w jego stronę. Ciemnorude, płomienne włosy opadły na białe ramiona, na błękitną żyłkę na szyi.

Uśmiechnęła się do niego wielkimi, matowymi, przybierającymi różne odcienie złota i zieleni oczami i ustami, które doskonale pamiętał. Czy mruczała jak kot, czy wołała?

Kolejne obrazy przemknęły przed oczami i rozwiały się. Nie miał przed sobą dokumentu, sekwencji obrazów czy montażu, lecz strumień snów. Pod spokojną powierzchnią czuł ból. Nie miał ochoty na wyliczanie jej kochanków, zrad, mężczyzn, których zabiła i kazała zamordować, za których wyszła i których usidliła, mężczyzn, których naginała do swej woli i zwodziła na szlaki, gdzie błądzili, myleni jej lodowatością, wybuchającą za chwilę płomieniem, lecz wiecznie pozbawioną wyrachowania i litości, jej dzikością.

– Uroda i nieskończona ambicja, nieskończenie niebezpieczna – wyszeptał głos.

– Nie – zaprotestował Kenmuir. – Niemożliwe. Jedna śmiertelna kobieta...

– ...którą okoliczności uczyniły wcieleniem całego rodu.

Obrazy dziejów. Lunariańska zarozumiałość, nieprzejednanie, całkowite bezprawie, rozdarcie bezlitosnymi intrygami w kosmosie, morderstwa, potworne groźby. Suweren Selenarchii oddalający swój lud od reszty ludzkości. Plan Rinndalira, żeby zniszczyć cały porządek świata dla samej destrukcji. Niolente podżegająca do buntów na Ziemi i wojny na Księżycu, ginie jak zaszczute zwierzę pośród ruin tajemnicy, którą jej ród przechowywał przez stulecia. Lilisaire, znowu Lilisaire.

– Nie! – zawołał Kenmuir, a spokój jego wnętrza prysł jak bańka mydlana. – Nie skażę na zagładę całej rasy. – Przełknął ślinę. – I nie chce mi się wierzyć, że masz taki zamiar.

– Nigdy. Czy mamy przeklinać skok tygrysa? On także jest częścią życia.

Potem senny obraz jakiegoś świata. Wyładowania atmosferyczne wytworzyły azot, dzięki któremu wyrósł las. Pod drzewami mięsożerca chwycił ofiarę, tym samym zapewniając dobrobyt stadu, którego rozmiar nie przekraczał możliwości wyżywienia przez ziemię. Morze, które pochłaniało kilka statków, unosiło wszystkie inne, w jego głębinach pływały wieloryby, nad nim

trzepotały skrzydła. Zwłoki gniły, by odrodzić się w postaci trawy i kwiatów. Padał śnieg, topniejący na wiosnę i nawadniający grunt.

Przeleciało jakieś widmo, pozostawiając pustynię i nagie skały w miejscu, gdzie wiatr i deszcz zmyły glebę. Rzekę nappełniły trucizny. Powietrze wyżerało płuca. Hordy ludzkie siały wokół spustoszenie, jakiego nie dokonały nigdy stada szarańczy; w kanałach i na ulicach, gdzie niegdyś ptaki budowały gniazda, przemykały teraz szczury.

Ale to minęło, czy też prawie minęło, a Ziemia rozkwitła na nowo. Las i tygrysy zawdzięczały ocalenie cyberkosmosowi – tak, ludzka determinacja była niezbędna, lecz bez techniki zmiany wywołałyby katastrofę, a cyberkosmos, dzięki radom i coraz bardziej spektakularnym zwycięstwom nad siłami zniszczenia, podtrzymywał w ludziach wolę zmian. Przed oczami Kenmaira znów pojawił się tygrys. Wizja dobiegła końca. Leżąc wśród lśniących łuków, usłyszał:

– Tak samo Lunarianie, którzy dokonali licznych wspaniałych czynów, powinni złączyć swe siły z resztą ludzkości, by przyczynić się do kształtowania jej przyszłych losów.

Spokój, który odzyskał, nadal służył jednak jego jaźni, umysłowi.

– To prawda, ale czy to wystarczy? Czemu każda gałąź ludzkiego rodu musi wyrastać na taką samą? I w ogóle na jaką?

– Nie na jedną i tę samą. Ile tylko konarów i rozgałęzień upodobacie sobie ty i twoi następcy.

Zastanów się. Kogo zmusza się do czegokolwiek? Czy na Ziemi nie panuje taka sama lub większa różnorodność niż przedtem?

Tak, zgodził się Kenmuir, i nie chodzi tylko o społeczeństwa i jednostki, które nie żyją pod żadnym przymusem, lecz także o naturę, która odzyskała swoje bogactwa, od niedźwiedzi polarnych na biegunach po bizony i antylopy na równinach, od szybujących w przestworzach sokołów po buszujące w dżungli pawie, od palm po sosny, od górskich szczytów do morskich

głębin.

Głos podjął:

– Czy nie powinniście się jednak kierować rozumem, współczuciem i szacunkiem?

W przeciwnym wypadku spadniecie poniżej poziomu małp, które przynajmniej postępują w zgodzie ze swą naturą, a waszą wrodzoną umiejętnością jest myślenie.

Kenmuir odruchowo przypomniał sobie o innych wrodzonych cechach, na których tle świadomość była bladą iskrą. Ale lepiej nie zapuszczać się w takie rejony. Trzeba wracać do kwestii, która go tu sprowadzała.

– Czemu nie chcesz, żeby wszyscy dowiedzieli się o Prozer – pinie? Obawiasz się garstki Lunarian na odległej asteroidzie?

Niemal pożałował, że wypowiedział tak absurdalną myśl. Po chwili doszedł jednak do wniosku, że dobrze się stało.

Odpowiedź była pełna śmiertelnej powagi. Przyszło mu do głowy, że Teraumysł może pozwolić sobie na cierpliwość, nawet grzeczność.

– Oczywiście, że nie – jako takich. Należy się za to obawiać ducha, którego mogliby wskrzesić. W ostatecznym rozrachunku losy wazą się bowiem w duchu.

– Nie... nie rozumiem – wyjąkał Kenmuir.

Nie chodziło chyba o żadne bzdury typu przewaga ducha nad materią.

– Duch faustowski. Tu, na Ziemi, jeszcze nie skonał; żyje, bez rozgłosu i wsparcia, w Lunarianach – i kwitnie na Alfa Centauri.

Kenmuir nie miał pojęcia, czy obraz Demeter wyłonił się z mroku czy z pamięci. Ile to razy sycił się wizjami przesyłanymi przez kolonistów oddalonych o całe lata świetlne? Jaką część jego osoby stanowiła gorzka lub nostalgiczna zazdrość? Zagubiony w marzeniach, potrafił zdobyć się tylko na pytanie:

– A co w tym złego? – Bo dostrzegał jedynie chwałę, odwagę i nieuniknioną tragedię.

– To był i jest duch, który nie godzi się na ograniczenia, na żadne hamulce dla własnych pragnień i dążeń. Przodkowie tamtych ludzi nie chcieli pokojowo współżyć z władzami, które rozgniewali, mimo że proponowano im pokój. Nie potrafili się na to zdobyć, ponieważ nic ich nie zadowalało. Dlatego woleli odlecieć, paląc za sobą mosty, do świata, o którym wiedzieli, że jest skazany na zagładę. A teraz ich potomkowie nie chcą pogodzić się z tą zagładą.

– A mają jakiś wybór? – westchnął Kenmuir.

Czyż powinni pogodzić się z losem, czerpiąc wątlą otuchę z faktu, że śmierć czeka dopiero za kilka stuleci? Wysłanie kilku zahibernowanych ciał w tę odległą podróż pochłonęło wszystkie środki Ognistej Kuli, która znajdowała się wówczas u szczytu potęgi. Na Centauri mogli już tylko czekać; a jaki byłby sens całego przedsięwzięcia, gdyby choć kilkoro nie wróciło w pobliże Sol? Odległość od następnego świata, który być może nadawał się do zasiedlania, była zbyt wielka; promieniowanie podczas lotu mogłoby wyrządzić niepowetowane szkody. Tak, cybernetyczne zapisy mogły lecieć. Zasejwowany Guthrie badał rejony tamtejszych gwiazd. Lecz niewielu ludzi godziło się na zasejwowanie. Ci zapisani mogli z równym powodzeniem pozostać na swoim słońcu w towarzystwie mieszkających na asteroidach Lunarian; sadyba równie nieistotna co osamotnione na Oceanie Spokojnym Rapa Nui, do którego nie przyływały już żadne łodzie.

– Jeszcze o tym nie wiedzą – oznajmił głos – lecz odnaleźli drogę ku ocaleniu.

– A ty skąd wiesz? – zapytał Kenmuir. – Przecież tobie na tym nie zależy, bo i po co?

– Przyznaję, iż Teraumysł powtarza im – tak jak ludziom tutaj – że niezbyt się nimi interesuje, tak samo jak nie interesuje się całą resztą świata empirycznego. Nie jest to tak do końca prawdą. Nawet jeśli znamy już ostateczne prawo fizyki, nie są nam znane permutacje materii i energii. Dlatego sondy przeszukują międzygwiazdne przestrzenie. Centaurian natomiast

obserwują niewidoczne dla nich mikrosondy.

To zabolalo. Czy wobec tego cyberkosmos kłamał?

Na ranę służył balsam spokoju. Na pewno jest po temu słuszny powód, który pozna w odpowiednim czasie. Jaki człowiek jest cały czas szczery, zwłaszcza wobec tych, których kocha? Pozory są nieodłączne od samej myśli. Trójwymiarowe przestrzenie rzutują się na dwuwymiarowe powierzchnie; już samo to jest uproszczeniem, ponieważ mapa nie jest płaszczyzną euklidesową. Dla obliczenia orbit krótkoterminowych przyjmuje się, iż planety są punktami masy, ignorując całą resztę galaktyki. Zakłada się wielką firmę, a prawo traktuje ją jak osobę. Mówi się o społecznościach i ludzkości, mimo że istnieją jedynie jednostki. Mówi się o jednostkach, mimo że ciało składa się z wielu organizmów, a umysł stanowi zintegrowany zespół działający na wielu poziomach...

«– Ale otrzymujemy od nich jakieś wiadomości – zaryzykował.

Mimo że chłonał je łączywie, dopiero w tej chwili uświadamiał sobie w całej pełni, że były niezmiernie sporadyczne, bardzo skąpe. Z początku w obydwie strony wędrowały obfite relacje, ale potem... Cóż, zapewne nie było zbyt trudno zniechęcić kolonistów. Mieli na głowie tyle innych spraw. Mieszkańcy Układu Słonecznego również mieli swoje troski i na poły zapomnieli o granicach znanego im świata i nie zbadanych terytoriach, leżących jeszcze dalej...

– Tworzą symbiozę... – Zamiast synojozy – ...organizmu i maszyny?

– Tak. Matkę Demeter.

Tym razem obrazy były jasne, trwały na tyle długo, że mógł je pojąć, na dodatek przemawiały. Mówiły o obcym układzie, biokosmosie, stanowiącym integralną część ekosystemu naturalnego. Naczelny umysł był nie cybernetyczny, lecz ludzki, zasejwowane osobowości odzyskiwały tym sposobem życie, zaś Gaja była nie transcendentna, lecz immanentna i świadoma siebie samej. Strzegła życia i kierowała nim. Była życiem.

Po pewnym czasie Kenmuir wyszeptał:

– I co w tym takiego strasznego?

– Dzięki temu ocaleją koloniści na Centauri – odpowiedziały usta Venatora. Jego oczy patrzyły niewidzącym wzrokiem w głąb umysłu. – Matka odkryje, że potrafi dokonać tego, co dzisiaj jest niemożliwością, i przywróci zasejwowaną osobowość odtworzonemu ciału. Planeta Demeter musi umrzeć, lecz jej ziarno wykiełkuje pośród gwiazd.

Kenmuira przebiegł zimny dreszcz.

– Tak – stwierdził głos... (czy ze smutkiem?) – czerpiesz z tej wizji natchnienie, stajesz jakby wobec cudu.

– A czemu by nie? – Na nowo budził się bunt.

– Ta wizja, ten czyn jest do szpiku kości faustowski. Podobny charakter miałyby osiedle na Prozerpinie; na znacznie mniejszą skalę, lecz tej samej natury, na dodatek oddalone nie o całe lata świetlne, lecz położone tutaj, skąd ich broń sięgałaby Ziemi.

Na twarzy Kenmuira malowało się zdumienie.

– Słuchaj uważnie – ciągnął głos. – Twój gatunek zawsze walczył, jak wszystko, co żywe, o byt i jego poprawę. Jako jedyni nie dopasowaliście swojego życia do rzeczywistości, podporządkowując świat sobie. Oswoiście ogień, zwierzęta i rośliny uprawne, ruszaliście na wyprawy badawcze, robiliście wynalazki, opanowaliście całą planetę. Pokolenie za pokoleniem zmieniało krajobrazy w twory ludzkie.

Zawsze pozostawało jednak poczucie granicy, pokora, lęk przed bogami i *nemesis*, która następuje po *hubris*. Żyliście wpleceni w cykl pór roku, ze świadomością, że jesteście śmiertelni, a gdy zobaczyliście zniszczenie starego porządku, opłakiwaliście go. Napastnicy, którzy mordowali, palili i brali niewolników, mieli własny porządek, swoich bogów. Każdy mit, według którego żyliście, przestrzegał przed tym jednym krokiem za daleko, zbyt wielką dumą.

Ale zrodził się duch faustowski. W micie Faust podpisuje ze Złym cyrograf, w zamian za co uzyskuje nieograniczoną potęgę. Na koniec traci duszę. Istnieje jednak ciąg dalszy, w którym powraca i odkupuje swoje winy, nie poprzez pokutę, lecz przeprowadzenie prac technicznych, które powstrzymują fale powodzi i sprawiają, że zaczynają one być posłuszne człowiekowi. Mimo to cywilizacja faustowska wyrosła z młodzieńczej skromności. Matematyka sięgnęła z jednej strony najmniejszych wielkości, a z drugiej wielkości nieskończonych i pozaskończonych. Fizyka dotarła do atomu i gwiazd. Biologia przeniosła życie ze sfery tajemnicy do chemii, dochodząc do zasejwowania duszy. Jednocześnie ludzkość podbiła Księżyc i planety poza nim. To właśnie ten duch nie znał i nie zna granic, nie uznaje żadnych ograniczeń, robi, co chce, bo tego chce, po czym wypatruje czekających go w przyszłości nowych zwycięstw. Podbił wszystko, unicestwił wszelkie najdrobniejsze różnice, stworzył państwo totalne i mało nie zniszczył całej rasy.

Kenmuir leżał przez chwilę w milczeniu, wreszcie powiedział, starannie dobierając słowa:
– Nie mogę przyjąć takiej interpretacji. – Nie pozostało mu nic innego, jak przeciwstawić się swoim małpim mózdzkiem Teraumysłowi. – Chodzi ci o produkt Europy, zachodnie chrześcijaństwo, prawda? W żadnym momencie nie było gorsze od całej reszty ideologii, miało po prostu większą władzę. A zyskało ją dzięki nauce, która się zeń zrodziła, zarazem umożliwiając zwalczanie chorób i głodu, zrozumienie świata przyrody i sposobów ocalenia go. Wszyscy inni również niszczyli naturę, może mniej gwałtownie, lecz szkody były zawsze nie do odrobienia. Ta kultura zniosła niewolnictwo i zrównała kobiety z mężczyznami. To ta cywilizacja – czy, jak wolisz, duch – stworzyła niezbywalne prawa jednostki, życie, wolność i dążenie do szczęścia. Dała nam planety i może dać nam jeszcze gwiazdy.

Nigdy nie podejrzewał, że potrafi tak przemawiać. Nie nadawał się na retora. Jakże to subtelne siły przenikały przez jego skórę, budząc drzemiące w nim zdolności? Teraumysł gra uczciwie, pomyślał.

– To, co mówisz, jest równie prawdziwe jak to, co usłyszałeś – stwierdził głos. – Mimo to oznacza wieczny brak jedności, walkę, chaos.

– Co innego... czego można by chcieć?

– Jedności. Harmonii. Pokoju, noosfery, wreszcie noo – kosmosu.

Znów zjawą, widzenie. Nieśmiertelna inteligencja, wiecznie wykraczająca poza samą siebie, do momentu, gdy jej twory i pojęcia przemogą materialny wszechświat.

Musi badać, odkrywać, czerpać natchnienie z kosmosu jeszcze przez miliardy lat. Na razie nie sposób było wyliczyć przeznaczenia galaktyk. Mimo to rządzące nimi Prawo jawiło się już w miarę jasno; tajemnicą pozostawały jeszcze tylko jego wielorakie objawy, ale z każdym nowym doświadczeniem rosnąć będzie umiejętność przewidywania następnego.

Uparcie brnąć poza czasem, sofotektyczne ziarno kiełkuje w przyszłość. Niepotrzebne mu planety, podłoże, podboje, tylko odrobina substancji, dzięki której mogłoby się rozmnażać.

A każdy z zarodników, każdy cyberkosmos i Teraumysł były połączone z całą resztą. Przy prędkości światła komunikacja na skalę galaktyczną zajmowała tysiąclecia, między galaktykami – miliony lat. Cyberkosmosy miały jednak cierpliwość, która bierze się ze spokojnej pewności. Przestała też istnieć śmierć.

Kosmos rozszerzał się. Gwiazdy starzały. Ostatnia się dopalała. Zimno zbliżało się do absolutnego zera. Resztki swobodnej energii promieniowały z rozpadających się czarnych dziur i cząstek materii. Inteligencja musi użytkować tę energię równie powoli; dopełnienie myśli może potrwać miliardy lat. Jednak umysły poszczególnych galaktyk przybliżały się do siebie w podobnym tempie. Były od siebie oddalone zaledwie o myśl. W miarę jak upływały biliony lat,

dzielące ich odległości nieskończenie się zmniejszały. Złączyły się w jeden, najwyższy intelekt, który wypełniał rzeczywistość. Wszechświat nie był ani martwy, ani mroczny. Żył i promieniował duchem.

Pewność nie jest całkowita. Mimo licznych dowodów i naszego najmocniejszego przekonania, wszechświat może dotrzeć do krańców swojego rozwoju. Inteligencja jednak pozostanie nieśmiertelna. W obrębie skończonego czasu może zajść nieskończona liczba zdarzeń, można pomyśleć niezliczoną ilość myśli i wyśnić *infinitum* snów. Niezależnie od tego, czy przekształcenie skuje ją lodem czy rozpali ogniem, świadomość przetrwa i będzie ewoluować na wieki.

Jednak na długo przed tą chwilą jej uwaga odwróci się od poczwarki materii i energii. Pozna wszystko, co istnieje i jest możliwe; rozważy to, pojmie i z miłością odłoży na bok. Wieczność wypełnią własne twory świadomości – sztuka, matematyka, inne przedsięwzięcia, niewyobrażalne jeszcze przez wiele stuleci. A na końcu było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo.

Kenmuir leżał w milczeniu.

– Widziałeś już to proroctwo – stwierdził głośno.

– Tak – przyznał – ale nigdy w takiej postaci. – I po chwili dodał: – Jak... ludzie... mogliby zagrozić... czemuś takiemu?

– Bo jest to natura rzeczy, sięgająca głębiej niż chaos. Chociaż ulotne zmiany mogą mieć ogromne i niewyobrażalne skutki, system posiada swoje atraktory, fundamentalny porządek, dzięki któremu można przywrócić zachwianą równowagę. Chcąc poznać naturę niebezpieczeństwa, musiałbyś osiągnąć prawdziwą synojozę, która i tak zapewniłaby ci tylko niejasną i cząstkową introspekcję. Ale pomyśl. Przypomnij sobie wiadomości z fizyki kwantowej. Rzeczywistość jest jedna, lecz wieloraka. Przeszłość i przyszłość stanowią

nierozłączną jedność. Oznacza to jednak, że nie są dokładnie poznawalne. Cząstka może przemieścić się z punktu do punktu jedną z niezliczonych dróg; niektóre są bardziej prawdopodobne, lecz fakty ustala jedynie obserwacja. Stan jednej cząstki, gdy zostanie już określony, determinuje stan innej, choćby były od siebie oddalone o miliony lat świetlnych, tak że nie mogą między nimi zajść relacje przyczynowo-skutkowe. Tym sposobem obserwator i przedmiot obserwacji, istnienie i jego sens są całością, a funkcję falową wszechświata cechuje taka sama niepewność jak funkcję pojedynczego elektronu.

– Nie, nie rozumiem. – Potrząsnął głową Kenmuir. – Nie potrafię. Chyba że chcesz przez to powiedzieć, że... ludzki umysł także nie jest przypadkiem, że stanowi aspekt rzeczywistości równie istotny jak... twój umysł...

Otrząsnął się. Nie był ani sofotektem, ani synojontem, nie był nawet filozofem. Musi zadowolić się świadomością, iż Teraumysł ma powody obawiać się jego rasy. (Obawiać się? Szanować? Takie słowa są tu do niczego nieprzydatne). Zadowoli się przyziemną rzeczywistością ciała i krwi.

– Odnoszę wrażenie, że masz na myśli – zaczął bardzo ostrożnie – iż my, ludzie, możemy robić, co nam się podoba, a ty będziesz nam pomagał, doradzał, troszczył się o nas... dopóki nie zagrozimy istocie twojego istnienia.

– To niemożliwe. Za późno. Twoja rasa penetruje już gwiazdy.

Kenmuirowi przyszła do głowy przerażająca myśl. Teraumysł mógłby zbudować i wysłać pociski, które unicestwiłyby Matkę Demeter, nim zdążyłyby opuścić ją jej dzieci. Nie! Jeśli dotychczas tak się nie stało, to znaczy, że Teraumysł tego nie chciał. Lub nie był w stanie tego dokonać. Silił się na suchy ton:

– A co powiesz o nas, tu, w domu?

– W należącej do Umysłu przyszłości przyłączycie się z taką samą radością i rozkoszą, jak ja

– Venator – chociaż w większym stopniu.
– Staniemy się częścią cyberkosmosu?
– Za wiele tysiącleci. Wtedy świadoma Ziemia będzie gotowa do starcia z tamtejszą obcą istotą.

– Masz nadzieję, że starczy ci sił – sił intelektualnych, nie fizycznych – by dać sobie z nią radę. Oswoić. Wchłonać.

– Nie. Liczę na to, że sama się do nas przyłączy.

– Czy będzie to takie trudne? Co się wtedy zmieni?

– Dużo. Dopóki obydwie strony pozostają wierne swemu przeznaczeniu, nie da się zlikwidować dzielącej ich przepaści. Matka Demeter to starożytne życie, biologiczne, organiczne. W jej świecie materia nieorganiczna, maszyna jest pomniejszą częścią, środkiem służącym przetrwaniu. Na zawsze pozostanie częścią wszechświata materialnego, nieokiełznanego, chaotycznego, śmiertelnego. Jej intelekt nigdy nie osiągnie czystości i całkowitej swobody.

Kenmuir miał osobliwe poczucie, że jest myśliwym podchodzącym do majestatycznej ofiary.

– Ale pójdzie drogami, których nigdy nie przemierzysz, których nie możesz sobie wyobrazić, ponieważ ich nie czujesz. Boisz się tego? Ona umrze wraz z gwiazdami, a ty przetrwasz. Mam rację? Czy w czasoprzestrzeni nie starczy miejsca, żebyście do tego czasu istnieli obok siebie?

Cisza. Oblicze Venatora stało się podobne do trupiego. Kenmuir był ciekaw, co się pod nim kryje. Usłyszał: „Nie. Rzeczywistość jest jedna. Ona ją ukształtuje tak, jak ja. Zmieni się w coś nieprzewidywalnego, bez przeznaczenia, coś innego niż Ostateczność, która jest moim celem i sensem”.

Odepchnął te słowa. Były zaledwie stworzonymi przez niego obrazami, nie różniącymi się zbyt wiele od starożytnych mitów o słońcu jako łodzi lub rydwanie, który co dzień przemierza

niebo. Musi wnikać głębiej.

– Czyżby Lunarianie na Prozerpinie mieli aż takie znaczenie? – spytał.

– Wybiegnij myślą w przyszłość – odparła wyrocznia, a na twarzy znów pojawiło się życie, chociaż nie było ono ludzkie. – Przekształcą tamten świat, pomnożą swe zastępy, rozproszą się na komety, sięgną do gwiazd. Porozumieją się z nasieniem De – meter. Będą rozmawiać z krewnymi na Ziemi, w których zbudzi się przez to duch Fausta.

– Sprawia ci kłopoty. Chcesz, żeby wszyscy pozostali w pobliżu Układu Słonecznego, gdzie możesz sprawować nad nimi kontrolę.

– Gdzie mogą zaznać oświecenia i nauczyć się rozsądku – odparł głos bardzo łagodnie.

Kenmuir zawołał z niedowierzaniem:

– A wszystko opiera się na jednym statku, który odleciałby z Księżycą? Na jednym człowieku, który mógłby go zawrócić?

– Nie. Mówiłem, że rzeczywistość jest całością. Ale ze względu na historię najbliższych lat, a tym samym być może resztę historii, proszę cię, byś ją zawrócił.

Cyberkosmos prosił.

Chętnie zmieniłbyś wszechświat w umysł i harmonię, myślał Kenmuir. Sam ten spór, który toczymy, polegający na starciu nie sił, lecz idei i możliwości, jest doskonałym symbolem eteryczności, której pragniesz. Któż śmie twierdzić, że ta twoja wizja jest czymś złym? Że namiętności i niepewność, zwierzęta i rośliny, śmiertelność, radość wiecznie zmieszana ze smutkiem – że one są dobre?

Faust prowadzi wieczną wojnę. Ja jestem człowiekiem miłującym pokój.

– Wybór należy do ciebie – usłyszał. – Nie mam prawa do niczego cię zmuszać. Nie mogę.

Dla cyberkosmosu narzucanie czegokolwiek siłą równałoby się przekreśleniu własnej natury.

Zresztą efektem mógłby być tylko nieopanowany bezład; przypomnij sobie kroniki

wszystkich tyranii. Gdyby unicestwić ludzi w Układzie Słonecznym, w mieszkańcach Alfa Centauri przez tysiąclecia tliłby się płomień zemsty. Gdyby ich zabić, zepsucie dotknęłoby serca zwycięzcy. Nie, brzemień odpowiedzialności spoczywa na tobie.

Tętno na chwilę ustało, pomimo stanu nirwany, w jaki wprowadzono ciało Kenmuira.

Zaschło mu w ustach.

– Jeśli... cię posłucham – wyjąkał – co stanie się z Aleką i jej ludem?

– Ich życzenie się spełni, otrzymają krainę lepszą niż ta obiecana przez Lilisaire.

A Ziemianie, których oczy zwrócone są ku niebu, dostaną Biotop. Ulec musi tylko ten demoniczny duch drzemiący w Lunarianach.

Nie, poddać muszą się ludzie wszelkich odmian, którzy pragnęli wolności. I nie poznają swych pragnień ani nie dowiedzą się, że są zniewoleni.

Czuł się tak, jakby odpowiedź tkwiła w nim jeszcze przed narodzinami.

– Nie.

– Odmawiasz. – Nie było to pytanie.

– Tak. Niech leci dalej.

– Wybaczam – oznajmił łagodnie głos.

Kenmuir wiedział, że nigdy nie zrozumie tej osobliwej jedni. Nie był maszyną, tylko człowiekiem. Świadomość pogrzyła się w mroku.

– Nie obawiaj się – Venator uspokoił zbudzonego Kenmuira – Przewieziemy cię do Yorkportu i puścimy. Zapewne wsiądziesz na wahadłowiec, by dostać się na Lunę. Tylko najpierw powinniśmy chwilę porozmawiać.

Na moment pozostawił jeszcze kosmonautę w spokoju, następnie zaprowadził go do pomieszczenia, w którym w milczeniu zjedli prosty posiłek; potem obaj ciepło się ubrali i wyszli na zewnątrz. Przez pewien czas szli bez słowa, aż wreszcie zniknęła im z oczu stacja meteorologiczna i znaleźli się sam na sam z górami.

Kenmuir wciągnął głęboko powietrze. Lekki, zimny wiatr poruszał liśćmi i igłami rosnących tu i ówdzie karłowatych drzew. Powietrze smakowało niebem. Słoneczny blask spływał kaskadą po długim, niebotycznym stoku i ośnieżonych szczytach, które wrzynały się w czysty błękit na podobieństwo białych noży. Chłonał ten widok. Niepokój, niepewność, żal, uśpione w komorze Teraumysłu, teraz budziły się na nowo do życia; potrzebował tego świeżego źródła spokoju.

– Idź wolno – doradził Venator. – Oszczędzaj siły. Mamy mnóstwo czasu.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał Kenmuir, spoglądając na towarzysza.

Trudno było powiedzieć, czy uśmiech, który pojawił się na jego ciemnej twarzy, wyrażał żal czy złośliwość.

– Niczego, jeśli pytasz o jakieś żądania. Chciałbym ci to i owo zaproponować, musimy też ustalić ogólny plan działania.

– Zrobię, co w mojej mocy – zaczął niepewnie Kenmuir – i co jest zgodne z... – Właśnie, z czym?

– Tego się spodziewałem – kiwnął głową Venator. – To racjonalne. Ale i miłe z twojej strony.

Jak Kenmuir powinien reagować, jak się poczuć?

– Proszę, nie traktuj tego jako rozmowy między zwyciężcą a zwyciężonym.

– Ależ nie, nie. – Venator znowu się uśmiechnął, tym razem szerzej i jakby nieco drwiąco.

Pod obcasami zazgrzytał żwir. Szemrał wiatr. Do rzeczy, postanowił Kenmuir.

– W porządku. Aleka dostarczy wiadomość. – Zawahał się.

– A może już dostarczyła? – Ile godzin czy dni spędził w domu Teraumysłu?

– Jeszcze nie – powiadomił go Venator – ale nastąpi to niedługo.

– A wy... cyberkosmos... rząd – nie będziecie próbowali zataić wiadomości ani żadnych wynikających z niej konsekwencji?

Venator patrzył przez chwilę w oczy mężczyzny.

– Ty i twoi przyjaciele możecie nam wręcz pomóc. Nawet musicie. Nie chcemy zmuszać Federacji – ludzi zajmujących kluczowe stanowiska – do zajmowania pozycji, z których będzie im się potem trudno wycofać. Jak się domyśliłeś, im mniej każda ze stron powie publicznie, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Kenmuir zdał sobie sprawę, że to nie kapitulacja, tylko dostosowanie się do okoliczności.

Był to być może pierwszy ruch w ramach planu, który potrwa całe stulecie... Nie, nie będzie się nad tym zastanawiał. Przynajmniej na razie.

– Z radością podejmę współpracę. A w moje ślady z pewnością pójdą Aleka i, hm, Matthias.

Teraz Venator uśmiechnął się od ucha do ucha, unosząc przy tym brwi.

– A co powiesz o Lilisaire i jej Lunarianach?

– Sądzę, że się zgodzą.

– Nie można zatuszować całego zdarzenia – przypomniał mu Venator. – Możemy mieć tylko nadzieję, że twoi ludzie będą dyskretni, dając tym samym przykład moim.

Nie, tego nigdy nie da się zatuszować, pomyślał Kenmuir, ani wymazać z ludzkiej pamięci, przynajmniej mojej. Powrócił ból. Dagny, zasejwowana Dagny!

– Czy musimy rozmawiać jak przeciwnicy? – rzucił szybko. – Ciągłe nie rozumiem, czemu naszych stanowisk nie da się... pogodzić. Czy garstka Lunarian gdzieś w przestrzeni kosmicznej jest taka istotna? Jak to w ogóle możliwe?

– Przedtem jakoś lepiej to rozumiałeś. – Venator zmarszczył czoło, wzruszając ramionami. – Ja zresztą też. – Przerwał.

– Pozwól, że zarysuję bardzo niedokładną analogię. Wyobraź sobie inteligentnego, wykształconego Rzymianina z czasów Augusta, spekulującego na temat świata za tysiąc lat. Myśli sobie: „Możliwe, że legiony przemaszerują cały świat, tak jak przemierzyły Galię, i wszyscy ludzie na całym świecie będą Rzymianami. Albo, do czego zmierza obecna polityka Cezara, granice pozostaną mniej więcej niezmienione, a za nimi będą się rozciągać lasy i kraje barbarzyńców. Albo, według wariantu pesymistycznego, Roma upadnie, a na gruzach miast wyc będą dzikie hordy”. Nie wiem, którą przyszłość wybrał, zresztą nie ma to znaczenia, ponieważ w rzeczywistości było zupełnie inaczej. Heretycka odmiana religii pewnego podbitego ludu w niewielkim zakątku basenu Morza Śródziemnego opanowała umysły zarówno Rzymian, jak i barbarzyńców, gruntownie ich odmieniając i rodząc nową kulturę.

Kulturę Fausta, dodał w myślach Kenmuir.

– Mimo to – zripostował – sama potęga... twojego... cyberkosmosu, z pewnością wzrośnie na niewyobrażalną dla nikogo skalę...

– Biokosmos także będzie się rozwijał – odpalił Venator. – A co do różnorodnych wpływów, w co mogą zmienić się ludzie, oni i ich maszyny, pośród komet?

Gdzieś przez głowę Kenmuira przemknęła pewna myśl. Cyberkosmos musi z natury dążyć do absolutnej wiedzy; lecz do tego konieczna była bezwzględna kontrola, eliminacja przypadkowych zdarzeń, wszystkiego, co nieprzewidywalne. Pozostaje miejsce tylko na rozkwit intelektu. Cyberkosmos był totalitarny.

– Cóż, w świetle obecnych wypadków należy liczyć się również z tym czynnikiem – ciągnął Venator. – Jest ich zresztą o wiele więcej, a wszechświat z pewnością jeszcze nieraz w ciągu najbliższych milionów lat czymś nas zaskoczy. Czas pokaże, kto i jak poradzi sobie najlepiej. Totalitaryzm nie musi być brutalny, pomyślał Kenmuir. Mógł przejawiać się łagodnie, wywierać korzystny wpływ i... być na tyle subtelny, że trudno byłoby rozszyfrować jego istotę. Nad głowami przemknęły jakieś skrzydła. Słońce oślepiało, nie pozwalając dostrzec ptaka. Sokół na łowach? Nie miałby szans na wyobrażenie sobie tego bezlitosnego piękna, gdyby nie ukształtowały go miliony lat nieskrępowanej gry przypadku i ślepej woli życia. Nie wiadomo czemu był już w stanie znieść myśl o tym, co zdarzyło się w grobowcu Dagny Beynac. Możliwe, że między obydwoma koncepcjami wszechświata nie dojdzie do żadnego starcia; niewykluczone, że po wiekach okaże się, iż były dwoma obliczami tego samego. A może nie. Wiedział tylko tyle, że jest po stronie Matki.

– Problem dość abstrakcyjny, prawda? – mówił Venator. – Możemy zajmować się zaledwie przyjemnymi, pojedynczymi szczegółami, które zdarzą się za naszego życia.

– Do ciebie nie całkiem się to chyba odnosi, co? – Kenmuir bacznie przyjrzał się tamtemu.

– Nie do końca – przyznał. Po kilku długich krokach na wietrze dodał: – Mimo wszystko nie zazdroszczę ci.

Ja tobie też, pomyślał Kenmuir.

– Niemniej jednak bardzo bym chciał lepiej cię poznać – oświadczył Venator. – Ale to pewnie niemożliwe. To co, przejdziemy do rzeczy?

Niedawno nad lunariańskimi Kordylierami zapadła noc. Z punktu obserwacyjnego Lilisaire widać było ku zachodowi trzy szczyty, których nie opuścił jeszcze blask. Widoczne były ich krawędzie, po których pełgały języki ognia. Poza tym góry zmieniły się w pustkowie cienistych szczytów i mrocznych przepaści. Dalej na wschód przechodziły w ogromne głązy i równie

ciemne kratery. Nad nimi migotały tysiące gwiazd, mroźny most Drogi Mlecznej, mgławice i lśniące drżącym światłem galaktyki, lecz Ziemia zmieniła się w błękitny łuk na tle bladego okręgu, znajdującego się tuż nad horyzontem.

Nad wszystkim tym stała wieża z przeźroczystą kopułą. Ze zbiorników i skrzyń w usytuowanym najwyżej pokoju wyrastały gigantyczne kwiaty. W blasku gwiazd ich liście sprawiały wrażenie albo ciemnym grudek, albo delikatnych filigranów. Aromaty mieszały się w powietrzu, które kojarzyło się z atmosferą letniego wieczoru. W zalegającej ciszy błyszczały i przemykały świetliki.

Lilisaire weszła do komnaty wraz z Kenmuirem. Od jego niedawnego przybycia żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Mijając kwiaty, podeszła do wschodniego okna i wyjrzała przez nie. Czekał, obserwując jej profil na tle nieba i błyszczące włosy.

Na półce pod dachem leżał kryształ pieśni. Ujęła go i pogładziła po ściankach. Zbudziła się muzyka, tryle, świergot, gwizdy, drżące dźwięki. Utworzyła z nich melodię, śpiewając półszepem:

Grad kamieni, błysk ognia, Cenotaf wędrowca. Ale kamień utracił gwiazdy, A gwiazdy utraciły kamień.

Do tej pory w języku lunariańskim słyszał tylko fragment utworu Verdei. Żaden język Ziemi nie brzmiał tak przejmująco, żaden nie potrafiłby oddać znaczenia skrytego w obrazach.

Lilisaire odłożyła kryształ i pogrążyła się na nowo w milczeniu. Kenmuir odważył się oderwać:

– To melancholijna pieśń, pani.

– Doskonale pasuje do tej chwili – odparła beznamiętnie.

– Przypuszczałem, że będziesz radośniejsza.

– Niemożliwe. – Odwróciła się i zajrzała mu w oczy. Jej oczy jakby napępniały się światłem.

Oblicze przypominało mu maskę azjatyckiej Ateny Pallas. – Jesteś inteligentny. Z pewnością doceniłeś zdobytą nagrodę.

Wiedział, że będzie musiał mówić otwarcie, choć nie spodziewał się, że nadejdzie to tak szybko. Poczuł, jak napinają mu się mięśnie między łopatkami. Starał się zachować spokój.

– Tak, oczywiście. Przynajmniej się zastanawiałem. Prozer – pina przestała być dla ciebie tajemnicą, cokolwiek by miało z tego wyniknąć. – A co wyniknie? Nie wiedział. Nie starczy mu życia, żeby się przekonać. – Jednak Biotop... – Nie dokończył, wolał nie wypowiadać myśli, którą oboje pojmowali.

– Biotop jest faktem – wyręczyła go.

– Jak zawsze, prawda?

– Niekoniecznie – potrząsnęła głową – przynajmniej do czasu, gdy w głębi kosmosu pozostawała jakaś niewiadoma, może jakieś narzędzie zdecydowanego i ostatecznego zwycięstwa. Ale teraz zostało ono odnalezione.

Wrócił na chwilę myślą do domu Teraumysłu. Rzeczywistość jako odkrycie, umysł jako twórca... nie, tak być nie może, przynajmniej na żadną namacalną, ludzką skalę, zresztą nawet na poziomie kwantowym musi istnieć coś więcej niż paradoksy pomiaru; na pewno!

– Nie mamy broni – westchnęła Lilisaire. – Pozostaje tylko droga ucieczki.

Jak zdarzało się to wielokrotnie w ostatnich dniach, przed oczyma wyobraźni przesuwały się różne możliwości. Buntownicy lub awanturnicy – a takich nie brakowało, obydwu rodzajów – zaczęły przenosić się do żelaznego świata, najpierw pojedynczo, potem całą falą. Federacja nie będzie stawiać przeszkód; powinna wręcz dopomóc, gdyż w ten sposób wyczerpią się zarówno argumenty, jak i opór przeciwko Biotopowi. Kolonizacją zajmie się praktycznie cała flota kosmiczna Lunarian; to z kolei powinno zaangażować ludzi z wewnętrznych asteroid i zewnętrznych księżyców. Przedsięwzięcie, cała silnie zaznaczona obecność Lunarian na

planetach, przejdzie do lamusa historii.

– I negocjacje w sprawie rozejmu – dokończyła Lilisaire. Ze swej strony, myślał Kenmuir, nie będzie mogła zaprzeczyć, iż przez tak długi czas ukrywała rodzinny skarb, i będzie musiała ustąpić w sprawie Biotopu. Jej wola bezproblemowego osiągnięcia kompromisu była tak samo istotna jak dobre chęci rządu, choćby każdej stronie niezbyt przypadowało to do gustu. Przyszło mu do głowy wyrażenie sprzed stuleci, „Równość w niezadowoleniu”. Ale jeżeli główny spór pozostanie nierozstrzygnięty? Wróciwszy do rzeczywistości, stwierdził ostrożnie:

– Nie ma nic pewnego, pani. Do tej pory wszystko zasadza się na słowach zamienionych przez kilkoro ludzi i... sofotekty.

Większość dygnitarzy, że nie wspomnę o opinii publicznej, nawet nie słyszała o całej sprawie.

– Ja jednak widzę już kres naszej Luni. – Mówiła głosem żelaznym, wyzbytym współczucia dla samej siebie; stała wyprostowana pod firmamentem.

– No, nie do końca... – Czy to pogarda zaigrała przez moment na jego wargach? – Jest to na pewno początek czegoś nowego.

– Być może nowy cykl – ustąpiła mu – niemniej jednak obcy wszystkiemu, co było do tej pory nasze.

Koniec z tą milenijną metafizyką, postanowił, podejmując na głos:

– Pani, najpierw czekają nas całe lata pracy. Dla mnie najważniejsza jest obietnica, jaką złożyłaś Alece Karne.

Lilisaire wstrząsnęła palcami.

– Owszem, dostanie swoją wyspę i jej wody. Czemu by nie? Ta odrobina władzy, którą niegdyś być może dzierżyłam, wymyka mi się teraz z rąk. – Dotknęła brody, zmarszczyła twarz, wreszcie zaśmiała się krótko i zimno. – Zresztą przyjaciele na Ziemi mogą się jeszcze kiedyś

przydać.

Zrozumienie całej wymowy jej słów zajęło mu dobrą chwilę.

– Czyli nie chcesz odlatywać na Prozerpinę?

– Nie. Czemu miałabym tego pragnąć? Tu znajdują się włości i prochy moich przodków, ich starożytne przywileje i rękojmie, pamiątki po nich na każdej górze i pamiątki po mnie, które mogłyby przetrwać. Zamienić to na surowość i trudy życia, na prawdopodobną przedwczesną śmierć?

– Nie ma takiej potrzeby – wykrztusił, czując niechciany skurcz w gardle. – Możesz dożyć swych dni tutaj, w zbytku.

Rozbrzmiał jej śmiech. Sprawiał wrażenie szczerego, jakby dopuścił się jakiegoś homeryckiego żartu.

– Ha-ha, jaka wygodna klatka! Jacy dobrze wychowani zwiedzający! Ale gdyby któryś z nich zanadto zbliżył się do krat... – Potrząsnęła głową. W jej głosie wciąż słyhać było wesołość. – Zresztą jak miałabym się powstrzymać od tego ostatniego aktu bezczelności?

Przypomniał sobie jej przodka Rinndalira, który pożegłował na Alfa Centauri. Czy Lilisaire wyszła w końcu z cienia Niolente?

Raptem przybrała poważny wyraz twarzy. Stała bez słowa, spoglądając przez okno, wreszcie stwierdziła cicho:

– Co do śmierci tam, będzie to śmierć godna Beynaca.

– Ale, ale przecież możesz dożyć sędziwego wieku – wyjąkał.

– Lecę, i to w awangardzie – oznajmiła, nie zwracając uwagi na jego wysiłki. – Ale z tego względu trudno mi będzie dotrzymać obietnicy, którą ci złożyłam, mój kapitanie, że zostaniesz wodzem moich przedsięwzięć kosmicznych i zasiądziesz wśród Selenarchów.

– To nieważne.

– Ważne, ważne. – Uśmiechnęła się. – Jesteś bardzo dwornym kłamcą.

Oszołomiony Kenmuir z trudem znajdował odpowiednie słowa:

– Pani, cieszę się, jeżeli ci dopomogłem, a jeżeli wyrządziłem ci krzywdę, to uwierz mi, że nie było to moim zamiarem, i... Wystarczy mi, że ci służyłem.

Sam nie wiedział, czy mówi to, co myśli.

– Mnie nie wystarczy – odparła. Wyciągnęła ku niemu rękę. – Podejdź, może uda mi się choć w niewielkim stopniu wypełnić dane ci przyrzeczenie.

Ze zdumieniem zobaczył, że stoi przed nim istota tak samo samotna i wrażliwa, jak każdy inny człowiek.

Wiał łagodny wietrzyk. Aleka odpłynęła kilka kilometrów od zatoki Niihau na silnikach i dopiero wtedy postawiła maszt i żagle. Łódka zaczęła unosić się bezszelestnie na niewielkich falach z lśniącego błękitu i zieleni, przetykanych białą koronką piany. Szemrały między sobą i uderzały w kadłub. Od czasu do czasu na chwilę tworzył się grzywacz białej piany. Słońce chyliło się ku zachodowi. Promienie ogrzewały wodę. Na pokładzie było jednak chłodno. Nad głowami szybowwała fregata.

Kenmuir siedział na ławce w kokpicie obok drzwi kabiny, naprzeciw Aleki, która trzymała ster. Miała na sobie jedynie czapkę i tunikę bez rękawów. Lśniła skóra koloru brązu. Na czoło spadł niesforny kosmyk włosów. Kenmuir siedział zamyślony, zbierając się na odwagę.

Odwróciła wzrok od morza, popatrzyła na niego i cichym głosem wypowiedziała pierwsze chyba słowa od momentu, gdy podnieśli kotwicę:

– Zmieniłeś się, Ian. – Zdawało mu się, że dostrzegł na jej ustach blady uśmiech.

– Ty chyba też – odparował. – Zresztą nic dziwnego, po tym, co przeszłaś.

Przypomniawszy sobie wszystkie te zdarzenia: ucieczkę w kosmosie, wysłanie wiadomości, wielki powrót, raketę i sofotekta, którego niechętnie dopuściła do „Kestrel”. Nie był niemiły,

mówiła Kenmuirowi; zabrał ją na swój pokład i zawiózł na Ziemię, do Venatora, który ją przesłuchał i puścił wolno. Nie groziło jej żadne fizyczne niebezpieczeństwo, ale mężczyzna wolał nie myśleć, jak mogła się czuć w pustce, otoczona przez maszyny.

– Miałam nadzieję, że wrócisz zaraz po mnie – oznajmiła. Mimo że nie wyczuł w jej głosie żadnego wyrzutu, odruchowo się skulił.

– Przepraszam. Miałem ręce pełne roboty... – Tłumaczył to już przedtem, podczas krótkiej rozmowy telefonicznej, i dzisiaj po swoim przyjeździe. – Opowiem ci szczegóły, na ile będę potrafił ułożyć je sobie w głowie. Zresztą zdawało mi się, że najpierw będziesz chciała trochę odpocząć. W swojej krainie i na swoim morzu, pośród swego ludu i morskich stworzeń.

W duchu zastanawiał się, czy właśnie po to zaproponowała wspólny rejs po morzu. Mogliby spokojnie znaleźć jakiś zaciszny kąt na stałym lądzie. Ale jej miejsce było tutaj.

A może chciała, żeby w tych nowych warunkach wreszcie stanowczo się określił i żeby rozwiązał mu się język?

Teraz faktycznie się uśmiechnęła, dość jeszcze niepewnie.

-. Ach, *bueno, lawa*, mamy to już za sobą. Możemy cieszyć się z wiadomości, że my, Lahui, dostaniemy nowy kraj. Na początek.

Na to nie miał odpowiedzi.

Przyglądała mu się przez chwilę, by powiedzieć łagodnie jak sam wiatr:

– Nie? Nie. *Por favor*, nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał. Nie obwiniam cię o nic. Nie błagam.

– Wiem. – Napotkał jej wzrok.

– Coś się stało.

– Tylko we mnie. – Zasługiwała na szczerłość. – Lecę na Prozerpinę – oznajmił.

– Tego się... obawiałam.

– Niepotrzebnie. – To on ją prosił. Pochylił się i ujął jej rękę. – Słuchaj. Tak będzie najlepiej.

Jesteś młoda, musisz stworzyć własny świat. Ja jestem stary i...

– Moglibyśmy spróbować.

– Żebyś straciła kawał życia? Nie.

– Nie udawaj altruisty. – Nie opuszczał jej spój. – To poniżej twojej godności. Wracasz do

Lilisaire. – Zabrała rękę.

– Próbuję być realistą i wybrać najlepszą możliwość. Fale kołysały sennie. W górze fregata wypatrywała żeru.

– Nie jest to dla mnie stuprocentowa niespodzianka – stwierdziła Aleka. – *He kanake pono*
oe. Jesteś dobrym człowiekiem, uczciwym. Potrafisz dotrzymać tajemnicy, ale nie masz talentu
do kłamstwa. – Spojrzała ku widnokręgowi. – Mną się nie martw, poradzę sobie.

Wiedział. Szkoda by jej było życia na cokolwiek innego.

Niemniej jednak... Roześmiał się w duchu, suchym śmiechem starego człowieka. Spodziewał
się, że kobieta zareaguje namiętnie, że być może uda jej się zachęcić go do pozostania. Zresztą
może ją również dręczyły wątpliwości. Nie, najprawdopodobniej widziała wszystko jaśniej
i słuszniej niż on.

Powinien czuć ulgę, a nie zawód. Ale był tylko człowiekiem.

Zaskoczyła go jej troska.

– Ale ty! Przemyślałeś swój krok? Bardzo możliwe, że będziesz jedynym Terraninem...

Ziemianinem, jedynym ze swej rasy żyjącym w ciemności wśród skał i gwiazd.

– Taki jest kosmos, Aleko. – Jej słowa dodały mu odwagi. Siedziała zamyślona, gładząc ster,
wreszcie powiedziała:

– Rozumiem. On zawsze cię przyzywał i stanie się twoją ostatnią drogą.

Uniósł i opuścił ramiona, rozkładając ręce.

– To irracjonalne. Zgoda. Ale to my, Lunarianie i wszyscy ci, którzy będą im towarzyszyć, ożywimy Prozerpinę.

Cokolwiek miałyby to oznaczać za gigalata. Na tym mu szczególnie nie zależało; jako człowiek śmiertelny i rozumny, nie mógł myśleć inaczej. Zresztą w jakiś tam sposób będzie służył Matce Demeter, której nigdy nie pozna, tym sposobem nadając własnemu życiu transcendentny sens.

Była to myśl warta więcej niż jego mała próżność. Teraumysł się z nim zgadzał. Kenmuir nie wiedział, czy cyberkosmos zechce ukryć przed Centaurianami fakt wędrówki na Prozerpinę. Przychodziło mu do głowy kilka wybiegów służących takiemu celowi. Teraumysł z pewnością zadba, by opowieść o zabawie w chowanym w Układzie Słonecznym nie została zbyt nagłośniona, żeby wkrótce zagłuszył ją informacyjny szum. Nie wolno stawiać żadnych pomników... to nieważne. Przynajmniej na dłuższą metę. Gdy życie jest gotowe do tiaszej ewolucji, zaczyna ewoluować.

– Będziesz w kosmosie, Ian – skinęła głową Aleka. – Nie, nigdy bym sobie nie wybaczyła, że cię do siebie przywiążuję. – I dodała nie bez odrobiny złośliwości: – Mam tylko nadzieję, że poradzisz sobie z naszą panią Lilisaire.

– Nie jest to zbyt łatwe.

– Nie jest.

Płynęli w ciszy. Raptem na sterburcie stanęła jedna postać, za nią druga i następne.

Wyływało stado Keiki Moana. Aleka patrzyła na nie z miłością.

– Pochodzimy z różnych szczepów, prawda, ja i ty? – odezwała się w końcu do Kenmuira. –

A płynie w nas ta sama krew.

Ile jeszcze gatunków ujrzy świat w przyszłości?

– To, czego dokonasz tutaj, na Ziemi... – urwał, nabrał w płuca czystego, słonego powietrza

i podjął: – Zastanawiam się, czy koniec końców nie okaże się to równie osobliwe i potężne jak wszystko, czego dokonano we wszechświecie.

Zaśmiała się cicho i gardłowo, bezczelnie.

– Już samo działanie będzie ciekawe. I przyniesie jej radość, miał nadzieję. Znowu ujęła go za rękę.

– Życzę ci tego samego, kochany, tam, gdzie jest „Kestrel”. Niewielki statek, niegdyś własność Kyry Davis, oddalał się samotnie od Ziemi, by na wieki żeglować pośród gwiazd.